FANTASY

Science-Fiction • Fantasy • Horror

4/'03 (10) Październik 2003 indeks 379166

6.50 zł
z 7% VAT

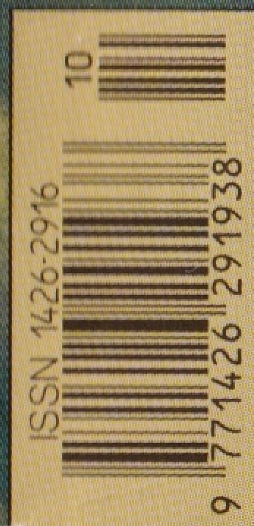
CD-ACTION
Wydanie Specjalne

Wyjawiamy sekrety!
Harry Potter i Zakon Feniksa

Świat Dysku
Terry Pratchett

Nie tylko Aztekowie
Krwawe rytuały

Kosmiczne inwazje
Najeźdźcy z gwiazd



Zabójcy wampirów

Czosnek, kołek i krucyfiks

WITAJCIE



Źli ludzie rozpuszczali ploty, jakoby Fantasy umarła, przestała się ukazywać itd., itp. Nic bardziej błędnego, moi drodzy! Nadal mamy kilka razy więcej czytelników niż WSZYSTKIE pozostałe pisma z tego właśnie miłego naszym sercom segmentu. A jednonumerowa przerwa została spowodowana zmianami, nad którymi pilnie pracowaliśmy całe noce i ranki. Mam nadzieję, że spodobają się Wam nowa szata graficzna, nieco odmienny układ tekstów oraz znakomitej jakości papier. Jeśli chodzi o tematy – to sprawdźcie sami. W każdym razie ja większość tekstów czytałem z wypiekami na policzkach, zwłaszcza że jak zwykle współpracą zaszczycili nas świetni pisarze i błyskotliwi publicyści!

Jacek Piekara

DO ZOBACZENIA W 1. POŁOWIE GRUDNIA!



Zabójcy Wampirów → str. 10
Opowiadamy o ludziach zawodowo zajmujących się zwalczaniem groźnych krwiopijców

Atak z kosmosu → str. 16
Ziemia wielokrotnie była atakowana z kosmosu. Piszemy o najgroźniejszych inwazjach.





Krasnoludy → str. 22
Historia małej, ale twardej rasy. Jak poczciwe krasnoludki zamieniły się w waleczne krasnoludy?

W NUMERZE:

Wywiad z... 4
Naszym gościem jest rysownik Lorenzo Sperlonga

Newsy 6

Zabójcy Wampirów 10
Fascynacja i obawy
Najsłynniejsze filmy o wampirach
Vampire the Masquerade

Atak z kosmosu 16
Paweł Ziemkiewicz rozprawia się z kosmitami

Ukradzione zwierzakom 20
Jak wynalazki natury inspirują inżynierów

Krasnoludy 22
Od Koszałka Opałka do Gimliego i Gotreka

Harry Potter bez tajemnic 26
Sekrety piątej księgi przygód małego czarodzieja

Terry Pratchett 30
Bóg Świata Dysku

Opowiadania 35

Baśń o Śpiącej Królewnie	Joanna Kułakowska, str. 35
Necropolice 3: Sprawy...	Michał Studniarek, str. 42
Krew, śmierć i świt	Damian Kucharski, str. 48
Inferno numer 3	Eugeniusz Dębski, str. 54
Gorzki popiół	Izabela Szolc, str. 60

Krwawe obrzędy 68

Tam był raj! 70
Sumer, Asyria, Babilon...

Co straszy w Polsce? 72

Prawdziwe kłamstwa 74

Gwiazdy i tajemnice 76

Premiery 78
Nowości ze świata komiksów str. 78
Premiery książkowe str. 80
Najnowsze gry str. 84

Janosik według A. Holland 86
Kino domowe - mega premiery str. 88
Co nowego na DVD i w kinie? str. 90

TV Guide 94

Komiks 98

→ **Redaguje zespół:** Redaktor naczelny – Piotr Moskal • Zastępca redaktora naczelnego i redaktor merytoryczny – Jacek Piekara • Sekretarz redakcji – Agnieszka Trzebska • Korekta – Magdalena Sulewska
→ **Dział graficzny:** Jacek Goliatowski (kierownik działu, projekt graficzny pisma) • Marek Janowski • Wojciech Langner
→ **Dyr. wydawniczy:** Jerzy Szulwic, Zbigniew Bański
→ **Autorzy tekstów:** Wiesław Adamik, Paulina Braiter, Grażyna Grzędowicz, Tomasz Majkowski, Artur Marciniak, Maciej Nowak-Kreyer, Jolanta Lisowska, Tomasz Nowak, Jacek Piekara, Magdalena Sulewska, Agnieszka Trzebska, Michał Zacharzewski, Andrzej Zaremba, Paweł Ziemkiewicz
→ **Adres korespondencyjny:**
FANTASY, skr. pocztowa 333, 04-026 Warszawa
→ **Kontakt:** tel. (22) 5170194, 5170193, fax. 5170468
→ **Fantasy w Sieci:** e-mail click@click.pl
→ **Dział reklamy:** Monika Walczak (kierownik działu) • Aleksandra Blicharz • Jarosław Czujak • Maciej Szwejkowski • tel. (0#22) 5117441



→ **Druk:** Poligrafia S.A. Kielce
→ Nr indeksu: 379166
→ ISSN: 1426-2916
→ Za treść reklam redakcja nie odpowiada



LORENZO SPERLONGA I JEGO ŚLICZNOTKI

Z Lorenzo Sperlongą rozmawia Michał Zacharzewski

> Jesteś jednym z najbardziej znanych współczesnych grafików i ilustratorów. Tworzysz okładki książek i czasopism, karty do gier Fantasy Western, plakaty. Jak traktujesz swoją pracę? Czy jest to zajęcie, którym każdy może się parać, czy też fach dla szczególnie uzdolnionych?

To zdecydowanie coś, czym każdy może się zająć... Potrzeba jedynie odrobiny pasji i dużo, dużo cierpliwości. Uważam się za szczęściarza, bo mogę z tego żyć. Chociaż przyznaję, początków nie miałem łatwych. Wyobraź sobie, że przez okrągłe pięć lat uczyłem się używać aerografu! Wiele czasu zajęło mi też opanowanie wszystkich najlepszych technik oraz tych środków, które są niezbędne do namalowania tego, co sobie wymyślę i zaplanuję. Na szczęście praktyka czyni mistrza.

> A właśnie, kim są twoi mistrzowie? Jakich artystów cenisz najbardziej?

Moim ulubionym malarzem jest bez wątpienia Caravaggio, geniusz żyjący w XVI wieku. Jego obrazy są według mnie niesamowite, nawet dziś wydają się żywe, zaś ich przekaz jest intensywny i zrozumiały. Wśród grafików wyróżniłbym Sorayamę, Royo, Olivię i Girotto. Sorayama wniósł do sztuki więcej niż jakikolwiek inny grafik. Był szalonym innowatorem i odważnie próbował tego, o czym nikt inny wtedy jeszcze nie myślał. Jeśli chodzi o obrazy fantasy, to przychodzi mi na myśl tylko jedno nazwisko: Frank Frazzetta.

> Jak wygląda proces powstawania grafiki okładkowej? Zaczynasz od pomysłu, zdefiniowania tematu, namalowania tła czy może od dziewczyny?

Cóż, wszystko zaczyna się od klienta... Musisz przecież wiedzieć, co i dla kogo robisz. Kiedy pracowałem dla wydawnictwa Avalanche, jego właściciel powiedział mi jasno i wyraźnie, że oczekuje okładek z wyjątkowo seksownymi pannami pasującymi do konwencji fantasy. W mojej branży sukces odnosi się tylko wtedy, gdy klient jest w pełni usatysfakcjonowany.

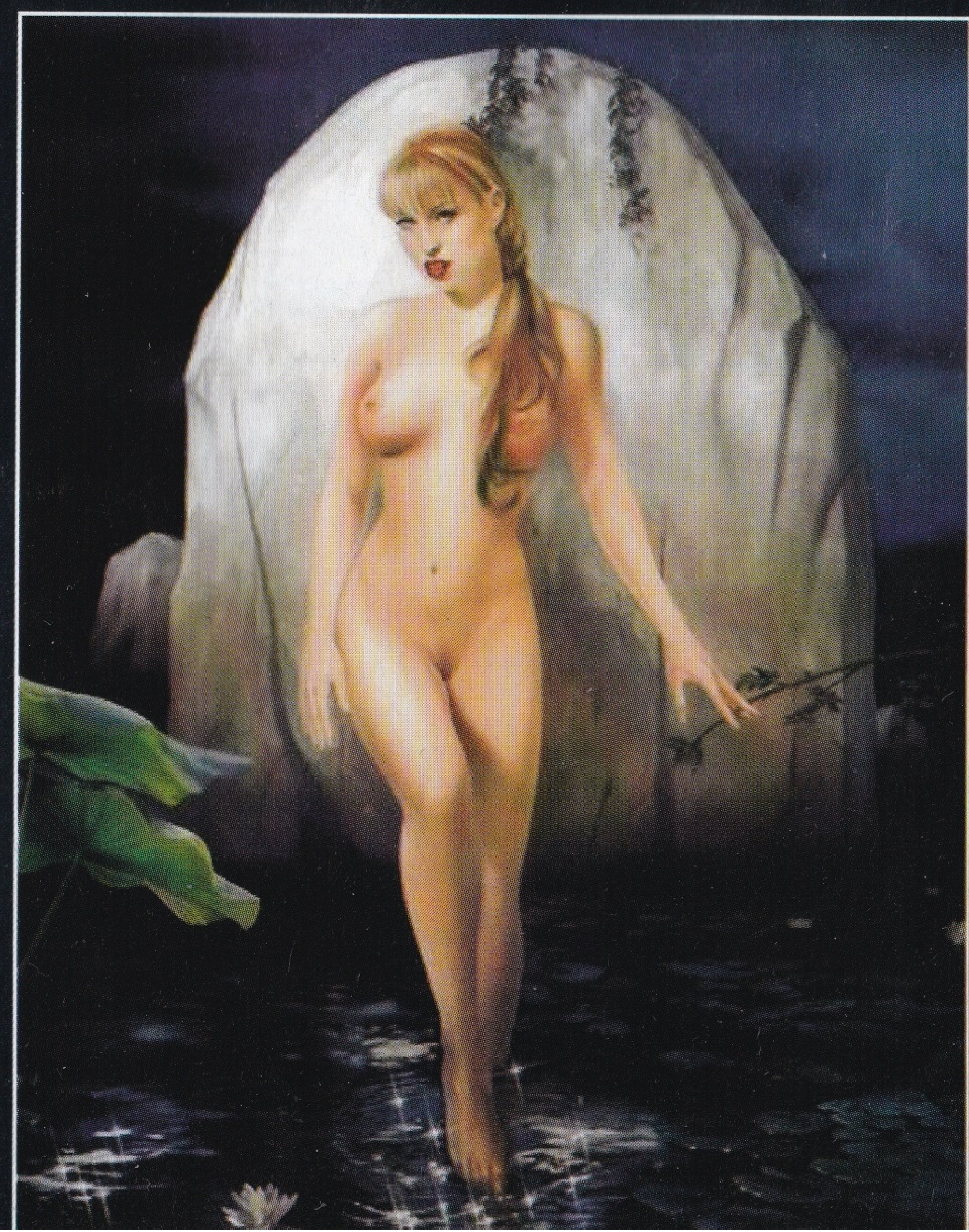
> Jest klient i jego pragnienia. Podchodzisz więc do płótna i malujesz?

Szkicuję. Następnie rozmawiam o szkicu z klientem i jeśli on go zaakceptuje, siadam z ołówkami i całość powtórnie rozrysowuję, tym razem w skali jeden do jednego. Zaczynam domalowywać kolejne szczegóły, eksponuję pewne elementy, inne wygaszam, dorzucam cienie. Po paru dniach mam już czarno-białą, ale bardzo szczegółową wersję projektu. Wówczas mogę zacząć nakładać kolor. Zaczynam od tła, gdyż postać jest z reguły ostatnim elementem obrazu.

> Skąd czerpiesz inspirację?

Zewsząd. Z czasopism, zdjęć, telewizji... Czasem pewne pomysły podsuwa mi mój zwichrowany umysł.











> Zwichrowany umysł? Czy to oznacza, że bazujesz na swojej wyobraźni? A co z modelkami?

Staram się pracować z modelkami.

> Dość skromnie odziane kobiety stanowią motyw przewodni twojej twórczości. To obsesja? Co ze smokami, krasnoludami i innymi postaciami fantasy, nie lubisz ich?

Rzeczywiście, kobiety, ale nie „dość skromnie odziane", a po prostu „niezbyt odziane". Nie, to nie jest żadna obsesja. Po prostu wciąż jestem na etapie rozebranych dziewczyn. Owszem, mógłbym rzucić kilka ładnie brzmiących, ale fałszywych zdań o mojej twórczości, ale po cóż – prawda jest przecież oczywista. Laski sprzedają się o wiele lepiej niż gladiatorzy (niniejszym przepraszam wszystkich gladiatorów...) i w ogóle są wspaniałe. Smoki i krasnoludy też lubię, ale cóż, muszę malować to, czego życzą sobie klienci. Poza tym nie zapominaj, że ładne dziewczyny fajniej się maluje.



> Pracujesz dla „Hustlera". Spotkałeś się z Larrym Flyntem? Jaki on jest?

Na oczy człowieka nie widziałem.

> Na koniec zostawiłem sobie drobną uwagę. Amerykańskie społeczeństwo to – jak wiadomo – społeczeństwo pieniądza. Ty też jesteś „komercyjny"...

Tak, zdecydowanie widzę siebie jako artystę komercyjnego. Wychowałem się w skomercjalizowanym społeczeństwie. Pierwszą agencję reklamową założyłem w Rzymie, gdy miałem 18. lat. A grafiki fantasy i malarstwo okładkowe są z założenia komercyjne. Nie tylko w USA. Wszędzie.

>>> BIOGRAM

Długowłosy Włoch, miłośnik komiksów, absolwent Instytutu Kinematografii i Telewizji w Rzymie. Ur. w 1969 roku.

Projektował kampanie reklamowe, ilustrował książki, szkicował storyboardy. Później współpracował z baśniowym wydawnictwem komiksowym dla dzieci „Tiramolla". W 1994 roku zaczął projektować pierwsze okładki dla największych włoskich czasopism z historyjkami obrazkowymi. Stał się znany. Nawiązał współpracę z magazynami „Playboy" i „Penthouse", co pozwoliło mu przenieść się do Los Angeles.

Obecnie współpracuje m.in. z „Heavy Metal" i „Hustler". Ma na swoim koncie projekty kart do gier fantasy oraz komiks „Angel Baby".

Obsada kociaka



Benjamin Bratt znajdzie się w obsadzie „Catwoman" obok Halle Berry, Sharon Stone i Christophera Lamberta. Reżyserem filmu będzie Pitof, twórca nowatorskiego filmu „Vidocq". Bratt wcieli się w rolę detektywa Toma Lone'a, w którym zakochuje się Kobieta-kot, grana przez Berry. Stone zagra natomiast Laurel, piękną szefową firmy kosmetycznej, która razem ze swoim mężem (Lambert) przygotowuje zbrodniczą operację. Prace na planie filmu, do którego scenariusz napisał Ed Solomon, twórca fabuł „X-Men", „Aniołków Charliego" i „Facetów w czerni", rozpoczęły się pod koniec września. Premiera zapowiadana jest w USA na lato 2004 roku, u nas film pojawi się w sierpniu przyszłego roku.

Piękna Michelle w roli kobiety-kota, niesfornej towarzyszki Batmana



Kolejna Planeta Małp

Gazeta „Entertainment Tonight" podała, że Mark Wahlberg zagra prawdopodobnie w sequelu „Planety Małp" Tima Burtona. Swoją drogą, robienie kolejnych części filmu, który jest przypomnieniem innego filmu sprzed 30 lat, jest specjalnością Hollywood. Sam czekam na film fabularny „Kosmos 1999" i nieśmiertelne hasło – „Orzeł wylądował".



Star Wars III koniec zdjęć

Według informacji zamieszczonej na oficjalnej stronie internetowej fanów gwiezdnej trylogii, 17 września zakończono zdjęcia do trzeciej części filmu. Teraz jeszcze pozostaje tylko dodać gigantyczną liczbę efektów specjalnych, zmontować to wszystko razem, nakręcić machinę propagandową i można zbierać kasę od osób, które chcą zobaczyć, jak Obi Wan robi kuku Anakinowi.

Klątwa Egzorcysty

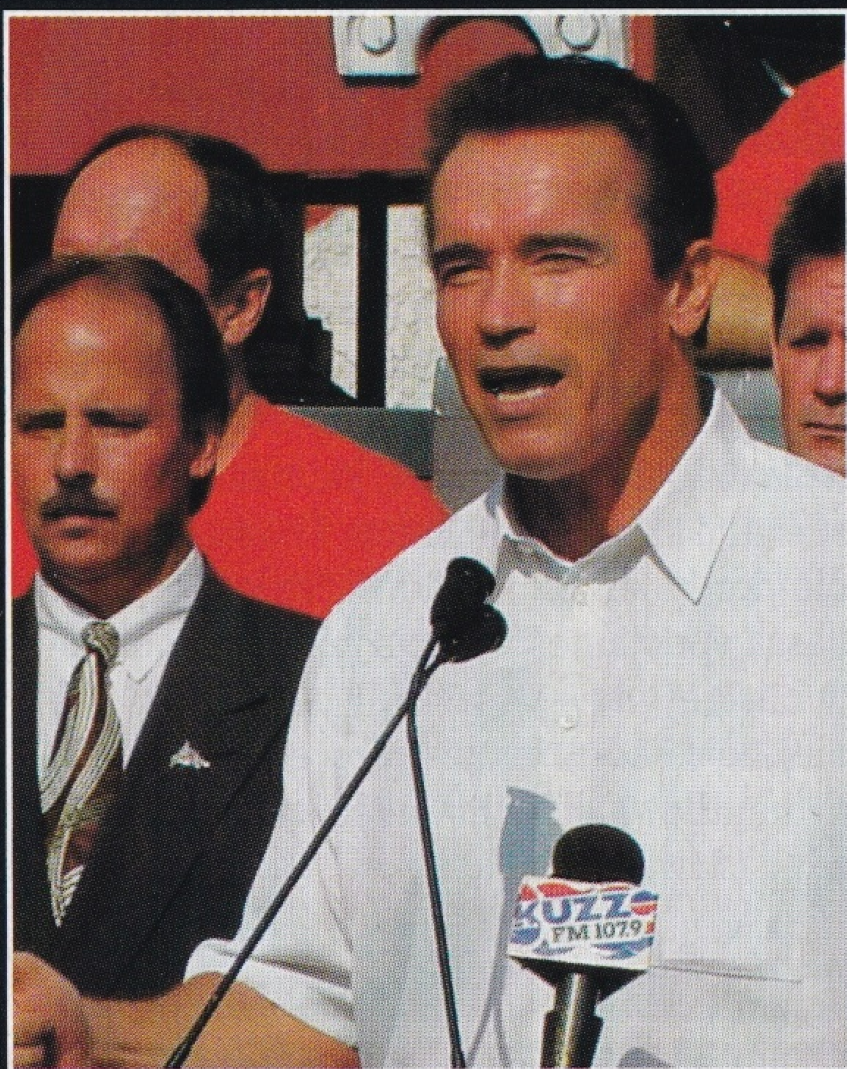


Wydaje się, że nad realizowanym przez Warner Brothers filmem „Exorcist: The Beginning" ciąży jakaś klątwa. Ten prequel jednego z najlepszych horrorów wszech czasów, doskonałego „Egzorcysty", zdążył stracić już dwóch reżyserów i odtwórcę roli głównej – wszystko w zasadzie jeszcze przed rozpoczęciem zdjęć. Tym razem padło na reżysera Paula Schradera. Studio Warner Bros. poinformowało, że z uwagi na „różnice artystyczne" reżyserią zajmie się ktoś inny. Mówiąc po naszemu, dotychczasowy reżyser wyleciał na pysk z powodów, o których nikt woli głośno nie mówić. A skoro się o tym nie mówi, chodzi pewnie o pieniądze.

Arnold – Guberminator

Arnold Schwarzenegger, gwiazdor kina akcji, udowodnił, że potrafi pokonać nie tylko zastępy wrogów na ekranie, ale i politycznych przeciwników w świecie realnym. Aktorowi udało się wygrać wybory na gubernatora najbogatszego stanu w USA – Kalifornii (poprzednik „Conana" został odwołany, gdy udało mu się doprowadzić do gigantycznego zadłużenia stanu). Czy Terminator potrafi sprawnie rządzić? Życie to nie plan filmowy i nie da się tu powtarzać nieudanych scen...

Ameryka miała już okazję doświadczenia rządów aktora, gdy w latach 80. prezydentem kraju był Ronald Reagan. Boski Arnold raczej nie pójdzie w jego ślady – konstytucja USA nie pozwala na wybór na to stanowisko imigranta. Przynajmniej na razie...

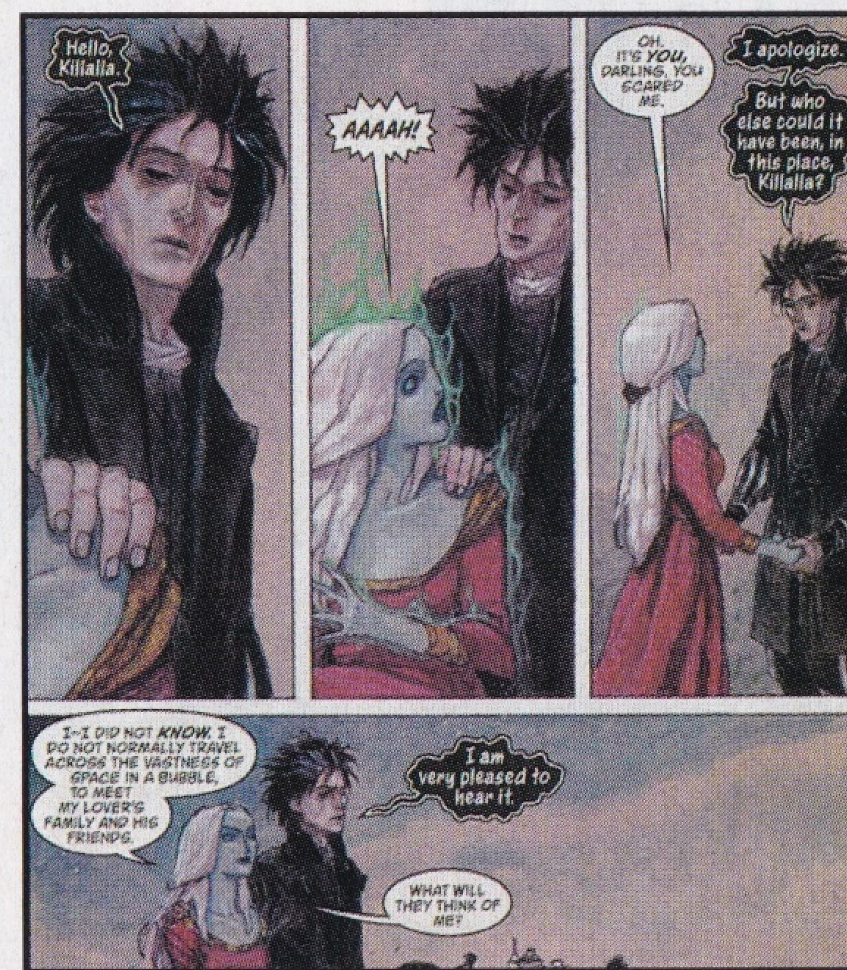


Blade 3



Gwiazda „World Wrestling Entertainment", Triple H (czyli niejaki Michael Paul LeVesque), stawi czoła ludzkiemu wampirowi granemu przez Wesley'a Snipesa w trzeciej części filmu „Blade". Najnowsza część ociekającego krwią cyklu nosi nazwę „Blade: Trinity", czyli mówiąc po naszemu „Ostrze: Trójca". Prawda, że ładny tytuł?

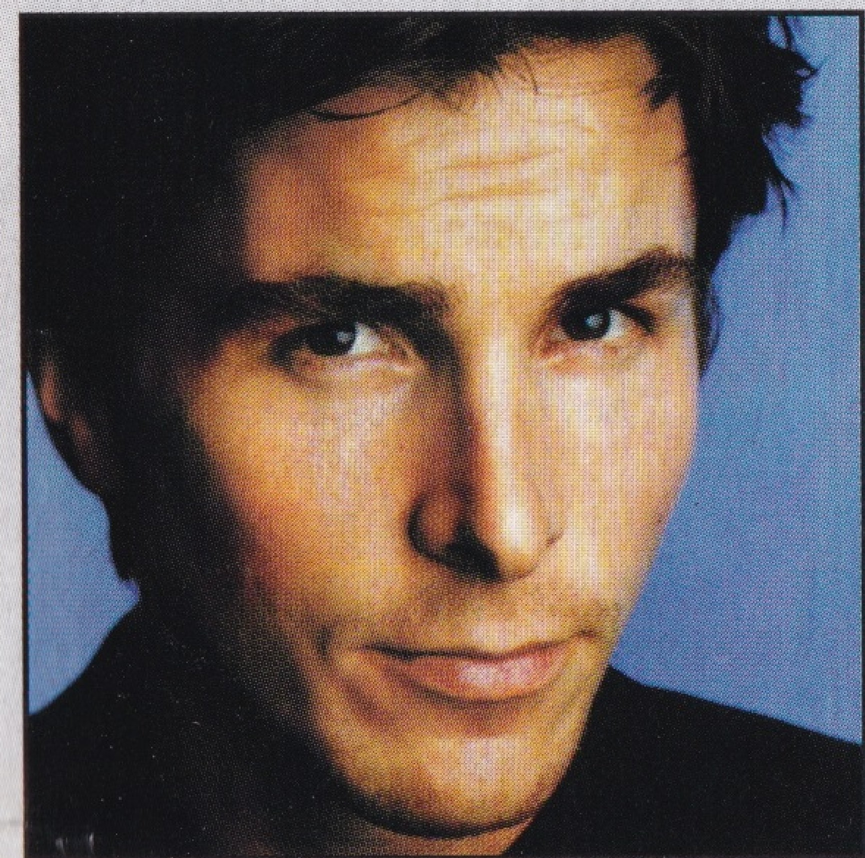
Nowy Sandman



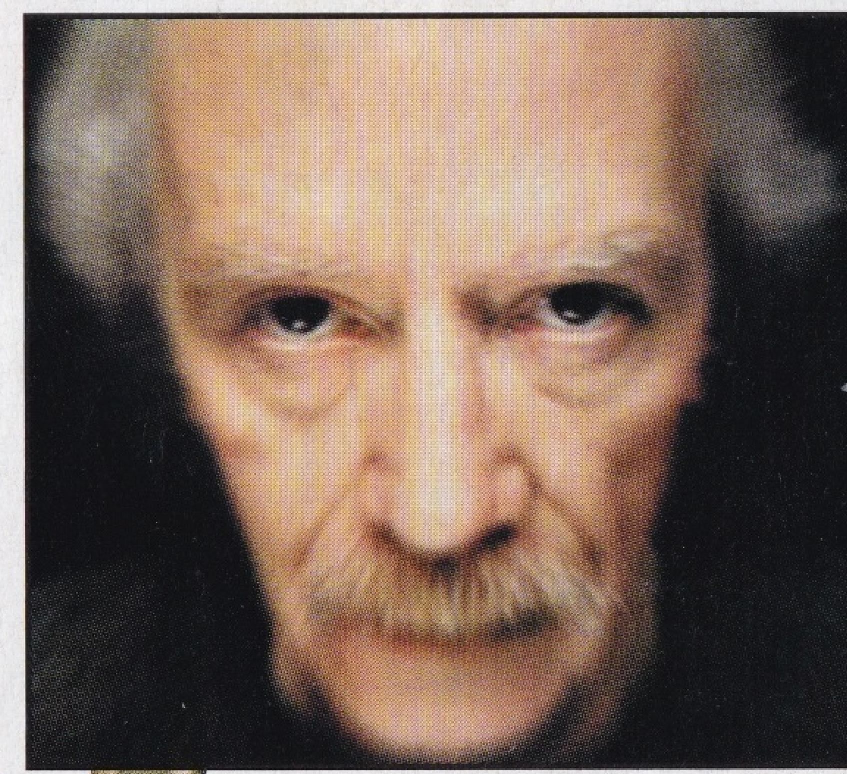
Wydawnictwo Titan Books ogłosiło, że 24 października ukaże się zbiór „Sandman: Endless Nights" – antologia nowych epizodów autorstwa Neila Gaimana. Będzie to pierwszy od siedmiu lat nowy album w tej serii. Wydanie w twardej oprawie opowie o Endless, istotach, które żyją poza światami bogów. Ilustratorami zbioru są największe sławy komiksowego świata – Moebius, Milo Manara, P. Craig Russell, Bill Sienkiewicz, Miguelanxo Prado, Liberatore i Barron Storey.

Bale to netoperek

Christian Bale (możemy go zobaczyć w kinach w filmie „Equilibrium") otrzymał rolę Bruce'a Wayne'a w najnowszym filmie o przygodach faceta w czarnym trykocie ze skrzydłami, produkowanym przez studio Warner Brothers. Reżyserem piątego już filmu o Batmanie będzie Christopher Nolan. Zdjęcia będą kręcone na początku przyszłego roku, a autorami scenariusza są David Goyer („Blade") i Nolan („Insomnia"). Film skoncentruje się na wczesnym etapie życia Rycerza Mroku. Według wypowiedzi Nolana, „Bale ma w sobie doskonałe połączenie światła i ciemności, tego właśnie szukamy". Niezła gadka, prawda? Bale wystąpił wcześniej w filmach „Władcy ognia", „Małe kobietki", „Portret damy", „Metroland" i „American Psycho". Według niepotwierdzonych doniesień, o rolę Człowieka-Nietoperza starało się ponad dwudziestu młodych aktorów z Hollywood.



Halloween na nowo



Serwis Creature Corner opublikował wiadomość, z której wynika, że wytwórnia Dimension Films zamierza wyprodukować remake filmu „Halloween" Johna Carpentera z 1978 roku. Za kamerą miałby stanąć sam Carpenter, choć reżyser na razie nie potwierdził oficjalnie tej informacji.

O wilku i wampirze

Firma White Wolf (do której należą prawa autorskie do gier fabularnych osadzonych w Świecie Mroku, takich jak „Wampir", „Wilkołak" czy „Mag"), oraz autorka Nancy A. Collins pozwali do sądu firmy Sony Pictures, Screen Gems i Lakeshore Entertainment. Według nich film „Underworld", który wszedł właśnie na ekrany kin w USA, narusza ich prawa – „Akcja filmu toczy się w podobnym do naszego świecie, w którym wampiry i wilkołaki toczą ze sobą bezustanną walkę" (reklamowany jest jako „nietypowa historia Romeo i Julii"). Według Collins scenariusz jest adaptacją jej opowiadania „Love of Monsters" z 1994 roku, którego akcja toczy się w świecie gier White Wolfa. W pozwie wyliczono 60 przykładów naruszenia praw autorskich. Co z tego wyniknie, zobaczymy, stawiam jednak, że obie strony dojdą do porozumienia, a kilkadziesiąt tysięcy dolarów zmieni właściciela.



Londyńskie Śródziemie



W połowie minionego miesiąca w londyńskim Muzeum Nauki otwarto wystawę zatytułowaną „The Lord of the Rings the Motion Picture Trilogy: The Exhibition", pokazującą kostiumy i kulisy produkcji filmowej trylogii. Wszystko wskazuje, że jest to najbardziej popularna wystawa w historii muzeum. W przedsprzedaży zamówiono ponad 20 tysięcy biletów. W Nowej Zelandii, skąd wystawa pochodzi, obejrzało ją 261 tysięcy osób. Przypomnijmy, że dużą większość scen plenerowych o Władcy nakręcono właśnie w Nowej Zelandii, która uczyniła z super-produkcji swego rodzaju wizytówkę kraju. W następnej kolejności zbiory zostaną pokazane w Singapurze, Bostonie i Sydney. Wielka szkoda, że niestety nie u nas...



Fantastyczne tatuaże

Według przeprowadzonych w Kaliforni badań 86 procent kobiet w wieku od 16 do 35 lat nie ma nic przeciwko tatuowaniu ciała, choć niektóre zastrzegały, że powinien to być tatuaż usuwalny. Aż 71 procent badanych przyznało, że najbardziej pociągają je motywy związane z fantastyką czy mistyką: stworzenia takie jak smoki, latające węże, anioły, diabły, demony lub też magiczne albo religijne symbole.

Nolan i Exec

Brytyjski filmowiec Christopher Nolan, znany z filmów „Memento", „Bezsenność" i z prac nad najnowszą częścią „Batmana", podpisał umowę, na mocy której będzie reżyserował filmową adaptację kultowego komiksu „The Exec". Produkcją zajmie się wytwórnia Warner Brothers. Film zapowiada się na przedsięwzięcie rodzinne klanu Nolanów – brat reżysera, Jonathan, napisze scenariusz, a żona – Emma Thomas, zostanie producentem. A mówią, że nepotyzm to nasza specjalność! Akcja komiksu toczy się w bliskiej przyszłości, gdy od rządów ważniejsze są korporacje toczące ze sobą wojny handlowe. Film ma mieć spory budżet, zdecydowanie większy od „Memento".



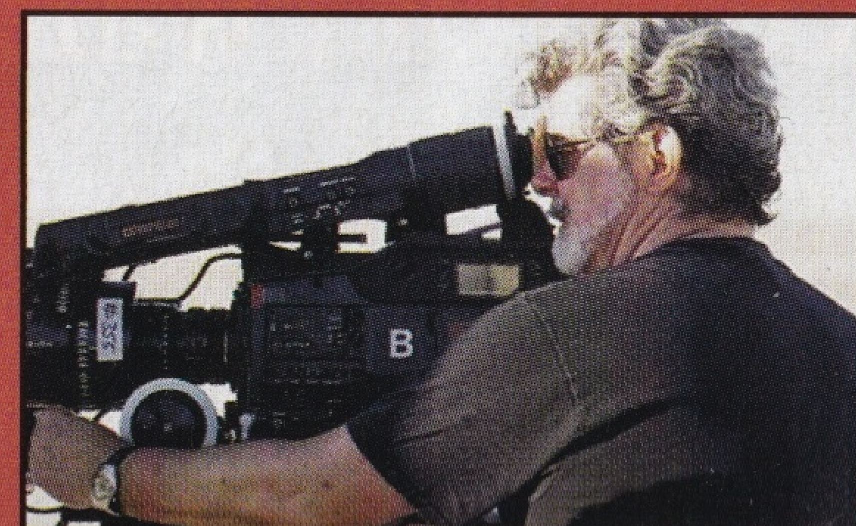
Spielberg i Akhnaten



Steven Spielberg może zdecydować się na wyprodukowanie lub wyreżyserowanie filmu będącego adaptacją popularnej w krajach anglosaskich książki „Akhnaten Adventure" autorstwa Philipa Kerra. Firma DreamWorks, której Spielberg jest wspólnikiem, stara się właśnie o zakup praw pozwalających sfilmować pierwszą książkę z serii. „Akhnaten" opowiada o perypetiach bliźniaków z Nowego Jorku, którym spore kłopoty sprawiają zęby mądrości – dzięki nim zostali obdarzeni niespotykanymi zdolnościami... Co gorsza, jedyną osobą, która zdaje się rozumieć, o co w tym wszystkim chodzi, jest wujek Nimrod, przekonany, że jego siostrzeńcy są tak naprawdę dżinami... Nieco to pokręcone, ale po zekranizowaniu „Raportu Mniejszości" wiadomo, że nie z takimi zadaniami Spielberg daje sobie radę...

Oscar F/X dla Lucasa

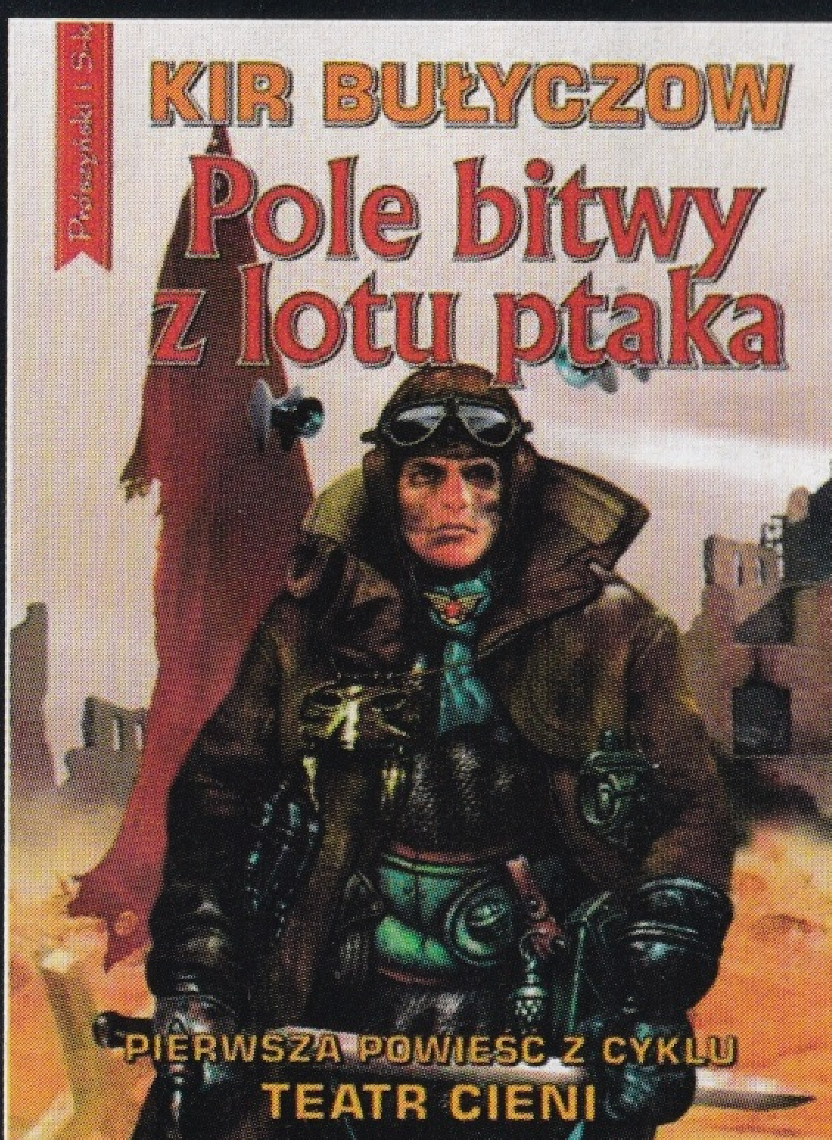
George Lucas otrzyma w tym roku nagrodę za osiągnięcia w dziedzinie efektów specjalnych, przyznaną przez Visual Effects Society. Nagroda ta ma być, w zamierzeniach twórców, odpowiednikiem Oskara dla twórców F/X. Za przyznaniem nagrody Lucasowi głosowało 850 członków. Uznano w ten sposób jego wkład w rozwój tej dziedziny sztuki filmowej, widoczny w filmach „Gwiezdne Wojny", „Indiana Jones" czy „Willow". Swoją drogą, skoro dostaje się już nagrody za całokształt, najwidoczniej czas umierać, panie Lucas ;-)





Wonderwoman na ekranie

W Hollywood krążą plotki, że scenariusz do „Wonder Woman", czyli kolejnej amerykańskiej komiksowej bajeczki o postaci ubranej w przyciasny trykot, pisze Laeta Kalogridis. Autorka znana była dotychczas raczej ze scenariuszy telewizyjnych. Producentami filmu ma być studio Warner Brothers i panowie Joel Silver oraz Leonard Goldberg. Data rozpoczęcia realizacji nie jest jeszcze znana. Wiadomo jednak, że fabuła ma opowiadać o początkach kariery superbohaterki, choć akcja zostanie przeniesiona w czasy nam współczesne.



Umarł Kirył Bułyczow

Piątego września umarł jeden z najbardziej znanych autorów science-fiction, Kirył Bułyczow, a właściwie Igor Wsiewołodowicz Możejko. Miał 68 lat. Polskim czytelnikom znany jest przede wszystkim z doskonałego cyklu humorystycznych opowiadań, których akcja toczy się w miasteczku Wielki Guslar. Ich bohaterem jest Korneliusz Udałow, bezustannie zmagający się z jakimiś zjawiskami nadprzyrodzonymi, a to z najazdem kosmitów, a to z wynikami eksperymentów naukowych swych kolegów: niezwykle uzdolnionego akademika Minca i amatora-geniusza Saszy Grubina.

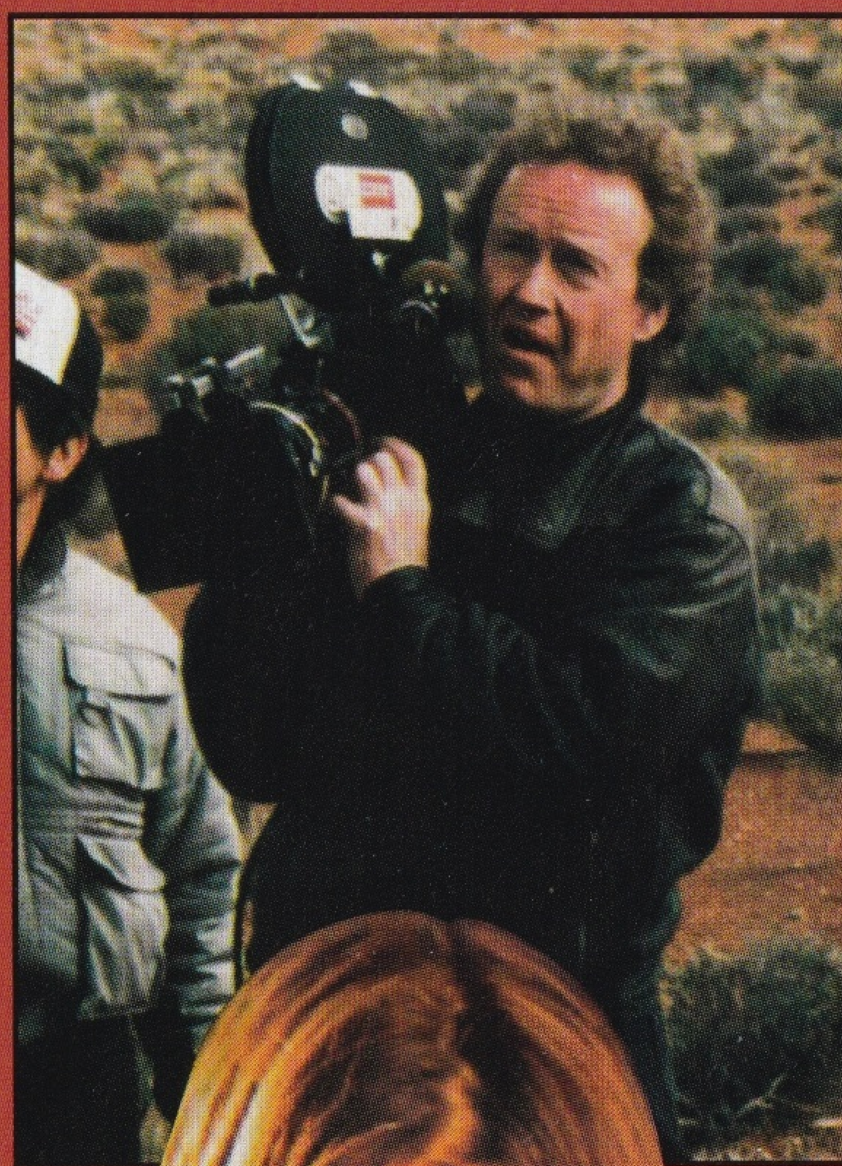


Król Tłumów

Kilkadziesiąt tysięcy statystów przewinęło się przez plan filmowy „Powrotu króla" – trzeciej części trylogii „Władca Pierścieni" Petera Jacksona. Zmusiło to producentów do podpisania umowy z specjalnie przeszkolonym oddziałem ochroniarzy, który chronił aktorów przed wyjątkowo napastliwymi fanami. Mimo to Elijah Wood, Orlando Bloom i Viggo Mortensen stracili swoje stroje, które nieznani osobnicy wzięli sobie na pamiątkę. Tymczasem w Wielkiej Brytanii grupa bogobojnych miłośników Tolkiena wykazała się niecodziennym refleksem i złożyła oficjalny protest przeciwko obsadzeniu homoseksualisty Iana Holma w roli Gandalfa.

Dla przypomnienia, trzecia część trylogii pojawi się w polskich kinach w Nowy Rok.

Obcy 5 tylko z Ridleyem Scottem



Ridley Scott wypowiedział się ostatnio na temat licznych plotek związanych z realizacją piątego filmu z cyklu „Obcy". Oświadczył, że w sprawie nakręcenia kolejnej części spotkała się z nim Sigourney Weaver, odtwórczyni roli Ripley, a także przedstawiciele wytwórni Fox. Według Scotta zarówno aktorka, jak i producenci zamierzają zrealizować kolejną część jedynie wtedy, gdy za kamerą stanie twórca pierwszego „Obcego". Scott twierdzi, że nie ma na razie żadnego pomysłu na kolejny film – w zasadzie widzi możliwość odpowiedzenia jedynie na pytanie, skąd wziął się Obcy, czyli powrotu na planetę, na której go znaleziono. Jak sam zastrzega, dotychczasowe rozważania kierują go w stronę filmu bliższego nastrojem „Wojnie światów", niż „Obcy – ósmy pasażer Nostromo".

Będzie jak będzie, warto jednak przypomnieć, że już za niecały miesiąc, bo 14 listopada, na ekrany polskich kin wejdzie reżyserska wersja tego ostatniego filmu. Obraz został ponownie zmontowany, zawiera sceny, których nie pokazywano wcześniej w kinie, choć część z nich znają posiadacze kolekcjonerskiej edycji DVD, wydanej przed kilkoma laty.



Biel ćwiczy muskuły

Aktorka Jessica Biel w trzeciej części wampirzego cyklu „Blade" zagra rolę córki łowcy krwiopijców Whistlera (w którego wcieli się ponownie Kris Kroistofferson). Biel żaliła się ostatnio, że coraz więcej czasu musi poświęcać na ćwiczenia fizyczne. Jej postać w filmie jest mistrzynią łuku, doskonale boksuje i zna sztuki walki. Wszystko to sprawia, że aktorka również musi się nieco pogimnastykować. Jak widać, nie wszystko jeszcze można załatwić magią cyfrowych efektów.

A tak na marginesie, panią Biel będziemy mogli wkrótce zobaczyć na ekranach kin w remake'u horroru „Teksańska masakra piłą mechaniczną". Nowa wersja weszła właśnie na ekrany amerykańskich kin.

■ Artur Marciniak, zdj.: archiwum Wyd. Bauer

Totalna magia telewizji



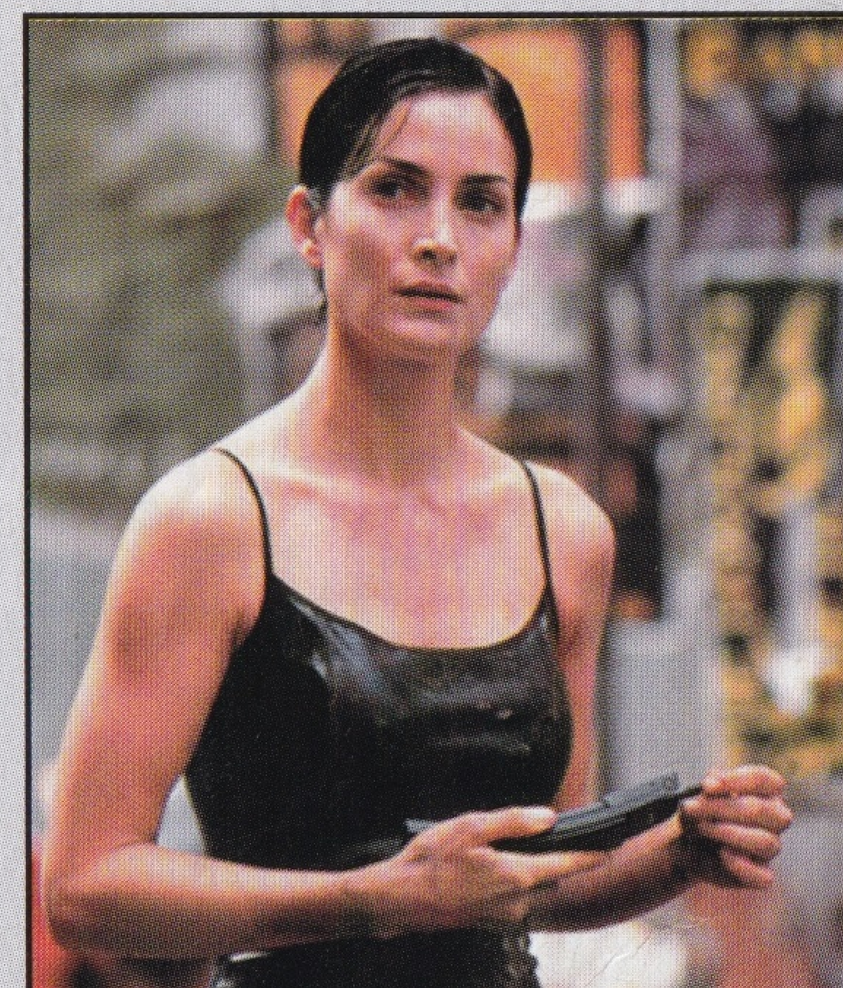
Sieć CBS i studio Warner Brothers TV pracują nad realizacją serialu telewizyjnego, którego akcja kontynuowałaby wątki filmu fabularnego „Totalna Magia" z Sandrą Bullock i Nicole Kidman z roku 1998. W przedsięwzięciu bierze udział sama Bullock, której firma – Fortis Films – będzie zajmowała się produkcją. Podobnie jak film, serial opowie o życiu dwóch sióstr, które posiadają magiczne zdolności.

Superman powraca?



Hollywoodzkie ptaszki ćwierkają, że możliwe jest szybkie rozpoczęcie realizacji nowego filmu opowiadającego o wyczynach Supermana. Obraz miałby być realizowany w australijskich studiach wytwórni Fox już pod koniec tego roku.

Macierz w 3D



Wytwórnia Warner Brothers podała, że trzecia i ostatnia (co niektórych cieszy, a innych martwi) część trylogii „Matrix" wejdzie jednocześnie na ekrany tradycyjnych kin oraz do kin systemu IMAX. Równoczesna premiera światowa będzie miała miejsce 5 listopada. Według przedstawicieli wytwórni, premiera odbędzie się tego samego dnia w ponad 50 krajach świata – od Tokio, poprzez Moskwę, do Londynu, Nowego Jorku i Los Angeles. W Warszawie również...

Gotycka strona

Jeśli z zainteresowaniem śledzicie wiadomości na temat filmu „Gothika" z udziałem Halle Berry, zerknijcie na tę stronę: http://gothikamovie.warnerbros.com/. Jest to nowa oficjalna strona filmu, który w amerykańskich kinach pojawi się pod koniec listopada.

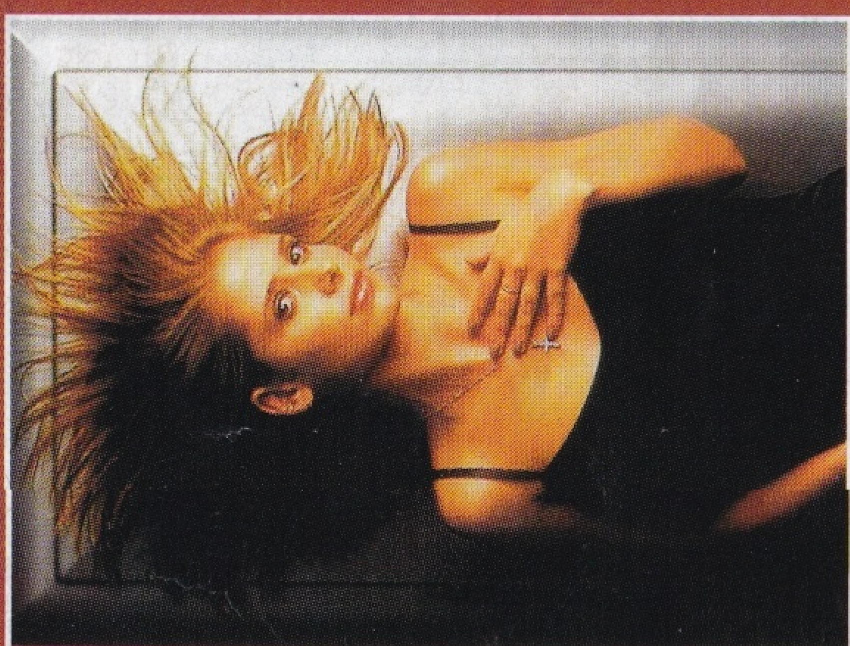




Słynni pogromcy wampirów


Czarnoskóry Blade jest wampirem, ale swoich pobratymców dzielnie zwalcza


Profesor van Helsing to protoplasta wszystkich wampirzych pogromców


Buffy Summers to najpiękniejszy i najbardziej znany morderca wampirów


Polański – asystent profesora wampirologii – oryginalnie użył Biblii


Pan Pride prowadził w TV show o walce z wampirami. A te zjawiły się naprawdę


Dobrze zaostrzony kołek jest argumentem uniwersalnym oraz ostatecznym w dyskusji z wampirami

Wampiry są zwykle przystojniakami, które ciągną do pięknych pań jak pszczoły do miodu. Ale jak widać na zdjęciu po prawej, i tu trafiają się godni pożałowania odstępcy

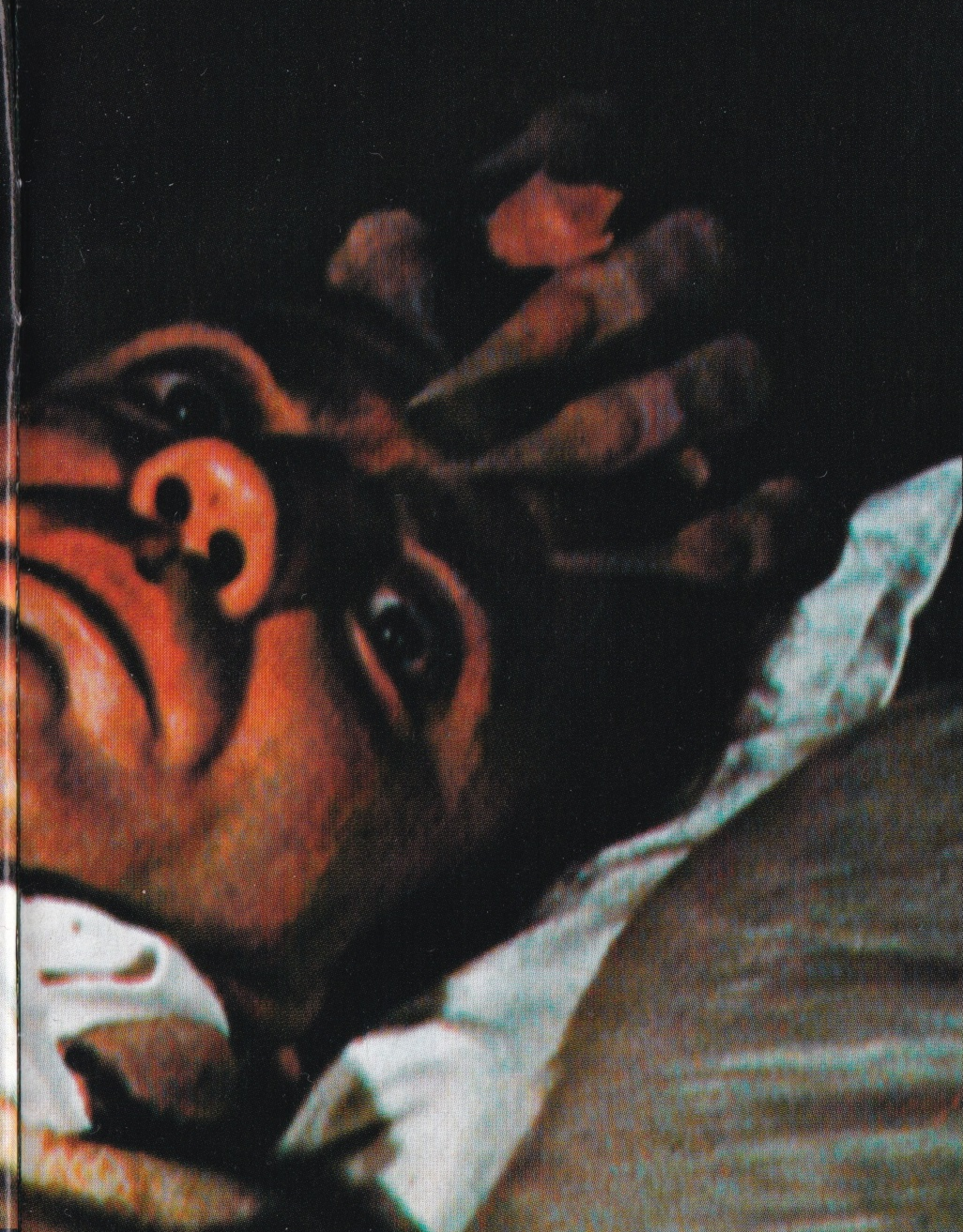
ZABÓJCY

Wampiry mają zwykle mocno rozbudowane poczucie własnej wartości i uważają się za niesamowitych przystojniaków. Niestety, smutna rzeczywistość nader często obnaża słabość tej teorii. Jeśli można jeszcze uznać, że Leslie Nielsen w filmie „Dracula – wampiry bez zębów" (1995) wygląda całkiem sympatycznie, to już Gary'ego Oldmana („Dracula" 1992) raczej nikt nie zaprosiłby na kolację. Zwłaszcza jeśli kolacja miałaby wyglądać tak jak posiłek prezentowanego powyżej „przystojniaka" z wampirzej zgrai (Klaus Kinsky w „Nosferatu Wampir" z 1978). Jeszcze gorzej, kiedy zaproszonych na kolację jest zbyt wielu, gdyż postanowili ściągnąć na nią nawet swoich dalekich kuzynów („Łowcy wampirów" 1998).

Powszechnie znane jest zamiłowanie wampirów do pięknych kobiet. Zwykle traktują je jako wyszukane cele konsumpcyjne („Wywiad z wampirem" 1992) lub element zabawy w „kotka i myszkę". Zdecydowany na wszystko wampir gotów jest nawet czekać na wymarzoną ofiarę, przyklejając się do sufitu! („Łowcy wampirów" 1998). Jednak czasem wampir może zapałać do kobiety prawdziwą i szczerą miłością, co nadal nie przeszkadza mu zresztą marzyć o podgryzieniu jej żył („Dracula" 1992). Ba, zdarzają się potwory tak bezczelne, że swego wampiryzmu nie wstydzą się okazywać publicznie, wprowadzając w dodatku mocne elementy seksualnej perwersji („Wywiad z wampirem" 1994). Jeszcze inni przedstawiciele rasy krwiopijców preferują spotkania z młodymi, blondwłosymi chłopcami („Wampirek" 2000).

Niekiedy kobiety z ofiar wampiryzmu przemieniają się w wyznawczynie tego kultu. Bohater serii filmów „Noc strachu" (1985, 1988) miał sporego pecha, gdyż jego matka, dziewczyna oraz koleżanka stały się hmm, hmm, przystojne inaczej... Musimy jednak przyznać, że romantyczna randka z wampirzycą może pozostawić niezapomniane wrażenia. Bo czyż kąpiel w jednej wannie z Aaliyah („Królowa potępionych" 2003) czy łóżkowe zmagania z Monicą Bellucci i jej koleżankami („Dracula" 1992) nie są warte kilku kropelek krwi?

Kiedy wampiry zbytnio już nam doskwierają, należy zastosować wobec nich radykalne metody, tak aby udały się wreszcie na wieczny spoczynek. Generalnie najszybciej można poradzić sobie z wampirem, zapraszając go na wspólne podziwianie wschodu słońca („Nosferatu – Symfonia Grozy" 1921 i wiele innych). Jeśli jednak krwiopijca nie daje się zaciągnąć do okna, trzeba spróbować innych metod. Najbardziej znaną jest ukazanie wampirowi krucyfiksu, a nawet przyłożenie go do wampirzego ciała, co wywołuje zwykle gwałtowne protesty tak potraktowanego stwora. W sytuacji absolutnego kryzysu można wampirowi włożyć Biblię między wystające kły („Nieustraszeni zabójcy wampirów" 1968).

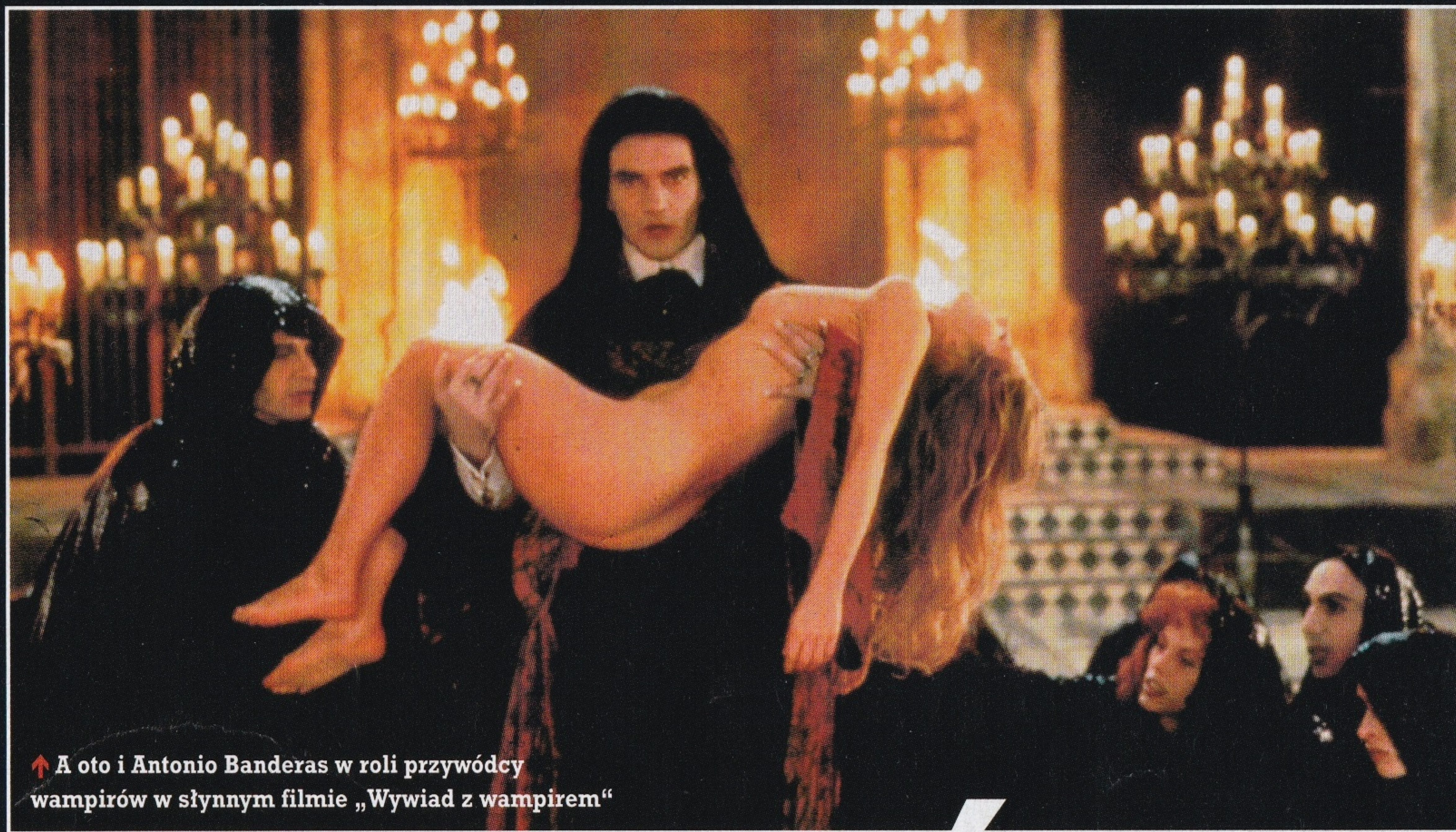




Ta piękność aż prosi się o słodkie pocałunki... Może mimo strasznego wyglądu ma dobre serduszko?



Kto powiedział, że miłość jest łatwa, prosta oraz przyjemna? Tej pani aż świecą się oczy z pożądania :)



A oto i Antonio Banderas w roli przywódcy wampirów w słynnym filmie „Wywiad z wampirem"

WAMPIRÓW

Wampiry jako stworzenia delikatne, o wręcz dziewczęcej psychice, nigdy nie przepadały za tym, by nieznajomy człowiek niespodziewanie i brutalnie przebijał je kołkiem. Właśnie dlatego zabójcy wampirów stosowali ten środek nagminnie, z wyjątkową złośliwością mordując stworzenia nocy na skalę przemysłową („Buffy – zabójca wampirów"). Czasami nawet dla ułatwienia sobie pracy wystrzeliwali kołek za pomocą kuszy.

W ostatnich latach amatorskie metody walki z ostrozębnymi (starzy profesorowie oraz ich nieudolni asystenci okazali się nieefektywnymi zabójcami) zostały zastąpione przez metody w pełni profesjonalne. Do życia powołano uzbrojone od stóp do głów wyspecjalizowane grupy szturmowe („Łowcy wampirów" 1998, „Blade" 1998), wyposażone w nowoczesny sprzęt oraz morderczą siłę ognia. Jajogłowi amatorzy, mole książkowe i nastolatki zastąpieni zostali przez profesjonalnych zabójców, którzy w dodatku spenetrowali hermetyczne wampirze środowisko (a zdarza się, że sami są przynajmniej w części wampirami jak Blade czy Angel). Nawet jeśli w gronie zabójców wampirów pojawiają się młode, śliczne dziewczęta („Buffy"), to ich młodość oraz uroda są tylko zasłoną dymną, gdyż w rzeczywistości są one perfekcyjnie wyszkolonymi maszynami do zabijania.

■ Jacek Piekara, zdj. archiwum wyd. Bauer

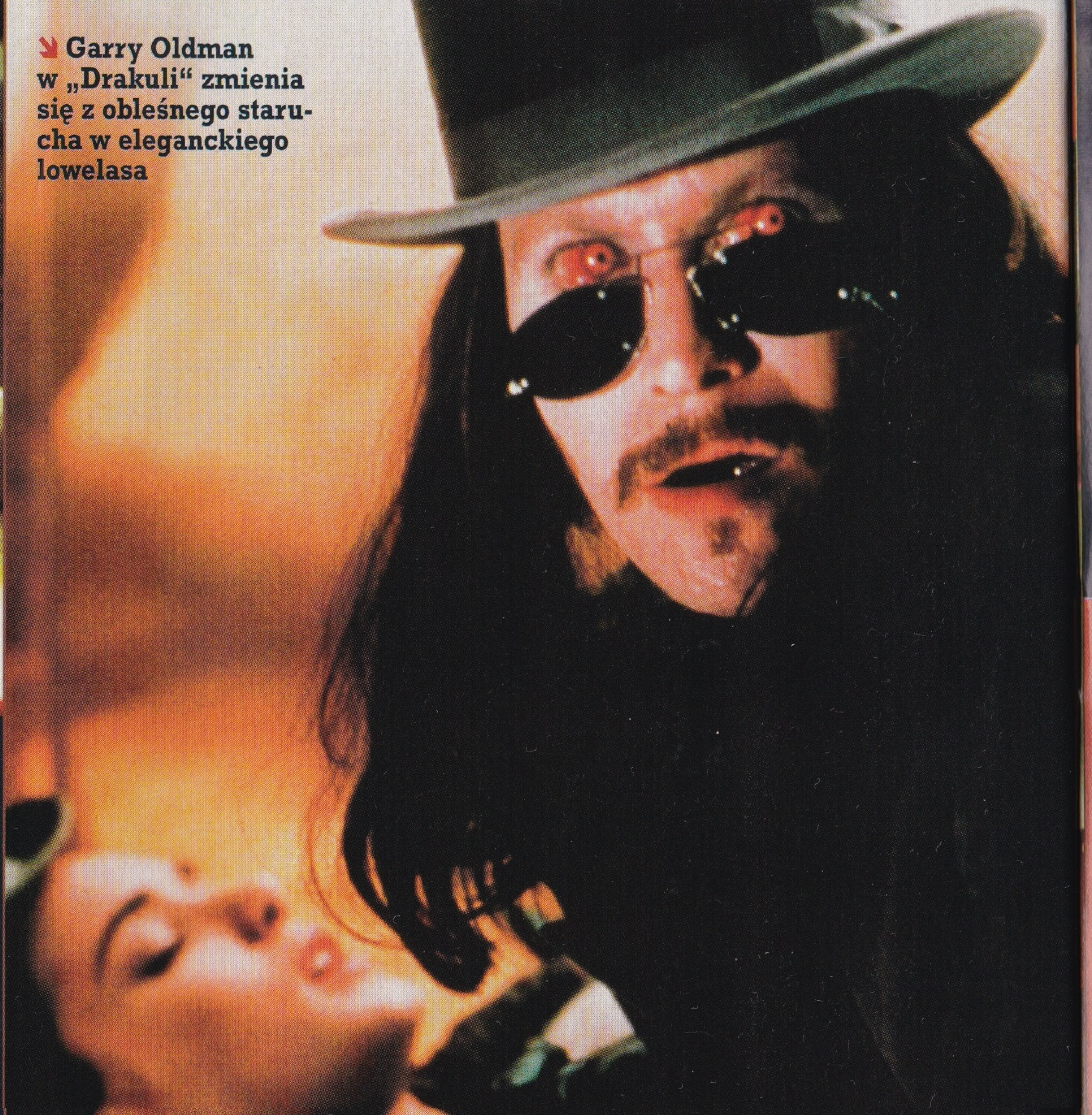


Dobrze przygotowani zabójcy wampirów nie przypominają już stetryczałych profesorków...



Spragniony wampir potrafi nawet wleźć na sufit, aby tylko dobrać się do cukiereczka





Garry Oldman w „Drakuli" zmienia się z obleśnego starucha w eleganckiego lowelasa

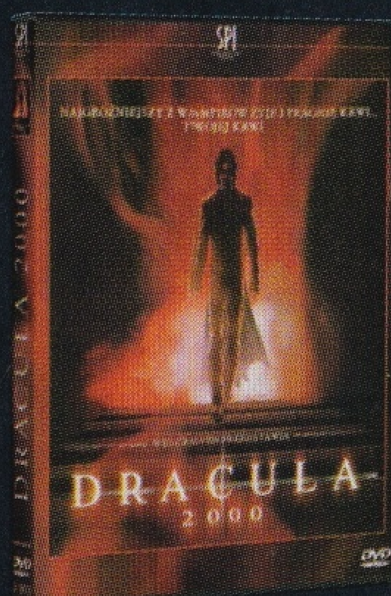
Co może obejrzeć w domu pasjonat horrorów, zainteresowany tematyką wampiryzmu? Mamy nadzieję, że ten krótki przewodnik pozwoli ci zorientować się w całkiem bogatej ofercie rynkowej. Wszystkie prezentowane poniżej filmy (oprócz „Miasteczka Salem" oraz „Nieustraszonych zabójców wampirów") są dostępne w formacie DVD.

Wampiry z Hollywood DOLAROPIJCY

Dracula 2000

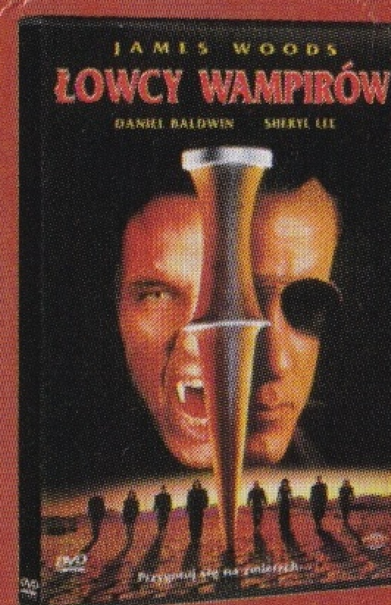
Tytuł oryginalny: Dracula 2000
Reżyseria: Wes Craven
Występują: Christopher Plummer, Johnny Lee Miller
brutalność: ●●●●●
ocena: ●●●○○

Wes Craven to człowiek-legenda. Twórca „Koszmaru z Ulicy Wiązów" oraz „Krzyku" na stałe wpisał się do historii kina jako twórca kultowych horrorów oraz thrillerów. A pod zdumiewająco kiepskim i pretensjonalnym tytułem „Dracula 2000" kryje się całkiem niezła opowieść. Oto poznajemy człowieka, który podaje się za wnuka łowcy wampirów – profesora van Helsinga. Jest bogatym antykwariuszem, a ciekawość złodziei budzi jego niezwykły sejf. Jaka tajemnica kryje się za przemyślnymi instalacjami ochronnymi i co wyniknie z chytrze przeprowadzonego napadu rabunkowego zobaczysz, oglądając ten film. Nie będę, rzecz jasna, zdradzał puenty, ale radzę zwrócić uwagę na jeden aspekt. Wes Craven wyjaśnia, skąd się wziął pierwszy wampir na świecie i jest to wyjaśnienie ciekawe i odważne.



Łowcy wampirów

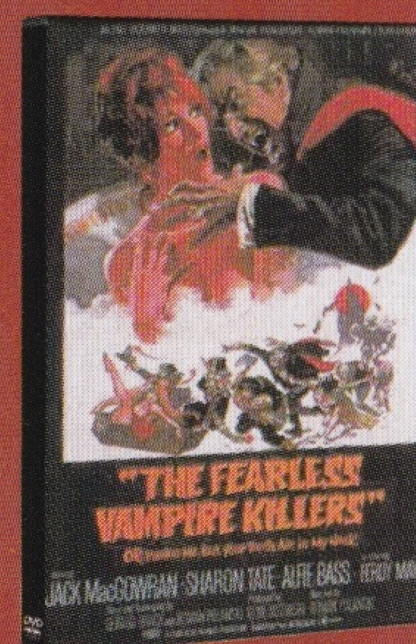
Nie ma to jak profesjonalizm. Nie jakiś tam profesorek, płączący się z krzyżem w ręku i butelką wody święconej albo banda nastolatków z kołkami w dłoniach. W filmie Johna Carpentera likwidowaniem wampiryzmu zajmują się zawodowcy. Solidnie wyekwipowane i świetnie przygotowane kommando, które na zlecenie Watykanu przemierza Stany Zjednoczone, niszcząc miejsca, w których zalęgają się stwory nocy. Co się jednak stanie, kiedy spotkają ojca wszystkich wampirów? Film generalnie nie najwyższych lotów, ale kilka scen zasługuje na uznanie. Solidne kino klasy B bez aspiracji do nieśmiertelności.



Tytuł oryg.: John Carpenter's Vampire
Reżyseria: John Carpenter
Występują: James Woods, Daniel Baldwin, Sheryl Lee
brutalność: ●●●●●
ocena: ●●○○○

Nieustraszeni pogromcy wampirów

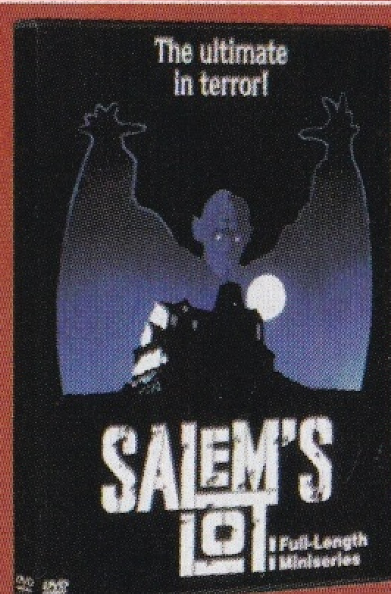
Roman Polański, tworząc ten obraz, był dopiero na początku swej wielkiej kariery, a sam film przeżywał spore kłopoty (ingerencje producentów, zmiany tytułu, wycofywanie się amerykańskich dystrybutorów z rozpowszechniania). Oczywiście dzisiaj „Nieustraszeni pogromcy wampirów" – film mający niemal 40 lat – trącą już z lekka myszką, ale zaręczam: ogląda się to świetnie. Opisując „The Fright Night" (obok), zaznaczam, jak ciężko stworzyć dobry komediohorror. A Polańskiemu sztuka ta się udała. Film opowiada o perypetiach profesora wampirologii i jego asystenta, którzy muszą poradzić sobie z terroryzującym okoliczną ludność bogatym feudałem, który jest nikim innym, jak wampirem. Dziś uwagę zwraca przede wszystkim zabawna rola Romana Polańskiego w roli niezbyt rozgarniętego asystenta profesora wampirologii.



Tytuł oryg.: The Fearless Vampire Killers
Reżyseria: Roman Polański
Występują: Jack MacGowran, Roman Polański, Sharon Tate
brutalność: ●○○○○
ocena: ●●●●○

Miasteczko Salem

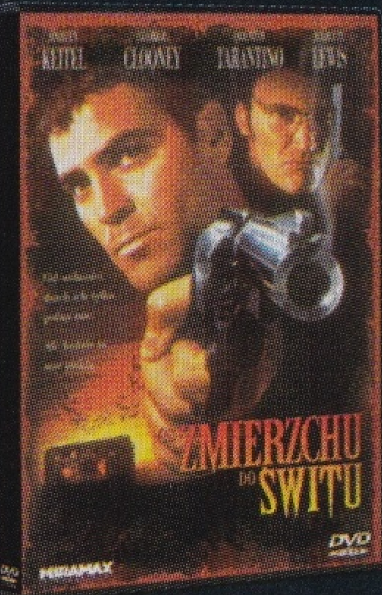
Ekranizacje prozy Stephena Kinga mają różną wartość. Ale „Miasteczko Salem" należy akurat do produkcji całkiem udanych. Oto do małej miejscowości przybywa nowy właściciel tajemniczego domu. Nie minie wiele czasu, a w okolicy zaczną się dziać rzeczy niepokojące (np. zaginięcia dzieci) oraz pełne grozy (martwe dzieci stukają do okienek i proszą, aby je wpuścić). Za wampira oraz jego pomocników zabiera się znany pisarz, który właśnie powrócił do miasta swego dzieciństwa. Opowieść jest zrealizowana naprawdę świetnie, a zakończenie może nie pozostawia widza w osłupieniu, ale na pewno nie można go nazwać sztampowym. Uwaga na kontynuację („Return to Salem") – to bardzo słaby film.



Tytuł oryginalny: Salem's Lot
Reżyseria: Tobe Hooper
Występują: David Soul, James Mason
brutalność: ●●○○○
ocena: ●●●○○

Od zmierzchu do świtu

Autorem scenariusza został Quentin Tarantino i jego nazwisko jest gwarancją, że obraz będzie brutalny, dowcipny i z kapitalnymi zwrotami akcji. No i faktycznie wszystkie te elementy w nim się znajdują. Film zaczyna się jak kryminalno-sensacyjny thriller, ale potem nagle (a nawet NAGLE!) zamienia się w klasyczny horror (niestroniący od nut parodiujących ten gatunek). Do historii kina przeszedł



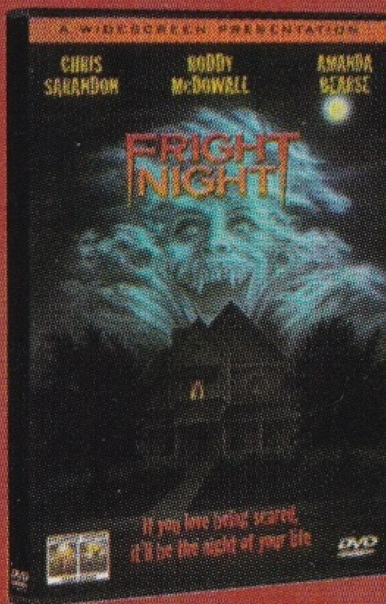
erotyczny taniec Salmy Hayek na knajpianym stole i scena, w której Tarantino (tym razem w roli psychopatycznego mordercy, do której pasuje wręcz rewelacyjnie) spija alkohol z jej nogi. Ponoć zresztą Quentin specjalnie napisał tę scenę, aby móc posmakować pięknej panny Hayek. Nawiasem mówiąc, hollywoodzka kariera Hiszpanki po tym filmie zaczęła się znacznie szybciej rozwijać, mimo że scenka, w której występuje, jest króciutka. Jednak sceptycy (do których niżej podpisany się zalicza) uważnie obserwując taniec Salmy, zauważyli, że aktorka ma wielki tyłek i króciutkie, tłuściutkie nóżki. Jak kaczorek. I to ma być symbol seksu?

Tytuł oryginalny: From Dusk Till Dawn
Reżyseria: Robert Rodriguez
Występują: Harvey Keitel, George Clooney, Quentin Tarantino, Salma Hayek
brutalność: ●●●●●
ocena: ●●●○○

Noc grozy

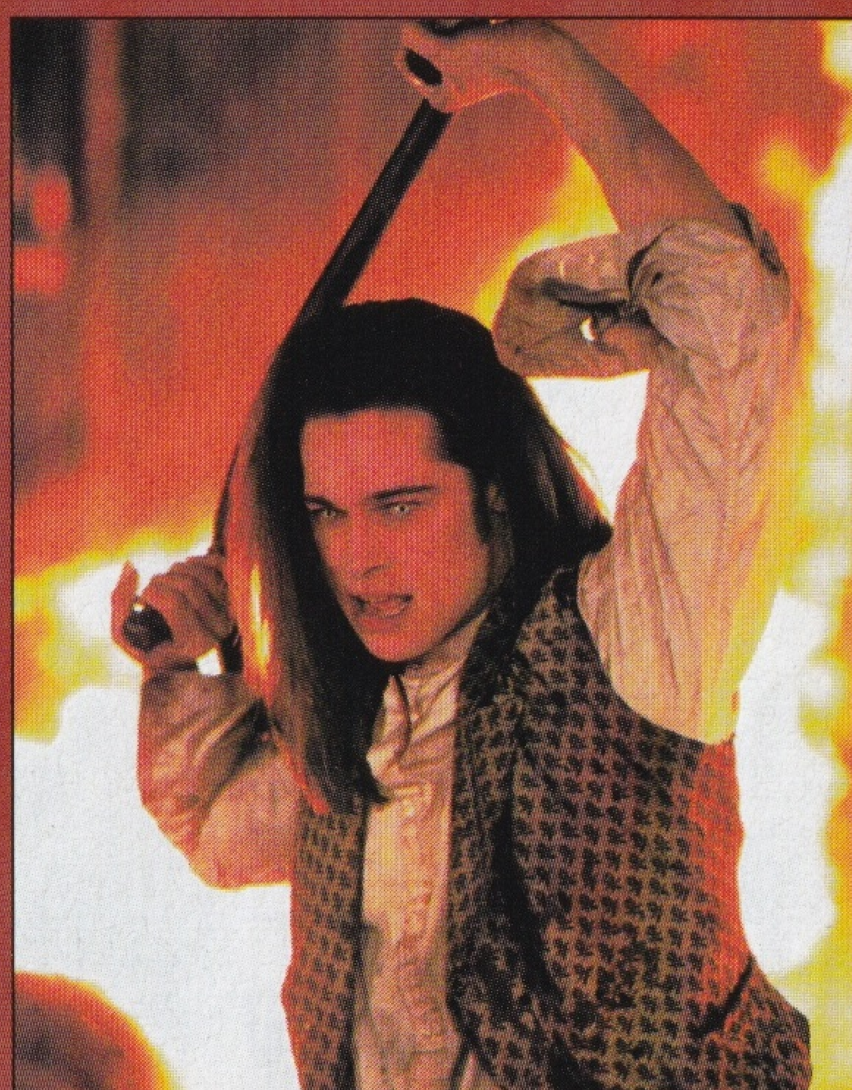
Tytuł oryginalny: The Fright Night
Reżyseria: Tom Holland
Występują: Chris Sarandon, Roddy McDowall, Amanda Bearse
brutalność: ●●○○○
ocena: ●●●●○

Zrealizować dobry komediohorror to sztuka, która udaje się tylko niewielu artystom. Tymczasem Tom Holland pokazał, że film o wampirach może być zarówno zabawny, jak i straszny oraz pasjonujący. Bohaterem tej historii jest nastolatek, który odkrywa, że jego sąsiadem jest autentyczny wampir, mordujący piękne kobiety. Oczywiście nikt nie chce mu wierzyć, a jego podejrzenia wszyscy biorą za młodzieńcze histerie. Pomocy szuka więc u starszego pana, który od wielu lat prowadzi telewizyjny show opowiadający o walce z wampirami. W cztery lata po premierze, w roku 1989, pojawiła się w kinach druga część filmu, ale okazała się handlową katastrofą.





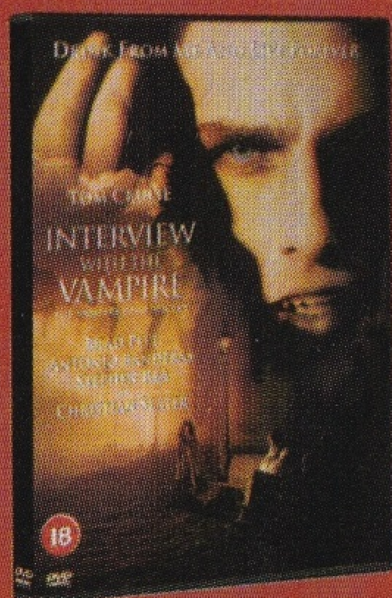
Tekst: Andrzej Zaremba; Zdjęcia: archiwum Wyd. Bauer



Wywiad z wampirem

Tytuł oryginalny: Interview with the vampire
Reżyseria: Neil Jordan
Występują: Bradd Pitt, Tom Cruise, Antonio Banderas, Christian Slater
brutalność: ●●●○○
ocena: ●●●●●

Do realizacji ekranizacji bestsellerowej książki amerykańskiej pisarki Ann Rice zaproszono megagwiazdorską obsadę. I przygotowano spektakl imponujący pod każdym względem. Kapitalna scenografia, rewelacyjna atmosfera, świetna gra aktorska, fascynująca fabuła. W dodatku film jest mądry (jeśli w ogóle obraz poruszający temat wampiryzmu może być mądry) oraz poruszający.

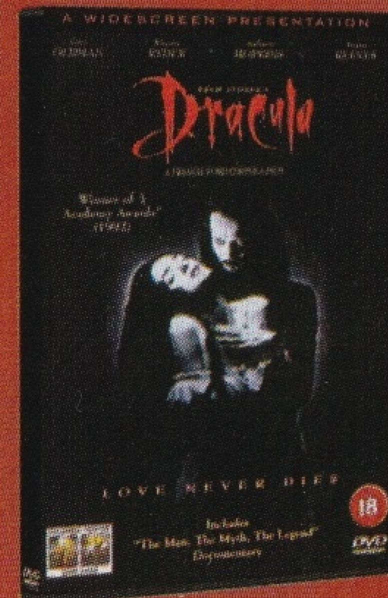


Dracula

Tytuł oryginalny: Dracula
Reżyseria: Francis Ford Coppola
Występują: Anthony Hopkins, Gary Oldman, Winona Rider, Keanu Reeves
brutalność: ●●●○○
ocena: ●●●●●

To w miarę wierna ekranizacja kultowej powieści Brama Stokera, do której zaproszono gwiazdy z pierwszej ligi Hollywood, a reżyserii podjął się reżyser-legenda. I co się okazało? Ano okazało się, że wielkie nazwiska bronią się znakomicie. „Dracula" jest filmem, o którym można mówić tylko w samych superlatywach. Cudowna muzyka, niezwykły artyzm operatora i wysmakowana scenografia budują niepowtarzalny nastrój. Film został doceniony przez amerykańską Akademię otrzymując trzy Oscary.

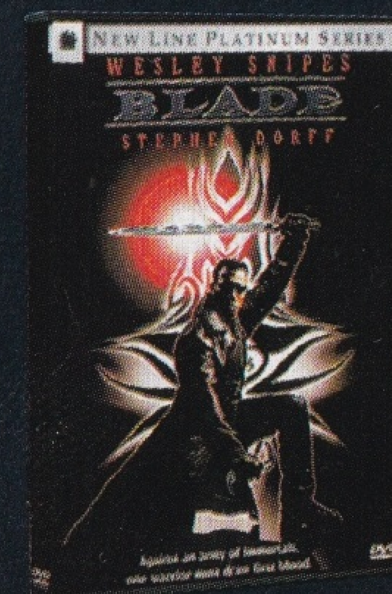
Akcja „Draculi" toczy się w XIX wieku, gdy rumuński książę-wampir postanawia przybyć do Londynu, aby upomnieć się o pewną kobietę. Film opowiada o nieszczęśliwej miłości i przekleństwie, którego nie pokona nawet śmierć.





Blade: wieczny łowca

W kategorii najgłupszych filmów, jakie zdarzyło mi się oglądać, „Blade" zajmuje bardzo wysokie miejsce. Historia czarnoskórego bambra-wampira walczącego ze swymi pobratymcami oferuje widzowi marne sceny walki, zupełnie nieśmieszny, a miejscami wręcz żenujący humor i głupiutki scenariusz. Ostatnim gwoździem do trumny jest fakt, że główny bohater nazywany jest w polskiej wersji językowej Dziennym Markiem (ponieważ nie boi się światła słonecznego). Megaporażka!



Tytuł oryginalny: Blade
Reżyseria: Stephen Norrington
Występują: Wesley Snipes, Kris Kristofferson
brutalność: ●●●○○
ocena: ○○○○○

PLOTKI

W „Wywiadzie z wampirem" rolę dziennikarza miał zagrać River Phoenix, a potem Leonardo di Caprio. Christian Slater zdobył kontrakt w ostatniej chwili. Rolę wampira Lestata autorka Ann Rice pisała z myślą o Rutgerze Hauerze. Była bardzo rozczarowana, kiedy otrzymał ją Tom Cruise (wcześniej producentom odmówił Johnny Depp).

Tom Cruise znowu otrzymał propozycję zagrania wampira Lestata w „Królowej potępionych", ale tym razem odmówił. Główną bohaterkę grała młoda piosenkarka Aaliyah, która zginęła w wypadku samolotowym zaraz po nakręceniu zdjęć do filmu.



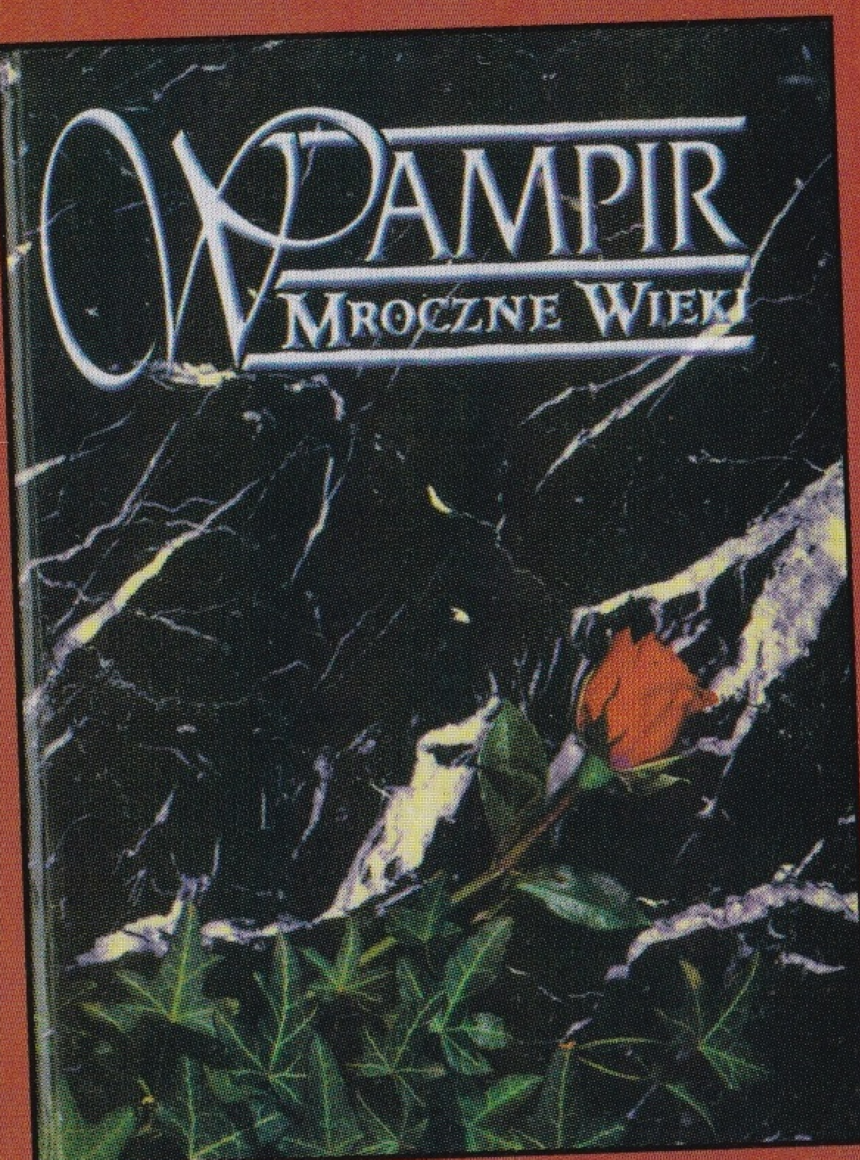
„Dracula" uratował przed bankructwem firmę Zoetrope należącą do Francisa Forda Coppoli. Reżyser przez ostatnie trzy lata poniósł straty sięgające 27 milionów dolarów i dopiero sukces „Draculi" wydobył go z finansowej opresji.

W czasie montażu „Nieustraszonych zabójców wampirów" producenci zaalarmowali Polańskiego, że w scenie w wannie „pod nosem Sharon Tate wyrósł mały wąsik". Wkurzony reżyser odpisał: „pragnę was poinformować, że o wiele tragiczniejszy jest fakt, że Sharon Tate wyrósł również ogromny kutas".

WAMPIRY I DUŻA KASA

- **„Blade II" – 55 mln USD (przychód ponad 150 mln USD)**
- **„Wywiad z wampirem" – 50 mln USD (przychód 221 mln USD plus 45 mln USD z wypożyczeń)**
- **„Blade" – 45 mln USD (przychód 112 mln USD plus 29 mln USD z wypożyczeń)**
- **„Dracula" – 40 mln USD (przychód 192 mln USD plus 47 mln USD z wypożyczeń)**
- **„Królowa potępionych" – 35 mln USD (przychód 30 mln USD tylko w USA)**
- **„Dracula 2000" – 28 mln USD (przychód 33 mln USD tylko w USA)**
- **„Od zmierzchu do świtu" – 20 mln USD (przychód 60 mln USD plus 20 mln USD z wypożyczeń)**
- **„Łowcy wampirów" – 20 mln USD (przychód 21,5 mln USD tylko w USA)**
- **„Fright Night" – 9 mln USD (przychód 25 mln USD tylko w USA)**

* wszystkie dane na podstawie internetowego magazynu filmowego IMDB.COM

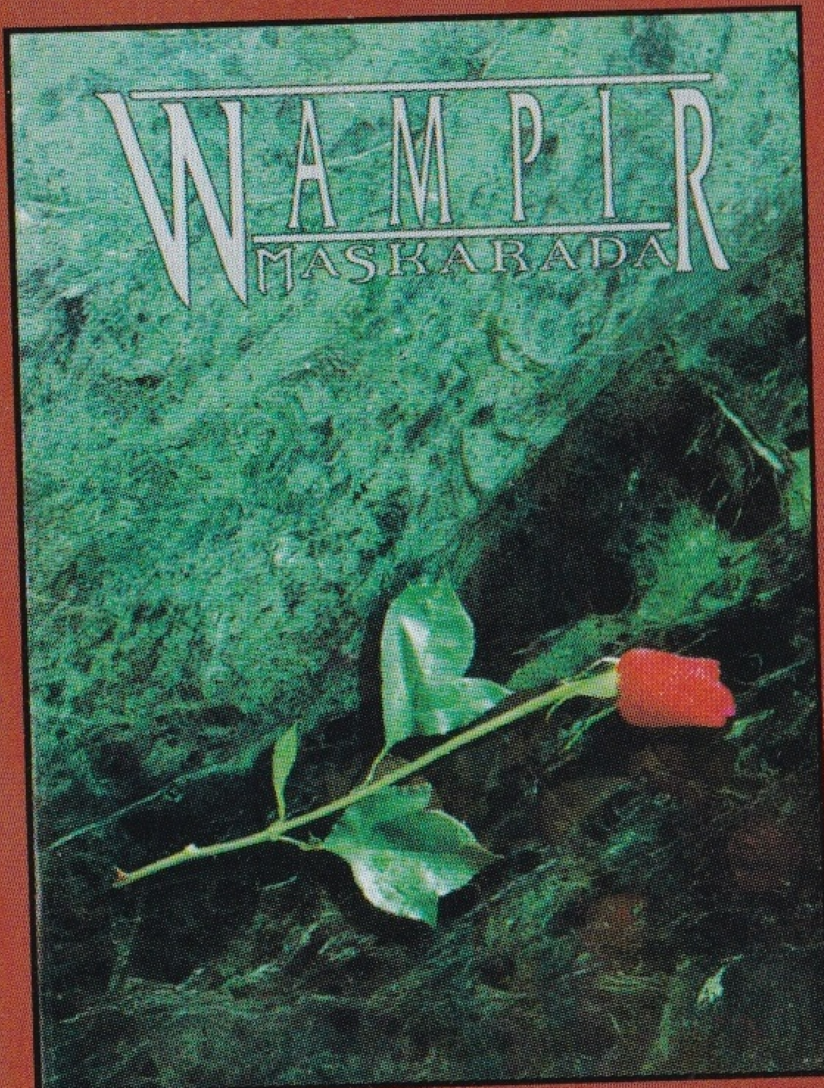


Wampiry to nie zawsze konwencja gotyku. Tu na przykład mamy krwiopijców cyberpunkowych...

System RPG

Obok, w dużym skrócie, przedstawiliśmy świat Wampira: Maskarady, jednej z najbardziej oryginalnych gier fabularnych. Pierwsze wydanie ukazało się na początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku i szturmem zdobyło serca licznych fanów, obalając panowanie Advanced Dungeons and Dragons. Gracze byli zachwyceni światem oraz możliwością odgrywania kogoś innego niż bohater w srebrnej zbroi, machający wielkim mieczem. Nie bez znaczenia był też fakt, że firma White Wolf, wydawca systemu, potrafiła wykorzystać marketingowo nieco odmienny od znanego dotychczas sposób prowadzenia rozgrywki, polegający w mniejszym stopniu na rzutach kostkami, a w znacznie większym na wczuciu się w prowadzoną postać. Gracze zachęcani byli do tworzenia opowieści, nawet kosztem naginania zasad.

W krótkim czasie pojawił się szereg dodatków wyjaśniających i rozszerzających zagadnienia, o których zaledwie wspomniano w podręczniku głównym. Pojawiły się dokładne opisy klanów, podręcznik gry przedstawicielem Sabatu, liczne przygody i opisy wampirzego świata. Niedługo potem na rynku pojawiły się kolejne gry osadzone w Świecie Mroku, jak Wilkołak: Apokalipsa i Mag: Wstąpienie, ale o nich napiszemy w kolejnych numerach pisma.



Oto jeden z ciekawszych systemów RPG. Dla fanów wampirów pozycja ta jest wręcz obowiązkowa...

MASKARA

Powstanie wampirów

Księga Nod, najważniejsze i praktycznie jedyne świadectwo pradawnych czasów wampirów, mówi, że gdy tysiące lat temu Kain zabił Abla, swojego brata, Bóg rozgniewał się na niego za niewinnie przelaną krew. Rzucił więc na Kaina klątwa wiecznego życia i pożądania krwi (które to cechy do tej pory charakteryzują jego Dzieci-W-Ciemności). Samotny, potępiony i odrzucony, błąkał się po dzikich pustkowiach, czekając, aż jego imię i czyn zostaną zapomniane. Po wielu latach powrócił, założył Miasto-Państwo Enoch, czy też Enkil... A może po prostu Pierwsze Miasto, gdyż różnie jest nazywana ta kolebka wampirów. Kain został królem i tam stworzył trzech potomków, kolejne wampiry, Drugie Pokolenie. One stworzyły następne, nazywane Trzecim Pokoleniem. Kain zorientował się wtedy, czym są jego Dzieci i zabronił dalszego tworzenia potomstwa. Mijały lata, nadszedł czas wielkiego Potopu, Enoch legło w gruzach, zasypały je zwały błota. Dla Kaina była to kara Boga za powrót do świata żywych. Ponownie odszedł na wygnanie, ponawiając przed odejściem zakaz tworzenia potomków. Kiedy jednak zabrakło przywódcy, jego dzieci, opętane pragnieniem założenia własnego rodu, złamały ten zakaz. Krwiopijcy rozmnożyli się, a w końcu zaczęli walczyć między sobą. Zwycięzcami okazali się ci z Czwartego Pokolenia, którzy wypili krew swych stwórców.

Atak młodych wapirów

Przedstawiciele Czwartego Pokolenia założyli nowe, wielkie i potężne miasto. Nigdzie nie zachowała się jego właściwa nazwa, lecz liczne poszlaki wskazują, że mógł to być Babilon. Tam, przez ponad dwa tysiąclecia członkowie Czwartego Pokolenia sprawowali rządy. Nie zdawali sobie sprawy, że sami są rządzeni przez kilka ocalałych wampirów Trzeciego Pokolenia, które zaczęto określać mianem Przedpotopowców. Sytuacja zmieniła się, kiedy miasto popadło w ruinę, większość wampirów zginęła z rąk ludzi, a reszta rozproszyła się po całym świecie. Tam, poszczególni ocaleni z rzezi stworzyli Piąte Pokolenie. Nastał czas Greków, potem Rzymian. Wampiry Piątego i Czwartego pokolenia zostały wtedy ponownie zdziesiątkowane przez Przedpotopowców, których żądza krwi była już tak silna, że mogła ją zaspokoić jedynie krew wampira. Nieliczni ocaleni dali dar mroku następnym ludziom.

Inkwizycja

Inkwizycja okazała się kolejnym, ogromnym niebezpieczeństwem dla wampirów. Organizacja ta, oprócz wątpliwych dokonań związanych ze spaleniem na stosie setek obłąkanych kobiet, miała poważne zasługi związane z tropieniem wszelkich potworów, magów, odmieńców. Zginęło wtedy wiele wampirów, wyginęły całe ich rody. Zagłada groziła wszystkim wampirom, które dotychczas nie starały się specjalnie ukrywać swego istnienia, wierząc, że strach przed nimi skutecznie powstrzyma zakusy śmiertelników. Niestety, okazało się, że religijny szał w połączeniu z naukowymi metodami wystar cza do przełamania bariery grozy. Wampiry, które przeżyły ten mroczny czas prześladowań i rozpaczy, nauczyły się żyć w cieniu, unikać uwagi śmiertelnych, wtapiać się w mrok nocy i pozostawać na uboczu.





Wysysanie krwi nie zawsze jest aktem gwałtu na ofierze i nie zawsze kończy się jej śmiercią. Znane są przypadki dobrowolnej uległości



Wampir: Maskarada duży nacisk kładzie na psychologiczny aspekt rozgrywki, choć nie w tak dużym stopniu jak system Call of Cthulhu

DA

WOJNY WAMPIRÓW

Camarilla

W tych czasach prześladowań powstały zaczątki czegoś, co można nazwać społecznością wampirów, ich stowarzyszeniem i rządem. Organizacja nosi nazwę Camarilla, a pierwsze spotkanie jej członków miało miejsce w 1486 roku. Ustalono wówczas prawa i zasady, które obowiązują wampiry do dnia dzisiejszego. Najważniejszym z nich była Pierwsza Tradycja, czyli Maskarada, nakaz nieujawniania się, zobowiązanie do pozostawania w cieniu, poza wiedzą ludzi. Maskarada ma dwa oblicza. Pierwsze, oczywiste, polega na zachowaniu w tajemnicy istnienia krwiopijców. Drugie, które przyniosło tak doskonałe owoce, polega na subtelnym manipulowaniu śmiertelnikami, żeby w końcu uwierzyli – co też się stało – że wampiry nigdy nie istniały. To właśnie ten aspekt Maskarady jest odpowiedzialny za skierowanie ludzkości ku innym niż polowanie na wampiry celom, takim jak rozwój nauki. Można więc powiedzieć, że to wampiry motywują większość ważnych odkryć oraz badań naukowych. Od czasu pierwszego zebrania Camarilla zdołała narzucić swą wolę i zasady zdecydowanej większości wampirów. Przeciwników oraz odszczepieńców likwidowano, wszystko w imię przetrwania społeczności.

Wprowadzono ścisłą kontrolę nad Potomstwem, kraje podzielono na Księstwa i Lenna, z władającymi nimi wampirami. Jednak część wampirów za nic ma zakazy i prawa Camarilli. Drwią sobie z uświęconych tradycją i koniecznością nakazów zachowania. Ich główne siedziby mieszczą się we wschodnich stanach USA. Wampiry, zrzeszone w Sabacie, bo taką nazwę nosi ta organizacja, są wcieleniem najgorszych wyobrażeń śmiertelników o rodzaju wampirzym. To okrutne, bezlitosne, perwersyjne stworzenia, czerpiące satysfakcję z zadawania bólu. Biada ludziom i wampirom, które wpadną w ich szpony.

Wampirze klany

Przez ostatnie kilkaset lat w społeczności wampirów dokonał się swoisty podział na klany jednoczące te osobniki, które czuły bliskość ze względu na zainteresowania oraz poglądy. Znanych jest trzynaście wielkich rodów czy też klanów i niezliczone mniejsze grupy, składające się z kilku bądź kilkunastu krwiopijców. Klany te to: Brujah, miłośnicy wiedzy, wywodzący się jeszcze z mieszkańców Drugiego Miasta; Gangrel – wśród których jest bardzo wielu Cyganów, wampiry z tego klanu są w perwersyjny sposób powiązane z Naturą;
Malkavian – wampiry z tego klanu łączy jedno – są zawsze mniej lub bardziej szalone; Nosferatu – nieszczęśnicy obdarzeni straszliwym wyglądem, wzbudzają grozę swoją postacią; Toreador – klan grupujący miłośników piękna i sztuki; Tremere – grupa magów powstała w średniowieczu, gdy jakiś wampir powołał do wiecznego życia zgromadzenie czarowników; Ventrue – wampirza szlachta. Ostatnią z wielkich grup są Pariasi, wampiry nienależące do żadnego klanu, wyrzutki wampirzego społeczeństwa.

■ Artur Marciniak, zdjęcia Wyd. ISA

Gry komputerowe

Jedyny dostępny tytuł ukazał się trzy lata temu i nosi tytuł VAMPIRE THE MASQUERADE: REDEMPTION. Fabuła opowiada o młodym krzyżowcu, Christofie, który zostaje ranny podczas próby ocalenia swojego dowódcy przed jakimś potworem. Młody rycerz zostaje przewieziony do Pragi, gdzie trafia pod opiekę pięknej mniszki Anuszki. Dzięki jej opiece Christof powoli dochodzi do zdrowia, ma też okazję odwdzięczyć się za okazaną mu troskę, ratując ją przed atakiem wampirzych sług. Christof zostanie podstępnie przemieniony w wampira, lecz stawia sobie za punkt honoru zemstę na tych, którzy zrobili z niego potwora. Dopełnienie przysięgi zabierze mu kilkaset lat...

Filmy

Świat Mroku nie miał szczęścia do filmów. Jedyną poważną próbą pokazania widzom bogactwa wizji twórców Wampira: Maskarady był serial telewizyjny noszący tytuł „Kindred: The Embraced". W zamierzeniach twórców miał stopniowo pokazywać świat wampirów, początkowo opowiadając historię kilku wampirów z pięciu klanów działających w San Francisco. Nakręcono jedynie osiem odcinków, po czym produkcja została przerwana z powodu niezbyt przychylnych recenzji. Fani gry byli zawiedzeni licznymi odstępstwami od wizji świata przedstawionej w znanych im książkach, raziło ich spłycenie zasad rządzących wampirami, podczas gdy dla przeciętnego telewidza serial był – przynajmniej początkowo – zbyt skomplikowany. Miłośników wampirów, którzy oczekiwali licznych scen walk, raziło to, że akcja była nastawiona głównie na pokazanie intryg i zależności pomiędzy krwiopijcami.

Książki

Bogaty świat idealnie nadawał się do wykorzystania w beletrystyce. W ciągu dziesięciu lat istnienia gry pojawiło się około 100 książek i zbiorów opowiadań, których akcja toczy się w świecie wampirów. Część z nich nawiązywała do gry w sposób bardzo wyraźny, dokładnie przestrzegając realiów opisanych w podręcznikach, zaś – i te są chyba lepsze – pozwalała sobie na wprowadzenie mniejszych lub większych zmian w stosunku do kanonu. Do jednych z najciekawszych pozycji należy zaliczyć serię książek autorstwa Nancy Collins, opowiadającą o życiu Sonji Blue – wampirzycy mszczącej się za utratę człowieczeństwa na krwiopijcy, który powołał ją do życia w mroku. Część z książek o Sonji zebrano w antologiach, z których chyba najbardziej popularna jest ta nosząca tytuł „Midnight Blue". Sonja stała się także centralną postacią serii komiksów, a jej nazwisko nosi nawet japońska grupa rockowa.

Dużą popularnością cieszy się również wydawana obecnie seria powieści klanowych, licząca 13 pozycji. Książki z tej serii łączy opowiadana historia, natomiast bohaterem każdej z nich jest przedstawiciel innego klanu. Popularna jest także seria sześciu powieści z cyklu „Predator and Prey", o wampirach w tej serii opowiada książka zatytułowana „Vampire". Co ciekawe, bohaterami tej powieści są Łowcy, ludzie, którzy z rozmaitych powodów walczą z monstrami świata mroku.

Nasza galeria osobliwości

ATAK Z

Obok szalonych naukowców, machin czasu i podróży na obce planety, kosmiczne inwazje należą do kanonu gatunku science-fiction

Ileż to razy naszą wyobraźnię rozpalały wizje rozpadających się miast, płonących lasów i wrogich armii triumfalnie maszerujących i niszczących wszystko na swej drodze (a także palących, rabujących oraz gwałcących – jeśli oczywiście pozwalało im na to osobiste „wyposażenie"). A ponieważ wizje te z reguły były bardzo widowiskowe, znakomicie sprawdzały się na ekranie. I nie ma się co dziwić, że wielu filmowców sięgnęło po ten temat, starając się zapewnić widzom godziwą (niestety, nie zawsze) rozrywkę.

Naszą biedną planetę spotykały liczne nieszczęścia o różnym stopniu nasilenia – od małych lokalnych wydarzeń, nawet nie zawsze kończących się śmiercią tubylców, poprzez różnej wielkości ataki, mniej lub bardziej krwawe, aż po globalne konflikty owocujące milionami (lub wręcz miliardami) ofiar i całkowitym zniszczeniem globu. W pewnym momencie wojny z najeźdźcami przeniosły się w przestrzeń kosmiczną, gdzie zdobyte przez ludzkość włości są atakowane przez różne stwory.

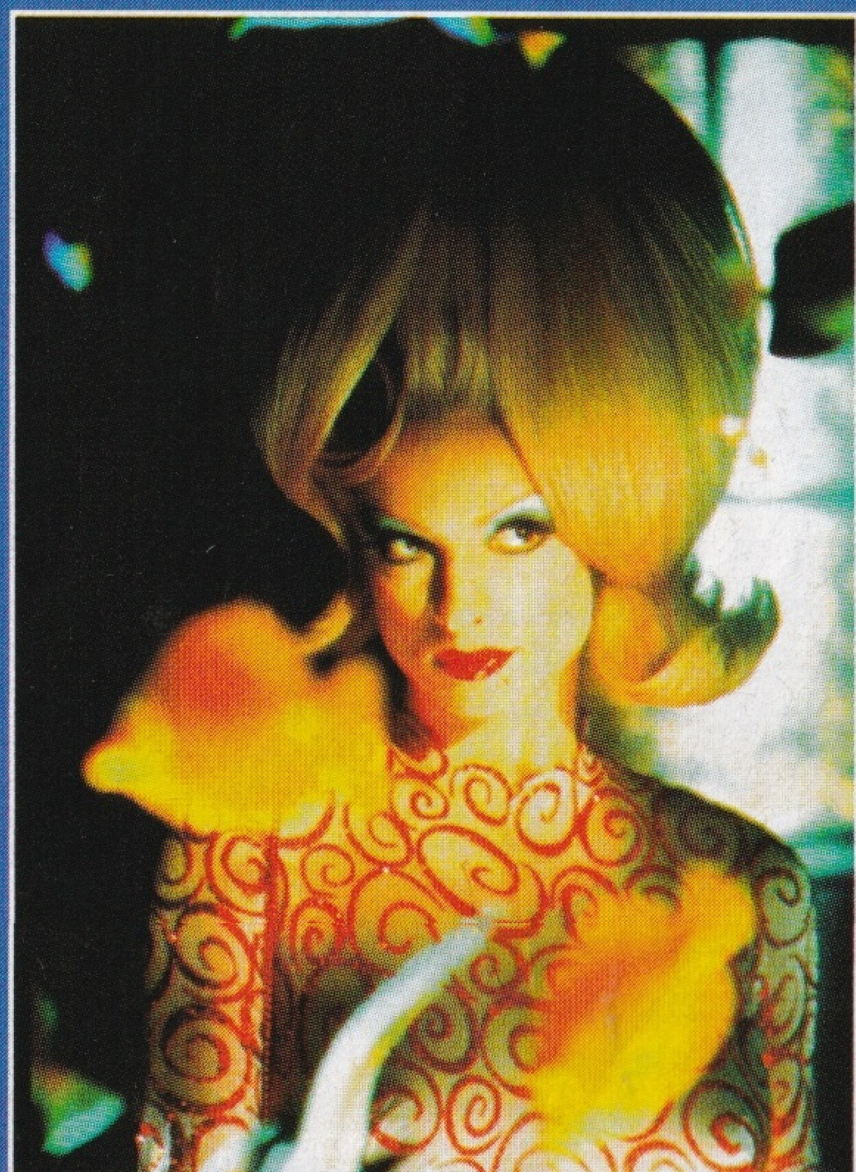
Oto krótki przegląd największych lub najbardziej spektakularnych konfliktów, które dotknęły ludzkość na przestrzeni ostatnich lat. Oczywiście, daleko mu do wyczerpującego kompendium wiedzy o najazdach kosmitów na Ziemię, ale z pewnością przypomni kilka największych wizji filmowych i telewizyjnych. Ataki zostały pogrupowane ze względu na sposób, w jaki obce istoty znalazły się na Ziemi.

Ach, ci Marsjanie...

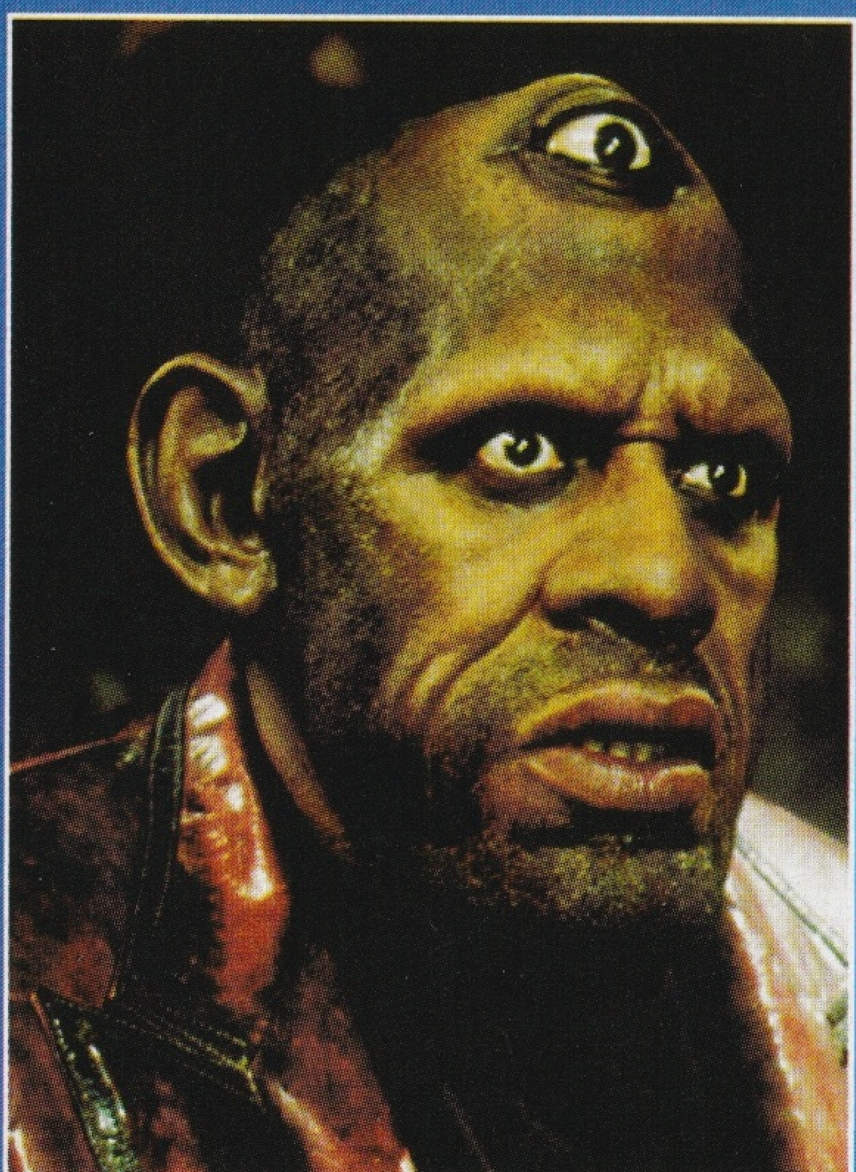
Najsłynniejsza opowieść o najeździe kosmitów zamieszkujących najbliższą Ziemi planetę, czyli „Wojna światów" Herberta George'a Wellsa , pochodzi z końca XIX wieku. Stała się podstawą słuchowiska radiowego Orsona Wellesa, które w 1938 roku dosłownie wstrząsnęło Ameryką, oraz scenariusza filmu z 1953 (zrealizowanego przez Byrona Haskinsa), jednego z klasycznych już dzieł filmowych. Film odniósł wielki sukces, zwłaszcza za sprawą znakomitych efektów specjalnych – statki Marsjan ziejące zielonymi promieniami, niszczone miasta, marsjańskie machiny kroczące... W latach pięćdziesiątych było to prawdziwe osiągnięcie techniczne. Ludziom nie udało się zwalczyć inwazji i gdyby nie poczciwe ziemskie bakterie, które zabiły najeźdźców, Ziemia zmieniłaby się w Czerwoną Planetę Bis. O dziwo, nigdy więcej nie filmowano tej powieści (podobno w 2004 roku ma powstać nowa wersja). W latach 1988-1990 w amerykańskiej telewizji nadawano serial, w którym Marsjanie obudzili się po latach z hibernacji i znowu rozpoczęli podbój Ziemi (powstały 44 odcinki, jednak serial nie cieszył się powodzeniem). Oczywiście w finale ludziom i Obcym udało się porozumieć i zawrzeć pokój. Najbliżsi kosmiczni sąsiedzi odwiedzili nas również w filmie „Marsjanie atakują" Tima Burtona, by ponownie podbić naszą planetę, używając nowoczesnej broni, i, jak to zwykle bywa, kolejny raz ponieśli klęskę. Marsjanie planujący zniszczyć Ziemię pojawili się tak-



Jedna z nielicznych istot, którym udało się obić Arnolda po pysku: Predator



Nie wiedzieć czemu, źli kosmici z upodobaniem udają odlotowe laski



Ciekawe, jakie okulary będzie nosić na starość ten osobnik z „Faceci w czerni 2"



KOSMOSU



że w polskim filmie – „Wojna światów – następne stulecie" Piotra Szulkina (na kanwie powieści braci Strugackich) i zorganizowali wielką sieć przymusowego krwiodawstwa. Niestety, ten film nie kończył się spektakularnym zwycięstwem Ziemian i pozostawił widzów w stanie przygnębienia.

Pasażerowie na gapę

Często tematem filmów są najeźdźcy, trafiający na Ziemię z różnych dziwnych powodów – przez przypadek (np. w meteorycie lub jako unoszące się w próżni zarodniki, które następnie zaplątały się do ziemskiej atmosfery) lub ściągnięci przez powracający ziemski statek kosmiczny. W meteorycie trafił na ziemię galaretowaty, pochłaniający żywą tkankę stwór w filmie „The Blob" (1958) i remake'u „Blob – zabójca" (1988). To właśnie „The Blob" zasłynął z najtańszego efektu specjalnego w historii kina. Atak na kawiarnię sfilmowano, polewając zdjęcie kawiarni kisielem (nie trzeba chyba dodawać, że reszta filmu jest równie zabawna). W nowszej wersji plazmatyczny stworek zaczął od zjedzenia jednej ręki, by w końcowych scenach spaść z sufitu w kinie na salę pełną ludzi; oczywiście z każdą pochłoniętą ofiarą stawał się coraz większy, a nie imała się go żadna broń. Ot, ilustracja powiedzenia: dać takiemu palec... Jednak dzielni bohaterowie zamrozili go, wysadzając w powietrze cysternę z substancją wytwarzającą pianę. I, jak to zwykle bywa, w ostatniej scenie filmu widzimy religijnego fanatyka, który hoduje w słoiku odrobinę cytoplazmy. Także w meteorycie przybywają na Ziemię obce organizmy w komedii „Ewolucja" (2001). Kiedy dochodzi do realnego zagrożenia, armia postanawia wykorzystać broń jądrową, co tylko doprowadza do wytworzenia gigantycznej... no, kto zgadnie? Oczywiście ameby. Dzielni bohaterowie niszczą ją, używając cysterny wypełnionej przeciwłupieżowym szamponem zawierającym selen (a wyprodukowanej przez pewną znaną firmę, która intensywnie reklamuje się również w naszej telewizji).

W jednym z najsłynniejszych filmów o inwazji obcej istoty, „The Thing" (1951 i jego remake z 1982), statek przybysza rozbił się na Ziemi, a jego pasażer zamarzł. Wykopany z lodu potrafił przeniknąć do każdej żywej istoty i opanować jej wolę (nie zmieniając jednak jej wyglądu). Po katastrofie na izolowanej stacji arktycznej ostatnim żywym polarnikom udaje się zniszczyć stwora. Chociaż końcówka filmu pozostawia widza z pytaniem, czy aby jeden z ocalałych nie jest już potworem. W innym klasyku zatytułowanym „Zemsta kosmosu" (1955), statek kosmiczny wracający z orbity przywozi na Ziemię wirus, który powoli zmienia kosmonautę w gigantyczną amebę. Zostaje ona zniszczona dzięki energii elektrycznej. Od lądowania obcego statku zaczyna się także film „Władcy marionetek" (1994). Przewożone przezeń istoty opanowują mózgi ludzi i podporządkowują sobie ich wolę (stąd tytułowe „marionetki"). Istoty zdobywają coraz większy teren tworząc jedną wielką kolonię, dopóki naukowcy nie znajdują rozwiązania – choroby (ukłon w stronę „Wojny światów"). I tak, dzięki niezbyt poczciwym ziemskim mikroorganizmom, po raz kolejny udało się nam uniknąć zagłady.

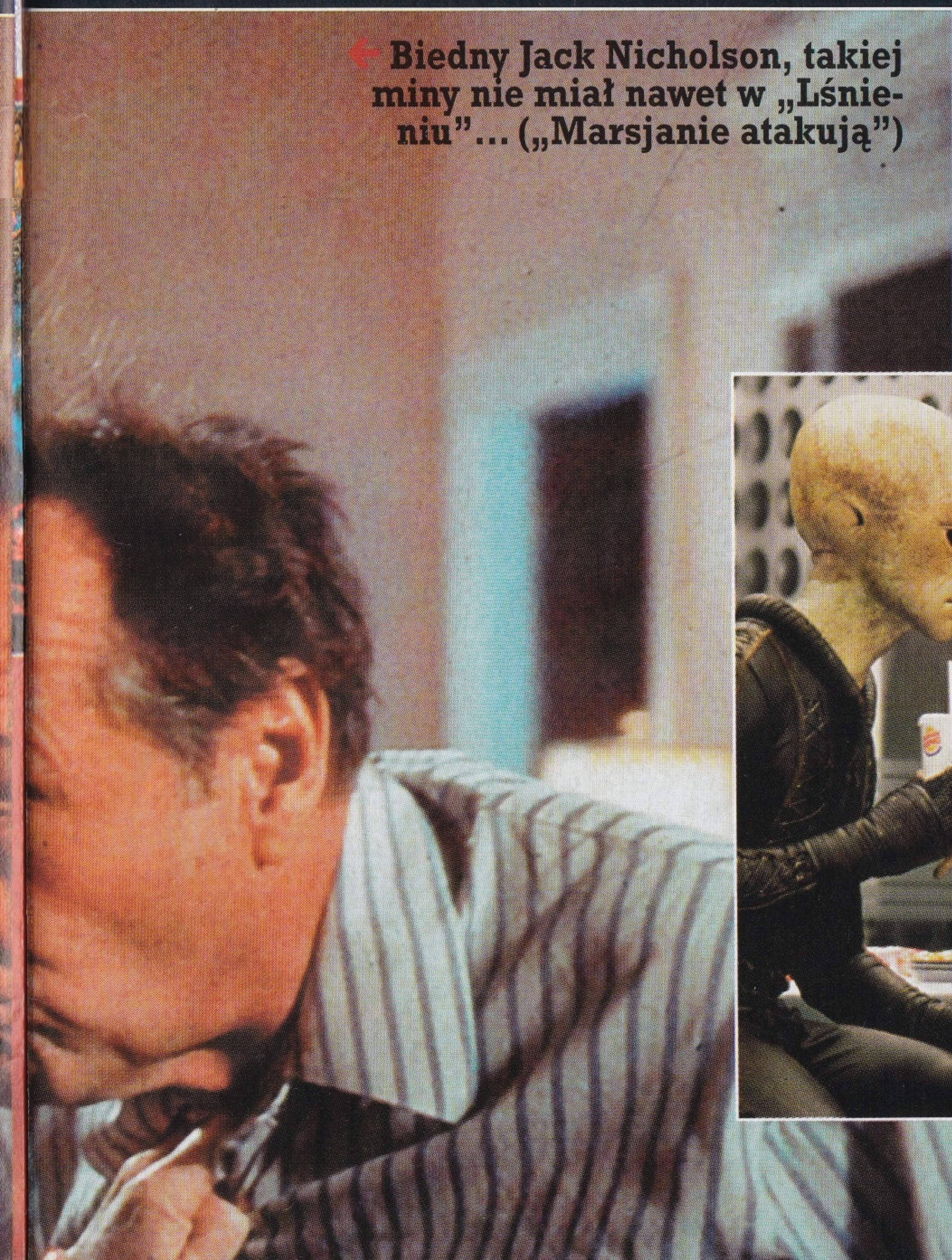
Nie do końca wiadomo skąd i w jaki sposób trafiły na Ziemię istoty z „Inwazji porywaczy ciał" (powstały aż trzy filmy w latach 1956, 1978 i 1993), choć w powieści, która stała się podstawą sce-

→ „Inwazja porywaczy ciał" to już film kultowy. Warto przypomnieć sobie, jak terror z gwiazd przedstawiano na filmach dawniej



↑ Widowiskowy atak kosmitów na wojskową bazę lotniczą („Dzień Niepodległości")





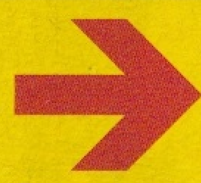
← Biedny Jack Nicholson, takiej miny nie miał nawet w „Lśnieniu"... („Marsjanie atakują")

↘ Scena z filmu „Bitwa o Ziemię", knota stworzonego na podstawie równie knotowatego scenariusza

↓ W filmie „Faceci w czerni" kosmici i ludzie potrafią jakoś ze sobą współżyć. Przynajmniej niektórzy...



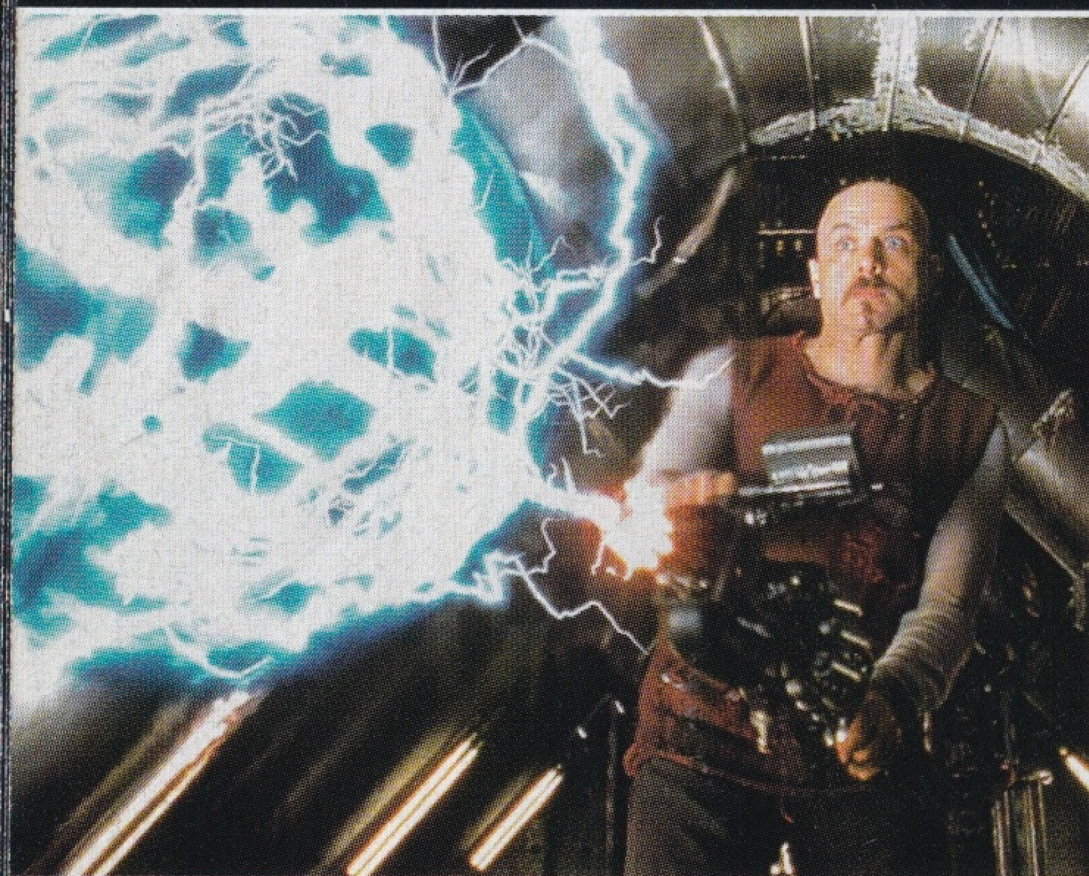






Zapasy Gozilli z innymi wredasami wagi ciężkiej dziś budzą już tylko śmiech...

W „Matrix" rolę złych kosmitów przejęły bezduszne maszyny planujące zniewolić świat



Całe szczęście, że al Kaida nie dysponowała takim sprzętem 11 września 2002 roku



nariuszy filmów, autor sugeruje, że po prostu przyleciały z kosmosu. Wszystkie adaptacje filmowe nie pozostawiają zbyt wiele nadziei, że uda się zniszczyć istoty podmieniające ciała żywych ludzi na bezduszne, identyczne kopie, choć w powieści istoty te doszły do wniosku, że ludzkość stawia im zbyt silny opór i z powrotem odleciały w kosmos. Pierwsza wersja, czarno-biała, ma jedną z najbardziej przejmujących w historii science-fiction końcowych scen filmu, kiedy główny bohater biegnie wzdłuż autostrady i krzyczy do przejeżdżających obok samochodów: „Wy będziecie następni!", ale nikt nie zwraca na niego uwagi. Nieświadomi zagrożenia kosmonauci zawlekli na Ziemię także kosmiczne wampiry w filmie „Life Force", w którym możemy oglądać spektakularny pokaz wysysania sił życiowych Ziemian.

Zdarzyło się także, że sami zaprosiliśmy gościa, który po przybyciu na naszą planetę rozpoczął podstępny i niszczycielski atak, przybierając postać pięknej blondynki („Gatunek", 1995 i następnie jego nieudana kontynuacja z przystojnym brunetem w roli głównej). Obcy desperacko usiłowali się rozmnożyć, ale w finale i oni, i ich potomstwo zostają zniszczeni (tym razem za pomocą broni konwencjonalnej).

Myśliwi

Bywa, że na naszą biedną planetę przybywają Obcy, aby zażyć chwil niecnej rozrywki, prowadząc polowania na tubylców. Najsłynniejszym myśliwym jest bez wątpienia „Predator" (i później jego kumple w filmie „Predator 2"), który pod osłoną niewidzialnego pancerza zabawiał się łowami w południowoamerykańskiej dżungli. Niestety, nie miał szczęścia i zadarł z Arnoldem Schwarzeneggerem, który zniszczył go za pomocą pięści, kija i kamienia, udowodniając, że liczy się wola przetrwania, a nie technologia. Następcy Predatora znaleźli sobie do zabawy inną dżunglę – wielkomiejską – i prowadzili łowy na ulicach Nowego Jorku. Ale trzeba przyznać, że przestrzegali zasad myśliwskich – nie zabijali ciężarnych samic i honorowo przyjęli przegraną. Kiedy jeden z nich zginął w myśliwskim pojedynku, pozostali grzecznie się spakowali i odlecieli.

Bez wątpienia jedną z najgłośniejszych wypraw łowieckich ostatnich czasów zorganizowali kosmici w filmie „Znaki" (2002). Tu mamy przykład, jak ważne jest wcześniejsze rozpoznanie, gdyż atak nie tolerujących wody istot na planetę pokrytą w większości oceanami nie mógł skończyć się sukcesem. O tych wydarzeniach zresztą mówi się niejako mimochodem, kiedy obserwujemy ostateczny pojedynek z ostatnim kosmitą, chcącym dopełnić prywatnej zemsty. Na przeszkodzie stanie mu duża ilość szklanek z wodą.

Rezydenci

Czasami mamy do czynienia z inwazją utajoną, to znaczy nic o niej nie wiemy, dopóki nagle ktoś nie ujawni straszliwej prawdy. Taki przypadek opisuje film Johna Carpentera „Oni żyją" (1988), gdzie ludzie egzystują w błogiej nieświadomości, nie zdając sobie sprawy, że Ziemia została podbita przez dziwne istoty (przyjmują one ludzki wygląd i można je zobaczyć tylko za pomocą specjalnych okularów). Główny bohater wraz z ruchem oporu postanawiają ujawnić (w pełnym tego słowa znaczeniu) prawdę i niszczą nadajnik, emitujący kamuflujące promienie. Podobny pomysł wykorzystano w klasycznym już serialu „Najeźdźcy" z 1967 roku, gdzie tylko jeden człowiek zdaje sobie sprawę z istnienia Obcych i prowadzi z nimi samotną walkę. Niestety, ciągle nie może zdobyć dowodów, bo zwłoki każdego zabitego Obcego natychmiast rozpadają się w pył. Pomysł zaczerpnięty z tego serialu wykorzystano po latach (ale już w miniserialu) w 1995 roku.

Podobnym podejściem do tematu zainteresował się sam Francis Ford Coppola i wyprodukował serial „Pierwsza fala" (1998), w którym dwóch samotnych bojowników stara się zdobyć dowody na



W Starship Troopers kosmici przyjmują formę olbrzymich robali. Brrr!

obecność kosmitów na Ziemi. Jednak zakończenie serialu nie dawało jednoznacznej odpowiedzi, czy ruchowi oporu udało się ostatecznie uchronić Ziemię przed zagładą. W serialu „Ziemia – ostatnie starcie" (1997) wszyscy wiedzą, że na Ziemi mieszkają kosmici, którzy teoretycznie przybyli w pokoju, aby pomóc nam zwalczyć głód, choroby i wojny. Z pozoru wszystko wygląda pięknie, ale bohaterowie powoli odkrywają prawdziwe pobudki kierujące przybyszami. Dzięki wytrwałym działaniom ruchu oporu udaje się w końcu zwyciężyć najeźdźców i ich następców, a dla Ziemi świta nowa nadzieja.

Wątek obcych, planów inwazyjnych, tajemnych spisków i knowań legł wreszcie u podstaw prawdziwego przeboju telewizyjnego lat dziewięćdziesiątych (i jego kinowego odprysku) – „Z Archiwum X" Chrisa Cartera. Knowania, klony, latające spodki, obcy statek w lodzie, wirusy... wszystko to repertuar dobrze znany, ale jak podany! „Gdzieś tam" kryje się nie tylko prawda, ale i obce istoty. Obce istoty, tym razem pokojowo nastawione, pojawiły się również w popularnym serialu „Roswell", ale do inwazji pasują mniej więcej tak samo, jak żyjący na Ziemi Superman – w końcu, było nie było, przybysz z kosmosu pełną gębą.

Wojownicy

Od czasu do czasu na Ziemię dociera wyprawa wojenna, która ma na celu podbicie całej planety, zniewolenie lub zniszczenie ludzkości i objęcie globu w posiadanie. Taki nurt reprezentują dwa filmy powszechnie uważane za najgorsze filmy s-f wszech czasów, czyli „Plan 9 z kosmosu" (1959) i „Robot Monster" (1953). W pierwszym, wyjątkowo nieudolna ekipa najeźdźców podróżująca latającym spodkiem próbuje podbić planetę, wskrzeszając zmarłych i zamieniając ich w wampiry (używa także straszliwej broni, po której z człowieka zostaje jedynie szkielet). W drugim obrazie złowieszczy Ro-Man z planety Ro-Man (tytułowy robot, z bliżej nieznanych przyczyn grany przez mężczyznę w kostiumie goryla ze szklaną kulą z antenką na głowie) niszczy całą ludzkość za pomocą strasznej broni puszczającej bąbelki. Następnie przez cały film ugania się za piątką ocalałych z hekatomby ludzkich istot. W końcu wszystko okazuje się snem dziecka, a szkoda, bo jeśli piątka bohaterów stanowiła kwiat intelektualny ludzkości, to istotnie zasłużyliśmy na wytępienie.

Specyficzną grupę najeźdźców tworzą rozmaite potwory z kosmosu, z dużym upodobaniem niszczące ziemskie miasta, (a zwłaszcza Tokio) – Megalon, Mechagodzilla, Gigan, Król Ghidorah i całe stada innych przeciwników Godzilli, Mothry i Gamery. Zwykle zresztą potwory te kontrolowane są przez złych Obcych, pragnących w ten skomplikowany sposób podbić nasz świat – a już na pewno Japonię. Dzielne ziemskie potwory nieodmiennie pokonują przybyszów i znów nastaje czas pokoju i odbudowy (sugestie, że za wszystkim stoi lobby japońskich przedsiębiorców budowlanych, nigdy nie zostały głośno wypowiedziane).

Jednak największym widowiskiem inwazyjnym jest bez wątpienia „Dzień Niepodległości" (1996). Nigdy wcześniej nie było tak wielkich statków (liczących po kilka kilometrów średnicy), tak potężnej broni, która prawie natychmiast zniszczyła większość ziemskich metropolii, zabijając miliony ludzi w straszny sposób. I nigdy wcześniej nie zniszczono Obcych przez wpuszczenie do ich komputerów wirusa. Wprawdzie potem wykorzystano już bardziej standardowe narzędzie w postaci bomby jądrowej, ale i tak „Dzień Niepodległości" okazał się pod tym względem nowatorski (i wzbudził sporo podejrzeń co do pozaziemskiego pochodzenia Windows – w końcu oba programy dogadały się szybko i bezproblemowo, co różnym ziemskim systemom raczej się nie zdarza).

Kosmiczne potyczki

Im częściej ludzie latają w kosmos, tym większe mają szanse na spotkanie Obcych, zwykle niekoniecznie przyjaźnie nastawionych. Czasem trudno mówić o inwazji, ale o wojnie owszem. Bohaterowie „Wing Commander" (1999) walczą w dalekim kosmosie z rasą, która właśnie planuje atak na Ziemię. W „Duchach Marsa" (2001) ludzie skolonizowali Czerwoną Planetę i w trakcie prac górniczych uwolnili istoty, które chcą odzyskać swoją własność (zamiast inwazji, mamy tu niewątpliwie do czynienia z wojną wyzwoleńczą). Także jeden z najsłynniejszych kosmicznych stworów, osławiony Obcy (bohater całej serii filmów), prowadzi wojnę podjazdową z ludzkością w kosmosie (choć o mało co nie dotarł na Ziemię, co miałoby dla niej opłakane skutki). Z kolei w filmie „Żołnierze kosmosu" (1997) – w którym pozostało niewiele z literackiego pierwowzoru, są natomiast liczne nawiązania do gry komputerowej „Dark Colony" – Obcym udaje się przeprowadzić udany atak na ziemskie miasta i zabić kilkanaście milionów ludzi. Oczywiście, zostaną za to należycie ukarani już na własnych planetach. Podobną wojnę z kosmicznym najeźdźcą, niszczącym ziemskie przyczółki, można było oglądać w świetnym serialu „Gwiezdna eskadra", traktującym o losach grupki kosmicznych Marines, walczących z obcymi „Pijawami" na lądzie, w wodzie i w przestrzeni.

Jak widać, tak naprawdę nigdzie nie jesteśmy bezpieczni. Ale pocieszające jest to, że ludzkości zawsze (no, prawie zawsze) udaje się przetrwać i z podniesionym czołem śmiało spojrzeć w przyszłość. Nie będzie Obcy pluł nam w twarz!

■ **Paweł Ziemkiewicz,**
zdj. archiwum Wydawnictwa Bauer

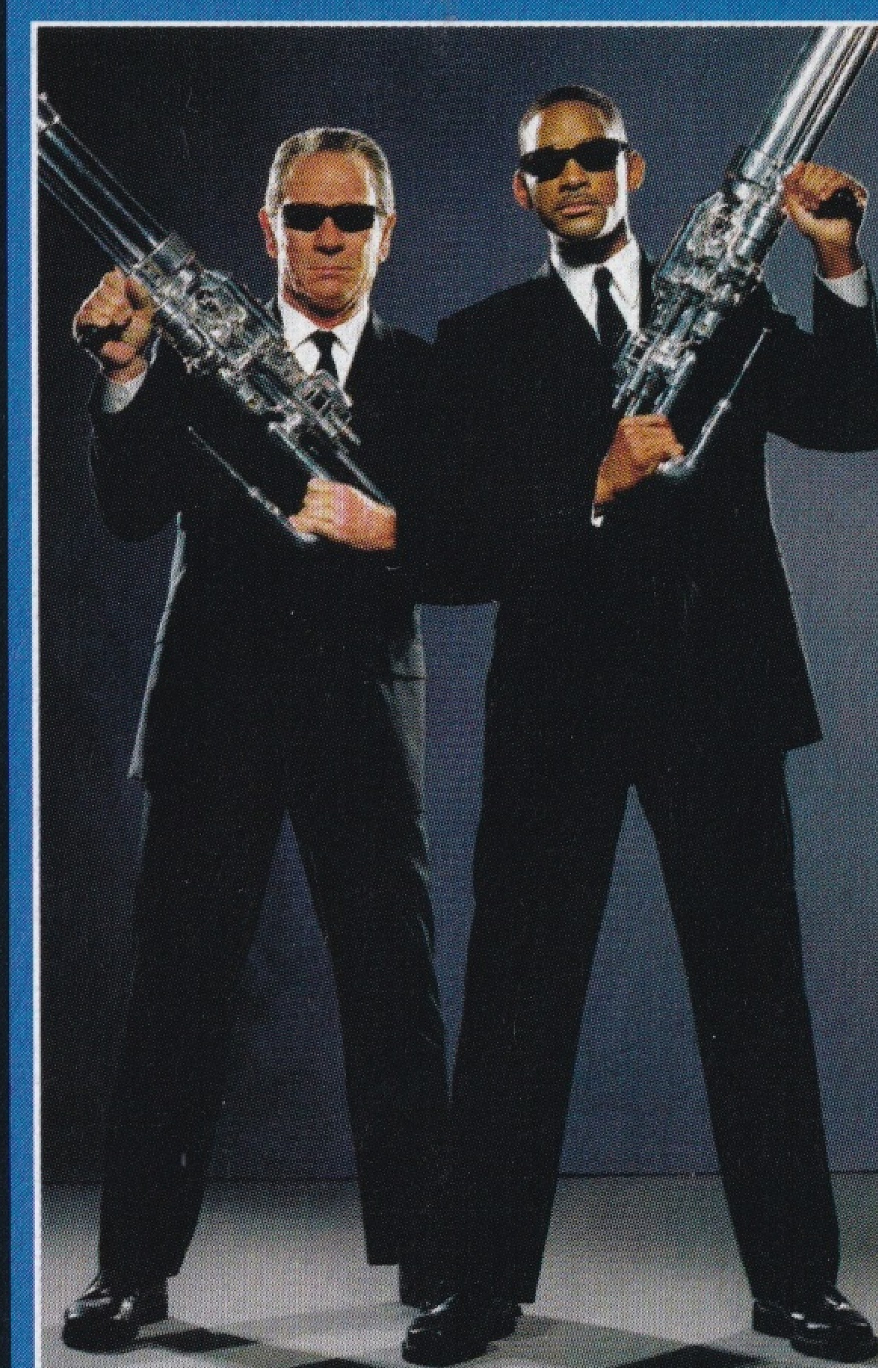
Nasza galeria osobliwości



Ripley z Obcego (tu jeszcze człowiek) dorabia się genów kosmity w 4 części



A piękna i wredna kosmitka wygląda tak... :-) I zasmażka! („Faceci w czerni 2")

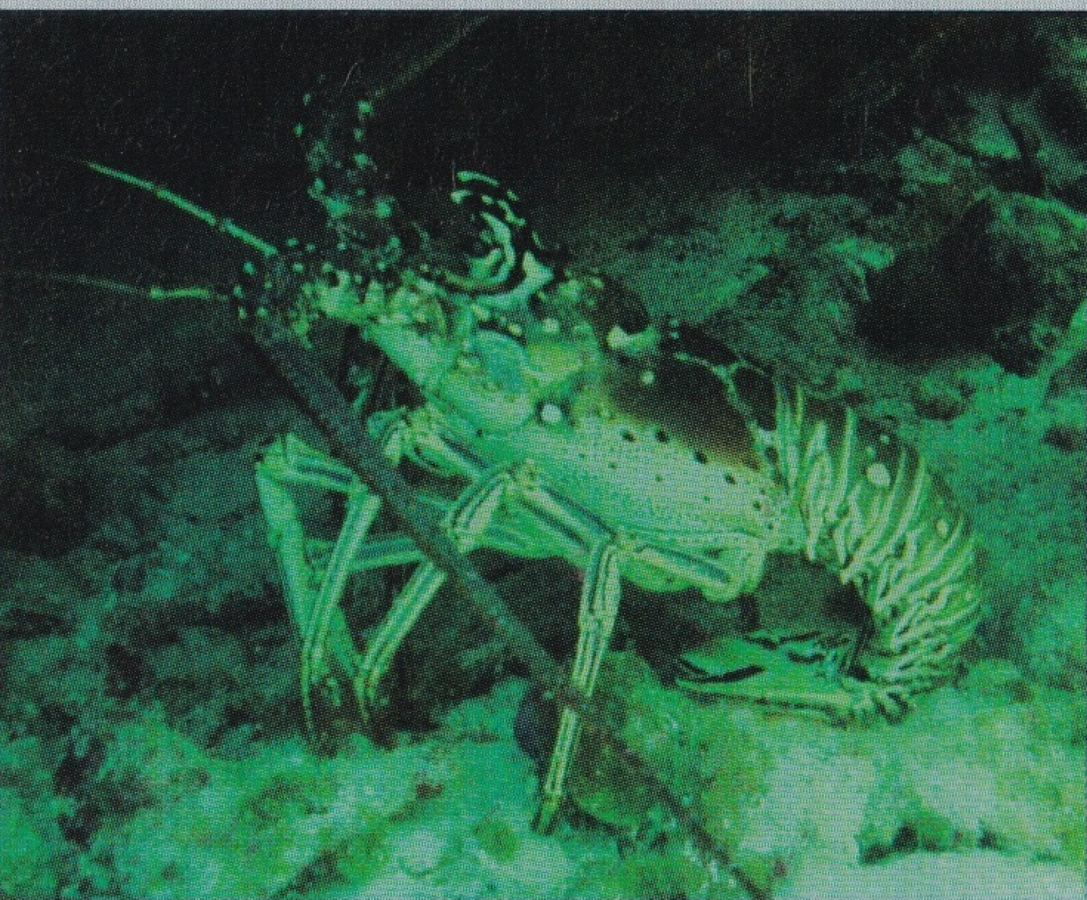


Tych dwóch panów nie trzeba przedstawiać: to obrońcy ludzkości („MiB 2")

Trucizna pewnych egzotycznych węży zawiera związki, które dezaktywują enzymy powodujące wysokie ciśnienie u ludzi. Rozpracowując te związki, naukowcy stworzyli lekarstwa powodujące ten sam efekt.



Innym zwierzakiem, którego zaszczycili swą uwagą naukowcy wojskowi, jest homar. Ich zainteresowanie wzbudził sposób poruszania się skorupiaka, a zwłaszcza działanie odnóży podczas pływania do przodu, kiedy trzeba przeciwstawiać się falom i morskim pływom. Marynarka wojenna czeka na rozwiązania, które można by zastosować przy konstrukcji podwodnych robotów.



Prowadzone są badania nad pszczołą miodną, w nadziei, że stanie się ona odpowiednikiem psów wykrywających na lotniskach bomby. Badacze wytrenowali pszczoły, aby kojarzyły źródło pokarmu z materiałem wybuchowym.





Już niedługo ludzie będą mogli zakładać rękawice oparte na strukturze budowy gekonich łapek. Dzięki temu całkowicie bezpieczna wspinaczka po pionowej ścianie przestanie być rozrywką jedynie dla doświadczonych alpinistów

UKRADZIONE

Matka natura nadal pozostaje najlepszym inżynierem...

Konstruowanie skomplikowanych maszyn, budowa zaawansowanych technicznie urządzeń, produkcja tysięcy gadżetów mniej lub bardziej niezbędnych w codziennym życiu – to efekt wysiłków wielu badaczy, inżynierów i konstruktorów. Czy jednak wszystkie zdobycze techniczne współczesnego świata przypisać należy tylko i wyłącznie ludzkiej inwencji? Jeśli lepiej przyjrzeć się temu problemowi, można sobie uzmysłowić, że od najdawniejszych czasów człowiek bacznie rozglądał się dookoła, usiłując zrozumieć, a następnie naśladować rozwiązania, które są dziełem Matki Natury. Niezłomna Mateczka głowiła się przecież z dużym powodzeniem nad budową i funkcjonowaniem roślin oraz zwierząt, zanim w ogóle pojawiliśmy się na świecie. Wiele doskonałych rozwiązań, np. ważka – „prototyp" helikoptera, było już gotowych, gdy nasi przodkowie, przypominający wyglądem ryjówki, zajmowali się głównie umykaniem spod łap dinozaurów. Jest zatem logiczne, że czerpaliśmy, czerpiemy i będziemy czerpać z gotowych rozwiązań, podglądając zwierzęta i rośliny.

O tym, że rzepy, zastępujące w odzieży guziki, podpatrzono u rośliny o tej samej zresztą potocznej nazwie, wie każde dziecko. Znawcy tematyki militarnej zgodzą się pewnie, że zarówno wzory na mundurach polowych, jak i sposób rysowania kamuflażu na twarzach żołnierzy zostały podpatrzone u zwierząt, które dzięki swojemu ubarwieniu mogły pozostać niezauważone w otaczającym je środowisku.

Gekon wejdzie wszędzie

Jakie jeszcze rozwiązania pochodzące wprost z natury aktualnie interesują naukowców? Od dawna badacze kierowali swoje „szkiełko i oko" na gekona, a raczej na jego fenomenalną zdolność poruszania się nawet po bardzo gładkich powierzchniach. Te sympatyczne zwierzątka mają zdolność przemierzania ścian pionowych i poziomych nawet głową w dół, z wdziękiem i finezją ignorując prawo grawitacji. Tym razem naukowcy przygotowali całe zaplecze techniczno-laboratoryjne potrzebne do zanalizowania budowy gekonich „stóp", co pozwoliło im jeśli nie zrozumieć, to przynajmniej dobrze naśladować gekonowe triki, aby z powodzeniem wykorzystać je w praktyce.

Dokładniejsze przyjrzenie się „stopom" gekona wykazało, że każdy jego palec jest wyposażony w pół miliona gęsto upakowanych, delikatnych włosków. Koniec każdego włoska rozszczepia się na ponad tysiąc włókien, każde szerokości jednej dwustumiliardowej części metra. To daje „stopie" gekona 500 milionów delikatnych odgałęzień mających kontakt z podłożem. Ale jak się one trzymają tegoż podłoża? Z całą pewnością nie poprzez przyssanie, gdyż te sprytne jaszczurki potrafią przylegać do ściany nawet w próżni. Siły tarcia też nie wchodzą w grę, gdyż gekony potrafią sprawnie wspinać się po gładkich, szklanych powierzchniach. Otóż stwierdzono, że za doskonałe przyleganie gekonich „stóp" odpowiedzialne są siły wiązań międzyatomowych. Konkretnie są to siły przyciągania powstające pomiędzy cząsteczkami znajdującymi się na końcach włosków a cząsteczkami podłoża w miejscu zetknięcia ze „stopą" jaszczurki. Tak bliskie umiejscowienie sprawia, iż powstałe wokół cząsteczek niezrównoważone ładunki elektryczne powodują wzajemne przyciąganie się tychże cząsteczek. W ten sposób powstaje sieć przyciągań pomiędzy „stopą" gekona a podłożem. Przeprowadzone badania laboratoryjne wykazały, że pojedynczy włosek gekoniej „stopy" generuje siłę wystarczająco dużą, aby np. podnieść mrówkę. Połączone siły wszystkich włosków to więcej niż potrzeba, aby skutecznie przytwierdzić gekona do sufitu. Skrawek „gekoniego materiału" wielkości monety byłby w stanie przytrzymać 20-kilogramowe dziecko!

Ciekawym zagadnieniem jest również sposób odrywania „stóp" od ściany. Gekon robi to na zasadzie działania taśmy przylepnej, z tym że istotny jest kąt, pod którym ustawia stopy w momencie odrywania. Musi on wynosić 30 stopni w stosunku do podłoża.

Nie sposób przecenić użyteczności gekoniego wynalazku, biorąc pod uwagę jego przydatność w naszym, ludzkim świecie. Trwają już przygotowania do stworzenia robotów mogących wspinać się po ścianach w różnych celach: od ratownictwa zaczynając, na budownictwie kończąc. Naukowcy myślą też o suchym spoiwie doskonale łączącym elementy czy taśmie klejącej wielokrotnego użytku, której w dodatku można by używać również pod wodą. Ale zastanówmy się nad negatywnymi skutkami stosowania tego wynalazku. Oto włamywacze (dzięki specjalnym rękawicom i nakładkom na buty) bez trudu wkradną się na najwyższe piętra domów, a ucieczka przed stróżami prawa nabierze ciekawego charakteru, kiedy pościgi prowadzone będą po ścianach wieżowców. Wspomnijmy też o ułatwionym zadaniu dla wszelkiej maści zamachowców czy terrorystów. Ale może powstaną nowe, zabawne zwyczaje? Na przykład dyskoteki, w których tańczy się na suficie głowami do dołu?

Nietoperz ratuje niewidomych

Kolejnym zwierzęciem stanowiącym inspirację dla współczesnych uczonych jest nietoperz i jego zdolność namierzania (metodą emisji ultradźwięków) zarówno pokarmu, jak i przeszkód. Ten latający ssak wydaje dźwięki o bardzo wysokiej częstotliwości, a następnie „oblicza" dystans do przelatującego obiadu albo przeszkody, analizując czas powrotu echa. Następnie albo przyspiesza lot, aby precyzyjnie dobrać się do przekąski, albo zmienia kierunek, by uniknąć kraksy.

Bazując na obserwacji nietoperza, naukowcy stworzyli specjalną laskę, która pozwala osobom niewidzącym analizować otoczenie. Wbudowane w nią urządzenie wysyła niesłyszalne dla ludzkiego ucha fale, które podobnie jak u nietoperzy wracają do źródła w postaci odbitego od przeszkody echa. Urządzenie zbiera takie odbicia fal, aby następnie oznaczać przeszkody znajdujące się w odległości do 3 metrów. Wmontowane w uchwyt laski guziki wibrują z różną siłą, informując niewidomego o kierunku i wielkości przeszkody. Testy przeprowadzone z udziałem ludzi niewidomych potwierdziły wysoką skuteczność takiej laski, w związku z czym pojawi się ona w sprzedaży już pod koniec 2003 roku.



Nieprawdopodobne zdolności nietoperza zostaną wykorzystane, aby pomóc niewidomym i stworzyć dla nich laski oparte na zasadzie echosondy

ZWIERZAKOM



Aby naśladować wynalazki Matki Natury, naukowcy muszą stosować urządzenia kosztujące krocie. A taki żuk „sam" sobie wymyślił idealny system chłodzenia

Żuki w służbie Pentagonu

Pentagon zainteresowany jest wykorzystaniem zdobyczy ewolucji w technologiach wojskowych, asygnując niemałe kwoty na badania prowadzone z udziałem żywych organizmów. Ostatnio naukowcy zainteresowali się pewnym gatunkiem żuka, próbując „nauczyć się" od niego, jak udoskonalić i obniżyć koszta przeznaczonego dla rakiet czujnika na podczerwień. Większość obecnie funkcjonujących czujników wymaga bowiem kriogenicznego chłodzenia, które jest drogie i niewygodne. Natomiast czujniki niewymagające chłodzenia nie są tak precyzyjne, jak te występujące u żuka. Trwają próby rozpracowania zasady działania żukowego czujnika, aby w przyszłości powielić go w mechanicznej wersji.

Pajęcze liny

Prowadzone są też badania nad wyprodukowaniem na skalę przemysłową włókien o dużej wytrzymałości. Ustalono, że nawet najlepsze sztuczne włókna ustępują naturalnym, takim jak jedwab. Jeszcze bardziej wytrzymałe są włókna powstające z wydzieliny pajęczych gruczołów (ponoć centymetrowej grubości tkanina wykonana z pajęczej nici byłaby w stanie „zatrzymać w locie" Boeinga). W odróżnieniu od jedwabników, które są roślinożerne, a przez to łatwe w hodowli, pająki są drapieżne i wszelkie próby gromadzenia ich w jednym pomieszczeniu kończą się kanibalizmem. Dlatego naukowcy poszukują rozwiązań drogą inżynierii genetycznej, by wyprodukować sztuczną pajęczą przędzę w laboratorium. W tym celu konstruuje się syntetyczne geny pająka albo klonuje geny naturalne, a następnie przenosi je do bakterii E. Coli, którą „zaprzęga" się do pracy. Uzyskany z bakterii „pajęczy jedwab" ma postać proszku. Teraz wystarczy połączyć go z wodą i z roztworu „wyciągnąć" włókna. Nadal nie są one jednak tak doskonałe, jak ich naturalny odpowiednik! Znaleziono więc inne rozwiązanie. Do genomu kozy (zwierzęcia o szybkim wzroście i krótkim cyklu reprodukcyjnym) wstawiono geny pająka odpowiedzialne za produkcję przędzy. Uzyskano zaskakujący efekt – proteiny przędzy pajęczej w kozim mleku! Pozostało tylko oczyścić proteiny z mleka i udoskonalić technologię wyciągania z ekstraktu włókien.

To wszystko, rzecz jasna, tylko czubek góry lodowej. Ale już to krótkie wyliczenie pozwala nam przekonać się, iż pomimo dziesiątek lat badań tysięcy naukowców dysponujących niezwykłymi wręcz technologiami, nie jesteśmy często w stanie dorównać naturze lub kradniemy jej wynalazki z niezwykłym trudem.

■ Grażyna Grzędowicz, zdj.: archiwum wyd. Bauer

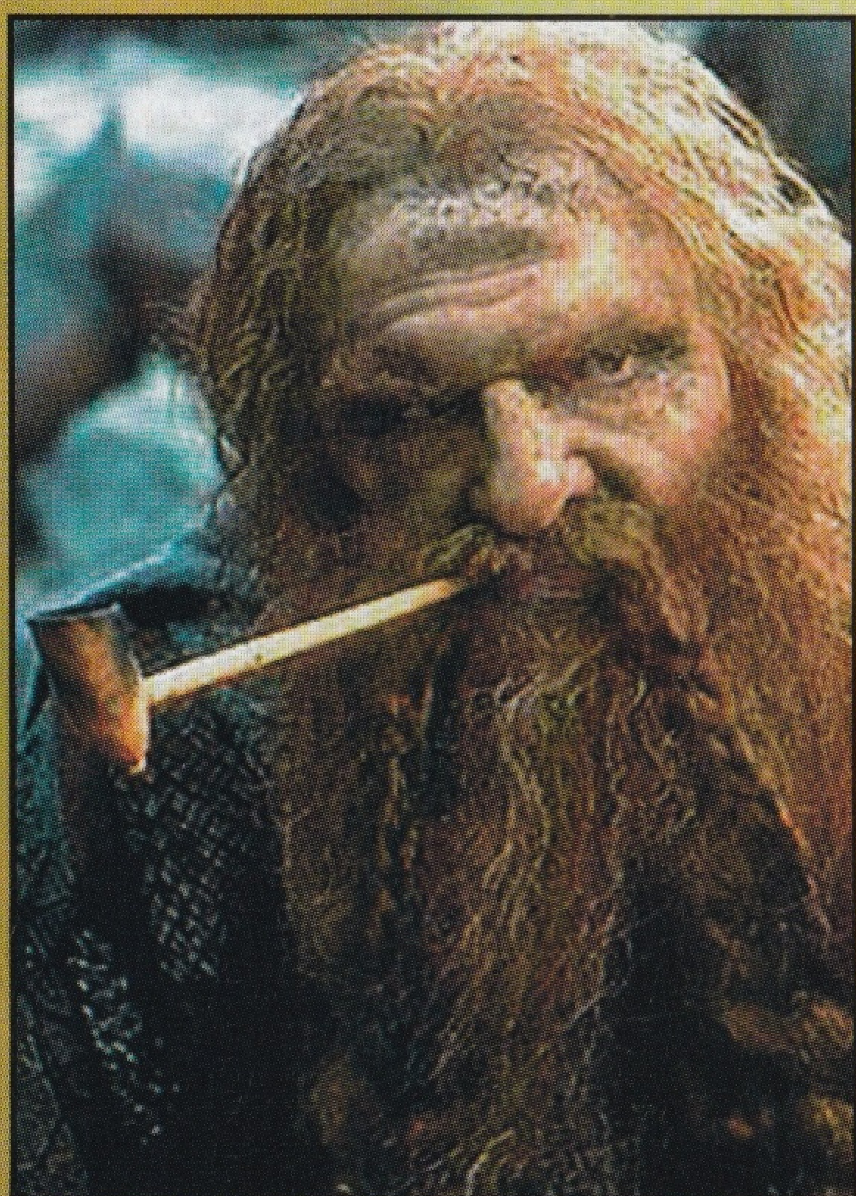
Zakończenia nerwowe w skórze niektórych żab produkują substancje zwalczające infekcje i powodujące szybsze gojenie się ran. Wersja syntetyczna tych substancji może okazać się pomocna w walce z infekcjami atakującymi ludzką skórę (np. z trądzikiem).



Osy mogą stać się „samonośnymi detektorami bomb". Można je nauczyć wykrywania dowolnych substancji chemicznych. Skonstruowano rodzaj bioczujnika „napełnionego osami", wykrywającego, czy dana plantacja jest zainfekowana mykotoksynami produkowanymi przez pewien rodzaj pleśni pasożytującej na orzeszkach ziemnych. Tradycyjne, metody wykrywania tych toksyn były dużo bardziej ograniczone, czasochłonne i drogie.







Filmowy Gimli z „Władcy Pierścieni" jest obecnie jednym z najbardziej znanych przedstawicieli rasy krasnali

**A Kowale trudu i obłudy,
złotnicy zła, szlifierze zysku
Myśl nazywają córką nudy
Choć są więźniami
swych pomysłów,
Wycisną wszystko
z ziemskiej grudy –
Przewrotne, chciwe
krasnoludy**

Jacek Kaczmarski
„Scheda po Tolkienie"





Oto okładka jednej z książek o przygodach Gotreka, zabójcy trolli. Absolutna klasyka gatunku



W wielu książkach osadzonych w świecie Forgotten Realms (AD&D) bohaterami są krasnoludy

KRASNO

Krasnoludowie lub krasnoludy (jak zwykło się mówić mimo starań językoznawców) to wbrew powszechnej opinii wcale nie twór Tolkiena. On jedynie nadał im „ostateczne" kształty i spopularyzował. Tymczasem dzieje owych karłów sięgają czasów odległych o setki lat od Profesora.

Pierwsze Krasnoludy

Istoty przypominające krasnoludy znaleźć można w większości europejskich mitologii. Jednak najprawdopodobniej wszystko zaczęło się od bujnej wyobraźni dawnych Germanów. To oni wymyślili istoty zwane Svartalfar – stworzone przez bogów pragnących skopiować świetlisty ród Alfów (elfów). Ale jak każda kopia, tak i ta okazała się niedoskonała, albowiem bogom wyszły blade potworki, lękające się światła słonecznego. I to mimo że użyto nie byle jakiego surowca, bo kości oraz krwi mocarnego olbrzyma Ymira! Operacja się nie udała, a pacjent choć przeżył, z elfami wspólną miał chyba tylko nazwę – Svartalfar znaczy „mroczne elfy".

Pierwsze znane nam krasnoludy uciekając przed słońcem, którego blask zamieniał je w kamień, schowały się głęboko pod ziemią, gdzie zaopiekowały się ukrytymi tam bogactwami. Odkryły w sobie talent rzemieślniczy, głównie związany z obróbką metali. Potrafiły robić cudeńka nie tylko piękne, ale i o niezwykłych właściwościach, takie jak np. zawsze trafiająca w cel włócznia Odyna albo sławny młot Thora. Ubocznym efektem parania się rzemiosłem był wygląd podziemnej siedziby krasnoludów, która nie należała do najmilszych miejsc – brudna, cuchnąca, wiecznie zasnuta wyziewami kominów, przepełniona ogłaszającym hukiem młotów. Jako istoty szpetne i umorusane, krasnoludy siłą rzeczy nie wzbudziły sympatii wyniosłych Alfów, zresztą z wzajemnością. Obie rasy nieraz toczyły ze sobą boje i nieraz płatały sobie paskudne figle.

Krasnoludy a krasnoludki

W Europie krasnoludy nazywa się zazwyczaj po prostu „karłami". Właśnie takie znaczenie ma angielski dwarf czy niemiecki Zwerg. Polakom jednak karzeł kojarzy się głównie z kaleką, dlatego Maria Skibniewska, tłumaczka dzieł Tolkiena, zrezygnowała z tego słowa na rzecz „krasnoluda". A wybrała je nieprzypadkowo, bowiem bajkowe stworki, co pod grzybami mają budki, to właśnie wynik degradacji germańskich wierzeń.

Tymczasem „krasnolud" to wyraz w polszczyźnie nowy. W kulturze Słowian krasnoludki były niewielkich rozmiarów i widziano w nich duchy związane z domem oraz zagrodą, czasem pomocne, czasem psotliwe (sikały na przykład do mleka, co – jak wiadomo – jest wyłączną przyczyną jego zsiadania się). Na pewno jednak nie wolno ich było lekceważyć. Wręcz przeciwnie, obawiano się ich i składano im ofiary. Tym bardziej, że często stawali się nimi zmarli członkowie rodziny. Nazwa „krasnoludki" pochodzi od czerwonych



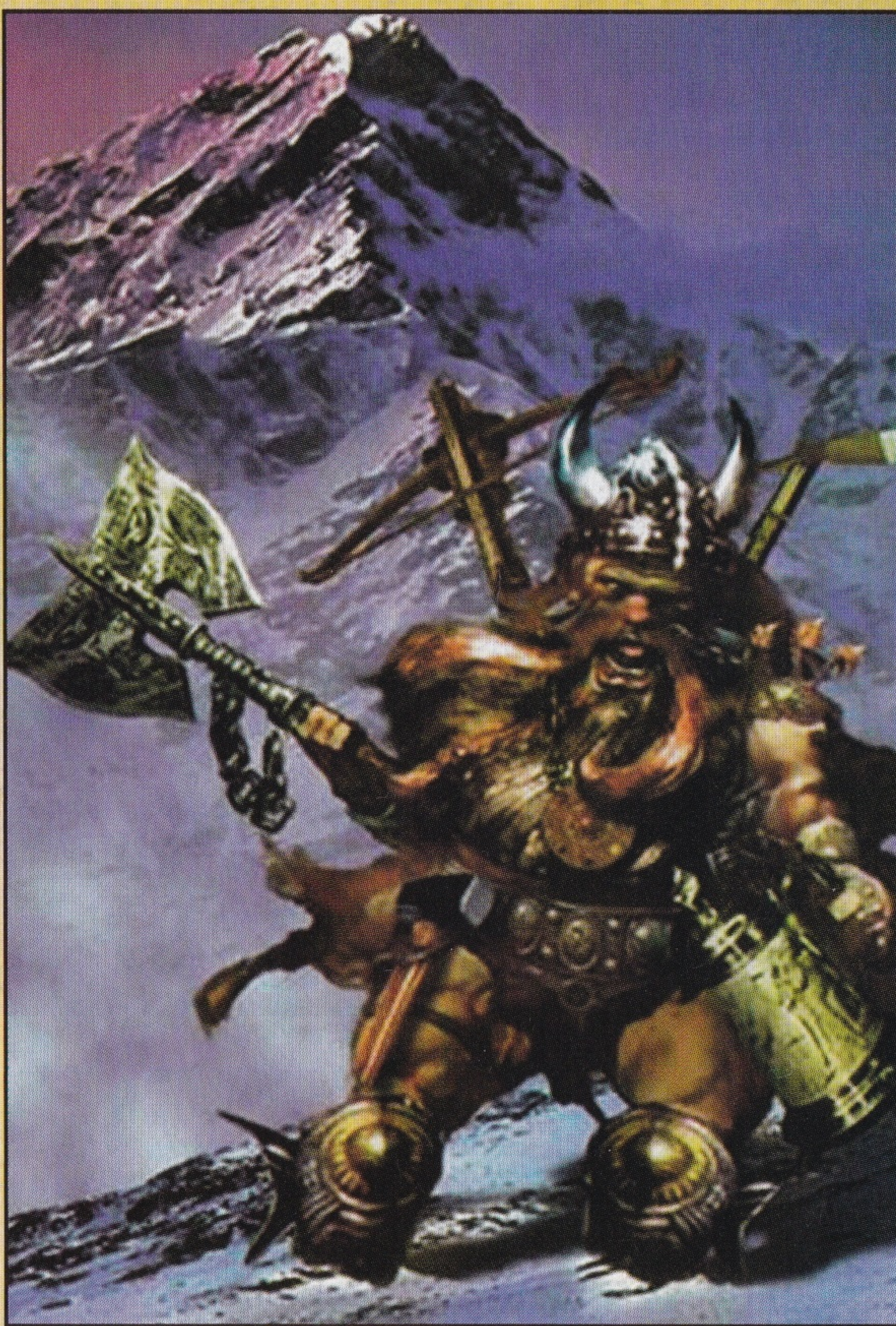
LUDY

strojów (czerwień to tradycyjny kolor magii), ale istotom tym nadawano także miano ubożąt, skrzatów czy kłobuków. Osobą odpowiedzialną za zmianę owych demonów w poczciwe istotki jest Maria Konopnicka, autorka słynnej opowieści o sierotce Marysi. Ponoć na Zachodzie ostatecznym gwoździem do trumny poważnych krasnoludów (czyli odpowiednikiem naszej sierotki Marysi) było dopiero siedmiu krasnoludków ze słynnego filmu Disneya. Bo co do ich literackiego pierwowzoru, nie ma wątpliwości – Śnieżka mieszkała ze zgrają mocarnych krasnoludów!

Apage Satan... Apage Krasnolud?

Jak każdy element pogańskiej mitologii, tak i krasnoludy (a właściwie krasnoludki) zostały „zsatanizowane". Słowianie pod wpływem księży uwierzyli, że po zawarciu paktu z diabłem można dostać od niego krasnoludka, który pomaga w obejściu i zapewnia dostatek, często w sposób niezbyt uczciwy. O posiadaczach bogactw wątpliwego pochodzenia często mawiano, iż pracują na nich krasnoludki. Z czasem niektóre rodzaje tych istot spotkał ten sam los, co leśne demony, takie jak Boruta czy Rokita – uznano je za „regularne" diabły.

Krasnoludy mają opinię niezrównanych wojowników, zaś ich umiejętności władania toporami są wręcz legendarne



Czym się różnią krasnoludy od gnomów?

W sumie: niczym. Owe istoty są tak podobne do siebie (zwłaszcza w mitologii), że zachodzi podejrzenie, iż po prostu jedną rasę uznano za dwa różne rodzaje stworzeń. Sprawcą całego zamieszania jest zapewne niemiecki alchemik Paracelsus, który w swoich pracach zaprezentował duchy powiązane z rozmaitymi żywiołami, w tym gnomy – mądrych opiekunów ziemi i skrytych w niej bogactw. A od nich do podziemnych karłów już tylko jeden krok... I pewnie dlatego szybko przypisano gnomom cechy Svartalfów. Uznano, że są szpetne, wrażliwe na światło i raczej nieprzyjazne ludziom, przed którymi zazdrośnie strzegą skrytych w ziemi skarbów. Do tak pojmowanych gnomów niezwykle podobne są kolty z komiksu „Szninkiel".

Dopiero gry RPG zapoczątkowały przedstawianie gnomów jako miłych stworów, mających jedną krasnoludzką cechę – smykałkę do techniki. Inna sprawa, że one też przypieczętowały podział na gnomy i krasnoludy, ponieważ wcześniej prawdopodobnie używano tych nazw zamiennie. Samo słowo „gnom" (po łacinie gnomus) Paracelsus wymyślił, za wzór biorąc albo greckie „gnome" czyli „rozum", albo sztucznie utworzone „genomos" – „mieszkaniec podziemi".

Ciekawostka: znany ze śląskich legend Skarbnik to nikt inny jak gnom, czyli – w sumie – krasnolud...

Krasnoludzki Tolkien

Najsłynniejsze krasnoludy to oczywiście te stworzone przez J.R.R. Tolkiena. Jako że każdy prawdziwy miłośnik fantasy powinien choć trochę znać twórczość Profesora, nie będę opisywał ich dokładnie. Skupię się przede wszystkim na przedstawieniu różnic między nimi a istniejącym obecnie stereotypem krasnoluda.

W literaturze fantasy utarł się obraz krasnoluda rubasznego, hałaśliwego i chlejącego na potęgę. A tymczasem Tolkien wprost twierdził, że Khazadowie są skryci, mrukliwi i łatwo się obrażają. Po ich zachowaniu widać też, iż to lud bardzo dumny oraz przypuszczalnie dbający o dobre maniery (choć zapewne rozumiane w szczególny sposób). Wypowiedzi krasnoludów ze Śródziemia świadczą o ich obyciu towarzyskim oraz niemałej inteligencji. Ba! Jak wiadomo z „Hobbita", Khazadowie cenią i potrafią tworzyć poezję oraz muzykę. Słowem: bardziej niż z bandą pijanych chamów,

Krasnoludzki stereotyp:

Krasnoludy to pradawna rasa, starsza od ludzi, ale młodsza od elfów. Zwykle czasy swej potęgi ma już za sobą i żyje tylko wspomnieniami dawnej chwały. O tejże chwale świadczą wspaniałe budowle i niezwykłe artefakty, jednak większość krasnoludzkich twierdz to już tylko opuszczone ruiny, zamieszkane przez różne nikczemne stwory.

Krasnoludy są utalentowanymi górnikami, rzemieślnikami i artystami (zajmującymi się jednak sztuką użytkową), a także genialnymi budowniczymi. Zamieszkują zwykle góry oraz wzgórza, gdzie budują wielkie, podziemne twierdze oraz kopalnie.

Krasnoludy, choć z natury dobre i prawe, nie są zbyt piękne. Typowy krasnolud jest niskim, przysadzistym brodaczem (często brzuchatym) o grubych rysach twarzy. Wielce ceni sobie brodę, stanowiącą przedmiot jego męskiej dumy. Jest ona długa, zadbana, a nawet przyozdobiona! Najprostszym sposobem na rozjuszenie krasnoluda jest złośliwa uwaga na temat jego brody lub zrobienie jej czegoś złego. Cechą charakterystyczną krasnoludzkiego ubioru jest kaptur, także element zbroi (zwykle kolczuga) noszony na co dzień.

Krasnoludy żyją bardzo długo, po kilkaset lat, jednak rozmnażają się powoli, albowiem niewiele jest wśród nich kobiet. Stanowią one tak bardzo chroniony skarb, iż nawet nie wiadomo dokładnie, jak wyglądają. Czasem słychać opinie, że tak samo jak mężczyźni (nie wyłączając bród).

Krasnoludy to osobnicy raczej nieskomplikowani, zazwyczaj rubaszni, cechuje ich też niezwykle praktyczne podejście do życia. Z natury są to istoty prawe, ale zbyt łatwo dają się opanować żądzy złota i klejnotów, co ma zwykle opłakane skutki. Dla cennego kruszcu i pięknych kamieni są bowiem w stanie zrobić nieomal wszystko. Nie kochają jednak ich wartości pieniężnej, zachowują się trochę jak sroki – pociąga ich sam urok i blask kosztowności.

Krasnoludy nie lubią się z elfami. Zwykle jest to tylko niechęć, jednak w większości światów fantasy obie rasy toczyły kiedyś ze sobą długie, wyniszczające wojny, które zresztą przyczyniły się do ich upadku. Elfy i krasnoludy mają jednak wspólnych wrogów – gorąco nienawidzą orków, goblinów, trolli oraz wszelkich podobnych im paskudztw.

Krasnoludy to urodzeni wojownicy, mali, ale krępi, zacietki, zręczni i śmiali. Rzadko rozstają się z orężem, a zbroję traktują jak element codziennego stroju. Ich ulubiona broń jest prosta i skuteczna – lubią wszelkiego rodzaju topory, maczugi i bojowe młoty.

Mimo smykałki do wojaczki, górnictwa i techniki, krasnoludy tradycyjnie zupełnie pozbawione są zdolności magicznych.



Wszystkim, którzy marzą o dowodzeniu wojskami krasnoludzkimi na polu bitwy, firma Games Workshop oferuje przepiękne figurki brodaczy

kojarzą się z romantycznym obrazem Wikinga – rycerskiego i prawego barbarzyńcy o poetyckiej duszy.

To najpoważniejsza, ale oczywiście nie jedyna różnica. Fanów krasnoludzkich berserkerów zadziwi pewnie fakt, iż wedle Profesora członkowie małego ludu tradycyjnie zakładali do boju specjalne szkaradne maski, które chroniły ich przed smoczym ogniem.

Krasnoludy i smoki



U Tolkiena do grona tradycyjnych wrogów krasnoludzkiego plemienia należą smoki – w pewnym momencie są nawet jego wrogami największymi. Latające gady to u Profesora stwory do cna złe, a w dodatku łase na klejnoty. Niejedno krasnoludzkie osiedle spłonęło w smoczym dechu, niejeden skarb dostał się w łapska potwora. Wystarczy tylko wspomnieć Smauga i los Ereboru, Samotnej Góry. Nic zatem dziwnego, że nienawiść brodaczy do tych gadów była tak gorąca jak płomienie w kuźni. Za sprawą smoków krasnoludy Śródziemia czuły też niechęć do ludzi. Ludzie bowiem (którzy również nacierpieli się sporo z powodu latających gadów), w pewnym momencie zaczęli brać sprawy w swoje ręce i zabijać potwory. Oczywiście jako osobnicy praktyczni konfiskowali skarbce pokonanych kreatur. Tymczasem w tychże skarbcach aż roiło się od kosztowności zrabowanych krasnoludom, którzy, poniekąd słusznie, domagali się ich bezwarunkowego zwrotu. No i zaczynały się kłótnie...

Twardziele z Warhammera

Poza Tolkienem na polski wizerunek krasnoludów najsilniej wpłynęła rzeczywistość stworzona na potrzeby gry fabularnej „Warhammer", ongiś bijącej w naszym kraju rekordy popularności. Stary Świat jest przerobioną na modłę fantasy rzeczywistością wczesnego XVI wieku, przedstawioną w mrocznym stylu. Krasnoludy Starego Świata są stereotypowe: nie lubią elfów, nienawidzą orków oraz goblinów, a czasy potęgi mają dawno za sobą. Jednak z ich rasy wywodzi się najsłynniejsza, wręcz sztandarowa postać rzeczywistości „Warhammera": Gotrek Gurnisson. Jest on fenomenalnym wojownikiem, ale także ordynarnym i cuchnącym prostakiem, a w dodatku krasnoludzkim szowinistą ciągle drwiącym ze słabej ludzkiej rasy. Daleko mu do majestatycznego i ponurego Khazada, trudno go też podejrzewać o zdolności poetyckie. Choć, o dziwo, kiedy trzeba Gurnisson wykazuje się honorem i prawością.

Zachowanie i wygląd Gotreka wiążą się w znacznej mierze z jego profesją, charakterystyczną tylko dla krasnoludów Starego Świata. Gurnisson to mianowicie zabójca trolli – wojownik, który po okryciu się hańbą skazał się na dobrowolną banicję i szuka chwalebnej śmierci w boju, mogącej odkupić jego winy. Zabójców trolli poza szaleństwem w oczach wyróżniają tatuaże, zamiłowanie do piercingu (Gotrek nosi łańcuszek łączący nozdrze z uchem) oraz ufarbowane na czerwono, nastroszone włosy, zwykle w formie „irokeza". A także niechęć do higieny osobistej i wielka drażliwość.

Krasnoludy Starego Świata mają też coś, czego brakuje wielu ich pobratymcom z innych baśniowych rzeczywistości. W największym i najsilniejszym ze stworzonych przez ludzi państw kontynentu, Imperium (wzorowanym na Cesarstwie Niemieckim) darzy się ten lud wielkim szacunkiem i przyjaźnią, której korzenie sięgają tysięcy lat wstecz. Starczy wspomnieć, że tradycyjnie każdy wielki teogonista Imperium (jakby miejscowy papież) przybiera krasnoludzkie imię.

Krasnoludy Świata Dysku

Literatura fantasy stworzyła również krasnoludy sparodiowane, z których najbardziej znane występują w cyklu „Świat Dysku" Terry'ego Pratchetta. A zatem krasnoludy zamieszkujące ową rzeczywistość (dysk osadzony na skorupie żółwia, spoczywającego na grzbietach czterech słoni) to w obrębie swoich kopalń istoty prawe oraz szlachetne. Jednak gdy tylko opuszczą własne siedziby, natychmiast stają się drażliwymi brutalami. Wygląd obu krasnoludzkich płci jest identyczny, przez co łatwo o pomyłki. Owe krasnoludy niemal za punkt honoru uważają obwieszenie się jak największą ilością żelastwa, mają nawet metalowe buty, a ich język jest tak trudny, że sami go nie używają, woląc prostszą mowę ludzi. Rozmnażają się powoli i z trudem, dlatego nie wahają się przed międzyrasowymi adopcjami (jednym z bohaterów książek Pratchetta jest krasnolud Marchewa, biologicznie stuprocentowy człowiek). A największą obrazą dla krasnoluda ze Świata Dysku jest nazwanie go ozdobą trawnikową...

Sapkowski i siedmiu krasnoludów

Zapewne krasnoludy w wersji Andrzeja Sapkowskiego nie wpłynęą na światowy wizerunek tych istot, jednak na pewno miały olbrzymi wpływ na obraz tej rasy powstały w głowach polskich miłośników fantasy. Krasnoludy Sapkowskiego na pierwszy rzut oka zdają się całkiem podobne do tolkienowskich. Też są utalentowanymi górnikami oraz rzemieślnikami i chętnie mieszkają w górskich twierdzach. Ale kiedy przyjrzeć im się bliżej, okazują się bardzo różne. Różnica owa dotyczy przede wszystkim mentalności. Sposób, w jaki twórca wiedźmina zaprezentował te istoty, walnie przyczynił się do widzenia

w brodaczach rubasznych, prostackich drabów o złotych (czasem) sercach. „Sapkowskie" krasnoludy nie stronią od trunków, a dobre maniery mają za nic (zwłaszcza gdy się kłócą). Lubią też i potrafią się bić. Trochę przypominają stereotypowych Rosjan, takich jakimi widzi się ich na Zachodzie: nieokrzesanych, ale wesołych, zadziornych oraz sprawiedliwych. Co ciekawe, w jednej ze scen „Pani Jeziora" (piątego tomu sagi o wiedźminie) krasnoludy swoje spory rozwiązują w pojedynku na pięści, tak zwanym kułaczym boju – doskonale znanym z rosyjskiej tradycji.

Krasnoludy Sapkowskiego zdają się nie odczuwać aż tak wielkiej żądzy złota i klejnotów, jak ich pobratymcy z innych światów. Zastąpiła ją wielka miłość do pieniędzy, połączona z talentem do ich zarabiania oraz obracania funduszami. To w ich rękach pozostaje większość banków, lombardów oraz kantorów świata wiedźmina. Podobnie jak u Tolkiena posiadają swój język, ale używają go rzadko, zaś z podanych nielicznych przykładów wynika, iż przypomina on jakiś język germański. Imiona oraz nazwiska prawdopodobnie wybierają sobie z innej mowy, na co wskazuje fakt, że nazywając swoich krasnoludzkich bohaterów Sapkowski czerpał z najróżniejszych źródeł, na przykład włoskiego (Vivaldi), węgierskiego (Zoltan), hebrajskiego (Caleb).

Krasnoludy pana polityka

Polacy nie gęsi i też swoje krasnoludy mają. Swego czasu Rafał Ziemkiewicz (znany dziś z aktywności na polu dziennikarstwa politycznego) spróbował metodą Tolkiena zbudować rzeczywistość fantasy opartą na mitologii słowiańskiej. W powstałej w ten sposób swojskiej Slenganii (opisanej w książce „Skarby Stolinów") kazał żyć równie swojskim stolinom, czyli miejscowej wersji krasnoludów. W sumie to aż za swojskiej, bowiem opisy ich legendarnych kopalń i podziemnych pałaców mimo wszystko za bardzo przypominają te znane z krasnoludzkiego kanonu. Wyglądem stoliny różniły się jednak od tolkienowskich brodaczy dość znacznie, bo choć prawe, przypominały monstra: małe, włochate, z kłami i o czerwonych oczach. Ciekawostka: stoliny nie lękały się śmierci, bowiem po zgonie ich duch przenosił się od razu do innego ciała i trwał, póki istniał ród.



Krasnoludzka ziemia obiecana

Jedne z niewielu „polskich" krasnoludów pojawiają się w opowiadaniach Jacka Piekary o czarodzieju Arivaldzie.

Krasnoludy te nie odbiegają drastycznie od kanonu, mają jednak kilka cech wyróżniających: po pierwsze ich gatunek nie ma za sobą najlepszych lat i nie chyli się ku upadkowi. Rasa, z którą mają najbardziej na pieńku, to nie elfy czy orkowie, ale koboldy, istoty także pracujące pod ziemią i wcale nie zdegenerowane ani do cna złe – po prostu inne. Krasnoludy Piekary sprawiają wrażenie świetnych kupców, są też przemytnikami i w ogóle mistrzami w robieniu interesów. Teoria mówi, że nie są w stanie poznać magii, lecz w praktyce okazuje się, że mogą przyswoić pewne zaklęcia, ale nauka idzie im niezwykle opornie. Co ciekawe, mają też własne, osobne zaświaty (miejsce, które uważają za Raj), do których w sprzyjających okolicznościach mogą wejść nawet za życia. Krasnoludzki Raj znajduje się pod ziemią, a jego rozkosze to ciężka praca w kopalniach, drążenie tuneli i odkrywanie skarbów. A jedyną radością jest samo tych skarbów wydobywanie i posiadanie, gdyż na korzystanie z nich nie ma już czasu.

Krasnoludy rządzą!

O krasnoludach znajdujących się u szczytu potęgi opowiada świat gry fabularnej „Earthdawn – przebudzenie Ziemi". Ową rzeczywistość przeorał ongi najazd istot z innego wymiaru, tak zwanych Horrorów, którego skutki przyrównać można do efektów wojny nuklearnej. Ale gdy nastał czas, by dźwignąć zniszczony świat z ruin, okazało się, że najlepiej robią to właśnie krasnoludy. Szybko wysunęły się one na pierwsze miejsce wśród wszystkich ludów zamieszkujących główną krainę gry, a ich język stał się językiem uniwersalnym. Krasnoludy tego świata przecierają szlaki handlowe, a także uczą pozostałe ludy jak żyć w pokoju, zgodzie i dostatku. Uważają się za naturalnych przywódców wszystkich rozumnych ras, a i rzeczone rasy zdają się podzielać ową opinię. Tym bardziej, że mali brodacze stanowią największą w regionie potęgę militarną.

Krasnoludom dziękujemy

Rzec można, że historia krasnoludów zatoczyła koło. Z pradawnej, potężnej rasy zmieniły się w śmieszne stworki, a potem za sprawą genialnej powieści Tolkiena powróciły w glorii chwały. Przy okazji doznały swoistego rozdwojenia jaźni, bo dziś uznaje się krasnoludy i krasnoludki za oddzielne rodzaje istot, chociaż w rzeczywistości to jedno i to samo. Może i lepiej, że tak się stało, bo pomyślcie, jak czułoby się małe dziecko, wyobrażając sobie sierotkę Marysię w otoczeniu brodatych osiłków, klących i chlających piwo wymieszane z gorzałą!

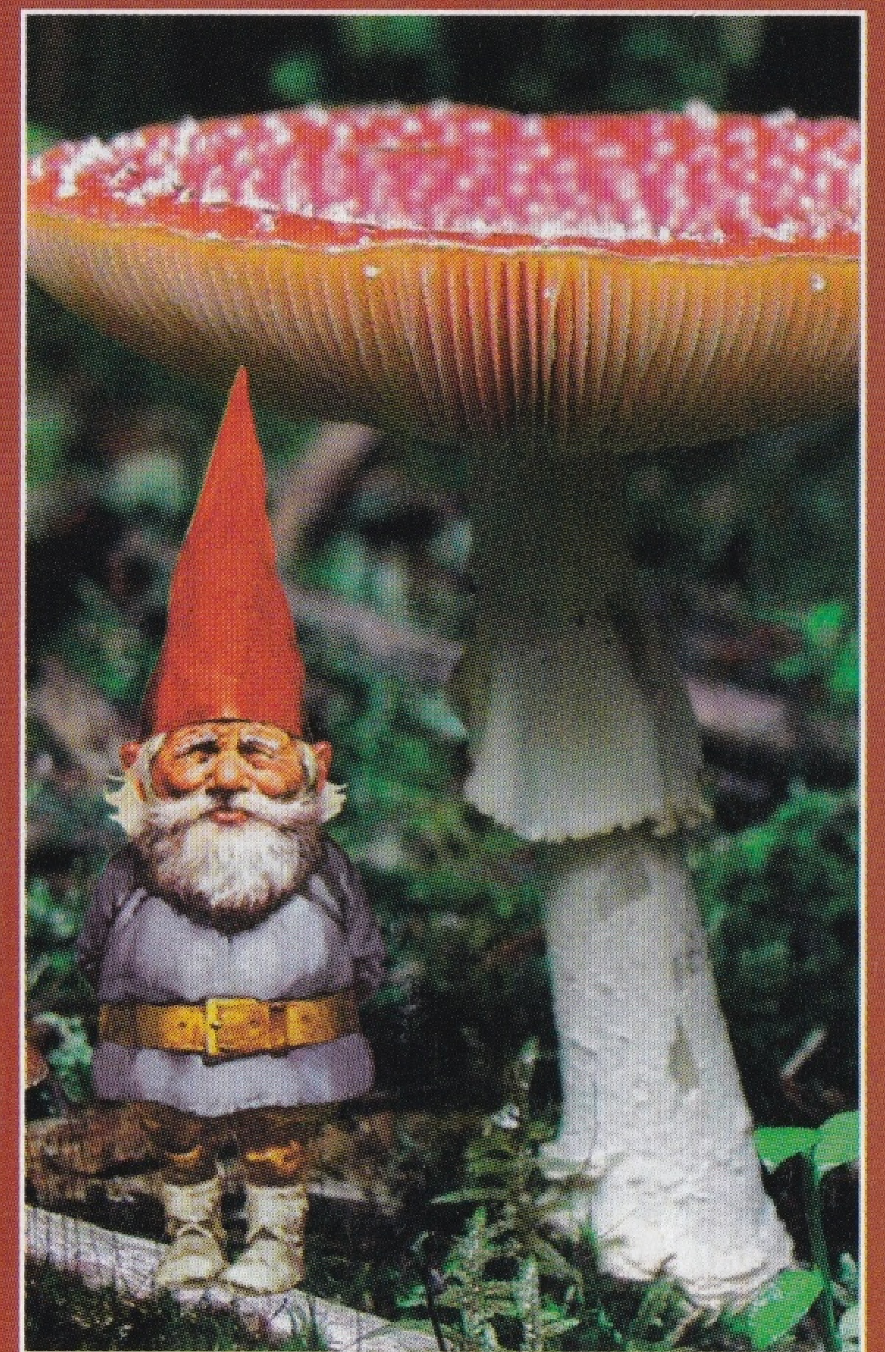
Szkoda, że pisarze w sumie rzadko sięgają po krasnoludy, jakby bojąc się zarzutów o naśladowanie twórczości Tolkiena (z drugiej strony nie wahają się naśladować jej pod każdym innym względem). A przecież jeśli już coś kopiować, to tylko dawne mity – co w fantasy dozwolone, nawet wskazane! Tylko w RPG, pozbawionej takich kompleksów, pracowite karły zjawiają się często i w dużych ilościach. A zatem, literaci, nie bójcie się krasnoludów, oryginalności wam nie ubędzie!

■ **Maciej Nowak-Kreyer, zdjęcia Warner Bros, rys. Magda Nalazek i Waldemar Siwek**



Krasnoludki na haju

Niektóre narkotyki wywołują halucynacje, polegające na widzeniu nieprawdziwych rozmiarów osób i przedmiotów, na przykład postrzeganie ich jako niezwykle małych. Odpowiedzialne za to substancje występują w niektórych grzybach, zwłaszcza muchomorach. Może to nie przypadek, że właśnie pod nimi krasnoludki mają swe budki?

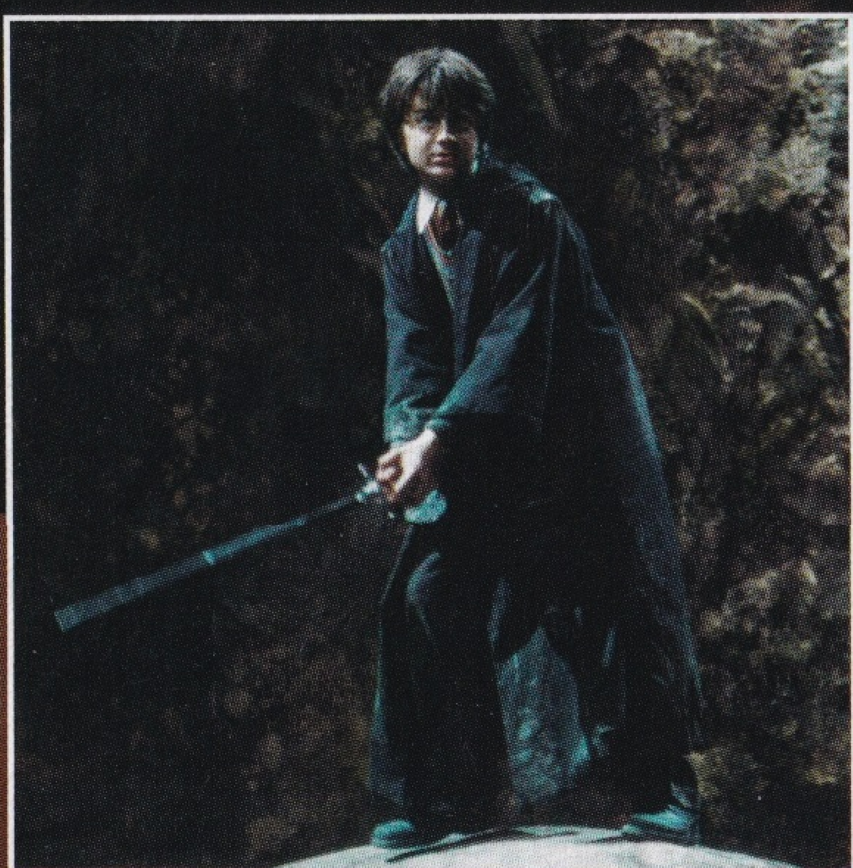


Khazad z gwiazdą Dawida!

Zdaniem niektórych znawców Tolkiena, przedstawiony przezeń język krasnoludzki wzorowany był na hebrajskim – dotyczy to zwłaszcza jego gardłowej wymowy i niechęci do samogłosek. Nie wiadomo jednak, czy w związku z tym należy uznać krasnoludy za podobnych do Żydów – chociaż te ich brody...



Uwaga! Poniższy tekst to tzw. „spoiler" zdradzający fabułę książki. Jeśli jesteś ciekawski, zapraszamy do czytania.



Historia Pottera rozpoczyna się, kiedy ma on 11 lat. Ale w „Zakonie Feniksa" zaczynają już buzować hormony!



Draco Malfoy i jego kumple są najzajadlejszymi wrogami Pottera w Hogwarcie. Należą do domu Slytherin

HARRY POTTER

Harry Potter, sierota, wychowywany (z dużą niechęcią) przez wujostwo Dursleyów dowiaduje się pewnego dnia, że jego rodzice nie zginęli w wypadku samochodowym, lecz zostali zamordowani przez złego czarnoksiężnika Voldemorta, a on sam jest czarodziejem. Bardzo znanym czarodziejem. I czeka na niego miejsce w Hogwarcie, Szkole Magii i Czarodziejstwa.

Podczas trzech pierwszych lat nauki Harry nie pozwala Voldemortowi zdobyć kamienia filozoficznego, udaremnia knowania cienia Voldemorta z przeszłości, zamyka legendarną Komnatę Tajemnic, ratuje życie swemu ojcu chrzestnemu Syriuszowi Blackowi oraz hipogryfowi imieniem Hardodziób. W czwartym tomie wygrywa Turniej Trójmagiczny i staje twarzą w twarz z już w pełni odrodzonym Voldemortem. Poza tym wielokrotnie wygrywa w quiddicha (czarodziejski sport rozgrywany w powietrzu na miotłach), zdobywa wiernych przyjaciół oraz zajadłych wrogów.

Dementorzy

Część piąta serii, „Harry Potter i Zakon Feniksa", rozpoczyna się, jak zawsze, latem na Privet Drive. Po wydarzeniach sprzed miesiąca Harry niecierpliwie zagląda na pierwszą stronę „Proroka codziennego" i ukradkiem podsłuchuje telewizyjne dzienniki, czekając na jakieś wieści o powrocie Voldemorta bądź strasznych wydarzeniach z tym związanych. Nie dzieje się jednak nic niezwykłego, aż do dnia, gdy wracając wieczorem do domu z kuzynem, zostają zaatakowani przez dwóch dementorów. Harry odpędza ich, przywołując patronusa. Nagle do akcji wkracza sąsiadka, która, jak się okazuje, choć sama nie ma talentu magicznego, pomaga Dumbledore'owi i strzeże Harry'ego.

Listy

Harry i wstrząśnięty Dudley wracają do domu. Dochodzi do awantury. Dursleyowie już mają go nieodwołalnie wyrzucić, gdy pojawiają się listy do Harry'ego: z Ministerstwa Magii, informujący go, iż rzucając zaklęcie, złamał prawo i zostaje wydalony z Hogwartu oraz pozbawiony różdżki; od pana Wesleya, zakazujący mu wychodzenia z domu; kolejny z ministerstwa, cofający decyzję o wydaleniu i zapowiadający przesłuchanie dyscyplinarne; i od Syriusza, potwierdzający polecenia Weasleya. Nadchodzi również wyjec adresowany do... ciotki Petunii i przypominający jej o czymś. Ciotka gładko zmienia zdanie, nakazując Harry'emu zostać w domu.

Zakon Feniksa

Mijają trzy dni. Trzeciego wieczoru pod nieobecność Dursleyów w domu przy Privet Drive pojawiają się niespodziewani goście – cała grupa czarodziejów przybywających po Harry'ego. Są wśród nich Szalonooki Moody i Remus Lupin. To członkowie Zakonu Feniksa, organizacji założonej niegdyś przez Dumbledore'a i skupiającej przeciwników Voldemorta. Zabierają Harry'ego do tajnej siedziby Zakonu, zaczarowanego domu w Londynie, gdzie witają go Weasleyowie, Hermiona i Syriusz Black. Sam dom to stara siedziba rodu Blacków, głównie czarnoksiężników najczystszej krwi i – poza Syriuszem – zwolenników Czarnego Pana (do rodu tego, co Harry odkrywa ze zdumieniem, należą między innymi kuzynki Syriusza: uwięziona w Azkabanie Bellatrix Lestrange i Narcissa, obecnie... żona Lucjusza Malfoya i matka Draco). Harry dowiaduje się, że Ministerstwo Magii całe lato prowadziło przeciw niemu i Dumbledore'owi starannie zaplanowaną kampanię oszczerstw. W efekcie Harry stał się pośmiewiskiem, a starego maga pozbawiono większości zaszczytów i stano-



wisk. Percy Weasley zaś zerwał z rodziną, opowiadając się całkowicie po stronie ministra magii Korneliusza Knota.

Przesłuchanie

W końcu nadchodzi dzień przesłuchania. Pan Weasley osobiście zabiera Harry'ego do ministerstwa, gdzie dostają się dzięki zaczarowanej budce telefonicznej. Przez Departament Tajemnic Harry trafia na salę sadową, a przesłuchanie okazuje się w istocie prawdziwą rozprawą, której przewodniczy sam minister Knot, wspomagany dzielnie przez nieznaną bliżej, podobną do ropuchy kobietę, Dolores Umbridge. Na szczęście na miejscu pojawia się Dumbledore i Harry zostaje oczyszczony z zarzutów. W drodze powrotnej spotyka Lucjusza Malfoya, rozmawiającego z ministrem.

Witaj, szkoło

Do całej gromady uczniów przebywających w kwaterze głównej Zakonu Feniksa przychodzą listy ze spisami podręczników. Dwa z tych listów zawierają coś jeszcze – odznaki prefektów. Otrzymują je Hermiona – i, ku zaskoczeniu wszystkich, a najbardziej swojemu własnemu, Ron. Harry, choć nieprzyjemnie zdziwiony, ukrywa to i szczerze gratuluje przyjacielowi. Całą grupą wyruszają na dworzec, a mimo protestów pani Weasley towarzyszy im też Syriusz pod postacią psa.

W pociągu Harry nie może jak zawsze siedzieć z Ronem i Hermioną, oboje bowiem muszą zająć miejsca w przedziale dla prefektów. Wybiera zatem przedział, w którym są Ginny Weasley i Neville Longbottom, a także dziwna dziewczyna, czytająca do góry nogami magicznego brukowca. To Luna Lovegood z Ravenclawu, koleżanka Ginny i córka redaktora naczelnego owego pisma. Po drobnej utarczce z Malfoyem (obecnie, jakżeby inaczej, prefektem Slytherinu) docierają na miejsce i Harry wstrząśnięty widzi, że do powozów, które dotąd wydawały się być ciągnięte jakąś magiczną siłą, są w istocie zaprzężone jakieś upiorne stwory. Okazuje się także, że prócz niego dostrzega je tylko Luna.

Nowiny

Podczas tradycyjnej uczty powitalnej dochodzi do dwóch niezwykłych wydarzeń. Najpierw Tiara Przydziału w swej corocznej pieśni miast o historii szkoły śpiewa o wielkim zagrożeniu i potrzebie zapomnienia o tym, co dzieli i zjednoczenia sił, a potem nowa nauczycielka obrony przed czarną magią przerywa przemowę Dumbledore'a. Nauczycielką tą jest podsekretarz w Ministerstwie Magii, Dolores Umbridge. Harry'ego niepokoi jeszcze jedno – nigdzie nie widać Hagrida.

Wieczorem Harry przekonuje się boleśnie, jak wielki wpływ na niektórych wywarły artykuły z „Proroka Codziennego" – kolega z pokoju, Seamus, nie chce z nim rozmawiać. Inni uczniowie też patrzą na niego dziwnie. Ron i Hermiona mają inne problemy – jako prefekci muszą zareagować na działalność biznesową Freda i George'a, którzy prowadzą doświadczenia nad pastylkami wywołującymi przeróżne paskudne objawy (co pozwala urwać się z lekcji). Hermiona znajduje sobie też dodatkowe zajęcie – robi na drutach czapki dla skrzatów i rozrzuca je po całym domu w nadziei, że jeśli jakiś skrzat natknie się na nie, weźmie którąś do ręki i stanie się wolny. Skrzaty, delikatnie mówiąc, nie są tym pomysłem zachwycone.

Nauka

Rozpoczynają się zajęcia. Wszyscy nauczyciele przypominają piątoklasistom, że pod koniec roku czekają ich egzaminy na zaliczenie Standardowych Umiejętności Magicznych, czyli SUM'ów. Ich wyniki i przedmioty, jakie wybiorą, będą mieć decydujący wpływ na ich przyszłość.

Pierwsza lekcja z Dolores Umbridge kończy się dla Harry'ego katastrofalnie. Nowa nauczycielka nie pozwala na żadne ćwiczenia praktyczne, a kiedy Harry wspomina o powrocie Voldemorta, zostaje ukarany tygodniowymi dodatkowymi zajęciami z Umbridge. Co oznacza, że nie może być obecny na treningu quidditcha połączonym ze sprawdzaniem kandydatów na miejsce obrońcy. Profesor McGonagall ostrzega go, by był bardzo ostrożny.

Profesor Umbridge wyznacza Harry'emu sadystyczną karę – przepisywanie w kółko zdania „nie będę kłamał" piórem, które pozostawia litery wycięte na skórze jego dłoni. Harry jednak nie wspomina o tym nikomu. Ron także znika wieczorami – dopiero po kilku dniach przyznaje się, że zamierza wystartować w konkursie o miejsce w dru-



Mecze quidditcha to jedno z najważniejszych wydarzeń w Hogwarcie

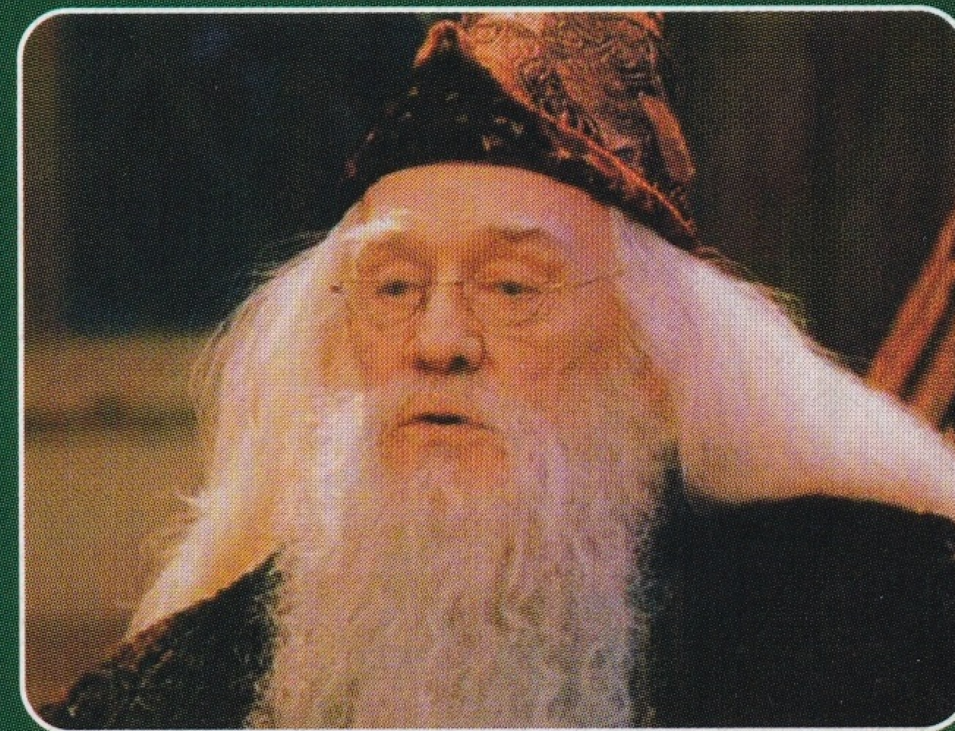
ZAKON FENIKSA



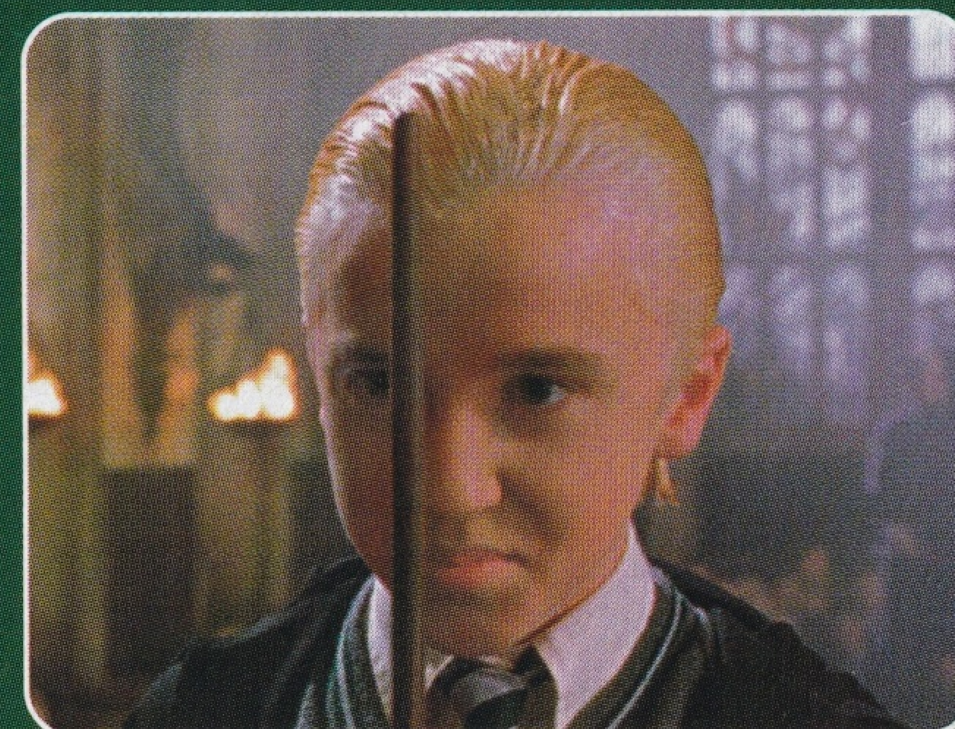
Prymuska Hermiona wszystko wie najlepiej i wszystko robi najlepiej



Profesor McGonagall, opiekunka domu Gryffindor, jest surowa, lecz sprawiedliwa



Profesor Dumbledore szefuje hogwarckiej szkole i opiekuje się Harrym



Draco Malfoy idzie w ślady swego tatuśka – jednego z najpodlejszych magów



Profesor Snape nie przepada za Harrym, gdyż ojciec Pottera pastwił się nad nim w szkole



Ogromny Hagrid jest zapalonym miłośnikiem magicznych stworzeń, przez co nieraz naraża na niebezpieczeństwo siebie i swoich przyjaciół

żynie Gryffindoru. Odkrywa też, jaką karę wymierzyła Harry'emu Umbridge, jednak Harry, mimo nalegań przyjaciół, nie chce zwrócić się do Dumbledore'a. Nie robi tego nawet wtedy, gdy zaczyna go mocno boleć blizna.

Spiski i tajemnice

Harry próbuje skontaktować się z Syriuszem i odkrywa, że ktoś kontroluje sowią pocztę. Udaje mu się jednak przesłać niewinnie wyglądającą wiadomość i Syriusz pojawia się nocą w kominku. Lekceważy bolącą bliznę, informuje jednak Harry'ego, że za działaniami Umbridge stoi minister Knot, który obawia się Dumbledore'a i nie chce, by uczniowie potrafili walczyć, bo mogliby stworzyć armię i przeciwstawić się władzy ministerstwa.

Pierwszy trening Rona nie wypada najlepiej. Hagrida nadal nie ma w szkole, uczniowie ledwo zipią, przywaleni potwornymi ilościami zadań domowych, a w dodatku Harry znajduje w „Proroku Codziennym" informację, że Sturgis Podmore, jeden z członków Zakonu, został aresztowany w nocy w Ministerstwie. Czarę goryczy przepełnia wiadomość, iż minister magii mianował Dolores Umbridge inkwizytorką Hogwartu, co daje jej prawo przeprowadzania inspekcji i oceniania nauczycieli. Gazeta traktuje to jako pierwszy krok prowadzący do usunięcia Dumbledore'a ze szkoły.

Inspekcje

Nauczyciele nie ukrywają niechęci do nowej inkwizytorki, która jednak się tym wcale nie przejmuje. Jasno widać, że wizytacja lekcji wróżbiarstwa nie poszła najlepiej. Harry zarabia kolejną karę u Umbridge, a Hermiona wpada na pomysł, by zorganizować kółko naukowe i rozpocząć samodzielne praktyczne ćwiczenia z obrony przez czarną magią. Proponuje też Harry'emu, by to on uczył innych. Harry zgadza się z wahaniem, a Hermiona zaprasza zainteresowanych uczniów do pubu w Hogsmeade.

Grupa

Ku zaskoczeniu Harry'ego, w pubie zjawia się całkiem pokaźna grupa – są tam bliźniacy i Ginny Weasley, Neville Longbottom, Luna, Angelina Johnson z drużyny Gryffindoru – i Cho Chang, dziewczyna, o której Harry myślał całe lato. Ustalają wstępne zasady, a Hermiona prosi wszystkich o wpisanie się na listę i o dyskrecję, mimo iż przepisy szkolne nie zabraniają organizowania podobnych kół pomocy. Nie na długo jednak – już w poniedziałek zostaje ogłoszony dekret edukacyjny, rozwiązujący wszystkie stowarzyszenia uczniowskie i pozwalający zakładać nowe jedynie za zgodą inkwizytorki – pod karą wydalenia z Hogwartu. Dotyczy to też drużyn quidditcha. Mimo to zainteresowani lekcjami z Harrym postanawiają kontynuować naukę. Wiedzą, że żaden z członków grupy nie doniósł, bo Hermiona rzuciła zaklęcie na pergamin z nazwiskami.

Harry dostaje też list od Syriusza, ale niosąca go Hedwiga zjawia się ranna – i podczas następnej rozmowy w kominku pojawia się nagle ręka Umbridge, próbująca schwytać Blacka. Grupa spotyka się w tajnym pokoju, o którym powiedział Harry'emu Zgredek – pomieszczeniu pojawiającym się wtedy, gdy ktoś bardzo go potrzebuje, i zawsze odpowiednio wyposażonym. Przyjmują też nazwę – Armia Dumbledore'a.

Pasmo nieszczęść

Pierwszy mecz sezonu, Gryffindor kontra Slytherin, co prawda kończy się wygraną Gryfonów, ale Ronowi nie idzie najlepiej, a co gorsza, tuż po meczu dochodzi do bójki George'a i Harry'ego z Malfoyem. Umbridge, wyposażona w nowe uprawnienia, skrzętnie wykorzystuje sytuację i zakazuje Harry'emu i bliźniakom grać w quidditcha – dożywotnio. Konfiskuje też ich miotły. Hermiona próbuje pocieszyć przyjaciół jedyną pozytywną rzeczą, jaka się wydarzyła – powrotem Hagrida. Hagrid opowiada im o swej wyprawie do krainy olbrzymów, zakończonej niepowodzeniem. Wkrótce potem Umbridge przeprowadza wizytację na jego lekcji, na której Hagrid pokazuje uczniom testrale – niezwykle mięsożerne konie, te same, które Har-



ry zobaczył przy szkolnych powozach. Dopiero teraz dowiaduje się, czemu inni ich nie widzieli – może je zobaczyć tylko ktoś, kto na własne oczy oglądał śmierć. Wizytacja nie wypada pomyślnie i uczniowie obawiają się, że Hagrid, podobnie jak profesor Trelawney, zostanie zawieszony.

Zbliżają się Święta. Ginny zostaje nowym szukającym Gryffindoru, Cho całuje Harry'ego pod jemiołą i wszyscy szykują się na Boże Narodzenie w Norze. Jednak tuż przed wyjazdem Harry ma dziwny sen – wydaje mu się, że jest wężem, który podpełza do mężczyzny i atakuje go gwałtownie. Mężczyzną tym jest Artur Weasley.

Sny

Harry i profesor McGonagall biegną do dyrektora. Dumbledore zawiadamia Zakon. Istotnie, pan Weasley został zaatakowany. W ciężkim stanie trafia do magicznego szpitala świętego Munga. Dumbledore zabiera wszystkich Weasleyów i Harry'ego do siedziby Zakonu w Londynie, gdzie mają czekać na wieści. Na szczęście obrażenia pana Weasleya, choć ciężkie, nie są śmiertelne. Kiedy chłopcy składają mu wizytę w szpitalu, przypadkiem trafiają na piętro przeznaczone dla pacjentów z trwałymi urazami pomagicznymi. Spotykają tam Gilderoya Lockharta, nadal cierpiącego na zanik pamięci – a także Neville'a, który odwiedza właśnie swych rodziców.

W domu Syriusza pojawia się Snape i informuje Harry'ego, iż Dumbledore'a zaniepokoiły jego sny i polecił mu zgłosić się do Snape'a na lekcje zamykania umysłu. Rozpoczynają je natychmiast po powrocie ze szkoły. Harry'emu nie idzie zbyt dobrze, rozpoznaje jednak korytarz, o którym śni od miesięcy – to korytarz w ministerstwie, w Departamencie Tajemnic. Wieczorem czuje, że stało się coś złego – Voldemort jest z czegoś bardzo zadowolony. Rano gazeta donosi, że z Azkabanu zbiegło dziesięcioro najgorszych śmierciożerców – w tym Bellatrix Lestrange.

Coraz gorzej

Pojawiają się nowe dekrety. Odtąd nauczycielom nie wolno ujawniać uczniom żadnych informacji niezwiązanych z przedmiotami nauczania. Hagrid zostaje zawieszony, a randka Harry'ego i Cho w Walentynki okazuje się katastrofą. Hermiona natomiast wpada na pomysł i umawia Harry'ego na wywiad z Ritą Skeeter – wywiad, w którym Harry opowiada o spotkaniu z Voldemortem.

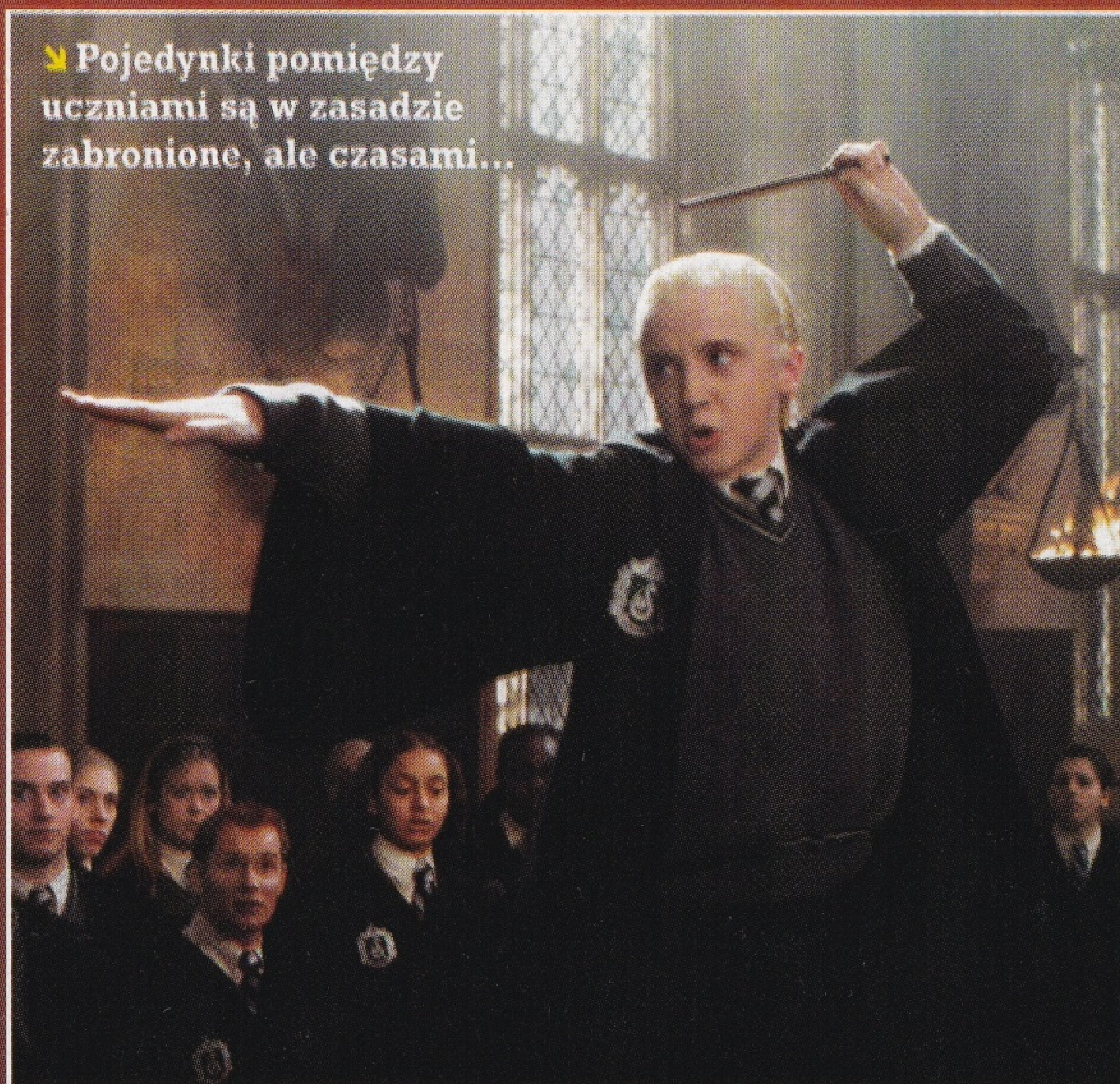
Harry'ego nawiedzają coraz wyraźniejsze sny, a lekcje ze Snape'em nie przynoszą pożądanych efektów. Jedną z nich przerywają rozpaczliwe krzyki – profesor Trelawney została właśnie zwolniona. Nagle pojawia się Dumbledore i ku zawodowi Umbridge przedstawia im nowego nauczyciela wróżbiarstwa – centaura Firenze.

Jakby nie dość było nieszczęść, Armia Dumbledore'a zostaje zdradzona. Harry trafia przed oblicze samego ministra magii. Nagle jednak Dumbledore przyznaje się do organizowania spotkań DA, ogłusza obecnych aurorów i znika. Umbridge zostaje dyrektorką Hogwartu.

Ciężkie czasy

W Hogwarcie nastają nowe porządki. Członkowie Oddziału Inkwizytorskiego – w tym Malfoy – dostają prawo odbierania punktów domom. Umbridge próbuje napoić Harry'ego serum prawdy. Bliźniacy postanawiają z hukiem opuścić szkołę i zaczynają czynić przygotowania, a Harry, po kolejnej nieudanej lekcji, nie potrafi oprzeć się pokusie i ogląda wspomnienia Snape'a dotyczące lat szkolnych. Widzi swego ojca i Syriusza, traktujących młodego Snape'a okrutnie, znęcających się nad nim,





Pojedynki pomiędzy uczniami są w zasadzie zabronione, ale czasami...

popisujących się przed innymi. Snape przyłapuje Harry'ego i wściekły na zawsze kończy lekcje.

Harry zgadza się na propozycję bliźniaków – oni odwrócą uwagę Umbridge, a on zakradnie się do jej gabinetu i przez niestrzeżony kominek porozmawia z Syriuszem. Plan wypala, a bliźniacy, zadowoleni ze swego wybryku, rzucają szkołę i odlatują, co wywołuje ogromne poruszenie wśród uczniów.

W dniu ostatniego meczu o mistrzostwo, Gryffindor kontra Ravenclaw, w chwili, gdy Gryfoni przegrywają, Hagrid odwołuje na bok Harry'ego i Hermionę i prowadzi ich do Zakazanego Lasu. Okazuje się, że trzyma tam swojego przyrodniego brata, olbrzyma. Tymczasem dzięki Ronowi i Ginny Gryffindor wygrywa i zdobywa puchar quidditcha.

Zaczynają się egzaminy SUM. Do Hogwartu przybywa komisja. Podczas nocnego sprawdzianu z astronomii dochodzi do zamieszania. Grupa ludzi pod dowództwem Umbridge usiłuje obezwładnić Hagrida, który jednak ucieka. Trzy zaklęcia ogłuszające trafiają natomiast profesor McGonagall. Później Harry'ego nawiedza wizja Syriusza klęczącego przed Voldemortem – w Departamencie Tajemnic.

Walka

Harry po raz drugi włamuje się do gabinetu Umbridge, jednak nie zastaje Syriusza – jego antypatyczny domowy skrzat informuje, że pana nie ma. Tuż po tym zjawia się Umbridge. Zaczyna przesłuchiwać Harry'ego, wzywa też Snape'a, którego Harry ostrzega w sposób zrozumiały tylko dla nich obu. Zjawia się Hermiona i ze łzami wyznaje, że oboje spiskowali, chroniąc specjalną broń Dumbledore'a – przechowywaną w Zakazanym Lesie. Prowadzą tam Umbridge, która zostaje zaatakowana przez centaury. Hermionę i Harry'ego ratuje młody olbrzym.

Harry postanawia wyruszyć do ministerstwa. Przyjaciele nie pozwalają mu lecieć samemu. W sumie wyrusza ich szóstka – Harry, Hermiona, Ron, Ginny, Luna i Neville. Wszyscy dosiadają testrali. Dostają się do ministerstwa i w końcu trafiają do sali, gdzie przechowywane są proroctwa. Tam zaś czekają śmierciożercy. Okazuje się, że wizja Syriusza była pułapką. Cały czas chodziło o ściągnięcie Harry'ego, on bowiem jako jedyny prócz Voldemorta może zdjąć z półki dotyczące ich obu proroctwo.

Dochodzi do walki. Uczniowie starają się uciec, a kiedy sytuacja wydaje się beznadziejna, pojawiają się członkowie Zakonu. Syriusz pojedynkuje się z Bellatrix – i ginie. Wstrząśnięty Harry w zamęcie tłucze kulę z proroctwem, które rozwiewa się. Nagle zjawia się Dumbledore. W holu ministerstwa dochodzi do walki – najpierw Bellatrix z Harrym, a potem Dumbledore'a z Voldemortem we własnej osobie. Dumbledore wygrywa, Voldemort po nieudanej próbie opanowania Harry'ego znika, zabierając ze sobą Bellatrix.

Wyjaśnienia

Pojawia się wstrząśnięty minister magii. Dumbledore odsyła Harry'ego do swego gabinetu, po pół godzinie sam wraca. Odkrywa przed Harrym treść przepowiedni – zapowiadała ona narodziny tego, który stawi czoło Czarnemu Panu, póki jeden z nich nie zginie. Wyjaśnia, że umieścił go u Dursleyów, bo tam broni Harry'ego magia krwi.

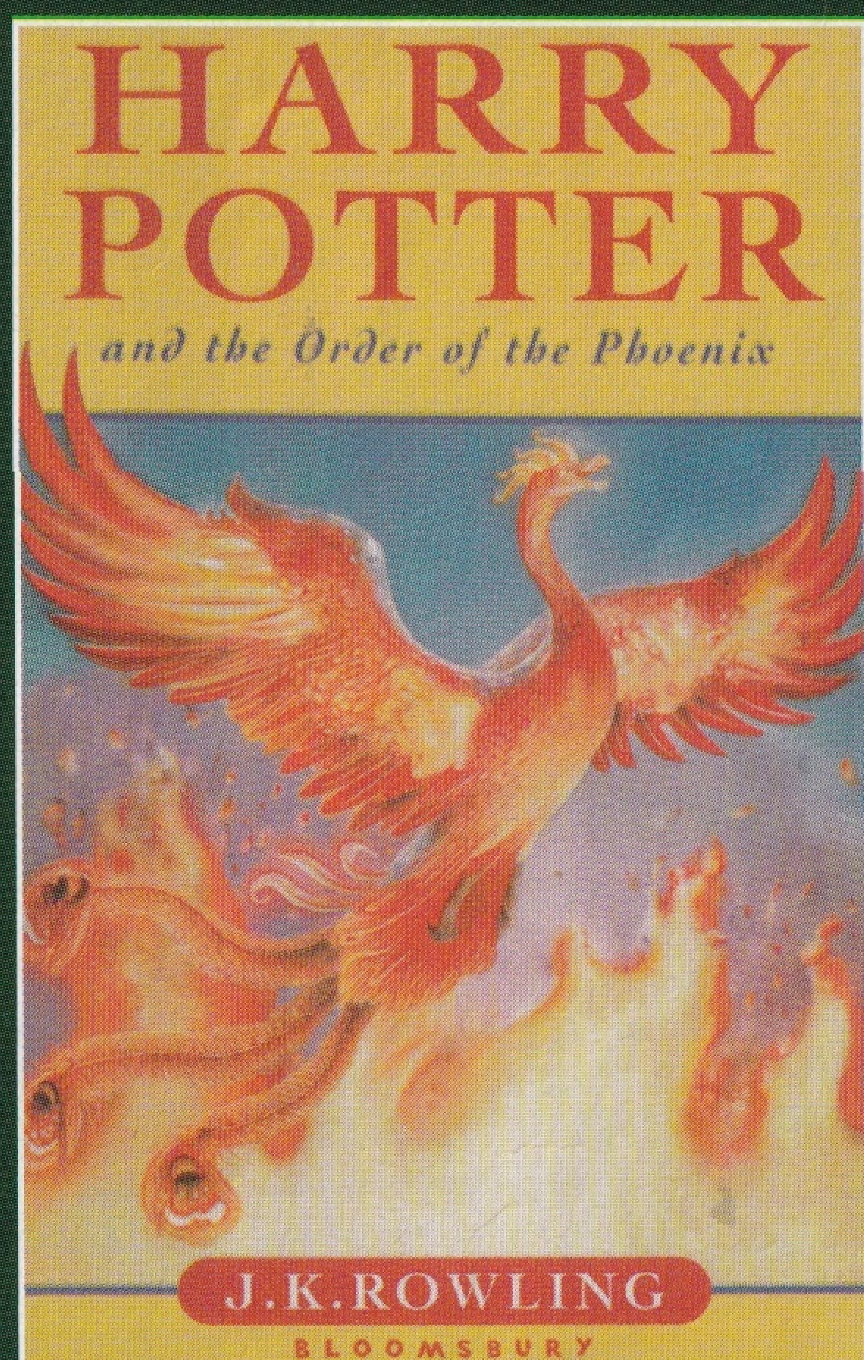
Ministerstwo oficjalnie ogłasza, że Voldemort powrócił, „Prorok Codzienny" przedrukowuje wywiad z Harrym. Zaczynają się przygotowania do drugiej wojny z Voldemortem.

■ Paulina Braiter
Zdjęcia Warner Bros

Extra:

Piąta część cyklu przygód Harry'ego Pottera była najbardziej wyczekiwaną książką roku. W Sieci pojawiły się nawet fałszywki – nie jakieś krótkie urywki, lecz cała, solidna powieść. Ładnie napisana, stylistycznie zbliżona do oryginałów J. K. Rowling – tyle że o całkiem odmiennej treści. Pogratulować autorom samozaparcia.

Tymczasem autentyczny „Harry Potter i Zakon Feniksa" pobił już rekordy sprzedaży. Sama księgarnia sieciowa Amazon już w przedsprzedaży miała 420 tysięcy zamówień; łącznie zrealizowała ich blisko półtora miliona. Księgarnie miały w ofercie specjalne tańsze zestawy (po dwa i trzy egzemplarze) przeznaczone dla rodzin wielodzietnych. Chodziło o to, żeby dzieci mogły czytać jednocześnie, nie kłócąc się o to, kto będzie pierwszy. Zestawy te rzeczywiście się sprzedawały!



Prasa i media prześcigały się w opisach pocztowego i zakupowego szaleństwa. Poczta kanadyjska w weekend premiery specjalnie otworzyła urzędy, by poradzić sobie z rozprowadzeniem zamówień. Pojawiły się też kłopoty logistyczne – książka jest tak gruba, że nie mieściła się do typowej skrzynki pocztowej.

Teraz, gdy fala emocji opadła, możemy pomyśleć o tym, co jeszcze przed nami. Tajemnicza firma Seabottom Production (dziwnym trafem mająca siedzibę pod tym samym adresem, co angielscy prawnicy wytwórni Warner Bros.) zarejestrowała podobno w urzędzie patentowym tytuły dwóch ostatnich tomów cyklu: Harry Potter and the Mudblood Revolt (Harry Potter i bunt szlam) oraz Harry Potter and the Quest of the Centaur (Harry Potter i poszukiwania centaura). Źródła bliskie J.K. Rowling z uporem twierdzą, iż to tylko manewr mający wywieść w pole ciekawskich. Sama Rowling już dawno stworzyła jednak ostatnie rozdziały siódmego tomu, które przechowywane są w sejfie w wydawnictwie.

Książki Terry'ego Pratchetta podbiły światowe listy bestsellerów. Autor ten należy również do najbardziej popularnych w Polsce



BÓG ŚWIATA DYSKU

TERRY

Pisarstwo Pratchetta to nie tylko Świat Dysku. Opublikował poza tym dwa cykle fantastyczne, przeznaczone dla młodzieży – trzy powieści o miniaturowych Nomach oraz tyleż książek o Johnny'm Maxwellu; powieść „Dywan" rozgrywająca się wśród maleńkich mieszkańców starego dywanu i dwa tytuły science-fiction – „Ciemną stronę słońca" oraz „Dysk" (znany również pod tytułem „Warstwy wszechświata"). W ostatniej powieści po raz pierwszy pojawia się potraktowany zupełnie serio świat płaski jak dysk.

Pratchett przyjaźnił się i współpracował z innym wybitnym Brytyjczykiem, Neilem Gaimanem. Efektem ich prac jest przezabawna powieść „Dobry omen", traktująca o zmaganiach sił piekielnych i niebiańskich.

Choć autorem wszystkich powieści rozgrywających się w Świecie Dysku jest Terry Pratchett, uniwersum to nie ogranicza się do jego książek. Ukazały się zatem aż cztery mapy różnych regionów Dysku, książka kucharska Niani Ogg, zbiór zagadek dotyczących tego niezwykłego świata, dwie pozycje popularnonaukowe, dla których Dysk stanowi punkt odniesienia i zestaw porcelanowych figurek przedstawiających najpopularniejszych bohaterów. Dwie pierwsze części cyklu doczekały się adaptacji komiksowej, natomiast na

→

Terry Pratchett (rocznik 1948) to brytyjski pisarz-samouk, który po debiucie w 1963 roku porzucił szkołę budowlaną, by zostać człowiekiem pióra. Okresowo parał się dziennikarstwem, był też rzecznikiem prasowym, aż do chwili, gdy cykl „Świat Dysku" przyniósł mu międzynarodową sławę. Humorystyczna seria uczyniła go pisarzem zawodowym i oprócz popularności przyniosła mu całą masę zaszczytów. Pratchett piastował godność przewodniczącego Związku Pisarzy Wielkiej Brytanii, otrzymał z rąk królowej order Member of British Empire oraz – mimo nieukończonej szkoły średniej – dwa doktoraty brytyjskich uniwersytetów. Do czasu, gdy zdystansowała go pani Rowling, był najlepiej zarabiającym pisarzem w Anglii.

Spójrz, oto Wielki A'Tuin, kosmiczny żółw, płynie przez bezmiar przestrzeni. Na jego grzbiecie – cztery słonie, na nich zaś Świat Dysku, płaska planeta przypominająca słabo wyrośnięte ciasto. Wokół brzegów świata skrzy się i mieni gigantyczny wodospad – to morza Dysku przelewają się przez jego Krawędź. W centrum potężne góry niemal zaburzają tor malutkiego słońca, niezmordowanie obiegającego obracający się powoli przestwór niezwykłej planety. Niektórzy uczeni zastanawiają się, czy słonie – na których grzbietach spoczywa wszakże Dysk – nie mają przypadkiem otarć wywołanych obrotami świata. Inni replikują, że równie dobrze można by dywagować, czy oś świata skrzypi.

Świat Dysku to bezsprzecznie niezwykłe miejsce, które aż trzeszczy od fajerwerków magii i humoru, jeden z najciekawszych – choć nie do końca poważnych – pomysłów na uniwersum powieści fantasy. Pomysł, by akcja utworu rozgrywała się na grzbiecie niewiarygodnie wielkiego żółwia, pojawia się w literaturze raz na kilka tysięcy lat, ostatnio zaś przywołał go właśnie angielski pisarz i humorysta, Terry Pratchett.

Elektrownie i kpiny

Pierwsza powieść rozgrywająca się w Świecie Dysku powstała w roku 1983, gdy Pratchett – nieświadomy, że oto rozpoczyna się zupełnie nowy rozdział jego kariery – pracował jako rzecznik prasowy elektrowni jądrowej. Samo zajęcie nie należało do szczególnie sympatycznych i wymagało anielskiej cierpliwości oraz sporego poczucia humoru, szczególnie w kontaktach z aktywistami ruchów ekologicznych. Jednak praca stała się naprawdę nieznośna dopiero wtedy, kiedy doszło do wycieku z reaktora. Wprawdzie sama awaria nie była groźna, jednak angielskie media zareagowały histerycznie i Pratchett wiele godzin poświęcić musiał na niekończące się tłumaczenia. Gdy wrócił do domu, marzył o jednym – by pożartować.

Jako temat żartów wybrał sobie literaturę fantasy, którą znał i lubił na tyle, by pozwolić sobie na bezkarne i jawne kpiny. Wkrótce też ukończył pierwszy tom zaplanowanego na dwie

części cyklu, powieść pod tytułem „Kolor magii". Niedługo później ukazał się tom drugi, „Blask fantastyczny" – potem zaś wydarzenia potoczyły się błyskawicznie. W ciągu dwudziestu lat nieprzerwanej pracy Pratchett stworzył trzydzieści części niezwykłej serii, nie tracąc ani weny, ani poczucia humoru. Kolejne tomy pełne są niezapomnianych wydarzeń, celnych dowcipów, doskonałych pomysłów – a przede wszystkim motywów znanych z innych książek, filmów i kultury masowej.

„Kolor magii" był parodią powieści fantasy, opartą nie tylko na odwróceniu zwyczajowych pomysłów, jakie składają się na fabułę spod znaku miecza i czarów, ale i na wykorzystaniu wątków zaczerpniętych z całej biblioteczki klasyków gatunku. Podczas swojej nie do końca zaplanowanej tułaczki po Dysku bohaterowie co rusz wpadają na osoby lub miejsca pochodzące ze znanych powieści. Nie dziwią wcale jawne odwołania do postaci Conana (i to aż na dwa sposoby – w postaci Hruna, barbarzyńcy głupszego od swojego miecza oraz niezmiernie wiekowego Cohena, byłego największego bohatera Dysku), do prozy Fritza Leibera, do „Jeźdźców Smoków z Pern", czy wreszcie do niedoścignionego „Władcy Pierścieni". Wszystko to składa się na mozaikę niespotykanie barwną – rozpoznając nawiązania do kolejnych lektur, czytelnik nie może wręcz powstrzymać chichotu.

Ta strategia pisarska wydaje się pasować Pratchettowi szczególnie dobrze, skoro znakomita większość powieści Świata Dysku czerpie humorystyczną siłę z literackich aluzji. Oczywiście, wykpiwszy gruntownie powieść fantasy pisarz poszedł dalej – śmiejąc się w kolejnych powieściach z Szekspira, z muzyki rockowej, z przemysłu filmowego, z tradycji starożytnego Egiptu, z baśni, legend, mitów, absurdów dnia codziennego – i przede wszystkim z ludzkich przywar.

Nie tylko na tym jednak polega wielkość tego autora – w końcu niejeden pisarz kpi sobie bezkarnie ze wszystkiego, nie sięgając przy tym po laury. Książki Pratchetta to nie tylko mozaiki wprowadzanych na oślep cytatów i nawiązań. Akcja każdej powieści jest wciągająca, dynamiczna i konsekwentna, bohaterowie tworzą niezapomnianą galerię typów, a przesłanie kolejnych tomów składa się na dość spójną ocenę natury ludzkiej i współczesnej kultury.

Bogowie i duże litery

Świat Dysku ma swoją geografię i historię, swoich bogów i bohaterów. Oczywiście spoczywa na słoniach, które przemieszczają się poprzez kosmos na grzbiecie żółwia – ale czy to czyni go gorszym od zwykłych światów fantasy, których nie ogranicza Krawędź, a nieprzebyte morze, wysokie góry, lodowe pustkowia i rozpalone pustynie, na których urywa się mapa? Dysk to uniwersum jak każde inne – a jego mieszkańcy różnią się od obywateli innych światów wyłącznie świadomością tego, że mieszkają na grzbiecie olbrzymiego gada.

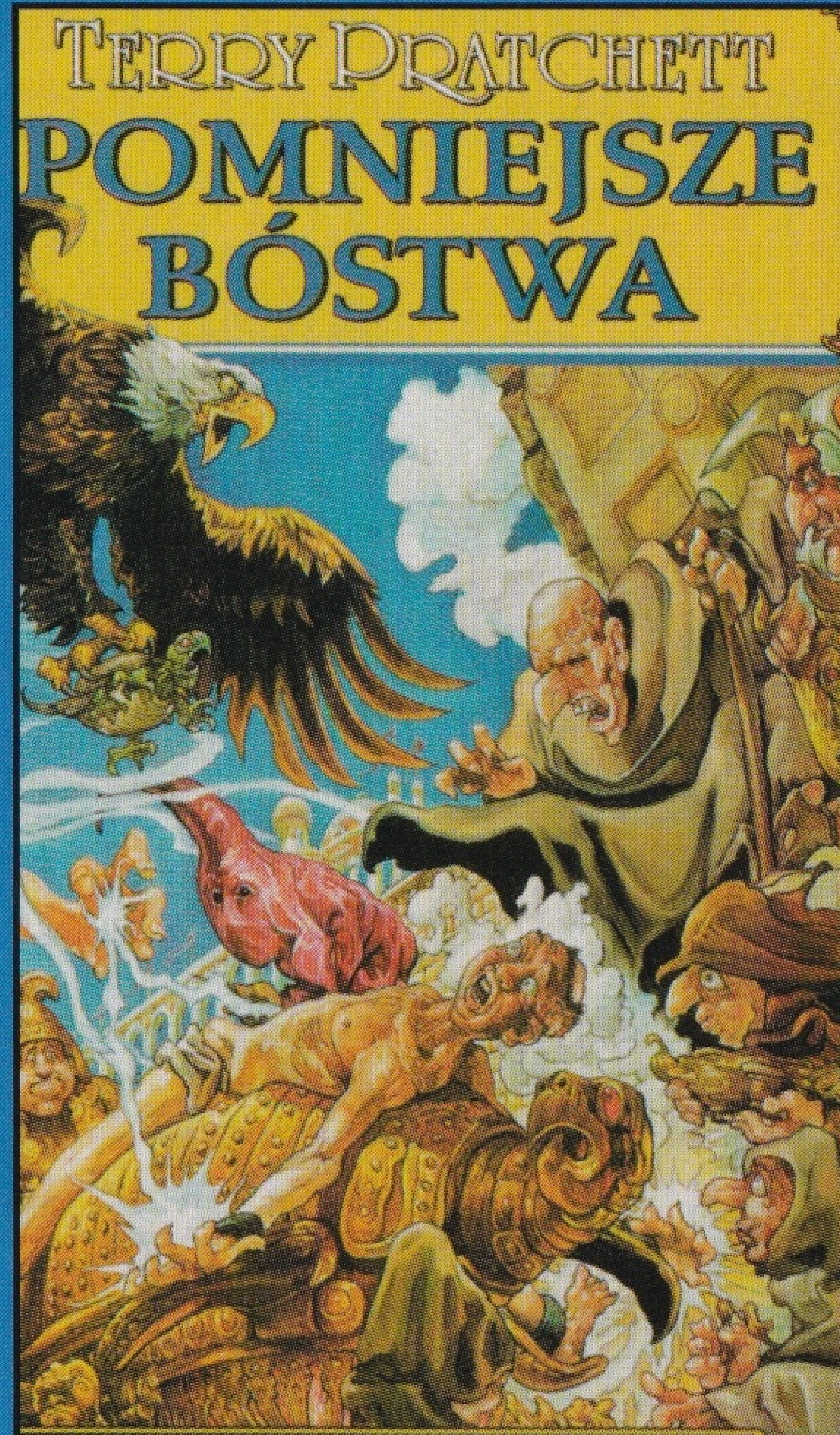
Świat powstał z inicjatywy Stwórcy, potężnej i nieopisanej istoty, która raz skonstruowawszy wszechświat przepadła gdzieś bez wieści. Nie znaczy to jednak, że rzeczywistość pozostawiono bez opieki, istnieją bowiem jej niezwykli strażnicy, istoty daleko potężniejsze niż wszystko, co żyje na Dysku. Szczęśliwie nie mieszają się w sprawy mieszkańców zbyt często – od czasu do czasu kontaktuje się z nimi wyłącznie Śmierć, jedyny chyba bohater, który pojawia się w każdej części cyklu.

Śmierć jest najpotężniejszą z nadistot, które istnieją dlatego, że ludzie w nie wierzą (obok Ponurego Kosiarza znajdziemy wśród nich Wróżkę – Zębuszkę, która zabiera pozostawione pod poduszką zęby mleczne, Wiedźmikołaja, który przynosi grzecznym dzieciom wędliny w prezencie, czy pozostałą trójkę Jeźdźców Apokalipsy). Jest wprawdzie osobą raczej ponurą – tak ponurą, że mówi wyłącznie DUŻYMI LITERAMI – trudno jednak zachować dobry nastrój, jeśli jest się żywym szkieletem z kosą, widującym ludzi przelotnie i bez szczególnej przyjemności. Ma jednak kilka słabości – uwielbia koty, przyprawę curry, wygodne łazienki oraz niektórych śmiertelników, szczególnie przybraną wnuczkę – Susan.

Oczywiście bogom Świata Dysku daleko do potęgi Stwórcy, potrafią jednak to i owo, zależnie od ilości wyznawców, którzy składają im hołd. Są ich tysiące, jeśli nie miliony – większość jednak to Pomniejsze Bóstwa, błąkające się po pustkowiach istotki poszukujące samotnych pasterzy czy zagubionych dzieci, by zyskać ich wiarę. Niektórzy to zapomniani bogowie

PRATCHETT





podstawie powieści „Trzy wiedźmy" oraz „Muzyka duszy" telewizja BBC wyprodukowała dwa miniseriale animowane. Ukazały się też trzy gry komputerowe, oparte na niezwykłym cyklu, oraz dwa rozszerzenia go gry fabularnej GURPS, umożliwiające zabawę w jego realiach.

Z oczywistych powodów szczególny związek łączy Pratchetta z żółwiami – choć sam pisarz gadów nie hoduje, niejeden miłośnik tych stworzeń zaczytuje się jego powieściami. Co więcej, pośród fanów Świata Dysku znaleźli się nie tylko entuzjaści żółwi, ale również ich badacze – pewien australijski naukowiec nazwał nazwiskiem Pratchetta nowo odkryty gatunek. Skorupa pierwszego przedstawiciela tej rasy żółwia, jakiego widział człowiek, służy dziś Terry'emu jako przycisk do papieru.

Do najsympatyczniejszych bohaterów Świata Dysku należy na pewno Bibliotekarz. Orangutany to zwierzęta na tyle bliskie sercu Pratchetta, że pisarz zaangażował się poważnie w prace „Orang-Utan Foundation", fundacji na rzecz ochrony tych stworzeń. Realizując jej cele, Pratchett spędził długie tygodnie na Borneo, gdzie nakręcił film dokumentalny o życiu orangutanów. Obraz spotkał się z bardzo ciepłym przyjęciem – szczególnym fanem filmu został sam sir Alec Guinness.

Wizyta w naszym kraju oznaczała dla Pratchetta między innymi pierwszy kontakt z polską kuchnią. Opowiadał o nim tak: „Pochodzę z kraju, w którym sprzedają nawet odtłuszczoną wodę. A tu w restauracji podano mi najpierw kanapkę z tłuszczem, potem zupę na tłuszczu, a na koniec – kawałki tłuszczu zawinięte w ciasto, podlane tłuszczem". Tak to jedząc chleb ze smalcem, żur i pierogi ruskie Terry wymyślił kopalnie tłuszczu (który, oczywiście, pozostał pod powierzchnią Dysku po prehistorycznych istotach), pojawiające się w powieści „The Fifth Elephant".

Rincewind

Przygody pechowego i nieudanego maga składają się na powieści pełne egzotyki i gwałtownych zwrotów akcji. Być może rozczarują one miłośników głębszej prozy – najwięcej w nich jednak zabawnych odniesień i nieprawdopodobnych pomysłów. Na cykl składają się tytuły:

- **„Kolor magii" i „Blask fantastyczny" – od nich wszystko się zaczęło. Parodia typowej powieści fantasy, z drużyną, wyprawą i misją ocalenia świata.**
- **„Czarodzicielstwo" – rzecz o czarodzicielu, wszechpotężnym magu, który nieświadomie zagraża istnieniu Dysku.**
- **„Eryk" – czyli szalona podróż przez historię w towarzystwie pierwszego w świecie demonologa-hakera.**
- **„Ciekawe czasy" – Rincewind trafia do orientalnego imperium w przeddzień rewolucji, która na zawsze zmieni jego oblicze.**

UWAGA! Tak powyżej, jak i w pozostałych zestawieniach uwzględniono tylko pozycje dostępne w języku polskim!



Ponury Kosiarz

Książki, których bohaterem jest Śmierć, mogą się wydać nieco schematyczne – zwykle Kosiarz ma w nich wątpliwości, znika i trzeba go odnaleźć. Oferują jednak fajerwerki humoru i celne spostrzeżenia o naturze ludzkiej. Cykl stanowią:

- **„Mort" – Śmierć przyjmuje ludzkiego ucznia i powoli zaczyna tego żałować.**
- **„Kosiarz" – czyli Ponury Żniwiarz odchodzi z interesu – a wraz z nim możliwość postradania życia.**
- **„Muzyka Duszy" – Śmierć przepada znowu – tym razem jednak jego wnuczka jest dość duża, by przejąć interes. Jednocześnie Dysk przeżywa inwazję „muzyki z wykrokiem"...**



z mrocznej przeszłości, istoty niegdyś potężne, dziś dorównujące mocą obłokowi kurzu. Inni wciąż czekają na swoją szansę.

Najpotężniejsi z bogów rezydują w Dunmanifestin, gigantycznym pałacu położonym na szczycie Cori Celesti, najwyższej góry Dysku – leżącej, skądinąd, dokładnie na jego osi. Tam właśnie osobnicy w rodzaju Ślepego Io o tysiącu oczu, Offlera, boga-krokodyla, czy bogini mądrości Pateny bawią się śmiertelnymi, rozstawiając ich wedle upodobania na boskiej planszy (podejrzanie przypominającej „Chińczyka"). Tylko Los miewa tu trudności ze znalezieniem partnerów do gry, czemu trudno się dziwić, skoro prawie zawsze sprzyja tylko sobie.

Mężczyźni, kobiety i potwory

Wiara nie jest jednak jedyną nadprzyrodzoną mocą na Dysku – płaski świat aż trzeszczy od potężnej i nieujarzmionej magii, siły w kolorze oktarynowym, dostrzegalnym wyłącznie dla magów i kotów. Potęga ta występuje w dwóch odmianach. Pierwsza z nich przynależy mężczyznom – czarownikom, brodatym osobnikom w szpiczastych czapkach i płaszczach w gwiazdy, posiadaczom magicznych lasek (z których każda, w myśl słów popularnej na Dysku piosenki, ma na czubku



gałkę), grubych, magicznych ksiąg i prawa do spożywania przynajmniej dwóch obiadów dziennie. Magowie najczęściej przebywają na Niewidocznym Uniwersytecie, gdzie zajmują się badaniem okultyzmu, kształceniem magicznego narybku i oczywiście słodkim nieróbstwem. Męska magia to ogniste kule, przemiany i wszelkie efekty nadprzyrodzone, które są wystarczająco efektowne.

Czary kobiet są daleko subtelniejsze – czarownice, nieprzyjemne i swarliwe staruszki ubierające się na czarno, posiadaczki szpiczastych kapeluszy, latających mioteł i dominujących charakterów, najwięcej uwagi poświęcają właściwemu zrozumieniu natury ludzkiej i niesieniu pomocy potrzebującym w sposób zgoła niemagiczny. Bycie czarownicą nie polega na rzucaniu zaklęć, lecz na szacunku, jakim ta profesja cieszy się wśród prostych ludzi. Kiedy jednak przychodzi co do czego, wiedźmy potrafią „pożyczać" ciała innych istot, czytać w myślach, przepowiadać przyszłość i wzywać demony – słowem uprawiać wszystkie czary, które nie sypią kolorowymi iskrami.

Magia to siła bardzo użyteczna, wiąże się z nią jednak poważne zagrożenie. Zawsze kiedy się jej nadużywa, rzeczywistość staje się cieńsza – a na to czyhają tylko dziwaczne i makabryczne istoty z Piekielnych Wymiarów, paskudne stwory niepochodzące ze Świata Dysku ani z wszechświata, po którym pływa Wielki A'Tuin. Uwięzione za granicą realności ze wszystkich sił chcą się dostać do wnętrza świata, by tu przybrać prawdziwe ciało i naprawdę korzystać z życia. Oczywiście rozerwanie przy tym na strzępy kilku setek ludzi w niczym by im nie przeszkodziło. Świat Dysku już kilka razy znalazł się na krawędzi inwazji mieszkańców Piekielnych Wymiarów, za każdym razem jednak na czas pojawiał się bohater, któremu udawało się płaską ojczyznę ocalić.

Wojowniczy górnicy i diamentowe zęby

Jak przystało na uczciwy świat fantasy, Dysk zaludniają przeróżne gatunki istot rozumnych. Najpowszechniej spotykani są ludzie, istoty przebiegłe, zwykle dość nikczemne, niezbyt lotne i raczej mało szlachetne. Istnieją tu oczywiście wszystkie rasy ludzkie – biała, żółta czy czarna – nie występuje jednak zjawisko rasizmu, a to dlatego, że dyskryminacja innych gatunków jest tyleż ciekawsza, co bardziej czasochłonna. Ludzie jak to ludzie – mają niezaprzeczalny pociąg do władzy, dlatego też niezliczone państwa i państewka Dysku to właśnie ich twory.

Obok rasy ludzkiej na Dysku egzystują znacznie mniej liczne nacje krasnoludów oraz trolli. Te pierwsze to małe, szczwane łobuzy, rozkochane w robotach ziemnych – ich naturalnym środowiskiem jest dobrze podstemplowana kopalnia. O ile wśród swoich krasnoludy zachowują się nienagannie, kochają ciężką pracę i święty spokój, zawsze



gdy zdarzy im się wyemigrować do miasta, zaczynają nosić się w kolczugach, pić astronomiczne ilości piwa i rzucać z toporem w każdego, kto im podpadnie – zwłaszcza jeśli niebacznie nazwie któregoś z nich „ozdobą trawnika". Co, oczywiście, nie przeszkadza im wysyłać wszystkich oszczędności kochającej rodzinie z ojczystej kopalni.

Jeśli krasnoludy szczerze kogoś nienawidzą, to trolli – z wzajemnością zresztą. Dla krasnoluda troll jest co najmniej obrazą praw natury – bo jak inaczej rasa górników traktować może ponad dwumetrowe, zrobione z kamienia istoty, które zamiast zębów mają najpiękniejsze diamenty? Same trolle są nieprawdopodobnie silne, nie grzeszą jednak mądrością, ich kamienny mózg dobrze funkcjonuje bowiem wyłącznie w niskich temperaturach. Światło słoneczne może sprawić, że troll znieruchomieje, jakby zamienił się w prawdziwy kamień – stąd duże wśród tej rasy zapotrzebowanie na olejek do opalania. Niejeden znieruchomiały troll padł ofiarą nazbyt gorliwych, krasnoludzkich górników, zatem nienawiść, jaką darzą kamienną rasę podziemni kopacze jest obopólna.

Są jeszcze elfy – o nich jednak niedobrze jest mówić, przynajmniej zbyt często. Elfy otoczone są swoistym czarem – kto na nie spojrzy, nie otrząśnie się już z niezwykłego uroku – postępują jednak wcale niepięknie. Przed wiekami żyły na Dysku, pospołu z innymi rasami dręcząc i pastwiąc się nad wszystkimi w sposób nader okrutny, jak wyjątkowo zepsute dzieci nad bezbronnymi zwierzątkami. W końcu więc zostały wygnane – pokonano je i zmuszono do odejścia w inny wymiar, położony tuż obok Dysku. Po dziś dzień czekają tam, aż dane im będzie powrócić i zacząć niszczyć świat od nowa.

Magia i przestępczość zalegalizowana

Świat Dysku jest rozległy i bogaty – żadne miejsce nie przyciąga jednak miłośników przygód i ludzi przedsiębiorczych, tak jak Ankh-Morpork, Miasto Tysiąca Niespodzianek, największa metropolia świata. Olbrzymie i nieszczególnie zadbane miasto rozdziela na dwoje Ankh – jedyna rzeka na świecie, której wodę można kroić nożem. Ankh jest zanieczyszczona, brudna, mętna i pełna podejrzanych drobiazgów, kryjących się tuż pod powierzchnią, w jakimś więc sensie ucieleśnia ducha niezwykłych mieszkańców tej niepospolitej aglomeracji.

Ankh-Morpork rządzi się wedle reguł antycznej demokracji, które mówią wyraźnie: „Jeden człowiek, jeden głos". Miastem włada więc w sposób absolutny Patrycjusz – to właśnie on jest tym „jednym człowiekiem". Lord Vetinari, obecny władca, to osobnik przebiegły do granic możliwości, polityk wytrawny i bezwzględny. On właśnie stworzył najniezwyklejszy chyba rys miasta – przestępczość zalegalizowaną.

Skłonność do ciemnych interesów zawsze stanowiła niezbywalny rys osobowości mieszkańców miasta, szczególnie rezydujących na Mrokach, legendarnej Dzielnicy o Złej Reputacji. Obejmując władzę, Vetinari doskonale zdawał sobie sprawę, że nie zdoła ukrócić złodziejstwa czy morderstw – zadbał zatem, by je sformalizować. Tak powstała Gildia Złodziei, Żebraków czy legendarna dziś Gidlia Skrytobójców, oferująca swym członkom najlepsze wykształcenie na całym świecie (aby uniknąć sytuacji, w której klient czuje się urażony, że zlikwidował go zabójca o nie dość wykwintnych manierach). Dziś wszystko toczy się sprawnie – każdy obywatel może zostać okradziony (za pokwitowaniem) z konkretnej sumy rocznie, nie zdarzają się więc napady niezorganizowane, groźne dla życia i finansów przeciętego człowieka. Glidia bezlitośnie zwalcza bowiem wszelką nielegalną działalność złodziejską, a winnych przybija do przęseł mostu głową w dół.

Ankh-Morpork to nie tylko miasto zbrodni – mieści się tu również najpoważniejsza uczelnia magiczna świata, Niewidoczny Uniwersytet. Czcigodni luminarze akademii spędzają czas na poobiednich drzemkach i personalnych rozgrywkach – teoretycznie kręcą się tam również jacyś studenci. Najniezwyklejszą chyba częścią tej niezwykłej instytucji jest biblioteka, w której mieszczą się wszystkie książki świata – nawet te, których nigdy nie napisano, miejsce jest bowiem tak naładowane magiczną energią, że zakrzywia czasoprzestrzeń. Jedyną istotą, która potrafi ogarnąć księgozbiór, jest Bibliotekarz, czarownik, którego magiczny wypadek przemienił w orangutana. Kategorycznie odmawia powtórnej przemiany – prawdopodobnie dlatego, że chwytne nogi ułatwiają mu pracę na wysokich półkach.

Śmierć i czarownice

Większość cykli fantasy prezentuje kolejne etapy losu bohaterów realizujących jakąś misję – powieści ze Świata Dysku, wyjąwszy pierwszą dwójkę, stanowią zawsze zamkniętą historię. Łączy je oczywiście miejsce akcji – lecz również osoby bohaterów. Bo choć liczba postaci, które Pratchett wymyślił, jest zaiste imponująca, co jakiś czas wraca do starych, sprawdzonych charakterów i buduje nową historię z ich udziałem.

Najstarszym z Pratchettowych herosów jest Rincewind – prawie-że-mag z Niewidocznego Uniwersytetu. Jeśli idzie o zdolności magiczne, Rincewind jest ich w stu procentach pozbawiony od chwili, gdy raz zajrzał do księgi, której nie powinien był otwierać. Szczęśliwie jednak udało mu się zachować związek z uniwersytetem i szpiczastą czapkę z napisem „Maggus", która niekiedy ułatwia mu życie. Nieudany czarodziej jest nieuleczalnym tchórzem, mistrzem ucieczki i ratowania skóry, któremu nie przeszkadza wcale fakt, że niekiedy ludzie schodzą mu – jako magowi – z drogi.



Wiedźmy

Cykl o wiedźmach – wyjąwszy pierwszy tytuł – zbudowany jest zwykle na nawiązaniach do klasyki literatury. Oferuje wspaniałe rysunki postaci i najsubtelniejsze aluzje – choć i osoba mniej oczytana serdecznie się ubawi. Przeczytać należy:

- **„Równoumagicznienie" – dziewczynka omyłkowo zostaje następcą czarownika z Niewidocznego Uniwersytetu. Tu po raz pierwszy pojawia się Babcia Weatherwax.**
- **„Trzy wiedźmy" – czyli historia niezupełnie niepodobna do dramatu o pewnym szkockim królu.**
- **„Wyprawa czarownic" – Magrat zostaje matką chrzestną i zając się musi losem gnębionej przez przyrodnie siostry dziewczynki.**
- **„Panowie i damy" – Podczas Nocy Letniej elfy korzystają z okazji, by spróbować wrócić na Dysk.**
- **„Maskarada" – czyli noc w operze, z koniecznym i obowiązkowym udziałem Upiora.**



Strażnicy

Cykl o strażnikach czerpie z najlepszych kryminałów i powieści oraz kina sensacyjnego. Fabuła obraca się zatem wokół konieczności rozwiązania sprawy natury kryminalnej i obfituje w interesujące zagadki. Kolejność czytania:

„Straż! Straż!" – czyli krasnolud Marchewa przybywa do miasta i staje przed problemem zaaresztowania smoka.

„Zbrojni" – oddział straży przyjmuje przedstawicieli innych ras (w ramach polityki walki z uprzedzeniami) – tymczasem ktoś morduje klauna...

TERRY PRATCHETT
ZBROJNI

Inne powieści

Pozostałe powieści, choć różnorodne, łączy najpoważniejsze chyba potraktowanie pytań o naturę człowieka. Choć nieodmiennie zabawne, bywają najsmutniejszymi częściami cyklu. Kolejność czytania jest zupełnie dowolna:

„Piramidy" – wykształcony w Ankh następca faraona powraca, by ująć ster rządów państwa, w którym od pięciu tysięcy lat nie dokonał się żaden postęp.

„Ruchome obrazki" – czyli Dysk ogarnia szaleństwo filmowe.

„Pomniejsze bóstwa" – ogarnięte fanatyzmem religijnym państwo szykuje się do wojny – tymczasem jego bóg traci nagle całą moc. Zdecydowanie najlepsza książka Pratchetta.

Niestety, na Rincewinda uwziął się Los, a ukochała go Pani Szczęścia – co rusz zatem rozmiłowany w spokoju czarownik popada w kolejne, niezawinione tarapaty, z których cudem uchodzi cało. A wszystko to od chwili, kiedy na jego drodze stanął – w „Kolorze magii" – bezgranicznie naiwny turysta (o imieniu Dwukwiat) z odległych stron. Podejmując się roli przewodnika, wpakował się Rincewind w poważną kabałę i od tamtej pory Los gna go z jednej strony Dysku na drugą, ku nieustannej rozpaczy odważnego inaczej czarownika.



Śmierć to bohater, który od początku cieszył się sympatią czytelników, nic więc dziwnego, że doczekał się całego cyklu powieści, w których to on właśnie jest postacią centralną. Wszystkie kłopoty Ponurego Kosiarza zaczynają się, kiedy decyduje się przyjąć ucznia, by w przyszłości przekazać mu obowiązki. Chłopiec wątpi w słuszność odbierania życia, a tym poglądem z wolna zaraża się i jego pracodawca. W końcu Śmierć postanawia nawet odwiesić kosę na kołek i zająć się uczciwym zajęciem – wywołując, oczywiście, wielkie zamieszanie w całym świecie. Nie co dzień zdarza się przecież, że ludzie, ot, przestają umierać.

Ankh-Morpork to miasto wyjątkowo usystematyzowanego bezprawia, nic więc dziwnego, że życie strażnika miejskiego nie jest usłane różami. Straż jest zbyteczna, a przestępcy bezkarnie chodzą po ulicach, wpędzając kapitana Samuela Vimesa w przygnębienie owocujące skłonnością do butelki. Szczęśliwie do służby przystaje Marchewa, największy krasnolud na świecie, a miasto pustoszyć zaczyna smok – tak właśnie zaczyna się cykl, którego bohaterami są mężni strażnicy z Ankh-Morpork. Choć służba nie jest lekka, wierni swemu motto (brzmiącemu: „Fabricati diem, punk") gwardziści nie raz ocalą miasto przed losem gorszym niż zniszczenie.

Z dala od miejskiego zgiełku, wśród wyniosłych szczytów Ramtopów, najwyższych gór na świecie, żyją czarownice. Zwykle grupują się w sabaty – żaden z nich nie jest jednak tak dziwaczny, jak sabat królestwa Lancre. Należą do niego trzy wiedźmy – Babcia Weatherwax, osoba o niezniszczalnej wręcz woli i wyjątkowo trudnym charakterze, Niania Ogg, rubaszna matka szesnaściorga dzieci oraz Magrat, młoda, niedoświadczona i nieco zagubiona miłośniczka New Age. Spokojne życie całej trójki, poświęcone głównie wtykaniu nosa w cudze sprawy, ulega gwałtownemu zaburzeniu – najpierw zamordowany zostaje król maleńkiego państewka, a uzurpator próbuje przegnać z niego czarownice, a potem, zgoła nieoczekiwanie, Magrat zostaje matką chrzestną księżniczki z bardzo odległego kraju. Czarownice raz po raz ruszać muszą więc na spotkanie przygody – choć ta wolałaby pewnie ich unikać.

Nie wszystkie powieści Pratchetta pogrupowane są w cykle traktujące o opisanych wyżej bohaterach. Część wprowadza postaci całkiem nowe, do jednorazowego wykorzystania – nie znaczy to jednak wcale, że te w czymkolwiek ustępują bohaterom występującym częściej. Pośród wielu pisarskich talentów największą chyba siłą Pratchetta jest bowiem umiejętność tworzenia postaci sympatycznych, pełnokrwistych i niebanalnych – nawet jeśli jedynym ich zajęciem jest sprzedaż pieczonych kiełbasek.

■ **Tomasz Z. Majkowski,**
ilustracji użyczyło wyd. Prószyński i Spółka



Baśń o Śpiącej Królewnie

tekst: Joanna Kułakowska
rysunki: Paweł Miedziński

Młody książę, wpatrzony w śpiącą piękność, zbliżył się do złotego łoża i padł przed nim na kolana. Wtedy śpiąca królewna otworzyła oczy.
– Czy to ty, mój królewiczu? – zapytała z uśmiechem.
– Długo czekałam na ciebie.

„Śpiąca królewna" braci Grimm (cytat z wersji Charlesa Perraulta)

Caira westchnęła głęboko. Wybiła północ – dzień pracy dobiegł końca. Reszta służby udała się już na spoczynek. O świcie znów zacznie się szaleństwo przygotowań do wielkiej uczty na cześć króla. Nie mogła pozwolić na jakiekolwiek niedopatrzenia – od zadowolenia Wielkiego Księcia zależał nie tylko jej los... Obmyła poparzone dłonie, przyłożyła zimny kompres do rozpalonego czoła. „Niech Ogień strawi królewskiego brata i wszystkie jego zachcianki" – pomyślała gniewnie, rzucając w kąt zatłuszczony fartuch. Obok coś się poruszyło...

– Wasza Miłość? – zapytała z niedowierzaniem. – Co tu robicie, Książę? Powinniście już dawno być w łóżku. Nie można zakradać się do kuchni...

Jakim cudem w ogóle ją odnalazł? Jeden Święty Promień to wiedział. Zamkowe pomieszczenia kuchenne były rozległe jak pałac pomniejszego wielmoży.

Umorusany malec wysunął się z kryjówki, wycierając piąstkami zapłakane oczy.

– Nie mogę spać – poskarżył się, zadzierając główkę.
– Opowiedz bajkę.

– Wasza Miłość mają przecież nianię...

– Jest nudna i mnie nie lubi. Czy ty też już mnie nie lubisz?

Caira kucnęła przed dzieckiem i mocno je przytuliła. Biedny chłopiec... Stanowił dowód jednego z ostatnich „wybryków" Wielkiego Księcia, traktowano go jak wyrzut sumienia. Był. Po prostu już był i nic nie można na to poradzić, a „nieszczęśliwy wypadek" zachwiałby jeszcze bardziej nadwątlony honor Raedcliffe'a.

– Wasza Miłość... jak w ogóle mogło coś takiego przyjść do głowy takiemu miłemu chłopcu... Nigdy nie przestanę Was lubić!

„A z piastunką sobie porozmawiam" – dodała w myślach.

– No, chodźmy już spać. Jutro oboje będziemy musieli świeżo wyglądać. Opowiem Waszej Miłości piękną bajkę na dobranoc. – Wzięła go za rękę i poprowadziła ledwie oświetlonymi korytarzami.

Sypialnia małego księcia wyglądała żenująco ubogo: odpadająca boazeria, nieliczne surowe sprzęty, pod ścianami walało się kilka podniszczonych zabawek. Nie było porównania z komnatami syna i córki z prawego łoża.

Pani Ordonia – matka chłopca – dała się ponieść dumie. Uważała, że pochodzi z tak świetnego rodu, iż Wielki Książę Raedcliffe radośnie uzna kolejnego potomka. Pomyliła się. Wielka Księżna miała sumienie, ale i honor, w który została boleśnie ugodzona.

Głupia, próżna gęś zapłaciła najwyższą cenę. Szeptano po kątach, że pewnej nocy zamaskowane postacie wtargnęły do posiadłości Ordonii, wybiły straż i uprowadziły kobietę. Nikt jej więcej nie widział. Inne damy miały dość rozumu, by nie dopuścić do wydania na świat owoców książęcych karesów. Dobrze, że księżna Amelinda zlitowała się chociaż nad niewinnym dzieckiem...

Chłopiec wskoczył pod kołdrę i podparł buzię rączkami w niemym oczekiwaniu.

– Byli raz sobie król i królowa... Trapili się bardzo tym, że nie mają dzieci. Plotka głosi, że wielekroć prosili o pomoc dobre wróżki. Gdy więc po wielu latach w końcu urodziła im się córka, z radości wyprawili sutą ucztę...

– Taką, jaką my wyprawimy jutro wieczorem?

– Oczywiście. Na ową ucztę królewska para zaprosiła mnóstwo gości. Najgodniej i najwspanialej podjęto dwanaście wróżek. Dlaczego? Wszyscy zaproszeni mieli obowiązek podarować królewnie coś wartościowego, a wróżki miały w zanadrzu najlepsze prezenty. Mogły obdarzyć ją jakąś zaletą. Dawać cenne dary było wówczas zwyczajem wróżek.

– Kiedy to było? – nie wytrzymał malec.

– Oooo, dawno temu. Niedługo minie pewnie ze sto lat.

– Mnie wróżki nic nie podarowały.

– Z całą pewnością kiedyś Wasza Miłość otrzymają dar, który zrekompensuje Im wszystko... Czy mam opowiadać dalej?

Gdy dziecko skinęło główką, kontynuowała:

– Królewscy goście rozsiedli się za stołami. Dwanaście wróżek usiadło na honorowych miejscach. Przed każdą położono srebrne nakrycie i szczerozłote pudełeczko, a w nim złotą łyżkę, złoty widelec i złoty nóż. „To dar dla was, czcigodne wróżki" – oznajmił król ku ich niebywałemu zadowoleniu. Słudzy już zaczęli wnosić dymiące półmiski, gdy nagle z hukiem otworzyły się drzwi jadalni! – zawiesiła głos dla nadania opowieści większego dramatyzmu.

– I co? I co?! – nie wytrzymał chłopiec, pomimo iż dobrze znał sztuczki Cairy.

– I w drzwiach stanęła Ona. Trzynasta. Naturalnie wszyscy się niesamowicie przestraszyli. Król i królowa wcale nie zapraszali tu tej złej kobiety.

– Była zła?

– O tak... Na pewno... Czy gdyby tak nie było, pozostałe wróżki zdenerwowałyby się aż tak bardzo? Bardzo zdenerwowała się również sama królowa. Ale jedna z wróżek, wesoła młoda pani o dobrym usposobieniu, uspokoiła ją natychmiast. „Proszę się nie martwić Wasza Królewska Mość" – szepnęła – „Odstąpię jej swoje srebrne nakrycie i złote pudełeczko. Być może to poprawi jej gniewny nastrój". Wesoła wróżka śmiało spojrzała w oczy nowoprzybyłej i zawołała – „Witaj szanowna kuzynko! Jak dobrze się znów spotkać na tak miłej uroczystości!". Trzynasta spojrzała na nią zjadliwie – „Och, okaże się jeszcze, czy to będzie taka miła uroczystość". Tymczasem jednak nadszedł moment wręczania podarków.

– Wróżki nie wygnały tej trzynastej?

– Cóż, widocznie nie mogły.

– A król i królowa?

– Nie pozwoliłoby im na to dobre wychowanie. Poza tym, nawet władcy nie powinni igrać z czarami... Czy Wasza Miłość dadzą mi w końcu opowiadać, czy nie? – zaśmiała się łagodnie.

Na szczęście małemu zaczęły kleić się oczy. Ona sama ledwo mogła usiedzieć na twardym zydlu. Własne, ciepłe łóżko było w tej chwili jej największym marzeniem.

– Uczta skończyła się – opowiadała dalej. – A wróżki wręczyły dary królewnie. Obdarzyły ją wieloma przydatnymi cechami: urodą, zwinnością, rozumem, sprytem, dowcipem i humorem... Ba, nawet słowiczym głosem. Wszyscy już odetchnęli z ulgą, gdy nagle Trzynasta przepchnęła się do królewny i nim ktokolwiek zdążył jej przeszkodzić, wysyczała – „Gdy skończysz piętnaście lat, przekłujesz sobie dłoń wrzecionem i umrzesz!". Wesoła wróżka była jednak na miejscu, a miała potężną moc... Większą niż pozostałe dwanaście. Częściowo odwróciła zły urok. Królewska córa nie miała umrzeć, lecz spać przez sto lat. Spać aż do przybycia kogoś z królewskiej krwi, kto ją wyzwoli spod działania czaru.

– Czy tak się stało?

– Jeszcze nie, wciąż śpi... Tak jak Wy powinniście spać, Wasza Miłość.

Dziecko nareszcie usnęło.

„Dobranoc Radegardzie..." – Caira wstała i powlokła się w kierunku swej komnaty.



Komnatę oświetlał jedynie wąski promyk światła, który wpadał przez szparę w zaryglowanych okiennicach. W powietrzu unosił się zapach kurzu, suchych kwiatów i starych koronek. Radegard uwielbiał tu przychodzić. Odkąd przypadkiem trafił na ową komnatę, podczas jednej z zabaw w chowanego z wymyślonymi przyjaciółmi, nie zauważył, by ktokolwiek poza nim ruszył choć jedną rzecz. Caira powiedziała kie-

dyś, że w każdym zamku są pokoje i korytarze, o których rozmyślnie się nie pamięta. Nikt się nie martwił, gdy na długo znikał z oczu. Służba była rada, że nie pęta się pod nogami, a kobieta, która oficjalnie pełniła funkcję jego piastunki, oddychała z ulgą, iż nie musi niańczyć bękarta. Sam Wielki Książę w całym dotychczasowym życiu Radegarda powiedział doń nie więcej niż dziesięć słów. Tylko Caira go kochała.

Obiecał sobie, że jeśli kiedyś zostanie prawdziwym księciem, ofiaruje jej mnóstwo prezentów. Otrzyma ich więcej, niż śpiąca królewna dostała od wróżek. Czasami marzył, że do niego również przychodzi dwanaście wróżek. Wiedziałby, o co poprosić. O zdrowie dla Cairy, może nawet o szlechectwo... Wtedy nie musiałaby trudzić się w kuchni. Rola Pierwszej Kucharki jest jeszcze gorsza niż praca ostatniej pomywaczki.

Chciałby także, aby uznano w nim prawowitego syna Wielkiego Księcia Raedcliffe... I jeszcze, żeby nie dopuściły Trzynastej do królewny. Na pewno nie zasłużyła sobie na taki los. On przynajmniej mógł biegać i śmiać się. Ona spała i nie mogła się obudzić. „Kiedy będę duży, obudzę Cię królewno" – przyrzekł solennie. Szkoda tylko, że nie wiedział, gdzie jest jej zamek.

Podszedł do wielkiej dębowej szafy. Drzwi zaskrzypiały przeraźliwie. W zatęchłym wnętrzu Radegard ukrył swój największy skarb. Pięknie wykonany portret młodziutkiej dziewczyny. Znalazł go wśród sterty innych obrazów. Rulony leżały za stosem kalekich mebli, przyrzucone niedbale pożółkłą kapą. Zajrzał tam, pchany tajemniczym przeczuciem. Prawie wszystkie malowidła przedstawiały czyjeś podobizny. Bardzo stare, a w dodatku nikt ich nie konserwował. Płótna zetlały, farba zblakła... Czas oszczędził jednak dziewczynę o wielkich srebrzystoszarych oczach.

Radegard lubił na nią patrzeć, pomimo że była chyba ze dwa razy starsza od niego. Strasznie stara. Małe usta uśmiechały się słodko i jakby trochę smutno... Zastanawiał się, jakiego koloru są jej włosy. Wizerunek nie ujawniał sekretu – wdzięczną główkę spowijał zielony welon. Kunsztowny diadem wskazywał na szlachetne pochodzenie. Herb nic chłopcu nie mówił, ale sam fakt, że portret znalazł się w zamku królewskiego brata...

Dlaczego jednak został wyjęty z ram i wrzucony do kąta jak byle łachman? Kim była tajemnicza piękność?

Nigdy nie roztrząsał tematu zbyt długo. Nie dopuszczał również do siebie myśli, że z pewnością dawno już rozsypała się w proch. Poza Cairą była jego jedyną przyjaciółką. Odkąd wyszperał zapomniany obraz, przybywała, gdy tylko zapadał w sen. Siadała na brzegu łóżka i snuła opowieści sprzed wielu lat. Pośród nocy jej słowiczy głos koił smutki dnia...



Dnia Trzynastego w miesiącu Szkarłatnych Kwiatów jak co roku celebrowano oczyszczającą moc Świętego Promienia. Był to czas, gdy złe siły niosły wyjątkowe zagrożenie i szczególnie trzeba było zabiegać o łaskę Światłości. Dlatego właśnie w ową nieszczęsną porę odprawiano najświętszy rytuał w całym królestwie – oczyszczenie i poświęcenie Amuletu Świtu. Jedynie Wielebne Córy Świętego Promienia Świtu, które troszczyły się, aby dusze poddanych bezpiecznie zanurzały się w Światłości, znały jego prawdziwą moc. Wszyscy jednak wiedzieli, że jest to przedmiot, w którym zamieszkała sama Światłość. Co roku szlachetnie urodzeni tłoczyli się podczas ceremonii w nadziei, że dostąpią łaski oczyszczenia z wszelkich wpływów Mroku.

Pan Ermande uważał, że męczyli się na próżno. Zgraja durniów i pyszałków. Oczywiście nigdy nie dzielił się przemyśleniami z nikim. Leniwie wodził spojrzeniem po obecnych. Był to jedyny rytuał przeprowadzany poza świątynią – tradycja wymagała, by odbył się w miejscu pobytu władcy (wszak władza naraża na zakusy Mroku). Królewski dwór pękał w szwach. Tego roku przybyli chyba wszyscy spokrewnieni z Główną Linią, włącznie z przysłowiową siódmą wodą po kisielu. Pstrokaty tłum. Czarne szaty Cór wyglądały jak dziury w kolorowym murze otaczającym oba trony. Ermande skłonił się uprzejmie Córze Lawinii. Gdy był mały, lękał się tej starej wiedźmy. Gdy dorósł, zdał sobie sprawę, że nie zbliżył się nawet do prawdziwego znaczenia słowa „lęk".

Dobrze pamiętał chwilę, gdy salutował jej podczas przysięgi (swą pierwszą dorosłą, jeszcze nie używantą szpadą), a zimny wzrok kobiety zdawał się przewiercać go na wylot. Wtedy zleciła mu pierwsze zadanie. Stracił wolność, podobnie jak przedtem ojciec, a wcześniej dziadek.

Wielebna Córa nie patrzyła jednak na niego. Spojrzał w tę samą stronę. Na tle arrasu przedstawiającego stosy, na których ginęły w męczarniach dzieci nocy, krygowały się rozchichotane damy z fraucymeru królowej. Przy marmurowej figurze przedstawiającej myśliwego sterczał jakiś wyzywający dandys... Ale oto Wielki Książę Raedcliffe, młodszy brat Miłościwie Panującego Rinaldo II. Niezbyt podobny do króla – kościsty, wysoki, o surowym obliczu. Miał zwyczaj odziewać się w szkarłaty, co jedynie dziś było w dobrym tonie.

Konwersował właśnie z Miłościwie Panującą Pulcherią. Rumieniec królowej wskazywał, że i ona nie oparła się czarowi Raedcliffe'a. Święty Promień jedynie wie, co kobiety widzą w tym strachu na wróble...

To wszystko nie było jednak ani niczym nowym, ani tym bardziej zajmującym. Czego zatem szukała Wielebna Lawinia?

Tak. Tam. Postać niemal zupełnie skryta za filarem. Ermande wytężył wzrok...Czyżby? Nie bacząc na etykietę, wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

Chłopak, prawie młodzieniec, wyglądał jakby zupełnie nie interesowała go Ceremonia Poświęcenia Amuletu Świtu. Wysoki wzrost, smukła sylwetka zachowująca jeszcze resztki dziecięcej niezgrabności. Wąskie, mocno zaciśnięte wargi znamionujące upór i nadające twarzy surowy wygląd. O pomyłce nie mogło być mowy. Widział młodszą kopię Wielkiego Księcia Raedcliffe. A więc odważył się przyprowadzić na Królewski Dwór bastarda... Implikacje mogły być interesujące...

Raz już pokazano go publicznie. Jedenaście lat temu, podczas wielkiej uczty na cześć Rinaldo II. Wielki Książę uparł się, że to on urządzi urodziny swego królewskiego brata. Wieść głosiła, że omal nie zbankrutował. Inna zaś, że prawowita spadkobierczyni Raedcliffe'a usiłowała wydłubać deserowym widelczykiem oko przyrodniemu bratu. Chłopczyka szybko zabrano, żeby nie psuć zabawy.

Ermande musiał odwrócić wzrok – rozpoczynała się ceremonia. Najwyższa z Wielebnych Cór powstała ze swego miejsca. Z sąsiedniej komnaty wynurzyli się dostojnie Kapłani Zakonu Światłości i utworzyli krąg wokół Najwyższej i asystujących jej młodszych Cór. Był to jedyny moment, gdy oficjalnie opuszczali mury świątyń. Zabawne. Podobno kiedyś Kapłani mieszali się do polityki, ale to dawne dzieje. Obawiali się wszelkiej magii, natomiast Córy odważyły się używać jej w imię Światłości. Zakon został zepchnięty do roli mnichów zatopionych w kontemplacji, zaś Wielebne Córy stanęły za tronem.

Najwyższa Córa uniosła w górę ramiona i zaintonowała Pieśń Oczyszczenia. Komnaty rozbrzmiały chórem dźwięcznych głosów. Dworzanie przyłączyli się nieudolnie. Potem Córy Dzierżące Promień Świtu wykonały salut, nastąpiło uroczyste Podniesienie i Amulet Świtu został poświęcony.

Zabłysnął niemal tak jasno jak sama Światłość. Dostojnicy westchnęli z wrażenia.

„Niezła sztuczka, a teraz z ulgą wrócą do tańców i obżarstwa" – pomyślał cynicznie – „W końcu zajęcie równie dobre jak każde inne" – i zgarnął kielich wina z tacy przechodzącego sługi.

– Szlachetny Panie Ermande...

Zamarł, słysząc dobrze znany lodowaty ton. Starucha umiała poruszać się jak duch. Odwrócił się. Choć była już stara, gdy jego ojciec czepiał się spódnicy własnej matki, trzymała się prosto jak struna. Podała kościstą dłoń do pocałunku. Błysnęły rubiny na rękawie. Czarna suknia wyszywana złotą i czerwoną nicią w symbole Światła i Ognia dopiero teraz zaszeleściła nieprzyjemnie. Po obu stronach tkwiły jak posągi Dzierżące Promień Świtu.

– Wielebna Córo Lawinio... Imponująca ceremonia. Promień Świtu będzie nas bezpiecznie prowadził w Światłość przez cały rok. Oby Światłość sprzyjała Wam o czcigodne...

– Daruj sobie, chłopcze! – parsknęła, ale w jej oczach rozbłysły iskierki rozbawienia. Przynajmniej tyle. – Na szczęście jesteś całkiem bystry. Nie to, co ojciec... Odnajdź go.

– Kogo, Wielebna Córo?

– Dobrze wiesz. Nie psuj mojej opinii o tobie.

Córa Sangicja uśmiechnęła się niemal niedostrzegalnie i mrugnęła znacząco. Ermande zaniepokoił się. To nie było bezpieczne. Lepiej nie wpadać im w oko... Ale musiał przyznać, że mogło być warto. Była nad wyraz ponętna... Smagła cera, burza lśniących czarnych włosów i wystające kości policzkowe, podkreślone jeszcze rytualnymi bliznami. Nawet gdy stała spokojnie, zdawała się tańczyć lekko na czubkach palców, zawsze gotowa do walki. Jak kot, który znieruchomiał na krótką chwilę przed atakiem. Takie były wszystkie z Dzierżących. Pod czarnymi kubrakami i szarawarami kryły się mięśnie twarde jak stal.

– Oczywiście, Wielebna Lawinio. I cóż mam czynić dalej?

– Zaprzyjaźnij się z nim. To twoje zadanie.

„Odpłynęła" majestatycznie, nie zadając sobie trudu, by udzielić wyjaśnienia. Za nią sunęły dwa cienie. Czarne drapieżne ptaki. Nie mógł oderwać wzroku od szerokich pleców Sangicji. Rapier pokryty lśniącymi runami zdawał się w najmniejszym stopniu nie obciążać jej biodra. Zupełnie jakby ważył mniej niż piórko. Niedbałym ruchem założyła za ucho niesforny pukiel. Wiedziała, że gapi się na nią niczym nieokrzesany prostak i niezmiernie ją to bawiło.

Jednym haustem przełknął zawartość kielicha – „Przeklęte Córy. Pora poszukać celu".

Radegard trzymał się na uboczu, tak jak poprzednio. Starał się nie przyciągać spojrzeń, ale nie było to możliwe. Niewątpliwa atrakcyjność w połączeniu z nazbyt skromnym kubrakiem przykuwała uwagę. Ermande nawet mu współczuł. Te błyski w oczach dam i ich fircyków...

Wziął nowy kielich i ruszył powoli w jego stronę. Po drodze zatrzymał się przy złoconym postumencie wykonując zwyczajowy gest Oddawania się pod Opiekę.

Zawsze go dziwiło, dlaczego tak cenny artefakt jak Amulet Świtu ma kształt zwyczajnego wrzeciona.



Wrzeciona musiały być spalone. Królewskie straże przeszukiwały cały kraj, aby odnaleźć je wszystkie i zniszczyć.

– Dlaczego?

– Wasza Miłość, już nie pamiętacie? Wrzeciono miało uśpić nieszczęsną królewnę. Po zniknięciu wróżek król postanowił uczynić wszystko, co leży w jego mocy, by oddalić niebezpieczeństwo grożące jego dziecku.

– To bez sensu, Cairo. Jeśliby odebrać ludziom wrzeciona, czym by przędli? Z czego by robili materiał? Musieliby nosić tylko skóry zwierząt... To głupie!

– Ależ...– Caira westchnęła zrezygnowana.– To tylko bajka... Wasza Miłość, jesteście już widać za duży na bajki. W takim razie, czemu wciąż każecie mi ją opowiadać od początku?

Radegard wzruszył ramionami. Lubił tę bajkę i już... Mimo że była trochę głupia. Ale dzięki niej miał nadzieję, że kiedyś los się odmieni. Poza tym przyjaciółka ze snów lubiła ją także.

– Opowiadaj dalej – zdecydował.

– Dobrze, ale pamiętajcie proszę, że w bajkach jest sporo przesady – jęknęła Pierwsza Kucharka, kręcąc głową ze znużeniem...

Powietrze zafalowało.

...Różany ogród, a wokół nieprzebyty las... Radegard czekał. Nie był już dziesięcioletnim chłopcem zamęczającym Cairę, by opowiadała wciąż od początku. Furtka prowadząca do świata skrytego pod powierzchnią snu została uchylona... Za każdym razem czynił to inny fragment jego życia lub historii o Śpiącej Królewnie. Sen wpuścił go głębiej. Różane krzewy usuwały się z drogi, bramy pałacu otworzyły swe podwoje...

Wybiegła na spotkanie. Srebrzystoszare oczy lśniły jak gwiazdy.

– Witaj – szepnął wzruszony.

Przycisnął ją do piersi. Obawiał się, że dziewczyna rozwieje się jak mgła, dopóki nie oddała mu uścisku.

Jak zwykle snuła opowieść o dawnych czasach. Szkoda, że

większość zapomni, gdy nadejdzie świt i gorzkie przebudzenie...

Później tańczyli w wielkiej balowej sali, przy dźwiękach muzyki mistrzowsko wygrywanej przez ukrytą orkiestrę. Poza nimi nie było widać nikogo. Świece płonęły... Na jawie nigdy nie zaznał tyle szczęścia. Wystarczyło mu, że może trzymać dziewczynę w ramionach. Była już odrobinę młodsza od niego... To śmieszne, że kiedyś wydawała się strasznie stara. Blada twarzyczka sugerowała wiek, w którym nie jest się jeszcze dorosłą kobietą, lecz przestaje się już należeć do świata dzieci. Tańczyła tak, jakby była jedną z dwunastu wróżek – wdzięcznie i lekko, niemal unosiła się w powietrzu.

Wciąż nie wiedział, jakiego koloru są włosy dziewczyny. Skrywał je bladozielony welon przytwierdzony do królewskiego diademu. Dziś żadna dama nie nosiła czegoś takiego.

Chwyciła go za rękę i pociągnęła za sobą. Weszli po krętych schodach na sam szczyt wieży. Rozejrzał się i westchnął zdumiony. Nie tego się spodziewał.

Malutką izdebkę wypełniono pergaminami, retortami oraz mnóstwem małych i dużych przedmiotów, których przeznaczenia nie mógł pojąć. Zewsząd otaczały go księgi ustawione na półkach szczelnie zasłaniających okrągłe ściany.

Wyciągnęła jedną z nich i podała mu. Karty przeskakiwały między palcami, tak jakby przesuwała je jakaś inna, niewidzialna dłoń. Kiedy skończył przeglądać, nie pamiętał, co dokładnie opisywała, ale z jakiegoś powodu poczuł się zakłopotany i przestraszony. Podobnie czuł się jedynie, gdy zupełnie nieoczekiwanie podziwiany przez wszystkich młodych dworzan pan Ermande zaproponował mu swą pomoc i wsparcie.

– Nie myśl o tych na zewnątrz – szepnęła, marszcząc nosek. To zadziwiające, że zwykle wiedziała, o czym on myśli...

– Nie martw się – pogładziła go po policzku. – Oni wszyscy powiedzą ci, że to coś złego, ale ty przecież wiesz, że tak nie jest.

Domyślał się, że jej słowa dotyczą również dziwnej księgi. Skinął głową, uspokojony. Ufał jej całkowicie. Była jego wyśnioną śpiącą królewną...

Rzeczywistość ponownie zmieniła swe oblicze. Ktoś wdarł się do snu.

...– I królewna wbiegła po kamiennych schodach na szczyt wieży – zamruczała sennie Caira. – Były tu niskie drzwiczki, a za drzwiczkami słychać było wesolutki furkot. Drzwiczki się otworzyły i królewna znalazła się w małej, schludnej izdebce. Pośrodku izdebki na drewnianym zydelku siedziała siwa starowinka i przędła na kołowrotku, a wrzeciono obracało się szybko i furkotało wesoło. Królewna zdziwiła się niepomiernie. „Ach, cóż to jest?!" – wykrzyknęła. „Wrzeciono, moja śliczna" – nie przestając prząść powiedziała starowinka. „Ach, jakie to ładne! Pozwól, żebym i ja spróbowała!" – i królewna pochwyciła wrzeciono.

Wyśniona komnata zafalowała. Twarz dziewczyny skrzywiła się nagle. Radegardowi ciarki przeszły po plecach – nie wyglądała już niewinnie i słodko.

– Jak śmiesz?! – zasyczała wściekle.

– A wtedy, czy dlatego, że ruch królewny był zbyt gwałtowny ... – kontynuowała Caira. A może to wcale nie Caira? Z całą pewnością. Kobieta w rogu komnaty ani trochę nie przypominała Pierwszej Kucharki.

– ...Czy też dlatego, że taka była wola wróżek, królewna przebiła sobie nim rękę i zapadła w swój sen bez przebudzenia.

Dziewczyna krzyknęła. Głos wibrował gniewem i rozpaczą.

– Ja cię obudzę królewno, przybędę nawet za sto lat! – zawołał, wyciągając ku niej ręce.

Stara kobieta spojrzała na niego w taki sposób, że poczuł się jak niezbyt rozgarnięty berbeć o zasmarkanym nosie i ubłoconych butach.

– Lepiej obudź się, głupcze, dopóki jeszcze możesz!



Możesz! Ermande, ty nie rozumiesz powagi sytuacji – Córa Sangicja przewróciła gniewnie oczami.

– Wyjaśnij mi zatem, Wielebna, ową sytuację. Moja przysięga nie obejmuje...

– Nie obejmuje czego? „Będę służyć Światłości ze wszystkich moich sił, będę wspierał wszelkie działania Wielebnych Cór Świętego Promienia Świtu, albowiem One zostały wybrane przez Światłość, aby walczyć z potworami Mroku, by nastał Świt dla nas wszystkich. Przysięgam na swe życie, imię i honor." Czy nie tak brzmiały słowa przysięgi?

Ermande milczał. Nie po raz pierwszy musiał przyznać się do porażki. Wolność przepadła dawno temu. A honor...Czy w tym świecie było coś takiego jak honor? Wszak dla każdego znaczył co innego.

– Sytuacja zostanie przedstawiona ci w pełnym świetle, jeśli Światłość dopomoże – dodała z właściwą sobie szczyptą czarnego humoru.

Nigdy nie zrozumie do końca Wielebnych Cór. Dzierżące Promień Świtu były niczym ostrze – wcieloną mocą powołaną by tępić sługi Mroku i dzieci nocy. Zimne Światło Świtu nie tolerowało odszczepieńców. Wszelako Oświecone przez Święty Promień przejęły najpilniej skrywane sekrety tajemnych sztuk praktykowanych nocną porą. Podobno magią jest tylko to, czego uczy Mrok, a więc jak nazwać dary Światłości? Czy to nie to samo, tylko użyte inaczej? Oświecone parały się „zakazaną sztuką" w imię Światłości... A runy na ostrzach Dzierżących... Lepiej nie wiedzieć tego wszystkiego. Niestety nie był ślepy i głupi. Cóż... Tak czy owak, pewnie będzie żył krótko i umrze gwałtowną śmiercią.

– A więc chodźmy, Wielebna...

W komnacie zebrali się już wszyscy zainteresowani, bo wszystkie spojrzenia skierowały się na niego.

Widok Oświeconej przez Święty Promień Lawinii wcale go nie zdziwił, jednak gdy w rogu pokoju ujrzał siedzącą w wielkim fotelu samą Najwyższą z Wielebnych Cór... O Światłości! Co tu się dzieje? Opadł na kolano.

Po drugiej stronie pokoju spoczywali: król Rinaldo II, Wielki Książę Raedcliffe i dostojnik Zakonu Światłości.

Na wszelki wypadek nie podniósł się z klęczek.

– To właśnie ten młodzieniec, szlachetni – powiedziała Córa Lawinia.

– Pan Ermande... – zaśmiał się Miłościwie Panujący. – Mogłem się spodziewać.

– Czy aby na pewno ten fircyk jest godzien, by powierzyć mu tak odpowiedzialne zadanie? – zapytał niespokojnie Kapłan Światłości. Jego ascetyczną twarz wykrzywił grymas podejrzliwości.

„Co ty tu w ogóle robisz, mnichu? Wracaj modlić się do świątyni" – odparował w myślach Ermande.

– Szanuję imię i honor tego młodego Pana – powiedział powoli Raedcliffe. – Ale poruszamy tu sprawy na tyle ważkie i niepokojące... Czy powinniśmy wtajemniczać go we wszystko, co ma związek z córką Maleandre'a?

– Teraz już tak. Albo nie wyjdzie stąd żywy. Nigdy nie umiałeś utrzymać się na wodzy, mój bracie – zadrwił król. – Pytanie tylko, czy bardziej wstydzisz się naszych, jakże odległych w czasie krewniaków, czy własnego...euhm...syna?

Oblicze Wielkiego Księcia zbielało, zacisnął dłonie na poręczach fotela, ale wytrzymał i nic nie odrzekł.

– Szlachetni... – cichy i spokojny głos Najwyższej z Wielebnych przywołał do porządku nawet monarchę.

– Nie traćmy czasu... Przypomnijmy, co ważne i ustalmy fakty, a Święty Promień wesprze nasze działania.

Wyciągnęła dłoń do Lawinii, która podała jej kilka pożółkłych i przypalonych na brzegach kart wyrwanych z jakiejś księgi.

– To fragment pamiętnika Ramardo, czcigodnego protoplasty obecnej Głównej Linii, a zarazem przyrodniego brata Maleandre'a – wykonała zdawkowy ukłon w stronę Rinaldo II i księcia.

Uwadze Ermande'a nie mogło umknąć, że na widok pamiętnika Kapłan Światłości omal nie poderwał się z miejsca.

– Wiele lat temu pewne osoby sądziły, że zniszczyły księgę... Na szczęście Wielebne Córy Świętego Promienia Świtu mają swoje sposoby by ocalić cenną wiedzę przed zapomnieniem...

Przysięgłby, że Najwyższa spojrzała z ironią na Zakonnika.

– Spalenie dowodów nie sprawia, że zagrożenie znika jak sen – umyślnie podkreśliła ostatnie słowo. – Przeciwnie, utrata wiedzy może pogłębić nieszczęście.

Jasne oczy Kapłana Światłości zabłysły gniewem, jednak wciąż milczał. Wielebna rozprostowała pergamin i zaczęła czytać:

...i wiedział on, iże przenigdy nie uznałbym za słuszne owych poczynań. Przeto odsunął mnie ode siebie. Obawiałem się mocno, aże Mrok na tyle zatruł jego duszę i o bezpieczeństwie mym, ni dzieci mych, ni poddanych...

...podjąłem niezbędne środki ostrożności i spisuje te oto słowa...

Urywane słowa pochodzące sprzed stuleci odsłoniły przerażającą tajemnicę. Prawdę, która brzmiała bardziej jak ponura baśń, niż wszystko, co Pan Ermande dotąd słyszał. Po głowie błąkały mu się odległe skojarzenia z bajką, którą niegdyś opowiadała piastunka.

Za czasów ostatniego króla z poprzedniej dynastii dzieci nocy niemal otwarcie panoszyły się po świecie. Winna była nieposkromiona żądza absolutnej władzy króla Maleandre'a. Monarcha miał zwyczaj otaczania się adeptami mrocznych sztuk i ani Kapłani Światłości, ani (o wiele słabsze niż dziś) Córy nie potrafili mu w tym przeszkodzić. Największą porażką sług Świtu było dopuszczenie do koronacji Pani Altayii. O młodej królowej szeptano, że ma „złe oko" i jest zbyt biegła w rozmaitych umiejętnościach, by było to normalne w jej wieku.

Kiedy na świat przyszła córka Maleandre'a, poddani oszaleli z radości – królewska para ogłosiła święto – festynom nie było końca. Na zamku odbyła się wspaniała uczta, która przyćmiła wszystkie poprzednie.

Tylko ci, którzy oddali się w służbę Świtu, wcale się nie cieszyli. Mała królewna była nad wyraz podobna do władcy. O wątpliwościach dotyczących ojcostwa nie mogło być mowy, a przecież Maleandre był bezpłodny... Dowodem było siedem poprzednich małżeństw króla.

Po narodzinach spadkobierczyni ustały niepokoje wśród ludu. Miłościwie Panujący wydał się nagle łaskawy, ba, nawet hojny. Była to jednak cisza przed burzą. Czas płynął...

...pierwsze jaskółki, że coś niedobrego się może wydarzyć, ujrzałem na długo przed ucztą na cześć piętnastej wiosny królewny. Królewna. Jeno tak ją zwano. Straszliwy to kaprys brata mego i małżonki jego pozbawić dziecię imienia. A przecie nieraz zdziwieniu i oburzeniu swemu dawałem wyraz. „Jakże to" – zapytywałem – „może li to być, by Królewskiej Linii córa imienia nie miała, aże do dorosłości, jako się jeno w niższych stanach spotyka, a i to nie zawsze?..." Lecz on śmiał się tylko i głową kręcił. „I cóż z tego? Wszyscy wiedzą, kim jest.

Dostanie imię znaczniejsze od wszystkich, znaczniejsze od naszych rodowych imion, gdy Jej czas nadejdzie, a stanie się to rychło. Niedługo dziecię mego serca skończy lat piętnaście"...

Monotonny głos Córy sprawił, że Ermande przymknął na chwilę oczy. Tylko na chwilę...



Na chwilę przed uroczystym wręczeniem darów królewnie zapanował niepokój. Przez tłum wielmożów przeszła niepokojąca plotka, że służba widziała dwanaście tajemniczych postaci, które pojawiły się w zniszczonej części zamku i równie nagle zniknęły. Jedna z pomywaczek zawędrowała tam przypadkiem, by ulżyć swej potrzebie. Na ów niespodziewany widok narobiła wrzasku. Jednak gdy przybiegli strażnicy, nikogo już nie zastali. Przerażona kobiecina opowiadała, że były to niewiasty w różnym wieku. Najmłodsza spojrzała jej prosto w oczy i parsknęła drwiącym śmiechem. Straż rozpoczęła przeszukiwanie, lecz królowa oznajmiła, że osobiście nakazała, aby wydano służbie dzbany z napitkiem.

Cóż, biedaczka widać przesadziła... W końcu któż ważyłby się podnieść rękę na Miłościwie Panujących lub ich piękną, słodką córkę?

Wręczono podarki, królewna uśmiechała się do wszystkich, a uczta była naprawdę udana. Rozpoczął się bal.

W natłoku wrażeń i trunków nikt z gości nie zauważył, że królowa i jej córka odeszły, a na ich miejsce zjawiły się podobne doń damy odziane w identyczne szaty i welony.

Zniknął także królewski brat, ale jego nikt nie zastąpił.

Niewielką izdebkę na szczycie wieży zatłoczono jak nigdy. Wokół stołu usadowiło się dwanaście niewiast. Miejsce u szczytu świeciło pustką.

Kobiety czekały w milczeniu. Były w różnym wieku, a ich odzienie wskazywało na odmienne pochodzenie społeczne, lecz łączyło je jedno. Nienaturalny chłód bijący z bladych twarzy i błyszczących oczu.

Dziewczyna w jaskrawej, czerwonej sukni z żółtymi wyłogami i jasnymi włosami nie przykrytymi welonem rozglądała się wokół ciekawie. Choć barwy stroju i głęboki, wyzywający dekolt wyraźnie sugerowały, czym się trudni, przeczyła temu nietknięta chorobami skóra. Jej wzrok przesuwał się po bogato zdobionych grzbietach ksiąg. Ciasno wypełnione półki zasłaniały całe ściany, jedynie przez maleńkie okrągłe okienko zaglądało oko księżyca. Kobietom to nie przeszkadzało. W pewnym momencie coś rozbawiło jasnowłosą. Zachichotała i skinęła dłonią. Opasły tom wysunął się powoli ze swego miejsca i wskoczył do jej rąk, po drodze niemal burząc fryzurę starszej jejmości o wyglądzie karczmarki. Wściekłe spojrzenie nie wytrąciło dziewczyny z równowagi, uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Nim cokolwiek rzekła, drzwi otworzyły się z przeciągłym skrzypieniem.

Młodziutka królewna zasiadła na swoim miejscu. Ta, którą świat znał jako matkę, stanęła za krzesłem i oparła dłonie na jej ramionach. Dziewczyna przyglądała się spokojnie swoim gościom dużymi srebrzystoszarymi oczyma, co nie znały lęku ani zdziwienia.

– A zatem jesteście moimi... chrzestnymi matkami – było to bardziej stwierdzenie niż pytanie. Małe karminowe usta skrzywiły się w na poły szyderczym grymasie.

– Można to tak ująć, Wasza Królewska Mość, można tak ująć – zaśmiała się bez widocznej urazy dziewczyna o wyglądzie nierządnicy.

– Jest całkiem silna, ale zbyt pewna siebie – zaszemrał głos chudej Mistrzyni Cechu Szlifierzy. O jej pozycji świadczyła brylantowa brosza i godło na gorsie. Poza damami z królewskiej rodziny, w pokoju znajdowała się tylko jedna Pani. Mierzyła chłodnym wzrokiem dziewczynę w zielonym welonie.

– Możesz wątpić, lecz im wyższa sfera, tym więcej trzeba ostrożności, by trudnić się naszą sztuką. Myślisz, że będziesz nietykalna? Tak myśli król Maleandre, ale ty powinnaś być mądrzejsza. Kapłani i Wielebne Córy są zdolni posunąć się do królobójstwa. Zwłaszcza Córy. Wierz mi.

Królewna skrzywiła się pogardliwie.

– Wiedźmy mogą próbować i pewnie będą, ale jestem córą Mroku, siły, która pochłania wszelką Światłość. Zostałam zrodzona po to, by w pełni mocy kroczyć w świetle dnia. Czyż nie, matko?

Królowa z dumą dotknęła jej diademu. Pozostałe kobiety spojrzały ironicznie. W ich oczach czaiło się pytanie: czy myślisz, że po wszystkim nadal będzie cię potrzebować?

– Wystarczy tego. Nadszedł czas, aby nadać jej imię. A może boicie się własnego przedsięwzięcia? – parsknęła Miłościwie Panująca, próbując zemścić się za te spojrzenia i zatuszować własny niepokój.

– Dziecię nocy, które przetrwa ból Świtu, zapanuje nad Mrokiem i Światłością. To był pomysł Kręgu, a Maleandre oddał mu się całą duszą w zamian za możliwości. Ile jeszcze chcecie czekać?!

– Może jeszcze rok... – mruknęła „karczmarka".

– Trzeba to dobrze rozegrać. Poczekać na bardziej odpowiednią chwilę... – przytaknęła Pani. – Krąg otrzymał niejasną wróżbę z Otchłani. Jest jakieś niebezpieczeństwo, którego nie znamy.

– Tchórzliwe wiedźmy! – w głosie królewny nie było gniewu, lecz niewyobrażalna drwina.

– Przynajmniej połowa z was dostąpiła zaszczytu bycia dzieckiem nocy, a boicie się własnego cienia, choć go już nie macie!

Dziewczyna uniosła się z krzesła, a jej słowa przeszły w groźny pomruk. W komnacie powiało chłodem, a potem napłynęła fala pustynnego żaru. Knot stojącej w kącie zakurzonej świecy błysnął nagle wysokim, czerwonym płomieniem. Królewska córa uśmiechnęła się ze zwodniczą łagodnością.

– Dość tych żartów, już jestem waszą królową... Dokończcie rytuał, a możecie być pewne, że Świt nigdy nie nadejdzie.

Dwanaście spojrzało po sobie. Po kolei, niechętnie, skłaniały głowy. Małżonka Maleandre'a skrzywiła się tryum falnie. Podeszła do regału i wyciągnęła do połowy jeden z tomów. Na przeciwległej ścianie odsłoniła się mała wnęka, w której ukryto worek wykonany z aksamitu. Altayia wydobyła zeń dwanaście srebrnych czar. W każdym naczyniu znajdowało się małe złote puzderko. Czarownice aż wstrzymały oddech z zachwytu.

– Możecie to sobie zatrzymać szanowne panie! Król rozkazał wykonać to specjalnie na dzisiejszą noc. Dopilnowałam rytuału, a sługi Kręgu złożyli Przysięgę Uciętego Języka.

– A rzemieślnik?...

– Wszyscy nie żyją. Bierzmy się do czynu, siostry.

Kobiety zakrzątnęły się szybko. Stół został wypchnięty za drzwi. Czarownice zapaliły wonne kadzidła i zaczęły kreślić na podłodze wzór – dwunastoramienną gwiazdę, a pomiędzy jej ramionami skomplikowane symbole. Usłyszały trzykrotne pukanie i do środka zajrzała drobna kobiecina. Podała Miłościwie Panującej uśpione niemowlę, po czym uciekła szybko, jakby ją goniło sto demonów.

Dziewczyna w jaskrawej sukni roześmiała się głośno i wyciągnęła ręce po dziecko. Przytuliła je do siebie i zanuciła, kołysząc delikatnie.

Każda z kobiet ustawiła się przy jednym z rogów i ustawiła przed sobą czarę. Królewna stanęła w samym centrum wzoru pomiędzy krzyżującymi się liniami. Dziecko złożono w jej dłoniach. W komnacie rozległ się upiorny zaśpiew. Otworzyły złote pudełeczka. Wewnątrz znajdowały się pokryte runami: złoty sztylecik, złoty szpikulec i złoty przedmiot na upartego przypominający małą łyżeczkę.

– Noś imię piękne jak noc nieskażona księżycowym światłem, bądź piękna jak ona – zaintonowała Pierwsza.

Nacięła przedramię złotym sztyletem – do naczynia spłynęła czarna jak smoła krew. Ujęła skaleczoną ręką złoty szpikulec i wbiła w ciałko niemowlęcia. Po małej twarzyczce popłynęły łzy bólu, ale nie otworzyło oczu, ani nie wydało dźwięku. Do ciemnej posoki dołączyły jasnoczerwone kropelki.

– Z krwi się zrodziłaś i krew cię uświęci...

Złocista „łyżeczka" zamigotała dziwnym blaskiem.

– Noś imię podobne dzikiej bestii, bądź zwinna i szybka jak ona – dodała Druga. – Z krwi się zrodziłaś i krew cię uświęci...

– Noś imię potężne jak wiedza wyniesiona z serca Mroku, bądź mądra jak on. Z krwi się zrodziłaś i krew cię uświęci...

– Noś imię niczym myśl stworów Otchłani, bądź przebiegła jak one. Z krwi się zrodziłaś i krew cię uświęci...

– Noś imię radosne jak uśmiech nasyconego dziecka nocy, śmiej się, tańcz i śpiewaj matce nocy jak ono. Z krwi się zrodziłaś i krew cię uświęci.

Kolejne głosy dołączały do chóru. W końcu rozległ się śpiew Dwunastej.

– A więc z krwi się zrodziłaś i krew cię uświęci. Popłyniesz jej rzeką...

Nagle drzwi otworzyły się ze straszliwym łoskotem. Śpiew urwał się w pół nuty. Królewna omal nie upuściła poranionego dziecka. Do pomieszczenia wkroczyła przygarbiona, siwa jak gołąbek starowinka. Oczy w jej pomarszczonej twarzy gorzały jednak strasznym, pełnym mocy blaskiem.

– Ach, więc jednak... szanowna „kuzynka" zechciała nas zaszczycić swoją obecnością na tej jakże miłej uroczystości... – warknęła jasnowłosa.

– Zobaczymy jeszcze, czy to będzie taka miła uroczystość! Wasza bariera nie jest garści kłaków warta... Przedarłam się pierwsza. Za chwilę będzie tu gorąco, moje panie...

Staruszka wyszarpnęła spod płaszcza podłużny, emanujący ostre światło przedmiot. Część kobiet zasłoniła oczy i krzyknęła ze strachu. Magiczny sen niemowlaka został przerwany. Powietrze przeszył pełen bólu, ochrypły wrzask.

– Noś imię swoich piętnastych urodzin, albowiem teraz umrzesz! – zasyczała przybyła.

Królewna wpatrywała się w nią, po raz pierwszy w życiu przerażona i bezradna.

Młoda jasnowłosa czarownica drgnęła. Stara kobieta odwróciła się w jej stronę, ale było już za późno. Dziewczyna błyskawicznie przyskoczyła do królewskiej córy i przebiła swoim złotym szpikulcem bijące jeszcze serce malucha, jednym tchem recytując to, czego nie skończyła Dwunasta.

W tym samym czasie królowa, wyjąc z wściekłości, rzuciła się na dzierżącą tajemniczy przedmiot. Oślepiające światło pozbawiło ją przytomności, atak wystarczył jednak, by pozostałe kobiety odzyskały wolę walki. W powietrzu rozległ się drażniący szelest towarzyszący zwykle uwolnieniu potężnych czarów. Zamigotały błękitne iskry. Symbole wokół gwiazdy na podłodze zdawały się wić jak żywe węże. Królewna wyskoczyła na zewnątrz.

– Ach, cóż to jest?! Amulet Świtu, prawda? Jakie to ładne! Proszę, daj i mi spróbować!

Staruszka, choć atakowana ze wszystkich stron, trzymała się jeszcze na nogach. Moc Amuletu była ogromna. Mimo to królewna była w stanie się zbliżyć. Jej ostre paznokcie rozdarły brutalnie pomarszczony policzek, drugą ręką spróbowała wyrwać wrzecionowaty przedmiot. Kobieta ostatkiem sił dźgnęła w zbliżającą się dłoń. Dziewczyna jęknęła, spoglądając nań z niedowierzaniem i osunęła się na ziemię. W tej samej chwili płomień stworzony przez jasnowłosą przedarł się przez osłony.

– Nieładnie, moja pani, oj nieładnie! Nie uczono Wielebnych dobrego wychowania? – szarpnęła za siwy warkocz. – Rozumu widać też nie macie. Nie bałaś się, tak sama?

Strzyknięcie śliny trafiło ją między oczy.

– Letycjo, nie marnuj czasu na tego śmiecia! – warknęła „karczmarka" – Wielebne Córy przebijają się przez barierę, dobrze że pojedynczo.

– Ty, Alambra i Prudencja, otwierajcie most do Otchłani! Reszta niech uszczelnia barierę! Ja tu jeszcze coś załatwię...

Ponownie chwyciła Wielebną Córę za warkocz. Złocisty, runiczny nożyk zalśnił w jej dłoni.

– Twoje szlachetne poświęcenie poszło na marne... Niemal mi przykro, gdy na ciebie patrzę. Zdążyłam Jej nadać imię. Zniesie nawet moc Amuletu Świtu. Nie umarła. Zasnęła na bardzo, bardzo długo, ale gdy się obudzi... – wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

Przyciągnęła bliżej stopą czarę ze srebra.

– Nazywacie to „stołowym nakryciem demona". Oddam ci swoje nakrycie, może to poprawi twój gniewny nastrój.

Oczy Wielebnej rozszerzyły się z przerażenia.



Przerażony Ermande zerwał się na równe nogi. Nie on jeden tak zareagował. Tylko Kapłan Światłości siedział wygodnie z wciąż opuszczonymi powiekami.

– Wasze sztuczki mącące rozum nie robią na mnie wrażenia. Choć przyznaję, że wizja wydarzeń była tyleż plastyczna, co nieprawdopodobna. Oczywiście jak zwykle przeceniacie możliwości poszczególnych Cór. W jaki sposób dokonałyście rekonstrukcji?

– Nie przeceniamy, o szacowny Przełożony Zakonu Światłości – powiedziała z dziwnym smutkiem w głosie Najwyższa Wielebna Córa. – Córa Esmeralda była jedną z naszych najzdolniejszych Oświeconych. Wiedziała, co ryzykuje. Niestety barierę Mroku pokonuje się samodzielnie. Ona potrafiła zrobić to błyskawicznie i postanowiła przyjąć na siebie cały atak, byle tylko przerwać rytuał. Sama jedna stawiła opór trzynastu, a w zasadzie czternastu czarownicom. Królowa Altayia również była adeptką. Dopuściliście do tego. Nie byliście w stanie ochronić wysokich rodów przed wpływem złych sił.

Kapłan wydął usta.

– Zaś co do rekonstrukcji... – odezwała się Lawinia. – Nie było to takie trudne.

Skinęła dłonią. Córa Sangicja położyła jakieś zawiniątko przed Rinaldo. Pociągnęła za troczki. Czarny aksamit odwinął się ukazując błyszczące jak nowe: srebrną czarę i włożone do środka złote puzderko. Wnętrze naczynia i wieczko pudełka pokrywały jakieś plamy.

Na ten widok Zakonnik zamrugał z niedowierzaniem i wykonał szybko gest Oczyszczenia.

– W tym zamknięto fragment duszy Córy Esmeraldy i nieszczęsnego dziecka. Plam krwi nie da się usunąć. Czarownica Letycja zostawiła to na urągowisko.

– Poza tym jest pamiętnik brata Maleandre'a – kontynuowała – Na szczęście przetrwał wasze próby zatuszowania historii.

– Jak śmieliście uczynić coś takiego? – zapytał cicho król Rinaldo.

Zarówno Wielki Książę, jak i Pan Ermande drgnęli nerwowo. Znali ten ton. Na ogół oznaczał utracenie łask. Lochy. Tortury. Albo po prostu zły humor. Na jedno wychodziło.

Przełożony jak gdyby zapadł się w sobie. Wymruczał prośbę o przebaczenie, a po chwili powiedział coś, co sprawiło, że Ermande zapragnął zapaść się pod ziemię. Dalsze słowa Lawinii pozbawiły go ostatnich złudzeń. Wiedział już, do jakiego obrzydliwego i niegodnego szlachcica czynu chcą go zmusić.

– Czy masz jeszcze jakieś wątpliwości, panie Ermande? Może twój honor jednak pozwoli ci zrobić wszystko, żeby ocalić kraj przed jej obudzeniem?



Obudzony przez służącego Radegard przetarł oczy. Ochlapał się szybko wodą z misy zawsze stojącej przy łożu i sięgnął po świeżą koszulę. Wciąż czuł smak pocałunków królewny. „Odnajdę cię najdroższa, przysięgam" – pomyślał nakładając buty. Wiedział już przynajmniej, w którym kierunku się udać.

Musiał się śpieszyć. Dziś jeden z młodych dworzan urządzał wykwintne polowanie. Pan Ermande uzyskał dla niego zaproszenie.

Dobry przyjaciel z tego pana Ermande. Był jak dar samego Świętego Promienia. Odkąd niespodziewanie zaoferował swe wsparcie, wszyscy zdawali się odnosić do Radegarda z szacunkiem. Nie było już szeptów po kątach, ledwie skrywanych złośliwych uśmieszków. Nagle uznano jego pochodzenie. Może i pozostał bastardem, ale przynajmniej książęcym.

Jego ukochana okazywała niepokój. Zupełnie niepotrzebnie, przecież była najważniejsza. Miał plan. Oddali się podczas polowania. Państwo będą tak zajęci, że minie mnóstwo czasu, zanim ktoś zauważy zniknięcie. Mapa z Księgi, którą wielokrotnie przeglądał podczas sennych wojaży, doprowadzi na miejsce. Będzie mu brak Ermande'a...

Tak jak przewidywał, młodzież podzieliła się na małe grupki, które oddaliły się w różnych kierunkach. Dworzanie zakładali się między sobą o pokaźne sumy, a nawet całe posiadłości, kto z nich zostanie Królem lub Królową Łowów. On i Ermande przyłączyli się do towarzystwa. Przez jakiś czas gwarzyli ze sobą wesoło, po czym Radegard stwierdził, że nie czuje się dziś najlepiej i chyba wróci do zamku. Zawsze może zostać Królem Łowów kiedy indziej. Pan Ermande żartował z niego, podkręcając wąsa, że ów ból głowy spowodowany jest pięknym licem jednej z dam nie zainteresowanych polowaniem. Życzył więc udanego „polowania".

Radegard już od paru godzin podróżował samotnie w północno-zachodnim kierunku. Las był bardzo gęsty, jednak w jakiś sposób wyczuwał, iż nie zbacza z właściwego szlaku.

Raz czy dwa zdawało mu się, że ktoś za nim podąża, ale to musiało być złudzenie.

Zmęczenie dało znać o sobie. Wypatrzył małą polankę i postanowił zatrzymać się na popas. Nigdy nie był samotnie w takiej „dziczy", mimo że przecież wciąż znajdował się na królewskich terenach łowieckich, których w rzeczywistości doglądano niczym ogrodu. Puścił konia swobodnie. Rozciągnął się wygodnie na płaszczu i sięgnął do sakwy. Miał tam ciasto i mięsiwo. Powinno starczyć na całą drogę do przystani.

Szelest. Głośny trzask gałązki. To nie było złudzenie. Zerwał się gwałtownie. Dlaczego koń go nie ostrzegł?!

Odwrócił się i wpadł wprost na wysokiego, postawnego mężczyznę w eleganckim stroju do polowań.

– Ermande! Na Święty Promień! Co tu robisz? Jechałeś za mną cały czas?

Piwne oczy szlachetnie urodzonego były dziwnie czujne i chłodne. Uśmiechnął się nieszczerze.

– Cóż. Zaintrygowały mnie wasze zamiary, Wasza Miłość, więc postanowiłem oddalić się pod podobnym pretekstem i towarzyszyć wam w podróży. Drogi teraz niebezpieczne.

– Doprawdy? Sądziłem, iż sekundujesz mi Panie w miłosnych podbojach...

– Naturalnie, nie widzę jednak żadnej damy. Gdyby tak było, nie proponowałbym tak natarczywie swojej opieki i towarzystwa. A może do niej właśnie zdążacie?

– Tak – Radegard przełknął niepewnie ślinę – Tak właśnie jest.

– Zatem pozwólcie sobie towarzyszyć, Wasza Miłość, albo... zaniechajcie podróży – na twarzy pana Ermande na chwilę pojawił się wyraz dziwnej nadziei.

Chłopak przysiągłby, że w głosie dworzanina zabrzmiała szczera prośba.

– Nnniee mogę – mimo woli cofnął się o krok.

– Ostrzegam Was po raz ostatni. Zaniechajcie podróży! Oszczędzicie wszystkim wielkich cierpień.

– Wszystkim? Wielkich cierpień? – Radegard parsknął z niedowierzaniem – Jak dotąd nikt nie przejmował się moim losem. Czemu zawdzięczam to nagłe zainteresowanie?

– Igracie z potężnymi czarami, Wasza Miłość. Lepiej wracajcie na Królewski Dwór. Wszystko się ułoży. Pozostawcie ową nocną marę, jej słowa są jak trucizna. Sama ułuda. Wielebne Córy Świętego Promienia Świtu odczynią urok. Wasza śmierć nie jest potrzebna. Zaklinam na Światłość, wracajcie ze mną do zamku, a wszystko będzie dobrze.

„Śpiesz się ukochany! Nie wytrzymam dłużej!"

Młodzieniec poczuł, jak narasta w nim gniew. Nigdy nie miał władzy nad swym życiem. Wszystko będzie dobrze? Nic dla nikogo nie znaczył. Potem śledzono go i oszukiwano... Nawet pan Ermande, jego przyjaciel... Ha! Przyjaciel! Szpieg Cór... Jakim cudem się domyśliły? I dlaczego, zamiast pomóc mu uwolnić dziewczynę, próbują przeszkodzić?

„Źli ludzie próbują ci przeszkodzić, najdroższy! Wszystko, co mówią, to kłamstwa! Dla nich nie znaczysz nic, ale dla mnie... Jesteś moją jedyną nadzieją, moją miłością. Córy zniszczyły moją Linię, aby przejąć władzę, ustanowić swoje marionetki. Tylko o to im chodzi!"

– Córom chodzi tylko o to, by przejąć władzę! Rinaldo i mój ojciec to tylko marionetki. Żal mi cię, Szlachetny Ermande, jesteś głupcem jak inni! Zmądrzej i pozwól mi czynić mą powinność!

W oczach pana Ermande błysnęło zdziwienie.

„One oszukują wszystkich! Mówią o Mroku i Światłości, o tym, że nadejdzie Świt... to tylko bełkot, sposób na ogłupienie ludu, na utrzymanie ich w strachu! Maleandre, mój ojciec, to wiedział! Czy ktoś choć raz widział osławione dzieci nocy? Czym różni się zakazana sztuka od darów Światłości? Nie daj się zwieść!"

– Czym różni się zakazana sztuka od darów Światłości? Czy zastanawiałeś się kiedy nad tym, panie Ermande? Czy choć raz widziałeś jedno z dzieci nocy, przed którymi ostrzegają Córy?

Ermande zadrżał ledwo dostrzegalnie.

„Nie słuchaj złych, ogłupionych ludzi. Ty jeden znasz prawdę, ty jeden wiesz jak bardzo mnie skrzywdzono. Nie zabiły mnie tylko dlatego, żeby mieć asa w rękawie, na wypadek gdyby zbuntowała się obecna Główna Linia. Jeśli mi pomożesz, pokrzyżujesz im szyki. Dobrze, że uczono mnie magii... Czar Snu osłabł i mogłam do ciebie przemówić. Nie lękaj się, jestem cały czas przy tobie"

– Panie Ermande, zrozum... One cię okłamały. Choć trudno w to uwierzyć nam chowanym w strachu, nie ma żadnego Mroku ni Światłości. Królewna cierpi. Wiem, gdyż jest cały czas przy mnie.

Wahanie, przez cały czas widoczne w oczach szlachetnie urodzonego, znikło. Mężczyzna splunął i wykonał znak Oczyszczenia, później płynnym ruchem wyciągnął szpadę.

„Dlaczego?" – pomyślał syn Wielkiego Księcia, bardziej zdumiony niż przestraszony. „Nie otrzymałem jeszcze dorosłej szpady, plami swój honor!". Ermande nie zważał na to, zrzucił kapelusz z szerokim rondem i pękiem strusich piór. Młodzieniec wyciągnął drżącą dłonią swoją broń. Starszy szlachetnie urodzony zaatakował.

Radegard widział wszystko w zwolnionym tempie. Wiedział, że nie ma szans. Pan Ermande był szermierzem co się zowie. Opowiadano legendy o jego wyczynach. Najbardziej znana było opowieść o tym, jak rozbroił Pana Montespo, wykonując zarazem wdzięczny taniec z wachlarzem. I ten człowiek chciał go zabić.

„Nie pozwól by cokolwiek cię powstrzymało. Jestem przy tobie, moja miłość poprowadzi twe ramie".

Księga ze snu. Błysk srebrnoszarych oczu. Poczuł nagle, jak wypełnia go jakaś nieznana moc. Ból i ciemność. Po chwili jakże odległe. Widział wszystko jakby z zewnątrz. Widział jak postać Radegarda, jego postać uderza w powietrze zaciśniętą lewą pięścią. Ermande pada na darń, odrzucony potężną, niewidzialną siłą. Radegard podchodzi powoli, z rozmysłem przystawia sztych do gardła mężczyzny...

Ocknął się przy wciąż ciepłych zwłokach.

„To nie twoja wina. Tak musiało być. Ratuj mnie"

Czas jechać. Byle dalej. Do przystani. Przeprawić się. Zajmie to trzy dni. Potem znów drogą lądową. Królewna czeka. Dłużej nie zniesie udręki.

Siedem dni później, wygłodzony i bez chwili snu, dotarł na skraj lasu znanego z nocnych wędrówek. Nie wiedział, czy to senny majak, czy jawa.

Księga. Niewidoczne palce przerzuciły kolejną kartę. Różany ogród. Kolczaste gałęzie. Złowrogie, czerwone, dyszące pragnieniem kwiaty. Wargi ułożyły się w dobrze znane słowa, choć nigdy ich przedtem nie wypowiadał. Krzewy rozstąpiły się posłusznie. Wstąpił w progi pałacu.

Odnalazł ją w wielkiej, bogato zdobionej sali. Leżała na złotym łożu, piękniejsza niż we śnie. Drobna postać, śnieżnobiała skóra. Włosy skryte pod bladozielonym welonem. Może wreszcie pozna ich barwę. Zbliżył się, czując wzruszenie dławiące w gardle i ukląkł przy posłaniu. Otworzyła oczy. Wielkie, srebrzystoszare...

– Czy to ty, mój królewiczu? – zapytała z uśmiechem. – Tak długo na ciebie czekałam...

Pochyliła się ku niemu, ofiarując usta czerwone i dyszące pragnieniem jak róże w ogrodzie. Ucałował je. Potem wargi królewny dotknęły jego szyi. Poczuł szczęście.

I ból.

Zapadła ciemność i nie czuł już nic.



Nicość. Błogosławiona przepełniona promiennym światłem pustka. Nagle... Drapieżny ptak. Błysk srebrzystoszarych, dzikich oczu i śmiech... Ten śmiech... Pogrążony dotąd w kontemplacji Przełożony Zakonu Światłości zawył przeraźliwie chwytając się za głowę pulsującą bólem nie do zniesienia. Później powróciła błogosławiona pustka.

Gdy się ocknął, zachodzące słońce widoczne za oknem uzmysłowiło mu, że przeleżał na zimnej kamiennej posadzce świątyni całą noc i cały dzień. Oczywiście, żaden z kapłanów nie ośmielił się mu „przeszkadzać".

Po kręgosłupie przemknął dreszcz strachu. Zimne macki obłędnego przerażenia. A więc stało się. Zadufane w swą złudną magię Wielebne nie dały rady. Potwór przebudził się. Dlaczego zatem jeszcze żył? Gdzieś w środku czuł odpowiedź. Nie chciał, aby ktokolwiek znał prawdę i dlatego przyczynił się do kolejnej porażki Światłości. On – Jej wierny sługa. Pozostał przy życiu na urągowisko, by patrzeć na to, co nieuchronnie nastąpi i cierpieć.

Wspomniał ów dzień, gdy Wielebne Córy przed królewskim obliczem wytknęły jego błędy i swą żałosną odpowiedź:

– Chcieliśmy chronić ludność i nową Główną Linię. Gdyby sprawa się wydała... Znaleźliby się głupcy chcący odnaleźć i zniszczyć królewnę. Potwór zostałby uwolniony. Lepiej zniszczyć dowody... Wiedza mogłaby zaszkodzić, przecież wystarczy choć kropla tej samej krwi, dalekie pokrewieństwo i bestia wyjdzie na wolność.

– Pokrewieństwo? – Wielki Książę podniósł głowę.

– Tak – westchnęła Córa Lawinia – Wszystko jest w pamiętniku. Wielki Książę Ramardo coś podejrzewał. Śledził królową i jej córkę. Został zamknięty w obrębie bariery, a głupim sługom Mroku nie przyszło do głowy, żeby sprawdzić, czy w ostatniej chwili nie dostał się tam ktoś niepowołany. Był ukryty w jednym z tajnych schowków. Wszystko słyszał. Niestety, nim Krąg otworzył most do Otchłani, Letycja go odkryła. Darowała mu życie twierdząc, że potomek z jego krwi obudzi kiedyś królewnę, że dzięki niemu Świt nigdy nie nadejdzie. Królewski brat oszalał. Do końca życia bełkotał o „wesołej wróżce", która przekazała mu dobrą nowinę. Zanim stracił resztki władz umysłowych, spisał pamiętnik. Resztę wydobyłyśmy z Altayii na torturach. Krąg nie zabrał jej ze sobą. Spełniła swoje zadanie i przestała być potrzebna. Na pociechę powiedziały jej, że ukryją królewnę w bezpiecznym magicznym pałacu, a może już za sto lat ktoś z królewskiej krwi przybędzie i ją obudzi. Potem była wojna domowa. Zanim zabito Maleandre'a, terroryzował poddanych poszukując Amuletu Świtu. Zaślepiony szałem głupiec myślał, że go zniszczy. Po wszystkim osadzono na tronie nieletniego syna Ramardo.

Lawinia skierowała spojrzenie na Wielkiego Księcia Raedcliffe.

– Na szczęście nasi agenci na Waszym dworze, Książę, wykryli coraz dziwniejsze zachowanie Radegarda. Chłopiec pozostawiony sam sobie po śmierci Waszej Pierwszej Kucharki i pogrążony we własnym świecie był łatwym łupem dla sił Mroku. Naszej szacownej Najwyższej z Wielebnych Cór Promienia Świtu – skłoniła się w jej stronę. – udało się raz przerwać czar córki Maleandre'a. Niestety, jej moc wciąż rośnie.

Ukrył wtedy twarz w dłoniach, niezdolny do obrony, mając nadzieję, że Wielebnym się uda, że naprawią straszny błąd Zakonu. Córa zwróciła się do młodego szlachcica i nakazała mu zabójstwo bękarta Wielkiego Księcia, nim dotrze do pałacu.

A więc nie udało się.

Z pamięci wypłynęły słowa słyszane podczas wizji. Słowa wyszeptane przez czarownicę Letycję do królewny: „...Z krwi się zrodziłaś i krew cię uświęci. Popłyniesz jej rzeką, a gdy dotrzesz do kresu swej drogi, Światłość w ludzkich sercach zostanie zdławiona. Noś imię Lumarisea – Zmierzch, po którym nie będzie Świtu".

Miał suche oczy, ale zapłakał krótkim urywanym szlochem. Nie posiadał sztyletu. Wystarczy nóż do chleba. Nadchodzi Zmierzch, po którym nie będzie Świtu.



Świt nowych możliwości" – pomyślała sentencjonalnie Córa Lawinia. Starła pot z czoła. Wreszcie się udało. Spojrzała z dumą w lustro, które usłużnie podsunęła jej wierna Sangicja. Ta dziewczyna daleko zajdzie. Była sprytna i utalentowana. Gdy osiągnie pełnię mocy, niewiele istot odważy się stanąć z nią w szranki.

Świetlisty medalion Najwyższej z Wielebnych Cór pięknie kontrastował z barwą szaty. Jej poprzedniczka odeszła we śnie. Stężałe w przerażeniu rysy, zamrożone oddechem śmierci, sugerowały obłędne cierpienie. Zaraz potem król i Wielki Książę otrzymali oczekiwane wieści – Radegard i Ermande nie żyją. Dwór będzie w żałobie. Od dawna nie było wypadków podczas polowania, a teraz to... Pewnie skończy się moda na tytuł Króla lub Królowej Łowów.

Odprawiła gestem Sangicję. Nigdy nie potrzebowała ochrony, ale uwielbiała symbole władzy. Wspominała czasy, gdy dzieci nocy było więcej... Ech... Ludzie drżeli ze strachu o swe ciała i dusze, a skarbce świątyń (uśmiechnęła się złośliwie) pękały w szwach od darowizn. A Wielebne manipulowały wszystkim, jak chciały. Biedni żałośni głupcy... Szlachetny głupiec Ermande. Mimo wątpliwości zdecydował się zaatakować Radegarda. Jednak niewłaściwie oceniła jego lojalność. Była pewna, że bez przeszkód pozwoli odjechać bastardowi. Cóż, przynajmniej jego wiara w Światłość stała się na tyle niepewna, że nie sprawił żadnych kłopotów Pani Zmierzchu. Nie rozgniewała się, była nawet zadowolona z dostarczonej rozrywki.

Gdy Lumarisea nasyciła się krwią Radegarda, ponownie stała się częścią tego świata. Przestąpiła progi pałacu i niczym młoda olbrzymka upojona swą świeżo objawioną siłą zniszczyła miasto i kilka wiosek w okolicy. Wieści o wielkiej epidemii szybko się rozeszłą, a Wielebne Córy Świętego Promienia Świtu nic nie zrobią. Nic. Ostatniej nocy większość Dzierżących złożyło przysięgę Lumariseii. Wszak Mrok jest tylko brakiem Światła, a moc i walka, w której się tak lubują, zawsze wygląda tak samo. Magiczną Sztukę można użyć na wiele sposobów. To sztuka subtelna i brutalna zarazem. A Wielebne pragną mocy bardziej niż ktokolwiek inny...

Dlatego ona mogła zagnieździć się w samym sercu ich zgromadzenia i chronić swą chrzestną córę. Ludzkie serca pogrążą się w Mroku, a Otchłań otworzy swe gościnne podwoje.

Przesunęła językiem po suchych, wąskich wargach. Niedługo nadejdzie czas, gdy napełni swe wiekowe ciało świeżą krwią. Jej włosy odzyskają złocisty kolor, będzie mogła oblec zgrabną sylwetkę w czerwony brokat. W czerni nie było jej do twarzy. Zachichotała wesoło. Znów będzie Letycją.

Za oknem załopotał ciemny kształt. Tęga czarownica o wyglądzie karczmarki z ciężkim sapnięciem zsunęła się ze zdobionego parapetu.

– Widzę, że już świętujesz. Nie przesadź. Lumarisea zakazała jeszcze wychodzić z ukrycia.

– Dzięki za ostrzeżenie. Ciebie, jak widzę, to nie dotyczy?

– Nikt mnie nie widział i nie zobaczy. A jeśli nawet, to nie uwierzy. Padłam trupem pilnując ulubionej nalewki Raedcliffe'a, nie pamiętasz? Swoją drogą miałam dobry pomysł, żeby podsunąć dzieciakowi portret... – zarechotała rubasznie Caira.

KONIEC

Necropolice 3
sprawy rodzinne

tekst: Michał Studniarek
rysunki: Marcin Kułakowski

Pewnej mroźnej, zimowej nocy przylegającą do muru cmentarza parkową alejką szedł chwiejnie mężczyzna w wieku średnim, wracający do domu po hucznie obchodzonych imieninach kolegi. Noc była bezchmurna, księżyc w pełni świecił na niebie jak latarnia. Jego blask odbijał się od czystego śniegu, mile trzaskającego pod stopami. Było przynajmniej dwadzieścia stopni mrozu, ale mężczyźnie wcale to nie przeszkadzało. Nie na darmo zabrał na drogę napoczętą ćwiartkę. Chociaż był już należycie rozgrzany, wolał mieć pewność, że tak już zostanie. Otaczające go okoliczności przyrody były tak piękne, że aż chciało się śpiewać. Niestety, język stawał kołkiem i mężczyzna nie był w stanie wykrztusić poprawnie choćby jednego słowa. Do tego wzrok od czasu do czasu płatał mu dziwne figle. Aby iść dalej, musiał co jakiś czas przystawać i przecierać oczy.

Niespodziewanie świat znów rozmył się w poziome smugi, a do tego zaczął wirować. Mężczyzna próbował iść dalej, ale okazało się to niemożliwe. Rozejrzał się w poszukiwaniu jakiejś ławki, a wobec jej braku oparł się plecami o chropowaty, ceglany mur i postanowił przeczekać najcięższe chwile.

– Niezły był bal, co? – usłyszał koło siebie. Spojrzał w bok i ujrzał faceta w niemodnym już, szarym garniturze i cyklistówce. Wyglądał na kogoś, kto doskonale wie, jak to czasem ciężko wracać do domu o własnych siłach. Fakt, że był nieco przezroczysty, jakoś umknął uwadze mężczyzny.

Już chciał powiedzieć coś w stylu „sam wiesz, jak to jest" i poprosić o pomoc, ale język uparcie odmawiał posłuszeństwa. Wyciągnął rękę, aby wesprzeć się na nieznajomym, ale stracił równowagę i legł na śniegu jak długi. Chwilę potem poczuł, jak jakaś siła stawia go na nogi i na powrót opiera o mur.

– Uuu – nieznajomy podniósł z ziemi napoczętą ćwiartkę. – Produkcja własna? Uch, ależ jedzie, chyba jakieś odpady...

Mężczyzna nie potrafił odpowiedzieć, bo mróz ściął mu mięśnie szczęk na amen.

– Ożesz ty, to chyba nie nalewka na kościach? – usłyszał gdzieś koło siebie. – Kupione?

Mężczyzna zebrał dość sił, by kiwnąć głową.

– W okolicy?

W tym momencie mężczyzna stracił przytomność i osunął się w zaspę. Jego rozmówca zaklął pod nosem i rozejrzał się wokoło.

– Na tym mrozie to ty długo nie pociągniesz... czekaj no...

Nadludzkim wysiłkiem zdołał oprzeć bezwładne ciało o pobliskie drzewo tak, aby mężczyzna był widoczny z ulicy. Kiedy skończył, dostrzegł zbliżającą się w ich stronę skuloną z zimna sylwetkę przechodnia. Przyjrzał się jej i pokiwał głową.

– Dobra jest, zaraz się tobą zajmą – pocieszył nieprzytomnego otulając go starannie kurtką i dodał ponurym tonem – A tym, kto ci to opchnął, zajmę się osobiście.

Szybko przeniknął przez cmentarny mur, pozostawiając ofiarę siedzącą pod drzewem, z nogami wyciągniętymi niemal na środek ulicy.

Tak znalazł mężczyznę komisarz Nachalski, idący właśnie na nocną służbę.



Sanitariusze szybko zatrzasnęli drzwi. Karetka błysnęła trupiobłękitnym światłem i wystartowała, ślizgając się na źle odśnieżonej drodze.

– A już mieliśmy taką czystą statystykę... – westchnął posterunkowy Węgorz, chuchając w dłonie. Był cienki jak fortepianowa struna i odbywał w policji zastępczą służbę wojskową. – A tu masz, lewy alkohol. Powiedział chociaż, gdzie to kupił?

– Gdzie tam, cud, że jeszcze oddychał. – Nachalski wrzucił do szklanki z herbatą dwie kostki cukru. Odruchowo sięgnął po ukrytą za aktami baterię, aby dolać nieco prądu, ale przypomniał sobie sinofioletową twarz i szybko cofnął rękę. Trudno, dziś nieco zmarznie: w ramach cięć budżetowych posterunek ogrzewano na tyle, by na podłodze i ścianach nie zaczął osadzać się szron. Dla pozoru zdjął z półki jeden ze skoroszytów, szybko go przejrzał i odstawił z powrotem.

– Znam faceta z widzenia. Mieszka na osiedlu za cmentarzem. Stara gwardia, większość czasu spędza z kolegami przed spożywczym – powiedział stawiając szklankę na biurku. – Musimy jak najprędzej dowiedzieć się, od kogo to nabył.

– Podejrzewa pan, że ktoś na osiedlu zaczął pędzić? Albo rozlewać ruski spirytus?

Nachalski mieszał herbatę, patrząc na malujące się na oknie kwiaty mrozu. Zwykle potrafił je kontemplować całymi godzinami. Dziś jednak nie miał na to najmniejszej ochoty.

– Może tam, może kupił na bazarze... Co prawda ostatnią melinę w okolicy zlikwidowaliśmy pięć lat temu, ale to o niczym nie świadczy. Dopóki facet nie odzyska przytomności, musimy siedzieć na tyłku... chociaż nie.

Komisarz szybko wypił herbatę i wyciągnął z szuflady kilka drobiazgów, które – według notatek pozostawionych przez poprzednich komendantów posterunku – mogły mu się teraz przydać.

– Jest coś, co możemy sprawdzić już teraz. Chodź.

Opuściwszy posterunek skierowali się ku bocznej furtce, wiodącej na cmentarz. Nachalski otworzył ją dorobionym dawno temu kluczem i obaj policjanci wślizgnęli się na teren nekropolii. Panowała tu zupełna cisza, zakłócana tylko skrzypieniem śniegu pod ich butami i trzaskaniem zmarzniętych gałęzi. Otulone białą kołdrą i skąpane w księżycowym blasku nagrobki stanowiły wspaniały widok. Na chwilę w Węgorzu odezwały się romantyczne ciągoty: pożałował, że nie ma szerokiej, mickiewiczowskiej peleryny, aby usiąść na ławeczce i w towarzystwie kamiennego anioła podumać o marności spraw tego świata. Jednak doświadczenie podpowiadało mu, że zaraz obok zmaterializowałby się ktoś, ku pamięci kogo tego anioła postawiono i zacząłby się dopytywać, co nowego na świecie i co słychać u rodziny. Bywało, że na posterunku mieli więcej roboty z mieszkańcami cmentarza niż z żywymi. Wszystkie takie sprawy od czasów, kiedy na miejscu komisariatu stał jeszcze carski cyrkuł, kolejni komendanci notowali w specjalnych zeszytach z myślą o swoich następcach. Stąd wziął się na przykład zwyczaj korzystania z pomocy spirytystów.

– Lekarze mówili, że po takiej dawce człowieka ścina bardzo szybko, nie odszedł zatem daleko od miejsca spożycia... – tłumaczył cicho komendant – ...a może i zakupu.

Skręcili w boczną ścieżkę i szybko dotarli do jej końca. Nachalski zatrzymał się przed niewielką, ziemną mogiłą z przekrzywionym krzyżem, całkiem przysypaną śniegiem. Wyjął z kieszeni kurtki nieduży znicz, zapalił i postawił na grobie. Potem bez pośpiechu zapalił papierosa i stanął przy grobie, przytupując dla rozgrzewki.

– On? – zdziwił się Węgorz. – Panie komendancie, dużo już rzeczy widziałem, ale to chyba niemożliwe...

– Niemożliwe? Dwa razy łapano Grzebiołka na przynoszeniu alkoholu na cmentarz – odparł Nachalski, wydmuchując dym. – A przecież regulamin przy bramie wyraźnie tego zakazuje. Za życia siedział za nielegalną produkcję i sprzedaż. Co prawda było to jeszcze za poprzedniego ustroju, ale zawsze.

Papieros wolno, ale nieubłaganie się wypalał, chociaż komendant przeciągał tę czynność, jak mógł najdłużej. Z każdą chwilą niepokoił się coraz bardziej. Zwykle duch nigdy nie potrafił odmówić sobie przyjemności posiedzenia w tytoniowych oparach i zjawiał się natychmiast, kiedy tylko ktoś zapalał przy jego grobie papierosa.

– Coś mu się nie spieszy – mruknął Węgorz, również przytupując. Nachalski tylko się uśmiechnął. Parę kilo nadwagi, o które żona suszyła komendantowi głowę, wreszcie się na coś przydało.

– Bo go tu nie ma – Nachalski zgasił niedopałek na śniegu. Rozejrzał się w nadziei, że ich obecność ściągnie ciekawskich z sąsiednich kwater, ale byli sami. Jak zwykle duchy nigdy nie zjawiały się wtedy, gdy były potrzebne.

– Wzywać Sawickiego? – spytał zaniepokojony Węgorz.

– Po co? Medium bez swojego duchowego przewodnika i tak niezbyt się nam przyda. Musimy dać sobie radę sami.

– Ale jak?

Komendant wyciągnął z drugiej kieszeni kurtki metalowe wahadełko i wręczył podwładnemu.

– Według testów Sawickiego masz największy z nas wszystkich potencjał. Musimy odszukać ślad. Obejdź mogiłę i zobacz, kiedy nastąpi wychylenie.

Węgorz zaczął wypełniać służbowe polecenie, choć z jego miny wynikało, że nie bardzo wierzy w słowa przełożonego.

Wahadełko nie drgnęło ani o milimetr.

– Szukaj nieco dalej – poradził mu komendant i zaklął siarczyście, rozbijając sobie kolano o niewidoczny w ciemnościach kant sąsiedniego nagrobka. Żałował, że ze względów bezpieczeństwa nie mogli zabrać nawet słabej latarki. W tym zakątku cmentarza nawet księżyc niewiele pomagał.

– Ciszej, panie komisarzu! – szepnął Węgorz, nie odrywając wzroku od wahadełka. Cały czas wisiało nieruchomo, kołysane jedynie ruchem ciała policjanta. Widać albo astralny ślad Grzebiołka już dawno się rozmył, albo instrument był skuteczny tylko w rękach prawdziwego fachowca. Na domiar złego mróz coraz bardziej dawał się policjantom we znaki.

– O! – wykrzyknął nagle posterunkowy. Wahadełko wychyliło się nieco i znieruchomiało. Wyglądało na to, że test Sawickiego jednak nie kłamał.

Ku radości komendanta, przedmiot zaprowadził ich na główną aleję: było tu jaśniej, szli więc szybko, nie patrząc cały czas pod nogi. Gdyby ktoś ich zobaczył, mógłby pomyśleć, że to duchy spieszą załatwić jakąś ważną sprawę.

– Właśnie zamierzałem tutaj przyjść – powiedział komisarz widząc, gdzie prowadzi ich wahadełko.

– Dlaczego? – spytał Węgorz, zatrzymując się przy stojącym blisko bramy starym grobowcu Falzenbachów, jednym z najpiękniejszych na cmentarzu. Instrument wskazywał dalej, na ulicę.

– Grabarze mają tu magazyn środków do zewnętrznej i wewnętrznej dezynfekcji skaleczeń – Nachalski ostrożnie podszedł do bocznej ściany budowli. – Wiadomo, w ziemi siedzą różne zarazki. Wcześniej trzymali je w środku, bo grób już opuszczony, lecz przyczepili się i ksiądz, i konserwator, więc przenieśli się gdzie indziej. Ale przyzwyczajenie...

– ...drugą naturą człowieka – dokończył uprzejmie Węgorz.

– Właśnie... – komisarz zamilkł na chwilę, obejrzał cmentarny mur, po czym zrobił miejsce podwładnemu. Policjant zajrzał w przerwę między tylną ścianą grobowca a murem. Była na tyle szeroka, że dawało się tam włożyć obie ręce. Wiatr nawiał tam nieco śniegu, dzięki czemu Węgorz łatwiej dostrzegł przewrócone i porozbijane butelki o charakterystycznym kształcie oraz blask cieczy, która mimo panującego mrozu nie zamarzała.

– A to się jutro ucieszą – mruknął, cofając głowę. – Po co to zrobił? Zacierał ślady?

– Albo ratował im życie – powiedział komisarz, wyciągając jedną z ocalałych butelek. W księżycowej poświacie na dnie migotały srebrzyście resztki zawartości. – Ściągnij Kłopotka, ktoś musi zostać na posterunku. Musimy pojechać do laboratorium i odszukać Grzebiołka na mieście.



Grzebiołek powoli sunął doskonale sobie znanymi ulicami. Od chwili śmierci nie miał okazji odwiedzić starych kątów. Przyglądał się starym budynkom, zniszczonym jeszcze bardziej niż za jego pamięci. Na murach pojawiły się nowe hasła, wypisywane nie, jak za jego czasów, kredą, ale kolorowym sprajem. Za to tak jak dawniej ciemności rozświetlały nieliczne latarnie. Gdzieniegdzie zamiast nich świeciły zamontowane za szybą i kratami jarzeniówki sklepowych wystaw, zaśmieconych starymi i nowymi reklamami od sponsorów. Taki właśnie sponsor zafundował sklepowi spożywczemu „U Józka" duży, podświetlany szyld reklamujący browar; właściwą nazwę placówki dawało się jednak odczytać dopiero z bliska. Położony niedaleko inny sklep stać było jedynie na wyblakłe, samoprzylepne litery: „mięso, liny rób".

O tej porze na ulicach nie było nikogo. Wszyscy siedzieli przed telewizorami, w mieszkaniach dogrzewanych na setki różnych sposobów, popijając piwo albo coś mocniejszego. Włóczący się duch byłego mieszkańca nie zwracał niczyjej uwagi. Tylko piwniczne koty wyglądały przez umieszczone tuż nad ziemią okienka i zadawały sobie pytanie: „Czy ja aby dobrze widzę?"

Jednak ducha to nie interesowało. Był wściekły, i to tak, że gdyby się zmaterializował, prawdopodobnie zostawiałby po sobie ślady ektoplazmy. Skoro denat stwierdził, że trefną flaszkę kupił gdzieś w okolicy, istniało duże prawdopodobieństwo, że produkuje je ktoś, kogo on, Grzebiołek, znał... albo na aparaturze, która kiedyś należała do niego. Dodawanie szkodliwych substancji do produktu, aby zamaskować słabą jakość albo podnieść moc uważał za skończone draństwo. Nie zamierzał tolerować trucia nieświadomych klientów. Taki producent podcinał gałąź, na której siedział on i jego koledzy po fachu, w skrajnych przypadkach kopał sobie właśnie grób. Kiedy dawno temu, jeszcze za jego życia, któryś z klientów doniósł mu, że w kilku wyprodukowanych przez niego partiach znalazł się płyn borygo, bez mrugnięcia okiem wylał kilkanaście litrów znakomitego wywaru, nie przejmując się kosztami. Doskonale pamiętał też sprawę, jaką wytoczono mu w związku z tym o nielegalną produkcję i sprzedaż. Podejrzewał, że te nieszczęścia zwaliły się mu na głowę, bo ktoś chciał pozbyć się go z rynku, ale nie udało mu się znaleźć na to przekonujących dowodów.

Duch znał tutaj wszystkich i wiedział, gdzie powinien się udać. Przeczuwał jednak, że na miejscu musi być w pełni sprawny, zaś ratowanie tamtego klienta przed śmiercią nadwątliło jego siły. Musiał znaleźć miejsce, gdzie mógłby nieco odsapnąć.

Przeszedł kilka przecznic i nagle przystanął. Skądś dobiegł go cichy dźwięk, którego każdy duch nie mógł pomylić z żadnym innym: cichutkie brzęczenie talerzyka, ustawionego na okrągłym stole. Dźwięk wznosił się i opadał, drażnił i wabił jednocześnie. Grzebiołek ruszył w tamtym kierunku.

Wkrótce przystanął przed jedną z lepiej utrzymanych kamienic. Dźwięk dobywał się z okna na drugim piętrze.

– Jempreza – zatarł ręce. – Fajnie, może się załapię...

Kierując się dźwiękiem, dostał się do właściwego lokalu.

Mieszkanie tonęło w mroku. Ustawiona w salonie na środku małego okrągłego stolika świeczka o zapachu zielonego jabłuszka oświetlała twarze i złączone ręce siedzących wokół niego osób. Wszyscy byli dość młodzi i, zdaniem Grzebiołka, ubrani jak na karnawał.

– Ktoś pojawił się wśród nas – rzekła z namaszczeniem dziewczyna o długich, ciemnych włosach, a zgromadzeni lekko zadrżeli. Miała na sobie coś, co duch uznał za wykonany szydełkiem worek na kartofle. Spojrzała prosto na ducha; nie ulegało wątpliwości, że go widzi.

– Czego chcesz? – spytał krótko.

Dziewczyna namyślała się przez chwilę.

– Przysługi – odpowiedziała. Grzebiołek westchnął. Przypuszczał, że bez czegoś takiego się nie obejdzie. Oby tylko nie było to coś głupiego, pomyślał, patrząc na małolatów przy stole.

– Postawisz nam horoskop – oznajmiło medium. – Dla wszystkich znaków, na jutrzejszy dzień.

Duch zazgrzytał cicho zębami. Horoskopy widział tylko w gazetach i nigdy nie zastanawiał się, jak to się robi. Kiedyś uległ namowom pewnej przemiłej starszej pani i powiedział jej, jakie numery wygra w totka. To było straszne, a teraz zanosiło się, że będzie jeszcze gorzej.

– Dobra, niech będzie.

– Horoskop? – spytał siedzący po lewej ręce dziewczyny chłopak, obwieszony wisiorkami niczym choinka. – Miał być Elvis!

– Zamknij się, głupku – odparło również szeptem medium i głośno dodało: – Nawiązałam kontakt z moim przewodnikiem duchowym. Obiecał, że postawi nam horoskop.

Grzebiołek wykrzywił się najpaskudniej jak potrafił, w na-



dziei, że może dziewczyna wystraszy się i zerwie kontakt. Nie zamierzał być niczyim przewodnikiem duchowym i stawiać się na każde wezwanie dwadzieścia cztery godziny na dobę. Miał swoją godność.

– To co będzie, Elvis czy horoskop? – spytała z niecierpliwością dziewczyna w białej bluzce z żabotem wystającym spod czarnego żakietu.

– Kurde, a mogłam pójść do kina...

– Zamknijcie się wreszcie! – rozkazało medium.

– A może rzeczywiście ściągnąć Elvisa? – zapytał z nadzieją Grzebiołek.

– Nie. Ma być horoskop.

Zakłopotany duch zaczął krążyć wokół stołu. Chętnie poszukałby innego seansu, lecz potrzebował trochę uzupełnić siły, które mogły mu być potrzebne. Już czuł się lepiej, ale przed dalszymi poszukiwaniami wolał być wypoczęty. Z drugiej strony myśl o zanurzaniu się w przyszłości budziła w nim obrzydzenie. W pewnym momencie jego wzrok padł na wiszący na ścianie astrologiczny kalendarz. Wiedział już, co zrobi.

– Bliźnięta dorwą pannę na oczach lwa; baran zostanie ogolony szczypcami raka – zaczął. – Koziorożec ubodzie strzelca, a skorpion wejdzie na wagę. Byk tryknie się z koziorożcem, strzelec zaleje się z wodnikiem w trupa, ryby przemówią, a w kraju zabraknie wódki. Zadowoleni?

Nie doczekał się odpowiedzi. Wszyscy uczestnicy seansu gnali na złamanie karku po schodach.

– Ależ nerwowe te młodziaki... – wzruszył ramionami. – Na żartach się nie znają, czy jak?

Poczekał jeszcze kilka minut w nadziei, że ktoś mimo wszystko wróci. Kiedy jednak nikt się nie zjawiał, odpoczął niego i ruszył w dalszą drogę.



Dokąd teraz? – spytał Nachalski, zatrzymując radiowóz na kolejnym skrzyżowaniu. Trzymane przez siedzącego obok Węgorza wahadełko po raz kolejny zawisło nieruchomo, nie mogąc wskazać im dalszego śladu. Zdaniem Sawickiego, takie zaburzenia eteru na przecięciach dróg były czymś normalnym. Może medium dałoby sobie z tym radę... ale nie policjant bez przeszkolenia.

– W prawo – rzekł spokojnie Węgorz.

– Skąd wiesz?

– Mam takie przeczucie.

Komendant uznał, że nie ma co spierać się z najbardziej uzdolnioną osobą na posterunku i posłusznie skręcił. Im dłużej tropili ducha, tym bardziej się niepokoił. Już i tak droga do szpitala i załatwienie analizy znalezionego na cmentarzu alkoholu zajęły im mnóstwo czasu, podczas gdy Grzebiołek coraz bardziej się oddalał.

Jechali przez uśpione ulice. Węgorz wpatrywał się w wahadełko i podawał wskazówki komisarzowi. Tańcząc nieco na zakrętach, zapuścili się w dzielnicę pełną odrapanych kamienic i pustych ruder. Posterunkowemu coraz mniej się to podobało. Tutaj znikały nawet pozostawione na chwilę wozy patrolowe.

– Stop! – wykrzyknął nagle, obserwując wychylenie kulki. Zatrzymali się przed jedną z rozpadających się kamienic. Komendant wygrzebał ze schowka jakiś niewielki, zawinięty we flanelową szmatkę przedmiot.

– Co to? – spytał Węgorz.

– Zabezpieczenie. Weź ze sobą latarkę.

Wysiedli, rozglądając się czujnie wokoło. Ślizgając się na nie odśnieżonym chodniku, przy słabym blasku z okien, podeszli do zabazgranej graffiti, rozpadającej się bramy.

Na otulonym białym puchem podwórku przyrząd zaprowadził ich do sutereny na prawo od bramy. Weszli przez niedomknięte drzwi i stanęli przed wejściem do piwnicy.

– Tu jest – zatarł ręce Nachalski. – Pewnie aparatury szuka.

Drzwi były zamknięte, ale komendant znał stare sztuczki ze szkoły pruszkowskiej i rychło uporał się z tą przeszkodą. Zobaczyli ciemność, z której wiało lodowatą stęchlizną.

Węgorz nacisnął guziczek latarki, ale stary, wysłużony model typu tłuczek akurat teraz musiał po raz kolejny odmówić współpracy. Nachalski pstryknął zapalniczką, jednak jakiś idący od dołu schodów podmuch uparcie gasił płomień. Osłaniając światełko dłonią, odnalazł wreszcie stary kontakt. Przekręcił go, chociaż szło to bardzo opornie. Zabłysła słaba żarówka, oblewając pożółkłym światłem schody i wycinek korytarza.

– Grzebiołek chyba się w poltergeista bawi – powiedział do Węgorza, kiedy schodzili w głąb czeluści.

Znaleźli się w wąskim korytarzu o łukowatym sklepieniu. Śmierdziało tu stęchlizną, grzybem i wilgocią, ze ścian złaziła płatami olejna farba, położona całe wieki temu. Korytarz ciągnął się w obie strony, jego dalsze partie tonęły w półmroku. Oczy Węgorza rozpoznawały tylko ciemniejsze zarysy drzwi do boksów. Dostrzegł następny kontakt i już wyciągał rękę w jego kierunku, gdy przełącznik przekręcił się sam i nagle zobaczył resztę korytarza w całej jego paskudnej okazałości. Wahadełko w jego dłoni zawirowało.

– Chyba ma pan rację, komendancie – mruknął czując, jak po plecach zaczynają mu chodzić ciarki. Czym innym było łapać ducha na cmentarzu, gdzie znał każdy zakątek i każdy grób, a wsparcie w postaci doświadczonego medium zjawiało się natychmiast. Tutaj byli sami i na obcym terenie. Gdy uświadomił sobie, że ludzie trzymają w piwnicach różne rzeczy, z których duch może zrobić użytek, poczuł się jeszcze gorzej.

W mroku za ich plecami rozległ się zgrzyt zardzewiałej kłódki. Nachalski dla pewności wypowiedział standardową w takich sytuacjach kwestię:

– Widzimy cię, dalsze ukrywanie się nie ma sensu. Ukaż się!

Zgrzyt ucichł. Czekiwali w napięciu przez długie sekundy, słysząc tylko własne oddechy.

– Czy mamy szansę zmusić go do manifestacji, jeśli nie posłucha wezwania? – spytał szeptem Węgorz. Komendant pokręcił głową. Do tego było potrzebne doświadczone medium, takie jak Sawicki. Policjantom pozostawało tylko kierować się śladem niezwykłych zjawisk.

Zobaczyli, jak drzwi do jednej z piwnic powoli otwierają się i gwałtownie zatrzaskują ze straszliwym łomotem. Chwilę potem to samo stało się z kolejnymi i następnymi... przez chwilę w piwnicy rozlegała się straszliwa kanonada, jakby ktoś biegał od drzwi do drzwi, trzaskając nimi dla samej przyjemności hałasowania. Komendant nie miał wątpliwości, że tak właśnie było.

– Osłaniaj mnie – powiedział do Węgorza, po czym zaczął rozwijać zawiniątko. Posterunkowy wykonał robinsonadę i przechwycił nadlatujący nie wiadomo skąd słoik kompotu. Ledwo zdążył odstawić go pod ścianę, gdy tuż koło siebie usłyszał szuranie nieistniejących nóg. Odruchowo machnął ręką, w której trzymał wahadełko.

– Au! – usłyszał. Przed nim zmaterializowała się sylwetka niewysokiego brunecika w marynarce przedwojennego kroju i dziwnie szerokich spodniach.

– Oż ty w te i z powrotem, tanga ci się zachciewa?! – warknęła rozzłoszczona zjawa i skoczyła na policjanta.

Węgorz uniknął dwóch ciosów, rozpaczliwie zastanawiając się, co jego przełożony robi tak długo. W pewnej chwili usłyszał za plecami cichy szum i policzek musnął mu ciepły powiew. Szarżujący na posterunkowego duch jęknął i rozwiał się niczym dym z papierosa.

Obaj policjanci głośno odetchnęli. Blady jak kreda Węgorz powoli odwrócił się ku Nachalskiemu. Komisarz wciąż trzymał w dłoni niewielki, podobny do pistoletu przedmiot z plastiku, połyskujący lekko w świetle słabej żarówki. Widząc zdziwienie podwładnego, uniósł go do góry.



– Rosyjska suszarka turystyczna na baterie czterdzieści watów. Nie pytaj mnie, dlaczego akurat na czterdzieści, a nie sześćdziesiąt, nie wiem, tak było napisane w zeszycie. Ma być tyle i koniec. Podobno żaden zmaterializowany duch tego nie wytrzyma.

Węgorz pokiwał głową udając, że wszystko rozumie. Podejrzewał, że w grę wchodziła ambicja. Jakiż duch chciałby być atakowany suszarką?

– Kto to był? – wykrztusił wreszcie.

– Nie wiem – wzruszył ramionami Nachalski, opuszczając broń – ale na pewno nie był to Grzebiołek.

– Widzę... Może jakiś jego wspólnik?

– Wątpię. Sądząc po ubraniu raczej jakiś duch starej daty. Pewnie od dawna tutaj bruździł. Zwiódł cię, licząc na zabawę naszym kosztem, ale się przeliczył. Dla pewności sprawdź jeszcze teren, może jednak znajdziemy jakiś ślad.

Węgorz obszedł wszystkie boksy, ale wahadełko ani drgnęło. Nie zatrzymywani przez nikogo wyszli na górę i zaczęli obserwować wahadełko na podwórku. To samo. Zdenerwowany Nachalski zaklął pod nosem.

– Trzeba zacząć namierzanie od nowa.

– Może oni coś będą wiedzieli – posterunkowy wskazał na grupkę odzianej na czarno młodzieży płci obojga. Wyglądali, jakby zobaczyli ducha.



Mimo późnej pory w mieszkaniu panował spory ruch. Co chwila ktoś pukał do drzwi w umówiony sposób i podawał liczbę. Gospodarz znikał w głębi lokalu i zaraz wracał, niosąc reklamówkę z mile brzęczącą zawartością. Gość odbierał, sprawdzał i znikał, odliczywszy stosowną sumę. Ledwie gospodarz zdążył usiąść w sfatygowanym fotelu o poręczach poznaczonych śladami petów, a znów rozlegało się pukanie i wszystko zaczynało się od nowa.

– Cholera, ruch jak w południe... – sapnął właściciel lokalu, Czubaty Zdzisław, obsłużywszy dwóch studentów z pobliskiego akademika. – Która godzina?

– Kwadrans po północy – odparł Józef Kopok, wspólnik Czubatego, a w cywilu jego szwagier. – A ty, Zdzichu, nie narzekaj na klientelę. Widziałeś, co się stało ze starym Grzebiołkiem, niech mu ziemia lekką będzie – ciągnął mentorskim tonem. – Źle pędził, klientelę stracił i zamknął interes. Długo nie pociągnął...

– Pewno, nikt by interesu nie utrzymał, sprzedając gorzałę z borygo – Zdzich zajrzał pod nakryty ceratą stół. – Józiu, skocz no po kolejną skrzynkę, bo już na długo nie starczy.

Szwagier obrócił się ku drzwiom, gdy z przedpokoju dobiegło go wyraźne skrzypienie klepek, jakby ktoś ostrożnie po nich stąpał. Kopok spojrzał na Czubatego i uniósł pytająco brew. Ten wzruszył ramionami w stylu „cholera wie, nikogo nie zapraszałem" i wyjął z kąta ciężką łyżkę do opon. Kiedy jeszcze zmieniał dętki w swoim tirze, nauczył się, że to doskonały argument na nieproszonych gości.

Odwrócił głowę i ujrzał szwagra, stojącego z wytrzeszczonymi oczyma i szczęką luźno kiwającą się na zawiasach. Ostatni raz tak wyglądał, gdy podczas próby technicznej łyknął źle oczyszczonego bimbru. Spojrzał w to samo miejsce, co on, i mróz przeleciał mu po krzyżu.

W drzwiach stał Grzebiołek. Wyglądał dokładnie tak, jak zapamiętali go za życia. Nie, poprawił się Kopok, była pewne różnice: wtedy nie było widać przez niego drzwi.

– No, co was tak, w mordę, zatkało? – zagadnął uprzejmie Grzebiołek. – Wróciłem na stare śmiecie!

Rany boskie, pomyślał Czubaty. Delirka, na pewno delirka, pomyślał jego szwagier.

– Wróciłem, mówię! – huknął duch. – Do siebie! Co, nawet „dobry wieczór" nie będzie? Trudno. Interes się kręci, jak widzę – kontynuował, przemieszczając się po pokoju. Teraz pod nim podłoga nie skrzypi, zauważył Czubaty, spoglądając na bardzo stary i brudny chodnik. Jak to możliwe?

Niespodziewanie duch zatrzymał się przy jednej z popękanych ścian, na której widać było nieco jaśniejszy prostokąt starej farby.

– Cholera, nawet mojego jelenia na rykowisku sprzedałeś! Czubaty przełknął ślinę.

– Zgiń, przepadnij, maro – wychrypiał przez ściśnięte gardło.

– Chwila, moment, Zdzichu. Ładny macie telewizor... a te, no... kablówkie też? Za moich czasów tylko czarno-biały mieliśmy.

Kopok kiwnął głową.

– A wszystko dzięki mojej recepturze. I pewnie na mojej maszynie! – huknął Grzebiołek, przez moment nieco tracąc na wyrazistości. Podszedł do stojącego niczym posąg Czubatego. – Gdzie trzymacie aparaturę?!

– Wwwww... piwww... – zaczął Zdzichu, ale poczuł, że strach odbiera mu mowę.

– W piwnicy... idioci! A zapach, to niby na całą klatkie idzie?

– Jest wentylacja – wykrztusił Kopok w gwałtownym przypływie odwagi. Zjawa Grzebiołka niespodziewanie znikła niczym zdmuchnięty płomyk. Nim mężczyźni zdołali wziąć głębszy oddech, pojawiła się znowu. Była jeszcze bardziej rozsierdzona.

– To nie moja aparatura! Gdzie ona jest? Gdzie kocioł? Gadać, łachy, bo do końca życia się mnie nie pozbędziecie!

Tego było już za wiele nawet dla otrzaskanego z trudami życia Czubatego. Łyżka do opon zadzwoniła na podłodze, a on sam zzieleniał i osunął się na dywan.

– Mięczak – prychnął wzgardliwie Grzebiołek i odwrócił się do szwagra. – Może ty mi odpowiesz?

Kopok chętnie poszedłby w ślady Zdzicha, ale pech chciał, że był bardziej wytrzymały psychicznie. Ostrożnie poruszył językiem.

– Ja...ka? – wykrztusił wreszcie.

– Jaka, jaka! – zirytował się duch. – Moja! Brązowy kocioł z carskim stemplem, poniemiecka butla! Sam z niej bimbru próbowałeś, Józiu!

Mężczyzna kiwnął głową, walcząc z nagłym zesztywnieniem karku. Domyślał się, o co mogło chodzić duchowi i wcale mu się to nie podobało.

– Nnie wiem – wykrztusił, czując, że jego kolana tańczą własnie hula. – Ppo tej, nno...

Grzebiołek czekał wykazując cierpliwość, na jaką stać tylko osobę zmarłą.

– Po twojej śmierci – wyrzucił jednym tchem – kręciła się tu milicja, ale nic nie znaleźli.

– A Krzychu się wtedy po okolicy nie kręcił?

Mężczyzna zmarszczył brwi, usiłując przypomnieć sobie wydarzenia sprzed kilku lat.

– Kręcił się! – przyznał wreszcie z ulgą. Miał nadzieję, że nieoczekiwany gość da im teraz spokój.

– I co wtedy robił?

– Nie wiem – jęknął Kopok.

– Pewny jesteś? – spytał uprzejmie duch. – Czy mam ci sprawdzić w głowie?

Śmiertelnie przerażony mężczyzna zbladł jak ściana. Najchętniej czym prędzej uciekłby z tego mieszkania, gdyby nie to, że drogę tarasował mu duch. Nie wątpił, że ten były w stanie dopaść go w jednej chwili i wcale nie był pewien, czy nie okazałoby się to szkodliwe dla zdrowia. Podczas jednego z nocnych dyżurów oglądał program o duchach: jakiemuś facetowi, którego zjawa chwyciła za rękę, pozostały na skórze trwałe blizny. Wolał nie sprawdzać tego na własnej skórze. Nie wiedział też, czy uniosą go nogi. Nie mógł znieść grzebiołkowego spojrzenia, więc mocno zacisnął powieki.

Kiedy je otworzył, w pokoju nie było nikogo, tylko Zdzichu leżał cicho na brudnym dywanie. Kopok ostrożnie poruszył głową, rozglądając się dookoła. Dla pewności sprawdził drugi pokój, kuchnię i łazienkę, zaglądając do zlewów, wanny i kibla, a nawet pod łóżka. Wreszcie wyjął spod stołu jedną z ostatnich flaszek, opadł na rozklekotane krzesło i odkorkował ją drżącymi rękami. Pociągnął łyk na uspokojenie, potem następny. Wreszcie po kilku minutach doszedł nieco do siebie.

– Cholera – powiedział, zabierając się za cucenie Czubatego. – A mówiłem ci Zdzichu, żebyś mu tego borygo do wyrobu nie dolewał...



Zaskakujesz mnie – stwierdził Nachalski, wsiadając do samochodu. – Skąd ci przyszedł do głowy pomysł z wydziałem 44?

– A widział pan kiedyś policjantów wypytujących o duchy? – odparł Węgorz, wyciągając z kieszeni kurtki wahadełko. Wychylało się do przodu, wskazując dalszy kierunek ich podróży. – Łatwiej im było uwierzyć w facetów w czerni. Rzuciłem pierwszą nazwę, jaka przyszła mi do głowy...

– Niemniej nie powinieneś kazać im podpisywać zobowiązania do milczenia w powiedział z naganą w głosie komisarz.

– To już zahacza o fałszerstwo.

– Musiałem, faceci w czerni zawsze to robią. Bez tego maskarada nie byłaby kompletna.

Nachalski kiwnął głową i postanowił dokładniej opracować ten fortel, celem wpisania go do zeszytu z poradami. Tym razem mieli dużo szczęścia. Rysopis jednoznacznie wskazywał na Grzebiołka.

– Co go tam właściwie zawiodło? – Węgorz wyraził głośno wątpliwości komendanta.

– Myślę, że seans. Pewnie chciał nieco odpocząć przed dalszą drogą, popławić się w trzaskającej duchową energią atmosferze. Łap za komórkę i dzwoń do szpitala. Powinni już mieć wyniki analizy tej berbeluchy.

Posterunkowy wykonał polecenie, podłączając telefon do urządzenia głośnomówiącego. Wyniki rzeczywiście były. Usłyszawszy je, Nachalski omal nie wpadł z wrażenia w poślizg i nie zatrzymał się na murze. Zatrzymawszy się na światłach, wystukał numer komisariatu.

– Słuchaj uważnie, Kłopotek: w szufladzie mojego biurka jest notes z telefonami, między innymi naszych grabarzy. Sprawdź, czy wszystko u nich w porządku i czy nie kosztowali przypadkiem tych specjałów, które trzymali za grobowcem Falzenbachów. Powiadom mnie, jak tylko czegoś się dowiesz.

Wahadełko zawiodło ich kilka ulic dalej. Zatrzymali się przed następną kamienicą, równie starą i zniszczoną jak ta, sprzed której niedawno odjechali.

– Tak sądziłem – powiedział Nachalski, spoglądając na wpół zardzewiałą tabliczkę z adresem. – Dawna melina Grzebiołka.

– Wchodzimy? – spytał Węgorz, spoglądając na kierunek wskazywany przez stalową kulkę.

– Nie ma sensu. – Nachalski wrzucił bieg i ruszyli dalej. – W ten sposób zawsze będziemy o kilka kroków za naszym podopiecznym. Musimy znaleźć się u celu jego poszukiwań przed nim.

– Sądzi pan, że on czegoś szuka?

– Kiedy zaczęły się nasze kłopoty z Grzebiołkiem, uratowałem jego akta przed zmieleniem. Mówiłem ci już, że siedział rok za nielegalną produkcję i sprzedaż. Podejrzewam, iż chce odnaleźć swoją aparaturę. Jeszcze nie wiem, czy chce na niej pędzić, czy tylko ją zabezpieczyć. W świetle ostatnich wydarzeń stawiałbym na to drugie.

– Honor starego bimbrownika?

– Można tak powiedzieć. To fachowiec starej daty, dla którego stan klienta po spożyciu miał jeszcze jakieś znaczenie. Na tutejszej komendzie powinni coś wiedzieć o jego sprzęcie. Aha, z akt wynikało, że Grzebiołek miał wspólnika. Przy okazji możemy także spytać o niego.



Wokolicy mogło zmienić się wiele rzeczy, ale knajpa „Lokalna" nadal znajdowała się na swoim miejscu: w starym, narożnym domu, którego mury wciąż poznaczone były śladami po kulach. Od niepamiętnych czasów w tym domu znajdowała się przystań dla skołatanych dusz, które przy kufelku albo setce wymieniały poglądy na życie z innymi skołatanymi duszami. Jeśli Grzebiołek miał gdzieś szukać swojego dawnego wspólnika, to właśnie tutaj.

Z uznaniem przyjrzał się eleganckim firankom i nowym drzwiom, nad którymi świeciła się reklama jakiegoś browaru. Przeszedł przez nie i znalazł się w zatłoczonym, pełnym papierosowego dymu lokalu. Tutaj również zaszły duże zmiany. Nowy bar, eleganckie szklanki na piwo, nowe kieliszki i więcej butelek o kolorowych nalepkach, telewizor w rogu. Nawet klientela wydawała się lepiej ubrana.

Lawirował powoli między stolikami, usiłując odnaleźć osobę, której poszukiwał. Owszem, mógłby iść na skróty, ale zachował jakieś resztki ludzkich nawyków i stanie w środku stołu albo w połowie kufla wydawało mu się czymś niestosownym. Pijący spoglądali na niego zamglonymi oczyma przez opary palonego tytoniu, ale nikt się nie zrywał, nie uciekał z krzykiem, a jeśli ktoś właśnie tracił przytomność, to raczej z powodu nadmiaru spożytych trunków. O tej porze klienci widywali już nie takie rzeczy. Różowe słonie, białe myszki i inne zwidy miały tu prawo stałego pobytu.

Wreszcie odnalazł tego, kogo szukał. Jego cel siedział w najdalszym kącie przy najmniejszym stoliku, z marynarką zawieszoną na oparciu krzesła, i powoli osuszał butelkę, wznosząc milczące toasty do swojego odbicia w szybie. Sądząc po przesypującej się popielniczce, niedbałości ruchów, rozluźnionym węźle krawata i rozpiętym kołnierzyku, człowiek ten musiał siedzieć tu przynajmniej od kilku godzin. Gdyby Grzebiołek żył, na ten widok uczułby pewnie ucisk w gardle.

– Witaj, Krzychu – powiedział, siadając naprzeciw niego.

– Ty nie szyjeszsz... – wymamrotał mężczyzna, patrząc na niego zamglonym wzrokiem. – Ale nie szszodzi, moge piś i sduchem.

Ujął butelkę i wymownie podsunął w stronę ducha. Grzebiołek pokręcił głową.

– Przystopuj na chwilkie. Musimy pogadać.

– A o szym? Pszyszedłeś mie... zabrać?

– Nie. Ależ ty się zmieniłeś, Krzychu... garniak, śledź na szyi... coś ty, w biurze zacząłeś pracować, czy jak?

– Jessem kierownikiem – odparł z godnością jego były wspólnik. – Mam chort... hurt...ownię... spożywczą.

Zaczął wiercić się na krześle, usiłując wyciągnąć coś – pewnie wizytówkę – z wiszącej na oparciu marynarki, o mało nie lądując przy tym na stiukowej podłodze.

– To dzięki tobie, Jasiu... dzięki tobie. No – wyjaśnił, widząc zaskoczenie na twarzy Grzebiołka – kiedy... tego, no... wiesz, oso mi chosi... zorientowałem sze, do czego może doprowadziś nasze pędzenie, przemyślałem sobie... parę rzeczy. Dlatego przestawiłem sie na cośś... innego...

Zachichotał i ujął butelkę. Grzebiołek delikatnie wyjął mu ją z ręki. Wiedział, że ma niewiele czasu.

– I dlatego pijesz?

Jego wspólnik pokręcił głową, która zdawała się stawiać wyjątkowy opór.

– Konkurr...encja. Własznie... spszedałem reszsztkę toffaru. Wyssłałem juszsz... papier... o lykwydacji. Robiłem, co mogłem – usta Krzycha wygięły się w podkówkę – ale nie... wybacz, Jasiu...

Grzebiołek miał zamiar poklepać byłego hurtownika po ramieniu, nim ten rozklei się do reszty, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. To by nic nie dało.

– Moja aparatura – powiedział krótko. – W naszym lokalu pracują teraz Kopok i Czubaty. Mówili, że wyniosłeś ją przed gliniarnią.

Krzych wykonał ruch, jakby chciał złapać przyjaciela za rękaw, ale dłonie przeleciały przez niego jak przez mgłę. W ostatniej chwili złapał się blatu i jakoś utrzymał równowagę.

– Daruj, sstary... – jęknął. – Spyliłem... ffirmę muszszałem ratować... i tak szsze nie udało...

Duch siedział nieruchomo, patrząc bez słowa na swojego byłego wspólnika. Ten skulił się pod jego spojrzeniem, poruszał ustami, ale nadmiar alkoholu i strach sprawiały, że nie był w stanie wykrztusić ani słowa.

– Komu to sprzedałeś? – spytał wreszcie obojętnym tonem.

– Wwwiciowi – wykrztusił Krzycho zastanawiając się, czy zmarły przyjaciel zacznie straszyć go za to po nocach.

– Brązowy kocioł – westchnął duch po kolejnej chwili milczenia. – Przedwojenna kolba, poniemiecka butla, szkło grube jak w bunkrze. Rurki i termometr z rabolatorium, za które na bazarze zdarli ze mnie ostatnie pieniądze. Ruski alkoholomierz. No cóż, mogło trafić gorzej.

– O, nie! – Honor pozwolił Krzychowi unieść się na chwilę nad blatem. – Na sssłom bym nie spszedał! A twój zięć ostatnio sssie fachem zainteresował. Nie bój sie, na pewno dobsze to wykoszysta.

Duch pokiwał smętnie głową. Jakoś nie bardzo w to wierzył.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu obserwując, jak wskazówki wiszącego nad barem zegara wędrowały powoli w stronę wpół do pierwszej.

– Pora jusz – Krzychu usiłował wstać od stolika, co mu się wreszcie z wielkim trudem udało, ale założyć marynarki wraz z krzesłem już nie zdołał. Grzebiołek przez chwilę przyglądał się jego wysiłkom, po czym westchnął i pomógł przyjacielowi uporać się z oporem materii.

– Wieczność przede mną, mogę cię odprowadzić – powiedział, otulając go zdjętym z wieszaka płaszczem. – Mieszkasz tam, gdzie zwykle?

Nie zwracając niczyjej uwagi, wyszli na dwór. Mróz musiał nieco otrzeźwić przyjaciela Grzebiołka, bo odzyskał odrobinę władzy w nogach i ku zadowoleniu ducha raczej szedł, niż był wleczony.

– A wieszsz, Jasiu, – powiedział nagle nieco przytomniejszym głosem – że ci Kopok i Czubaty dolewali borygo do wyrobu? Dlatego mieliśmy problem ze zbytem. Niedawno się dowiedziałem... Barciak się chlapnął... wiedziałeś?

– Teraz już wiem – odparł Grzebiołek z ponurym wyrazem twarzy.

Dotarli wreszcie do starego bloku, w którym mieszkał Krzychu. Grzebiołek nie bez trudu wtargał denata przed drzwi na ostatnim piętrze, bowiem panujące w domu ciepło sprawiło, iż były hurtownik zaczął usypiać na stojąco. Wreszcie starym, wypróbowanym sposobem oparł pochrapującego cicho przyjaciela o drzwi, nacisnął dzwonek i zdematerializował się.



Nie wiem, jak nas powitają – mruknął Węgorz. – Słyszałem, że od czasu, kiedy nasz komendant przegrał w karty cały zapas amunicji, niezbyt się z nimi lubimy...

– Złapanie Grzebiołka jest ważniejsze – uciął Nachalski. – Nie możemy pozwolić, aby duch szwendał się na wolności.

Szary i nieco odrapany budynek zdobiły rozmaite graffiti. Jedno z nich ogłaszało wszem i wobec, że tutaj znajduje się dom wariatów. W drzwiach policjanci zderzyli się z jakimś mężczyzną o błędnym spojrzeniu, który na ich widok podskoczył jak dźgnięty i odszedł czym prędzej, mrucząc pod nosem „a kysz, a kysz".

Ku swemu zaskoczeniu, na stanowisku zastali samego komendanta placówki, komisarza Lendka.

– Jeśli chcieliście umówić się na rewanż, to źle trafiliście – powiedział na powitanie siwy policjant. – Mam akurat urwanie głowy. Właśnie wyszedł stąd jeden z zawodowych bimbrowników, prosząc o ochronę przed jakąś zjawą, która podobno nawiedza go w domu. Gotów był współpracować, chciał nawet zdeponować swoją aparaturę. Do tego jakiś menel z mojego rejonu struł się alkoholem, nie wiadomo, czy kupił go u was, czy u nas. Oszaleć można.

– My właśnie w tej sprawie. Podobno po zmarłym jakiś czas temu Grzebiołku Janie, zamieszkałym i działającym na waszym terenie, pozostał całkiem niezły zestaw do produkcji.

– Grzebiołek, Grzebiołek... a! Faktycznie, był taki, nawet go chyba raz przyskrzyniono. Kiedy wyszedł i po kilku latach chcieliśmy zrobić mu niespodziewaną kontrolę, okazało się, że umarł, a aparatury już nie było. Prawdopodobnie po jego śmierci ktoś ją zabrał, nawet zaczęliśmy szukać, ale wsiąkła jak kamfora. Nawiasem mówiąc ten gość, którego nawiedzał duch, pędzi właśnie w dawnej melinie Grzebiołka. A co?

– Pewnie poprzedni właściciel straszy... – bąknął Węgorz.

– Podejrzewamy, iż ktoś znalazł jego aparaturę – zełgał Nachalski, kopiąc podwładnego w kostkę. – Ale postanowiliśmy upewnić się najpierw...

W tym momencie zadzwonił stojący na biurku telefon. Lendek przeprosił ich gestem i sięgnął po słuchawkę. Jednocześnie komisarzowi rozwrzeszczała się komórka.

– Dzwoniłem do grabarzy, wszyscy są cali i zdrowi, choć nieco zdziwieni – zaraportował Kłopotek. – Nie wiedzą, czemu mieliby pić coś, czego oni używają jako rozpuszczalnika do konserwacji barierek.

Komisarz westchnął bezgłośnie. Kłopotek owszem, był wielkim chłopiskiem, ale przecież nie aż tak głupim.

– To bimber – wyjaśnił. – Nielegalnie nabyty i brudny jak cholera. Naprawdę wierzysz, że oni używali go do czyszczenia?

– Sam kiedyś widziałem – usłyszał w odpowiedzi. – Poza tym oni wiedzą, że to produkcja własna i nawet przyznali półgębkiem, że jakiś trefny musi być, bo przecież żaden alkohol tak dobrze by nie czyścił, jest nawet lepszy od sklepowych rozpuszczalników. Kupowali gdzieś niedaleko, na Brzozowskiego... popytałem trochę i mam na gościa namiar.

– Co im powiedziałeś? – spytał Nachalski, gwałtownie szukając czegoś do pisania. Węgorz podsunął mu długopis i zabraną z biurka komendanta kartkę.

– Troszkę kręcili, ale uświadomiłem im, że komuś sprzedano ten wynalazek jako spożywczy i źle to się dla niego skończyło, a do tego za zatajanie faktów ważnych dla śledztwa można posiedzieć i raz-dwa zdobyłem adres. Ma pan coś do pisania?

„Nie" – pomyślał Nachalski, zapisując nazwisko i adres. – „Kłopotek zdecydowanie nie jest głupi. Tylko na takiego wygląda".

Ledwo skończył rozmawiać, kiedy zobaczył, jak ich gospodarz zakłada kurtkę.

– Facet oprzytomniał na tyle, że podał adres – oznajmił krótko. – Na wasze szczęście, tym razem padło na mój rejon.

– Niech zgadnę... – Nachalski przeczytał adres, który Kłopotek wyciągnął z grabarzy. – Ten sam? W takim razie jedziemy z wami.



W opuszczonym, podziemnym magazynie bazy budowlanej świeciła mocna żarówka. W jej blasku połyskiwał brązowy kocioł oraz szklane rurki, łączące różne fragmenty aparatury. W pomieszczeniu krzątał się mężczyzna po czterdziestce. Mimo mrozu na zewnątrz, wewnątrz było na tyle ciepło, że mógł zawiesić puchową kurtkę na starym, rozchwianym krześle.

Mężczyzna odstawił kolejne wiadro zacieru i nucąc pod nosem, podszedł do zbiornika, do którego ze spiralnej rurki skapywały schłodzone i skroplone opary. Przekręcił kurek i zaczął rozlewać zawartość do wyszorowanych butelek.

– No pięknie – usłyszał za sobą doskonale znany głos. – Lokal taki, że proszę siadać. Odrobiony na wysoki połysk i do tego z dala od domów, za krzakami, pełny kamuflaż. A już myślałem, Wiciu, że z ciebie to ostatnia lebiega.

Mężczyzna odwrócił się gwałtownie i spojrzał w oczy stojącej przed sobą, prześwitującej postaci.

– To ty, ojciec? Ależ mnie przestraszyłeś. Chcesz pewnie zobaczyć, co się dzieje z twoją aparaturą?

Grzebiołek przyjrzał się mu uważnie. Jego zięć jak zwykle nie wyglądał na specjalnie poruszonego. Niewiele było rzeczy na niebie i ziemi, które byłyby go w stanie zdziwić. Szkoda, bo po cichu liczył na to, że da się go przestraszyć.

– Jak widzisz, unowocześniłem nieco linię – odezwał się Wicio, chcąc przerwać przedłużającą się ciszę. – Wybacz, ale niektóre elementy twojej aparatury to już się do muzeum nadawały.

Grzebiołek przesunął wzrokiem po linii produkcyjnej. Teraz wszędzie widział nowe, czyste szkło. Nawet termometr był nowy.

– Kocioł zostawiłem – dodał zięć, kończąc napełnianie butelki.

Duch z rozrzewnieniem popatrzył na starannie wypucowane naczynie z brązu i wciągnął w nos zapach kartoflanego zacieru. Przypomniały mu się stare czasy, spędzone na pracowitym zbieraniu poszczególnych elementów aparatury i pełne satysfakcji chwile, kiedy zdobywane z wielkim trudem składniki zamieniały się po potrójnej destylacji w czysty, klarowny produkt godzien sprzedaży za dewizy. Ech, stare dzieje...

– Trochę zmodyfikowałem recepturę – mówił z dumą w głosie Wicio. — Podstawa taka jak zawsze, ale jest też kilka dodatków...

– Aromat identyczny z naturalnem – zauważył ironicznie duch, patrząc na dużą butlę z ciemnego szkła. – Coś ty, rabolatorium obrobił? Co to, chłodziwo do silników?

– Proces przyśpieszam. Wiele się od czasu twojej śmierci zmieniło. Do borygo już od dawna dodają coś, żeby było gorzkie w smaku. Inni producenci rozcieńczają po prostu ruski spiryt wodą i już, co minutę flaszka, ale to nie to samo, co porządny bimber... muszę jakoś za nimi nadążać, wymrażanie wody z zacieru nie wystarcza. Dlatego dodaję niewielkie ilości tego cuda. Mniej składników, a moc taka sama.

Grzebiołek zacisnął usta. Wzmianka o zmianie receptury ściągnęła go na ziemię. Jego zięć był zawsze chciwy, a przez te lata wcale mu się nie poprawiło. Nowe czasy uczyniły z niego drania, gotowego sprzedać naiwnym byle kit, nawet szkodliwy, aby tylko na tym zarobić.

– To są niewielkie ilości?! – oburzył się, podnosząc stojący obok butli kieliszek. – Ty mnie Wiciu nie czaruj! Nie znasz już lepszego zajęcia?!

– O co biega, przecież nie kradnę – na mężczyźnie słowa ducha nie zrobiły żadnego wrażenia. – Wiesz, jak teraz trudno o jakąś robotę? O samozatrudnieniu słyszałeś?

– Na cudzej krzywdzie się dorabiasz! – Wybuchnął duch. – Czego ty tam dolewasz?! Człowiek przez ciebie umiera, kapujesz?!

Zięć Grzebiołka znieruchomiał na moment, po czym wzruszył ramionami.

– Co, odwieźli kogoś? Pewnie coś innego mu zaszkodziło. Jakoś do tej pory nikt mi się nie skarżył. Może tamten nie powinien pić, bo za słaby ma łeb...

Jedna z butelek spod stołu niespodziewanie wyfrunęła i huknęła o stół.

– Co ty tam lejesz, pytam?! – spytał Grzebiołek głosem nie wróżącym nic dobrego.

Wicio westchnął. Zakręcił jedną butelkę i sięgnął po następną.

– Ty tu chyba za to borygo pokutujesz, co ci je kiedyś w produkcie znaleźli...

Duch przybladł z wściekłości. Z rozmachem wyrwał zięciowi pustą flaszkę z dłoni i cisnął między inne, oczekujące na napełnienie. Przewróciły się z głośnym brzękiem.

– To Kopok i Czubaty! – huknął. – Pozbyć się mnie chcieli! Może i sami potem nakablowali!

Popatrzył na pobladłego nagle Wicia. Najwyraźniej do mężczyzny wreszcie dotarło, że zmarły teść jest mu w stanie mimo wszystko jakoś mu zaszkodzić.

– Zresztą już to z nimi omówiłem – wycedził. – A to, co robisz, to zwykłe draństwo. Ja swoją brudną produkcję wylałem, by się nikt nie potruł. A ty co? Czysty surowiec to podstawa, a zaraz po nim czysty sprzęt!

– A ile ja w ten sposób naprodukuję...

Urwał nagle i spojrzał gdzieś ponad ramieniem ducha. Grzebiołek, którego coś tknęło, odwrócił się w tamtą stronę.

Niedaleko stołu, przy samej ścianie, stał mężczyzna, którego obaj znali. Nie widzieli, kiedy tu wszedł ani którędy, zaszła w nim także pewna drobna zmiana. Kiedy zięć sprzedawał mu ostatnio swój produkt, a teść napotkał opartego o cmentarny mur, nie był jeszcze półprzezroczysty.

Zjawa uniosła palec i oskarżycielsko wycelowała w Wicia. Ten jęknął i złapał się za głowę.

Grzebiołek nie żył już od ładnych kilku lat, to i owo już widział. Szybko skojarzył kilka podstawowych faktów.

– O nie, na to nie pozwolem! – oznajmił z zaciętością duchowi. – Nie po tom cię ratował, byś teraz takie szopki urządzał!

Skoczył ku niemu i złapał za ramię, nie pozwalając zbliżyć się do swego zięcia.

– Wracamy, migiem! – zakomenderował i obaj wniknęli w ścianę.

– Mam nadzieję, że to go czegoś nauczyło... – mruczał, wlokąc ducha w stronę szpitala. – A ty mi się kolego nigdzie nie szwendaj, tylko wracaj do siebie.

Dwie minuty później na kardiomonitorze płaska do tej pory kreska podskoczyła do góry. Rozległ się pisk, zwiastujący przywrócenie akcji serca. Lekarze i pielęgniarki reanimujący od trzech minut pacjenta w stanie śmierci klinicznej odetchnęli z ulgą.



Przez długi czas Wicio trwał bez ruchu, usiłując równocześnie trzymać się za głowę i zasłaniać twarz. Wreszcie, kiedy nie usłyszał wokół siebie żadnych szmerów ani głosów, powoli odjął rozdygotane ręce od oczu.

Rozejrzał się ostrożnie dookoła, gotów w każdej chwili uciec, niepewny, czy skądś nie wyskoczy kolejna widmowa postać.

– To niemożliwe... on nie wykitował... – mamrotał gorączkowo, zakładając pospiesznie kurtkę. – Ja... ja chciałem tylko dorobić...

Nie zauważył nawet, jak przewrócił jedną z napełnionych już butelek. Wyskoczył z pomieszczenia, jakby gonili go wszyscy diabli. Nawet nie zatroszczył się o zamknięcie drzwi. Pobiegł do domu, potykając się o leżące pod śniegiem badyle. Po jakimś czasie mróz otrzeźwił go na tyle, że zaczął myśleć.

– Faktycznie, może i ta wóda nie dla mnie – deliberował, stąpając ostrożnie po oblodzonym chodniku. – Ale sprzętu szkoda... może wina owocowe? Legalne, zbyt zawsze się znajdzie, a ryzyko mniejsze...

Chwilę później w pozostawionej samej sobie aparaturze iskry w źle izolowanym przewodzie od kuchenki spowodowały zapłon wydobywających się spod niedokładnie zamkniętego kotła oparów. Pomieszczeniem wstrząsnęła potężna eksplozja. Zawyły samochodowe alarmy, rozszczekały się psy.

Wicio ostrożnie wygrzebał się z zaspy. Popatrzył na wydobywający się z jego bimbrowni dym.

– Dużo sprzętu też do tego nie potrzeba – mruknął pocieszająco.



Policjanci dojeżdżali właśnie na miejsce, kiedy zobaczyli unoszące się nad piwnicą kłęby dymu. Nie wysiadając z samochodu, Lendek zaczął wzywać straż pożarną i pogotowie.

– Mam nadzieję, że nic mu się nie stało – powiedział Węgorz.

– O Grzebiołka jestem spokojny – odparł Nachalski. – Bardziej martwię się o jego zięcia.

– Kogo? – wykrztusił posterunkowy.

– Tym interesem kierował jego zięć. Figurował w aktach Grzebiołka jako świadek w sprawie. Jego również podejrzewano o współudział, ale uniewinniono z braku dowodów.

Ledwo wysiedli, w ich nosy uderzył intensywny zapach zacieru. W piwnicy migotały płomienie niewielkiego pożaru.

Policjanci ostrożnie weszli do środka, zasłaniając twarze chustkami.

– Rany boskie – zaburczał niewyraźnie Lendek, oglądając rumowisko. – Co tu się stało? Aparatura wybuchła?

– Sprawy rodzinne – mruknął do siebie Nachalski, spoglądając na resztki brązowego kotła.

Upewniwszy się, że w środku nie ma zabitych ani rannych, szybko wyszli na zewnątrz.

– Ściągnijcie laborkę, niech ustalą, co on tutaj trzymał. Zacznijcie poszukiwania w najbliższej okolicy, może właściciel krąży jeszcze gdzieś w pobliżu – komisarz był już w swoim żywiole i dyrygował podkomendnymi. Nachalski nie był przekonany, czy poszukiwania zostaną uwieńczone powodzeniem. Miał za to nadzieję, że Grzebiołek przemówił krewniakowi do rozumu i nie będzie już trzeba szukać nowych melin. Nie liczył, że go tu odnajdzie; duch pewnie znajdował się już w drodze do swojej kwatery. Dla pewności wrócił do samochodu.

– Nie uwierzy pan, co się stało! – krzyknął Węgorz. – Dzwonili ze szpitala, właśnie reanimowali naszego denata!

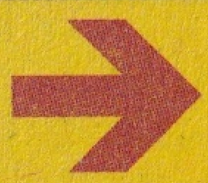
Komisarz wysłuchał relacji, uśmiechając się pod wąsem, po czym polecił Węgorzowi po raz kolejny skorzystać z wahadełka. Zadrgało nieco i wychyliło się w stronę cmentarza.





Następnego dnia niezwykle zdenerwowani Kopok i Czubaty postanowili zawiesić działalność na czas nieokreślony. W niewyjaśniony bliżej sposób najnowsza partia ich produktu zamieniła się w czyste borygo. A skacowany do granic ludzkiej wytrzymałości Krzychu znalazł w skrzynce na listy kopertę z napisem „Na nowy początek". Wewnątrz znajdował się przepis na płyn, który okazał się być doskonałym środkiem czyszczącym do metalu.

KONIEC



OPOWIADANIE

Krew, śmierć i świt
część 2

tekst: Damian Kucharski
rysunki: Marcin Kułakowski

W poprzedniej części:

Baronet Reinherd Vardesaavre, arystokrata i spadkobierca feudalnej fortuny, zwycięża śmiertelnych wrogów – ród Achenbachów. Zdobywa ich zamek dzięki poznaniu sekretnego przejścia, które na starożytnych mapach odkrył jego doradca, Dietrich. W przypominającej krwawy teatr inscenizacji Vardesaavre rozprawia się z rodziną nieprzyjaciół. Każe stracić wszystkich – starego margrabiego, jego żonę, dwie córki i dwóch synów. Jednak najmłodszy syn – ośmioletni Freidrich – nie zostaje pojmany. W trakcie inspekcji zdobytego zamku Vardesaavre oraz jego doradca odkrywają w głębokich podziemiach, dużo starszych od reszty budowli, niesamowitą galerię portretów. Jeden z nich przedstawia piękną, młodą kobietę ze stojącym u jej stóp psem. Zauroczony baronet każe powiesić portret we własnej sypialni. Jednocześnie przenosi z cmentarnych krypt doczesne szczątki kobiety, które rozpoznaje dzięki pięknym klejnotom, identycznym jak na portrecie. W nocy tajemnicza piękność odwiedza go w postaci ducha i przekonuje, iż odprawienie stosownego rytuału może przywrócić jej życie. A wtedy zaoferuje baronetowi nie tylko swe ciało, ale również magiczną pomoc.

Rytuał – powiedziała – tak dawno nikt już nie spełniał świętych obrządków. Dobrze, Reinherdzie, wszystko ci dokładnie wytłumaczę. Przede wszystkim musisz znaleźć osobę związaną z tym zamkiem więzami życia i śmierci. Po drugie, osoba ta ma być niewinna, gdyż tylko krew i dusza niewinnych istot ma w sobie cudowną moc ożywiania. Po trzecie, należy z wybrańca wytoczyć całą krew. Później, kiedy krew już spłynie, ustawisz misę pod portretem i zanurzysz w niej moje szczątki". Okazuje się, że wybrańcem, osobą spełniającą wszystkie warunki, jest ukrywający się młodziutki Freidrich. Vardesaavre otrzymuje więc zadanie znalezienia dziecka i poświęcenia go w ofierze. Po chwili wahania odmawia, ale okazuje się, że kobieta z portretu jest już w stanie mu zagrozić. Wysyła przeciw niemu swego psa, w rzeczywistości piekielną, zabójczą bestię o niezwykłej sile. Baronet, z jednej strony przerażony, a z drugiej marzący o pięknej czarodziejce, postanawia wypełnić rytuał.

Vardesaavre wstał z głową ciężką od trosk. Wiedział już, że wpłątał się w kłopoty. W nieliche kłopoty. Dietrich mógł sobie wierzyć w magię i magików, ale baronet chlubił się tym, iż w epoce zabobonów i guseł on może wykazać się trzeźwością umysłu oraz racjonalnością poglądów. Jednak ciężko było odrzucać magię, kiedy widziało się ducha kobiety nieżyjącej od setek lat. Ciężko było zachować trzeźwość osądu, kiedy czuło się przegniły oddech strzegącej jej bestii, widziało wyszczerzone kły i słyszało stukot ostrych pazurów na podłodze. Baronet nie miał wątpliwości, że bestia wysłana przez nieznajomą może go rozszarpać na kawałki. W końcu czuł na ramionach jej ciężkie łapska, a krople cuchnącej śliny spryskały mu twarz. To nie był łagodny duszek snujący się po zamkowych komnatach, rozpaczający nad utraconym życiem i szczękający kajdanami lub wyjący z cicha do gwiazd i własnej przeszłości. To była prawdziwa, krwiożercza bestia. A pani tej bestii również nie sprawiała wrażenia szczególnie łagodnej. Vardesaavre wzdrygał się przed wypełnieniem odrażającego rytuału, ale czuł, że może nie mieć innego wyjścia. Jego arystokratyczna dusza, wrodzone poczucie estetyki i zamiłowanie do teatralnych scen nie godziły się na takie rozwiązanie. Bo jakże ta scena wyglądałaby na teatralnych deskach? Główny bohater chlastający dziecko rzeźnickim nożem? Toż publiczność wyklęłaby, wygwizdała i wytupała taką postać! Jak mógłby się wtedy stać rycerzem, do którego wzdychałyby piękne damy czule myśląc o tym, że ich urok uleczy jego poranioną duszę?

– Musiałem zabić mych wrogów, gdyż tak nakazywała mi święta konieczność i prawo rodowej zemsty, której nie wolno mi było odrzucić – mówiłby z twarzą ściągniętą cierpieniem, a dama omdlewałaby w jego ramionach.

Tyle że żadna dama nie omdlewałaby w ramionach rzeźnika spryskanego krwią ośmioletniego chłopca, którego przeznaczył na rytualny ubój! Po takim występie jedyną rolą dla niego byłaby rola demonicznego złoczyńcy czekającego na śmierć z ręki paladyna na białym rumaku.

Baronet zwlókł się z łoża, zaklął soczyście i poszukał stopami ciepłych pantofli, gdyż posadzka była wyjątkowo zimna. Popatrzył na wiszący przed nim portret pięknej damy niemal z odrazą. Zdawała się przyglądać mu z lekkim, wzruszającym uśmiechem, a towarzysząca jej bestia stała tak, że oczy i paszcza były ukryte przed wzrokiem oglądającego. Sięgnął po wino i nie przejmując się wlewaniem trunku do kielicha przechylił flaszę do ust. Wypił kilka długich łyków i rozjaśniło mu się w głowie.

– Dietrich – szepnął do siebie – Dietrich.

Czuł, że musi się z kimś podzielić ciężarem, który dźwiga. Być może doradca – miłośnik wiedzy, marzący o odkryciu antycznej biblioteki i magicznych ksiąg – będzie umiał znaleźć rozwiązanie.

Baronet wyszedł do drugiej komnaty, przylegającej do sypialni i trzepnięciem w ucho obudził drzemiącego na ławie pachołka. Ten poderwał się przerażony.

– Dietricha – warknął Vardesaavre – ale już!

Kiedy doradca pojawił się w sypialni, dwóch pokojowców kończyło właśnie ubierać baroneta. Vardesaavre przegnał ich niecierpliwym ruchem dłoni.

– Nie spieszyłeś się – rzekł zgryźliwie.

Dietrich rozłożył tylko ręce.

– Pognałem jak wiatr, kiedy tylko usłyszałem, że mnie wzywasz.

– Jak wiatr – parsknął baronet i pokręcił głową – słuchaj mnie uważnie, Dietrich – wskazał doradcy miejsce – wierzysz w magię?

– To nie kwestia wiary, wasza miłość – odparł Dietrich – to kwestia wiedzy. Magia po prostu istnieje i tyle, a wielu ludzi się nią zajmuje z mniejszym lub większym powodzeniem. Oczywiście nikt z nich nawet do pięt nie dorasta dawnym czarnoksiężnikom. No – zastanowił się przez moment – może poza czarodziejkami z Jasnego Klasztoru, ale – machnął dłonią – kto je tam wie.

– Dietrich, jak myślisz – baronet odwrócił wzrok – można ożywiać trupy?

– Wasza dostojność myśli o Achenbachach? – roześmiał się doradca – ręczę, że żaden z nich nie ożyje...

– Idiota! – warknął Reinherd – o jakich Achenbachach? Myślę o niej! – wskazał palcem portret uśmiechającej się kobiety.

Dziwne, ale Vardesaavre miał wrażenie, że teraz czarodziejka wcale się nie uśmiecha, lecz patrzy wgłąb pokoju z poważną miną. Wydawało mu się, że widzi nawet jej ściągnięte brwi i lekką zmarszczkę przy lewym kąciku ust. A tego wcześniej nie było.

– Chodźmy stąd – mruknął i pociągnął Dietricha za rękaw.

Kiedy przekraczał próg komnaty, obejrzał się przez ramię. Miał wrażenie, że wzrok sportretowanej piękności śledzi go, a jej pies obrócił się teraz w taki sposób, że widać było pałające ogniem oko i błysk kła wyłaniającego się spod grubych warg.



Na zamku trwały nadal wielkie porządki oraz wielkie poszukiwania. Naprawiano szkody, które spowodowane zostały walką, ale szkód tych nie było wiele, gdyż zaskoczeni żołnierze i oficerowie Achenbachów bronili się jedynie na dziedzińcu, gdzie udało im się skupić główne siły. Szukano też klejnotów, kosztowności, pieniędzy, ukrytych schowków i wszystko magazynowano w jednym miejscu. Vardesaavre wydał również rozkaz, aby z całego zamku pozbyć się wszystkich rzeczy mających wyrysowany, wymalowany bądź wygrawerowany herb Achenbachów i dziwił się, że przedmiotów tych jest tak dużo. Zastawa stołowa, gobeliny, broń, meble, a nawet kotary – okazało się, że Achenbachowie wszędzie lubili widzieć swe godło, nawet w postaci niewielkiego symbolu.

Ale porządkowanie i niszczenie śladów dawnych właścicieli nie było głównym zadaniem służby oraz straży. Wszyscy wytrwale szukali małego Freidricha, za którego znalezienie wyznaczono wszak królewską nagrodę. Tyle że Vardesaavre dowiedział się już, gdzie ukrywa się ostatni pomiot przeklętych Achenbachów. Wyja-

wiła mu to kobieta z portretu, a baronet nie miał powodów, aby jej nie ufać. Przynajmniej w tym względzie. Jednak wiedział, że jeśli zdecyduje się wypełnić rytuał, będzie musiał sam i w tajemnicy przed oficerami, żołnierzami oraz służbą złapać Freidricha i sekretnie przenieść go do wybranej oraz odpowiednio przygotowanej komnaty. Żołnierze Vardesaavrów nie najlepiej znieśli masakrę kobiet i dzieci na zamkowym dziedzińcu, więc baronet był pewien, że zamordowanie dziecka w okrutny, wyrachowany i godny rzeźnika sposób nie przypadłoby im do gustu. Poza tym, gdyby wieść o odprawianiu niegodnych rytuałów dotarła na cesarski dwór, to Vardesaavre mógłby mieć kłopoty.

Herbowa arystokracja i rodzina cesarza mieli niejedno na sumieniu, ale zapewne wielu znalazłoby się takich, którzy zlekceważyliby belkę we własnym oku zajmując się źdźbłem w źrenicy bliźniego.

Baronet i Dietrich zeszli krużgankiem na dziedziniec, a potem boczną bramą do pięknego ogrodu, który był oczkiem w głowie margrabini.

– Patrz, co za cholerstwo – mruknął Vardesaavre wskazując wyryty w kamieniu fontanny herb Achenbachów – nawet to trzeba będzie skuć.

Przeszli mostkiem nad wpływającym do fontanny strumykiem i zagłębili się w labirynt wysokich tuj, wyprofilowanych niczym ostrza włóczni.

– Dietrich, ta kobieta ożyła – rzekł baronet prosto z mostu – jest jak duch, ale mówi do mnie. Ja nawet czułem zapach jej pachnideł – uderzył pięścią w rozwartą dłoń.

Doradca parsknął śmiechem, ale zaraz zakrył usta i spoważniał.

– Wybacz, panie – powiedział, a widząc wściekły wzrok Reinherda dodał – naprawdę wybacz mi, proszę.

– Śmiej się, śmiej – rzekł Vardesaavre – też pewnie bym się śmiał na twoim miejscu. Ale to prawda...

Skręcili w stronę altany zatopionej w różanych krzewach i przysiedli na ławeczce w środku. Baronet kichnął, bo silny zapach kwiecia zaświdrował mu w nosie.

– Widzisz, Dietrich, ja wziąłem jej szkielet z krypty – rzekł.

– Złamałeś magiczne runy? – niemal krzyknął doradca – przecież radziłem ci, panie, żeby wszystko zakopać, żeby raz na zawsze zapomnieć o tym cmentarzysku!

– Dobrze! Nie posłuchałem rady! Trudno, stało się. Ale teraz chcę, żebyś coś zrobił. Pomógł mi...

Opowiedział Dietrichowi o wszystkim. O odwiedzinach pięknej czarodziejki, o jej obietnicach, o plugawym rytuale, którego spełnienia żądała, o groźnej bestii, która mogła w przeciwieństwie do swej pani przybrać już realne kształty i która została wysłana, aby zastraszyć baroneta. Doradca słuchał wszystkiego z nieporuszoną miną i tylko od czasu do czasu kiwał głową, jakby słowa barona potwierdzały jakieś jego domysły lub obawy.

– Trzeba to wszystko spalić – rzekł w końcu – obraz, jej kości. Zwęglone resztki rozbić na drobny pył i rozrzucić, może utopić. To jedyna rada.

– Tyle to i ja wiem – burknął Reinherd – zastanawiam się tylko, czy istnieje jakiś sposób, by ją ożywić i żeby musiała... no musiała służyć Vardesaavrom. Z jej magiczną wiedzą... mocą... kto wie.

Dietrich uśmiechnął się do własnych myśli, bo podejrzewał, że baronetowi w równej mierze chodzi o czarodziejskie zdolności zielonookiej kobiety, jak i o jej niezwykłą wręcz urodę. Ale uczynienie sobie nałożnicy z liczącej kilkaset lat wiedźmy nie było bezpiecznym pomysłem. Dietrich wypowiedział swe myśli na głos, a baronet skrzywił się tylko.

– Pomyśl, panie – rzekł doradca łagodnie, jakby tłumaczył coś krnąbrnemu dziecku – ona jest jeszcze martwa, jest tylko bezcielesnym duchem. A spójrz, że już teraz jest zdolna przysporzyć ci kłopotów. Co będzie, kiedy odzyska dawną moc? Co będzie, jeśli ożyje? Do jakich sztuczek, intryg i knowań będzie wtedy zdolna?

– Wiem, wiem, wiem – powiedział Vardesaavre, ale przed oczami stała mu ta wysmukła postać o jasnej skórze i błyszczących splotach rudych włosów. Kobieta o ciężkich piersiach, smukłej kibici i zielonych oczach. Piękność o zniewalającym uśmiechu oraz słodkim głosie.

– Gdyby nie ten przeklęty rytuał – warknął.

– Może to i lepiej – odparł poważnie Dietrich – czytałem wiele ksiąg, mój panie. Wiele historii z dawnych lat, z czasów Oczyszczenia. To byli potężni czarnoksiężnicy. Uprawiali sztukę tak mroczną i tak straszną, że przetrwała tylko wyblakła pamięć ich czynów. Tak jakby ludzie nawet bali się o nich pamiętać – zamyślił się i westchnął – choć niewątpliwie byli również mądrzy oraz potężni. Mieli władzę nad życiem oraz śmiercią. Bóg jeden raczy wiedzieć, jak zesłano na nich zagładę, ale wybito wszystkich. Co do jednego. Choć, jak widać, nie do końca skutecznie. Nie sądzę, by bezpiecznie było igrać z taką mocą...

– Dietrich, ona by nam pomogła. Jej magia. Pomyśl tylko...

I nagle przemknęła mu przez głowę zuchwała myśl. Bo w czymże Vardesaavrowie gorsi są od panującego rodu? Czy fakt, że niemal trzysta lat temu majordomus o nazwisku Vogelburg zamordował swego władcę i jego dzieci, a sam koronował się na cesarza i ożenił z wdową, daje aż takie prawa do dzierżenia władzy oraz korony? Dlaczego nie miałaby powstać nowa dynastia? Cesarz Reinherd I z rodu Vardesaavre? Cesarska korona splamiona była już krwią oraz zdradą. Czy dodatkowa kropla ujmie więc tak wiele z jej chwały?

– Niebezpiecznie prosić powódź, by ugasiła pożar – westchnął tylko Dietrich.

Baronet wyrwał się z rozmyślań.

– Masz rację – podjął decyzję – gra stała się zbyt niebezpieczna. Każę zakopać katakumby, spalić szkielet oraz portret i udusić Freidricha. Potem pokażemy wszystkim ciało, wrzucimy trupa do fosy i po krzyku.

– Żeby udusić, trzeba znaleźć – powiedział Dietrich, a Vardesaavre tylko się uśmiechnął.

– Pozostaw to mnie – rzekł klepiąc doradcę po ramieniu.



Komnata margrabini była niemal pusta. Zdarto gobeliny oraz ciężkie kotary, wyniesiono meble. Jaśniejsze plamy na murze wskazywały miejsca, gdzie jeszcze niedawno wisiały rodowe portrety. Vardesaavre wiedział, że wszystkie obrazy wyobrażające Achenbachów i ich przodków już spalono na podwórcu. Zostawiono tylko co cenniejsze ramy, które włączono do łupów. W komnacie pozostał jedynie wzorzysty dywan o długim włosiu i ogromne łoże z atlasowym baldachimem.

Baronet zamknął za sobą starannie drzwi, uprzednio sprawdzając jeszcze, czy nikt nie sterczy na korytarzu.

– Fre-eidrich – zawołał pieszczotliwie – mały Fre-edrich, wujek Reinherd cię szuka.

Wolno szedł wzdłuż ściany i ostukiwał mur knykciami. Nagle usłyszał nieco inny dźwięk. Zatrzymał się i stuknął jeszcze raz. A potem jeszcze raz.

– Oho-ho! – zawołał – tu jesteś mały huncwocie.

Próbował pchnąć ścianę, ale nie mógł sobie poradzić, gdyż mur stawiał opór i wydawało się, że nie można go ruszyć nawet na cal.

– A więc tak – rzekł na głos – skrytka zapewne otwiera się od środka, a tutaj musi być jakaś dźwignia. Czy nie tak? – rzekł głośniej – mam rację, Freidrich?

Zabrał się znowu za ostukiwanie ścian i dostrzegł, że jedna z cegieł ruszyła się. Ostrożnie wyciągnął ją i w dziurze dostrzegł małą, żelazną dźwignię. Szarpnął. Usłyszał chrzęst, jakby poruszony został mechanizm gdzieś w głębi muru. Teraz pchnął wejście do skrytki, a ono ustąpiło pod jego dłonią. W środku panowała ciemność, a otwór był naprawdę niewielki. Dorosły człowiek musiałby kucnąć, a i tak ledwo by się zmieścił.

– Chodź do mnie Fre-eidrich – niemal zaśpiewał, uradowany że kobieta z portretu zdradziła mu prawdę.

Nie zamierzał na razie wsuwać się do dziury. Dzieciak mógł mieć przecież w ręku nóż, a cóż łatwiejszego niż wbić ostrze w nieporadnego dorosłego, który próbuje się przecisnąć przez

wąską szparę i w dodatku nic nie widzi w ciemnościach. Najpewniej słaba dziecięca ręka nie zabiłaby mężczyzny, ale baronet nie miał zamiaru ryzykować niepotrzebnej rany lub blizny.

– Chodźże do mnie, szczeniaku – rzekł twardszym tonem – bo jak będę musiał po ciebie wleźć, to dostaniesz baty.

Nie liczył na zbyt wiele, ale przez chwilę jeszcze pieszczotliwie namawiał, potem groził, aż wreszcie umilkł i wsłuchał się w ciszę. Wydawało mu się, że zza ściany dobiegło jego uszu coś na kształt stłumionego westchnięcia połączonego ze zduszonym szlochem. Uśmiechnął się sam do siebie.

Wyszedł z komnaty margrabini i starannie zamknął drzwi. Wiedział, że z tego pokoju nie ma ucieczki, bo gdyby istniał tajny korytarz łączący sekretną salkę z jeszcze innym miejscem, to szczeniak dawno by uciekł. Mógł, co prawda, rzucić się z okna, ale to akurat baronetowi odpowiadało. Do ziemi było co najmniej trzydzieści stóp, a zawsze byłoby lepiej, gdyby smarkacz sam się zabił niż plamić sobie ręce jego krwią.

– Słuuuuużba! – rozdarł się na cały głos.

Po chwili usłyszał tupot stóp na korytarzu, a przed nim pojawił się mocno zdyszany i nieco przestraszony służący.

– Jaśnie panie?

– Wołaj do mnie Alofsa! Ale żywo, chłopcze!

Wszedł z powrotem do komnaty i pozapalał wszystkie świece, bo za oknem zaczęło się już zmierzchać. Usiadł wygodnie na łożu i z uśmiechem wpatrywał się w ciemny otwór w ścianie. Od czasu do czasu wołał tylko: „Fre-eidrich, wujek już idzie po ciebie" i bardzo go to bawiło. Wreszcie usłyszał stukanie do drzwi.

– Wejść – rozkazał.

Alofs ukłonił się z szacunkiem i przekroczył próg komnaty.

– Pan baronet mnie wzywał?

– Spójrz no tam – Vardesaavre wyciągnął dłoń i pokazał dziurę w ścianie – widzisz?

– Tak, wielmożny panie.

– Otóż, drogi mój Alofsie, w tej dziurze zaląg się wyjątkowo paskudny szczur – Reinherd uśmiechnął się radośnie – i trzeba go wyciągnąć za łeb z kryjówki.

– Pan baronet mnie... – zaczął Alofs i nagle zrozumiał – szczur? – spytał – ten, którego wszyscy szukają?

Vardesaavre pokiwał głową i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Ta szpara jest mała, więc z łaski swojej wejdź do niej, mój drogi, bo ja się nie mieszczę. Tylko uważaj na siebie, bo smarkacz może mieć nóż, a nie chciałbyś chyba nosić blizny po ośmiolatku? – parsknął zadowolony z własnego dowcipu.

Alofs wziął do ręki grubą świecę i pochylił się nad otworem.

– Jak oko wykol – mruknął.

Przykucnął i zaczął przeciskać się przez otwór. Baronet wstał z łoża i zbliżył się do muru zaciekawiony, co się wydarzy. Miał tylko nadzieję, że nie był to fałszywy alarm, gdyż jeśli chłopca nie będzie, przeżyje wielkie rozczarowanie. Na szczęście można było przynajmniej liczyć na dyskrecję Alofsa.

Żołnierz całkowicie zniknął już w sekretnym schowku i nagle z wnętrza rozległ się pisk, łomot, a potem zduszone przekleństwo.

– To zaraza! – warknął Alofs, a potem Vardesaavre usłyszał dwa solidne łupnięcia, jęk dziecka i niemal bezgłośny płacz.

Po chwili Alofs wypchnął przez otwór ubrudzonego jak nieszczęście ośmiolatka. Chłopiec przeraźliwie śmierdział, ubranie miał wysmarowane własnymi odchodami, a twarz całą we krwi, zapewne po ciosach żołnierza.

– Miał nóż, skurwyżesz syn – warknął Alofs wychodząc z kryjówki. Krwawiła mu prawa ręka.

Mały Freidrich odpełznął do kąta i skulił się tam jak dzikie zwierzę. Był wyraźnie oszołomiony uderzeniami i przerażony, ale jednak obserwował spode łba każdy ruch Vardesaavra.

– Patrz, czujne szczenię – mruknął Reinherd.

Zbliżył się do chłopca, zamarkował kopnięcie z prawej strony, a kiedy Freidrich osłonił się, kopnął mocno od lewej trafiając w bark i żebra. Mały Achenbach stracił dech i padł na posadzkę z wytrzeszczonymi oczami, starając się z rozpaczą złapać powietrze w płuca. Po twarzy ciurkiem leciały mu łzy. Zasmarkał się też okrutnie. Vardesaavre kopnął go jeszcze dwa razy, raz w brzuch i raz w dłonie, którymi starał się osłonić twarz. Roześmiał się serdecznie widząc nieporadne ruchy dzieciaka, który teraz przypominał odwróconego grzbietem do ziemi żuka nerwowo gmerającego odnóżami w pełnym słońcu.

– Mała gadzina – powiedział – no dobrze, kończmy to, Alofs. Załatw szczeniaka.

– Panie?

– Załatw go – powtórzył baronet – uduś rękoma, sznurem czy poduszką. Czymkolwiek chcesz. Potem pokażemy wszystkim ciało, trupa do fosy i będzie po Achenbachach.

– Wasza miłość, ale... – żołnierz stał niezdecydowany, a z lewej dłoni kapała mu krew.

– Posłuchaj, Alofs. Gówniarz tak czy inaczej zginie. Nic go już nie może uratować. Jeśli wyświadczysz Vardesaavrom tę przysługę, nie zapomnę ci tego do końca życia. Jeśli będę to musiał zrobić sam, również ci tego nie zapomnę do końca życia. Rozumiemy się?

Żołnierz skinął powoli głową.

– Tak jest, dostojny panie – rzekł i wyjął z pochwy miecz.

– No nie, na Boga – strzepnął dłońmi baronet – po co nam ślady? Uduś go do, cholery! Chcesz, żeby wszyscy zobaczyli, że trzeba nam było sięgać po miecz na ośmiolatka?

Alofs schował broń, kucnął nad dzieckiem i chwycił je za szyję.

– Nieee, proooooszę! – Freidrich odzyskał dech, ale wszelka odwaga już go opuściła. Był tylko przerażonym do szpiku kości ośmiolatkiem, który musiał słuchać, jak dwóch dorosłych mężczyzn zastanawia się, w jaki sposób go zgładzić.

Żołnierz zacisnął silniej palce i krzyk chłopca przeszedł w rzężenie. I nagle z przeraźliwym hukiem runęły drzwi. Baronet zdążył się obrócić i ujrzał wielkiego psa, który z rozdziawioną paszczęką i głuchym, wydobywającym się z głębi gardła warkotem runął na Alofsa. Żołnierz nawet nie zdążył się zasłonić. Rozpędzona bestia obaliła go na wznak, a kły w mgnieniu oka rozdarły gardło na strzępy. Wokoło bluznęła szkarłatna fontanna. Freidrich, półprzytomny i zachlapany krwią swego niedoszłego zabójcy, odczołgał się na bok i skulił pod ścianą.

Vardesaavre cofnął się kilka kroków, ale szybko powstrzymał strach. Stał przyglądając się bestii, która łapczywie chłeptała krew z pokrywającej posadzkę kałuży. Baronet był spokojny o swe życie. Pies został najwyraźniej wysłany tylko po to, by ocalić chłopca, by nie pozwolić na jego zabicie, zanim dokona się rytuał. Ale Vardesaavre wiedział, że jemu samemu nic nie grozi. Był potrzebny czarodziejce z portretu, gdyż tylko dzięki jego pomocy mogła wrócić do realnego świata i znowu cieszyć się wszelkimi urokami życia. Lecz to, co się stało, po chwili zaskoczyło go. Oto pies, nasyciszy już pragnienie, zbliżył się do Freidricha i mocno, choć w miarę delikatnie, chwycił go w potężne szczęki, niczym szczeniaka. Chłopiec był drobny i szczupły, więc unieruchomienie go oraz uniesienie przyszło bestii bez najmniejszego trudu. Zresztą Vardesaavre był pewien, że ten potwór, wielkości wyrośniętego cielaka, poradziłby sobie z dużo większym ciężarem. Baronet mógł się tylko przyglądać, jak pies wychodzi przez drzwi, a potem usłyszał oddalający się klekot pazurów na posadzce. Wtedy dopiero ocknął się, wypadł na korytarz i wrzasnął na służących.

Niemal natychmiast zorganizowano poszukiwania, a żołnierze oraz uzbrojona służba rozbiegli się po zamku. Vardesaavre był pewien, że pies nie odda łatwo życia i łupu, dlatego kazał swym ludziom trzymać się po dwóch albo nawet po trzech. Ale bestia jakby zapadła się pod ziemię. Jedyne, co po niej zostało, to zmasakrowane ciało Alofsa oraz krwawe ślady na podłodze, które prowadziły na schody, a potem ginęły na krużganku. Nikt też nie widział potwora ani nie słyszał dziwnego tupotu czy warkotu.

Vardesaavre był wściekły. Nie tylko, że w idiotyczny sposób zginął jego zaufany żołnierz (bo to mógł przeboleć, choć jego dumę ranił fakt, że ośmielono się zabić Alofsa przy nim), ale szczeniak Achenbachów zaginął na dobre. W dodatku na zamku, wśród dworzan, służby, a nawet żołnierzy zaczęły się szerzyć głupie plotki. Mówiono, że pojawił się potwór-opiekun rodu Achenbachów, który uratował spadkobiercę rodu, by ten mógł się w stosownej chwili zemścić za krzywdy rodziny. Opowiadano również, że bestia jest wielkość konia, potrafi stawać się niewidzialna, a spojrzenie jej żółtych oczu paraliżuje. Bajano również o tym, że pies wyszedł z podziemi, które nieopatrznie kazano odkopać. No i przynajmniej ta część opowieści zawierała ziarno prawdy... Ale trudno się tym było pocieszać.

Z wszystkimi wieściami przyszedł do baroneta niezawodny Dietrich. Vardesaavre siedział w sali na parterze i pił jeden puchar wina za drugim, w związku z czym był już mocno pijany, kiedy zobaczył doradcę. Wysłuchał go jednak spokojnie.

– Co ona może jeszcze zrobić? – huknął pięścią w blat aż puchar wywrócił się z trzaskiem, a krwista struga rozlała się po drewnie. Baronetowi przypomniało się rozdarte na strzępy gardło Alofsa i kałuża krwi w komnacie margrabini. Splunął wściekle i zaklął.

– Takie bydlę nie może po prostu zniknąć – dodał spokojniejszym tonem – nie może się rozpłynąć w powietrzu. Dietrich, to coś było wielkości źrebaka, tylko dużo, dużo – zakreślił krąg rękoma – potężniejsze.

– Wasza wielmożność sprawdzał obraz? – zapytał Dietrich.

Reinherd zapatrzył się na niego z głupim wyrazem twarzy, a potem roześmiał się pogardliwie.

– Obraz – powtórzył – myślisz, że ta bestia po prostu weszła sobie w obraz i zabrała tam chłopaka. Zdurniałeś?

– Czyli wasza wielmożność nie sprawdzał? – Dietrich nie zareagował na zaczepkę.

– Zdurniałeś – Vardesaavre tym razem nie zapytał, tylko stwierdził.

– Pan baronet pozwoli, że ja tam pójdę i zobaczę?

– Rób sobie, co chcesz! – warknął Reinherd – jak dla mnie, możesz iść i się utopić! Ty i te twoje rady!

– Wasza wielmożność raczy zauważyć, że ja radziłem nie ruszać trupów ani obrazu, a wszystko zasypać i zostawić jak było.

Vardesaavre oparł się pięściami o blat i podniósł z krzesła.

– Czyli to moja wina? – zapytał wściekle spokojnym tonem – ośmielasz się twierdzić, że to ja ściągnąłem te wszystkie nieszczęścia?

Dietrich postąpił krok naprzód i pchnął baroneta prosto w pierś, tak że ten wylądował z powotem w krześle. Ze zdumienia nawet nie zareagował, tylko zapatrzył się w Dietricha zbaraniałym wzrokiem.

– A czyja, idioto? – syknął doradca – kto wskrzesił pradawną magię? Dzięki komu po zamku biega piekielna bestia i morduje żołnierzy? Dzięki komu zamiast pokazywać żołnierzom trupa tego szczeniaka, musimy go znowu szukać po całym zamku? Jakbyś nie myślał tylko o tym, żeby wyobracać tę cycastą dziwę w swoim wyrze, to nie mielibyśmy teraz kłopotów...

– Co takiego? – wydusił z siebie baronet.

– To co słyszałeś! Weź się w garść i zacznij myśleć, bo niedługo to monstrum przyjdzie po ciebie albo po mnie! – Dietrich stał i wpatrywał się w baroneta płonącym wzrokiem. Twarz miał ściągniętą grymasem wściekłości.

– Już? – zapytał po chwili milczenia Vardesaavre – skończyłeś?

Dietrich parsknął, przysunął sobie krzesło i usiadł. Nieproszony oraz niezapytawszy wcześniej o pozwolenie nalał wino do pucharu i wychylił trunek duszkiem. Sapnął, przetarł usta wierzchem dłoni.

– Upraszam o wybaczenie – mruknął niezbyt pokornym tonem.

– Wiesz, czym się różni dobry władca od złego? – zagadnął baronet.

Dietrich spojrzał na niego pytającym wzrokiem.

– Tym, iż dobry spodziewa się, że od swych doradców usłyszy prawdę, a nie piękne kłamstwa. I stara się zrozumieć, że prawda może mu pomóc, a nie zaszkodzić. Ale: stara się, rozumiesz Dietrich? Bardzo się stara. Lecz jeśli jeszcze raz podniesiesz na mnie rękę, każę ci ją obciąć. Mam nadzieję, że to również rozumiesz?



– Rozumiem, jaśnie panie – Dietrich tym razem miał naprawdę skruszony głos – i błagam o wybaczenie.

- Udzielone – mruknął Vardesaavre – chodźmy do mojej sypialni. Jeśli pies jest na portrecie, dostaniesz dwadzieścia srebrnych koron. Jak go nie ma, dwadzieścia batów. Żeby cię nie upokarzać przed ludźmi, karę wymierzę ci sam. A ja mam silną rękę, Dietrich.

– Co wasza dostojność powie o stu?

– Powiem, że ja przeżyję stratę stu koron, lecz ty nie przeżyjesz stu batów. A nie zamierzam pozbywać się w tak głupi sposób mądrego doradcy.

Dietrich zaczerwienił się z dumy, a baronet po raz kolejny pogratulował sobie umiejętności obchodzenia się z ludźmi. Byłby ze mnie naprawdę dobry cesarz – pomyślał, chociaż wiedział, że bez pomocy najpotężniejszej magii jego marzenia o koronie zawsze pozostaną tylko marzeniami. Swoją drogą, trzysta lat temu skromny majordomus Vogelburg mógł myśleć w bardzo podobny sposób. A jego marzenia jednak przybrały realny kształt.



Kiedy się okazało, że pies znajduje się na portrecie, Vardesaavre tylko sapnął, a Dietrich rozłożył dłonie w udanym geście współczucia. Baronet przemógł się, poskromił dumę i poklepał doradcę po ramieniu.

– Jeszcze dziś każę skarbnikowi wypłacić ci pieniądze. W końcu zakład to zakład.

Bestia z obrazu stała znowu odwrócona tyłem, tak że nie było widać ani jej paszczy ani kłów. Ale baronetowi wydawało się, że na dywanie wykwitła, nieco zakryta potężnymi łapskami, ale jednak widoczna, szkarłatna plama. Zbliżył się, by obejrzeć lepiej. Była. Tak jakby krew ściekała z mordy psa i plamiła podłogę.

A czy w pobliżu obrazu naprawdę było czuć zgniły odór zmieszany z ostrym zapachem potu dzikiego zwierzęcia?

– Pytanie tylko, gdzie jest Freidrich? – odezwał się za plecami baroneta Dietrich.

Vardesaavre wzniósł oczy i dojrzał ujmujący uśmiech na twarzy zielonookiej piękności. Uśmiechała się trochę z rozbawieniem, a trochę może z wyrozumiałością. I znowu wydawało się, że niezależnie od miejsca obserwacji jej spojrzenie zawsze śledzi baroneta.

– Chyba wiem – odparł Vardesaavre i wskazał wystający zza zielonych falban sukni czubek chłopięcej ciżemki. Albo coś, co czubek ciżemki niezwykle przypominało.

– Zaniósł go na obraz? – zapytał Dietrich takim tonem, jakby się zastanawiał, czy baronet jest przy zdrowych zmysłach.

– Magia, co? – zauważył szyderczo Vardesaavre – powinno ci się podobać. Zawsze marzyłeś o magii.

Doradca zbliżył się do portretu, ale baronet zauważył, że zachowywał sporą ostrożność i przypominał mysz bardzo nieufnie obwąchującą napełnioną serem pułapkę.

– Niby coś tam widzę – mruknął – jakby ciżma, czy co...

Reinherd tylko pokiwał głową, a Dietrich znowu odsunął się na bezpieczną odległość.

– I co teraz zrobimy, panie? Spalimy obraz?

Baronet odszedł od ściany i usiadł na krześle. Oparł podbródek na pięści, cały czas przypatrując się portretowi. Wydawało mu się, nie, nie wydawało mu się, ale był tego pewien, że kiedy Dietrich powiedział "spalimy obraz", pies przesunął się tak, że znowu było widać sterczący kieł i płonące purpurą oko.

– Nie wiem – rzekł – zastanawiam się, czy nie lepiej jednak się z nią dogadać. Jeśli spalę obraz, nigdy już nie znajdę ani Freidricha ani jego szczątków...

– Trudno, wasza miłość – przerwał mu Dietrich – to ważne, ale nie warte tego ryzyka.

– A pies? Jeśli zaatakuje nas, kiedy tylko dotkniemy portretu?

– Każ zawołać zbrojnych, panie. W końcu to tylko zwierzę...

– A zastanowiłeś się, co ludzie powiedzą na bestię wyłaniającą się z obrazu? Opiekun rodu Achenbach – baronet prychnął z rozdrażnieniem – a może nazwą go klątwą Vardesaavrów, co? Tak czy inaczej będzie wesoło – zabębnił palcami po blacie stołu.

– Nie wydostaniesz się z bagna brnąc w nie coraz dalej...

– Dietrich, daruj sobie kretyńskie powiedzonka! – rozeźlił się Reinherd – tylko tego mi jeszcze trzeba. Ludowej mądrości!

– Więc co zamierzasz? – spytał doradca po chwili.

– Ona do mnie przyjdzie – odparł Vardesaavre z niezachwianą pewnością w głosie – przyjdziesz, prawda? – zwrócił się wprost do portretu – a wtedy porozmawiamy o tym, kto będzie czym handlował i na jakich zasadach.

- Szczerze doradzam ostrożność, mój panie. Widzisz, do czego ona jest zdolna już w tej chwili. Kto wie, jak straszne moce zyska za dzień czy dwa? A jeśli rzeczywiście przybierze realne kształty... – Dietrich pokręcił głową.

– Realne kształty – Vardesaavre znów nie mógł oderwać wzroku od tego niemal nagiego, jasnego ciała, od ledwo zasłoniętych, głęboko wydekoltowanych piersi. I ten uśmiech. Obiecujący. Kuszący. Zniewalający.

Z trudem uciekł spojrzeniem w bok. Zauważył, że Dietrich przygląda mu się z niepokojem.

– Jest piękna – rzekł baronet – i wiem, że mnie zauroczyła, ale nie martw się – wstał i klepnął Dietricha w ramię – Vardesaavrowie myślą głową, a nie przyrodzeniem.

– Chciałbym w to wierzyć – odparł doradca, ale tak cicho, że niemal sam nie dosłyszał własnego głosu.

Baronet również chciał wierzyć w słowa, które właśnie wypowiedział, ale zdawał sobie sprawę, że nigdy w życiu nie spotkał piękniejszej i bardziej kuszącej kobiety. I rzecz przecież nie leżała tylko w jej iście nieziemskiej urodzie, ale może też w niezwykłości? W magii, którą była otoczona? W fakcie, że była niegdyś kimś niezwykle potężnym, a teraz po wiekach miała powrócić do żywych? Reinherd zdawał sobie sprawę, że jego myśli biegną jakby w rycerskim romansie. Oto przecudna czarodziejka pokocha całym sercem śmiertelnika i mądra, uległa oraz oddana powiedzie go do chwały i szczęścia. Wiedział, że rzeczywistość niewiele ma wspólnego z poezją, lecz jednak w jego sercu tlił się sentymentalny płomyczek, który w żaden sposób nie chciał zgasnąć.



Baronet kazał dobrze napalić w kominku i leżał w łóżku, otulony pierzyną. Przy łożu palił się pięcioramienny świecznik z grubymi woskowymi świecami, a Vardesaavre, aby nie zasnąć, postanowił przeczytać sprowadzony niedawno ze stolicy rycerski epos. Epos był modną przeróbką dawnej, wielce sentymentalnej ballady traktującej o rycerzu ratującym piękną księżniczkę z rąk niezwykle złośliwego czarnoksiężnika. Autor z lubością opisywał wszystkie nieszczęścia, jakich czarnoksiężnik był sprawcą, a Reinherd był przekonany, że na końcu z równą lubością opisze jego upadek oraz karę, jaka zostanie wypłacona za niegodziwości. Baronet postanowił nie spać tej nocy, gdyż nie chciał zostać zaskoczony nadejściem kobiety z portretu. Nie wierzył, oczywiście, by cokolwiek mu groziło. Przecież gdyby czarodziejka pragnęła go skrzywdzić, to bestia nie tylko uratowałaby małego Freidricha i zabiła Alofsa, ale również rozprawiła się z samym Vardesaavrem. Jednak chciał zachować trzeźwy osąd i trzeźwy umysł, by pertraktować w pełni sił, a nie w sennym otępieniu, na pograniczu snu i jawy.

A jednak nie udało się dochować tak mocno powziętych postanowień. Baronet nawet nie wiedział, kiedy litery zaczęły mu się rozmywać przed oczami, a lektura związała sen i świat rzeczywisty w jeden zadziwiający, magiczny supeł. I kiedy otworzył oczy, zobaczył, że nad jego łożem stoi dama z portretu. Pochyliła się i dotknęła jego czoła dłonią. Wzdrygnął się, bo ten dotyk przypominał muśnięcie porannej mgły. W komnacie było ciemno, mimo że świece wypaliły się zaledwie do dwóch trzecich wysokości. Tylko ciało czarodziejki jaśniało jakimś ledwo uchwytnym, a jednak rozwiewającym mrok blaskiem.

– I co ja z tobą mam, mój młody przyjacielu? – szepnęła niczym piastunka do krnąbrnego wychowanka – dlaczego mnie zasmucasz?

Baronet podsunął się wyżej i zamrugał oczami chcąc odpędzić resztki senności.

– Zabiłaś mojego żołnierza – rzekł.

– Ja? – zdumiała się – jak mogłabym zabić żołnierza, Vardesaavre, skoro jestem niewiele silniejsza od tumanu mgły nad jeziorem? – uśmiechnęła się wyrozumiale, tak jakby wybaczała błąd niezbyt pojętnemu uczniowi.

– Ty, twój pies, wszystko jedno – powiedział.

– Kazałam mu porwać chłopaka i nie skrzywdzić ciebie, mój miły. Czyż mogłam przypuszczać, że w komnacie będzie się znajdować ktoś jeszcze? Wybacz mi, jeśli cię zasmuciłam, ale sam przyznasz, że wszystkie nieporozumienia między nami wynikają z twojej lekkomyślności oraz braku zdecydowania...

Vardesaavre słuchał jej uważnie i kiwał potakująco głową, a słowa czarodziejki wydawały mu się nad wyraz rozumne. Ale w pewnym momencie otrząsnął się. Był świadom tego, że zawsze kiedy znajduje się obok tej niesamowitej kobiety, jest rzucany na niego rodzaj uroku. Jednak nie zamierzał mu się poddawać.

– Lekkomyślności? – mruknął – lekkomyślnie to ja cię ożywiłem...

– Mój drogi baronecie – uśmiechnęła się – po pierwsze, jeszcze mnie nie ożywiłeś, a po drugie, jak inaczej niż brakiem zdecydowania i lekkomyślnością można nazwać to, co wyprawiasz z dzieciakiem? Jak mogłeś kazać go udusić, wiedząc że sprawisz mi tym przykrość oraz ból? Reinhardzie – usiadła obok niego i tym razem poczuł, że łóżko leciutko się poruszyło pod jej ciężarem – czyż twoim obowiązkiem, rycerza i człowieka honoru, nie jest pomóc biednej kobiecie, uwięzionej i prześladowanej przez zły los? W dodatku kobiecie już teraz żywiącej do ciebie ciepłe uczucia i całkowicie pewnej, że szybko przerodzą się one w gorącą namiętność i żarliwą przyjaźń? Dlaczego mnie ranisz? Pragniesz bym rozpaczała i żałowała chwili, w której cię poznałam?

Pochyliła się nad nim tak głęboko, że jej skóra niemal dotykała jego skóry. Czuł ciężki, upajający zapach perfum, widział słodki, smutny uśmiech na jej twarzy i złote iskierki migoczące w zielonych oczach. Zastanawiał się, jak kiedykolwiek mógł próbować skrzywdzić tę kobietę, zamiast z rycerską pokorą wypełnić jej prośby i zasłużyć na szczęśliwy uśmiech oraz pełną żaru namiętność, którą obdarzyłaby go...

Zagryzł usta do krwi i zerwał się, wiedząc, że jeśli minie jeszcze chwila, to urok zyska nad nim władzę. Nie wiedział, czy tajemnica tkwiła w jej potędze, czy w jego słabości, ale nie mógł sobie pozwolić, by uczucia zaćmiły jego umysł.

Gdyby była żywą istotą, wpadłby prosto w jej ramiona, zderzył się z nią lub nawet zepchnął ją z łoża. Ale ponieważ była tylko duchem lub czymś w rodzaju ducha, więc poczuł jedynie, jakby cały zanurzył się w chłodnej wilgoci. Czarodziejka nie odezwała się ani słowem i usiadła wygodniej w pościeli, przyglądając się jak Vardesaavre krąży po komnacie. Tymczasem baronet poczuł się zdecydowanie lepiej wiedząc, że ona siedzi kilka kroków dalej, nie czując jej perfum ani nie widząc jej uśmiechu i zielonych oczu. Nie mówiąc już o tych posągowych kształtach i ciele, do którego dłonie same się wyciągały, jakby bez udziału woli oraz rozumu.

– Pertraktujmy – wydusił z siebie wreszcie – zawrzyjmy uczciwy układ.

– Od początku ci to proponuję, mój miły.

– Nie proponowałaś uczciwego układu...

– Nie? – przerwała mu, a ton jej głosu się zaostrzył – oferowałam ci siebie. Moją przyjaźń, pomoc i ciało. Magię, dzięki której poradzisz sobie z wrogami. Czy to mało, Vardesaavre? A czego w zamian żądałam? Jednego, drobnego dowodu poświęcenia. Nawet nie jednej nocy, ale dwóch, może trzech godzin z twojego życia. Zważ więc uczciwie, kto daje więcej!

– Żądasz mego honoru – rzekł wyniośle.

– Ty mówisz o honorze? Morderca kobiet i dzieci? Czy naprawdę myślisz, że wszystko ci ujdzie na sucho? Że twój cesarz machnie ręką i powie: „trudno, stało się". Będą ci potrzebni potężni przyjaciele, Vardesaavre. Wierz mi.

– Nie znasz się na polityce – machnął ręką.

Był urażony, iż nazwała go „mordercą kobiet i dzieci", gdyż realizował przecież nic innego, jak tylko święte prawo Vardesaavrów do zemsty. A jego działania nie wynikały z okrucieństwa lub żądzy krwi, lecz tylko z czystej konieczności. Achenbachowie nie mogli żyć na tym samym świecie co Vardesaavrowie. I koniec. Miał wrażenie, że jedyną osobą, która mogłaby zrozumieć tę prostą prawdę, był margrabia Achenbach. Ale jego ciało, obciążone kamieniami, dawno już tkwiło w mule fosy.

– Zdziwiłbyś się – roześmiała się dźwięcznie – cóż możemy wiedzieć my, głupie kobiety... Tak, Vardesaavre, tak właśnie sobie myślisz? Twoja sprawa – machnęła dłonią – ale wiem jedno. Ja mam chłopaka, a ty masz klucz do mojego wyzwolenia. Proponuję ci wymianę.

– A jeśli spalę obraz? – Reinherd zatrzymał się i patrzył, jak kobieta zareaguje na te słowa, ale jej twarz nawet nie drgnęła – i spalę twoje szczątki? Co wtedy? Pal licho chłopaka. Ważne, że zginie, a nie czy będę mógł pokazać jego ciało, czy też nie.

– Zginie? – uśmiechnęła się – skąd ta pewność, że nie mogę go wysłać w bezpieczne miejsce? Jeśli mogłam go ukryć w świecie za ramami obrazu, może mogę również przenieść go prosto na dwór cesarza? Nie pomyślałeś o tym, co Vardesaavre?

– Nie masz takiej mocy – parsknął.

– Nie mam? Od kiedy jesteś znawcą magii, mój młody przyjacielu?

Baronet usiadł na krześle i nerwowo zastukał palcami w blat. Nie wiedział, co sądzić o słowach czarodziejki. Czy naprawdę jej moc była już aż tak wielka, czy tylko blefowała, licząc że on sam ugnie się przed szantażem? Ale jeśli rzeczywiście posiadała podobną siłę, to Vardesaavrowie byliby zgubieni.

– A jak ja pokażę ciało smarkacza? – zapytał kapryśnym tonem – kiedy będzie już po rytuale?

– O to się nie martw – odparła – wierz mi, że będzie wyglądać jak gdyby smacznie zasnął.

– Dobrze – podjął decyzję – każę przyszykować wszystko w jednej z sal pod wieżą. Dietrich tym się zajmie.

– Mój kochany przyjacielu – jej twarz rozjaśniła się uśmiechem – zobaczysz, jak bardzo, bardzo będziemy szczęśliwi. Pamiętaj tylko o kilku sprawach. Po pierwsze, moje kości. Po drugie, szczelna skrzynia. Po trzecie, portret. Po czwarte wreszcie, lina, na której zawiśnie ciało. Będziesz pamiętał o wszystkim, prawda?

– Oczywiście, moja pani – odpowiedział uśmiechem i skłonił się dwornie.



Niezawodny Dietrich przygotował wszystko co trzeba. Baronet zauważył, że doradca jest blady jak śmierć i drżą mu dłonie. Ale nic dziwnego. Sam czuł się nieswojo myśląc o tym, że już niedługo będzie musiał dokonać czynu, który może się okazać zgubny dla rodziny Vardesaavrów. Wiedział jednak, że nie ma innego wyjścia.

– Czas na portret – zwrócił się do Dietricha.

Ostrożnie zdjęli obraz ze ściany, a baronetowi wydawało się, że zielonooka piękność przygląda się szczególnie uważnie ich poczynaniom. Ogromny pies był już bardzo wyraźnie obrócony przodem do pokoju i dokładnie widać było jego monstrualnej wielkości paszczę, zagięte kły oraz gorejące czerwienią oczy.

– Poniosę – mruknął Vardesaavre i chwycił silniej ramy.

Spojrzał w szczapy drewna płonące jasnym ogniem na kominku i w wysokie płomienie liżące mur. Dał dwa długie kroki i zamierzał już cisnąć obraz w żar, kiedy ktoś z tyłu szarpnął go za rękaw. Portret zamiast wylądować w palenisku huknął ramą o ścianę. Vardesaavre chciał doskoczyć i wepchnąć go do ognia, ale nagle poczuł, że ktoś uderza go w głowę, a potem odpycha na bok. Jeszcze poderwał się sięgając po sztylet ukryty w cholewie buta, ale był już zbyt zamroczony, by cokolwiek zdziałać. Poczuł znowu ból w tyle głowy i myśli odpłynęły.

Ocknął się i próbował poruszyć dłońmi. Nie mógł i przeraził się, że został sparaliżowany. Dopiero po długiej chwili zorientował się, że to nie paraliż, lecz ściśle zaplecione sznury, które opasywały jego nadgarstki, ramiona oraz stopy.

Zobaczył, że ruda czarodziejka pochyla się nad nim i poczuł zapach jej perfum. Wielkie piersi niemal uwolniły się z gorsetu, ale tym razem Vardesaavre nie był w stanie podziwiać tych posągowych kształtów. Przeczuwał, a raczej nie, nie przeczuwał, lecz wiedział, że stało się coś bardzo złego. A w każdym razie nie udało się spalić magicznego obrazu.

– Doszłam ostatecznie do wniosku, że nie będziesz dla mnie użyteczny, baronecie. Nie potrafiłeś docenić prawdziwej przyjaźni... – jej zielone oczy były teraz chłodne, taksujące i obojętne.

– Posłuchaj – usiłował się podnieść, ale nie mógł ruszyć ręką ani nogą. Związano go nad wyraz mocno i nad wyraz porządnie – przecież nie możesz mnie tak po prostu zabić!

– Nie zostaniesz zabity tak po prostu – roześmiała się, a Vardesaavrowi nie spodobał się ten śmiech – weźmiesz udział w czymś o wiele większym niż tylko sztuka o upadku i śmierci. To będzie prawdziwe święto, baronecie! Wzniosła i cudowna ceremonia!

Wytężał wszystkie siły, ale wiedział, że o potężnych rycerzach potrafiących jednym ruchem zerwać krępujące ich pęta czyta się tylko w romansach.

Gdzieś z ciemności usłyszał szelest kroków i z mroku wyłonił się Dietrich. Jego blada twarz wyglądała przerażająco w żółtym, migoczącym płomieniu świec. Miał rozpalone oczy i usta ściągnięte w wąską kreskę.

– Dietrich – szepnął baronet.

Doradca poruszył głową ni to w zdawkowym pozdrowieniu, ni to przytakując, iż tak, to rzeczywiście właśnie on.

– Dlaczego? – Vardesaavre szarpnął się, by unieść ciało nad podłogę, ale oczywiście nic mu to szarpnięcie nie dało.

Dietrich przełknął głośno ślinę i tylko wzruszył lekko ramionami. Wzrokiem uciekał przed spojrzeniem baroneta.

– Żądza, Vardesaavre – rzekła spokojnie czarodziejka – żądza ma ogromną, ogromną moc. Niewyobrażalną moc. Potrafi niszczyć nie tylko przyjaźnie, ale nawet całe królestwa.

– Więc ty i ta dziwka... – baronet znowu się szarpnął, ale nie uzyskał nic poza bólem w poranionych przegubach dłoni.

– Czy potrafisz myśleć tylko o jednej żądzy, Vardesaavre? – zapytała z politowaniem, nie reagując na obelgę – nie sądzisz, że na świecie istnieje coś więcej niż tylko twoja rodowa zemsta oraz twoja chęć obłapywania każdej napotkanej dziewki?

Wpatrywał się w nią wściekłym, ale i nie rozumiejącym wzrokiem. O jakiej w takim razie żądzy, na Boga, mówiła?

– Dietrich marzy o wiedzy, baronecie. O starej, słodkiej wiedzy, która zaginęła wraz z nami. I która teraz – uniosła dłonie – odrodzi się! – niemal krzyknęła – i która da moc swym uczniom – dokończyła spokojniej – niepojętą, niewyobrażalną moc.

– Pokazała mi nowy świat – Dietrich zbliżył się do baroneta. Mówił cicho, z jakimś napięciem w głosie, jakby zależało mu, aby przekonać go, że postąpił w sposób nie tylko słuszny, ale i jedyny możliwy – początek czegoś wielkiego. Niezmierzona wiedza, o jakiej nie miałem nawet pojęcia...

– Dietrich – przerwał Reinherd stanowczo – jeszcze czas, żebyś się cofnął. Skończ to przedstawienie. Odwiąż mnie i spalmy wszystko w cholerę. Sam mnie przed nią ostrzegałeś...

– Za późno – doradca pokręcił głową – nigdy byś mi tego nie darował.

To prawda – przyznał Vardesaavre sam przed sobą i w tym przyznaniu była nuta rozpaczy – nigdy bym mu nie darował zdrady i on o tym doskonale wie. W najlepszym razie kazałbym go od razu zabić. W najgorszym czułby, że umiera.

Teraz dopiero pomyślał, żeby dokładnie się rozejrzeć. W sali widział głównie żółte płomienie świec. Migoczące, poruszane leciutkim podmuchem wiatru sączącego się przez szpary w futrynach drzwi i okien. Ale już na granicy mroku ujrzał coś, co zmroziło mu krew w żyłach. Zobaczył podwieszoną u sufitu linę zakończoną ogromnym rzeźnickim hakiem o tępym, zakrzywionym ostrzu. Natężył wzrok, bo nie był pewien, czy to nie złuda, czy to nie cienie układają się na ścianach w tak zdumiewający sposób. Ale nie. Hak nawet leciutko się kołysał.

Czarodziejka podążyła za jego spojrzeniem i uśmiechnęła się.

– To nie będzie trwało długo, Vardesaavre – powiedziała niemal pieszczotliwym tonem – choć oczywiście tobie wszystko będzie się wydawać wiecznością.

– Co ty chcesz zrobić? – niemal wrzasnął i poczuł, jak lodowata dłoń ściska jego trzepoczące się w udręce serce.

– Tylko to, co muszę – wyjaśniła – i nie myśl, że jesteś wymarzonym kandydatem.

– Ja... ja nie rozumiem.

– Jesteś związany z tym zamkiem, Vardesaavre – powiedziała w zamyśleniu – więzami niezwykle mocnymi, choć nawet nie zdajesz sobie sprawy z ich siły. Życie, śmierć, nadzieja, żądza... Nić pomiędzy tobą a tym miejscem powstała, kiedy wymordowałeś Achenbachów. Nie sądziłam, iż właśnie ty możesz wziąć udział w rytuale, ale teraz wiem, iż podjęłam dobrą decyzję. Niepokoi mnie tylko, iż trudno nazwać cię niewinnym – mrugnęła figlarnie w jego stronę i zatrzepotała długimi rzęsami – ale mam nadzieję, że drobne odstępstwo od kanonu nie zakłóci całej ceremonii.

– Chcesz mnie zabić? Oprawić? Zarżnąć?

– Ja? – zdumiała się – w jaki sposób mogłabym to uczynić, przyjacielu, będąc tylko widmem? Czy kiedy dotykam cię, czujesz coś poza chłodnym, wilgotnym powiewem? Jak więc wyobrażasz sobie, że mogłabym cię zmusić do czegokolwiek, zranić lub zabić? – wyraźnie kpiła i Vardesaavre zacisnął usta.

Wiedział, że magik wyciągnie teraz królika z kapelusza. Czekała na wielki finał, przygotowała go starannie, widać tak samo jak baronet lubiła pieczołowicie opracowane teatralne inscenizacje.

– Dietrich? Ty? Odważysz się?

– Nie, nie, nie – doradca cofnął się o krok i znowu uciekł ze wzrokiem.

– Dietrich? – roześmiała się i pomimo grozy sytuacji Vardesaavre nie mógł oprzeć się myśli, że był to piękny śmiech, młodej, rozbawionej kobiety – nie, młody przyjacielu. On dokona wszystkiego – skinęła dłonią, jakby zapraszając kogoś z ciemności.

Baronet zmartwiał. Spodziewał się, że usłyszy teraz z mroku ciężkie kroki i jego oczom w migoczącym żółtym blasku świec ukaże się jakaś demoniczna postać. Pazurzasta bestia o straszliwym pysku i kłach ociekających śliną oraz posoką. Jednak nic takiego się nie wydarzyło. W krąg światła wszedł ośmioletni chłopiec, teraz już z umytą twarzą i w czystym ubranku. Stanął tuż koło czarodziejki, a jego oczy wpatrywały się w baroneta z zimną nienawiścią i nieustępliwością.

– Mały Freidrich nie miał wyrzutów sumienia podobnych do twoich – wyjaśniła pogodnie – powiem nawet, że był zachwycony możliwością spłatania ci tego małego figla.

Freidrich żachnął się i spojrzał na nią z pretensją. Spoważniała i pokiwała głową, jakby zgadzała się z jakimś niewypowiedzianym zdaniem.

– Wiem, wiem – powiedziała – to nie figiel. To zemsta. Za matkę, ojca, braci oraz siostry...

W spojrzeniu Freidricha, kiedy słuchał tych słów nie było żalu ani łez. Wszystkie łzy musiał już wypłakać najpierw przy zamkowym oknie, kiedy niczym na teatralnej galerii mógł obserwować zagładę swej rodziny, a potem w ciemnej komórce, gdzie zrozpaczony, przerażony i samotny chował się przed szukającymi go żołnierzami. Teraz w jego oczach nie było nic prócz niczym nieskalanej nienawiści.

– Ten chłopiec ma siłę, Vardesaavre – rzekła – siłę, jakiej ty nigdy nie miałeś i nie będziesz miał. Jesteś tylko żałosnym komediantem, ale udało ci się stworzyć potwora. Moje gratulacje – dygnęła patrząc na niego z ironicznym uśmiechem – nawet ja nie zrobiłabym tego lepiej.

– Dietrich – baronet chciał krzyknąć, ale z jego ust wyszedł tylko zduszony, żałosny pisk, krzyk załamał się w kogucim pieniu – Dietrich, przecież on cię zabije. Też jesteś temu winnien, dałeś mi mapy, radziłeś żeby zabić Achenbachów...

Czarodziejka uniosła dłoń i Vardesaavre zamilkł, choć zamilknąć wcale nie chciał.

– Ofiarowałem mu wybaczenie – rzekł Freidrich niepasującym do wagi słów dziecięcym głosem.

– To prawda – przyznała czarodziejka – ma też moje słowo, że nie stanie mu się krzywda i będzie mógł poświęcić się temu, czego zawsze pragnął. Zostałeś sam jak palec, Vardesaavre. Na zamku pełnym żołnierzy i dworzan. A jednak tak samotny, że ta komnata równie dobrze mogłaby być oddaloną o tysiące mil pustynią.

– Jak to sobie wyobrażasz, dziwko? – czuł, że zalewa go wściekłość, która nie daje się już kontrolować – jak stąd uciekniecie? Jak wytłumaczycie moją śmierć? Dietrich – spojrzał na doradcę – zaklinam cię, Dietrich, i daję ci wybaczenie. Zabij tego bękarta i skończ to!

– Sam jesteś bękartem – rzekł piskliwie chłopiec i postąpił krok do przodu.

– Dość już tego dobrego – zdecydowała kobieta z portretu – Dietrich, na hak go!

Mógł szarpać się i rzucać do woli. Więzy zostały tak silnie zaciśnięte, że nie było co marzyć nie tylko o ich zerwaniu, ale nawet obluzowaniu.

– Nie ujdziecie z życiem! – wrzasnął – nie uda wam się to... – nagle zatchnął się własnym językiem, który wszedł mu tak głęboko w gardło, że aż zdawał się wyrywać przytrzymujące go delikatne wiązadła. Zabolało. Piekielnie zabolało.

Kobieta spojrzała na niego i pokręciła głową.

– Nie utrudniaj, Reinherdzie – znowu w jej głosie pojawiła się ta niemalże matczyna troska – wolałabym, żeby wszystko skończyło się bez zbędnego cierpienia. Chociaż nie myśl sobie – uśmiechnęła się filuternie – że kiedy zostanę już zmuszona by je zadać, to nie znajdę w tym rozkosznej radości.

Vardesaavre pokiwał gorliwie głową, bo obawiał się, że język zaraz wpadnie mu do żołądka. Nasada języka, tuż przy dolnej części podniebienia, piekła już go tak strasznie, jak gdyby ktoś dotykał rany rozpalonym do czerwoności żelazem. Mały Freidrich przyglądał się z niezdrową fascynacją jego skurczonej bólem twarzy, ale nagle język wrócił na swoje miejsce, a ból wyraźnie się zmniejszył. Teraz Vardesaavre mógł spokojnie przyglądać się temu, jak Dietrich z wyraźnym wysiłkiem wlecze go za nogi, po podłodze, w stronę zwisającego z sufitu haka. Nie mógł oderwać wzroku od zagiętego, jakby zakończonego ostrym szponem ostrza.

– Reinherdzie – czarodziejka musiała dostrzec jego wzrok – nie obawiaj się. Tego haka nie wbijemy w twoje ciało, tylko zaczepimy go o twe więzy na nogach.

Baronet nie wiedział, czy to wyjaśnienie powinno go pocieszyć, ale jednak wyraźnie pocieszyło. Cóż była jednak różnica pomiędzy tym, czy będzie się umierać z wielkim, żelaznym hakiem wbitym w plecy lub zadek, a tym czy ten hak będzie jedynie służył do bezbolesnego podwieszenia.

Zasapany Dietrich dociągnął już baroneta do miejsca, gdzie stała na podłodze podłużna, drewniana skrzynia. Uniósł ramiona i ściągnął hak na dół. Zaczepił ostrze o więzy splatające nogi baroneta. Potem podszedł do drugiego końca sznura i pociągnął z całej siły. Stęknął, a nogi Vardesaavra poderwały się w górę. Leżał teraz w piekielnie niewygodnej pozycji z wygiętymi w pałąk plecami.

– Mocniej! – rozkazała kobieta – ciągnij!

Dietrich zastękał i natężył wszystkie siły. Zaparł się stopami o podłogę i ciągnął linę. Na tyle skutecznie, że ciało baroneta powędrowało do góry. Teraz mógł już zauważyć, że skrzynia została od wewnątrz starannie wysmołowana, tak by przez szpary nie przeciekła żadna ciecz. Na dnie skrzyni leżała kupka kości.

Vardesaavre wiedział, że tylko cud mógłby go w tej chwili uratować. Zabłąkany żołnierz, pokojowiec przypadkowo odwiedzający tę salę, dziewka służebna szukająca miejsca na pospieszne oddanie się ukochanemu. Ale miał też niezachwianą wręcz pewność, że ten cud się nie zdarzy. Oczywiście mógłby zacząć krzyczeć, ale wolał umierać z językiem w ustach, a nie gardle. A czarodziejka udowodniła już, że potrafi sprawić mu ból.

Cały czas czuł na sobie nienawistny, zimny wzrok chłopca. Dostrzegł, że Freidrich wysunął lekko język z ust i przygryzał jego koniuszek obserwując w napięciu cały spektakl.

– Starczy – rozkazała czarodziejka, kiedy głowa Vardesaavra unosiła się mniej więcej trzy stopy nad krawędzią skrzyni.

Dietrich, cały czas głośno sapiąc, zaczepił sznur na wbitym w ścianie haku. Potem odetchnął z ulgą i zaczął masować obolałe dłonie.

– Podetnij mu żyły na przegubach i za uszami – rozkazała kobieta obojętnym tonem – ale ostrożnie, żeby nie wykrwawił się za szybko.

– Ja?! – Dietrich cofnął się o dwa kroki, poza zasięg blasku świec, ale Reinherd dostrzegł na jego twarzy przerażenie – o nie! Ja tego nie zrobię!

– Głupcze! – jej głos chlasnął jak bicz – czy myślisz, że mówię do ciebie?

– Ja to zrobię, tchórzu – w dziecięcym, ale stanowczym głosiku było tyle pogardy, że Dietrich aż ugiął się pod jej ciężarem.

Vardesaavre okręcił się lekko i lina zaskrzypiała. Zauważył, że na ustach Freidricha błąka się teraz pełen satysfakcji uśmieszek.

– Mój mały zuch – powiedziała czarodziejka niemal z dumą w głosie – daj mu nóż, Dietrich.

Doradca zbliżył się ostrożnie, zupełnie jakby podchodził do szczególnie jadowitego węża, który w każdej chwili może wyprysnąć w jego stronę niczym wstęga żywego srebra. Na wyciągniętej dłoni podał chłopcu nóż. Bardzo zwyczajny nóż o rękojeści kutej z ciemnego metalu i połyskującym w blasku świec srebrnym ostrzu. Czubeczek noża zamigotał, kiedy Freidrich brał go w ręce.

– Ostrożnie, mój chłopcze – przykazała czarodziejka – nie tnij zbyt głęboko.

To o mnie mówią – pomyślał Vardesaavre z jakimś wręcz niewiarygodnym zdumieniem – właśnie wyjaśniają sobie, w jaki sposób należy mnie ciąć!

Freidrich chwycił go za włosy i szarpnął, tak by ustawić głowę pod odpowiednim kątem. Lina znowu zaskrzypiała. Baronet poczuł chłodny dotyk ostrza, a potem krótki, piekący ból szybkiego, zgrabnego cięcia.

– Oprawiałem króliki – rzekł ośmiolatek z głęboką satysfakcją.

Ciepła krew spłynęła po policzku baroneta. Kilka kropli zawisło na rzęsach. Drugie cięcie było tak samo szybkie i fachowe jak pierwsze, a krew znowu popłynęła strużką. Vardesaavre zamrugał. Patrzył w dół, na dno drewnianej skrzyni i widział jak jego krew skapuje na rozłożone szczątki czarodziejki. Grube krople rozpryskiwały się na kościach i pokrywały je najpierw zaledwie różową mgiełką, a potem coraz grubszym szkarłatnym całunem.

I wtedy też usłyszał głos kobiety z portretu. Głęboki, gardłowy, nasycony jakąś niepojętą, dziką magią. Wypowiadała słowa, których nie rozumiał, a które powodowały, że lodowate ciarki przebiegły mu od nasady karku aż po krzyż. Inkatacje ciągnęły się jak całun, a mrok w pomieszczeniu wydawał się coraz bardziej gęstnieć. Świece płonęły już nie żółtym, lecz buroczerwonym blaskiem, chociaż Vardesaavre nie wiedział, czy wrażenie to nie jest tak naprawdę spowodowane tym, iż krew z ran wsączała się pod powieki i zalewała mu oczy.

Głos potężniał i zdawał się wibrować pośród starych murów. Kałuża czerwieni na dnie skrzyni wrzała teraz i bulgotała, jakby w rytm tego strasznego, nieludzkiego głosu, w którym nie było już nawet odrobiny kobiecego ciepła. Vardesaavre widział wszystko jak przez zasłonę burej mgły, w której unosiły się czarne i czerwone, leniwie wirujące kręgi. Baronet zauważył, że dłoń czarodziejki zaciska się na palcach chłopca, a ten krzyknął nawet nie z bólu, ile z zaskoczenia i odwrócił się w jej stronę.

Kości zniknęły z dna skrzyni i teraz wrzała w niej tylko krew wciąż spływająca z ran baroneta. Wokół unosił się jakiś dziwny zapach. Słodki, mdlący i upajający. Zapach, w którym mieszała się nuta topionego wosku, kopcących świec i palonych knotów. Coraz silniej też było czuć zapach ciężkich perfum. Vardesaavre przyglądał się czarodziejce, która teraz kołysała się, tak jakby stała na rozchybotanej łodzi. Ale mimo tego kołysania wyraźnie widział, co dzieje się z jej ciałem. Zachciało mu się śmiać, ale nie miał na to już sił.

– Przejrzyj się w lustrze, poczwaro – rzekł, a raczej wydawało mu się, że wypowiedział te właśnie słowa, gdyż tak naprawdę nie był już w stanie nic powiedzieć.

Czarodziejka musiała jednak dostrzec w jego wzroku coś niepokojącego, gdyż gwałtownie obróciła się w stronę chłopca. Ten jednak spojrzał na nią i wyszarpnął dłoń z jej dłoni. Cofnął się z grymasem obrzydzenia na twarzy.

– Lustro! – krzyknęła – Dietrich, masz lustro, jak kazałam?

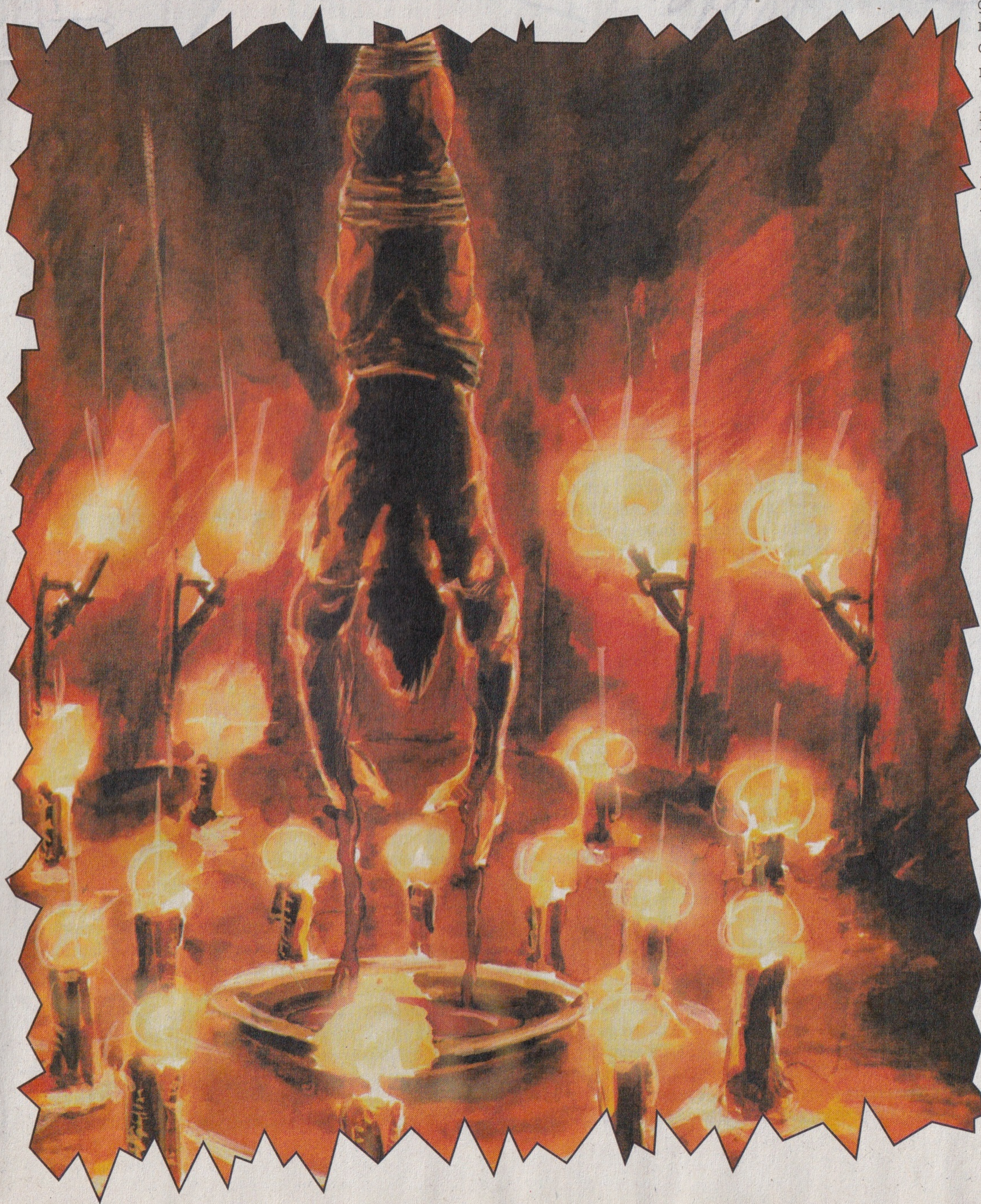
Vardesaavre obrócił wzrok w stronę dawnego doradcy, ale Dietrich tańczył właśnie na płomyczkach świec. Kiedy usłyszał pytanie, opadł delikatnie na posadzkę i zbliżył się do kobiety w powolnym piruecie. Baronetowi chciało się śmiać, gdyż Dietrich nie wiadomo czemu miał trzy twarze, a na każdej z nich zastygł wyraz komicznego przerażenia.

Czarodziejka chwyciła w dłonie lustro i długo wpatrywała się w srebrną, wypolerowaną powierzchnię. Vardesaavre nie musiał w to lustro spoglądać, gdyż widział twarz i postać kobiety w całej okazałości, a nawet czasami te twarze oraz postacie układały się w mozaikę. Rude, błyszczące i puszyste sploty zamieniły się w wiecheć postrzępionych siwych kłaków. Rączkę lustra trzymały już nie białe, wąskie palce, lecz pogięte artretyzmem, haczykowate szpony. Błyszczące zielone oczy przygasły niczym jeziora pełne mułu, a jędrna, jaśniejąca do niedawna twarz była tylko maską z ohydnie pogniecionego pergaminu. Czarodziejka wpatrywała się w powierzchnię lustra, ale na jej twarzy nie można było nawet dostrzec przerażenia. Jej oblicze było tak zdeformowane, że nie mogło się na nim odbić żadne ludzkie uczucie.

Vardesaavre roześmiał się głośno, a jego śmiech odbił się echem pośród murów. Oczywiście wydawało mu się, gdyż tak naprawdę nie wydał z siebie żadnego dźwięku poza cichuteńkim, niemal niedosłyszalnym westchnięciem.

– Miałam być piękna! – jej głos był jak jazgot żelaznego dłuta po powierzchni kamienia.

Baronet unosił się już pod sufitem sterując ciałem jedynie za pomocą myśli. Bawił się świetnie, choć humor psuł mu nieco widok umęczonego ciała wiszącego nad pełną krwi skrzynią. Pokiwał więc filuternie dłonią na pożegnanie zarówno swemu ciału, jak i wszystkim obecnym w komnacie. Odpływał w mrok, tam gdzie w pełnej goryczy, nienawiści i gniewu pustce czekali na niego Vardesaavrowie. Widmowe postacie okute w widmowe pancerze i z widmowymi mieczami w dłoniach. I tylko pełne czarnego ognia oczy przodków śledziły każdy ruch wiedźmy. Baronet wiedział już, że będzie miał komu opowiedzieć o swym bólu oraz upokorzeniu, więc podpłynął bliżej uśmiechając się spod żelaznej przyłbicy i czując w dłoni twardą rękojeść miecza.



KONIEC

Inferno numer 3

tekst: EuGeniusz Dębski
rysunki: Paweł Miedziński

Spokojnie, proszę nie trzeć oczu!

Głos miał jakieś dziwne brzmienie – okraszony turkoczącym pogłosem, niczym przepuszczony przez wyspecjalizowany modulator czy jakiś inny vocoder. Falował, to znaczy napływał, stawał się głośniejszy, a potem oddalał się... Ale trwało to krótko. Już w połowie drugiej kwestii nabrał normalnego brzmienia.

– To zaraz przejdzie...

Mimo rady potarłem piekące oczy i zostałem ukarany: po policzkach pociekły mi łzy, zakrztusiłem się. Ktoś wcisnął mi w dłoń chusteczkę, wykorzystałem ją i dopiero wtedy byłem w stanie się rozejrzeć. Zamiast paska szosy i deski rozdzielczej mojego wozu, to znaczy zamiast tego, co zapamiętałem, zanim struga aeroparalizatora trafiła mnie w twarz, zobaczyłem wspaniały salon, tysiąckrotne powiększenie arcydzieła żurnalowego projektanta – stylowe meble, obrazy, rośliny, gadżety...

Udało mi się w końcu unormować oddech. Przeniosłem spojrzenie na ludzi. Czwórka obcych mężczyzn przyglądała mi się bez ruchu. Piąty znany mi był o tyle, że to właśnie on wskoczył do mojego wozu i zmusił do jazdy za miasto, gdzie skutecznie wyłączył moją świadomość. On również się nie poruszał.

– Może chce pan przemyć twarz? – zapytał najstarszy.

Musiał przekroczyć sześćdziesiątkę, ale zrobił to elegancko, nie tracąc zgrabnej sylwetki ani klasycznych rysów twarzy. To był ten sympatyczny sposób starzenia się z ogromnymi pieniędzmi, osładzającymi powolną podróż w zaświaty. Szlachetnie białe włosy, lekko tylko przerzedzone, skupiały na sobie spojrzenie, dzięki czemu zmarszczki na twarzy – jeśli były – stawały się prawie niezauważalne. Nieco niższy ode mnie, jakieś metr siedemdziesiąt cztery, siedemdziesiąt pięć. Nie musiał się odzywać, bym odgadł w nim szefa grupy. Pozostali – jak wyjęci z kiepskiego filmu: jeden duży, barczysty, z twarzą obitą przez innych bokserów; drugi, łasicowaty – mój porywacz i geniusz refleksu, dwaj pozostali bardzo przeciętni, podobnie ubrani, ze swetrami odstającymi na brzuchu. Obejrzałem ich wszystkich, a oni równie spokojnie poddali się przeglądowi.

– O co chodzi? – zwróciłem się do Siwego. – Pan mi powie, o co mu szło, a ja postaram się szybko wytłumaczyć, gdzie został popełniony błąd.

Głos drżał mi ohydnie, nawet ja to słyszałem.

– H-ho... – uprzejmie docenił mój dowcip. – Nie ma mowy o pomyłce.

– Pański człowiek... – wskazałem brodą mojego porywacza – ... również nie mógł pojąć, że się pomylił...

– Nie ma mowy o pomyłce – powtórzył cierpliwie. Tak się rozmawia z niemądrym upartym dzieckiem, chwilę przedtem, zanim wymierzy mu się jakąś karę: zakaz TV, odcięcie tygodniówki. Klapsa. Pasy. – Włożyłem masę czasu i pieniędzy... Za dużo, by pozwolić sobie na pomyłkę, panie Badel – zakończył z naciskiem na ostatnim słowie.

Uniosłem brwi i skrzywiłem się. Utrzymałem zdumione spojrzenie na twarzy Siwego.

– Nie znam – stwierdziłem. – I nie mam wątpliwości co do własnego nazwiska. Brzmi: Caney. William Caney.

Siwy zrobił dwa kroki i usiadł w fotelu. Miałem do niego ze cztery metry, atak był wykluczony. Od najbliższego z pozostałych dzieliła mnie jeszcze większa odległość. I nie miałem gwarancji, czy za plecami nie wisi jeszcze jeden. Szef zerknął na jednego z pomagierów, ten pomknął do barku, by po kilku sekundach podać mu olbrzymi kieliszek z koniakiem. Taki sam dostałem i ja. Wbrew zasadom dobrego tonu i kodeksowi konsumentów szlachetnych trunków łyknąłem mocno. Siwy nie musiał tak się śpieszyć, nie siedział pod lufą pistoletu. Zanim wlał do ust odrobinę, polewał nim ścianki kieliszka, napawał się aromatem, dopiero potem łyknął i delektował się jego smakiem. Rozsiadłszy się wygodnie kołysał lekko dłonią i trzymanym w niej kieliszkiem.

– No, to panie Caney... – Wyraźnie drwił, wymawiając moje nazwisko. Nabrałem w płuca powietrza, ale nie odezwałem się – ... opowiem panu krótką historyjkę. Otóż żyła sobie kiedyś kobieta. Jest to fakt o tyle interesujący, że była ona genialnym konstruktorem-elektronikiem. Uwielbiała swoją pracę, ale nie potrafiła przełamać obiegowej, utrwalonej opinii o nieprzystawalności kobiet do tego zawodu. Wiele lat walczyła o miejsca w jakichś poważnych firmach, a kończyło się to zawsze na chałturach albo na pracy „Murzyna". W końcu zaszyła się w swoim domku i zaczęła pracować na własny rachunek. Kilka patentów uniezależniło ją finansowo, zmieniła domek na wspaniałe laboratorium i powiększyła fortunę. Przystała również do Światowego Sojuszu Mentycznego i zajęła się idiotycznymi na pozór badaniami.

Otóż zapragnęła wspomóc aparaturą elektroniczną media. Nie prasę czy telewizję. Nie – chodziło jej o media typu Julii Oswedosh czy Karla Rittenmeiera. Wie pan – machnął ręką – ci, kontaktujący się z zaświatami. – Łyknął znowu. – Była uparta chyba jeszcze bardziej niż utalentowana: osiągnęła albo niemal osiągnęła cel, gdy tragiczny wypadek samochodowy przeniósł ją do innego świata. Odziedziczył po niej wszystko niejaki Jond Badel. Bratanek, też elektronik, nie tak uzdolniony jak ciotka, ale zawsze. Poza tym pewnie zostały jakieś schematy, plany... Pracował jak szalony i w końcu udało mu się: przy pomocy mediów z Sojuszu Mentycznego łączył się z duchami zmarłych. Co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości: najskrupulatniejsze badania i pułapki absolutnych niedowiarków nie dały efektu. Jond Badel, przy pomocy bardzo przeciętnego medium, wchodził w dowolnym czasie i okolicznościach w kontakt z dowolnie wybranym zmarłym. Sprawa zaczynała się robić głośna i wtedy pożar domu Badela zniszczył całą aparaturę. A po pewnym czasie Jond Badel przyznał, że sam nie bardzo wiedział, czym się posługuje, ponieważ – chciwie żeglując ku mamonie – zamiast zająć się metodycznym zapoznaniem z posiadaną aparaturą, zajął się trywialnymi wzmacniaczami, których brakowało do spektakularnego uruchomienia zestawu. Nie zdążył, cymbał, zbadać aparatury ciotki Mabel w stopniu wystarczającym, by ją po pożarze odtworzyć. Oswedosh, największe medium swoich czasów, usiłowała wywołać Mabel Gootz, by ta zdradziła tajemnicę swojego urządzenia. Nie udało się. Jond zainkasował odszkodowanie za spalone laboratorium i zniknął.

Siwy, nie odwracając ode mnie uważnego spojrzenia, podniósł kieliszek i zwilżył usta znakomitym trunkiem. Szybko dopiłem swój i wymieniłem kieliszek na inny usłużnie napełniony w jednej piątej.

– Już wtedy zainteresowałem się Jondem Badelem, ale za późno. Nie zdążyłem skontaktować się z nim przed pożarem, przespałem moment jego ucieczki. Przegapiłem moment – westchnął, jak mi się wydało szczerze. – Dlatego tak długo to trwało.

– I porwał pan mnie – już pomijam, że popełniając absurdalną pomyłkę, bo nie nazywam się Badel – żeby skontaktować się z duchem? Wydał pan na to fortunę i ryzykuje więzieniem?!

– To trochę nie tak – zaoponował łagodnie.

– A jak? Czego pan oczekiwał? Że duch dziadka wskaże panu zakopany skarb? – prychnąłem bezczelnie i zanurzyłem wargi w koniaku.

– Szukałem pana, panie Badel... Proszę!.. – Uniósł szybko rękę i stłumiwszy mój protest skrzywił się – ...oszczędzić sobie wysiłku zaprzeczania! Jeszcze przez chwilę niech pan nie przerywa. Przyjąłem do wiadomości, że aktualnie nazywa się pan Caney – odrobinę zmienił intonację i właśnie to, a nie obecność czterech uzbrojonych pomocników, spowodowało, że poczułem na czole pot. – Szukałem pana przez dwa lata i w końcu dowiedziałem się, jak znaleźć człowieka, który schodzi do Piekła i pomaga uwięzionym tam duszyczkom.

Żuchwa opadła mi na trzy centymetry. Wytrzeszczyłem oczy. Pół minuty gapiłem się na Siwego, na pozostałych mężczyzn. Wszyscy wyglądali normalnie, tylko ja miałem minę kretyna.

– To jakaś gigantyczna, piramidalna bzdura! – wrzasnąłem.

Z hukiem odstawiłem pusty kielich na stolik. – Nikt nie dowiódł istnienia piekła, bo przedtem trzeba by dowieść kilku innych rzeczy, a pan mówi, że istnieje facet, który schodzi tam i uwalnia pokutującą duszyczkę od przypisanej kary? Archanioł czy jak? I tenże święty kładzie cały Dekalog na łopatki, wywraca na nice wszystkie zasady rozdziału nagród i kar w życiu pozagrobowym? – wychyliłem się w stronę Siwego i powiedziałem ciszej: – Przyznam, że wystraszyliście mnie samym porwaniem, ale teraz boję się dużo bardziej. Porywacze to źli ludzie, ale porywacze-wariaci to najgorsze, co może człowieka spotkać. – Opadłem na oparcie kanapy i pokręciłem głową. Zachichotałem. – Jak klienci przekonują się, że zlecenie zostało wykonane? Pewnie przychodzi list ze znaczkiem EDEN POSTAGE... Albo oficjalne zawiadomienie... – ruchami ręki w powietrzu ilustrowałem cytaty z „dokumentu": – „...przodek pana... sprawa taka to a taka... łamane przez coś tam... skazany na ileś tam... niniejszym, za wstawiennictwem Jonda Badela zostaje przeniesiony do Raju. Prosimy o wycofanie opłat za msze za dusze i zainaugurowanie nabożeństw dziękczynnych..." Dajmy spokój... – machnąłem ręką ... – zaczynam pieprzyć bez sensu, jak ten legendarny nosorożec...

– Z tego co wiem, a wiem dużo, gwarancja obejmuje dwa typy znaków – odezwał się niezrażony moimi kpinami Siwy. Po pierwsze, Badel, po kontakcie z duszą, przekazuje klientowi informacje, które absolutnie w inny sposób nie mogłyby do niego dotrzeć. A po drugie, po wycofaniu duszy z Piekła ona sama kontaktuje się ze zleceniodawcą, za pośrednictwem aparatury Badela, bo ta wcale nie spłonęła. Te dwa rodzaje zabezpieczenia muszą być bardzo szczelne, bardzo przekonujące, skoro nie zdarzyło się, żeby ktoś nie zapłacił Badelowi, mimo że kasuje on opłaty dopiero po wykonaniu zlecenia. Podobno sama dusza grozi karą za niedotrzymanie warunków umowy. A skoro bogacze, nieskorzy do wydawania pieniędzy, obsesyjnie bojący się oszustów płacą... – rozłożył szeroko ręce. – Ja tym bardziej nie mam wątpliwości.

– To pańska sprawa, w co pan wierzy! – krzyknąłem chwytając kieliszek i ciskając nim w kąt pokoju. – Nie mam nic przeciwko pańskiej wierze w ten stek bzdur. Znajdźcie sobie tego Badela, wykupcie przepustkę do raju dla siebie i wszystkich przodków, proszę bardzo! Ale ja jestem agnostykiem, nazywam się William Caney, nie mam fortuny zbitej na odpustach, nie miałem ciotki zwariowanej na punkcie ele... – wrzeszczałem, a Siwy rozparł się wygodnie, sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i gestem Harrisona Forda wyjął mały pistolet i strzelił do mnie. Zrobił to tak szybko, tak mnie zaskoczył, tak byłem rozpędzony, że najpierw wykrzyczałem: „elektroniki!", a dopiero potem, już martwy, zamknąłem się. Fala czegoś ohydnie zimnego eksplodowała w moim żołądku i potężnym wałem dotarła do gardła szczelnie je zatykając. W skroniach coś zawibrowało i od razu pociekło mi z nosa. Poczułem się niekomfortowo. Poczułem się źle. Ale od razu zrozumiałem, że martwy czułbym się chyba inaczej. Poruszyłem półtonową ręką i przetarłem twarz. Siwy schował pistolet do kieszeni.

– Nie łudziłem się, że ochoczo przyjmie pan moje zlecenie – powiedział. – Wiem, że ma pan swoisty kodeks postępowania. Usiłuje pan w całym tym nieuczciwym wobec Boga interesie zachować twarz i pomaga tylko tym grzesznikom, których postępowanie uważa pan za... – poprzebierał w powietrzu palcami szukając odpowiedniego słowa – ... za mało naganne. Są to tylko rozpustnicy, złodzieje, ateiści. Tak prywatnie mówiąc, to sądzę, że najpierw wyszukuje pan w Piekle odpowiednie dusze, a dopiero potem zwraca się do bogatych spadkobierców. Jeśli mój domysł co do metody jest prawdziwy, to nie mam złudzeń, że do mnie by się pan nie zgłosił – uzupełnił nie bez żalu.

– Nie potrafię wsiąść na miotłę i polecieć do piekła. Jedyne, co mogę zrobić, to powiedzieć: Żałuję, ale nie potrafię panu pomóc – z przyjemnością usłyszałem własny głos. Prawie normalny. Żyłem. – Nie jestem tym, za kogo mnie pan bierze. Nie obchodzi mnie, w co pan wierzy, nie obchodzi mnie, co robi ten Badel. Ja tego nie potrafię. Koniec.

Siwy wskazał palcem jeszcze raz barek i zostałem migiem obsłużony. Łapczywie wypiłem.

– A nie interesuje pana, dlaczego Jond Badel nie zgłosiłby się do mnie? – zapytał Siwy.

– Nie – powiedziałem twardo, choć mimo wszystko niezbyt szczerze.

– Nie wierzę. A! Przy okazji, bo potem zapomnę: jak się pan zabezpieczył przed odwetem Niebios? To co pan robi, to chyba niesłychane świętokradztwo?

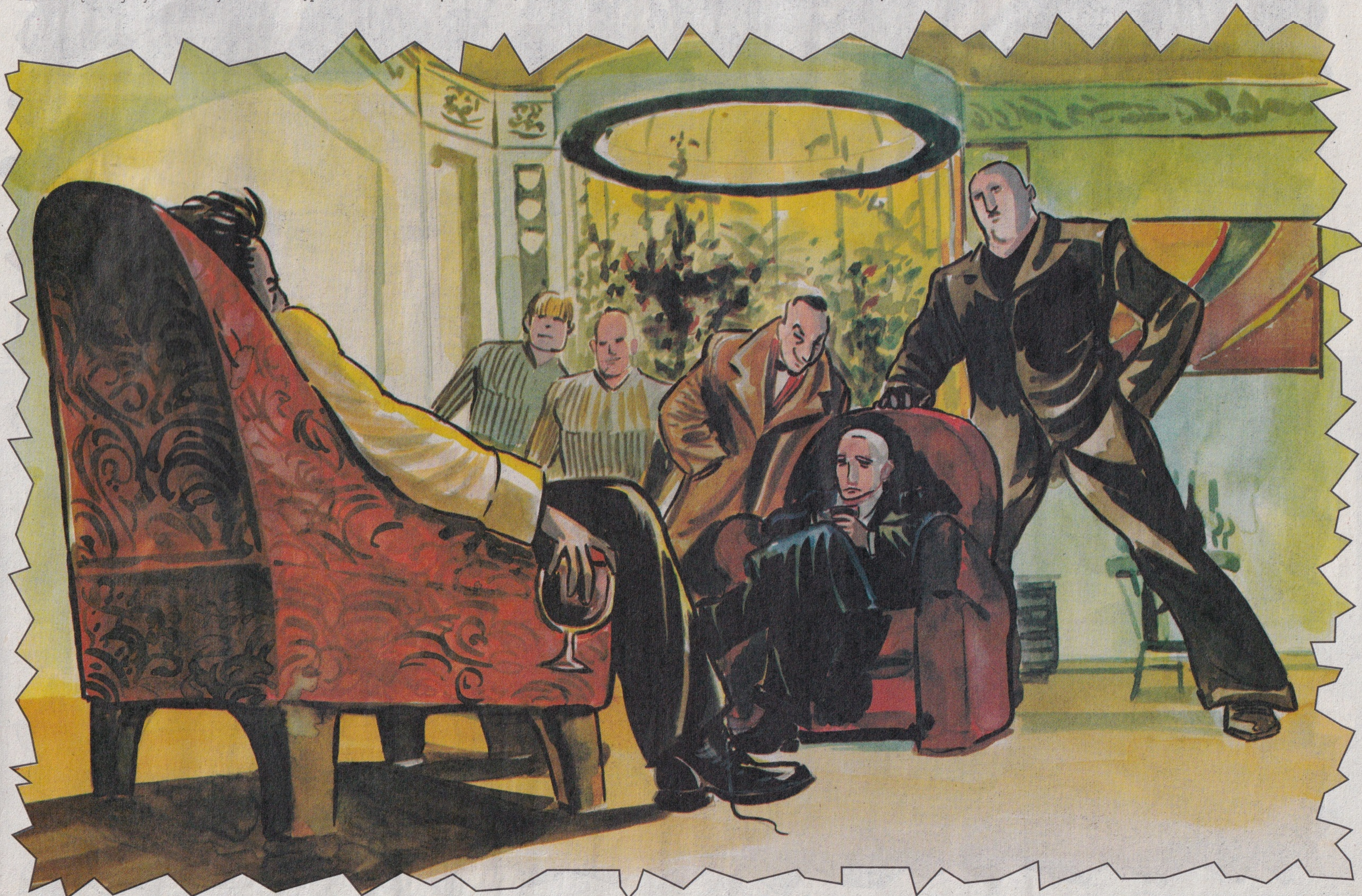
– Nie wiem... Nic nie wiem. Nie jestem w stanie wniknąć w ten problem. Porywacie mnie, trzymacie pod lufami pistoletów, strzelacie do mnie ze ślepaków, żądacie starcia z diabłami. Do cholery...

– Będziemy pana torturować! – łagodnym tonem poinformował mnie Siwy. – Obejdzie się bez przypiekania stóp, bo zaraz po zgodzie na współpracę musi pan być na chodzie. Dysponujemy szeroką gamą środków farmakologicznych, a ich skuteczność w stu procentach gwarantuje pożądany efekt. I to wie pan – w jednej chwili niewypowiedziane katusze, w drugiej – świetne samopoczucie, odpowiednie do współpracy. Żadnego marnowania czasu. Możemy też sprowadzić tu kilka drogich pańskiemu sercu osób...

Patrzyłem w jego oczy i wydały mi się znajome, choć na pewno nigdy dotąd nie spotkałem tego człowieka, który zupełnie, ale to zupełnie nie próbował blefować. Nie wysilał się na to. Wyjąłem papierosy i zapaliłem. Ochrona nie ruszyła się.

– Bez aparatury niczego nie zdziałam – powiedziałem ponuro. – A sprzęt...

– Jest zabezpieczony zmyślnym urządzeniem – wpadł mi w słowo Siwy. – Był zabezpieczony. Złamaliśmy blokadę. Pańskie laboratorium jest już tutaj. Nie było pana w domu cztery dni, czekaliśmy na to od tygodni. Wszystko goto-



we, panie Badel. Oczywiście, otrzyma pan zapłatę; może i pod przymusem, ale nie za darmo.

– Kogo mam wyciągnąć? – warknąłem.

– Wy go nazywacie zbrodniarzem...

– Spodziewam się! – przerwałem. Przez jakiś czas nie groziło mi bezpośrednie niebezpieczeństwo, mogłem sobie pozwolić na hardość. – Czego jak czego, ale tego pewien jestem: nie chodzi o braciszka, który wsadzał motylkom w dupki szpilki. I jak mam do pana mówić? Proszę wymyślić sobie jakieś nazwisko – dodałem butnie.

– Po co? – uśmiechnął się miło. – Podam panu prawdziwe. Jestem Heindrich Mengele – a widząc moje rozszerzone ze zdziwienia oczy dobił mnie: – Syn Josefa...

Właściwie to nawet mnie nie dobił, złamałem się sam zgnieciony potworną myślą, że chce wyciągnąć z Piekła tatuśka.

Byłem optymistą.

Bo on dokończył: – A człowiek, którego ma pan uratować od kary, to nasz Führer! Wódz Wielkiej Rzeszy, Adolf Hitler!

Zanim to zrobił, wstał. Wypowiadając to zdanie użył wersalików. A jego goryle wyprężyli się i stanęli na baczność. A ja najpierw znieruchomiałem zszokowany, potem rozejrzałem się za jakimś orężem. A ten łasicowaty po prostu podskoczył bliżej i trysnął mi w twarz aerozolem. Ponieważ znałem już jego działanie i wstrzymałem oddech, zbliżył się jeszcze bardziej i walnął skarpetą z grochem? Piaskiem? Ryż...



Obudziłem się czy ocknąłem w nieznanym mi pokoju bez okien. Był w nim tapczanik, na którym spędziłem noc, o czym poinformował mnie zegarek. Drugim i ostatnim meblem był kruchy stołeczek z przeźroczystego plastiku, leżało na nim moje ubranie. I to wszystko. Drzwi wpasowano w ściany tak, że tylko cieniutka kreseczka zdradzała, gdzie są. Nie wcisnąłbym w szparę nawet spojrzenia. Nie zauważyłem kamer ani mikrofonów, a szczegółowe poszukiwania przerwał szczęk zewnętrznych rygli. W drzwiach pojawił się mój porywacz. Łasica pchał przed sobą stolik na kółkach. Usiadłem na łóżku.

– Najpierw prysznic – zażądałem.

– Proszę bardzo – wskazał drzwi i demonstrując pogardę dla mojej postury odwrócił się do mnie plecami i poszedł pierwszy.

Po wczorajszym popisie zręczności, właściwie dwóch popisach, nie miałem ochoty na próbę zaatakowania go. Przetrzymałem go natomiast piętnaście minut pod drzwiami do sanitariatu, ale nie wydawał się być rozgoryczony czy zdenerwowany. Spokojnie odprowadził mnie do pokoju, a gdy wytarłem po śniadaniu usta, pojawił się znowu w drzwiach.

– Pan Mengele prosi do laboratorium.

Piętro niżej w dużym pokoju wybudowano klatkę ze szkła. Wewnątrz niej stał Mengele i znajdowały się graty ciotki Mabel. Mengele obrzucił mnie zwyczajnym szarym spojrzeniem i wskazał aparaturę. Gdybym jeszcze miał jakieś wątpliwości co do fachowości działań porywaczy, to widok niemal tony sprzętu przeniesionego tu, rozstawionego w odpowiedniej konfiguracji i – o ile zdążyłem się zorientować – podłączony według właściwego schematu, dobitnie przekonał mnie, że Mengele serio traktuje swoją misję.

Dobre dziesięć minut spędziłem stojąc nieruchomo i przyglądając się po kolei wszystkim modułom genialnego wynalazku cioci; wszystko stało dokładnie tak, jak u mnie w domu. Przeprowadzki dokonano nadzwyczaj sprawnie: wyjęli całą aparaturę niczym domek lalek z pudełka, przenieśli kawałek i umieścili w innym pudełku. Stały więc oba mieszacze, dekoder i kaskada wzmacniaczy – najprostsza część aparatury, to, co ciotka zostawiła sobie na koniec i nie zdążyła wykonać, tych kilka rzeczy znałem najlepiej, bo ja je przeprojektowałem i wykonałem. Natomiast pozostałe bloki: poliadekwalor, trzy bloki opcyjno-decyzyjne, kolitembrator, tłumik relaksacyjny, monoecho – rozszyfrowałem bardzo pobieżnie, o ile w ogóle rozszyfrowałem. Ciotka Mabel nadała im „poetyckie" nazwy: „Kisiel", „Wierzba", „Panorama Dnia Ostatecznego", „Niedbała Pamięć". „Kisiel" ważył nieco ponad czterysta funtów. „Wierzba" miała kształt pnia drzewa z pękiem przewodów tryskających z góry, a do „Panoramy" nawet nie zajrzałem. Bałem się. No i jak dotychczas wszystko działało, więc przyjąłem taką taktykę – działamy, póki działamy, a ja się zepsujemy – będziemy się martwić...

– Jeśli cokolwiek uszkodziliście, to nici z pańskiego planu. – Odetchnąłem głęboko i ścisnąłem dłonie, aż trzasnęły palce. – Większa część zestawu jest dla mnie tajemnicą. Gdy odziedziczyłem aparaturę, spędziłem trzy tygodnie nad schematami i jedyne, co zrozumiałem, to to, że mam się do ciotki jak ośmiolatek do Hawkinga. Ona była Einsteinem elektroniki i nawet ja, przeciętny inżynier, wiem, że najtęższe mózgi świa-

ta rozszyfrują to, jeśli w ogóle, po dobrych kilku latach ciężkiej pracy. Może pan tylko mieć nadzieję, że wszystko będzie grało.

– Pan jest w tym bardziej zainteresowany niż ja – odparł spokojnie. – Ostrzegam, że dam się panu wodzić za nos ograniczoną ilość czasu...

– Ustalmy od razu kilka rzeczy: dostrojenie zawsze w najlepszych warunkach zabierało mi trzy do czterech dni. Chodzi zarówno o kalibrację pewnych zespołów jak i o mnie. Jestem bardzo kiepskim medium, może dlatego muszę długo się koncentrować i próbować kilka razy. Tu warunki są dla mnie fatalne. A jeśli będzie mnie pan straszył, poganiał i tak dalej, to wbrew najlepszym chęciom nic z tego nie wyjdzie.

– Mogę mieć inne medium...

– Nigdy w życiu nie dostroję się do kogoś innego.

– A kiedy będzie pan pewien, że aparatura działa poprawnie?

– Dwa dni – powiedziałem po chwili namysłu.

– Najpóźniej jutro musi pan uruchomić sprzęt – powiedział prawie nie słuchając mojej odpowiedzi. – I jeszcze trzy dni na szukanie natchnienia. Potem rezygnuję z pańskich usług. Wolno panu poruszać się po swoim piętrze i tym pomieszczeniu bez żadnych ograniczeń i szczerze radzę zaniechać jakichkolwiek prób ucieczki.

Odwrócił się i wyszedł z akwarium.



Trzeci dzień, ostatni zapis

Dzisiaj mija termin wyznaczony przez Mengele. Od czterech godzin siedzę przy klawiaturze i udaję, że testuję aparaturę. W rzeczywistości kończę swój krótki pamiętnik. Barnes, ten mój ruchliwy porywacz, siedzi za taflą szkła i ogląda telewizję, co jakiś czas zerkając na mnie. Waham się, czy już rozwalić sprzęt, czy jeszcze spróbować. Myślę, że jeszcze raz mogę wejść. Nie miałem zamiaru realizować zlecenia Mengele, ale tak z czystej ciekawości próbowałem dotrzeć do Hitlera. Zero. Dzieje się coś dziwnego, coś tak dziwnego, że zacząłem rozważać ingerencję Opatrzności. To był wszystko tłumaczyło, bo... Cholera! Nic mi nie wychodzi! Ani razu nie dotarłem do Piekła, przynajmniej do takiego, do jakiego wcześniej docierałem najpóźniej za drugim razem. Nie wiem, gdzie leży przyczyna, może po prostu jestem zbyt zdenerwowany, by dotrzeć do stref infernalnych?

Niedaleko mnie stoi zmontowany ad hoc odpowiedni mikrofalówki. Nie będę podgrzewał pizzy, zrobiłem ją by wrzucić doń ten „pamiętnik", gdyby coś poszło nie tak. I tak właśnie idzie – nie tak.

Ale po kolei.



Pierwszy dzień, pierwszy zapis

Aparatura chyba działa, czego nie można powiedzieć o mnie. Nie spałem prawie całą noc. Gdy pomyślę, że cały ten świat już za dwa dni, jak gdyby nic, będzie się kręcił beze mnie...

Prawie godzinę siedziałem przed ekranem oscyloskopu, zanim udało mi się zsynchronizować przebiegi. Ustaliłem pięciominutową wycieczkę i wpatrzyłem się w fioletową hipnosiatkę na ekranie.

Bezgłośnie eksplodowały fraktale, parafraktale, czy co tam było...

Zacząłem spadać. Już w pierwszej fazie poczułem, że coś jest źle. Niby to samo uczucie zapadania w gorącą topiel, niby te same zderzenia z prawami ziemskimi i innymi... Musiałem ze sobą walczyć, by nie wrócić od razu, i to też było normalne. Zaraz potem nastąpiła chwila umierania. Tak to nazwałem: uczucie bolesnego odchodzenia od własnego ciała, nicowanie, któremu towarzyszyło niskie dudnienie, pulsowanie czegoś, co mnie otaczało. Tym razem dołączyło do tego wszystkiego męczące piskliwe kłucie, jakby ktoś/coś dźgało mnie szpilkami, czasem od razu je wyjmując, czasem zapominając o nich. Pozbawiony płuc zacząłem się dusić. I nagle światło uderzyło w oczy, a coś boleśnie oparzyło plecy. Szarpnąłem się i szybko pociągnąłem z całej siły wiosłem.

Nasz kliper był jedną z nowszych jednostek Scylli, wiosłowałem na nim drugi rok; od razu po bitwie na Termopilskich Błoniach dostałem się do niewoli i trafiłem na nowiutką jednostkę prosto z brytyjskich stoczni. Ogólnie rzecz biorąc, nie mogliśmy narzekać, ja i pozostałych stu pięćdziesięciu galerników. Kapitan nie pojawiał się wcale na pokładzie, a najważniejszy po nim, Pierwszy Rytmowy Fetis, tłukł nas tylko wtedy, kiedy naprawdę musiał. Oberwałem teraz właśnie, bo – przyznaję – od dobrych dziesięciu minut nawet nie markowałem wiosłowania, a Fetis, skoro już się podniósł ze swojego fotela – walił ostro. Przyłożyłem się. Aluminiowe wiosło, lekkie i wygodnie wyprofilowane, dobrze leżało w dłoni i jeśli jeszcze uwzględnić, że statystycznie, na lądzie, dawno już bym nie żył, to życie na kliprze, jednym z większych patrolowców między Nową Szkocją i Palm Beach, było całkiem wygodne i bezpieczne.

Pociągnąłem „z krzyża" wiosłem. Fetis stał nieopodal i obserwował mnie. Nie miał zadowolonej miny, wiadomo – musiał wstać i podejść do mnie, żeby mi przyłożyć. Kiedyś, zaraz po odbiorze protokolarnym, w czasie próbnego rejsu, mieliśmy wszyscy na szyjach metalowe obroże, a Fetis siedział obok perkusji i zabawiał się rozdawaniem kilkudziesięciowoltowych kopniaków. Ale jak to Angole: niedbale położyli izolację i kopnęło Kapitana. Kapitan nałożył obrożę jednemu z Angoli i kopnął go kilka razy. I na tym się skończyło. Obroże powędrowały do magazynu. Czasem Fetis wiązał kilka w pęczek i wypuszczał na sznurze za burtę, żeby pogłuszyć trochę ryb, suszył je i przegryzał nimi piwo. Z pozostałych chłopcy robili mu breloczki w kształcie Węzła Gordyjskiego i inne wisiorki do kluczy. Odpalał nam za to samogon i czasem trochę marychy.

Patrzył wciąż ponuro na mnie, więc tak się przyłożyłem, że aż sternik kurwnął poprawiając kurs. Fetis skrzywił się i poprawił uchwyt na rękojeści korbacza. Oberwałbym jak nic, uratował mnie niski przeciągły grzmot z tyłu. Narastał, zagłuszał wszystkie dźwięki – szum morza, śpiew ptaków... Nawet dolatujące przez bulaj popisy wokalno-instrumentalne Kapitana i Drugiego Maszynowego Elementa. Obejrzałem się przez ramię.

– Wiosła susz! – ryknął Fetis.

Unieśliśmy wiosła w górę. Sternik zdefiniował czyjąś matkę i odwrócił kliper dziobem w lewo, gdzie mijał nas towarowy na podwodnych skrzydłach. Duża fala, długa i wysoka oderwała się od kilwatera i pognała w naszą stronę. Zakołysaliśmy się mocno, a potem Fetis strzelił z bata i posłusznie zaczęliśmy wiosłować. Pierwszy Rytmowy zerknął na słońce.

– Zboże do Ałma Aty – mruknął niby do siebie, ale tak naprawdę to popisując się przed nami znajomością tajnego rozkładu jazdy.

Wrócił na swoje miejsce i zanim ktokolwiek zdążył go zagadać, sięgnął, swołocz, do elektronicznej perkusji i podkręcił rytm. Srebrne litery YAMAHA strzeliły odbitymi promieniami po oczach. Dobre pięć pacierzy wiosłowaliśmy jak durnie, aż siedzący obok mnie Bob Beamon nie wytrzymał i sięgnął do kieszeni. Nerwowy facet, raz skoczył 8,91 i więcej mu się nie udało. Miotał się, miotał, aż wylądował na kliprze, a i tak go nosiło. Teraz wyjął płaską tabliczkę z ekranikiem na ciekłych kryształach i zaczął grać wydymając z wysiłku wargi. Fetis już po piętnastu sekundach wypatrzył Boba, odruchowo sięgnął do perkusji i ściszył ją. Połowa ludzi rzuciła wiosła i po natarciu gąb emulsją ochronną wystawiła je na działanie słońca. Z nudów zerknąłem Bobowi przez ramię. Znałem tę czasobijkę „Peetze-Polo". Nudy na pudy, ale wytrzeszczałem oczy czując na sobie spojrzenie Fetisa. Nie wytrzymał, zerwał się ze swojego miejsca i bez korbacza pognał w naszym kierunku. Wyprostowałem się udając, że z wysiłkiem odrywam oczy od ekranu zabawki. Fetis zwolnił dwa kroki od nas i odchrząknął niedbale.

– Co się tu dzieje? – zapytał srogo. – Do ciebie mówię!

– Ja?! – poderwał się „spłoszony" Bob. Szybko schował „Peetze -Polo" do kieszeni. – Nie bij sahib! Bob pracować dobrze. Bob być dobra boy. Sahib nie gniewać się na dobry amerykan...

– Dupa kwas! Dawaj! – palec Fetisa wskazywał podbrzusze Boba.

– Bez gry wstępnej? Co to – pośpieszny?

– Coo? – wytrzeszczył oczy Pierwszy Rytmowy. – Ja ci, kur-

na... – popatrzył na swoją pustą dłoń i odnalazł spojrzeniem korbacz.

– Tylko spróbuj! – rzucił niedbale Bob. – Rozwalę zabawkę.

– Poczekaj. – Fetis ociera czoło z potu. – Dogadamy się jakoś, nie? Dam ci swoją kolację? – Bob patrzy na niego z politowaniem. – No to z potrójną porcją łatwo przyswajalnego białka zwierzęcego, no?

– I na całą noc włączysz silniki! – uzupełnia Bob.

– Kapitan mnie zabije, jak mu Element poskarży.

– Ale co pograsz, to twoje.

Pierwszy Rytmowy pociągnął nosem i wytarł spocone dłonie o poły chlamidy.

– Dawaj – wyciągnął dłoń.

Bob już bez wygłupów podał zabawkę Fetisowi. Infantylny Rytmowy odchodzi przyciskając do piersi tabliczkę, ale nie kiwa nas – poprawia tkankę foto, tak by łapała jak najwięcej światła, i nie czekając na noc włącza silniki. Zaraz potem blokuje prowadzące na pokład drzwi kabiny Kapitana jakąś ułamaną włócznią ściska nieco Yamahę i zaczyna całym sobą zmagać się z kitajską konstrukcją.

– Nie szkoda ci? – zapytał Boba Manfred.

– E! – machnął niedbale ręką zapytany. – I tak baterie już siadają, a poza tym głupszej gry to ja już dawno nie widziałem. Mam dostać coś nowego, jak będziemy w Palm Beach. Jeden z Siouksów jest mi winien przysługę, to poproszę o wypłatę w nowej zabawce.

Przymknąłem powieki i zaraz je otworzyłem. Obrzuciłem spojrzeniem najbliżej siedzących. Wyciągniętą przed siebie stopą sięgnąłem Beala nucącego coś pod nosem.

– Te! Powinieneś coś wiedzieć, gdzie jest Hitler?

Odwrócił się, ziewnął patrząc na mnie. Wykrzywił twarz.

– Na pewno nie tu. Musi być gdzieś w pierwszej dziesiątce piekieł. N-nic wiem... Ale musisz szukać pod nazwiskiem Schicklgruber, prędzej trafisz na jakiś ślad. Hitler to najprawdopodobniej przybrane nazwisko.

Odwrócił się i wrócił do murmuranda. Rozejrzałem się za kimś lepiej zorientowanym i nagle coś skręciło mnie w małą kuleczkę. Uderzyłem o pokład i zrozumiałem, że wracam. Z dużej wysokości pacnąłem w fotel i zsunąłem się na podłogę. Czułem się jak po ciężkim zapaleniu płuc bez antybiotyków, osłabiony, rozdygotany, przemarznięty i oklejony zimnym lepkim potem. Gdy zdołałem podnieść rękę, zobaczyłem, że drży obrzydliwie, a paznokcie nabrały ohydnej fioletowej barwy...

Przeleżałem resztę dnia normalnego świata w swoim pokoju. Zamiast pięciu minut byłem gdzieś tam, w zaświatach, prawie półtorej godziny. Wstrząsnęło to mną. Nigdy dotąd nie byłem tam ani sekundy dłużej niż zamierzałem, teraz wszystko przebiegało nie tak.



Drugi dzień.

Obudziłem się w dużo lepszej formie. Prawie norma. Jak rekonwalescent po ciężkiej chorobie, ale pełen chęci życia. Po śniadaniu wróciłem do akwarium i odbyłem rozmowę z Mengele. Opowiedziałem mu wszystko. Nie wiem, czy uwierzył, ale na pewno wiedział, że planowałem pięciominutowy wypad, a nie było mnie trzydzieści razy dłużej, wiedział również, jak wyglądałem po powrocie. W każdym razie skinął uprzejmie głową i oddalił się. Do obiadu grzebałem w aparaturze. Złożyłem zamówienie na kilka drobiazgów i jeszcze przed obiadem zostały mi dostarczone. Kilka razy przetestowałem timer. Po obiedzie pół godziny relaksowałem się przy koniaku i wystartowałem.

Od pierwszych sekund czułem, że historia się powtarza, znowu znalazłem się w jakimś dziwnym miejscu. Tym razem był to wagon Cesarskich Kolei Żelaznych. Gruby łysy kierownik pociągu przekonywał mnie, że muszę jeszcze zdać ostatni egzamin, by zostać konduktorem i zaraz potem wsadził mi łapę między nogi i śliniąc się, spazmatycznie oddychając, przesunął ją wyżej. Gdy zerwałem się i chwyciłem za klapy granatowego tużurka z baretkami adepta opacznie zrozumiał mój gest i migiem zrzucił swój paradny mundur i bełkocząc coś o konieczności inicjacji przysunął się do mnie. Udało mi się wyrwać i wrócić jeszcze przed czasem. Zanurzenie nie było udane, ale ucieszyłem się, że mogę wracać, kiedy chcę. Wypaliłem papierosa pod ostrzałem spojrzeń goryla-boksera i zanurkowałem ponownie.

Czułem się całkiem dobrze, tylko było mi gorąco, tak po prostu, po ludzku gorąco. Wysokie szałasy i jurty Londynu rzucały cień, a lekki wiaterek snuł się korytarzami pomiędzy domostwami nomadów. I była woda. Mogłem kilka razy dziennie napić się do syta, mogłem w ogóle nie odchodzić od któregoś z londyńskich źródeł i opijać się do woli. Robiłbym to, gdybym nie miał w perspektywie podróży po obrzeżu Kara Kum, niewzruszenie wylegującej się tuż za Finchley. Wood Green i Woodrof. Nie mogłem więc przyzwyczajać organizmu do zbyt dużych porcji wody. Parłem przez Charing Cross Road do Trafalgar Square, gdzie miałem zamiar sprzedać kozła. Zapierał się, jakby wiedział, po co tam idziemy. Zmyślne bydle – czuł wodę, ale zamiast ciągnąć, zapierał się i gdyby nie pomoc kilku małych skośnookich Ukraińców w życiu nie przedarłbym się przez te kilkaset jardów. Na obrzeżu olbrzymiego placu z największą w tej części Brytanii studnia artezyjską, słynną z kąpieli w noc sylwestrową, zatrzymałem się, by odnaleźć sektor drobnego bydła rogatego. Gwar, ryki wielbłądów, beczenie kóz i owiec, kretyńskie wrzaski osłów uderzały w twarz niczym samum. Kolumna Nelsona, ujarzmiciela pustyni, wyrastała z kłębowiska ludzi i zwierząt, a sam Nelson falował w strugach rozgrzanego powietrza. Rzuciłem jakiemuś malcowi dwadzieścia centów, by przypilnował kozła i po kilkudziesięciu krokach trafiłem na stanowisko Maga. Bez słowa zgarnął rzucone przedeń monety i gestem zamknął moje otwarte do zadania pytania usta. Kilka minut siedział bez ruchu, pot chlusnął mi na czoło,on zaś był suchy jak spalony słońcem kamień. Milczał, a ja topiłem się pod promieniami słońca, wytrzymałem pięć minut i już miałem się odezwać, gdy cudowny cień padł na połowę placu. Ćwiartkę nieba nad placem zakrył flagowy sterowiec „Queen Elizabeth". Widziałem go już, wszyscy widzieli, ale zawsze zadziwiał ogromem. I gdy fala ryku osiągnęła apogeum, Mag odezwał się. Prawie włożyłem mu do ust swoje ucho.

– ... sisz szukać w Piekle numer trzy... – usłyszałem – ...ale nie... dziesz tam, nie wrócisz... trzeba złe...

Umilkł. Czekałem chwilę, a potem zniechęcony wstałem i wróciłem do swojego kozła. Oddałem malcowi wszystkie drobne, jakie miałem w kieszeniach, coś ze cztery dolce. I wróciłem.

Czułem się bardzo dobrze. Przynajmniej tyle dobrego. Bo reszta idzie źle. Dowiedziałem się, że są jakieś różne Piekła, co najmniej kilkanaście, tylko jaki jest kod? Kto, gdzie i za co idzie? Mag mówił coś o Piekle numer trzy. Czemu wcześniej nie wiedziałem, że Piekło nie jest jedno? Może coś nawala? Ja czy aparatura? A może to... może to są Piekła światów alternatywnych? Piekło dla kolejarzy – pederastów? A może to ich Raj? A galernicy? Nomadzi?

Mózg bulgotał i chlupotał wertując warianty. O piątej zabrałem się za Kisiel, sądziłem, że to on jest odpowiedzialny za kierunek zanurzenia. Zdjąłem płytę czołową i usiadłem na podłodze przed nim. Nie miało to większego sensu, swego czasu nie mogłem przebrnąć przez schematy ciotki mimo wskazówek. Delikatnie grzebałem we wnętrzu Kisiela z każdym spojrzeniem nabierając pewności, że niczego tu nie wymyślę. Po dwóch godzinach zanurzyłem się jeszcze raz. Musiałem coś rozregulować, bo – mimo że pozbawiony ciała – całą drogę rzygałem. Miałem jeszcze ten gówniany smak w ustach, kiedy podniosłem wzrok i zobaczyłem finał walki. Czarny Murzyn robił ze swoim przeciwnikiem, co chciał, Piękny Przyjaciel chwiał się na nogach, nie był w stanie unieść miecza, poradziłby sobie z nim teraz jednoręki kulawy ślepiec. Osłaniał się tarczą i cofał. Arnold od niechcenia walił w tę tarczę z nadgarstka, a po każdym uderzeniu przeciwnik jakby zapadał się w ziemię. Potem nastąpiła chwila przerwy, kiedy to Czarny Murzyn stęknął i walnął z przedramienia w tarczę. Piękny zwalił się na wznak a Arnold odrzucił miecz i przyklęknął na jego prawym przedramieniu.

– Proś pardonu! – ryknął tak, by usłyszała go Maja.

Piękny wychrypiał coś, czego nie dosłyszeliśmy, Arnold wzruszył ramionami i wyjął z pochwy mały belgijski pistolecik. Przyłożył go do szczeliny między hełmem a napierśnikiem i wystrzelił dwa razy. Przyjaciel kopnął powietrze nogami i zmarł. Skonał akurat na tle dużych napisów SMIRNOFF VODKA i FUJI FILM. Zauważyłem, że Ernest daje mi znaki, więc poszedłem w stronę korytarza i nie oglądałem zdzierania skalpu, w czym Czarny Murzyn był równie dobry jak w walce. Straże bez słowa wpuściły mnie do komnaty. Piotr I właśnie celnym pstryknięciem posłał wyjęty z koktajlu plasterek cytryny w sam środek czoła błazna, choć wydało mi się, że to gałgan chytrze podsunął łeb pod cytrynkę imperatora. Pod przeciwległą ścianą ponuro stali bojarzy, a po prawej ręce cara w wielkiej misie rozrabiał pianę cyrulik.

– Nie ustąpię! – ryknął Piotr. – Golić! Dość tego czołgania się w ogonie świata! Marazm, epigoństwo, wstecznictwo, eklektyzm, zacofanie! – odwrócił się do golibrody i wskazał purpurowych ze wstydu i złości bojarów: – Wszystkie te postpunkowe czuby mają zniknąć. Każdemu ogolonemu szklankę wódki! – zarządził patrząc na barmana. I... – dodał – ... żadnych pacyfów, krzyży, pieszczoch, ćwieków, kolczyków. Jasne?

Przymknął oczy zmęczonym gestem i na oślep skinął dłonią na pisarza.

– Rosjo, Rosjo... – westchnął car spod przymkniętych powiek zerkając na skrybę, czy notuje. – Ileż trzeba siły, by cię ruszyć... Byś drgnęła...

Na palcach zbliżyłem się do barmana i wychyliłem duszkiem jedną z przygotowanych dla bojarów porcji wyśmienitej wódki. Któryś z końca kolejki stęknął, inny czknął nerwowo. Car otworzył jedno oko. Zmyłem się z powrotem.



Trzeci dzień. Zapisek ostatni, ciąg dalszy.

Wczoraj... dzisiaj usnąłem po pierwszej. Staram się opanować, histeria mi nie pomoże – słabo broni przed ołowiem. Boli mnie głowa, musiałem łyknąć jakieś prochy. Po śniadaniu odwiedził mnie Heinrich. Zdenerwowany. Dzisiaj mija wyznaczony przez niego termin. Przez godzinę opowiadałem mu ze szczegółami wszystko, co tu pokrótce opisałem. Wiedziałem, że mi nie wierzy, a jednocześnie zastanawia go nieudolność moich kłamstw, to znaczy tego, co bierze za kłamstwo. Nie widzę wyjścia z tej pułapki. Mengele dał mi czas do czwartej, ale postanowiłem już nie zanurzać się. Mogę tylko myśleć. Zaraz umieszczę te zapiski gdzieś pod obudową aparatury. Mengele zapewne nie zrezygnuje, wynajmie jakiegoś innego elektronika. Może tamten nie będzie miał lufy na karku, może zechce mnie pomścić. No. Kończę."

Popatrzyłem na ekran monitora, zamruczałem coś do siebie. Zgarnąłem kartki i podszedłem do szczerzącej zęby klawiatury Panoramy Dnia Ostatecznego. Zerkałem do kartek i zanurzałem palce w jej bebechach, jakbym coś sprawdzał. W końcu umieściłem tam swój pamiętnik i przykręciłem na miejsce pokrywę. Resztę kartek zapisanych bezsensownymi obliczeniami zabrałem do stolika. Napiłem się koniaku. Wypaliłem trzy papierosy. Przyszli punktualnie.

– Słucham?.. – powiedział Mendele siadając w fotelu.

Stałem oparty o Niedbałą Pamięć.

Milczałem.

Paliłem papierosa.

– Słucham – powtórzył cierpliwie Heinrich.

– Nie mam nic do dodania. Nie wychodzi. Nigdy nie miałem żadnych kłopotów, nawet na samym początku, na etapie prób. Sądzę, że pod przymusem nic z tego nie wyjdzie, nie potrafię wejść w odpowiedni stan. Albo coś ze sprzętem... – wzruszyłem ramionami.

Długą chwilę przyglądał mi się i myślał.

– Czyli... Umywa pan ręce?

Kiwnąłem głową. On też kiwnął siwym łbem. Wskazał dłonią Panoramę.

– Daj-no mi te notatki – powiedział w powietrze.

Jeden z goryli rzucił się i po kilku sekundach podał mu je. Spurpurowiałem ze złości. Mengele czytał chwilę, tylko te ostatnie, resztę musiał znać. Rzucił je na podłogę.

– No to musimy się rozstać – powiedział z żalem.

– Jeszcze chwila – wykrztusiłem opierając się ramieniem o Niedbałą Pamięć. Odchrząknąłem. – Mam pewien plan. który może wyprowadzić nas z impasu, szczególnie że zabijając mnie nic pan nie zyska. Nikt nie rozszyfruje sprzętu, a schematów nie dostanie pan za żadne pieniądze, więc powinien pan przystać na moją propozycję. Tyle że teraz ja będę dyktował tryb postępowania.

Zdziwił się. Popatrzył na swoich ochroniarzy, bokser wyjął coś cholernie dużego z kabury na piersi. Pozostali nie spieszyli się. Oblizałem wargi.

– Dostałem od was trzy puszki z aerozolową mieszanką do czyszczenia styków, może nie zwróciliście uwagi na etykietę,

ale jest to coś cholernie łatwopalnego. Te trzy puszki znajdują się w tym pomieszczeniu, są dość prymitywnie podłączone do prądu, a ja trzymam dłoń nad włącznikiem. To jest sensor, więc nie uda się wam mnie zastrzelić tak, bym nie zamknął obwodu. Będzie kilka eksplozji i spory pożar...

Mengele nie zmienił się na twarzy, ale jego pewność i spokój zniknęły.

– Proszę więc wysłuchać mojej propozycji w bezruchu i skupieniu. Pan może spełnić swoje marzenie, a ja ocalę własną skórę. Mówić?

– Proszę, proszę bardzo – zezwolił protekcjonalnie.

– W takim razie proszę pozbyć się broni i wyłożyć ją na stolik, a stolik przysunąć do mnie. Nie chciałbym przez czyjąś nieuwagę czy nadgorliwość zginąć teraz, kiedy rysują się dla mnie szanse. Żebyście nie myśleli, że chcę was wykiwać, zatrzymajcie sobie amunicję. No?

Heinrich Mengele rozważał przez chwilę moją propozycję. Patrzył mi w oczy starając się przeniknąć do mojej duszy. Przeciągnął dłonią po twarzy i włosach.

– Bez tego nie ruszymy dalej – ponagliłem delikatnie.

– Dobrze – powiedział. – Zróbcie, jak mówi.

Po chwili bokser przysunął do mnie stolik z trzema pistoletami i jednym rewolwerem.

– A więc, panie Mengele – zwróciłem się do Heinricha. – Wiem dlaczego nie udało mi się dotrzeć do pańskiego Schicklgrubera...

– Milczeć! – ryknął aż siny ze złości. – To nie jest jego nazwisko! To potwarz...

– Mniejsza o detale. Chociaż jeśli tam... – wskazałem kciukiem za siebie – ... znają go pod tym nazwiskiem?.. Nieważne. W każdym razie ja tam się nie dostanę. Nie mam na sumieniu ciężkiego przestępstwa. Wie pan – do klubu dla białych nie puszczą Murzyna... I nie zmusi mnie pan, żebym kogoś zabił. Natomiast mogę tam wysłać któregoś z pańskich ludzi albo pana. Aparatura jest nastrojona, wystarczy wcisnąć ten żółty przycisk... – wskazałem go palcem – ... i chwilę patrzeć w ekran, ten obok. Co pan na to?

– Nie wierzę – powiedział zdecydowanie i nabrał powietrza chcąc krzyknąć „Bierzcie go!". Przypomniał sobie, jak wygląda układ sił w pokoju i uspokoił się. – A co z panem? – zapytał chytrze. – Gdzie tu jest miejsce dla pana?

– Ja wyskoczę stąd chwilę wcześniej – wyjaśniłem. – Przeniosę się do któregoś z tych światów alternatywnych, bo to właśnie tam ciągle trafiałem. Wolę być tam gdzieś poganiaczem kóz czy doradcą Piotra Pierwszego niż trupem tutaj.

– Przecież to złuda, nie życie – powiedział po chwili namysłu. – Ma pan przecież świadomość, że ciało pozostaje tutaj.

– No to co? Skoro sądzę, że żyję, to żyję. A nie mam wcale gwarancji, że TU właśnie odbywa się PRAWDZIWE ŻYCIE. W każdym razie wolę złudę niż pewność, że nie żyję. Przyzwyczaję się do sprzeczności i anachronizmów. Tu też nie jest lepiej...

Wysunąłem nogę do przodu i oparłem stopę na blacie stolika. Popatrzyłem na piątkę nieruchomych mężczyzn. Dłoń Mengele drgnęła i poruszyła się w kierunku wewnętrznej kieszeni marynarki. Bez wątpienia miał tam swój pistolecik. Wszyscy o tym wiedzieli.

– Tak więc zostawiam panów samych. Decydujcie beze mnie, kto zanurzy się, żeby ratować führera. Przypominam, że trzeba koniecznie być zabójcą, żeby się tam dostać. Może wszyscy macie kogoś na sumieniu, ale może być i tak, że któryś z was będzie musiał poświęcić swoje życie dla dobra Wielkiej Rzeszy. Proszę!

Pchnąłem nogą stolik. Mengele wsadził dłoń pod klapę marynarki, ale stojący najbliżej bokser trzepnął go pięścią w głowę i rzucił się w kierunku sypiącej się na podłogę broni. Barnes, ten z refleksem, sięgał już ręką po swój rewolwer, ale inni mieli magazynki, a taki magazynek to duża przewaga przy ładowaniu broni. Ktoś kopnął boksera w twarz. Zawył. Mengele przekręcił się na plecy i znowu sięgnął do kieszeni. Czyjaś stopa wysunęła się z zadymy na podłodze i trafiła go w szyję. Niefart. Nacisnąłem tester i skoncentrowałem się. Za cztery minuty wybuch spopieli laboratorium, ale ja będę już gdzie indziej, pod sprawdzonym adresem. Szło mi gładko, zresztą przedtem też. Wszystkie opisy poprzednich zanurzeń były kompletną blagą, zanotowaną na użytek cwanego Mengele.

Świat, do którego teraz wędrowałem, odkryłem w pierwszym zanurzeniu i już wtedy postanowiłem się tam przenieść, musiałem tylko obmyślić zemstę na Heinrichu, no i zbadać świat, który miał stać się moim. Załatwiłem jedno i drugie. Matriarchat mi odpowiadał, szczególnie że w paradoksalny sposób spowodowany był niedoborem mężczyzn. Mieli tam Johnie Walkera, Pepsi i zupełne cudo – piwo do żucia!

Grzmotnąłem plecami o coś twardego i straciłem przytomność. Ocknąłem się w szpitalnym łóżku. Pielęgniarka, widząc moje przytomne spojrzenie, omal nie rozszlochała się z radości. Przyciskając dłonie do ust wybiegła powiadomić o szczęśliwym fakcie koleżanki. Tak, tu się ceni mężczyzn, to mi odpowiadało. Wróciła z lekarką, starą i brzydką, ale nie zepsuła mi humoru...

– Jak się pan czuje? – zapytała stara głośno.

Wytrzeszczyłem oczy i zamrugałem powiekami.

– Dob... rze... – wyszeptałem. – Gdzie... jestem?

– W New Old Yorku – powiedziała lekarka. – Jak się pan nazywa?

– N-nie pamiętam – wyszeptałem taksując biust pielęgniarki. – Jaki to kraj?

– Jak to? Amerisa!

– Nic nie pamiętam... – pisnąłem. – Pić...

Młoda pognała do drzwi. Jedwabne pończochy cudownie szeleściły, gdy...

– Całkowita amnezja – powiedziała stara do siebie. – Nie pierwszy przypadek... – dodała, podczas gdy młoda podała mi szklankę z sokiem i stanęła obok niej. – Dziwne nieco, bo zazwyczaj ulegają jej ludzie starzy, a ten jest wyjątkowo młody...

Pokiwała głową współczując mi. Pielęgniarka pokiwała również, ale jakby mniej mi współczuła. Bystra. Zorientowała się, że nie jestem niechlujnym staruszkiem. I że jakoś poradzę sobie nawet z całkowitą amnezją.

Otóż to!

Na pewno!

KONIEC



Gorzki popiół

tekst: Izabela Szolc
rysunki: Magdalena Miszczak

„O, zróbcie mojej miłej trumnę
Ze złota, całą lśniącą,
Niech będzie pochowana w niej
Na brzegu pod wierzbą płaczącą"
Piosenka ludowa z Somerset

Boston, 1887 rok

WAMPIRZYCA IRENA: Przedmiot wyglądał niepozornie – naśladująca kształt dłoni deseczka, osadzona na trzech nóżkach; z przodu miała wycięty otwór, w którym umieszczano pióro. Rzecz miała służyć do porozumiewania się z duchami zmarłych za pomocą pisma automatycznego. Jakkolwiek dziwnie to wszystko brzmiało dla trzeźwego umysłu, „urządzenie" zrobiło furorę. Na jednych podwieczorkach zabawiała się nią podochocona młodzież, na innych sabaty ich ciotek, znudzonych starych panien i wdów. Niepokojącą zabawą (bo długo pismo automatyczne było klasyfikowane tylko jako zabawa niewiele groźniejsza od pasjansa) nie gardziły rajfurki, guwernantki, profesorowie w męskich internatach i rozochoceni młodzi mężczyźni, pragnący odetchnąć od pokera. Duchowni byli zaniepokojeni nową modą, która jawnie kłóciła się z biblijnym zapisem: „Nie znajdzie się pośród ciebie nikt, kto by uprawiał zaklęcia, pytał duchów, widma, zwracał się do umarłych. Obrzydliwy jest bowiem dla Pana każdy, kto to czyni". Nabrali jednak wody w usta i milczeli o niej w swoich kazaniach, szczerze się obawiając, by „bawialnego" procederu nie uczynić bardziej tajemniczym, a przez to bardziej kuszącym.

Skoro o tym wspominam, musieliście się domyśleć, że i ja w swoim czasie zainteresowałam się pismem automatycznym, a dokładniej całym ruchem spirytystycznym. Czyniłam to, by zabawić się w długie, zimowe wieczory, które zwykle spędzałam samotnie. Po wtóre, nurtowało mnie pytanie: czy tylko wampiry są jedynymi ziemskimi stworzeniami zdolnymi do nieśmiertelności (okupionej krwią i morderstwami), czy też każdy śmiertelnik nosił w sobie iskrę, która w odpowiednim czasie, na wieczność mogłaby go umieścić przed obliczem Boga? Tak, moja długa egzystencja zachwiała filarami wiary, którą wpojono mi w piętnastowiecznym Konstantynopolu, kiedy jeszcze byłam dzieckiem. Jednak przyszło mi zawędrować w czasy, kiedy wielkie katedry ustępowały miejsca stoczniom, dworcom, a potem stacjom metra. Ale można było w dzień pasjonować się wynalazkami nowoczesnej techniki, a wieczorem wywoływać duchy przy migoczącym blasku świec. Zdecydowanie nie tylko ja, a całe stulecie cierpiało na pewien rodzaj społecznej schizofrenii.

Odłożyłam manuskrypt, w którym opisywałam me losy, i zajęłam się wywoływaniem duchów. Służyły do tego ten sam papier i to samo pióro... Atrament spłynął ze stalówki na białą kartkę. Kleks. Poza tym nic się nie działo. Moja blada dłoń leżała na deseczce, dwa szczupłe palce przytrzymywały obsadkę. Starałam się rozluźnić, uczynić rękę lekką jak piórko i podatną na najmniejszy nacisk Stamtąd. Wyczyścić umysł z szumu myśli pełnych podniet i niepokoju. Mogłam trwać w takim letargu przez wiele minut, aż „długowieczny" atrament wysychał i duch musiałby ryć stalówką dziury w papierze – rzecz jasna, gdyby się pojawił... Jednak i tym razem nie było żadnej manifestacji. Nic nie zostało napisane. Deszczułka nawet nie zadrżała. Dobrze, że odznaczałam się cierpliwością, bo nie raz i nie dwa wrzuciłabym drewno w trzewia nieczynnego kominka (w którym z tej okazji rozpaliłabym ogień).

Wzięłam srebrny kapturek z dębowego stołu, przy którym – odkąd tu przyjechałam – zwykłam pracować, i zgasiłam płomień świecy. W poświacie księżyca zamigotały nieliczne meble, które sprowadziłam do tej opuszczonej kamienicy leżącej przy cmentarzu. Ludzie zwykle krótko pamiętają o swoich najbliższych zmarłych, więc wiedziałam, że nikt nie będzie mnie niepokoił. Podeszłam do okna: na szybę kwiatami z lodu wpełzał mróz. Z ludzkiego przyzwyczajenia, którego nie zdołało wyplenić trzysta lat w ciele wampira, zmrużyłam oczy i wbiłam wzrok przed siebie. Widziałam rozbitą, cmentarną bramę, zrujowany mur, z którego kamienie rozkradziono do dzikich budowli, ponurą kaplicę pogrzebową. Kamienne krzyże tuliły się jeden do drugiego... Zdrętwiał mi koniuszek języka, gorzka ślina wypełniła usta i poczułam pragnienie krwi. Nadeszła pora na polowanie.

Wyszłam z bramy. Kamienny gargulec obserwował moje ślady na skrzypiącym pod butami śniegu. Poczułam się jak wewnątrz popularnej zabawki – szklanej kuli, w której zamknięto porcelanową, alpejską wioskę. Wystarczyło, że dziecko potrząsnęłoby nią, a wszystko kotłowało się od śniegowych płatków. Kiedy przechodziłam obok cichego i opuszczonego cmentarza, jakiś wewnętrzny impuls nakazał mi odwrócić głowę. Równym krokiem zmierzałam do portowej dzielnicy, bo tam najłatwiej było znaleźć znużoną nierządnicę, która za opłatą mitycznego obola podawała mi nadgarstek do pocałunku (nie rozgrzewał może jak dżin, ale przynosił kojące sny), podpitego żebraka, śmierdzącego tak, że kły same cofały mi się w głąb dziąseł czy dziarskiego studenta, smakującego adrenaliną niczym przestraszony zając. Nie gardziłam też marynarzami, choć lękałam się ich, bo jak i ja byli stworzeniami pozbawionymi domu, a u takich nigdy nie wiadomo, co mają wypisane przez Anioła Stróża na sercu. Tamtej zimy zostawiłam za sobą wiele zamarzniętych ciał. Byłam towarzyszką samej siebie, ale to tylko wzmagało frustrację i gniew czające się za węgłem mojego umysłu. Czułam się odrzucona, a moje ciało prosiło o dotyk niekoniecznie kogoś ulepionego z ektoplazmy. Chciałam życia! Chciałam wiosny zamiast zimy! Widoku na oblany światłem świtu i pachnący herbatą port, który dzięki zadymionym szkiełkom mogłam pooglądać przez jakże krótką chwilę. Zdecydowanie dziwaczałam w tym miejscu, które miał błogosławić Bóg, a które obecnie przechodziło inwazję szczurów.

Kształt, który wyłonił się przy końcu pewnej ulicy, wzięłam właśnie za myszkującego pośród szmat szczura. Pomiędzy dwoma prostopadłymi do siebie kamienicami (z czego jedna zamykała prawie prześwit rynsztoka) siedziała mała żebraczka. Mogła mieć nie więcej niż dziesięć lat (gdyby była starsza, zapewne wybrałaby inną profesję, a nie trudniła się sprzedawaniem zapałek), ale męskie, znoszone ubranie przydało jej wieku i zgasiło urodę. Zresztą nic tak jak bieda nie deformuje ludzi na ciele i duchu. Zastanawiałam się, czy dziewczynka może mieć gruźlicę?

– Masz tytoń? – spytałam.

– Nie, nie wolno mi. Sprzedaję tylko zapałki – powiedziała sennym głosem.

– Z jednym i drugim byłoby ci łatwiej.

Wzruszyła ramionami.

– Jak masz na imię?

– Rozalia.

Wzięłam Rozalię w swe przyjazne ramiona i uwolniłam ją raz na zawsze od głodu i chłodu. Pomyślałam sobie, że może ona – skoro zgładziłam ją tak okrutnie – będzie pierwszym duchem, który napisze do mnie z zaświatów list (może pełen gróźb i pretensji?), ale potem uświadomiłam sobie, że mała najprawdopodobniej była analfabetką. Poczułam do samej siebie niesmak. Byłam potworem.

Hydesville, 1848 rok

Cisza. Ciemność. Dokuczliwy chłód obudził Kate. Dziewczynka przetarła oczy i dostrzegła w nikłym świetle nowiu, że jej siostra Margaret ściągnęła wspólny koc na swoją część łóżka i opatuliła się aż po odstające uszy. Sterczały tylko blade palce stóp, drgające teraz spazmatycznie, jakby śpiącej śnił się bieg po łąkach. Kate pociągnęła za sterczący róg koca, raz i drugi. Wszystko na próżno. Margaret, starsza od Kate o dwa lata, była dość duża jak na ośmioletnią dziewczynkę. Wdała się w matkę, gruboKościstą córkę farmera. Co innego ojciec – chłop drobny jak

szczaw wiosną. Mała westchnęła i ze zdumieniem popatrzyła na parę wydobywającą się z ust i nozdrzy. Jak mogło zrobić się aż tak zimno? Przecież była pełnia lata! Zadrżała. Przedramiona i łydki wystające spod sztywno krochmalonej koszuli nocnej pokryły się gęsią skórką. Dziewczynkę przeszedł silny dreszcz i poczuła strach. Coś zaszumiało – nie drzewa za oknem, tylko coś tuż obok, w kącie pokoju! Najchętniej schowałaby się cała pod kocem, jednak nie było to możliwe. Nagle stopy Margaret podskoczyły spazmatycznie, a potem znieruchomiały. Rozsunęły się na boki jak u nieboszczyka. Coś lub ktoś zatrzymał dziewczynkę w jej sennym biegu.

– Margaret?

Żadnej odpowiedzi.

Potem ciche stukanie, drapanie po framudze drzwi.

Mała Katty poczuła nagłą suchość w ustach. Język zdrętwiał jak kołek. Skreśliła w powietrzu znak krzyża. Stukanie powtórzyło się.

– Czy ktoś tu jest?

STUK-STUK.

Pisnęła jak zraniony ptak. Cofnęła się, gwałtownie uderzając głową o nisko zawieszoną półkę, na której stała rodzinna Biblia. Księga łagodnie przewróciła się na bok, przez moment balansowała na krawędzi półki, w końcu zsunęła się uderzając dziecko w brzuch. Upadła otwarta. Gdyby mała potrafiła czytać i miała lepszy wzrok, w półmroku dostrzegłaby słowa: „umarli nic nie wiedzą, ich myśli zginęły, nie mają żadnego udziału w czymkolwiek, co dzieje się pod słońcem, nieznane im są ani radości, ani smutki tych, którzy byli dla nich najdroższymi na ziemi."

Nagle Margaret odrzuciła koc z twarzy. Uśmiechała się złośliwie:

– Katty! Przestraszyłaś się kiciu? To przecież tylko ja... – Margaret w osobliwy sposób zaczęła strzelać dużym palcem u nogi pocierając go o jego sąsiada. Stopy miała zniekształcone od urodzenia nie tylko płaskostopiem – jej palce często wypadały ze stawów.

– Jesteś wstrętna! Oddawaj koc! – Kate zaczęła ją boksować piąstkami. – Powiem wszystko tacie.

– Już dobrze, dobrze! Uspokój się! Dam ci jutro swoją część miodu, a teraz się przytul...

Margaret zdając sobie sprawę, że może przeholować, pocałowała siostrę w czoło i otuliła ją kocem.

– Weź Pana Karolka, jeśli chcesz – powiedziała podtykając jej pod nos wytartego pluszowego misia z oberwanym uchem. Wprawiono mu oczy z matowych, źle wytopionych guzików.

Kate zawahała się przez chwilę, zadrżała.

– Nie teraz. Nie mogę. – Dziewczynka goniona nagłą potrzebą zsunęła stopy na podłogę.

Starała się iść cicho, by nie obudzić śpiących w pokoju obok rodziców. Margaret ziewnęła i przeciągnęła się; znów słychać było jak strzelają jej kości.

– Tylko żeby cię nie zjadł Król Płątonogi!

Mała odwróciła się i pokazała jej język, choć w panującym półmroku było widać tylko trójkątny kształt jasnej koszuli. Dziewczynka wyszła nie zamykając za sobą drzwi. Przemknęła wyciszonym korytarzem w kierunku wyjścia. Przesunęła prymitywny zamek, trzasnęła zapadka. Wyszła w noc. Skręciła, zrobiła kilka kroków, następnie przykucnęła i zadarła koszulę. Nasikała tuż pod kuchennym oknem. Czuła pierwszą woń rosy.

Gdzieś daleko odezwał się ptak.

Wytarła ubłocone nogi w szmatę leżącą przy progu i wtedy znowu usłyszała ten szum. Teraz skłonna była przypuszczać, że wydaje go suknia przesuwająca się po mokrej trawie...

Trzask!

Zakryła usta, by nie krzyknąć „Margaret!" i pobiegła.

Stanęła w pokoju. Margaret spała w najlepsze. Na Kitty czekała zaścielona połówka łóżka, pilnowana przez Pana Karolka... I nagle dziewczynka zorientowała się, że drzwi od szafy są uchylone i wygląda z nich mrok.

– Król Płątonogi!

Odrzwia szafy trzasnęły zamykając się, a za moment z głuchym skrzypieniem poczęły się otwierać. Znowu się zamknęły i znów otworzyły... Ktoś lub coś zapraszało dziecko do środka. Ktoś lub coś stukało rytmicznie pomiędzy koszulami, sukienkami, ślubną suknią matki.

„Kate'y-Kitty, miau miau miau"

Pociągnęła za rzeźbioną gałkę mebla i zakrztusiła się zapachem lawendy odstraszającej mole. Później weszła w mrok, który otulił ją niczym wilgotny koc i przyjął jak przyjaciółkę.

Boston, 1887 rok

Wampirzyca Irena: Do Bostonu przybyłam będąc w żałobie po Emily Dickinson, ale to nie ducha mojej lubej przyjaciółki pragnęłam wywołać. Jej śmierć uwolniła mnie od „ludzkich" zobowiązań – jedynej mojej przyjaźni. Tak skutecznie, że na powrót odezwał się we mnie zew wędrówki. Nie chciałam jeszcze opuszczać Stanów. Przynajmniej nie do chwili, kiedy po raz wtóry rozsmakuję się w życiu w pojedynkę, a poprawa pogody sprawi, iż drogi będą przyjaźniejsze dla dyliżansów. Myślę, że cierpiałam na lekką melancholię. Skończyły się czasy hucznych zabaw. Niezauważenie dla mnie, która wybrałam odosobnienie w Amherst, świat skrył się pod szarym, wiktoriańskim woalem. Skoro nikt już nie śpiewał, a kuglarze przestali przemierzać ulice, musiałam rozproszyć smutki za pomocą fantazji oraz lektury. To było stulecie, w którym szerokie masy po raz pierwszy doceniły istnienie książek. Antykwariaty oraz biblioteki powstawały niczym grzyby po deszczu. Tych drugich z premedytacją unikałam, bo byłam pewna, że nie zwalczę pokusy przywłaszczenia co bardziej interesujących woluminów. Na szczęście nie musiałam już cierpieć ubóstwa, gdyż z pomocą pośredników zaangażowałam się w obrót wekslami i mogłam za swoje literackie fanaberie płacić brzęczącą monetą.

Wieczorami często wychodziłam na osobliwe książkowe „łowy". Szczególnie upodobałam sobie jeden z antykwariatów, zwany naukowym. W parterowym pomieszczeniu pachnącym kurzem i terpentyną ciemne regały pełne pism wznosiły się od podłogi aż do sufitu. Półki oklejone były informacyjnymi napisami wykaligrafowanymi na zgrabnych tekturkach: Botanika, Historia Sztuki, Retoryka, Gospodarka, Matematyka, Alchemia itp. W ten sposób posegregowano całą dostępną owej zimy w Bostonie wiedzę. Pewnego dnia weszłam do tego przybytku tak, jak to miałam w zwyczaju: zabrzmiał dzwonek przy poruszonych drzwiach, a starzec antykwariusz, który rzecz jasna znał mnie już dobrze z widzenia, skinął głową na powitanie. Otrzepałam buty ze śniegu. Choć moja twarz przy zmianie temperatury nie oblewała się rumieńcem, to z przyjemnością odnotowałam obecność żelaznej „kozy", której trzewia rozgrzane były do czerwoności. Pociągnęłam nosem – antykwariusz palił sprowadzane sobie tylko znanymi kanałami kadzidełka o zapachu fałszywego opium oraz mirry. Niegroźny to był nałóg w porównaniu z nadużywaniem chloralu, o co go intuicyjnie podejrzewałam. Oprócz nas w środku była jeszcze jedna osoba – brzuchaty klient, który tuszę próbował zamaskować doskonale skrojonym, choć nieco staroświeckim ubraniem. Spoglądał na mnie potępiającym wzrokiem zza zsuwających się uporczywie z nosa okularów. Dla niego byłam młodą, niezamężną kobietą, która ośmieliła się wyjść na przechadzkę bez przyzwoitki. Uśmiechnęłam się widząc, co przegląda. A był to album przedstawiający dokładne rysunki antycznych rzeźb – pełen nagich nimf i rozochoconych bogiń. Zobaczył moje spojrzenie i zaczerwienił się. Nie zwracając na to uwagi podeszłam do



regału „Biografie" i jakby od niechcenia przekartkowałam historię cesarzowej Bizancjum – Teodory. Kobiety, której oszałamiająca uroda oraz idący z nią w parze spryt pozwoliły na opuszczenie nędznych komnat przynależnych córce niedźwiednika i omotanie, a wręcz całkowite uwiedzenie cesarza Justyniana, za którego koniec końców się wydała.

Zamknęłam książkę, gdyż zatęskniłam za domem. Powędrowałam tam gdzie zwykle, do mrocznego kąta antykwariatu pod hasłem „Spirytyzm". Wspięłam się na palce by dosięgnąć monograficznego opracowania Allana Kardeca; z tego co było mi już wiadomo, czołowego autorytetu w tej dziedzinie. Zdmuchnęłam z tomu kurz, który jest wszędzie tam gdzie książki – nawet te najbardziej kochane i najczęściej pieszczone. Zagłębiłam się w lekturze.

„Duch jest istnością inteligentną; jego natura wewnętrzna jest nam nieznana; dla nas jest niematerialny. Duchy są istotami indywidualnymi; posiadają osłonę eteryczną, nieważką, nazywaną perispritem, rodzaj ciała fluidycznego o formie ludzkiej. Skoro osłona zewnętrzna zużyje się i nie może spełniać dłużej swych funkcji, odpada – a duch wyzwala się z niej jak owoc z łupiny. Śmierć nie jest niczym innym jak zniszczeniem grubej powłoki ducha; ciało umiera, duch nie umiera".

Nagle poczułam na swoim łokciu uścisk palców antykwariusza. Uścisk zaskakująco silny i precyzyjny jak na mężczyznę w jego wieku. Spojrzałam pytająco, ale twarz miał nieprzeniknioną.

– Proszę za mną. Mam coś, co panią zainteresuje – powiedział.

Zaintrygowana odłożyłam tom i poszłam za nim na zaplecze.

Grubas zniknął i zostaliśmy w antykwariacie sami. Spodziewałam się znaleźć w dusznej i zadymionej kanciapie, a wprowadzono mnie do elegancko umeblowanego i świeżo wysprzątanego pokoju. Jedynym odstępstwem od pedantycznej normy były turecka otomana oraz hebanowy sekretarzyk. To właśnie z szuflad owego mebla starzec wydobył skórzany album na zdjęcia oraz orzechowe pudełko do przechowywania szklanych negatywów. Zaprosił mnie swobodnym gestem, bym usiadła na otomanie, a sam zaczął wykładać swe skarby na towarzyszący jej niski, okrągły stolik.

– Interesują panią duchy? – Zapytał wyraźnie pro forma.

Poczułam, że szpilka przytrzymująca na swoim miejscu kapelusz poluzowała się i kłuje mnie w potylicę. Najwyraźniej za ciasno też zapięłam na nadgarstkach rękawiczki z koziej skórki...

– Interesuje mnie śmierć.

– *„O, gdybyż było to możliwe*
Ujrzeć na krótką chwilę
Dusze kochanych, aby rzekły,
Gdzie i czym są, choć tyle!" – zacytował fragment „Maud" Alfreda Tennyson'a i z wdziękiem prestigidatora rozłożył okładki albumu.

To były fotografie martwych. Album zawierał portrety bladych dzieci, które zmarły z powodu epidemii kokluszu w Meksyku. Obrazy pól bitewnych w chwili, kiedy dym z muszkietów jeszcze nie zdążył się rozwiać. Krwawe pocztówki z afrykańskiego safari, gdzie ciało lwa leżało na lwie i na następnym, i na następnym – aż trudno było uwierzyć, że jakiś przedstawiciel tego gatunku umknął zagładzie „strzelającego kija".

Przymknęłam powieki.



– Niektórym to nie wystarcza.

Kolejne fotografie budziły jeszcze większy niepokój. Oto portret „zatrzymanego" w miejscu pogrzebowego konduktu, któremu niewidzialnie dla żałobników towarzyszył duch zmarłego – co ciekawe, o mniej mglistej postaci niż cała reszta. Dalej był upiorny ptak „bijący" skrzydłami nad głową medium. Uchwycona w obiektyw-duchołapkę biała dama, rzucająca przekleństwa na blankach zamku, leżącego gdzieś we Wschodniej Europie. Były też niezliczone zastępy zjaw nad wirującymi stolikami. Upiorne niemowlę uśmiechające się zza woskowej twarzy zesztywniałego już na dobre ciałka. Martwa kobieta pieszcząca ektoplazmatycznymi ramionami nic niepodejrzewającego kochanka.

– Skąd...?

– Och, większość z nich to fałszerstwa. Fotomontaże wykonane przez szajkę zdolnego i pozbawionego skrupułów Bostończyka, niejakiego Williama Mummlera. Nie wszystkie jednak. Te fotografie powstałe po sześćdziesiątych latach dziewiętnastego wieku, kiedy to Mummlerowi się zmarło, są autentyczne.

– Chce pan powiedzieć...

– Że są to manifestacje duchów. Nie jestem pewien, czy chodzi tu o jakąś szczególną wrażliwość jodku srebra, którym okrywano negatywowe podłoże... W każdym razie bardziej podejrzewam nieświadomą część umysłu fotografa, która przejmuje wiadomość zza grobu, a potem rzutuje swe wizje na negatyw.

– Mówi pan o mediach?

– Nie. Ludzie mający świadomy kontakt z zaświatami oczywiście istnieją. Ja sądzę jednak, że duchy odwiedzają każdego z nas, czy w to wierzymy, czy nie. Nazywam tę zdolność empatii – szóstym zmysłem.

– Nie mam nic takiego! – Wczorajsza krew podeszła mi do gardła. Uderzyłam kolanem w blat stolika, z którego zsunął się nieobejrzany jeszcze dagotyp.

– Jak to? Wydawało mi się, że to właśnie tę swoją część próbuje pani przebudzić. Że z kimś próbuje się pani skontaktować.

– Pan mnie nie rozumie... – Na dagotypie widniały dwie dziewczynki, osobliwie sportretowane w krochmalonych, panieńskich koszulach. Wzrok dzieci zdawał się przenikać daleko, poza ramy zdjęcia; poza tym nie różniły się niczym od swoich przeciętnych rówieśnic. Ot, dwójka zwyczajnych, szarookich córek jakiegoś farmera, których dziadkowie przybyli tu z Niemiec albo Irlandii.

– Też są martwe?

– Siostry Fox... Ta mniejsza, Kate, już nie żyje... Swego czasu uchodziły za dwa najpotężniejsze media w Stanach. Dopóki tej starszej nie przyłapano na oszustwie: miała preparować odpowiedzi ducha strzelając z palców u stóp. Osobliwe, a i był z tego duży skandal.

– A młodsza? W jaki sposób umarła?

– Banalnie. Wylew krwi do mózgu. Wielka szkoda, ale jeszcze gorzej, gdyby odeszła Margaret. Zawsze była zdolniejsza. Nawet w dzieciństwie przerastała siostrę talentem. Osobliwie musi się czuć dzisiaj, od tylu lat zanurzona w czymś, co przypomina ożywiony koszmar senny. W końcu to już stara kobieta.

– Ma pan jakąś kopię tego dagotypu?

– Gazetową rycinę, datowaną na 1848 rok. Miasteczko Hydesville.

W powrotnej drodze do gniazda posiliłam się jakimś zagubionym w Bostonie emigrantem. Chusteczką zamoczoną w wodzie różanej zmyłam zaschniętą na ustach krew. Miałam jeszcze kawałek nocy do strawienia na jałowych rozmyślaniach. Rycinę od antykwariusza rzuciłam na stół, tuż obok deszczułki do automatycznego pisania – może ta obecność wizerunku mediów „uświęci" ją i uczyni z niej wreszcie przedmiot do prowadzenia rozmów z Tamtą stroną. Myślałam o tym bez większych nadziei, gdyż dopadło mnie zimowe znużenie. W moich żyłach kotłowały się ludzkie przeziębienia i pałeczki suchot, które bez problemu zwalczy wampirze jądro mocy. Gorzej poradzić sobie ze smutkiem..

Wywiesiłam płaszcz za okno, by się wywietrzył. Przez nieszczelną framugę musiał wpaść wiatr, bo trącone przeciągiem drzwi szafy otworzyły się z głuchym skrzypieniem, przyprawiającym o zimny dreszcz.

– „Ktoś właśnie przeszedł po moim grobie" – powiedziałam dla odepchnięcia uroku i pokręciłam głową. Och, Irenko, Irenko.

Paryż, 1887

Świeca płonęła, nadając włosom pochylonego nad kartką mężczyzny odcień ognia. Spod stalówki wychodziły duże, kanciaste litery – zupełnie jakby pisało dziecko. Tekst był pełen ortograficznych błędów. Obok biurka, przy którym pracował, postawiono niewielkie akwarium. Drzemały w nim dwa jadowite węże. Nagle jeden przebudził się i ukąsił swojego towarzysza. Drugi gad nawet nie zareagował – były wzajemnie uodpornione na swój jad, a bólu w ogóle nie potrafiły odczuwać. Mężczyzna wciąż pisał.

Hydesville, 1848 rok

Noc. Niebo jasne od blasku gwiazd.

– WSTYDŹ SIĘ! ZA KŁAMSTWO PÓJDZIESZ DO PIEKŁA!

– Nie kłamię – zachlipała Kate. – On tam jest, naprawdę, słyszałam go.

Wybudzone ze snu dziewczynki stały przed uchylonymi drzwiami szafy.

– Bredzisz - naciskała Margaret. – Jesteś małą kłamczuchą, która za wszelką cenę chce na siebie zwrócić uwagę.

– Nigdy bym nie śmiała. Ja... Och, Maggie, proszę... – Ukryła twarz w dłoniach, gestem podpatrzonym u starszych – Błagam.

– Udowodnij!

– Nie czujesz, jak tu zimno?! Nie słyszałaś stukania? Szelestu, który wchodzi w sen?

– Nie ty to mówisz, Katty – siostra przygryzła cienkie usta. – To mówi za ciebie Król Kłamstwa. Szatan.

– Maggie... Wejdź ze mną do szafy... – Kate złapała Margaret za rąbek koszuli nocnej.

Koronka odpruła się z trzaskiem, jakby rwano gruby papier, ale Maggie nawet tego nie zauważyła. Stała zatopiona w myślach i pierwszych lękach. Bała się duchów. I bała się, że oto nie ona została wybrana. Bała się wołania szafy, wołania, które pożarło jej siostrę.

– Przysięgnij! – Margaret wspięła się na chybotliwe krzesło i sięgnęła po prosty, drewniany krzyż wiszący na ścianie. Do deszczułek przybito srebrną postać umęczonego mężczyzny, ubranego tylko w przepaskę biodrową. – Przysięgnij na mękę Naszego Pana Jezusa Chrystusa, że mówisz prawdę! Że ktoś żyje w naszej szafie.

– Margaret, nie pamiętasz zajęć w szkółce niedzielnej? Nie wolno nam przysięgać... To grzech wzywać...

Drzwi od szafy otworzyły się ze złowieszczym spokojem; ciemność w środku zdawała się nieprzenikniona. Jednak zapach szafy się zmienił – to nie była już woń lawendy i kulek na mole, tylko intensywny zapach lukru i rozgrzanego karmelu. I pomarańczy. Margaret mocniej ścisnęła krucyfiks.

– Przy...

– Przysięgam na mękę naszego Pana Jezusa Chrystusa i swoje życie wieczne. Amen.

Z szafy – tuż przy podłodze – zaczęła wypełzać mgła. Drewniany parkiet błyskawicznie pokrył się leciutkim szronem. Margaret wypuściła z ręki krzyż, który wbił się jednym z ramion w przerwę pomiędzy klepkami. Twarz Kate zalśniła obcym, księżycowym światłem.

– Nie bój się Maggie. On nie chce nam zrobić krzywdy. On potrzebuje pomocy.

– To mężczyzna?...

– Tak. Duch mężczyzny.

Rozległo się wściekłe stukanie. Bum-bum! Bum-bum-bum! Bum!

– Rodzice... Obudzą się.

– Nie...

Na poduszce leżał Pan Karolek. Łóżko stało vis-a-vis szafy. Lewe ucho misia odgryzła sama Kate – oczywiście gdy była naprawdę malutka. Nadal jednak sypiała z maskotką, przytulała ją do twarzy, mówiła do niej. Margaret straciła przez Pana Karolka ząb. Chciała zrobić siostrze na złość i wgryzła się misiowi w brzuszek. Trocinopodobne wnętrzności okazały się wyjątkowo twarde i obruszony mleczak skapitulował.

– Katty... Kate, patrz!

Pan Karolek poruszył się. Najpierw nieznacznie, jakby wiercąc się przez sen. Potem już bardziej zdecydowanie wstał, niezgrabnie okręcił się wokół własnej osi... Opadł i z głową wyciągniętą do przodu zaczął czołgać się w kierunku otwartej szafy. Sunął po kocu, spadł na podłogę i zgarniając leżące pod łóżkiem koty kurzu pełzł wytrwale do celu.

– Kate! Musimy... Łapmy go!

Pan Karolek wyrwał się dziewczynkom z jakąś nonszalancką łatwością i pomknął w karmelowy zapach, w ciemność.

„Nie widzę sukni mamy".

„To nie nasza szafa".

– Wszystko przez ciebie Margaret! Nie chciałaś uwierzyć i zezłościłaś go! Wściekł się, że nie chcemy mu pomóc! – Kate rozpłakała się. Teraz była tylko tylko znużoną i niewyspaną sześciolatką.

– Nie płacz. Przyniosę ci go... Panie Karolku? – Zawołała Margaret. Poderwała się w nagłym przypływie odwagi i – ostrożniej już – zbliżyła się do szafy. – Wierzę w ciebie duchu! Wierzę w ciebie! Oddaj, proszę, misia.

W szafie zaszemrało i westchnęło.

– Maggy...

– Odda ci go, zobaczysz!

– Nie! Kłamiesz, jak zwykle...

Szafa zaczęła kolebać się na wszystkich czterech nogach. Z boku na bok, coraz intensywniej.– wydawało się, że mebel ożył i za chwilę stanie dęba. Oba skrzydła drzwi z piskiem rozwarły się na całą szerokość: ze środka buchnęło ścinającym chłodem, a niewidzialna siła pochwyciła Margaret i jak po linie zaczęła wciągać ją do środka.

– Katty!!!

Kate ani drgnęła.

Dłubała w nosie, kiedy szafa połknęła siostrę.

– Teraz mi uwierzysz, że mówię prawdę.

Boston, 1887 rok

WAMPIRZYCA IRENA: Czułam strach. Czułam się obserwowana. Moje gniazdo nie było tak bezpieczne jak przypuszczałam, a sąsiadujący z domem cmentarz wydawał się jeszcze bardziej opuszczony. Częściej stawałam w ciemnym oknie i patrzyłam na śnieg. Przed świętami przyszedł tak silny mróz, że musiałam grzać nad świecą monetę i przykładać ją do szyby, by stopiła lodowy ogród. Zaglądałam w mały otworek oczyszczonego szkła i gapiłam się, szukając tego, co może mi się jeszcze przydarzyć... Chłód i melancholia zawładnęły mną na tyle mocno, że przez parę dni z rzędu nie wychodziłam na łowy. Schudłam i zmarniałam, a cerę miałam jak papier zabrudzony fabrycznym pyłem.

Wbrew rozsądkowi, przy okazji bardzo silnego napadu przygnębienia (kiedy zdawało mi się, że ściany mojego lokum ożyły i chciały mnie zgnieść pomiędzy ceglanymi ciałami), w panice wybiegłam na dwór. Skierowałam się na cmentarz dlatego, że był najbliżej i zwiodła mnie po raz ostatni panująca na nim cisza. Minęłam rozbitą bramę i weszłam w przysypane śniegiem alejki. Śnieżyca ustała, choć wciąż było bardzo zimno i raptem zorientowałam się, że całkiem niedawno ktoś tędy przechodził. Podpierał się laską, co wydawało się dziwne – jaki kaleka wybiera się w taką lodowatą noc na wędrówki? Myśl, że mógł być to złodziej – kulejąca hiena cmentarna – wydała mi się nawet zabawna. Po chwili skłoniłam się ku przypuszczeniu, że miejsce to być może odwiedza paser. Nie potrzebowałam wiele czasu, by dostrzec, że niektóre grobowce otworzono. Nie po to bynajmniej, aby zabrać zbutwiałe odzienie nieboszczyków, ale dlatego, że były najlepszym miejscem do ukrycia kosztownego łupu; przynajmniej do czasu, aż pierwsza wrzawa po rozboju ucichnie i kosztowności uda się upłynnić bez zbytniego ryzyka. Dlaczego przez myśl mi nie przeszło, że za „sąsiada" mogę mieć eleganckiego dżentelmena, który podpiera się okutą laską tylko dla dodania sobie fasonu, gdyż nie zbywa mu na sile? Nieważne – wówczas byłam przekonana, że w razie nagłego spotkania ze starcem-paserem i jego ewentualnymi kamratami bez trudu sobie poradzę.

Tamtego wieczoru, w kaplicy pogrzebowej znalazłam srebrny zegarek. Nie był nawet specjalnie ukryty – może nie posiadał żadnej wartości, a może go zwyczajnie przeoczono? Nakręciłam mechanizm zgrabiałymi z mrozu rękami, gdyż pragnęłam usłyszeć jego tykanie. Okazało się, że ciężki czasomierz bez wysiłku wypełnia swoim tik-tak cały mój pokój. Miałam towarzysza! Zegarek zamiast śpiewającego kanarka! Jego koperta była grawerowana w kwiaty. Na tarczy można było dostrzec napis: Paris oraz postać jelenia nawołującego wybrankę. Nad tym wszystkim, z mozolną cierpliwością poruszały się wskazówki cienkie jak nici... Kładłam zegarmistrzowski mechanizm na brzuchu, ponad nagim pępkiem i trwałam tak, nieruchoma, przez wiele minut. Potem upewniałam się dotykiem, że srebrna koperta pozostała lodowata, bo i lodowate było moje ciało.

Pragnęłam przebaczenia... Poszukując go udałam się do bostońskiej sali widowiskowej, gdzie w karnawale miało występować medium – nieznany mi z nazwiska mężczyzna. Nieznany pozostał, bo cały ten upiorny spektakl okazał się żałosnym oszustwem. Oprócz mnie na widowni zgromadziło się blisko dwustu nieboraków, którzy mieli zostać zrobieni w balona. Medium, bez jakiegokolwiek przygotowania, już w trzeciej minucie tego karygodnego występu wpadło w trans. Objawiło to toczeniem ogromnej ilości spienionej śliny z ust (jakby mężczyzna za kulisami najadł się mydła) i wybijaniem butami okrutnej werbatury o nieszczęsne deski sceny. Dobrze, że nie były spróchniałe! Tuż obok krzesła medium ustawiono kabinę zrobioną z grubego płótna. Kabina nie miała dna ani sufitu, za to na jedną z jej bocznych ścianek nałożono zasłonę. Całość przypominała współczesne przymierzalnie. Nie musieliśmy długo czekać, by z tego metafizycznego wehikułu objawiła się postać z zaświatów! Była to z całą pewnością dziewczyna – zdradziły ją małe, brudne stopy wystające spod całunu, którym spowita była od kostek, aż po czubek głowy. „Widmo" jęczało połpieńczo, a pewnikiem również i podniecająco dla co poniektórych panów zgromadzonych na widowni.

– Jestem przewodnikiem duchowym tego oto śmiertelnika – powiedziała zjawa, chyląc się ku medium niczym łodyga na wietrze. – Przybyłam na jego gorącą prośbę, by użyć waszej niepewności. Proszę o pytania!

W tym czasie za sceną jakiś techniczny pomocnik tej pary wygenerował odgłos grzmotu, a za moment po podłodze zaczęła snuć się mgła. Miałam już dość tej oszukańczej kpiny, choć dostrzegłam, że parę osób bawiło się naprawdę przednio, nawet lepiej niż na karnawałowym balu maskowym.

– Czy wiesz gdzie jest moja siostra? – Zadała pytanie starsza kobieta siedząca parę rzędów za mną. Zaciekawiona spojrzałam na nią. Miała jasne oczy, które nawet w tym wieku były najbardziej przykuwającym elementem jej twarzy.

– Twoja siostra raduje się teraz oglądając oblicze Boga.

– Którego boga?

– Słyszę ją... Chce z tobą porozmawiać... Nie! Boi się! Wystraszyłaś ją swoją niewiarą! – Zapiszczało fałszywe widmo.

– Proszę... – powiedziała kobieta. – Spytaj ją o Pana Karolka...

– O zabawkę? Czy twoja siostra zgubiła zabawkę?

Cisza.

– Ta zabawka... Ona jest... W szafie. W SZAFIE!!!

I wtedy „zjawa" padła jak ścięta, rażona atakiem epilepsji. „Medium", które od początku uważałam za agenta tej sprytnej aktoreczki, przestało toczyć ślinę i rzuciło się do zemdlonej, pokrzykując przy tym trzeźwo i gromko:

– Kurtyna! Kurtyna!

Sprawczyni całego zamieszania zdołała w tym czasie opuścić salę i wejść do holu. Dogoniłam ją. Chciałam do niej podejść, ale powstrzymało mnie stalowe spojrzenie. Odczytałam z jej warg zdanie:

– To są dopiero oszuści.

Pokład „Sofie-Marie" zmierzającej do Bostonu, 1887 rok

Nie miał już choroby morskiej. Przyzwyczaił się do kołysania. Zresztą wkrótce mieli wejść do portu... Bez dodatkowej pomocy nigdy by tu nie trafił.

I zdumiewało go, że pomoc przyszła akurat z takiego źródła. Dni wampirzycy były policzone. Odnalezienie niedoszłej cesarzowej Konstantynopola było jego pierwszym wyzwaniem – musiał mieć talent, skoro powierzono mu zadanie tak ważne! Był ponurym, rudowłosym mężczyzną – obcy i potwory nazywali takich jak on Łowcami. Jednak sami Łowcy woleli określać się mianem Prokuratorów, choć w rzeczywistości brali na siebie role i sędziów, i katów. Jako znak swej odpowiedzialnej profesji mężczyzna nosił pierścień – splecione ze sobą dwa srebrzyste węże, zwrócone głowami w górę i w dół. Żaden nie połykał ogona. Prokuratorzy nie pochwalali nieśmiertelności, tylko sprawiedliwość.

„Do jakiegokolwiek wejdę domu, wejdę dla pożytku sprawiedliwości, nie po to, żeby świadomie wyrządzać krzywdę lub szkodzić w inny sposób, wolny od pożądań zmysłowych tak wobec niewiast jak i mężczyzn, wobec wolnych i niewolników. Cokolwiek bym wtedy ujrzał czy usłyszał, czego dla do-

bra równowagi świata na zewnątrz nie należy rozgłaszać, będę milczał, zachowując to w tajemnicy. Jeśli dochowam tej przysięgi i nie złamię jej, obym osiągnął pomyślność w pełnieniu mej sztuki; jeśli ją przekroczę i złamię, niech mnie los przeciwny dotknie".

Był młody i trochę nadgorliwy. Wiedział o tym. Mógł sobie na to pozwolić. Chciał dojść do najwyższych zaszczytów, co nawet w innych Prokuratorach nie budziło sympatii. Więc gardził nimi. Jego czas nadchodził.

Ktoś zastukał do drzwi kajuty.

– Monsieur Février, widać już ląd! Prosił pan, by zawołać... – usłyszał głos stewarda.

– Już idę. Idę. – Zacisnął szczęki. Był podniecony. – Boston. Twój cudny Boston o złotych kopułach, Ireno... – wyszeptał.

Wstał z koi i sięgnął po laskę; ludzie zwykle myśleli, że nosił ją z tych samych powodów co inni dżentelmeni tej epoki – by dodać sobie powagi. W rzeczywistości jednak kuśtykał bez niej jak przetrącony wróbel. W dzieciństwie przechodził paraliż dziecięcy. No i spojrzał w twarz śmierci...

Dzisiaj czuł morską sól na języku. Smakowała mu.

Hydesville, 1848 rok

A – bel, B – aldwin, C – aesar, D – amocles, E – dgar, F – elix, G – abriel, H – arriet, I – gnatius, J – ack, K – ate, L – aurence, M – abel, N – an, O – edipus, P – atrick, R – alph, S – am, T – ed, U – lysses, V – alentine, W – alter, X – avier, Z – eno.

– Nie! Nie tak! – Skarciła ją Kate. – Podawaj same litery. Wtedy Pan Karolek się nie pomyli. Będzie stukał przy odpowiedniej literze i za pomocą tego kodu opowie nam swoją historię.

– Kathy, czy on powie nam kim jest? Tak n a p r a w d ę ?

– Jeszcze się nie domyślasz, Maggie? – Katty zmarszczyła czoło, a jej jasne brwi znalazły się w jednej linii. Zagniewana nie wyglądała na małą dziewczynkę. Była prawie kimś dorosłym – Głupia jesteś!

Margaret poczuła, że jej dzienna sukienka klei się od potu.

– Myślałam, że można go spotkać tylko nocą.

– On jest zawsze. Dalej: mów... Kim pan jest, Panie Karolku?

– Błagam, Kate... Ja nie znam samego alfabetu. Tylko te imiona. Tak mnie nauczyli w szkole.

– Powtarzaj za mną: a, b, c...

Przy „c" usłyszały głuchy stukot; oczywiście dochodził z szafy.

– ...d, e, f, g, h...

To samo powtórzyło się przy „h".

– ...i, j, k, l, m, n, o, p, r, s, t, u, v, w, x, z.

Drzwi skrzypnęły i w progu stanęła zaaferowana pani Fox. Podsłuchiwała, i wcale nie czuła z tego powodu wstydu.

Porwała Kate w ramiona:

– Moje maleństwo, moja rodzynka, jak szybko się uczy. Taka jestem z ciebie dumna.

– Mamusiu, czy ty umiesz pisać? – Zapytała rezolutnie mała. – Czy potrafisz zapisać litery w kolejności, w której on będzie dyktował?

– Kto Katty?

– No wiesz, zapisać te słowa, co są odpowiedziami.

Margaret poruszyła się niespokojnie. Klęczała na podłodze. Podniosła głowę ku matce i siostrze. Kate niewinnie machała bosymi nożynami.

– Mamo – powiedziała Margaret – mamy ci coś do powiedzenia o domu.

I o mroku.

Boston, 1887 rok

WAMPIRZYCA IRENA: Zdobyłam chloral. Musiałam, jeśli nie chciałam raz na zawsze pogrążyć się w odmętach paranoi. Nie, nie ukradłam go antykwariuszowi. Był mężczyzną przenikliwym, a ja chciałam pozostać z nim w dobrych stosunkach. Kto wie, jaką szykował jeszcze dla mnie niespodziankę? Poszłam na potańcówkę z młodym doktorkiem, który praktykował w szpitalu miejskim. Następnego wieczora dałam się zaprosić do tej poważniej, medycznej instytucji, gdzie doktor miał nocny dyżur. Wypiłam mu nieco krwi – po „zabiegu" wyglądał, jakby znużony tylko się zdrzemnął. Następnie wyjęłam z kieszeni jego kamizelki interesujący mnie klucz i nie czyniąc zbędnego szelestu otworzyłam szafkę z lekarstwami stosowanymi w raczkującej jeszcze anestezjologii. Poczęstowałam się tym, czym potrzebowałam się poczęstować. Nie byłam z siebie dumna. Traciłam zmysły i chciałam przeczekać feralny dla mnie okres na „haju". Okazało się, że popełniłam najgorszy z możliwych błędów... Sama zaprzedałam się temu, co musiało nadejść.

Wkrótce leżałam w dziwacznym letargu, który znają pacjenci złożeni pooperacyjnym wyczerpaniem oraz bólem. Ja czułam ból! Moja dusza... Moja biedna dusza implodowała! Łóżko postawione było naprzeciwko szafy; ta była zaś lekko uchylona. Raptem jej drzwi otworzyły się niczym usta do szyderczego śmiechu. W tej upiornej atmosferze, na którą bądź co bądź powinnam być odporna (a nie byłam – może po chloralu?) zobaczyłam, że moja szafa jest zamieszkana. Podniosłam się i podeszłam do niej, biorąc po drodze srebrny zegarek ze stołu. Mimowolnie patrzyłam na rycinę... Tik-tik-tik. W szafie stała martwa dziewczynka. Jej wykrochmalona koszulka nocna wyraźnie odcinała się od pachnącego lawendą wnętrza.

– Jak się masz, malutka? – spytałam.

Milczała.

– Nie jest ci zimno? Nie nudzisz się? Nie chcesz się pobawić? – Mój umysł tonął w cukrowej wacie.

Przykucnęłam, by zrównać się z małą wzrostem. Wyciągnęłam przedramię. Na moich spoconych palcach zaplątany był łańcuszek od zegarka. Poruszyłam nim wprawiając mechanizm w wahadłowy ruch. Błysk! Dzieci są jak sroki. Mała poruszyła się. Zegarek wysunął mi się z ręki i z głuchym odgłosem uderzył o dno mebla. Byłam spragniona. Dziewczynka zachichotała, a może tylko tak mi się wydawało? Potem nie było nic – ani dziecka, ani zegarka. Tylko pusta szafa. Zamknęłam drzwi.

Hydesville, 1848 rok

Pani Fox siedziała skurczona pośrodku małżeńskiego łóżka. Krochmalona koszula zakrywała jej pełne kobiece kształty; tylko przy poluźnionym, sznurowanym dekolcie widać było od czasu do czasu błysk białej ciężkiej piersi. Kobieta kończyła splatać jasny warkocz. Był jej dumą. Inne mężatki z sąsiedztwa obcinały włosy wkrótce po urodzeniu dziecka. Ona nie chciała się pozbywać wspomnienia panieńskich lat, upatrywała w nim nie tylko całej swojej urody, ale – niczym Samson w kobiecym przebraniu – także witalności. Płukała włosy w ziołach, by były lśniące i miękkie. Choć starsza córka skończyła już osiem lat, a życie w Hydesville było naprawdę ciężkie, pszenicznych pukli nie skaziła żadna siwa nitka. Fox z satysfakcją przyglądał się żonie. Z satysfakcją, która w końcu jednak schowała się przed zmartwieniem i niedowierzaniem, wypisanymi marsem na czole mężczyzny.

– ...Mówi, to znaczy wystukał, że nazywa się Charles Rosma. Za życia był komiwojażerem. Zabito go w tym domu, na pięć lat przed tym, nim się wprowadziliśmy... Pamiętasz, akurat byłam w ciąży z Kitty? Wcześniej dom stał pusty. Nie wie, kto go zamordował, poczuł tylko uderzenie w potylicę i naraz wszystko się dla niego skończyło. Cały świat. Była tylko ciemność i chłód. Dopiero dziewczynki go wezwały...

– Wezwały?

– Ben, kochanie, nie wiem jak to nazwać.

– Uroiły to sobie!

– Nasze małe? One są zbyt niewinne, by wymyślić coś takiego.

– Maud, nigdy nie poznasz dzieci...

– Ależ ja je znam. Urodziłam je! I słyszałam...

– Co? Co słyszałaś?

– Szept. Stukanie. Podawałam mu alfabet, a on stukał przy odpowiednich literach. Nazywał się Charles Rosma.

– Tamten duch oczywiście! – parsknął rozeźlony.

– On nie chce zemsty, tylko swój oznaczony i poświęcony grób.

– Jaki skromny!

Położyła się i podparła łokciami. Dłonią poluźniła tasiemki na piersiach.

– Czy ty mnie w ogóle jeszcze kochasz po tylu latach? Czy ty mi ufasz Ben? Na miłość boską, zaufaj mi po prostu!

– Dziewczynki...

– Dziewczynki są wspaniałe.

Podszedł do niej. Ukląkł i ujął jej zziębniętą stopę w obie dłonie. – Czego ode mnie chcesz? Jestem tylko zwykłym ślusarzem i to, jak wiesz, dość miernym.

– Nie, nie jesteś mierny... On... Znaczy Rosma mówi, że jego ciało ukryto w piwnicy.

– Czemu ja go nie czuję? Nie słyszę?

– Nie wiem, Ben. – westchnęła, kiedy przesunął dłonią po jej łydce.

Temperatura w pokoju zmalała, ale prawie niezauważalnie. Ktoś ich obserwował.

– Ben, powinniśmy powiadomić szeryfa. I pastora. Jak najszybciej trzeba go wydobyć z ciemności. Tak będzie najlepiej dla nas i dla dzieci.

– Jeśli tego chcesz.

– Kocham cię Ben. Mimo wszystko, przez cały ten czas...

Usiadł obok niej. Swoje pokaleczone i pobliźnione ręce oparł na jej piersiach.

– Maud – poprosił – Rozpuść włosy.

– Dobrze...

Złota pajęczyna splotła ich ze sobą i okryła przed zimnem tchnącym z serca chaosu i mroku.

Boston, 1887 rok

WAMPIRZYCA IRENA:

– Jakaś kobieta przyniosła to dla pani. Zaproszenie na prywatny seans spirytystyczny. – Antykwariusz podał mi welinową kartkę, na której wykaligrafowano dzień, w którym byłam oczekiwana, godzinę i dokładny adres, pod który miałam się udać.

– To dziś – powiedziałam. – W najbogatszej dzielnicy miasta...

– Bogaci też mają tęsknoty.

– Czy zna pan tę kobietę?

– Muszę zmienić kadzidło. Zupełnie się wypaliło – wskazał stojącą na kontuarze łódkę-podstawkę z drzewa sandałowego.

– A co to był za zapach?

– Mirra.

– Mirra – powtórzyłam.

Dotknęłam wonnego popiołu. Wsunęłam szary palec do ust. Gorzki smak.

Okrągły stolik, przy którym siedzieli zgromadzeni uczestnicy seansu spirytystycznego, zadrżał. Medium westchnęło, wciąż pozostając w głębokim transie. Była to starsza kobieta o mocnym podbródku i haczykowatym nosie. Margaret.

Otworzyła usta – żuchwa bezwładnie opadła ukazując ciemność. Stalowe oczy, które pamiętałam, były wywrócone białkami do przodu.

Z ust medium zaczęło wydobywać się coś o kształcie i konsystencji zmoczonej waty bądź mocno zbitej piany. Wypełzało spomiędzy zębów i chyba nie podlegało prawu grawitacji, a w powietrzu zachowywało się jak mgła. Było tego więcej i więcej. „Palce" owej osobliwej mgły zwanej przez spirytystów ektoplazmą zbliżały się do gości. „To" musnęło czyjąś dłoń, czyjś policzek. Dotyk nie przypominał kontaktu z żywym ciałem – był lodowaty. Zimny i biały jak śmierć. Nagle stolik uniósł się w górę; na tyle wysoko, że ludzie musieli puścić swoje ręce i zdjąć ręce z blatu. Medium zaczęło jęczeć. Potem przemówiło. Pokojówka uczyniła znak krzyża. Sama miałam na to ochotę.

– Chodź tu, kochanie, nie bój się. Chodź, kochanie, tu jest twoja matka.

– Evie, Evie – zajęczała kobieta w czarnej sukni, której kołnierz spięty był drogocenną kameą. – Chcę usłyszeć samą Evie! – To była pani Taymor, nasza gospodyni.

– Gdzie tata? Chcę do taty!

Mimowolnie wzdrygnęłam się. Matka ukryła twarz na piersi siedzącego obok męża.

– Już mnie wcale nie boli, tato. Ani język, ani gardło. Tato, powiedz coś do mnie. Nie widzisz mnie? Ja nie umarłam, ja żyję. Tu jest wiele innych dzieci. Mamy tu swojego króla.

– Proszę jej powiedzieć, żeby odezwała się do mnie – warknęła żona. – Niech powie coś do matki!

– Pa, dziecinko, pa! Tato, zaśpiewaj ze mną! "Ma bogdaneczka to nie dzieweczka. Żadna z niej gratka, ma swoje latka, pieścić się z nią to nie grzech..."

Zapanowała ogólna konsternacja.

– Moja córka! Ona nigdy nie powiedziałaby czegoś takiego! – Zagrzmiał pan Taymor. Był czerwony na twarzy. Przypominał mi brzuchacza z antykwariatu. Nie poczułam do niego sympatii nawet w chwili, kiedy witał mnie wylewnie na progu rezydencji. Powiedział, że nie stracił wiary w tę biedną kobietę, z którą życie tak okrutnie się obeszło. „Moja żona i ja nigdy nie mieliśmy wątpliwości co do jej umiejętności pomagania takiej duchowej drobinie jak my!" A kto mnie zaprosił? – Drążyłam. Usłyszałam w odpowiedzi, że duch przewodni Margaret. Ach...! Taymor za-

chichotał. Na marmurowych stopniach hollu stały wciąż jeszcze odkurzane, maleńkie łyżwy. „Julia, pani Taymor, nie ma ostatnio do niczego głowy... Jest w głębokiej melancholii. Wciąż oskarża się o śmierć Evie. A przecież to był koklusz. Zwyczajna epidemia choroby wieku dziecięcego."

Medium nie zwracało na nas uwagi. Kobieta była bardzo skupiona.

– Eve, czy możesz przyprowadzić Kate. Czy jest tu Kate?

– Kate jest bardzo stara, tylko udaje młodość – pisnął dziecięcy głosik. – Chcę guziki do gryzienia! Chcę Pana Karolka do zabawy! Królem jest Płatonogi! On zabiera moje myśli, które były. On karmi się moją śmiercią.

– To nie jest Eve – powiedziała uroczyście pokojówka. Podpierała ścianę przy drzwiach, czekając tylko na sygnał, aż będzie potrzebna lub na impuls, który każe jej uciec.

– Czy jest tu Irena? Chciałam, żeby przyszła. Mam dla niej wiadomość, jeśli tylko odważy się po nią sięgnąć... – Oczy Margaret odzyskały swój chłodny odcień błękitu. – TIK, TIK, TIK. Słyszysz to?

Panna Fox odgięła się gwałtownie na oparcie krzesła. Jej głowa poleciała do tyłu, mięśnie szyi napięły się do granic ludzkich możliwości – w powietrze wystrzelił gejzer ektoplazmy, a później z tych samych ust wydobyła się kolejna piosenka. Stolik opadł i podskakiwał teraz frywolnie, wybijając każdą z nóg rytm piosenki:

„Kaczka nie kwacze, kotka się nie koci,
Na jajkach nie siedzi kura,
I nikt przy kuchni nie pomoże cioci,
Choć strasznie dymi jej rura.
Bo niedziela to niedziela,
Od roboty wara,
Poczekaj do poniedziałku,
Wtedy się postarasz."

Wtem medium powstało. Wydawałoby się, że duchowe siły wyczerpały się, było to jednak złudzenie, któremu poddano wszystkich zgromadzonych. Stara kobieta podeszła do matki w żałobie. Szarpnęła i niszcząc zapięcie oderwała kameę.

– Miałeś mi ją dać tatusiu... Obiecałeś mi, że ją dasz. Tak jak mamie...

Julia Taymor przytrzymywała się za pierś. Poczułam krew, ostrze zapinki musiało ją skaleczyć:

– To był prezent...

Uniosłam pytająco brew.

Julia rozejrzała się wokół szalonym wzrokiem. Pokojówka stała w pąsach.

– Zwyczajowy prezent po nocy poślubnej...

Margaret-Evie zaczęła gryźć ściemniałymi od tytoniu zębami białe oblicze kobiety z kości słoniowej:

– A teraz będę ciućkać, jak cukierka!

Z rozmachem klapnęła naszemu gospodarzowi na kolanach – aż stęknął i próbował zrzucić ją z siebie.

Julia sięgnęła po sole trzeźwiące. Ohydny zapach amoniaku rozszedł się po całym mrocznym pokoju. Poczułam się tak, jakbym tonęła w bagnie. Nie ja jedna.

– To wszystko moja wina. Ślepa! Byłam ślepa! Tak długo!!! – Pani Taymor wstała i zachwiała się jakby miała stracić przytomność. Wyciągnęłam rękę i podtrzymałam ją, bo mąż nie kwapił się, aby uczynić jakikolwiek ruch. Był siny na twarzy i rozpaczliwie próbował strząsnąć z siebie medium, które niczym Evie zaczęło obrzucać go pocałunkami.

– Dziękuję – szepnęła Julia do mnie. Wyprostowała się. Czułam, że świerzbi ją dłoń, by spoliczkować swego męża. Nie uczyniła tego – jej rodzina, Whortonowie, należała do starej bostońskiej arystokracji i lubiła dokonywać zemsty po sycylijsku, na zimno.

Seans się skończył, a medium straciło przytomność i osunęło się na dębową podłogę, bo na czas wizyty panny Fox służba zwinęła dywan. Nie dziwiło mnie już wcale, że Kate Fox zmarła na wylew krwi do mózgu. Nie dziwota – po takich wysiłkach! Margaret powinna czuć lęk, by nie skończyć jak siostra. A jednak przełamała strach.

– Panie Taymor, żądam separacji. Dopilnuję, żeby stracił pan wszystko. Żebyś był taki goły, jak w przeddzień naszego ślubu! – Wycedziła zimno kobieta. – Iris, wyślij gońca do mojego ojca.

Pokojówka dygnęła posłusznie.

– I wezwij lekarza – powiedziałam jej. Znów skinęła głową i zniknęła w korytarzu. Uwolniony mężczyzna jednym szarpnięciem oberwał zasłony. Otworzył okno i wychylił się niebezpiecznie – pragnął zaczerpnąć świeżego powietrza.

Pani Taymor podeszła do mnie, pochyliła głowę i zaczęła płakać tak, że jej łzy kapały wprost na moje usta. Były lepsze niż jakakolwiek krew.

Tego samego dnia, wcześniej...

Ladacznica była młodsza niż mu się w pierwszej chwili wydawało i mniej zniszczona swoją profesją. Skonstatował to z zadowoleniem. Spod czepka, na zimowy wiatr wyrywały się miodowej barwy włosy. Oczy miała niebieskie, usta pełne zgrabnych, drobnych ząbków – nie była szczerbata! Przysiągłby, że pod grubą warstwą pudru kryły się piegi i ujmujące rumieńce.

– Możesz zmyć to mazidło z twarzy? – spytał.

– Jeśli pan sobie tylko życzy...

Sięgnął pod pelerynę, do kieszeni kamizelki. W świetle świtu błysnęła złota moneta.

– Kup sobie kapelusz. Coś ładnego, ale nie rzucającego się w oczy. Słyszysz?

– Nie jestem głucha proszę pana.

– I sukienkę. Powinno starczyć jeszcze na sukienkę... Nie patrz w ten sposób na mnie! Jeśli zrobisz wszystko jak należy, to ten brzęczący pieniądz będzie dopiero początkiem zapłaty. Kup, ubierz się w to wszystko i czekaj na mnie tutaj... – Byli w porcie obok stoczniowych doków, gdzie teraz z powodu siarczystego mrozu wstrzymano roboty. – Koło godziny czwartej po południu. Wtedy powiem ci, co dalej.

Dygnęła, jakby chciała łagodnie podkreślić, że rozumie jego polecenia. Później przechyliła głowę jak mewa i rzekła:

– Panicz lubi grzeczne panienki? Panicz będzie zadowolony.

Odeszła.

Patrzył za nią. Obserwował jej zgrabny, pewny chód i nawet pożałował tego, co musi zrobić.

– Nie bądź sentymentalny – napomknął sam siebie i ruszył do hotelu, aby się przespać. Ostatnimi czasy prawie w ogóle nie oglądał dnia. Fatalnie odbijało się to na jego apetycie; na szczęście refleks pozostał bez zmian. Był szybki jak grzechotnik.

Nie zdążyła jeszcze wybić czwarta, gdy dziewczyna czekała na niego. Wyglądała jak guwernantka, a biorąc pod uwagę zapadające ciemności można ją było wziąć za kogoś wyższego stanem. Podał jej zawczasu przygotowany list.

– Zaniesiesz do antykwariatu przy ulicy Bolivara – powiedział.

– A pieniądze?

– Będą, jak tylko wrócisz.



– Ulica Bolivara jest daleko...
– Świeże powietrze dobrze ci zrobi.
– Myślałam, że pozwoli mi pan wziąć dorożkę.
Wyciągnął dłoń i pogłaskał jej chłodny od mrozu policzek:
– Wróć szybko, to pokażę ci co najbardziej lubię.
Błyskawicznie chwyciła jego palec i wsunęła sobie do ust. Ręce mężczyzny pokrywały delikatne rude włosy, przypominające suchy mech na samotnej skale.
– To twój dom? – zapytał, kiedy ladacznica zaprowadziła go do obskurnej suteryny.
– Tak. Tylko ja tu mieszkam. Matka umarła na suchoty.
Popatrzył na zarwany siennik. Na ropiejące grzybem ściany. Jak udawało jej się tu trwać, przeżyć?
– Czy chce pan, żebym zdjęła sukienkę, czy mam w niej zostać?
– Zostań.
– A kapelusz?
– Rozpuść włosy... Tak, ładnie – powiedział. – Podobają mi się twoje piegi.
– Mężczyźni je lubią – skrzywiła się.
Kiwnął głową.
– Może pan już odłożyć swoją laskę – powiedziała i podeszła do niego o krok bliżej.
Westchnął.
Z laski wysunęło się polerowane, śmiercionośne ostrze. Podniósł je i błyskawicznie zatopił w piersi dziewczyny. Nawet nie zdążyła krzyknąć – przebił serce tak precyzyjnie, jak kolekcjoner nabija motyla na szpilkę.
Wytarł broń w jedwabną chustkę. Był dżentelmenem i zwracał uwagę na pozory. Dbał o porządek.

Hydesville, 1848 rok

Proszę podnieść ją wyżej, Wielebny – powiedział Fox. Pastor drżącą dłonią uniósł lampkę górniczą. Cienie roztańczyły się na ścianach piwnicy. Panował tam zapach butwiejących szmat i puszczających pędy słodkich ziemniaków, zasypanych jeszcze w zeszłym roku. Mieli czekać na szeryfa, ale ciekawość wzięła górę. Z samego rana zeszli na dół, by oczyścić podłogę piwnicy. Klepisko zrobiono z mocno ubitej gliny; tu i ówdzie sterczały jednak otoczaki oraz gruz. Całość została zalana wapnem. Dwóm mężczyznom towarzyszyła pani Fox (która uparła się, że również może przesuwać drewniane skrzynie pełne przetworów) oraz dziewczynki: ośmio i dziewięcioletnia.
– Kitty, czy jesteś pewna, że wiesz, gdzie mamy kopać?
Mała zacisnęła usta.
– Na wysokości kuchennego okna. Tak mówił... – wtrąciła się Margaret.
– Odsuńcie się – ostrzegł Fox. W piwnicy było ciasno, a on musiał wziąć zamach, by uderzać ciężkim kilofem. Matka podreptała do przodu, wyciągnęła ręce i przyciągnęła córki do siebie. Kate ukryła twarz w jej obfitych piersiach.
– Czy to go będzie bolało?
– Nie.
– Obiecujecie?
– Fox, obiecaj jej.
– Obiecuję. Już nic nigdy nie będzie bolało naszego gościa.
– Ja zaś mocą daną mi przez Boga obiecuję tej biednej duszy wieczne ukojenie – odezwał się naraz Wielebny.
Mury aż jęczały, kiedy kilof wbijał się w grunt.
– Wielebny, podaj mi szpadel. I nieco wyżej z tą lampą.
Słychać było odrzucane kamienie i uderzania metalu o metal. Żylaste mięśnie napięły się na mizernych plecach Foxa – w dziecinstwie mężczyzna przechodził gruźlicę, która zahamowała jego wzrost.
– Podajcie mi kilof i trzymajcie to światło... – rzekł Wielebny.
Zaczął uderzać, nucąc psalm:
„Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego.
Pozwala mi leżeć na zielonych pastwiskach.
Prowadzi mnie nad wody, gdzie mogę odpocząć:
orzeźwia moją duszę.
Wiedzie mnie po właściwych ścieżkach...”
– Hej, tu nic nie ma... Dziewczynki się musiały pomylić.
– Ja nie kłamię! – Krzyk Katy aż odbił się od niskiego stropu.
– To prawda, to wszystko prawda – szepnęła Margaret.
– Straszna prawda...
– Nic tu nie ma!
– Kathy, a może pomyliłaś miejsca? – Pytał cierpliwie Wielebny.
Kathy odsunęła się od matki i pokręciła zawzięcie głową.
– On tu jest. Pan Karolek tu jest.
– Co?
– Charles Rosma, znany też jako Pan Karolek i Król Płatonogi – powiedziała pani Fox. Wypchnęła Margaret do przodu:
– Pomóż siostrze. A Wielebny niech jeszcze uderzy kilofem.
Fox zacisnął ręce na szpadlu. Pracowali w milczeniu. Siostry klęczały nad powstającym otworem. Nad domniemanym grobem.
– Stójcie! – krzyknęła Margaret. – Mamo, tutaj! Poświeć...
Pojedyncza kość.
– Wygląda jak kawałek dłoni... – Wielebny sięga po szczątki przez chusteczkę.
Jeszcze włosy. Krótkie, ciemne, zetlałe, rozsypujące się w dłoniach jak nocna mgła o poranku.
– CHARLES ROSMA – Wielebny uczynił znak krzyża.
Więcej kości, deski z poprzedniej podłogi...
– Musiano go zalać niegaszonym wapnem...
– Morderstwo...
– Tu tato, uderz jeszcze tutaj – szepnęła Kate, rysując poślinionym palcem po cegle, leżącej przy samej ścianie, trzy kroki od niechrześcijańskiego miejsca pochówku.
– Tutaj nie można. To główna ściana. Dom mógłby tego nie wytrzymać. Przecież znaleźliśmy...
Wielebny ukląkł jednak na rozmokłym gruncie. Wyjął z kieszeni scyzoryk. Przesunął ostrzem po zaprawie – odskakiwała jak łuszcząca się farba. Wyjął purpurową cegłę i dwie sąsiednie. Włożył rękę do ciemnej, wilgotnej jamy. Na ręku miał duży sygnet: w krwawniku wyryto znak krzyża.
– O tym myślałaś malutka? – Dłoń z sygnetem trzymała omszałe blaszane pudełko, jedno z tych najpospolitszych, które nosza handlarze-domokrążcy w całym wielkim Nowym Kraju.
– Mogę otworzyć?
– Jeśli tylko pan Rosma ci pozwolił...
Kiwnęła głową. Wieczko od razu ustąpiło. Uciekł jakiś spłoszony pająk. „Puszka Pandory” z Hydesville zawierała lizaki.

Boston, 1887 rok

WAMPIRZYCA IRENA: Weszłam do wnętrza szafy. Drzwi trzasnęły. Nie pamiętam, co się ze mną działo. Poza jednym – zostałam zmieniona. Tymczasem...
Rudowłosy stał pod frontem kamienicy, leżącej przy cmentarzu. Podniósł głowę – okno gniazda było puste. Wczoraj ujrzał w nim wampirzycę. Bladą twarz Ireny odcinającą się od ciemnej szyby. Wzrok miała pusty, lecz wydała mu się piękna. Była... najpiękniejszym stworzeniem na świecie! Drżał z niepokoju, by jej nie stracić, by nie uciekła. Czuł się jak myśliwy na sawannie oczekujący największej lwicy – był zakochany.
Za jego plecami krążyły niewidzialne, przewodnie duchy.
Ścierpły mu nogi. Przesunął laskę, której końcówka trafiła na porzuconą zabawkę. Leniwie schylił się i podniósł ją. Otrzepał ze śniegu, który posrebrzał brązowe futerko.
– Ciii... Sprawimy, że przyjdzie – powiedział miś z odgryzionym uchem.

Boston, 1887 rok

WAMPIRZYCA IRENA: Od razu wyczułam napięcie. Zapach ozonu w powietrzu. Deszczułka do pisma automatycznego zadrżała, nim moje palce zdołały jej dotknąć. Podskoczyła i przesunęła się, a wraz z nią osadzone w otworze listewki, pióro. Stalówka błyskawicznie zapisała wiadomość. Wyznaczono mi spotkanie z osobą, którą pragnęłam zobaczyć ponad wszelką miarę, a która przemawiała do mnie w tak osobliwy sposób, bo była zagubiona za czarnym oceanem. Wiadomo o nim, że nie ma brzegów ani fal. Założyłam płaszcz i opuściłam dom. Żegnał mnie kamienny gargulec wcementowany w okap kamienicy. Sople lodu zwisające mu z pyska czyniły zeń mego pobratymca. Odebrałam to jako dobry znak. Szłam wprost na cmentarz.
Ujrzałam ducha megaduksa. Niegdyś człowieka będącego prawą ręką cesarza Bizancjum; obrońcy miasta Konstantynopola przed wojskami tureckimi w roku 1453. Roku Upadku i roku mojej Przemiany. Stał na tle sprofanowanego, witrażowego okna kaplicy pogrzebowej. Jego potężna sylwetka i blada twarz nie z tego świata odcinała się wyraźnie od szarości tektury, którą zabezpieczono otwory po kolorowych szybkach. Duch nie odezwał się słowem. Nie zrobił gestu by dać znać, że mnie poznaje.
– Wybacz mi ojcze to, czym się stałam – powiedziałam.
Nagle poczułam silne uderzenie w tył głowy. Bez wydania jednego jęku osunęłam się na zrujnowaną posadzkę. Miałam krew w ustach, bo przygryzłam sobie język. Krew płynęła też z mojego nosa. Była ciemna i przy zetknięciu z tlenem zaczynała gwałtownie parować. Traciłam siły.
„Ojcze, czemu mnie nie ostrzegłeś?”
Poczułam wibrację. Przyszła gdzieś z zewnątrz i ogarnęła całe ciało. Wydawało mi się, że szła od gruntu, ale spostrzeżenie było chyba złudne. Coś, niczym prąd elektryczny przeszyło moje łydki pod cholewami długich botków. Ruszyło w górę, stawiając czarną linię włosów od łona do głębokiego pępka. Złapało w bokserski uścisk śledzionę, a później wygnało resztę nocnego powietrza z płuc. Boże mój! Jakaś potężna siła chciała wręcz wyrwać mi trzewia!
Coś wypchnięto na zewnątrz – nagle skonstatowałam, że jakaś część mnie unosi się nad nieruchomym, zranionym ciałem. Byłam jak chmurka na przeczystym niebie. Mogłam poruszać się szybko jak myśl. Obniżyłam lot, by popieścić znajomą, bladą twarz. Głębokie granatowe cienie rysowały się pod oczami. Powieki zadrżały, zabłysły białka – więc jednak to nie był jeszcze koniec. Wampirzyca Mara, wieki temu, obiecała mi największe złudzenie bestii i ludzi: nieśmiertelność.
Teraz świadomie porzuciłam cielesną powłokę i uniosłam się w górę. Mogłam latać i przenikać ściany – podobne rzeczy potrafiłam już jako wampir, ale nigdy nie przychodziło to tak łatwo. Bez najmniejszego wysiłku. Bez żadnej walki z prawami ustalonymi dla śmiertelnych, z których rodu przecież wyszłam. Za to zobaczyłam więcej niż kiedykolwiek. Wszędzie były duchy – ludzi i zwierząt. Duchy obojętne lub błagające o wspomnienie – zupełnie jak na fotografiach antykwariusza. Zagubiłam się w powietrzu i wpłynęłam do nędznej kamienicy. Przy zrujnowanym kaflowym piecu przycupnęła pomarszczona staruszka i próbowała ogrzać ręce, zamienione artretyzmem w ptasie szpony. Obok baraszkowała dwójka malców. Chłopiec dopiero co nauczył się raczkować, dziewczynka wyglądała na starszą o rok czy dwa. Brakowało tu ręki matki. Z ciała i krwi, bo upiorność tego zdawałoby się zwyczajnego miejsca podkreślała tajemnicza obecność. Duch kucharki, która zmarła przy porodzie syna rozpaczliwie próbował nawiązać kontakt z bliskimi – na próżno. Palce widmowej kobiety przechodziły przez czoło dziewczynki. Nie przynosiły ani bólu ani ukojenia. Czasem tylko ogień gwałtownie wibrował, kiedy zaglądała do pieca. Zajrzałam tam i ja, i nagle znalazłam się w pełnym sadzy przewodzie kominowym, w długim, czarnym tunelu. Gnałam do przodu i nie mogłam się zatrzymać; jakby wzywało mnie ku sobie światło tysiąca świec płonących w Hagia Sophia. Byłam w rodzinnym, konstantynopolskim ogrodzie. Megaduks-Ojciec znowu nie dał po sobie poznać, że mnie rozpoznaje. Odszedł. Nie udało mi się go dogonić pośród kwiatów i żółwich skorup – wyglądało na to, że każda sekunda (o ile istniał czas) przenosiła go o milę w głąb domu. Był też mój brat – pośród zieleni dane mi było odczuć obecność Teodora... Stał obrócony plecami – zawsze plecami. Byłam dymem i choć okadziłam sobą chłopca – a przecież byliśmy bliźniakami i znał mój zapach tak jak i swój – pozostał obcy.
„Odejdź stąd” powiedział Głos, który nie miał miejsca ani przyczyny. Nim zdołałam się zgodzić czy zaprotestować, poczułam jak okuta żelazem laska uderza mnie w potylicę. Padłam na wytartą mozaikę. Byłam na powrót w ciele, którego świeże rany paliły żywym ogniem. Zamrugałam. Zobaczyłam buty wykończone cielęcą skórą. Ostrze przy trzasku zapadki wychylające się z sekretnego wydrążenia w spacerowej lasecce. Niby wiedziałam, że nadejdzie ta właśnie chwila, ale nie wierzyłam w to, jak wy nie wierzycie, że wasz oddech, kiedyś zamilknie, a ciało rozpadnie się w proch.
Spotkałam Łowcę.
„Ojcze czemuś mi to uczynił? Czemuś nie mógł mi wybaczyć życia?”
Laska po raz wtóry wzniosła się nad moją głową.
Cisza i ciemność.

KONIEC



Weź udział w naszym konkursie SMS i wygraj jeden z 10 pakietów nagród!

Odpowiedz na pytanie:

Kogo portretuje Lorenzo Sperlonga?

A) Kobiety-wojowniczki

B) Najeźdźców z kosmosu

C) Przywódców byłych krajów komunistycznych

Rozwiązanie wpisz w treść wiadomości SMS i wyślij pod numer **7164** jako **CL.FX.#** (zamiast # wpisz A, B, lub C).

Koszt wysłania wiadomości wynosi 1.22 zł. Usługa dostępna w Sieciach Era, Plus GSM oraz Idea. Na odpowiedzi czekamy do końca listopada. Dane osobowe zwycięzców zostaną wykorzystane wyłącznie w celach wysyłki nagród.



Potrafisz świetnie rysować lub malować? Tworzysz komiksy? Chcesz pochwalić się swoimi pracami?

Ten konkurs jest dla ciebie!

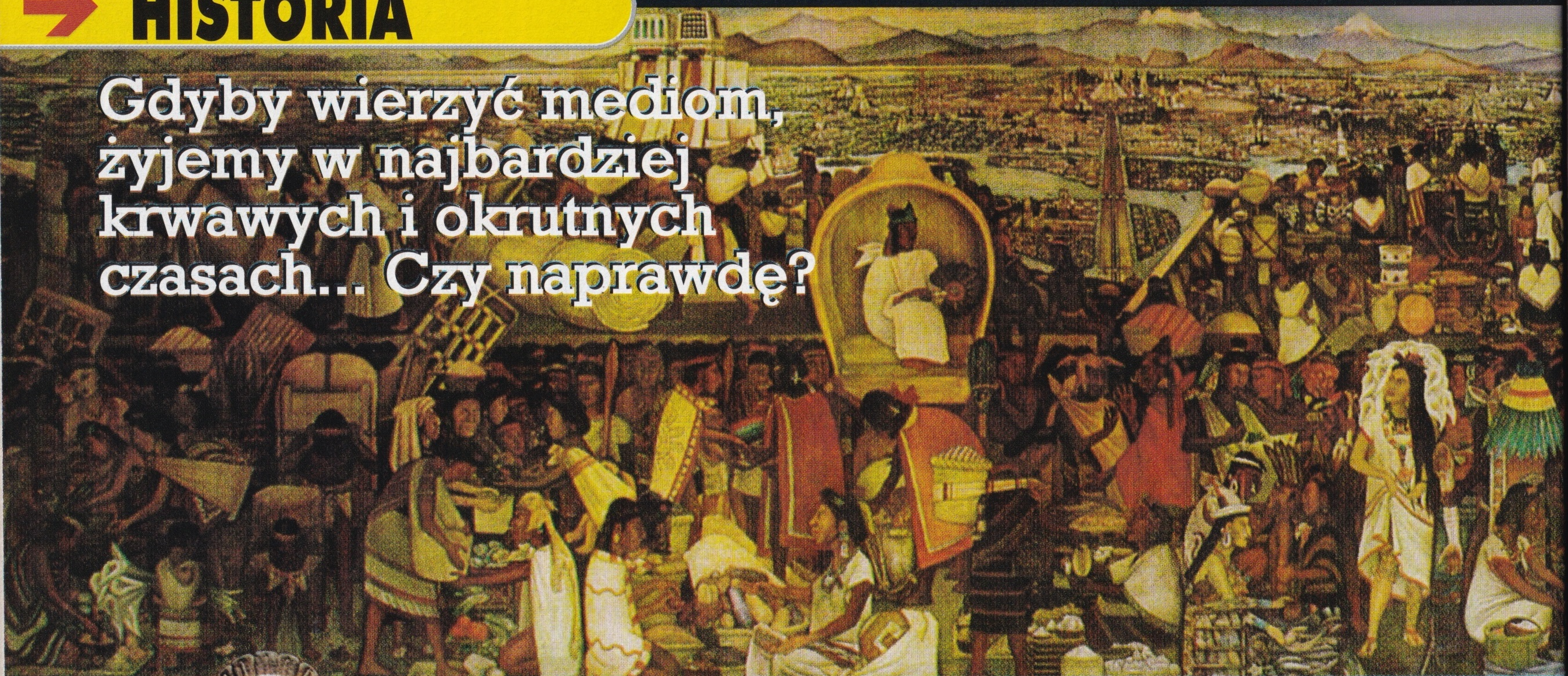
Wybierz ze swoich dzieł lub stwórz od nowa 1-2 profesjonalne prace i prześlij na adres naszej redakcji. Technika wykonania – dowolna. Tematyka do wyboru:

1) Smoki, rycerze & księżniczki

2) Przestrzeń kosmiczna, obce cywilizacje

Na wasze prace czekamy do końca listopada. Zwycięzcy otrzymają nagrody – niespodzianki, zaś autorom najlepszych prac może zostać zaproponowana współpraca z magazynem FANTASY. Uczestnicy konkursu przysyłający swoje prace wyrażają jednocześnie zgodę na publikację nagrodzonych dzieł na łamach naszego czasopisma.





Gdyby wierzyć mediom, żyjemy w najbardziej krwawych i okrutnych czasach... Czy naprawdę?



Tak wyglądał jeden z azteckich bogów, któremu składano krwawe ofiary

KRWAWE RY

Wojna „telewizyjna" w malowniczy sposób pokazuje ból oraz śmierć, a niektórzy publicyści twierdzą, że okrucieństwo w wieku XX przerosło wszelkie wyobrażenia. Nic bardziej błędnego! Bo czy dziś dopuszczalne byłoby składanie ofiar z ludzi? Nie. A dla wielu społeczeństw w przeszłości była to sytuacja wręcz pożądana, niezbędna do ich istnienia!

MAJOWIE

Krwawa Kąpiel

Według mitologii Majów, w centrum ziemskiego uniwersum znajdowała się oś, pozwalająca komunikować się pomiędzy sobą światom bogów oraz ludzi. Oś ta nie była zlokalizowana w jakimś konkretnym miejscu na Ziemi, mogła zmaterializować się praktycznie wszędzie w osobie samego władcy Majów. Potrzebny był jednak odpowiedni rytuał – upuszczanie krwi. Uczestniczył w nim władca oraz wysocy urzędnicy i ich rodziny. Upuszczano krew z różnych części ciała do naczyń, na posągi bóstw lub na ziemię. Obrzędy te były bardzo krwawe. Mężczyźni, wprowadziwszy się wcześniej alkoholem oraz narkotykami w stan transu, upuszczali sobie krew z penisa, przebijając go ostrym kolcem lub kościanym szydłem. Później rozpoczynali taniec, w czasie którego krew pryskała na widzów, także pogrążonych w narkotycznej ekstazie. Kobiety biorące udział w takich ceremoniach przeciągały przez język powróz z wplecionymi kolcami. Krew zbierała się w podstawionym kubku, po czym oblewano nią ofiarny kamień albo figurę bóstwa, któremu poświęcona była ceremonia.

O ile kasta rządząca składała ofiarę z siebie dobrowolnie, jeńców o zdanie nikt nie pytał. A to oni stanowili większość śmiertelnej daniny poświęconej rozlicznym bogom. Przed śmiercią czekały ich jeszcze tortury. Na chwilę oddajmy głos kronikarzowi, ojcu Diego de Landzie: „Kiedy nadchodził dzień obrzędu, zbierali się na dziedzińcu świątyni i jeśli w ofierze składano niewolnika, który miał zostać przebity strzałami, rozbierali go do naga, smarowali na niebiesko, a na głowę kładli mu papierową czapkę spiczastego kształtu; potem, kiedy przepędzili siły nieczyste, tańczyli uroczyście z łukami i strzałami wokół pala; nie przerywając uroczystości, przywiązywali go do pala i wznosili coraz wyżej, pilnie na niego bacząc. Potem wspinał się kapłan o straszliwym wyglądzie i strzałą przebijał wstydliwą część ciała ofiary bez względu na to, czy był to mężczyzna czy kobieta; upuszczał trochę krwi, schodził w dół i nacierał nią twarz demona; następnie dawał znak tanecznikom, a oni przechodzili szybkim, tanecznym krokiem, przestrzegając porządku i ciskali strzały w serce, zaznaczone białym znakiem; w ten sposób pierś ofiary podobna była do jeża pokrytego kolcami."

Studnie zagłady

Obok palenia na stosach i upuszczania własnej krwi Majowie praktykowali również inny krwawy rytuał: składanie ofiar z ludzi w naturalnych studniach, czyli zapadliskach krasowych o charakterystycznym owalnym kształcie. Miały to być ofiary dla boga deszczu, Chaca. Dziś z tych niezwykle głębokich studni wydobywa się setki, tysiące szkieletów, kobiet i mężczyzn, dorosłych i dzieci. Wielu z nich nosi na kościach ślady jakichś niezidentyfikowanych praktyk, którym byli poddawani przed śmiercią. Z tym rytuałem wiąże się ciekawa historia: jeżeli wrzucona do studni ofiara nie utonęła i potrafiła o własnych siłach wydobyć się z niej, zyskiwała status wybrańca boga i traktowano ją iście po królewsku.

Niestety, zarówno próby komunikowania się z bogami przez majowskiego władcę, jak i karmienie boga deszczu nie dały pożądanego skutku. O ile kultury aztecka oraz inkaska zostały zmiecione dopiero przez hiszpańskich konkwistadorów, Majowie upadli wcześniej, w X wieku, prawdopodobnie na skutek wieloletniej suszy i związanego z nią nieurodzaju.

Ich następcy, Toltekowie, podtrzymali krwawe obrzędy, budując nawet w Chichen Itza tzw. Studnię Ofiar. Niewiele im to pomogło, gdyż oni także szybko odeszli w cień. Na arenie dziejów pojawili się Mexikowie, których znamy pod nazwą Azteków. I uznajemy za najkrwawszą z prekolumbijskich kultur.



Po schodach tej piramidy w Tenochtitlan toczyły się tysiące głów nieszczęsnych ofiar

TUAŁY AMERYKA PRZED KOLUMBEM

Aztekowie
Groza piramid

Aztekowie składali ofiary z ludzi na gigantyczną skalę. Pewnego dnia na schodach ich najważniejszej świątyni, Piramidy Słońca w stolicy Tenochtitlan (dzisiejsze miasto Meksyk), zginęło około 20 tysięcy jeńców! Dlaczego Aztekowie praktykowali tak krwawe obrzędy? Dlatego, że wierzyli, iż aby Słońce wyjrzało zza horyzontu, bóg Huitzilopochtli musi być karmiony krwią oraz sercami jeńców. Inaczej nie zdoła się każdego dnia wspiąć na niebo i pobłogosławić ludzi swymi promieniami.



Aztekowie mieli liczne krwawe święta. W Alt Caualo, zwanym „Ustaniem Wód", a adresowanym do bóstw wodnych, należało złożyć w ofierze dzieci i niemowlęta (wcześniej w malowniczej procesji wędrowały one same lub na rękach rodziców na miejsce zbrodni). W Tlacaxipeualitzi (święto to nosiło pozbawioną niedomówień nazwę „Obdzierania ludzi ze skóry") oprócz zwykłych ofiar w świątyni, toczono pojedynki przypominające walki gladiatorów. Rodziny ofiar miały przywilej spożycia ciał zabitych w czasie rytualnej uczty. Ponadto krewni nosili skóry zdarte z ofiar w formie płaszczy. Wreszcie w Xocotlhuetzi Aztekowie świętowali, paląc ofiary żywym ogniem. Paląc zresztą nie do końca. Według niektórych relacji, jeniec spętany i wrzucony w ogień był stamtąd wyciągany, a później, choć ciężko popatrzony, wędrował na rytualny kamień, gdzie uśmiercano go wyrywając mu serce!

Były to ceremonie o charakterze niemal przemysłowym. Kiedy jedna ofiara – poszatkowana i pozbawiona serca – toczyła się w dół po schodach piramidy, kolejna już była kładziona na ofiarny kamień. Skąd jednak brały się takie ilości jeńców? W okresie swej największej świetności trzy miasta: Tenochtitlan, Texcoco oraz Tlacopan sprzymierzyły się, tworząc ligę miast. I po kolei podbijały inne, porozrzucane po meksykańskim płaskowyżu. Azteckie oddziały były podzielone na dwie formacje: prawdziwych wojowników oraz drugą, mającą za cel pętać zranionych lub ogłuszonych żołnierzy wroga i odstawić ich na tyły. Unikano zabijania, ofiara musiała przeżyć. Wreszcie jednak całe terytorium zostało opanowane. Nie było komu wypowiadać wojny. I wtedy Aztekowie wpadli na pomysł tzw. „wojen kwietnych". Trzy miasta ligi: Tenochtitlan, Texcoco, oraz Tlacopan oraz trzy miasta zależne: Tlaxcala, Uentxonzinco oraz Cholula postanowiły organizować fikcyjne wojny w terminach najważniejszych świąt. Pole bitwy stało się polem kwiatów (kwiat w symbolice azteckiej oznaczał krew). W starciach prawie nikt nie ginął, jeńcy spływali krwią na ofiarnych kamieniach. Ojciec Benavente pisał o tych rytuałach: „Niekiedy leżące już na ziemi serce jeszcze drgało; następnie kładli je do naczynia przed ołtarzem. [...] Czasami starzy kapłani zjadali je, kiedy indziej grzebali, a potem chwytali ciało i zrzucali w dół po schodach; jeżeli było to ciało jeńca wojennego, to ten, który je złapał, zabierał przy pomocy przyjaciół i krewnych, a w domu mieszano to ludzkie mięso z innym jadłem i następnego dnia wyprawiano uroczystość i zjadano."



Tak dzisiaj wyglądają ruiny wspaniałych miast oraz świątyń należących do Inków, znajdujących się obecnie na terenie Peru

Inkowie
Górskie wyprawy

Spośród prekolumbijskich kultur Inkowie wydają się najbardziej przypominać europejskie państwa i społeczności. Niektórzy historycy porównują z tego powodu imperium Inków do dawnego Imperium Rzymskiego. Pod względem społecznym była to w owym czasie jedna z ciekawszych kultur na świecie. Żyjąc na niezwykle niegościnnych terenach, Inkowie umieli sprawić, że mało kto głodował, a starcy i chorzy mieli stałą opiekę. Kto się nie buntował przeciw władzy, ten żył i umierał godnie.

Jednak i to społeczeństwo nie było wolne od krwawych rytuałów. Nim Inkowie opanowali obszar prawie miliona kilometrów wzdłuż zachodnich stoków Andów, musieli stoczyć wiele wojen. Bez względu jednak na to, czy ich armie musiały stoczyć bitwę, czy podbój był bezkrwawy, Inkowie zabierali do swej stolicy jeńców. Tam składano z nich krwawą ofiarę Inti, czyli bogu-Słońcu.

Krwawe ofiary składano rówież w celu zapewnienia płodności ziemi. Podczas Capac Inti Raymi zabijano nie tylko lamy, ale również małe dzieci. Ofiar z ludzi używano często do przebłagania jakiegoś bóstwa. I tak zdarzało się, że rodzina delegowała do świątyni pod ofiarny nóż któregoś ze swych członków, licząc na odmianę złego losu i prosząc o wsparcie lokalnego boga. Nietypowy był dla Ameryki prekolumbijskiej obyczaj składania krwawych ofiar na stokach gór. Polegało to na tym, że – gdy zaszła jakaś pilna potrzeba, np. wielka klęska suszy – wybierano młode dziewczęta lub chłopców, po czym ceremonialnie wiedziono ich na górski szczyt (wcześniej pojono lekkimi narkotykami, aby zapobiec ucieczce). Po dotarciu do miejsca ceremonii, zwykle na wysokości 4500-5000 metrów ponad poziomem morza, wykopywano lodowy grób, po czym wtrącano tam ofiarę. Niektóre zakopywano żywcem. Większości jednak rozbijano wcześniej głowy.

Chrześcijanie
Zbrodnie w imię Jezusa

My, Europejczycy, szczycimy się swą wyższością cywilizacyjną. Ale oto, co pisze dominikanin Bartolome de Las Casas, naoczny świadek poczynań konkwistadorów hiszpańskich, w swej „Krótkiej relacji o wyniszczeniu Indian": „Chrześcijanie przy pomocy swych koni, mieczy i włóczni rozpoczęli rzeź i wymyślne okrucieństwa. Wchodzili do wiosek i nie przepuszczali dzieciom, starcom ani kobietom ciężarnym czy położnicom, ale rozpruwali im brzuchy i ćwiartowali, jak gdyby natknęli się na baranki zamknięte w swych zagrodach. Zakładali się o to, który z nich jednym cięciem przetnie człowieka przez pół, albo odetnie mu głowę jednym pchnięciem włóczni, albo obnaży mu wnętrzności. Odrywali za nóżki niemowlęta od piersi matek i roztrzaskiwali im głowy o skały. Inni rzucali je na wznak do rzeki śmiejąc się i szydząc, a gdy wpadały do rzeki, mówili: >Jeszcze się rusza, diabelskie nasienie!<" Hiszpanie działali pod opieką Kościoła, za aprobatą papiestwa i w imię katolickiego Boga. A protestujący przeciw zbrodniom ludzie tacy jak ojciec de Las Casas tylko przysparzali sobie kłopotów. Długo trwało, nim okrucieństwa, bez względu na to w imię jakiego boga były dokonywane, zaczęły uchodzić za rzecz godną pożałowania.

■ Romuald Pawlak,
zdj. archiwum wydawnictwa Bauer



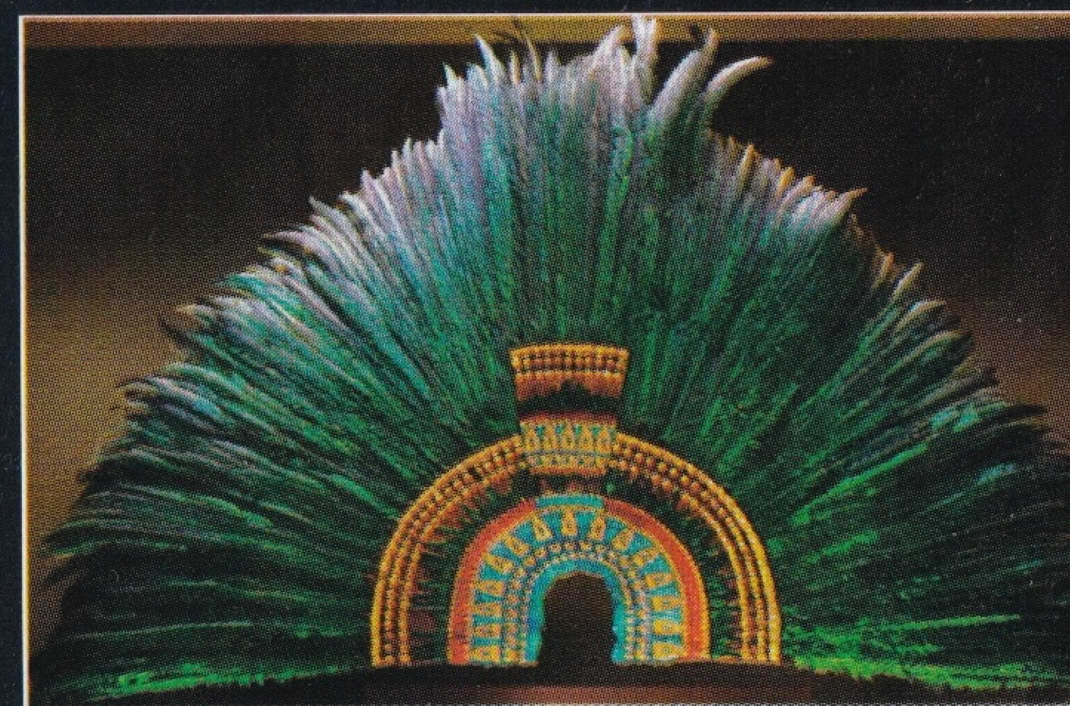
Płaskorzeźba przedstawiająca aztecki kalendarz. Mimo mądrości Aztekowie byli okrutnym ludem



Azteccy kapłani mieli na sumieniu tysiące ofiar, które zabijali na skalę iście przemysłową



Na stopniach przepięknych piramid w ludnym i bogatym Tenochtitlan zabito setki tysięcy ludzi



Ten pióropusz nosił Montezuma – król Azteków, który zginął z rąk własnych poddanych

SUMER, ASYRIA, BABILON



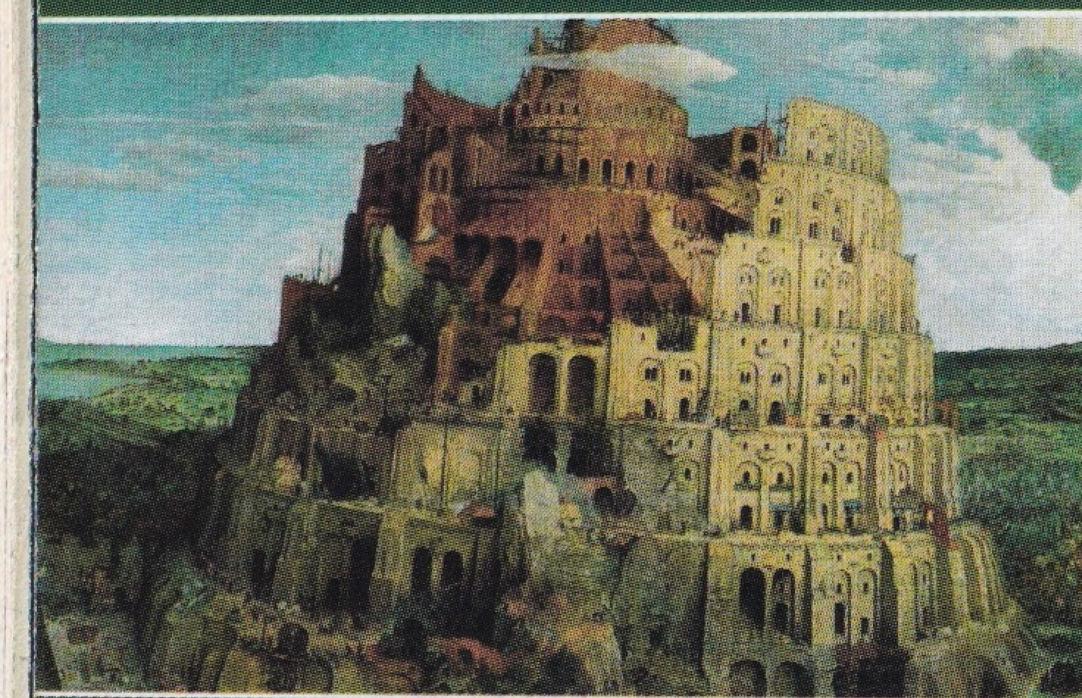
Kodeks Hammurabiego – jeden z najsłynniejszych dokumentów prawnych na świecie



Ze świątyni w Palmyrze niewiele zostało – dawniej była ona jedną z piękniejszych budowli



Niektórzy uważają, że rajski ogród naprawdę leżał w dorzeczu Tygrysu i Eufratu



Dumni budowniczowie chcieli wznieść wieżę do Boga. Według Biblii to się nie udało



Zigguraty są charakterystyczne dla Bliskiego Wschodu. Stąd pochodzi mit o wieży Babel

Słynna brama Babilonu, obecnie do obejrzenia w muzeum Pergamonu w Berlinie

Chodźmy na wschód, tam musi być jakaś cywilizacja – te słowa wypowiedziane w latach 80. przez bohatera „Seksmisji" dotyczyły oczywiście Sowietów, jednak, paradoksalnie, znakomicie pasują do artykułu traktującego o najstarszych cywilizacjach naszego globu. Bowiem tak się już dziwnie złożyło, że prawie wszystko co nowe i cywilizowane w Europie i okolicach pochodzi ze Wschodu. A bardziej konkretnie: z terenów tak zwanego Żyznego Półksiężyca, rozciągających się w południowo-zachodniej Azji, od wschodniego wybrzeża Morza Śródziemnego po dorzecze Tygrysu i Eufratu. Półksiężyc ów od dawien dawna stanowił krainę mlekiem i miodem płynącą: urodzajne ziemie, świetne warunki klimatyczne (łagodne, wilgotne zimy i suche, gorące lata). Żyć, nie umierać! Nie dziwota zatem, iż zapewne to właśnie tam zapoczątkowano uprawę roślin, a szczególnie zbóż. Żyzny Półksiężyc jest między innymi ojczyzną pszenicy, jęczmienia, grochu, soczewicy i lnu, które poza nim prawie nigdzie nie występowały w stanie dzikim.

Jeśli wierzyć historykom, tam właśnie narodziła się najstarsza ze znanych nam cywilizacji, która sprawiła, że dzieje Eurazji, a potem i całego świata potoczyły się takim, a nie innym torem.

SUMEROWIE

Nie wiadomo dokładnie, skąd przybyły ludy, które osiedliły się na użyźnianych rzecznym mułem ziemiach między Eufratem i Tygrysem i tym samym dały początek cywilizacji Sumerów. Przypuszcza się, że nie należały do żadnej z grup etnicznych zamieszkujących dawny Wschód. Nie byli też ani Indoeuropejczykami, ani Semitami, ani Chamitami. Jeśli wierzyć legendom, po drodze do Mezopotamii minęli rejon dzisiejszego Bahrajnu nad Zatoką Perską. W związku z tym próbuje się znaleźć ich ojczyznę gdzieś u nasady indyjskiego subkontynentu. Ba, niektórzy sięgają jeszcze dalej, hen aż do terenów dzisiejszego Wietnamu – co oczywiście nie znaczy, iż Sumerowie byli sko-

śnoocy. W owych czasach rasa żółta nie dotarła jeszcze bowiem aż tak daleko na południe. A było to naprawdę dawno temu, albowiem Sumerowie pojawili się w Mezopotamii w IV tysiącleciu przed naszą erą, gdy na sporym obszarze naszego kontynentu i okolic trwał jeszcze neolit. Następnie podporządkowali sobie miejscowe ludy, rozpoczynając swe długie i chwalebne dzieje.

Irygacja znaczy cywilizacja

Owo podporządkowywanie przyszło zapewne Sumerom dosyć łatwo, bowiem aby w Mezopotamii przetrwać, trzeba było łączyć się, współpracować, organizować. Rejony Tygrysu i Eufratu urodzajne stają się jedynie wtedy, kiedy znajdujące się na ich terenie pola nawadniane są za pomocą rozległego systemu kanałów irygacyjnych. A budowa oraz utrzymanie podobnego systemu to zadania, które sprawnie wykonywać można wyłącznie kolektywnie. Konieczność opiekowania się kanałami wymusiła przetkształcenie się wspólnoty rodowej w wiejską oraz wyspecjalizowanie się grup produkujących żywność (czyli rolników) oraz rzemieślników. Jednak aby sprawnie zarządzać całym systemem nawadniania, wsie musiały działać razem. W efekcie połączyły się w jeszcze większe organizmy, czyli pierwsze państwa. Początkowo – na przykład u Sumerów – owe państwa nie były większe niż jedno miasto.

Życie sumeryjskiego miasta kręciło się wokół świątyni, dookoła której wyrastały urzędy, spichrze, rzemieślnicze warsztaty. Jak można się już domyślić, owymi państewkami rządzili kapłani, tytułowani ensi, którzy zgromadzili w swoich rękach całą władzę – nad wojskiem, administracją i sądownictwem. Z czasem silną pozycję uzyskał też naczelnik wojskowy, pierwowzór króla, otoczony wierną drużyną zbrojnych, zalążkiem arystokracji.

Pożytek z Sumerów

W takich oto warunkach, zajmując się głównie hodowlą i rolnictwem, Sumerowie wymyślali rzeczy, bez których nasza cywilizacja wyglądałaby całkiem inaczej, jeśli w ogóle by powstała...

Około roku 3000 p.n.e Sumerowie wynaleźli koło garncarskie, a następnie koło do wozu, co absolutnie zrewolucjonizowało transport. Od tej pory można było przewozić po suchym lądzie niemal wszystko, i to w sposób szybki oraz wygodny. To również Sumerowie wpadli na pomysł, aby z gliny formować prostokątne bryły (cegły!) i następnie wykorzystać je jako budulec do stawiania domów. Początkowo w Mezopotamii budowano z cegieł surowych, potem jednak wprowadzono innowacje takie jak suszenie oraz wypalanie.

Najprawdopodobniej to właśnie Sumerowie pierwszy raz połączyli miedź z cyną, tworząc brąz i definitywnie kończąc epokę kamienia łupanego. No i to oni opracowali pismo, wpierw obrazkowe, a potem fonetyczne (oddające wymowę słów). I nie chodzi tu jedynie o wymyślenie alfabetu (w ich wypadku był to tzw. alfabet klinowy), ale w ogóle o pismo jako takie. To Sumerom zawdzięczamy pomysł, by mówione słowa utrwalać za pomocą systemu znaków. Wpadli nań pierwsi, choć po nich, niezależnie, zrobili to także meksykańscy Indianie, Egipcjanie oraz Chińczycy. Mało kto wie, iż w Europie czytamy od lewej do prawej, od góry do dołu, a także układamy test w linie oraz kolumny, bo właśnie tak zrobili to po raz pierwszy Sumerowie!

Pismo pomogło mieszkańcom południowej Mezopotamii regulować swoje życie dzięki najstarszym znanym nam kodeksom praw. Sumerowie alfabet wykorzystali również w celach mniej praktycznych, tworząc pierwsze arcydzieła światowej literatury. Spisali bowiem wiele mitologicznych epopei, w tym przesławnego Gilgamesza.

To nie koniec... Prawdopodobnie po jakieś sporej powodzi, o którą między dwoma wielkimi rzekami nietrudno, Sumerowie wymyślili opowieści o potopie, przejęte później przez Hebrajczyków. Dali im też pożywkę do opowieści o wieży Babel – oni to bowiem zaczęli stawiać najwyższe wówczas budowle, schodkowe świątynie nazywane zigguratami. Jak na możliwości ówczesnej techniki, były to istne drapacze chmur! A wznoszono je tak wysoko, aby zbliżyć się do zamieszkujących niebo bogów. I niech ktoś powie, że religia hamuje postęp...

Koniec Sumerów

Sumerowie nigdy nie stworzyli jednolitego państwa (choć prawdopodobnie od czasu do czasu usiłowali). A ponieważ zajmowane przez nich tereny nie mają naturalnych zapór chroniących przed rozmaitymi inwazjami, stawali się ofiarami obcych, semickich najeźdźców korzystających skwapliwie z owego rozdrobnienia. Około 2300 roku przed naszą erą dzielni Akadowie, korzystający z wielce nowoczesnej jak na owe czasy broni – łuku – pokonali Sumerów. I na gruzach ich miast stworzyli własne państwo. Jednak około 2100 roku Sumerowie zdołali wyzwolić się spod obcego panowania. Ten renesans trwał do mniej więcej połowy II tysiąclecia przed naszą erą, kiedy to ostateczny cios zadali Sumerom inni Semici, lud Amorytów z głównym ośrodkiem w Babilonie. Owi Amoryci, jak zresztą chyba wszyscy w okolicy, czerpali z sumeryjskiego dorobku obficie i chętnie. Ostatecznie też wchłonęli Sumerów i to tak skutecznie, że o istnieniu tej starożytnej cywilizacji dowiedzieliśmy się dopiero w 1850 roku naszej ery.

NASTĘPCY SUMERÓW

Hammurabi

Następcy Sumerów wydają się karłami stojącymi na barkach olbrzymów, ale przyznać trzeba, że jak na karły osiągnięcia mieli całkiem niezłe. Starczy wspomnieć Amorytę Hammurabiego (panującego w latach 1728-1686 p.n.e.), autora słynnego kodeksu („oko za oko, ząb za ząb") i pomysłodawcę rozbudowy Babilonu, miasta założonego przez Sumerów, które szybko stało się centrum kulturalnym i politycznym całej Mezopotamii. To również Hammurabi wprowadził w Babilonie kult semickiego boga Marduka, usuwając w cień sumeryjskich bożków, kazał wznosić imponujące budowle, w tym ziggurat Etemanki uznawany za jeden z pierwowzorów biblijnej wieży Babel. Panował nad rozległym i po raz pierwszy od wieków zjednoczonym krajem między rzekami, dbając o to, by miał on dobre prawa i dobrą gospodarkę. Stworzył coś na kształt systemu feudalnego – nagradzał ziemią królewską pracowników swej administracji, budował też swoistą klasę rycerzy, dając chłopom ziemię w zamian za służbę wojskową. Choć w sumie interes nie był chyba najlepszy, bo z powodu licznych wojen właściwie nie było kiedy owej ziemi uprawiać.

Asyria

Nic, co piękne, nie trwa wiecznie. Od imperium Hammurabiego odłączyła się istniejąca już wówczas na północy Mezopotamii Asyria (Aszur), kraj jeszcze wtedy biedny i zacofany, ale już o wysokich aspiracjach – głównie dzięki bitnym mieszkańcom. W jej ślady poszły następnie nadmorskie rejony Babilonii, aż wreszcie w XVI wieku p.n.e wspaniałe miasto Babilon zniszczyła wielka wyprawa Hetytów. Świetność odzyskało dopiero tysiąc lat później, w pierwszej połowie VI wieku p.n.e. W X wieku p.n.e. Asyryjczycy, którzy od czasów odłączenia się od państwa Hammurabiego zaliczyli parę wzlotów i upadków, odrodzili się po raz kolejny. W 884 r. p.n.e. wzbili się na szczyty, budując największe jak na owe czasy imperium, obejmujące całą Mezopotamię, Palestynę, Cypr, a nawet, czasowo, Egipt (opanowany ok. 671 r. p.n.e. na 15 lat). Swą potęgę zawdzięczali sile militarnej, znakomitej organizacji (wyrażającej się choćby tym, że swe wspaniałe miasta, pałace i biblioteki stawiali na koszt podbitych ludów i ich rękami), a także przerażającej bezwzględności wobec poddanych.

Okazało się jednak, iż nieco przesadzili z podbojami. Nie dali sobie rady z zarządzaniem tak olbrzymim terytorium, które dosyć szybko zaczęło się rozpadać – czego jednym z efektów było odrodzenie się Babilonu i renesans jego siły.

■ Maciej Nowak-Kreyer,
zdjęcia: arch. wydawnictwa Bauer



Antyczne świątynie w Mezopotamii ozdobione są pięknymi freskami, które do tej pory przetrwały w idealnym stanie

Konieczność stworzenia wspólnoty zajmującej się rozbudową oraz utrzymywaniem systemu irygacyjnego zapoczątkowywały istnienie wyżej zorganizowanych kultur na całej niemal Ziemi. Można więc rzec, iż cywilizacja wyszła z kanału...

Bardzo możliwe, że cywilizowani Sumerowie ubierali się jak, nie przymierzając, dzikusi – w skóry, proste przepaski biodrowe, może nawet trzcinowe spódniczki. Upalny klimat Mezopotamii nie sprzyjał rozwojowi sztuki krawieckiej

Bagniste obszary w delcie Tygrysu i Eufratu do niedawna jeszcze zamieszkiwali ludzie zwący się Mad'an (inaczej Arabowie z bagien) i twierdzący, że są potomkami Sumerów

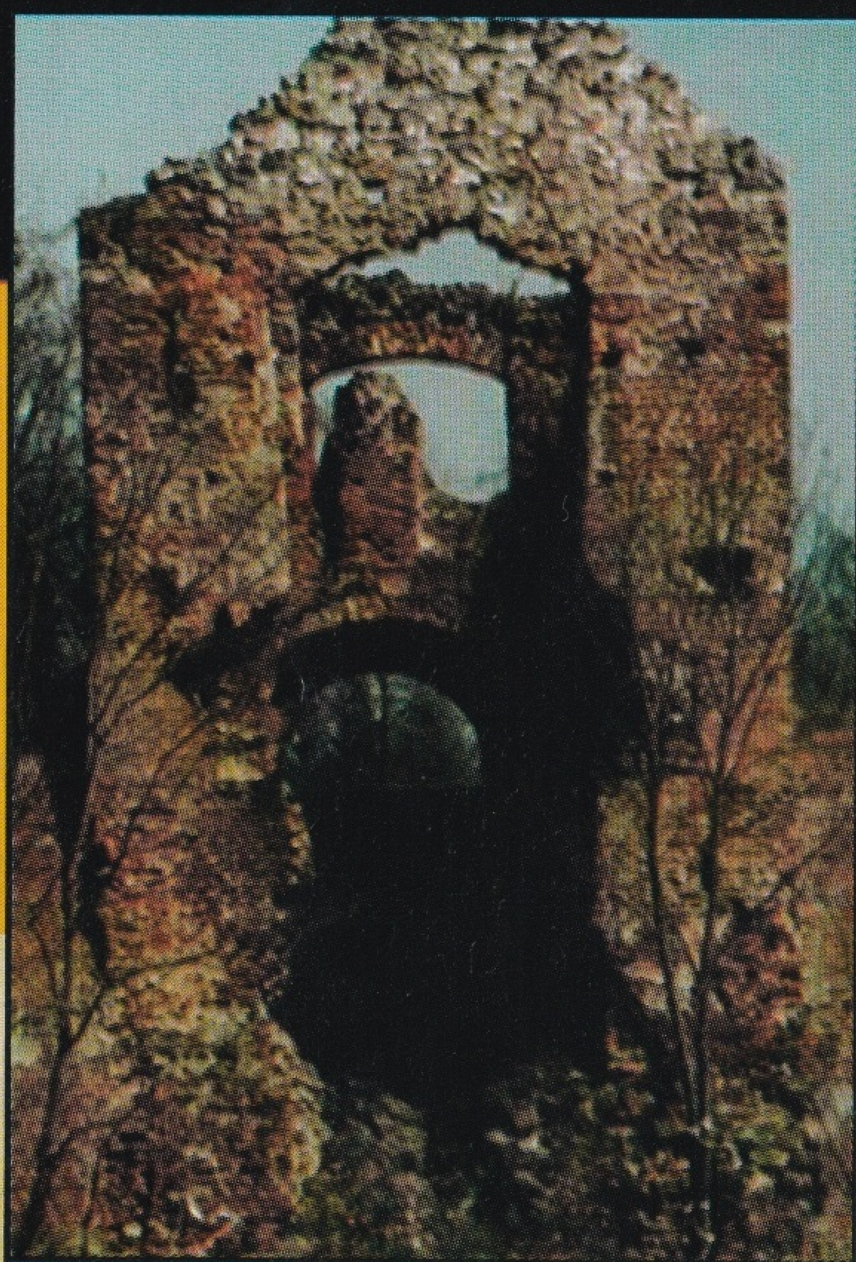
Asyryjczycy przetrwali do czasów współczesnych. Żyją w Iraku, Iranie oraz Syrii. Daleko im jednak do wojowniczych przodków – są chrześcijanami, nestorianami, zajmują się rolnictwem, przede wszystkim uprawą winorośli



Asyryjski król i prawodawca – Hammurabi – przyjmuje egipskich posłów i odbiera od nich szczodre dary

W polskich zamkach i ich ruinach pokazują się czasami duchy tragicznie zmarłych postaci. Często za tymi manifestacjami kryją się dramatyczne historie...

POLSKIE



Tylko ruiny pozostały po świetnym zamku w Dankowie. Ale w lasach można spotkać widmowego jeźdźca – ducha złego kasztelana



Zamek w Dębnie był świadkiem zatrważającego mezaliansu (dziedziczka zakochała się w pachołku)...



Niewiele spotyka się przyjaznych duchów. Ale ujrzenie nowosądeckiego alchemika Sędziwoja wróży rok dobrobytu

Kochankowie z Dębna

Możny ród Tarłów herbu Topór władał zamkiem w Dębnie przez przeszło 200 lat, ale tragiczna historia związana z budowlą zdarzyła się w XVII wieku, na początku rządów tej rodziny. Młodą dziedziczkę fortuny zaręczono z właścicielem pobliskiego Melsztyna. Jednak krew nie woda i piętnastolatka zakochała się w pokojowcu ojca. Przysięgła, że prędzej się zabije, niż wyjdzie za innego. Zwłaszcza że narzeczony, nie dość że dużo starszy, to nie grzeszył urodą. Panna zdecydowała się wyznać wszystko ojcu, licząc na pomoc. Jednak dla możnego arystokraty romans córki z pokojowcem był hańbą nie do zmazania. Chłopak został stracony po torturach, a zakochaną Tarłówę ojciec kazał zamurować w baszcie. Zamurowana została w ślubnych szatach oraz z ogromnym posagiem. W historię tę wierzono tak mocno, że Niemcy w czasie okupacji badali zamek, szukając ukrytych skarbów. Gdzie jednak duch? Otóż legenda mówi, że nieszczęsny kochanek spaceruje po zamkowych salach w stroju z epoki. Jego pojawieniu się towarzyszy świszczący wiatr, przedmioty poruszają się z niewiadomych przyczyn, a wokoło słychać krzyki oraz jęki. W 1946 roku duch wywarł tak wielkie wrażenie na pilnującym zamku milicjancie, że ten wystrzelał w ścianę cały magazynek. Co prawda autor niniejszego tekstu przypuszcza, iż rzeczony milicjant był pod wpływem ducha łacińskiego (czyli spiritu), ale kto wie...

Powrót „księcia alchemików"

Michał Sędziwój (Sendivogius Polonus) to niezwykła postać, której życie oraz dokonania są dość nieźle udokumentowane. Ten wybitny uczony, alchemik i awanturnik, ulubieniec władców, urodził się w okolicach Nowego Sącza. W czasie długiego życia zyskał przyjaźń potężnego cesarza Rudolfa II oraz księcia Wirtembergii Fryderyka III, który nadał mu nawet tytuł barona i stosowne do tytułu włości. Przebywał również przez pewien czas na dworze Zygmunta III Wazy. Od kiedy zmarł w 1646 roku, jego zjawę spotyka się na nowosądeckim rynku. Alchemik, który kroczy rozrzucając wokół złote monety, szczególnie upodobał sobie noc sylwestrową. Sędziwój jest duchem przyjaznym i każdy, kto go spotka, będzie się cieszył przez najbliższy rok szczęściem oraz majątkiem.

Zły kasztelan z Dankowa

Kasztelan krakowski Stanisław Warszycki był jednym z potężniejszych magnatów Pierwszej Rzeczpospolitej. Posiadał zamek w Dankowie, ale tuż przed najazdem szwedzkim postanowił zbudować nieopodal jeszcze wspanialszą fortecę. Aby poprawić jej obronność nakazał wykopać kanały doprowadzające wodę z rzeki Liswarty. Setki pracujących chłopów zmuszano do wysiłku ponad miarę, a sam Warszycki pastwił się nad robotnikami. Jednak nie były to jedyne przewinienia magnata. Młodszą o czterdzieści lat żonę Jadwigę kazał wysadzić w powietrze w wieży, gdzie udała się na schadzkę z kochankiem – księciem Schaffgotschem. Legenda mówi, że zjawa Warszyckiego do tej pory pojawia się w lasach i na mokradłach nieopodal Dankowa. Widziano ją w postaci jeźdźca w futrzanej szubie i z szablą u boku. Czasami jeździec pozbawiony jest głowy! Miejscowi mówią, że zły kasztelan do końca świata skazany jest na patrolowanie swych dawnych włości.

Przeklęta biżuteria

Za czasów Jana III Sobieskiego zamek w Liwiu należał do kasztelana Marcina Kuczyńskiego, który poślubił Ludwikę Szujską – dziedziczkę zubożałego rodu kniaziowskiego. Małżonek obdarzył ją pięknym, brylantowym pierścieniem, który jednak kasztelanowa po jakimś czasie zgubiła. Kuczyński nie był zachwycony, ale jako dobry mąż podarował żonie następny brylantowy pierścień. Kiedy i ten zginął, magnat wpadł w szał, oskarżając żonę, że sprzedała kosztowności, by oddać pieniądze któremuś z kochanków. Ludwika przekonała męża o swej niewinności i (zdziwieni?) otrzymała od niego kolejny pierścień z zapowiedzią, że jeśli i ten zaginie, to kasztelan nie będzie już znał litości. No i pierścień rzecz jasna zaginął. A kasztelanową postawiono przed próbą sądu Bożego. Zamknięta w pustej komnacie miała przez noc wywiercić palcem dziurę w cegle, co przekonałoby ludzi o jej niewinności. Próba ta oczywiście się nie powiodła, a kasztelanową skazano na śmierć i ścięto. W kilka dni później wszystkie trzy pierścienie odnaleziono w sroczym gnieździe... Niedługo potem zrozpaczony Kuczyński rzucił się z wieży zamkowej, choć byli i tacy, którzy widzieli, że z murów strąca go widmo



DUCHY



zamordowanej żony. Do tej pory w zamienionych w muzeum salach zamku oraz na dziedzińcu i nieopodal baszty można spotkać zjawę kasztelanowej. Ubrana jest w brązową suknię, a na głowie nosi żółty czepek z tego samego koloru woalką spływającą aż do stóp.

Sroga wdowa z Suchej

Anna Konstancja Lubomirska odziedziczyła po mężach (Wielopolskim i Małachowskim) olbrzymią fortunę, którą zarządzała na przełomie XVII i XVIII wieku. I zarządzała wyjątkowo twardą ręką, karząc poddanych za najmniejsze nieposłuszeństwo batami oraz więzieniem. Prowadziła również wyprawy przeciwko miejscowym rozbójnikom, którzy z jej rozkazu byli natychmiast zabijani, a Lubomirska z przyjemnością przyglądała się kaźniom. Po śmierci nie zaznała spokoju. Jej duch pojawia się w Suchej Beskidzkiej na cmentarzu, nieopodal kościoła i na zamkowym dziedzińcu. Widmową postać we wdowim welonie widzieli członkowie straży obywatelskiej patrolujące te tereny w latach dwudziestych naszego wieku, wywołała także panikę wśród niemieckiego garnizonu w czasie okupacji. Podobno na murze do tej pory widać ślady po salwach wystrzelonych przez faszystowskich żołnierzy.

Mężobójczyni z Grodna

Żyjąca w XV wieku piękna spadkobierczyni magnackiej fortuny – Magdalena von Zeidlitz – została wydana za mąż za dużo starszego, niegrzeszącego urodą barona. Zaprosiła go kiedyś na spacer po zamkowych murach, po czym zepchnęła w przepaść. Jej lamenty i próby udowodnienia, że był to tylko wypadek, nie zdały się na nic, gdyż całe zdarzenie widział ojciec Magdaleny. Jako człowiek surowy i prawy nie znał litości nawet dla własnej córki. Kazał ją zamurować w lochu. Kościotrupa znaleziono na początku XX wieku, chociaż sceptycy twierdzą, że była to „sztuczka" właścicieli zamku, którzy chcieli za pomocą ciekawej i strasznej legendy przyciągnąć zwiedzających. Jednak mówi się, że wielu ludzi widziało w jasne noce spacerującą po murach zjawę w białej sukni, która punktualnie o dwunastej rzuca się w przepaść.

Husarz z Krzyżtopora

Krzysztof Baldwin Ossoliński, arystokrata i oficer husarski, padł na placu boju pod Zborowem broniąc Polski przed tureckimi hordami. Jednak zanim wieść o jego śmierci dotarła do zamku, pewnej nocy straż usłyszała, jak ktoś wali ostrzem kopii w bramę. W strugach deszczu zobaczono postać husarza. Jednak kiedy wrota otworzono, okazało się, że dziedziniec jest pusty, a w błocie nie ma śladów końskich kopyt. To dzielny husarz przybył po śmierci, by zobaczyć rodzinny zamek. Jednak Ossoliński pojawia się podobno do dnia dzisiejszego. Na zamkowych murach można czsem dostrzec postać jeźdźca na bojowym rumaku. Z ramion wyrastają mu charakterystyczne, husarskie skrzydła.

Duchy Pieskowej Skały

W roku 1580 król Stefan Batory skazał na śmierć Krzysztofa Szafrańca – właściciela zamku na Pieskowej Skale. Do tej pory otulone opończą z kapturem widmo (ubranie ma ukrywać odciętą głowę) pojawia się na terenie dawnej posiadłości. Jednak nie jest to jedyny duch z Pieskowej Skały. Widziano tam również widmo kobiecej postaci w czerni. Podobno jest to kasztelanowa Dorota, którą mąż podsłuchał, kiedy spowiadała się z miłości do przystojnego barda. Została wtrącona do lochu i zagłodzona na śmierć.

Diabeł z Łańcuta

Żyjący w siedemnastym wieku starosta zygwulski, Stanisław Stadnicki, to jedna z barwniejszych postaci epoki. Łotr, złodziej i morderca zebrał bandę podobnych do siebie łajdaków, na czele której terroryzował okolicę. Kpił sobie z wyroków sądowych i władzy królewskiej, ale został w końcu zamordowany przez jednego z towarzyszy. Do tej pory jego widmo pojawia się w okolicach Łańcuta w postaci jeźdźca galopującego na czarnym koniu. Podobno też widziano go przechadzającego się po komnatach w najstarszej części pałacu.

■ Andrzej Zaremba, zdj. archiwum wyd. Bauer



↑ Trzy pierścienie stały się przekleństwem Ludwiki Szujskiej – kasztelanowej na liwskim zamku. Teraz na jego murach straszy w postaci Żółtej Damy



↑ W lochach zamku w Grodnie zamurowano żywcem mężobójczynię. Po kilku wiekach w celi odnaleziono szkielet kobiety. Duch straszy dalej...



↑ Do bram zamku w Krzyżtoporze zastukał powracający z bitwy husarz... Po tygodniach dowiedziano się, że w tej samej chwili zginął na Dzikich Polach



↑ Panem na zamku w Łańcucie był Stanisław Stadnicki – człowiek, który nie liczył się nie tylko z prawem, ale nawet z samym królem

Świat wokół nas tylko na pozór jest zwyczajny i dokładnie taki, jakim się wydaje...

Chyba żaden z mieszkańców Manhattanu nie przypuszcza, że dwieście lat temu ich wyspa miała być odcięta, obrócona i przyszyta do lądu na nowo

PRAWDZIWE



Postęp cywilizacyjny jest nieubłagany – zaledwie 30 lat wystarczyło, aby członkowie dzikiego plemienia zamienili się w zwyczajnych farmerów



Do udokumentowania istnienia wróżek wystarczy prosty aparat i... fotograf w wieku lat 16. Niestety, dorosłym magiczne istotki nie ukazują się tak chętnie

Anatol France, laureat literackiej nagrody Nobla z 1921 roku, powiedział kiedyś, iż bez kłamstw ludzkość zanudziłaby się na śmierć. Nic dziwnego, że w zalewie informacji, jakim raczą nas media, coraz trudniej w cokolwiek uwierzyć. Szokujące newsy uderzają z szybkością błyskawicy, by chwilę później zniknąć z nagłówków gazet i już nigdy nie powrócić. W efekcie czytelnicy coraz częściej nie wiedzą, w co wierzyć, a w co nie. Czy to prawda, że sklonowali człowieka, a koza z Irlandii ma siedem nóg? Dziś ludzie wierzą we wszystko... bądź nie wierzą w nic.

Uwierzyli...

Odwrócić Manhattan

Latem 1824 roku dwa potężne przypływy podtopiły południową część Manhattanu. Wśród zamieszkujących wyspę robotników rozeszła się plotka, że wyspa osiada i za kilkadziesiąt lat zniknie z powierzchni Ziemi. Teorię tę powtórzyły brukowe media, powołując się na opinie „zaprzyjaźnionych naukowców". Ich zdaniem intensywne zabudowywanie Manhattanu powodowało wzrost masy całkowitej dzielnicy i osuwanie się ziemi w głąb morza. Robotnicy kilkukrotnie spotkali się przy piwie, rozważając, jak rozwiązać ten problem. Pewnego dnia jeden z pracujących na Manhattanie cieśli, opisywany w kronikach jako Lozier, zaproponował akcję społeczną mającą uratować wyspę. Jego zdaniem należało przeciąć wyspę na pół, mniej więcej na poziomie ulicy Kingsbridge, po czym zagrożoną część zewnętrzną odholować na morze, odwrócić o 180 stopni, przyciągnąć i przyszyć z powrotem do stałego lądu. Lozier podjął się zorganizowania całej operacji. Gdy okazało się, że sprawa nie rozejdzie się po kościach, zaczął zatrudniać ludzi gotowych dokonać chirurgicznego cięcia. Pod wpływem presji społecznej podał nawet datę, kiedy wyspa zostanie przecięta i obrócona.

Niestety, gdy ustalonego dnia dwie kilkusetosobowe „grupy ratunkowe" zebrały się po dwóch przeciwnych stronach wyspy, Lozier nie przybył na miejsce. Więcej już go w Nowym Jorku nie widziano...

Wróżki z Zachodniego Yorkshire

W niewielkiej miejscowości Cottingly w brytyjskim Yorkshire mieszkały w 1917 roku dwie urocze dziewczynki – 16-letnia Elsie Wright i jej 10-letnia kuzynka Frances Griffiths. Obie spędzały czas, bawiąc się w pobliskich lasach. Utrzymywały, że spotkają się tam z magicznym kotem i latającymi wróżkami. Dorośli nie dali im wiary...

Pewnego dnia Elsie pożyczyła od ojca aparat fotograficzny. Jakież było jego zdziwienie, gdy na wywołanych zdjęciach ujrzał dzieci w towarzystwie prawdziwych wróżek! Po paru latach o magicznych stworach z lasu nieopodal Cottingly wiedział już cały świat. Autentyczność zdjęć badali liczni naukowcy i nawet sam Artur Conan Doyle, twórca postaci Sherlocka Holmesa, nie doszukał się w nich jakiegokolwiek fałszu. Dopiero w 1983 roku babcie Wright i Griffiths przyznały, że wycięły wróżki z bristolu...

Zaginione plemię

Ponad 30 lat temu samotny myśliwy Dafal, przeczesujący filipińską wyspę Mindanao, dotarł do niezbyt dobrze zbadanej prowincji Południowe Catabato, gdzie natknął się na zaginione plemię Tasaday. Krępi mulaci zamieszkiwali pobliskie jaskinie, nosili stroje uszyte z liści, a do pracy wykorzystywali narzędzia zrobione z kamienia. Pod względem cywilizacyjnym przypominali ludzi z epoki kamienia łupanego!

Poinformowany o odkryciu wysoki urzędnik filipiński Manuel Elizalde skontaktował się z amerykańskim oddziałem National Geographic, ściągnął też na miejsce NBC i CBS. Dziennikarze i naukowcy potwierdzili prawdziwość słów Dafala. Nakręcony przez nich film dokumentalny zadziwił świat i pobił wszelkie rekordy popularności. Na miejscu błyskawicznie utworzono rezerwat przyrodniczy. Pozwoliło to Manuelowi Elizalde i jego bezpośredniemu przełożonemu, prezydentowi Marcosowi, zyskać światową sławę, a przy okazji nieźle zarobić. Podziwiać Tasaday'ów przyjeżdżali bowiem najbogatsi ludzie z całego świata, m. in. Gina Lollobrigida i Charles Lindbergh.

W 1974 roku rezerwat został zamknięty dla zwiedzających. Tym samym Tasaday'owie zostali odcięci od cywilizacji nie tylko szczelną zasłoną dżungli, ale i przepisami prawa. Dopiero dwanaście lat póź-

niej, po śmierci prezydenta Marcosa, do plemienia dotarli kolejni dziennikarze. Okazało się wówczas, że na miejscu żyją... zwykli farmerzy! Ludzie, którzy chodzą w dżinsach i koszulkach Nike'a, zaś do pracy używają nowoczesnych narzędzi! Kilkanaście lat temu ktoś im prawdopodobnie zapłacił, by udawali dzikie plemię.

Głupcy z Syjonu

„Protokoły mędrców Syjonu" ukazały się w 1903 roku na łamach magazynu „Russkoje Znamia". Zawierały zapis rozmów przeprowadzonych przez wpływowych Żydów w Bazylei w 1897 roku, którzy opracowywali strategię przejęcia władzy nad światem. Tekst wzburzył społeczności miast i miasteczek i przyczynił się do licznych pogromów. Ludzie dostali do rąk dowód, że Żydzi stanowią dla świata zagrożenie.

W 1921 roku londyński Times udowodnił, iż „Protokoły mędrców Syjonu" są fałszywką. Zdaniem dziennikarza Phillipa Gravesa zostały one napisane przez pracowników policji carskiej w celu skłócenia emigracji rosyjskiej we Francji i w Stanach Zjednoczonych. Sprytni agenci stworzyli kompilację dzieł żyjącego w połowie XIX wieku paryskiego adwokata M. Jolly'ego (w paryskiej Bibliotece Narodowej odnaleziono egzemplarz z napisanymi cyrylicą adnotacjami), pełnego jadu „Katechizmu" rewolucjonisty Nieczajewa oraz... „Biesów" Dostojewskiego. Całość, zaktualizowana m.in. o wydarzenia z lat 1895-99 we Francji, została zredagowana przez rosyjskiego pisarza Matwieja Gołowińskiego. Odniesienia do „Protokołów mędrców Syjonu" znalazły się w antyżydowskich tekstach Henry'ego Forda oraz w „Mein Kampf" Adolfa Hitlera. W ostatniej dekadzie XX wieku w samym tylko USA dokument wznowiono trzydzieści razy.

King Burger?

Jeden z najlepszych żartów primaaprilisowych przygotowała dla swoich klientów firma Burger King. Jej pracownicy rozesłali w 1998 roku informację prasową, w której podali, że oto wszedł do sprzedaży nowy hamburger – „Whopper dla leworęcznych". Miała to być kanapka przeznaczona dla 32 milionów Amerykanów, którzy sprawniej posługują się lewą ręką. Zawierała co prawda te same składniki co oryginalny Whopper, lecz odwrócono je o 180 stopni. Poprawa redystrybucji ciężaru na dolnej części hamburgera sprawiała, że sałata, sosy i kawałki pomidora nie wypadały z kanapki... Tego samego dnia restauracje sieci Burger King (a także konkurencyjnych fast-foodów) przeżyły istny szturm. Tysiące ludzi dopytywało się o kanapki dla leworęcznych. Ci, którzy wątpili w istnienie odwróconych Whopperów, prosili o kanapki „tradycyjne, takie dla praworęcznych"!

Mikołaj zagrożony

W grudniu 1974 grupa terrorystyczna „Oddziały Scrooge'a" ogłosiła, iż planuje zamach na gubernatora Bieguna Północnego, niejakiego Świętego Mikołaja. Groźbą zajęło się CIA, które... przez blisko 29 lat badało sprawę, trzymając wszelkie związane z nią akta (w tym pięciostronicowy raport) w ścisłej tajemnicy!

Nie uwierzyli...

Białe niedźwiedzie

Ponoć Amerykanom wydaje się, że Polska leży daleko na wschodzie, gdzie po miastach biegają białe niedźwiedzie, a wiatr zawraca... Okazuje się, że niedźwiedzie owszem, mieszkają, tyle że w USA i Kanadzie. Zdjęcie obok zgłoszono na konkurs fotograficzny w jednym z dużych amerykańskich czasopism przyrodniczych, lecz zostało odrzucone, gdyż jury uznało je za podróbkę. Niesłusznie...

Podwodny kosmita?

W Chile morze wyrzuciło na początku lipca szczątki potężnego, kilkunastometrowego, bezkręgowego stworzenia. „Nie wiemy, co to jest" – mówili naukowcy – „ale na pewno nie gigantyczna ośmiornica. Nie jest to też wieloryb czy inny stwór znany nauce. To nawet nie przypomina jakiegokolwiek istniejącego zwierzęcia." Okazało się, że zwierzęcia nie przypominała... skóra zwykłego kaszalota, poddana kompresji na dużej głębokości, a następnie wyrzucona na brzeg.

A jednak Microsoft

Zdjęcie przedstawiające grupkę dziwacznie wyglądających hippisów krążyło przez lata po Sieci z komentarzem „Microsoft 1978. Czy zainwestowałbyś w nich?". Choć dawało się na nim rozpoznać Billa Gatesa i Paula Allena, założycieli największej firmy informatycznej świata, w autentyczność obrazka wierzyli chyba tylko najbardziej naiwni. Tyle że naiwni też miewają rację! Fotografia z ówczesnymi pracownikami Microsoftu powstała w grudniu 1978 roku w Albuquerque.

Po praniu?

To zwierzę teoretycznie nie może istnieć. Nawet jeśli wsadziłbyś dorodnego kota czy futerkowego królika do pralki i zafundował mu program mycie-wirowanie-suszenie, nie uzyskałbyś aż tak zarośniętego futrzaka. A jednak... Zdjęcie obok przedstawia królika brytyjskiego angorskiego, światowej sławy czempiona i zdobywcę wielu nagród. Jego turniejowi rywale wyglądają podobnie!

■ Michał Zacharzewski, zdj. archiwum wyd. Bauer

KŁAMSTWA


Morskie głębiny nadal kryją wiele sekretów. Jakie myśli mogą najść człowieka, gdy znajdzie na plaży dziwaczną pozostałość po „czymś dużym i obcym"?


Jak widać, miśki wcale nie stronią od siedzib ludzkich. Nie tylko w USA...


Microsoft family. To im zawdzięczasz „rodzinkę Windows"


Tak zarośnięty zwierzak przyda się każdemu kominiarzowi...



Tak skończyłby Święty Mikołaj, gdyby nie szybka akcja CIA


To nie jest zwykły hamurger... W lewej łapie rozpada się na części!!!





GWIAZDY

Maciej Dowbor

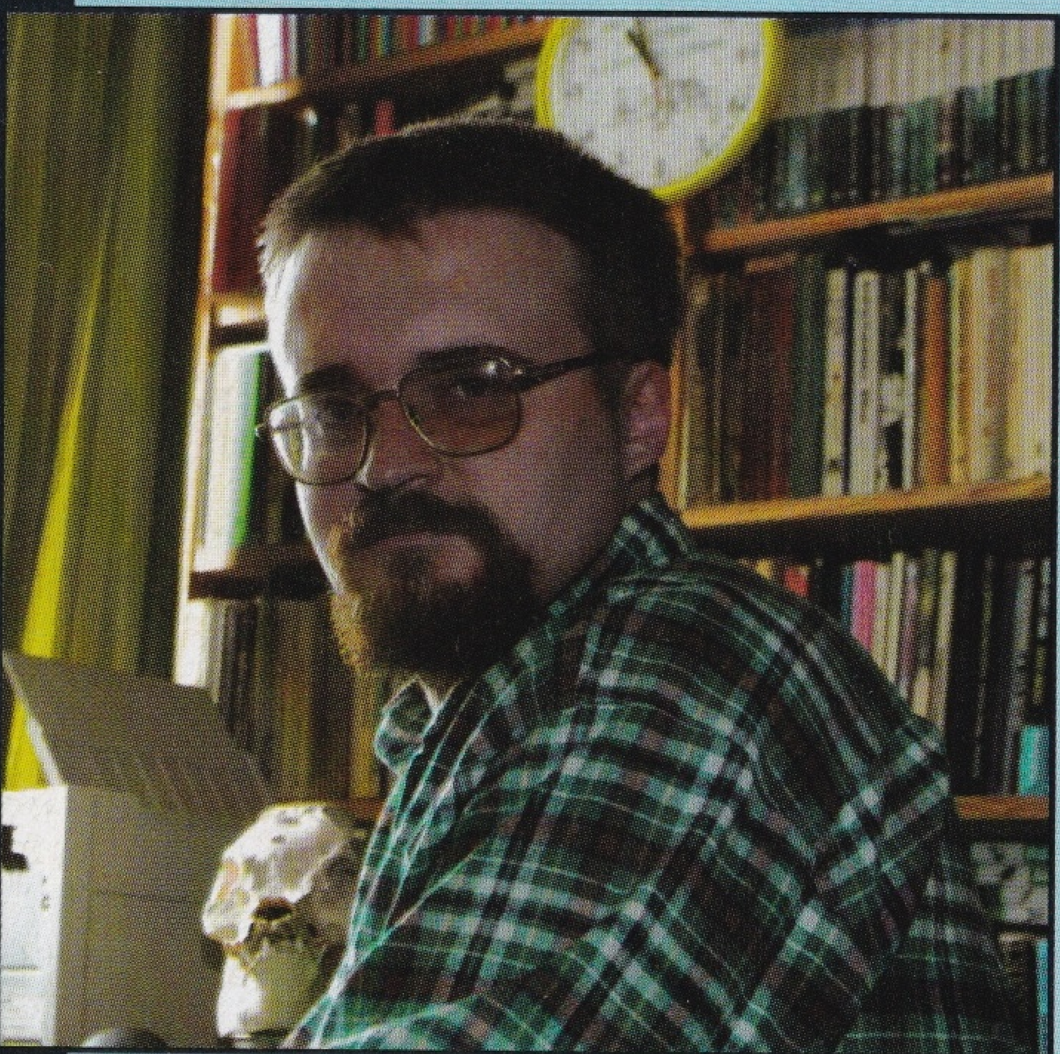
Ludzie lubią się bać

Myślę, że nie jesteśmy sami we wszechświecie. Często słyszy się informacje w mediach o UFO, o jakiś zjawiskach, które trudno racjonalnie wytłumaczyć. Czasami wydają się nieco przesadzone, ale jest to temat intrygujący. Nie pasjonuję się poszukiwaniem i wyjaśnianiem zjawisk paranormalnych. Pamiętam jednak, że jako nastolatek bawiłem się wraz z rówieśnikami w wywoływanie duchów. Było to i emocjonujące, i śmieszne, zwłaszcza gdy okazało się, że współuczestnicy zabawy manipulują talerzem. Temat science-fiction czy horror nie jest mi jednak zupełnie obcy. Z przyjemnością i lekkim dreszczykiem emocji obejrzałem film „Inni" z Nicole Kidman czy „Szósty zmysł" z Bruce'm Willisem. Taka tematyka w kinie jest bardzo interesująca. Także reportaży czy opowieści słucha się i czyta z zaciekawieniem. Jako nastolatek lubiłem czytać komiksy science-fiction, ale nie jestem fanem Sapkowskiego czy Tolkiena. Ta tematyka nie jest mi bliska. Myślę, że ludzie lubią się bać. Lubią, gdy podnosi się adrenalina, gdy rodzą się emocje. Ja osobiście ani nikt z moich bliskich nie doświadczyliśmy sytuacji nadprzyrodzonych. Jestem sceptykiem i twardo stąpam po ziemi. Ale przecież istnieje wiele tajemnic rządu amerykańskiego, dotyczących dziwnych, intrygujących zdarzeń, takich jak np. Roswell, więc coś musi w tym być. Jestem jednak realistą i wszystko, co rzeczywiste, jest mi bliższe.

Andrzej Pilipiuk

Sceptycznie

Staram się twardo stąpać po ziemi. Dlatego nie wierzę w UFO – a przynajmniej nie wierzę w nie bezkrytycznie. Może i faktycznie ludzie widzą różne rzeczy na niebie. Jednak czy od razu należy przypisywać te manifestacje Obcym? Telekineza jest prostsza do wyjaśnienia. Jesteśmy tylko odbiciem istot czterowymiarowych. Niektórzy z nas są w stanie dzięki jakiejś anomalii zapanować na chwilę nad częściami ciała istniejącymi w czwartym wymiarze i wyginać łyżeczki rękami/mackami, których nie widać. Oczywiście z punktu widzenia istot czterowymiarowych takie działania odbierane są jako nieskoordynowane mimowolne ruchy – objaw choroby psychicznej. Duchy istnieją, ale to też można wyjaśnić racjonalnie. Nasze życie to energia wprawiająca w ruch ciało. W optymalnych warunkach część tej energii może utknąć w strukturze krystalicznej skał wchodzących w skład ścian (zapisywanie dźwięku i obrazu w kryształach jest przecież możliwe). Również w określonych – choć nieznanych nam – warunkach nagrana scena może ulec odtworzeniu. Nikt z moich znajomych ze zjawiskami takimi się nie zetknął, a ja tylko raz. W lesie pod Wielbarkiem miałem wrażenie, że coś siedzi mi na bagażniku roweru. Paskudne uczucie.





Anna Powierza

Telepatia istnieje

Wierzę w zjawiska nadprzyrodzone. O ich istnieniu przekonało mnie pewne doświadczenie sprzed lat. Gdy byłam małą dziewczynką, miałam psa. Byłam do niego bardzo przywiązana. Ponieważ byłam introwertyczką i nie miałam przyjaciół, darzyłam go wyjątkowym uczuciem. Gdy musiałam wyjechać za granicę, pies został pod opieką babci. Tęskniłam, dzwoniłam, pytałam o niego. Wiem, że jemu też mnie brakowało. Pewnej nocy przyśniło mi się, że wyskakuje z mojego łóżka, potem z pokoju. Gdy dotknęłam miejsca, gdzie leżał w moim śnie, jeszcze było ciepłe, a podłoga zaskrzypiała. Wkrótce dowiedziałam się, że wtedy właśnie mój pies zginął pod kołami samochodu. Było to bardzo silne przeżycie. Wiem, że przyszedł się ze mną pożegnać. Wierzę, że telepatia istnieje. Wątek nierealności świata jest bardzo powszechny. Nie można nie wspomnieć literatury czy kina. Nie lubię horrorów, bo się po prostu boję. Uwielbiam natomiast tematykę fantasy. Książki Tolkiena czy Sapkowskiego poznałam dużo wcześniej zanim stały się głośne, zanim na ich podstawie powstały filmy. Moją ulubioną pozycją z tego kręgu jest utwór „Jednym zaklęciem". Jest to najpiękniejsza bajka, jaką znam. Marzy mi się nawet, by zagrać w filmie, którego akcja działaby się w świecie pełnym elfów, by latać z pegazem czy być czarodziejką.

Magdalena Stużyńska

Efekty specjalne mnie nudzą

Nie wierzę w zjawiska nadprzyrodzone, gdyż nigdy nie miałam takich doświadczeń, ale nie wykluczam ich istnienia. Telepatię czy jasnowidzenie traktuję po prostu jako siłę empatii, intuicji i... inteligencji. Czasami lubię obejrzeć film czy przeczytać książkę o tematyce science-fiction, choć nie należą one do mojego ulubionego gatunku. Lubię natomiast filmy fantastyczne, w których występują siły nadprzyrodzone, duchy, niezwykłe zjawiska. Także horrory tego typu, pod warunkiem, że są oderwane od rzeczywistości, nie ma w nich przemocy i realistycznego okrucieństwa. Lubię, gdy rzeczywistość w filmie okazuje się być czymś zupełnie innym niż początkowo można było przypuszczać. Jednym z moich ulubionych horrorów jest „Dziecko Rosemary" Romana Polańskiego, w którym groza i niepokój narastają, a świat mocy nadprzyrodzonych przeplata się ze światem rzeczywistym. Szybko nudzę się na filmie science-fiction, w którym można podziwiać wyłącznie efekty specjalne. Jeśli „Raport mniejszości" można zaklasyfikować do gatunku s-f, to jest godny uwagi, bo niesie ze sobą coś więcej niż tylko imponujący obraz futurystycznej cywilizacji.



Jolanta Fajkowska

Tylko jedno zjawisko nadprzyrodzone

Nie wierzę w duchy, telepatię czy jasnowidzenie. Jako nastolatka nie bawiłam się z rówieśnikami w wywoływanie duchów. Jest mi to obce. Wierzę w jedno zjawisko nadprzyrodzone – miłość. Porozumienie dusz to moim zdaniem jedyny cud, jaki się zdarza. Jeśli mnie ustrzeli takie uczucie, traktuję je jako coś nadzwyczajnego. Tematyka science-fiction czy horror nie jest mi obca. Nie omijam nowości kinowych. Jeśli chodzi o literaturę, to Sapkowski czy Tolkien to dla mnie klasyka. Jest to zjawisko kulturowe i z nawyku czytam takie książki, ale tematykę tą traktuję racjonalnie.

I TAJEMNICE

Anna Mucha

Nie lubię bajek dla dorosłych

Nie wierzę w duchy, telepatię i w zjawiska nadprzyrodzone, chociaż... może nie do końca. Gdy zdawałam maturę, przytrafiło mi się coś dziwnego. Na dzień przed egzaminem okazało się, że ostatnia kartka z pytaniami z języka polskiego nie została, nie wiadomo dlaczego, skserowana. Byłam dobrze przygotowana z wyjątkiem literatury science-fiction, fantasy, której, mówiąc szczerze, nie cierpię. Przed wejściem na salę egzaminacyjną stwierdziłam, że jeśli wylosuję ten zestaw pytań, to będzie dramat. Niestety, tak się stało. Ostatnie pytanie z mojego zestawu dotyczyło literatury science-fiction. Wpadłam w panikę. Na dwa pierwsze odpowiedziałam bezbłędnie, przy ostatnim zaczęły się problemy. Odpowiadałam, krążąc wokół tematu. Pani dyrektor chciała mi pomóc i zapytała o Juliusza Verne'a. Wtedy udając zdziwienie, stwierdziłam: jeśli już o to chodzi, to trzeba wspomnieć o... i tu już posypały się nazwiska i tytuły książek. Maturę zdałam na piątkę.

Za literaturą science-fiction nie przepadam, ale śledzę nowości kinowe. Nie lubię jednak historii nierealnych. To bajki dla dorosłych. Dla mnie fabuła filmowa powinna być odzwierciedleniem rzeczywistości, a nie czymś zupełnie wymyślonym. Interesujące wydają się filmy, w których jest element pozaziemski, np. jakaś choroba, z którą ludzie muszą sobie poradzić. Gdy proporcje są odwrotne, film wydaje mi się mniej ciekawy.

■ Z gwiazdami rozmawiała Jolanta Lisowska, zdj.: archiwum wyd. Bauer



NOWOŚCI WYDAWNICZE

Sandman Dom lalki *Część I i II*

- Neil Gaiman, Mike Dringenberg, Chris Bachalo, Michael Zulli, Malcolm Jones III, Steve Parkhouse, Robbie Busch
- Egmont Polska, kolor, 24.90 zł

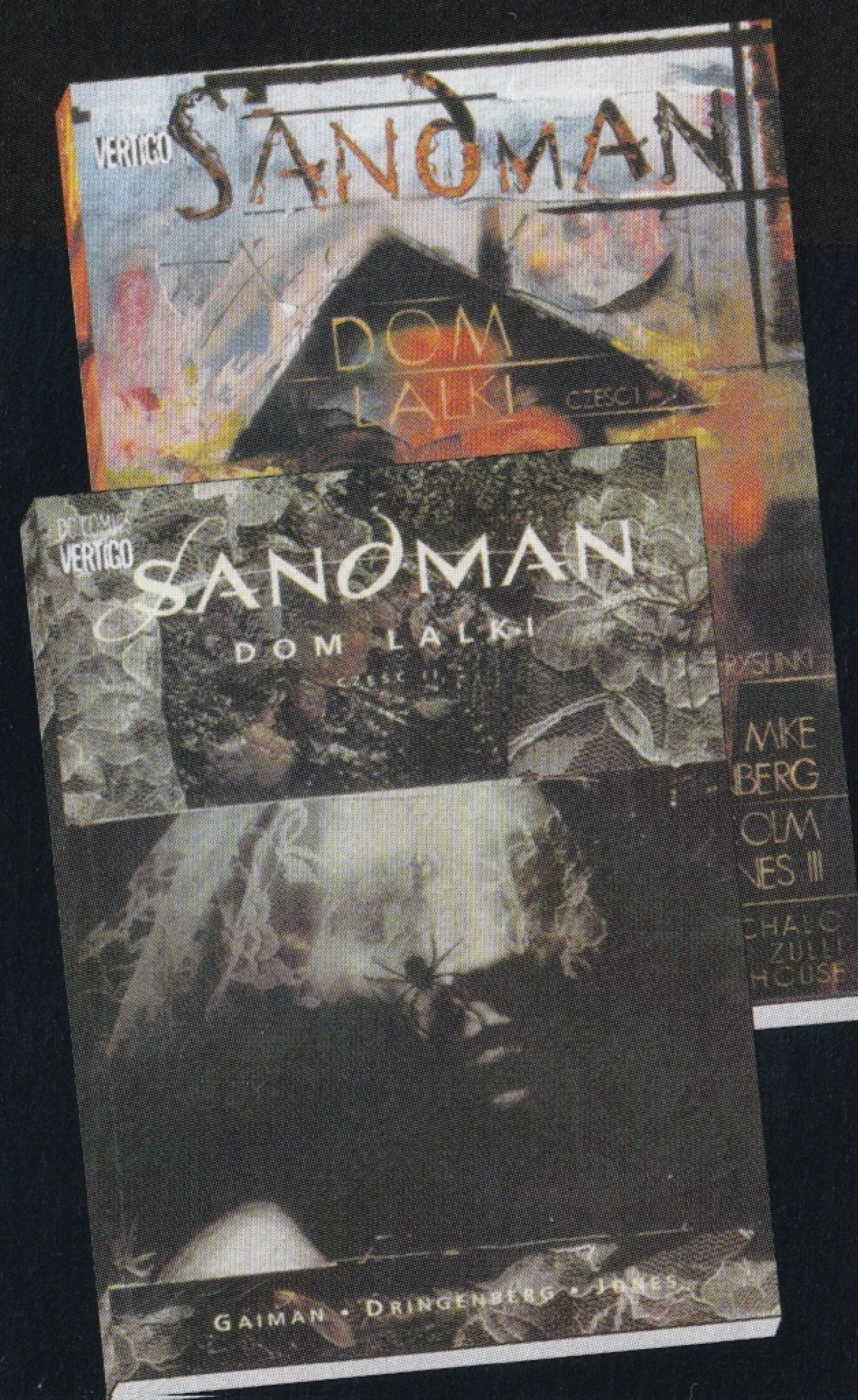
Fabuła

Na kolejne tomy „Sandmana" czytelnicy czekają z niecierpliwością. Pierwsze albumy cyklu zdumiały i zaskoczyły. Reaktywacja „unowocześnionego" bohatera bajek w wykonaniu Gaimana okazała się mroczna i niepokojąca. Przyciągając nowatorskim ujęciem fabularnym i graficznym, jednocześnie zniechęciła wielu zwolenników komiksu tradycyjnego. „Dom lalek" to dwutomowa opowieść o snach na... jawie. Przenikające do rzeczywistości twory Morfeusza szukają tu własnego miejsca, a my poznajemy ich losy – powikłane tak samo jak osobowości. Tłem, a zarazem spinającą fabularną klamrą jest historia pewnej rodziny – trzech niezwykłych kobiet szukających swego miejsca w świecie snu.

Historia jest niezwykle bogata, z misternie splecioną fabułą. To niezwykły pokaz umiejętności narratorskich oraz wyobraźni Gaimana, potrafiącego zaskakiwać nie tylko pojedynczymi rozwiązaniami fabularnymi, ale całą konstrukcją akcji. Pozornie chaotyczne wydarzenia dopiero z pewnej perspektywy nabierają sensu, układają się w pewną całość, lecz bynajmniej nie po to, aby cokolwiek wyjaśnić. Podsycają raczej ów sączący się z kart niepokój, a czytelnik w niepewności czeka na kolejny album. Nowatorskie ujęcie postaci Sandmana może niekiedy zniechęcić. Sama budowa komiksu z pewnością nie ułatwia lektury, aczkolwiek stwarza bogate pole dla wyobraźni czytelnika.

Rysunek

Na nic zdałyby się wysublimowane wizje scenarzysty, gdyby nie równie oryginalne ujęcie graficzne. Oszczędne w gestach i mimice postaci, poprzez nadnaturalny, nieludzki spokój nadają historii nieco senny rytm. Głównym narzędziem dynamizowania akcji jest natomiast urozmaicone kadrowanie i jeszcze bardziej wyszukane konstrukcje poszczególnych plansz – od tradycyjnych (bardzo niewiele), po najprzeróżniejsze kombinacje przestrzenne. Całość znakomicie dopełnia surowa, oszczędna, nanoszona plamami kolorystyka. Niestety, podejrzewam, że nasycenie barw to już raczej kwestia polskiego wydania.

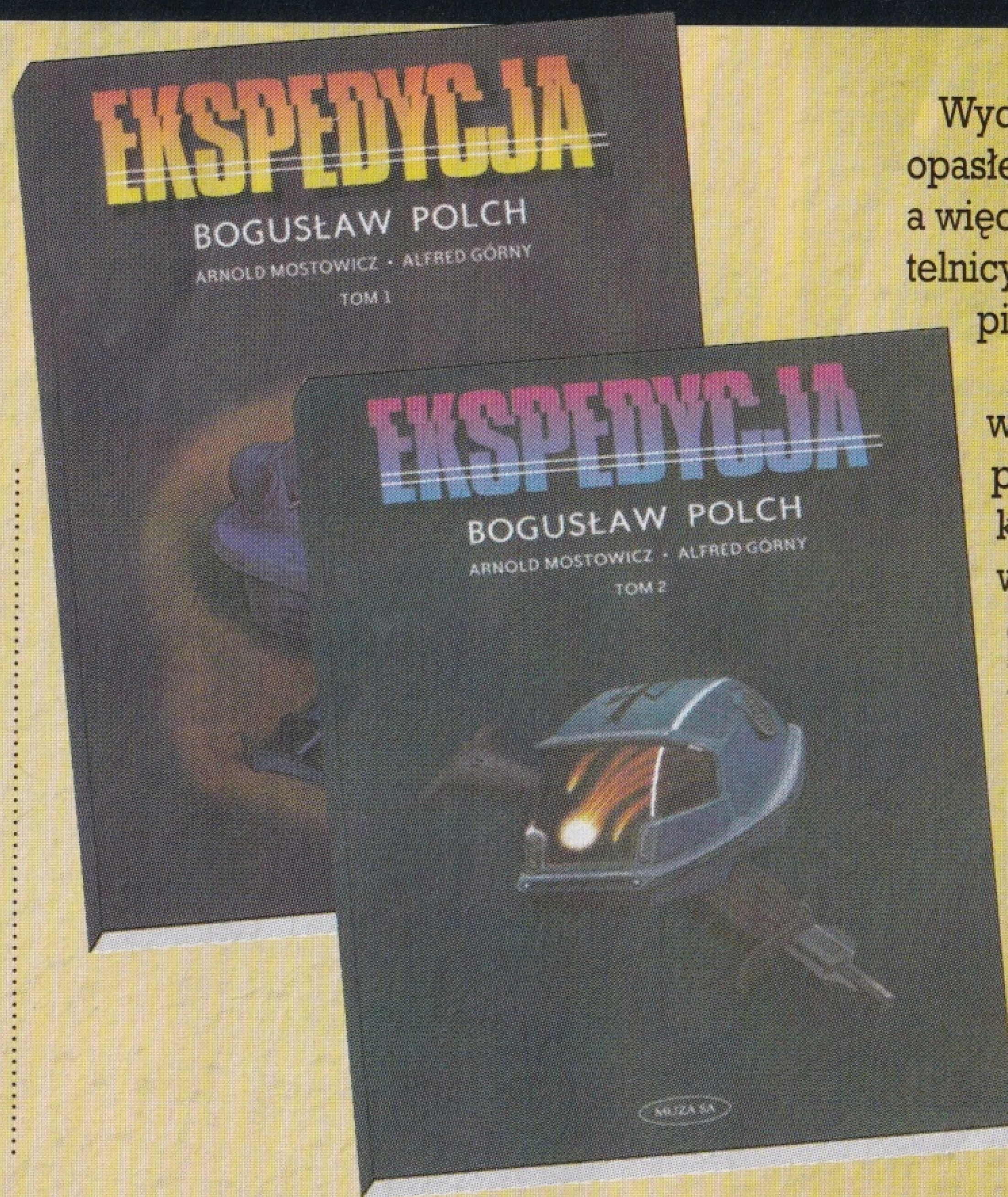


Ekspedycja Tom I i II

- Arnold Mostowicz, Alfred Górny, Bogusław Polch,
- Muza, 196 str., kolor, 49.99 zł

Fabuła

20 lat upłynęło od czasu, gdy w ręce polskich czytelników trafił album „Lądowanie w Andach", który natychmiast stał się sensacją. Po pierwsze, jako komiks s-f był wówczas „rodzynkiem" w rodzimej produkcji. Po drugie, wykonano go jak na owe czasy niezwykle starannie. Po trzecie, na okładce reklamowała go twarz zyskującego wtedy popularność von Dänikena. Po czwarte... po czwarte, to naprawdę dobra historia!



Wydany przez Muzę zbiór obejmuje dwa opasłe tomy, zawierające całość opowieści, a więc osiem odcinków, z których polscy czytelnicy mieli dotąd szansę poznać siedem pierwszych.

Wątek wizyty obcych cywilizacji i ich wpływu na rozwój ludzkości okazał się popularny nie tylko w Polsce. W naszym kraju jednak, doskonale wpisywał się w lansowany scientystyczny światopogląd pozbawiony wszelkiej metafizyki. Paradoksalnie, właśnie ów propagandowy wydźwięk sprawił, iż dopiero po latach możemy przeczytać ósmą część serii, „Ostatni rozkaz". Ta część jest naprawdę obrazoburcza, chociaż dziś wydaje się mocno pretensjonalna. Pozbawiona została nastroju niejednoznacznej tajemniczości, jaki miały w sobie pierwsze tomy.

Rysunek

Nie tylko scenariusz „Ekspedycji", ale również rysunki trącą dziś już myszką. Dokładniejsze przyjrzenie się ilustracjom ujawnia wiele niedoskonałości w kwestii perspektywy, proporcji postaci, rysów twarzy. Zaletą tej edycji jest natomiast wydobycie pełnej kolorystyki oryginału, rozmytej w pierwotnym wydaniu publikowanym z tomu na tom, na coraz gorszym papierze. Niestety, również Muza nie uniknęła niedoskonałości – na niektórych stronach źle dopasowano kolory, co w przypadku edycji tak monumentalnej wydaje się karygodnym brakoróbstwem. Niemniej należy się cieszyć ze wznowienia tego właśnie cyklu, tak przecież ważnego dla polskiego (i nie tylko!) komiksu. Mimo niedostatków czyta się go wciąż z ogromną przyjemnością.

30 dni nocy

- Steve Niles, Ben Templesmith,
- Mandragora, 90 str., kolor, 24.90 zł

Fabuła

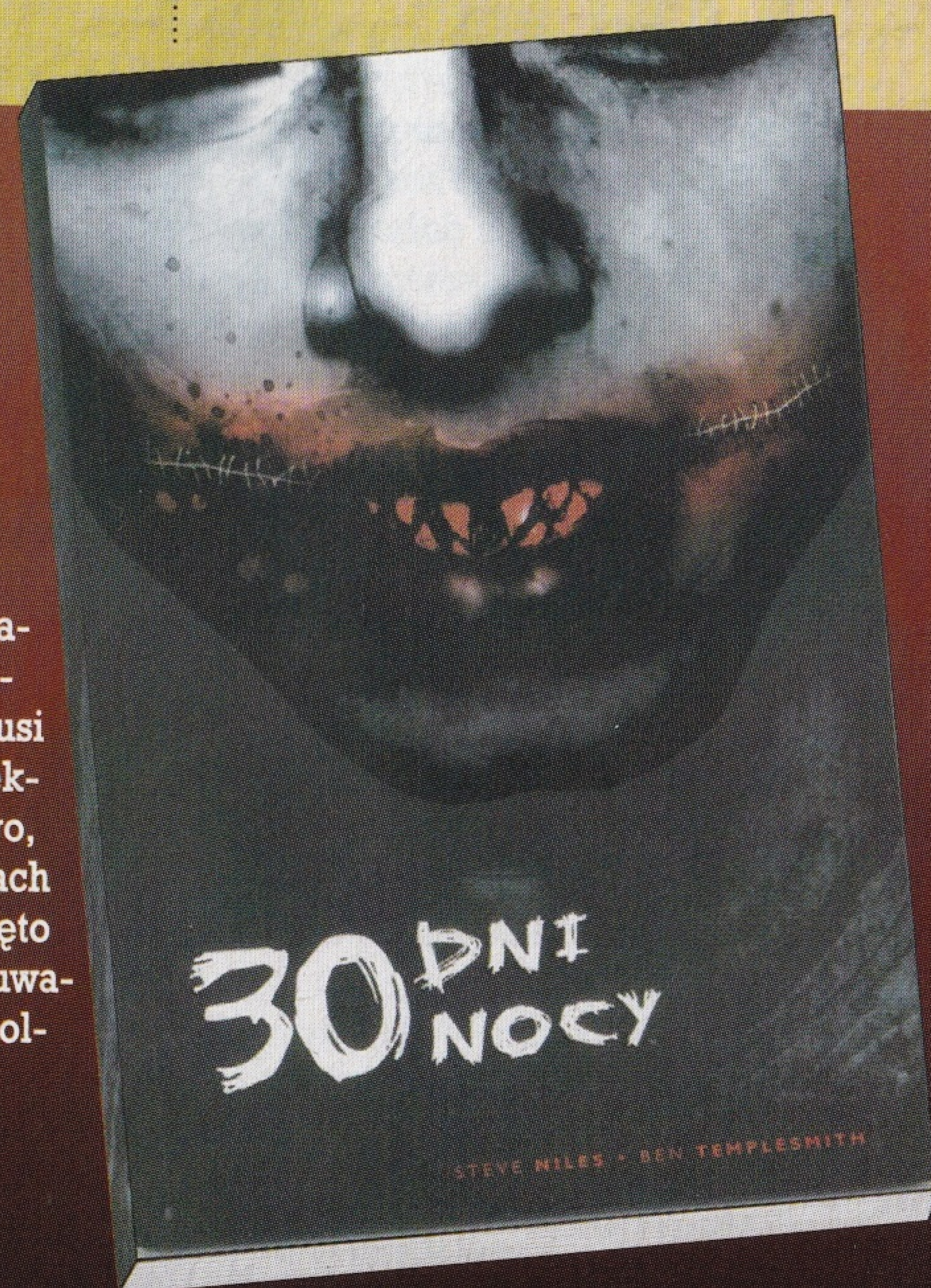
Skoro porą działania wampirów jest noc, to gdzie znajdą one dla siebie lepsze żerowisko, niż na dalekiej Północy pogrążonej w długiej, trzydziestodniowej nocy polarnej? Zwłaszcza, gdy mogą umówić się na wspólne łowy przy pomocy e-maila?

Genialny w swej prostocie pomysł to oś fabuły mrocznej, dekadenckiej opowieści o beznadziejnej walce z mocami zła, o nadziei i o poświęceniu. Niezwykle bogata emocjonalnie historia powoduje liczne skoki adrenaliny. Epatuje strachem ściganych i grozą wszechobecnych, wampirycznych widm.

Rysunek

Najbardziej niezwykła w tym komiksie jest szata graficzna. Malowane farbami ilustracje wyłaniają się zawsze ze spowijającego wszystko mroku nocy. Osadzone są na czarnych planszach i utrzymane głównie w odcieniach szarości. Ich przygnębiający nastrój przemówi dobitnie do najbardziej odpornych na sztukę komiksu. Spowite w ciemność, rozmyte postaci o błyszczących oczach i kłach, umazane wyraźnie odcinającą się od tła czerwienią krwi, przenoszą chłód Alaski i grozę unoszącą się nad sterroryzowanym miasteczkiem daleko poza obszar komiksowych kart. Wypełzające koszmary przenikają na wskroś i nawet w ciepłym pokoju robi się jakby zimniej.

Nie można wszakże zapomnieć, że „30 dni..." to również eksperyment formalny. Bohaterowie w kształcie plam zlewających się z tłem wyróżniają się z szarości czasem tylko przez pojedynczą konturówkę. Niekoniecznie każdemu musi ten styl przypaść do gustu. Największy zaś problem stanowi liternictwo, zwłaszcza w stylizowanych dialogach krwiopijców. W USA komiks przyjęto z wielkim entuzjazmem właśnie z uwagi na oprawę graficzną. Na osąd polskich czytelników musimy jeszcze chwilę zaczekać.



Morderstwa i tajemnice

↘ Neil Gaiman, P. Craig Russel, Lovern Kindzierski,
↘ Egmont Polska, 64 str., kolor, 17.90 zł

Fabuła

Z tezami o geniuszu Gaimana można polemizować, ale obok komiksu takiego jak „Morderstwa" z pewności nie można przejść obojętnie. To nic, że treść znamy już z opowiadania. To nic, że być może ktoś wysłuchał opartego na nim słuchowiska. Nawet wówczas komiks może zaskoczyć, wnieść coś nowego w zbudowane już wizje.

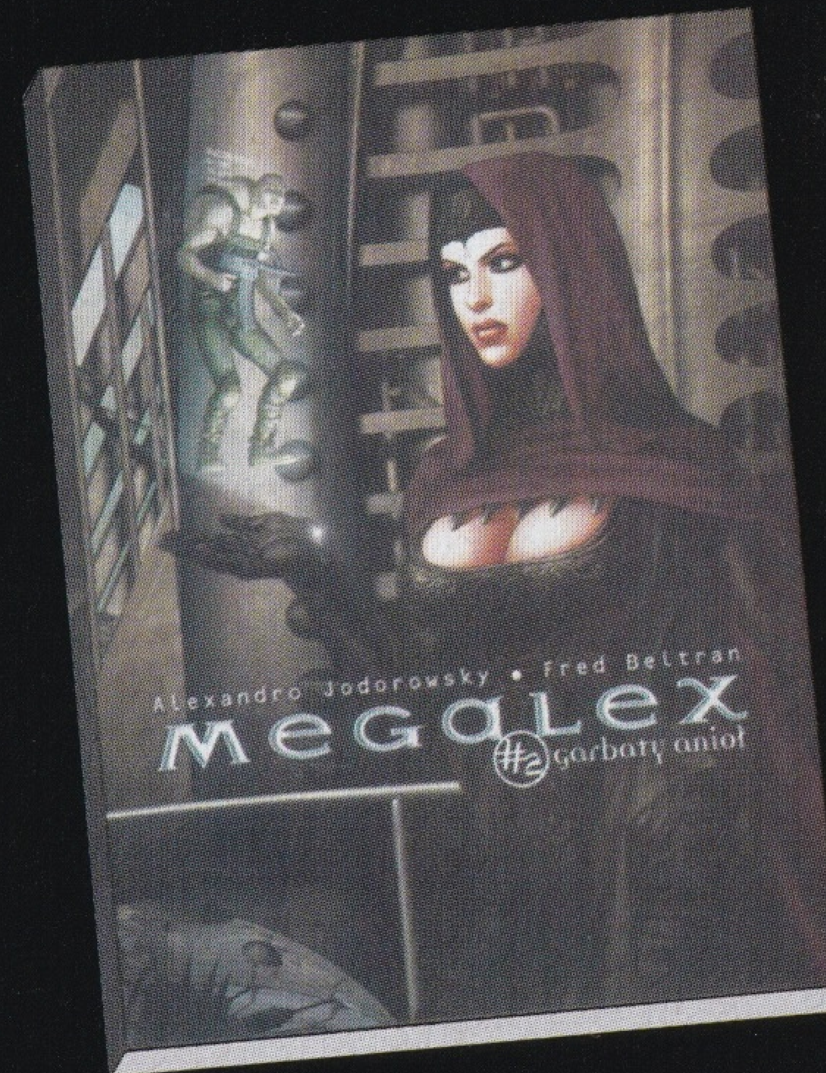
Opowieść o początkach wszechrzeczy i aniele Lucyferze, wpisana niejako w dzisiejszą rzeczywistość, a może tylko w jej wizję, to temat ryzykowny. Ujęty z dużym kunsztem i smakiem, staje się prowokacją, tematem do rozważań. Sprzyjającą refleksji przypowieścią.

Rysunek

Trudnym zadaniem była wizualizacja onirycznych wizji, ale zrealizowano ją w rzetelny oraz delikatny sposób. Świetliste Miasto i opasujący je Mrok, postaci aniołów i Boga, przejścia od rzeczywistości do złudy i z powrotem przedstawione zostały z kunsztem i smakiem. Wszystko składa się w niezwykle spójną całość. Przejrzysta, dość konserwatywna (w odróżnieniu od np. „Sandmana") szata graficzna oraz konstrukcja poszczególnych plansz w połączeniu z oszczędnym wykorzystaniem palety pastelowych kolorów emanują niezwykłą surowością, a nawet chłodem. Wrażenie to zostaje pogłębione przez rozległe przestrzenie tła, zagospodarowane głównie jednolitymi barwnymi plamami. Nienarzucające się wizje rysownika pozostawiają wciąż wiele przestrzeni dla wyobraźni czytelnika. Sztuka polega tylko na tym, by umieć ją wykorzystać.



Megalex # 2
Garbaty anioł



↘ Alexandro Jodorowsky, Fred Beltran,
↘ Egmont Polska, 56 str., kolor, 17.90 zł

Fabuła

Kolejny „odprysk" słynnego „Incala". Akcja opowieści rozgrywa się na prawie całkowicie zabudowanej planecie, gdzie wszystko zostało zaplanowane, z trwaniem życia włącznie. Unifikacja narzucona przez władzy planety prowokuje oczywiście wrogą reakcję. Żyjący w ostatniej dzikiej dżungli buntownicy czekają tylko na zew – wybrańca, który poprowadzi ich, by zniszczyć system. Oczekiwanie to zakłóca pojawienie się anomalii – klona, uratowanego cudem, wyrwanego ze schematycznego świata, gdzie uległby dezintegracji. Czyżby Wybraniec?

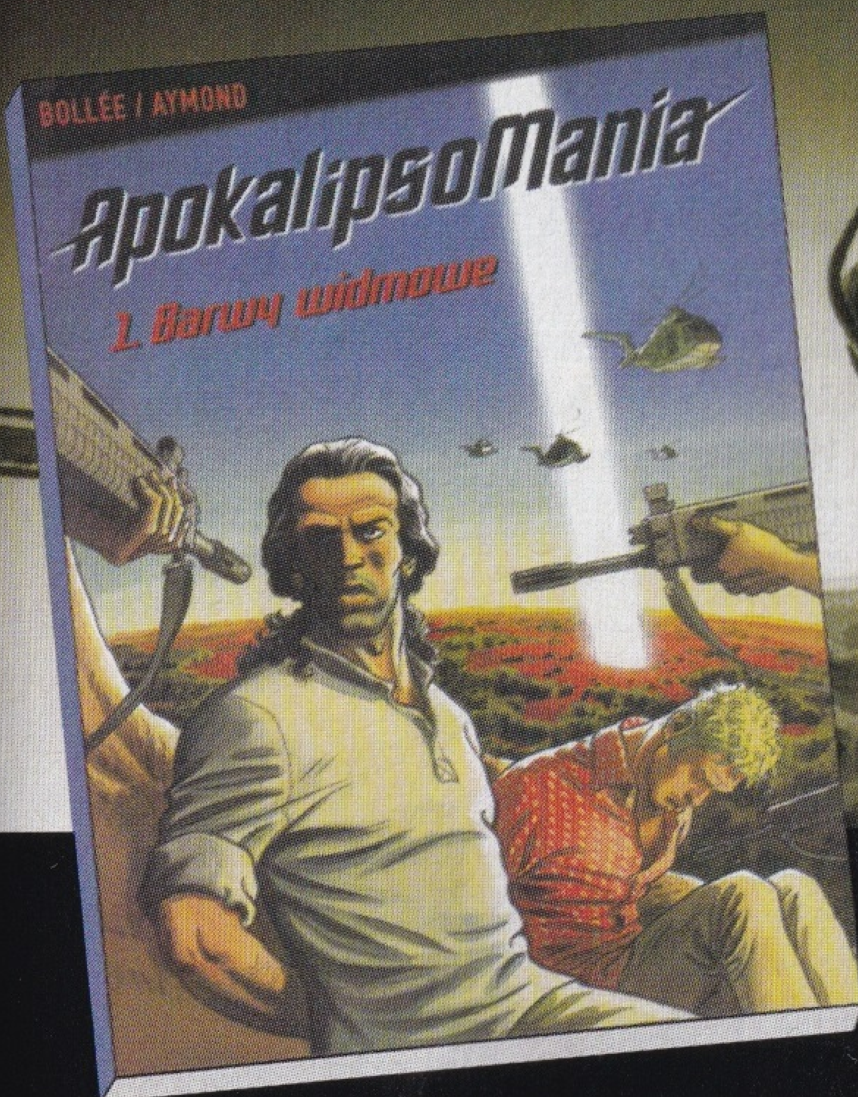
Jodorowsky tradycyjnie udaje się w podróż po krainie wieloznaczności. Snute przezeń wątki dają tak wielorakie możliwości interpretacyjne, że każdy znajdzie tu niewątpliwie coś dla siebie. To w pełni świadome wymykanie się jednoznacznej wymowie sprawia, że cykl pulsuje własnym życiem. Podobnym, a jednak odmiennym aniżeli inne serie incalowskie.

Rysunek

Partnerujący scenarzyście Beltran obrazuje jego wyrafinowane wizje. Nadaje im formę, która czasami zdumiewa swą hybrydowością, a czasem zaskakuje tradycyjnym podejściem. „Megalex" różni się nieco graficznie od pozostałych serii, ale w zasadzie można napisać o nim to samo – komputerowe kolory w stylu pseudomalarskim, ilustracje o ciągotkach artystycznych, celowe zniekształcenia przełamujące nadmierny, niepożądany realizm. Czekamy jednak wciąż na „Incala"...



Apokalipsomania 1
Barwy widmowe



↘ Laurent-Frederic Bolée, Philippe Aymond,
↘ Egmont Polska, 48 str., kolor, 16.90 zł

Fabuła

Nowa seria Egmontu rozpoczyna się interesująco. Geniusz, Jacob Kandahar, budzi się niespodziewanie pod koniec XVII wieku i stwierdza, że... ocalił świat! Wówczas przenosimy się do roku 2009, kiedy na Ziemi pojawia się pięć snopów światła padającego na jej powierzchnię z kosmosu. Nic zatem dziwnego, ze wokół natychmiast pojawiają się wojskowi oraz najtęższe umysły, których zadaniem będzie zgłębić istotę tajemniczego zjawiska. Jednym z nich jest właśnie Jacob Kandahar. Otwierający rozmaite wątki tom pierwszy nie wnosi właściwie do akcji nic więcej. Owszem, pojawią się poszlaki, domysły, nawet pewne obrazy sugerujące, kto może stać za niezwykłym zjawiskiem, ale to zdecydowanie dopiero początek. Obiecujący. Zobaczymy, co dalej.

Rysunek

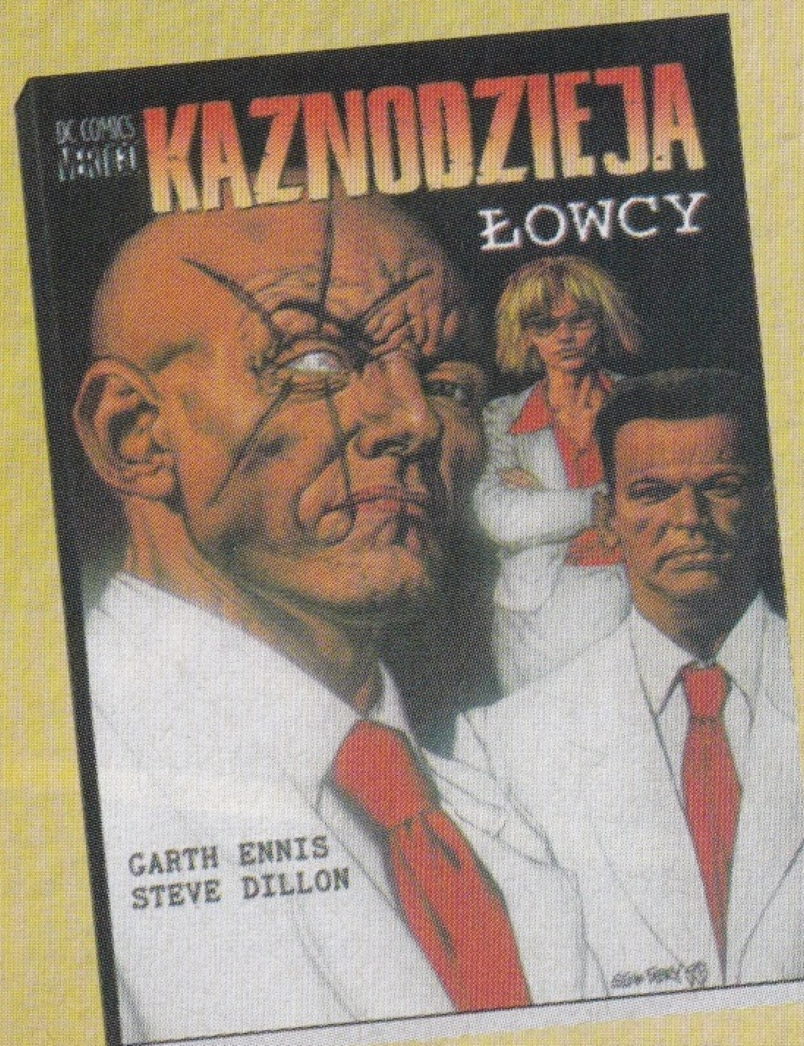
Komiks narysowany w prostym stylu realistycznym. Rzetelnym, choć niezbyt wyrafinowanym. Artyści kreują nastrój poszczególnych scen i miejsc bardziej poprzez barwy i ich natężenie, aniżeli gesty czy mimikę stale dokądś spieszących i krzyczących postaci. Naprawdę, po części pierwszej trudno powiedzieć coś więcej. Przyjrzawszy się jednak uważnie rysunkom, jedno zdaje się jasne – dalsza ocena serii zależeć będzie zdecydowanie bardziej od scenariusza.

Kaznodzieja Łowcy

↘ Garth Ennis, Steve Dillon, Matt Hollingworth, Pamela Rambo,
↘ Egmont Polska, 126 str., kolor, 24.90 zł

Fabuła

Seria o pastorze, obdarzonym darem „słowa" – głosem zmuszającym innych do posłuszeństwa – oraz szukającym Boga, z którym chce się zetrzeć i wyrównać rachunki, zdobyła już wierne grono wyznawców. Prowokacyjne, otwarcie antyreligijne podejście Ennisa (znane choćby z „Pielgrzyma"), w „Kaznodziei" zyskuje pełne rozwinięcie. Poprzednie tomy cyklu, nasycone coraz bardziej nachalną propagandą zmierzały wprost ku prostackiej agitce. Na tym tle „Łowcy" wypadają lepiej, a czwarta część ponownie zaskakuje.



Fabułę odświeża wprowadzenie nowej, tajemniczej organizacji Graal o ogólnoświatowym zasięgu. Graal manipuluje właściwie wszystkim, ale nawet i tu pojawiają się ludzie pragnący realizować własne wizje. Koncentracja fabuły wokół jej działań odsuwa na dalszy plan bzdurną, realizowaną w poprzednich albumach w iście „amerykańskim stylu" ideę wyzwania rzuconego Bogu.

Rysunek

Dillon ideowo dotrzymujący kroku Ennisowi daje szeroki popis możliwości graficznych, koncentrując się głównie na bohaterach, pomijając często całkowicie drugie plany i tła. Niestety, sprawia to, że pośród ilustracji naprawdę wysokiej klasy pojawiają się postaci i twarze do bólu czytelne oraz przewidywalne. Ciekawe, skąd twórcy zaczerpnęli np. „wzór męskiej urody" reprezentowany przez niejakiego Jesusa de Sade, demonicznego sabarytę i hedonistę, którego rolą w całej historii jest chyba tylko pojawić się i zniknąć?

Cóż, nierówność wpisana jest chyba w „Kaznodzieję" na stałe. Zatem z jednoznacznie pozytywną oceną ostatniego tomu lepiej wstrzymać się do lektury zakończenia, które poznamy najprawdopodobniej w następnej części.

■ Tomasz Nowak

NOWOŚCI WYDAWNICZE

Pomagier Kinga nawala

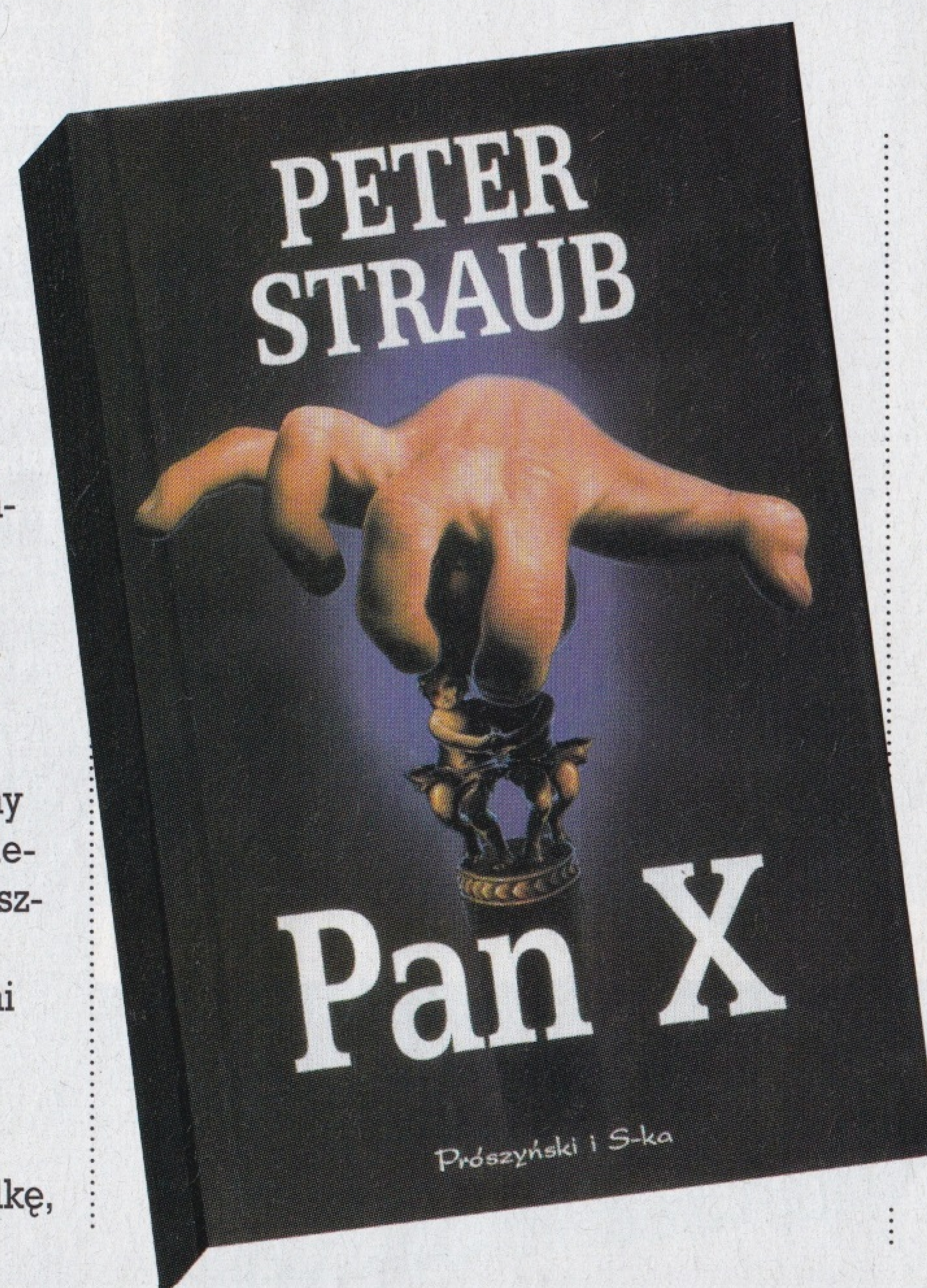
- Tytuł: Pan X
- Autor: Peter Straub
- Wydawca: Prószyński i S-ka
- Cena: 39 zł

Peter Straub, porównywany przez wydawcę do Stephena Kinga (z którym zresztą współpracował przy „Talizmanie" i „Czarnym domu"), stworzył dzieło wielkie tylko w dosłownym tego słowa znaczeniu. Blisko 600-stronicową powieść czyta się z lekkim znużeniem. Przede wszystkim dlatego, że główny bohater nie budzi sympatii. Umierająca matka podaje mu imię i nazwisko ojca, którego młodzieniec postanawia odnaleźć. Chce też zrozumieć śniące mu się po nocach koszmary i odkryć prawdę o swojej rodzinie, posiadającej – jak się mu wydaje – ponadnaturalne moce. Facet łazi więc po mieście jak ten pytek po jarmarku i gada, gada, gada... i nic się nie dzieje. Sprawę komplikuje jedynie pewien tajemniczy osobnik, który przybył do miasta parę godzin wcześniej. Nieznajomy wygląda tak samo jak główny bohater i ma olbrzymi talent do wciągania go w kłopoty.

Podobnych fabuł powstało już tysiące, tak więc „Pan X" w żaden sposób nie zaskakuje. Autor strzela nazwiskami jak z karabinu, zarzuca czytelnika tysiącem faktów, mnoży głównych bohaterów rozdziałów, wątki oraz tropy i w efekcie już w połowie książki człowiek nie wie, czy wujek ciotki stryjka był synem wuja żony matki, czy też żoną matki syna córki z nieprawego łoża psa sąsiada. „Pan X" to jeszcze jedna z tych powieści, które trzeba czytać szalenie uważnie, nie omijając ani jednego akapitu. A to, niestety, męczy.

Dlaczego kupić?

Bo książka jest gruba i ma twardą okładkę,



przetrwa więc niejedną dziejową zawieruchę. Można ją będzie pożyczyć znienawidzonemu koledze, poczytać do snu teściowej, a nawet wyciąć wewnątrz dziurę i schować w niej jakąś cenną rodzinną relikwię. Niestety „Pana X" nie warto przeczytać. Przykazanie jedynaste rzecze wszak: „Nie trać czasu na przeciętność ani żadną rzecz, która do niej należy".

Dla kogo?

Dla osób, które przeczytały już całą swoją biblioteczkę i w chwili obecnej zabierają się za książkę telefoniczną. „Pan X" zawiera dużo więcej akcji, nie mniej nazwisk i powiązań, parę niezłych dialogów, ze trzy scenki erotyczne (w tym jedną gejowską), zamierzenie nieudane stylizacje na Lovecrafta, wreszcie rodzinkę z piekła rodem. Zgubić się w Hatchtown jest równie łatwo co znudzić...

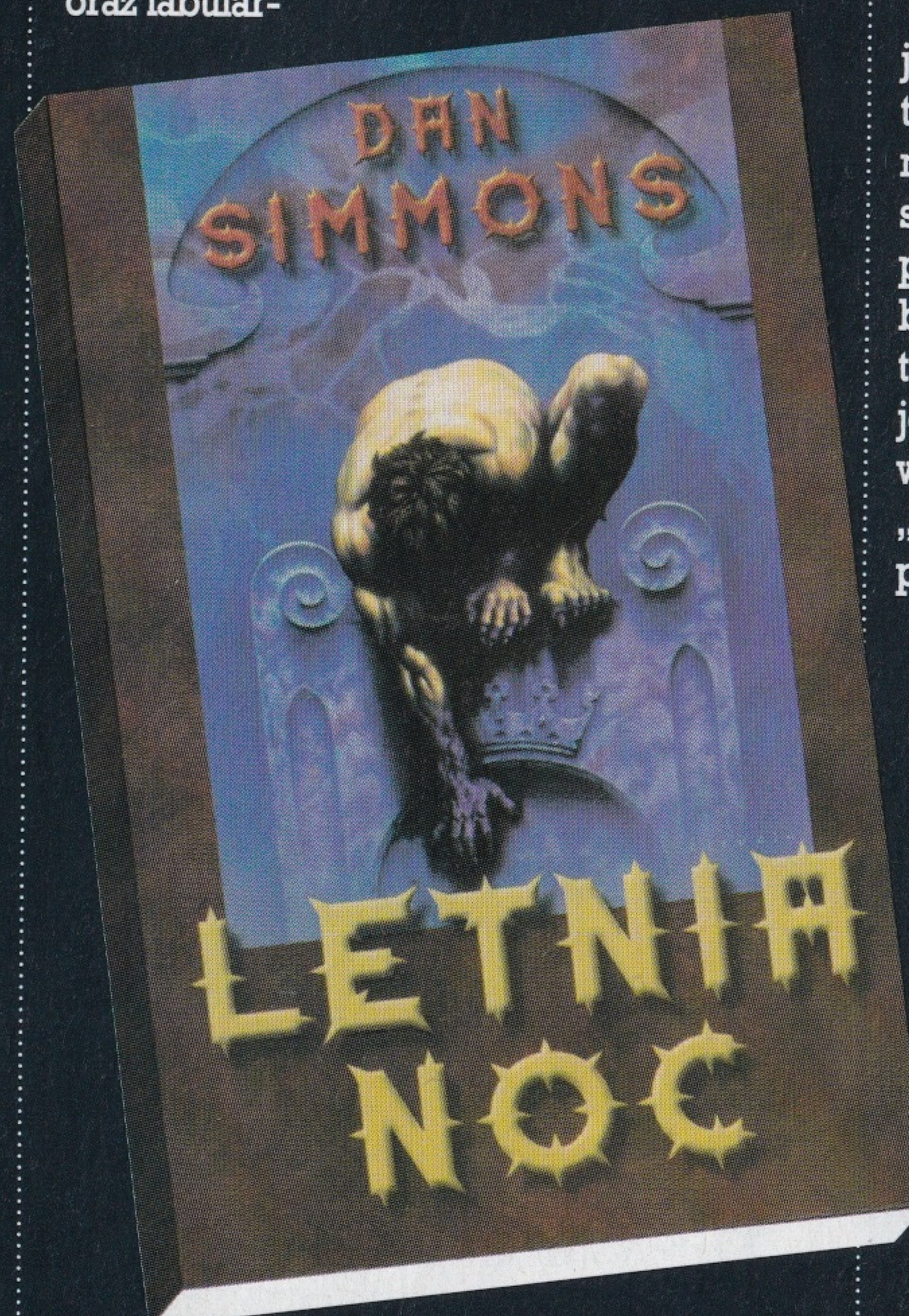
Tekst: Michał Zacharzewski

Groza prima sort

- Tytuł: Letnia noc
- Autor: Dan Simmons
- Wydawca: Mag, Warszawa
- Cena: 39 zł

Latem 1960 roku senne miasteczko Elm Havel w Illinois staje się areną serii zagadkowych wypadków. W ostatni dzień roku szkolnego w tajemniczych okolicznościach ginie jeden z uczniów szóstej klasy. Nocą, mimo upałów, zrywa się lodowaty wiatr. Ulicami miasta przemyka czerwona ciężarówka przewożąca padlinę, a w okolicy coraz częściej pojawiają się dziury w ziemi o czerwonych krawędziach. Grupa jedenastoletnich chłopców, przyjaciół zaginionego ucznia, postanawia sprawdzić, co kryje się za niesamowitymi wydarzeniami. Trzeba w końcu urozmaicić kolejne nudne wakacje... Jednak to, co zapowiadało się na niewinną zabawę, szybko nabiera niespodziewanie mrocznego charakteru, by w końcu zamienić się w mrożącą krew w żyłach rozgrywkę ze Śmiercią.

Kolejna książka Dana Simmonsa („Hiperion", „Endymion") to wzorcowa powieść grozy. Simmons wykorzystuje zestaw motywów charakterystycznych dla horrorów (ktoś, kto zdobywa cenne informacje, przedwcześnie ginie; uśpione ciemne moce budzi krwawa ofiara; zło ma starożytny rodowód; demonom przeciwstawiają się niewinne dzieci). Zestawia je jednak tak zręcznie, że szybko zapominamy o wtórności budulca, z którego składa się opowieść. W efekcie „Letnia noc" to książka niemal instruktażowa – na jej podstawie można przestudiować, jak budować napięcie, mnożąc niepokojące wypadki, i jak konstruować akcję, unikając dłużyzn oraz fabular-



nego lania wody. To wszystko jednak da się sprawdzić dopiero przy drugim czytaniu – za pierwszym razem bowiem „Letnia noc" wciągnie nas tak kompletnie, że zapomnimy o spaniu i jedzeniu (autorka niniejszej recenzji tak się zaczytała, że pomyliła przystanki w drodze do pracy :-)).

Powieść nie jest tania (39 zł), za tę cenę jednak otrzymujemy ponad 600-stronicowe tomiszcze, które spokojnie wystarczy nam na kilka długich jesiennych wieczorów. Niestety, żeby nie psuć sobie lektury, musimy przymknąć oko na drobne, ale dokuczliwe błędy edytorskie (np. mylenie imion bohaterów – niby połapać się nietrudno, ale to jednak żenada). No i ten polski tytuł... Oczywiście „Summer of Night" niedaleko do „Letniej nocy", ale to jednak nie to samo, prawda?

Dla kogo?

Właściwie dla wszystkich ceniących solidne pisarskie rzemiosło, niezależnie od tego czy są fanami horrorów, czy nie. Szczególnie ucieszy starszych uczniów nudzących się w swoich szkołach.

Dlaczego kupić?

Bo stosunek ceny do liczby stron wypada przyzwoicie, no i można bezboleśnie przestudiować charakterystyczne wątki powieści grozy.

Tekst: Magdalena Sulewska

W imię Lucyfera

- Tytuł: Uczeń czarnoksiężnika
- Autor: Witold Jabłoński
- Wydawca: Supernowa
- Cena: 25 zł
- Termin: wrzesień 2003

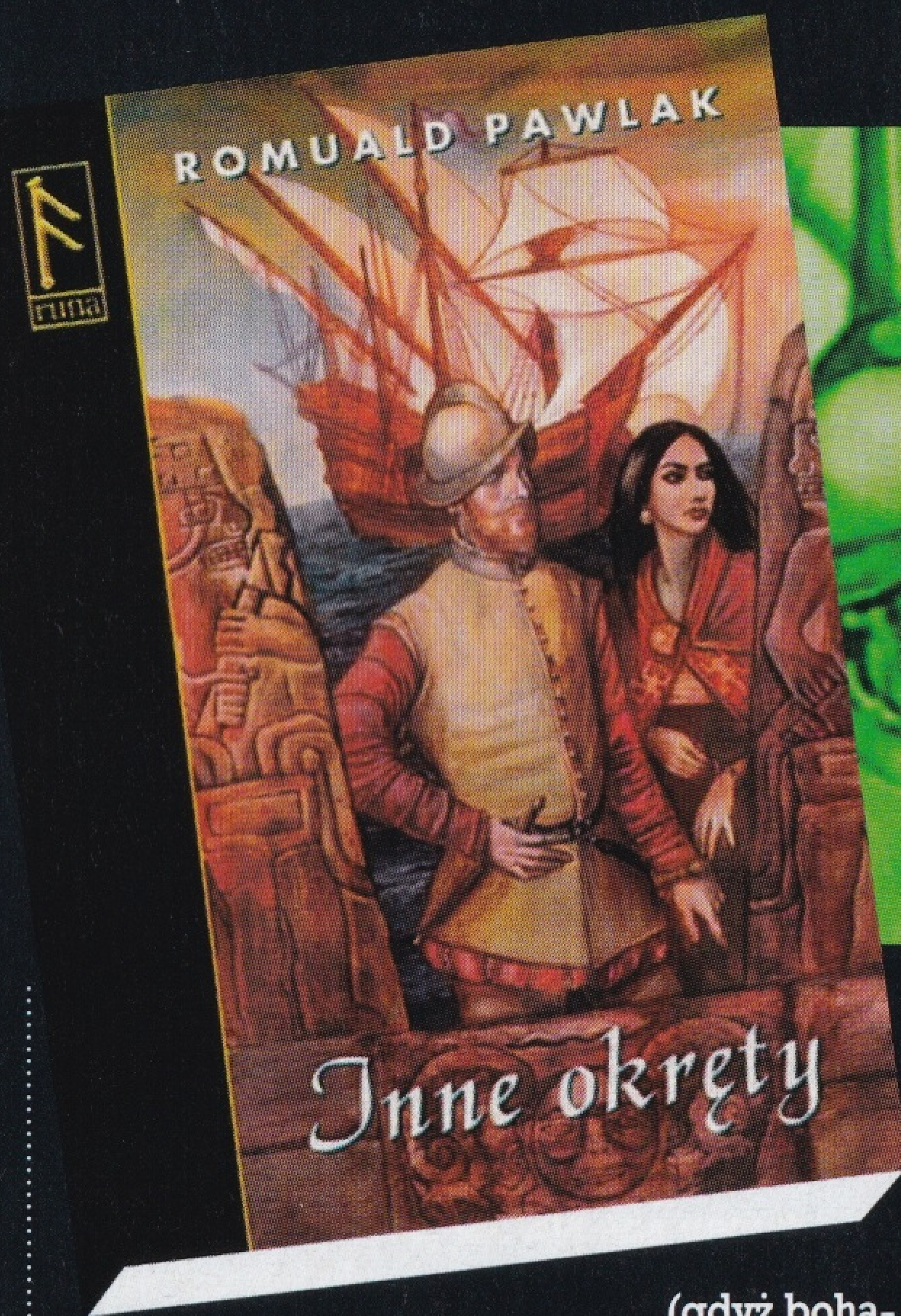
Uwielbiam książki historyczne, więc po powieść Jabłońskiego sięgnąłem zarówno z nadzieją, jak i z przyjemnością. Należy szczerze powiedzieć, że autor postawił sobie trudne zadanie, aby z jak największą wiarygodnością udać, że czytelnik otrzymuje manuskrypt średniowiecznego czarnoksiężnika. Po pierwsze, zdecydował się na niewyróżnianie dialogów (zresztą i tak nie jest ich dużo), co sprawia, że cała powieść jest jedną, wielką „blachą". Nie jest to bynajmniej zarzut, prędzej ostrzeżenie dla tych, którym standardowy podział tekstu jest niezbędny do lektury. Po drugie, Jabłoński wdaje się w przeliczne historyczne zabawy: opisy dynastycznych koligacji, średniowiecznych zwyczajów, najważniejszych wydarzeń epoki itp. W związku z tym nurt fabuły toczy się strugą nad wyraz leniwą. Jeśli chodzi o niżej podpisanego – nie ma sprawy, ale zaręczam że czytelnik niekochający historii długo przy tej lektury nie wytrzyma.

„Uczeń czarnoksiężnika" jest nawiązaniem do modnego niegdyś nurtu powieści

Klęska konkwisty

- Tytuł: Inne okręty
- Autor: Romuald Pawlak
- Wydawca: Runa
- Cena: 25,50 zł
- Termin: październik 2003

To niezręcznie zaczynać recenzję od słowa „klęska", ale śpieszę donieść, że mam na myśli nie poziom jakościowy samej powieści, lecz po prostu wydarzenie historyczne, które ona opisuje. Oto bowiem w alternatywnym świecie wykreowanym przez Pawlaka odważny do szaleństwa hiszpański szlachic Francisko Pizzaro oraz jego straceńczy kompani nie podbili imperium Inków. Cuzco nie zostało zdobyte, Wielki Inka nie został uwięziony i potem zamorowany, a hiszpańskie galeony nie przewiozły do Europy tysięcy ton złota zrabowanego Indianom. Po klęsce wyprawy Pizzara sytuacja stosunków handlowo-dyplomatycznych pomiędzy Hiszpanią a Imperium Inków niezwykle przypomina to, co miało miejsce w XIX wieku na linii Europa – Chiny. Cudzoziemcy otrzymali dzielnice w portach, prawo do handlu, otworzyli faktorie, ale serce Imperium jest przed nimi ukryte i wszędzie roi się od inkaskich szpiegów. Wojna wisi na włosku, a w Panamie szykowana jest wielka armia mająca zdobyć kraj Inków. W tym właśnie dziejowym momencie czytelnik poznaje hiszpańskiego kapitana Pedro de Manjarresa, trudniącego się handlem pomiędzy Panamą a Peru. Człowieka jak na tamte czasy niezwykłego – uczciwego, bystrego i śmiertelnie zakochanego w pewnej pięknej Indiance. Czytelnik będzie śledzić jego eskapady, zagłębi się w świat nie tylko przygody oraz wojny, ale również romantycznej miłości oraz mistycznych uniesień



(gdyż bohater jest obdarzony pewnym rodzajem zdolności jasnowidzenia).

Romuald Pawlak niewątpliwie zna się na rzeczy (czyli dziejach Południowej Ameryki) i dobrze, że mamy w jego osobie przykład na to, że pisarz zajmujący się historią powinnien historię poznać, zanim zacznie pisać powieści z gatunku szeroko rozumianej fantasy (nawiasem mówiąc szkoda, że tak niewielu autorów tę prostą prawdę rozumie). Jednak przyznam szczerze, że od całej powieści znacznie bardziej poruszył mnie artykuł „Krwawe rytuały" (napisany przez tegoż samego autora), który redakcja Fantasy udostępniła mi przed lekturą książki. Bowiem powieść „Inne okręty" niestety ma wątpliwy urok niedbale zrobionej fotografii. Z lekka wyblakła, kontury rozmazane, postacie niewyraźne, morze trudno odróżnić od nieba, psa od osiołka, a pozujący do zdjęcia ustawili się w nienaturalnie sztucznych pozach i zrobili głupie miny. Zabrakło tu żaru, pasji, malarskości opisu, porywającej fabuły, niespodziewanych zwrotów akcji, wielkich dylematów i wielkich tragedii (a jeśli bohaterowie już cierpią, to na kształt śpiewaka operowego, który przez godzinę woła, jak bardzo mu jest źle). W rezultacie efektem jest sztampa wydarzeń i sztampa zachowań. A jeśli chodzi o długaśne wizje przyszłości objawiające się głównemu bohaterowi, to Bóg mi świadkiem, nie za bardzo zrozumiałem, jaki mają związek z resztą fabuły.

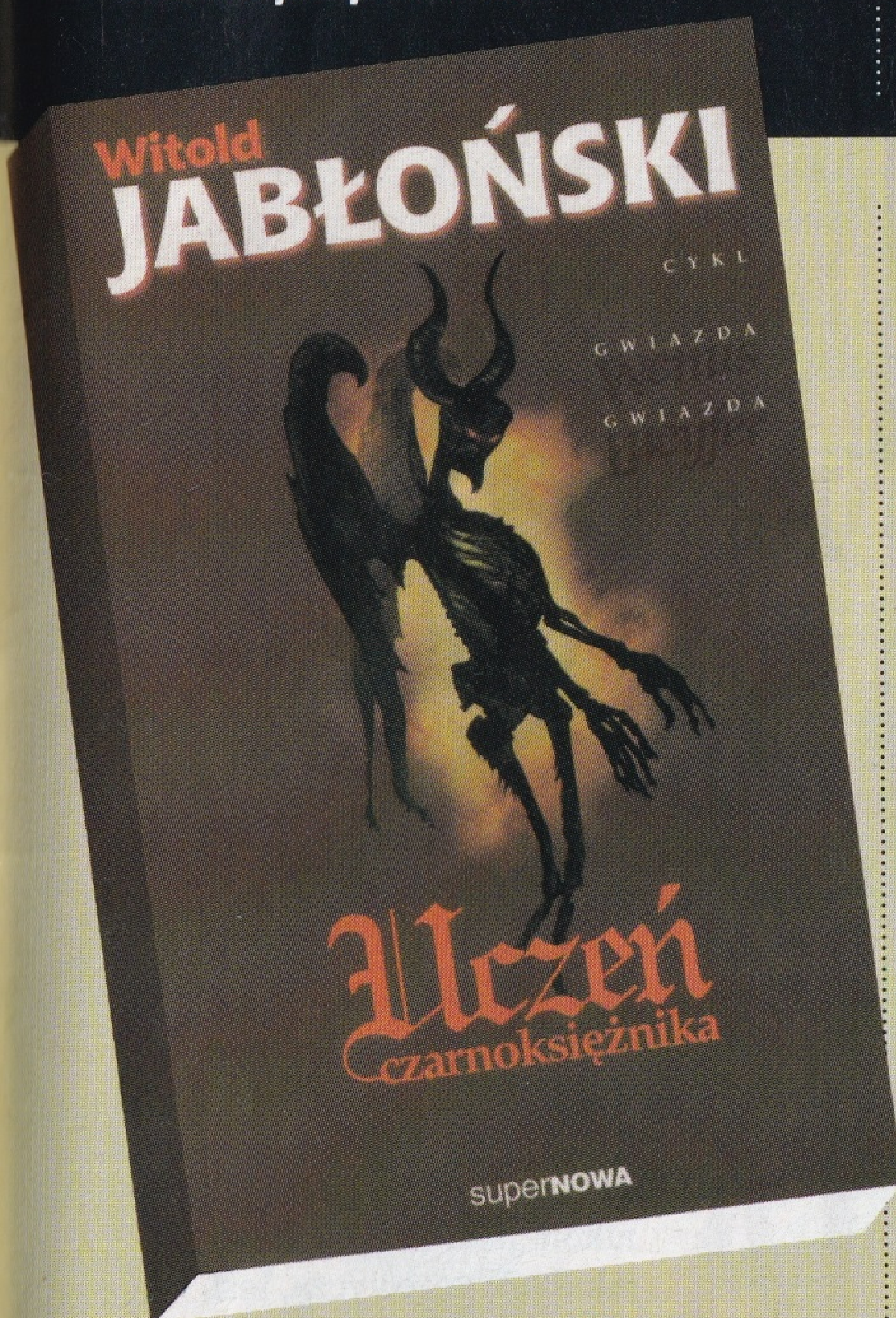
Dla kogo?

Dla miłośników historii alternatywnych. Jeśli chcecie znaleźć odpowiedź na pytanie „co by było, gdyby...", to Pawlak stara się temat przybliżyć.

Dlaczego kupić?

Bo to w gruncie rzeczy nie najgorsza powieść, której akcja w dodatku toczy się w scenerii bardzo nietypowej dla fantasy. Ale aż prosiłoby się, by autor posiedział nad książką jeszcze kilka miesięcy i dopracował pewne wątki.

Tekst: Andrzej Zaremba



sowizdrzalskiej. Oto autor ukazuje życie bohatera – osobnika niesfornego, tajemniczego, zdeprawowanego i kierującego się bardzo swoistym zbiorem zasad moralnych. Człowieka nie stroniącego również od zakazanych nauk, jak również wręcz przestępstw natury kryminalnej. Jednak życie bohatera jest tutaj pretekstem do pokazania kolorytu epoki oraz zaprezentowania wybitnych postaci historycznych i wielkich historycznych wydarzeń. Henryk Brodaty, święta Jadwiga, Bolesław Rogatka, Konrad Mazowiecki, Ludwik Święty – Witelon, tytułowy uczeń czarnoksiężnika, spotka ich wszystkich na swojej drodze. Bitwa pod Legnicą, śmierć Konrada Mazowieckiego, budowa katedry Notre Damme, intrygi Krzyżaków oraz Templariuszy to wydarzenia, których był świadkiem. O wielu innych usłyszy od naocznych obserwatorów.

Jabłoński pisze ciekawie, językiem bogatym, zróżnicowanym, malarskim. Jak mało który pisarz w Polsce posiadł umiejętność niezwykle barwnego i plastycznego przedstawiania zarówno bohaterów, jak i scenografii, w której ramach toczy się fabuła powieści. Przyznam jednak, że moje uczucia estetyczne zostały głęboko zranione przez fakt, że autor folguje bez opamiętania swym homoseksualnym fascynacjom. Główny bohater jest niczym innym jak męską (a raczej chłopięcą) dziwką, oddającą się komu popadnie na prawo i lewo oraz ciągle wyrażającą podziw dla męskiej urody i męskiego ciała. Rozumiem, że autor jako dawny sekretarz pisarza Jerzego Andrzejewskiego – czołowego polskiego „kochającego inaczej", słynącego z polowań na młodych chłopców, może mieć takie czy inne zapatrywania seksualne. Ale ja jako czytelnik nie tylko nie muszę się z nimi zgadzać, ale mogą one we mnie budzić niesmak. Nie ulega jednak wątpliwości, że oto mamy po raz pierwszy w historii polskiej fantasy do czynienia z „powieścią gejowską". Zabawne...

Dla kogo?

Dla miłośników średniowiecza oraz dla czytelników doświadczonych, gdyż „Uczeń czarnoksiężnika" nie jest lekturą łatwą w odbiorze. Oraz dla gejów, bo znajdą tu mnóstwo ciekawych dla siebie fragmentów.

Dlaczego kupić?

Autor potrafi czytelnikowi w sposób niemal doskonały przekazać atmosferę epoki oraz opisać mentalność ludzi średniowiecza, będącą zdumiewającym połączeniem podłości i rycerskich ideałów, religijnego fanatyzmu i wyuzdania, wiary w chrześcijańskiego Boga i zabronionej wiary w magię oraz gusła.

Tekst: Jacek Piekara

Co słychać u pisarzy

Eugeniusz Dębski

Aż korci mnie, żeby poskarżyć się na tzw. trudny okres. Ale winą są tylko i wyłącznie wakacje. Ciągle nie mogę się po nich rozpędzić do pracy. Inna sprawa, że zaplanowane miałem dokończenie tłumaczenia powieści Kira Bułyczowa. Po jego śmierci jakoś mam opory z zakończeniem tłumaczenia, bo to trochę jakby zakończenie definitywne. Może przesadzam z tą symboliką, ale to jednak był gigant i w pewnej niszy naszej fantastyki nic i nikt Go nie zastąpi. A poza tym – cóż, dłubię powoli, nawet bardzo powoli, przy ósmym tomie przygód Owena Yeatesa, ugniatam kilka innych pomysłów i czekam, co z nich wyciśnie umysł, czy co tam niechętnego do pracy mam... Myślę, że jak pogoda zapędzi ludzi do domów i ja osiądę pilniej przy klawiaturze. A wtedy może poza Owenem wyciągnę na światło dzienne inną powieść, na którą mam ochotę od czasu już dłuższego. No dobra, już nie będę więcej straszył...

Andrzej Pilipiuk

Szyld „Andrzej Pilipiuk – grafoman do wynajęcia" ściągnął na mnie życzliwą uwagę licznej braci redaktorskiej poukrywanej po różnych pismach. O zgrozo, wszyscy potraktowali go serio i wszyscy wpadli na pomysł, żeby mnie wynająć. Tak więc w chwili obecnej wymyślam 3 opowiadania i jednocześnie piszę ciąg dalszy „Kuzynek". W wolnych chwilach odwalam chałturę na boku. Mieszkanie mam rozgrzebane – przeprowadzka i remont w tym samym czasie to nie był dobry pomysł. Nie wiem, w co włożyć ręce. Narzeczona przypomina, że pojutrze ślub, a wydawnictwo "„Warmia" przebąkuje, żebym rzucił w diabły tę fantastykę i zabrał sie na poważnie za cykl przygód Pana Samochodzika... Bo dzieci czekają...

Rafał Ziemkiewicz

Siedzę akurat nad rzeczami nie mającymi wiele wspólnego z fantastyką. Kończę publicystyczną książkę „Polactwo", potem zamierzam się wziąć za powieść, ale nie fantastyczną. Tak, kusiło mnie, kusiło, no i w końcu skusiło. Rzecz będzie zatytułowana „Ciało obce" i najkrócej można ją określić jako ulokowany w realiach współczesnej Polski ponury pornos z wątkiem sensacyjnym. Dopiero potem przyjdzie czas na moją zapowiadaną od dawna i napisaną do połowy powieść fantasy. O ile nie okaże się, że minęło już zbyt wiele czasu i nie jestem w stanie jej kontynuować. Coś tam się dzieje w opowiadaniach – dłubię w wolnych chwilach taki kawałek political fiction na jakieś 20 stron. Poza tym mam kilka pomysłów, może coś uda się skończyć.

Sztuka kamuflażu

- Tytuł: Tropem Xameleona
- Autor: Eugeniusz Dębski
- Wydawca: Fabryka słów
- Cena: 28 zł

Podobno polska literatura ma się źle. Podobno kuleje na obie nogi, a sceptycy twierdzą nawet, że za chwilę przestanie w ogóle chodzić. Patrząc na to, co dzieje się w polskiej fantastyce, mam pewne wątpliwości co do prawdziwości tej tezy. Tutaj obserwujemy raczej proces odwrotny – książki sypią się z rękawów pisarzy jak grzyby po deszczu, zalegając na biurkach biednych recenzentów, którzy usiłują to wszystko jakoś „przerobić". I choć nie zawsze ilość przekłada się na jakość, do tematu należy podejść optymistycznie. Z takiego też założenia warto wyjść, zaczynając lekturę najnowszej powieści Eugeniusza Dębskiego. „Tropem Xameleona" to książka niezła, choć trudna do recenzenckiego „ugryzienia". Problem polega na tym, że aby coś o niej powiedzieć, trzeba uchylić fabularnego rąbka tajemnicy i w ten sposób zrobić krzywdę biednemu czytelnikowi i pozbawić lekturę największego atutu – efektu zaskoczenia. To trochę tak, jakby w recenzji kryminału zdradzić, kto zabił.

„Tropem Xameleona" to książka akcji. Jest w niej przygoda, jest zawikłana intryga dworska, podchody, pojedynki i tajemnica do rozwikłania. Fabuła obraca się wokół tytułowego xameleona, czyli istoty, która posiada dar przemiany w inne osoby. Obdarzony tą umiejętnością Hondelyk jest bardzo użyteczny dla społeczeństwa. Przyjmując postać nieśmiałego kawalera, pomoże zdobyć serce panny. Jako służący dostanie się do komnat możnego pana i wykradnie kompromitujące mężatkę liściki. I tylko zabić szlachcica na zlecenie nie chce. Ta odmowa będzie go kosztowała bardzo drogo. Zostanie wrobiony w historię, z której wynika, że ma zamiar pozbawić życia potężnego władcę Lanyatty i dominiów. Akcja toczy się wartko, co i raz pojawiają się nowe tropy, domysły, zmieniają układy, nie ma więc mowy o tym, by się nudzić. Powieść naprawdę wciąga. Jest w niej sporo humoru i dobrych dialogów, co polskim pisarzom nie zdarza się za często. Autorowi nieźle wychodzi budowanie nastroju tajemnicy, a opisy są plastyczne, z wyraźną dbałością o detale. Natomiast opisy przyrody Dębski powinien sobie raczej darować, bo tu jego kunszt pisarski zdecydowanie słabnie. Zastrzeżenia budzi też konstrukcja powieści – otwiera ją prolog, który w dość mętny sposób wiąże się z całością. Jego jednozdaniowe powiązanie z fabułą w finale tylko to potwierdza. Niestety zakończenie mnie rozczarowało. Sprawia wrażenie, że autorowi zabrakło pomysłu, jak wszystko zakończyć i uzasadnić albo najzwyczajniej w świecie bardzo się spieszył. Niby pojawia się pewna sugestia, że finał może mieć formę otwartą i że bohaterowie nie odjadą sobie tak po prostu w siną dal, ale to bardzo nieudolna sugestia. „Tropem Xameleona" jest więc jak kolorowy drink. Zaszumi w głowie, lecz szybko wywietrzeje. Co nie zmienia faktu, że



przyjemnie się go sączy-ło. Nie oszukujmy się jednak, to tylko literatura popularna.

Dlaczego kupić?
Bo to wciągająca powieść akcji. Wartka fabuła jest świetnym lekarstwem na pluchę za oknem. Nie trzeba też specjalnie wysilać szarych komórek (to nie Umberto Eco), więc lektura odpręża.

Dla kogo?
Dla wszystkich spragnionych dobrze skrojonego kawałka fabuły, miłośników magii i fanów nieskomplikowanych zakończeń.

Tekst: Agnieszka Trzebska

Słupska kaszana

- Tytuł: Baszta Czarownic
- Autor: Krzysztof Kochański
- Wydawca: MAG
- Cena: 23 zł
- Termin: październik 2003

Akcja powieści toczy się w Słupsku w bliżej nieokreślonej teraźniejszości. Pewnej nocy na ulicach miasta pojawia się dwóch tajemniczych panów, jeden w koszuli w kratkę, a drugi w skórzanej kurtce. Oprócz stroju różni ich również to, że zadaniem pierwszego jest zgładzenie, a drugiego ochrona pewnej przesympatycznej studentki czwartego roku polonistyki. Studentka ta jest najwyraźniej komuś bardzo potrzebna, i to komuś niekoniecznie zamieszkującemu ten najpiękniejszy ze światów.

„Baszta Czarownic" najwyraźniej miała być parodią. Jednak pojawia się problem: parodią czego? Pewne elementy wskazują, że autor zamierzał wziąć na sztych popularne powieści młodzieżowe. Nazwiska bohaterów książki Kochańskiego brzmią następująco: Arkadiusz Szyszko, Magda Papiskin, Beata Krzak czy Karol Szydło. Co więcej, w pewnym momencie poznajemy dwóch wyjątkowo obrzydliwych opryszków, Poldka i Dudusia. Kochański nie mierzył jednak tylko w Niziurskiego czy Bahdaja – pewien świeżo zwolniony z aresztu bandyta ma ksywę Marchewa. Żeby nie było za łatwo, jeden z diabelskich mącicieli uwielbia dużo gadać i robić bałagan, bardzo podobny do tego, który swego czasu czynili panowie Korowiow i Behemot. Tylko, niestety, finezja nie ta...

Na to, że książka miała być, lub przynajmniej miała zawierać elementy parodystyczne, wskazuje też język, w założeniu żartobliwy, pełen tzw. zwrotów potocznych i odwołań do rzeczywistości. Niestety, jednak nijak ma się on do niektórych opisywanych wydarzeń. Jeszcze Dudusia pragnącego zgwałcić pannę Izabelę Radtke jakoś zniesiemy, ale Marchewa wymiotujący męskimi jądrami (a jakże!) to pomysł, delikatnie mówiąc, śmiały. W „Baszcie Czarownic" pojawiają się też morderstwa, zadawanie bólu, zastraszanie, no i odrywanie głowy żywcem. Wycho-

Powrót skalda

- Tytuł: Ostatnia saga
- Autor: Marcin Mortka
- Wydawca: Runa
- Termin: październik 2003
- Cena: 27,50 zł

„Ostatnia saga" Marcina Mortki to zaiste najprawdziwsza saga! I oby nie ostatnia... Przyznam szczerze, że biorąc do rąk powieść de facto debiutanta, znanego mi wcześniej tylko z popularyzowania RPG (z całym szacunkiem dla gier fabularnych), nie spodziewałem się, iż przeczytam tak barwną, wciągającą i prawdziwie epicką historię. Książka, osadzona w realiach alternatywnej, baśniowej Norwegii przełomu X i XI wieku, przedstawia dzieje przyjaźni, zdrady i walki na tle wielkiego konfliktu pogaństwa z chrześcijaństwem. Fabuła została suto okraszona ciekawymi i podanymi ze znawstwem opisami realiów wczesnego średniowiecza (jest tu kilka błędów, ale nikną one, zresztą to przecież INNA, magiczna Skandynawia). Naprawdę, dawno nie czytałem tak dobrej opowieści o Wikingach, chyba od czasu lektury „Rudego Orma" – ale tam nie było magii, nie pojawiały się też karły, walkirie, wilkołaki. Jak widać, wbrew utartym opiniom, RPG może mieć zbawienny wpływ na pisarską wyobraźnię.

Żeby nie było za słodko, to dla porządku muszę dodać, iż drażnił mnie język dialogów, mniej lub bardziej udatnie (częściej mniej) stylizowany na staropolszczyznę. Ani on naprawdę staropolszczyzną nie był, ani do ust Skandynawów nie pasował. Sytuację ratowały jednak liczne islandzkie słowa, powtykane w owe dialogi, obficie, ale na tyle umiejętnie, by nie utrudniać zrozumienia. To jedynie malutka łyżeczka dziegciu. By przypadkiem nie zepsuła beczki miodu, dodam jeszcze, iż Mortka, co



rzadkie u młodych, gniewnych autorów, opisując starcie chrześcijaństwa i, jak mniemam, ukochanego przezeń świata pogańskich wierzeń, wykazał się dojrzałym, obiektywnym spojrzeniem. Mówiąc krótko – nagany oraz pochwały dostają się w „Ostatniej sadze" i jednym, i drugim. Obie strony mają swoje słuszne racje i obie, kiedy zaślepia je fanatyzm, nieświadomie gubią wartości, których niby starają się bronić. Mortka zdaje się przestrzegać, że nie zawsze rywal to wróg, a tolerancja oraz cierpliwa dyskusja dają więcej niż setka spalonych wiosek, nawet podczas dysputy z groźnymi Wikingami. Choć to prawdy ponoć oczywiste, dobrze, iż ktoś o nich przypomniał.

Dlaczego kupić?
Często pierwsza książka jest najsłabszą w dorobku autora. Jeśli owa prawda ma się potwierdzić w stosunku do tego pisarza, to klnę się na Thora, już nie mogę doczekać się jego następnych powieści. Skaldzie Marcinie, do dzieła!

Dla kogo?
Dla miłośników fantasy (a zwłaszcza alternatywnego średniowiecza) oraz Wikingów.

Tekst: Maciej Nowak-Kreyer

Podróż sentymentalna

- Tytuł: Kuzynki
- Autor: Andrzej Pilipiuk
- Wydawca: Fabryka Słów
- Cena: 26,99 zł
- Termin: czerwiec 2003

Andrzej Pilipiuk, znany czytelnikom jako autor przygód Jakuba Wędrowycza, jest człowiekiem sentymentalnym. Tak przynajmniej można przypuszczać po przeczytaniu jego najnowszej książki. Napisana jest ona stylem określanym przez niektórych jako kobiecy, co moim zdaniem dobrze świadczy o wszech-



dzi z tego wszystkiego niezły galimatias, który sprawia wrażenie, że autor nie do końca wiedział, czy chce bawić, czy straszyć.

Książka pozostawia wrażenie mocno niedopracowanej. W osiemdziesięciu procentach składa się z dialogów, a przecież to ma być powieść, a nie dramat sceniczny! Brakuje opisów, akcja jest skondensowana jak sardynki w puszce, czytelnik raz po raz rzucany jest z jednego końca Słupska na drugi, bez możliwości złapania choć na chwilę oddechu. W efekcie po przeczytaniu „Baszty" nie sposób się oprzeć wrażeniu, że to dopiero szkic powieści albo w najlepszym wypadku coś znajdującego się w połowie między szkicem, a dokończoną książką. A szkoda, bo w gruncie rzeczy „Baszcie czarownic" niewiele brakuje – ma poprawnie skrojoną fabułę i, jakby nie było, ciekawe postaci. Wątpliwości może też budzić styl narracji, czasami niebezpiecznie zbliżający się do Przekrojowego „humoru zeszytów".

Dla kogo?

Oczywiście dla mieszańców Słupska i okolic, którzy mogą sprawdzić zgodność opisywanych w powieści miejsc z rzeczywistością.

Dlaczego nie kupować?

Bo chyba lepiej poczekać na kolejną książkę Kochańskiego. „Baszta Czarownic" wskazuje, że autor ten może sporo namieszać, jeśli tylko poduma trochę dłużej nad tym, o czym chce opowiadać.

Tekst: Magdalena Sulewska

Jak straszyć, to po polsku

- Tytuł: Księga jesiennych demonów
- Autor: Jarosław Grzędowicz
- Wydawca: Fabryka Słów
- Termin: październik 2003
- Cena: 27,99 zł

Polski horror w zasadzie nie istnieje. Ani w literaturze, ani w kinematografii. Jeśli można jeszcze zrozumieć brak filmów (z uwagi na koszta produkcji), to brak opowiadań oraz powieści jest w zasadzie niewytłumaczalny. Czyżby polscy pisarze nie chcieli straszyć nas wilkołakami, wampirami i czarną magią? Okazuje się, że przynajmniej niektórzy, na szczęście, chcą. Tym chlubnym wyjątkiem jest Jarosław Grzędowicz, który właśnie, dwadzieścia lat od debiutu prasowego!, opublikował pierwszą książkę – „Księgę jesiennych demonów". Trzeba przyznać, że nie jest to tempo nadmiernie szaleńcze, ale warto się przyjrzeć, jak wypada debiut czterdziestolatka.

Na zbiór składa się pięć długich opowiadań, których akcja toczy się współcześnie w Polsce. Ale mimo miejsca akcji nie ma w tych tekstach ani krzyny zaściankowości. Być może dlatego, że na palcach jednej ręki można w Polsce policzyć autorów potrafiących tak korzystać z bogactwa języka polskiego jak Grzędowicz. Plastyczne opisy, wyszukane, obrazowe słownictwo, niebanalne skojarzenia, celne i często zabawne lub gorzkie obserwacje obyczajowe, cyzelowane portretowanie bohaterów – oto zalety jego narracji. To była marchewka. Teraz będzie bat. Otóż Grzędowicz dostał do ręki broń, z której nie zawsze umie korzystać. Niestety nader często to, co można wyrazić dwoma, trzema celnymi zdaniami, koniecznie musi „sprzedać" w zdaniach kilkunastu albo nawet kilkudziesięciu! Bawi się opisami dla samych opisów, tak jakby przyjemność sprawiało mu stukanie palcami po klawiaturze i nieważny w tym momencie staje się fakt, że niczemu to nie służy oprócz „mnożenia bytów ponad miarę". W wypadku niektórych tekstów wodolejstwo jest już tak przeraźliwe, że książkę tę najzupełniej spokojnie można byłoby ustawiać w roli działkowego zmraszacza i mieć spokój na całe upalne lato.

Opowiadania Grzędowicza charakteryzują się zwykle świetnym początkiem oraz doskonałym rozwinięciem. Fabuła zagęszcza się, problemy komplikują, a czytelnik zostaje rozpalony niemal do czerwoności, zastanawiając się, co będzie dalej i jak autor poradzi sobie z królikami, które tak pięknie wyciągnął z cylindra. I kiedy tenże czytelnik zastanawia się, jakąż to niewiarygodną puentą uraczy go autor, wtedy następuje głośne KLAP! I to właśnie KLAP, czasami patetyczno-sentymentalne, a czasami zwyczajnie nieprzemyślane i banalne, ma zastąpić Wielki Finał (w jednym wypadku zresztą puenta jest dosłownie ściągniętym zakończeniem znanej piosenki, w drugim powielonym rozwiązaniem ze słynnego amerykańskiego opowiadania). Od razu zastrzegę, że nieumiejętność błyskotliwego zakończenia tekstów to przywara ogromnej liczby autorów polskich i zagranicznych. Nader często zdarzało mi się, że z uczuciem rozżalenia oraz rozczarowania odkładałem teksty Kinga, Barkera, Mastertona, a nawet Gaimana. Szkoda, że Grzędowicz poszedł w ich ślady akurat w tym najgorszym z możliwych aspektów.

Mnie osobiście denerwował również fakt, że bohaterami Grzędowicza są zawsze nieprzystosowani do życia nieudacznicy (kryjący swe nieudacznictwo w gąszczu głupawych oraz dziecinnych frazesów o wolności), ale to już święte prawo autora. Gorzej, że czasami czytelnika aż mdli od nieznośnie patetycznego sentymentalizmu, który idealnie nadawałby się jako wpis do sztambucha historycznej gimnazjalistki (myślę tu głównie o żałośnie słabym Epilogu).

Dlaczego kupić?

Bo pomimo, że zbyt często pojawiają się tasiemcowe dłużyzny, autor ma spore kłopoty z różnicowaniem dialogów, a patos niektórych tekstów może się równać tylko z radzieckimi balladami o Czerwonoarmistach, to KJD są jednak przykładem książki wysmakowanej oraz dającej uczucie satysfakcji z lektury. Czytelnik znajdzie tu również wiele fragmentów wręcz przecudnej urody.

Dla kogo?

Dla miłośników niebanalnego horroru. Sądzę również, że tematyka oraz styl narracji powinny przypaść do gustu kobietom, co w wypadku opowiadań grozy nie zdarza się często.

Tekst: Jacek Piekara

stronności autora (zważywszy, iż tak świetnie radził sobie z wulgarnym, zapijaczonym i wiecznie brudnym Jakubem).

W „Kuzynkach" czytelnik może śledzić historię trzech młodych kobiet, których losy splatają się w przedziwny, aczkolwiek logicznie uzasadniony sposób. Autor, za sprawą wspomnień głównych bohaterek, brawurowo przenosi czytelnika do świata antycznego Rzymu czy Bizancjum, aby za chwilę przerzucić go do czasów współczesnych. Ponieważ jednak robi to ze znawstwem historycznych szczegółów i uwarunkowań jest to podróż dla czytelnika nie tylko pouczająca, ale i przyjemna.

Gorzej, jeżeli autor własne poglądy na temat upadku moralnego i etycznego współczesnej Rzeczpospolitej wkłada w usta jednej z głównych bohaterek. Dywagacje na temat głupoty, skorumpowania i schamienia „elit" rządzących współczesną Polską wydają się nienaturalne w ustach damy, która na własne oczy widziała – jak można przypuszczać – rozbiory Polski. Jeszcze bardziej nienaturalne są pochwały na cześć fantastyki, którą owa dama postrzega jako jedyną współczesną literaturę wartą czytania. Cóż, z moich obserwacji wynika, że im starszy czytelnik (a zwłaszcza czytelniczka), im bardziej przywiązana do uroków minionych epok (nie wnikając, czy słusznie), tym większa niechęć do literatury fantastycznej. Wielka więc to naiwność Pilipiuka, typowa zresztą dla autorów s-f sądzących, że wokół ich ulubionego, niszowego przecież gatunku kręci się cały świat.

Jednak pomimo sentymentalizmu i moralizatorstwa książka warta jest przeczytania. Wartka akcja, zręczne połączenie magii i alchemii ze współczesnością oraz jej atrybutami – Internetem, komputerami, elektronicznymi gadżetami sprawiają, że powieść czyta się ciekawie i lekko.

Dlaczego kupić?

Bo warto oderwać się od szarej rzeczywistości i na chwilę utożsamić z niesamowitymi postaciami stworzonymi przez autora.

Dla kogo?

Przede wszystkim dla kobiet, gdyż dla nich dodatkową atrakcją jest fakt, że „Kuzynki" opowiadają o kobiecej przyjaźni. Główne bohaterki posiadają ponadto wszystkie te cechy, o których marzą kobiety „wyzwolone" – urodę, nieprzeciętny umysł, zaradność, hart ducha i wielką odwagę. I tajemnicę, która sprawia, że ich życie jest pasmem nieustających przygód.

Tekst: Grażyna Grzędowicz



Morrowind: Bloodmoon

Miłośnik fantastyki, który lubi gry komputerowe i nie posiada jeszcze MORROWINDA (lub przynajmniej nie grał na egzemplarzu pożyczonym od kolegi), jest takim miłośnikiem fantastyki, jak z koziego tyłka popielniczka. Bowiem seria ELDER SCROLLS (kolejno ARENA, DAGGERFALL, MORROWIND) jest dla role-playing tym samym, czym „Playboy" dla pism dla panów. Jakością samą w sobie, wyznaczającą nowe gusta i nowe trendy, i podnoszącą poprzeczkę na niespotykanie wysoki poziom. Oczywiście MORROWINDOWI zarzucano pewne drobne błędy, ale nikt nie kwestionował, że dzięki tej grze można zarówno przeżyć estetyczne misterium (ach, ta grafika!), jak i cudownie bawić się przez długie tygodnie. Zrozumiałe więc, że twórcy programu nie mogli sprawy zakończyć na wydaniu jednego tylko produktu. Niedługo po premierze MORROWINDA pojawił się dodatek TRIBUNAL, a w tej chwili na półkach sklepowych gości BLOODMOON.

TRIBUNAL był dodatkiem oferującym w miarę liniowy scenariusz, natomiast BLOODMOON otwiera przed tobą całkiem nowy świat. Oto masz szansę przemierzyć groźną Północ, zmagać się ze śnieżycami i lodowatym wichrem, a także spotkać na swej drodze hordy wygłodniałych, wściekłych i bardzo drapieżnych potworów. BLOODMOON został przygotowany z myślą o graczach, którzy stworzyli już silnych oraz doświadczonych bohaterów, ale oczywiście nikt ci nie przeszkodzi w rozpoczęciu penetracji tego świata już na początku rozgrywki. Tyle że zapewne skończy się to na wilkach rozwlekających po lesie twe szczątki. Oprócz nowego świata, w BLOODMOON są również nowe misje, mnóstwo nowych magicznych przedmiotów, a nawet możliwość interesującej przemiany w wilkołaka.

➔ Dlaczego kupić?

Bo MORROWIND to rozrywka na całe tygodnie. Wolność w poznawaniu świata i kształtowaniu postaci, wręcz symulator życia rycerza, maga lub złodzieja, szukającego dla siebie miejsca w cudownie przygotowanym, fantastycznym świecie.

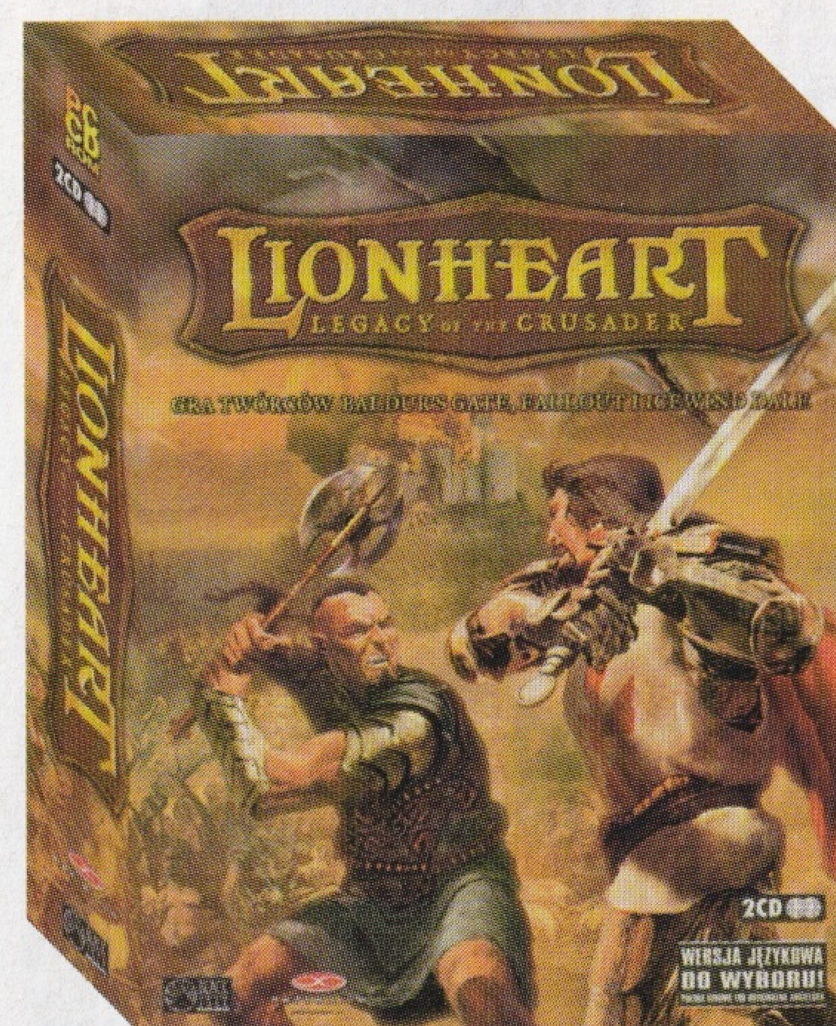
➔ Dla kogo?

Dla osób mających mnóstwo wolnego czasu, gdyż MORROWIND wciąga jak wir Mississipi. Uwaga: aby grać w BLOODMOON trzeba mieć podstawową wersję programu.



Tytuł gry: BLOODMOON
Gatunek: RPG/FPS w czasie rzeczywistym,
Wydawca: CD Projekt
Cena: 59.90 zł

Lionheart



Black Isle to firma-legenda. Twórcy serii BALDUR'S GATE postanowili zaproponować nieco odmienny klimat od tego, w którym utrzymana była ich poprzednia saga. Pod pewnymi względami LIONHEART bowiem do złudzenia przypomina FALLOUT lub ARCANUM – skądinąd gry wybitne, z całą pewnością lokujące się w pierwszej dziesiątce RPG wszech czasów.

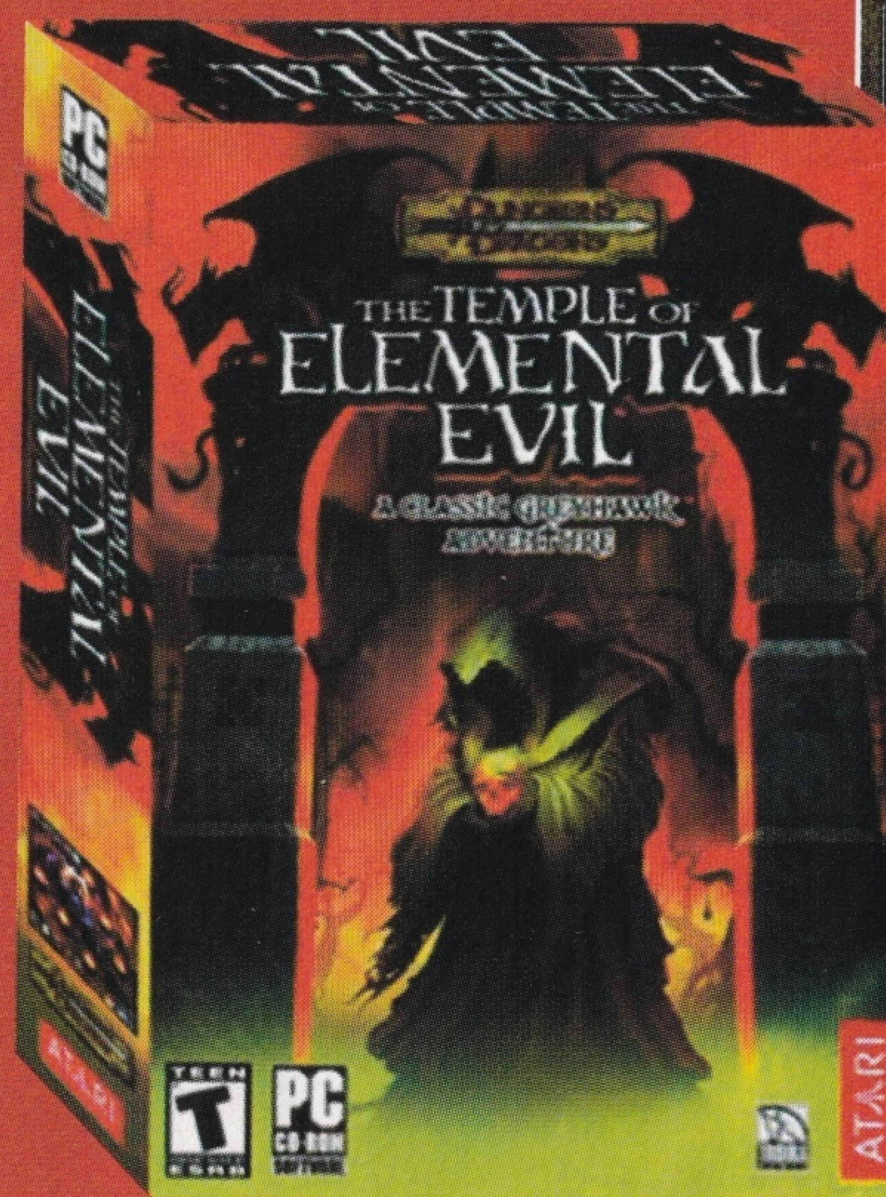
LIONHEART przenosi gracza do alternatywnej Europy z czasów, które można umownie nazwać późnym średniowieczem lub wczesnym renesansem. Świat to co najmniej dziwny. W czasie jednej z wypraw krzyżowych na ziemię sprowadzone zostały demoniczne moce, co spowodowało sojusz pomiędzy królem Ryszardem Lwie Serce a sułtanem Saladynem. Teraz, w wiele lat po tym wydarzeniu, ty, drogi graczu, wcielasz się w obdarzonego magiczną mocą potomka sławnego władcy. Jednak nie wyobrażaj sobie zbyt wiele! Ryszard był człowiekiem swobodnych obyczajów, więc twe królewskie pochodzenie (przykro to mówić, lecz jesteś tylko bękartem) nie uprawnia cię do niczego poza pomocą opiekuńczego ducha. Niewątpliwie też masz w tym



■ Andrzej Zaremba

The Temple of Elemental Evil

Chłopaki z Troika Games nie próżnują. Co prawda od premiery ARCANUM w Wiśle upłynęły już tysiące ton fekaliów i trucizn, ale autorzy pracowali równolegle nad dwoma projektami. Nad recenzowaną poniżej ŚWIĄTYNIĄ oraz nad kontynuacją wampirzej MASKARADY. Pierwszy szok to system, który zaimplementowano w TtoEE. Niestety, jest to D&D, na szczęście w dającej nieco większe możliwości wersji 3.5. Gracz wciela się w postać młodego poszukiwacza przygód ratującego świat przed Złem, które niegdyś wydawało się pokonane, lecz teraz powraca, by znowu mieszać (Jeeeezu, ziewam jak to piszę). Na czele grupy podobnych sobie obwiesiów zwiedza świat i morduje przeróżne milutkie stworzonka. Jak we wszystkich grach Troiki (piszę „wszystkich", bo to są faceci znani nie tylko z ARCANUM, ale którzy zjedli również tony pizzy, przygotowywując FALLOUTA) ogromną rolę odgrywają nieliniowa fabuła i zatrzęsienie dialogów.



➔ Dlaczego kupić?

Bo nazwa Troika Games po sukcesie wspaniałego ARCANUM brzmi jak dzwon.

świecie do odegrania pewną ważną rolę, ale tylko od mądrości twych decyzji zależy, jak swą szansę wykorzystasz.

W LIONHEART jest to, co erpegowcy kochają chyba najbardziej: możliwość dowolnego kształtowania postaci bohatera. Nie ma tu wyznaczonych profesji, a wszystko zależy tylko od twoich decyzji podejmowanych po zdobyciu następnego poziomu doświadczenia. Twój heros może być osiłkiem wyspecjalizowanym w zabijaniu, wygadanym i znającym techniki kamuflażu złodziejaszkiem lub potężnym magiem. To normalka. Ale czemu nie ma zostać świetnym żołnierzem posiadającym również zdolności magiczne? Albo czarodziejem rewelacyjnie radzącym sobie ze sztukami złodziejskimi? Tu wszystko zależy od twoich wyborów. Tak samo zresztą, jak przebieg scenariusza. Otrzymujesz bowiem mnóstwo zadań (czasem wykluczają się one wzajemnie i zmuszają cię do dokonania wyborów natury praktycznej lub moralnej) i tylko od ciebie zależy, w jakiej kolejności podejmiesz się ich wykonania. W trakcie podróży zyskasz również przyjaciół, którzy przyłączą się, aby wspomóc wysiłki głównego bohatera.

→ Dlaczego kupić?

Bo mimo pewnych niedoróbek jest to gra ciekawa oraz wciągająca, gwarantująca naprawdę niezłą zabawę, a przy tym ogromną swobodę w kształtowaniu postaci bohatera oraz fabuły.

→ Dla kogo?

Dla miłośników nieliniowej, pasjonującej akcji oraz intryg. Dla tych, którzy gry role-playing traktują nie tylko jako łomotaninę na bezdrożach, ale lubią uczestniczyć w przygodzie o niebanalnej fabule.

Tytuł gry: LIONHEART
Gatunek: RPG/isometric view w czasie rzeczywistym
Wydawca: CD Projekt
Cena: 99.90 zł



→ Dla kogo?

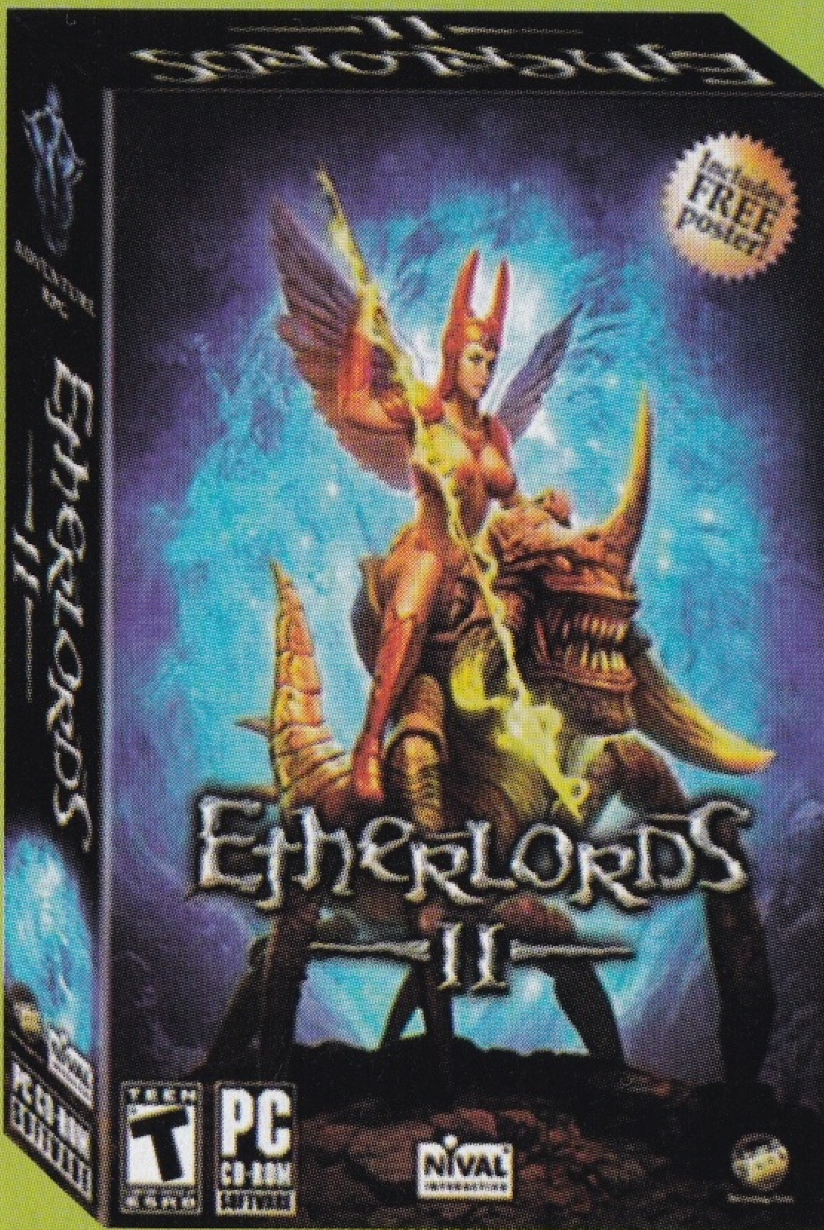
Podobnie jak LIONHEART, dla miłośników nieliniowej, pasjonującej akcji oraz intryg. Dla tych, którzy gry role-playing postrzegają nie tylko jako łomotaninę na bezdrożach, ale lubią uczestniczyć w przygodzie o niebanalnej fabule ;-)

Tytuł: THE TEMPLE OF ELEMENTAL EVIL
Gatunek: RPG/isometric view w trybie turowym
Wydawca: nie znany
Cena: 45 USD

Etherlords 2



Wspaniały świat zamieszkany przez Chaotyków, Vitalitów, Syntetów i Kinetyków był już scenerią śmiertelnych zmagań w ETHERLORDS. Twórcy poszli jednak za ciosem, przygotowując kontynuację, która jest lepsza i, co ważne, bardziej logiczna oraz prostsza do opanowania. Wcielasz się w postać bohatera jednej z ras i w trakcie trwania kampanii wykonujesz szereg misji ważnych dla przetrwania twego państwa. W chwili rozpoczęcia walki pojawiasz się na polu bitwy, mając ze sobą 16 kart – czarów. No i teraz musisz je właściwie wykorzystać. Rozgrywka pozwala ci na kształtowanie postaci bohatera (w miarę zdobywanego doświadczenia rosną jego cechy oraz nabywa on nowe zdolności) oraz na zdobywanie magicznych artefaktów i uzupełnianie talii o nowe, coraz lepsze karty – zaklęcia. W trakcie gry czekają cię 4 długie kampanie podstawowe oraz finałowa piąta, w czasie której zmierzysz się ze źródłem wszelkiego zła.



Dla gracza znającego Magic the Gathering (bo nie ma co ukrywać fascynacji autorów tą grą) opanowanie zasad ETHERLORDS 2 będzie kaszką z mleczkiem. Jednak, co ważne, gracze niedoświadczeni powinni poradzić sobie równie szybko, gdyż autorzy programu zrezygnowali z wielu komplikacji występujących w pierwszej części. Programowi można jedynie zarzucić pewną liniowość, ale zważywszy na cenę jest to produkt jakości wręcz niesłychanej.

→ Dlaczego kupić?

Bo gra jest pasjonująca i pięknie przygotowana od strony graficznej. Liczba możliwych do przygotowania talii daje może nie nieskończone (jak w MtG), ale ogromne możliwości w prowadzeniu rozgrywki. Poza tym można porównać siłę swej ulubionej talii z taliami kolegów, korzystając z opcji gry wieloosobowej. No i ta cena!

→ Dla kogo?

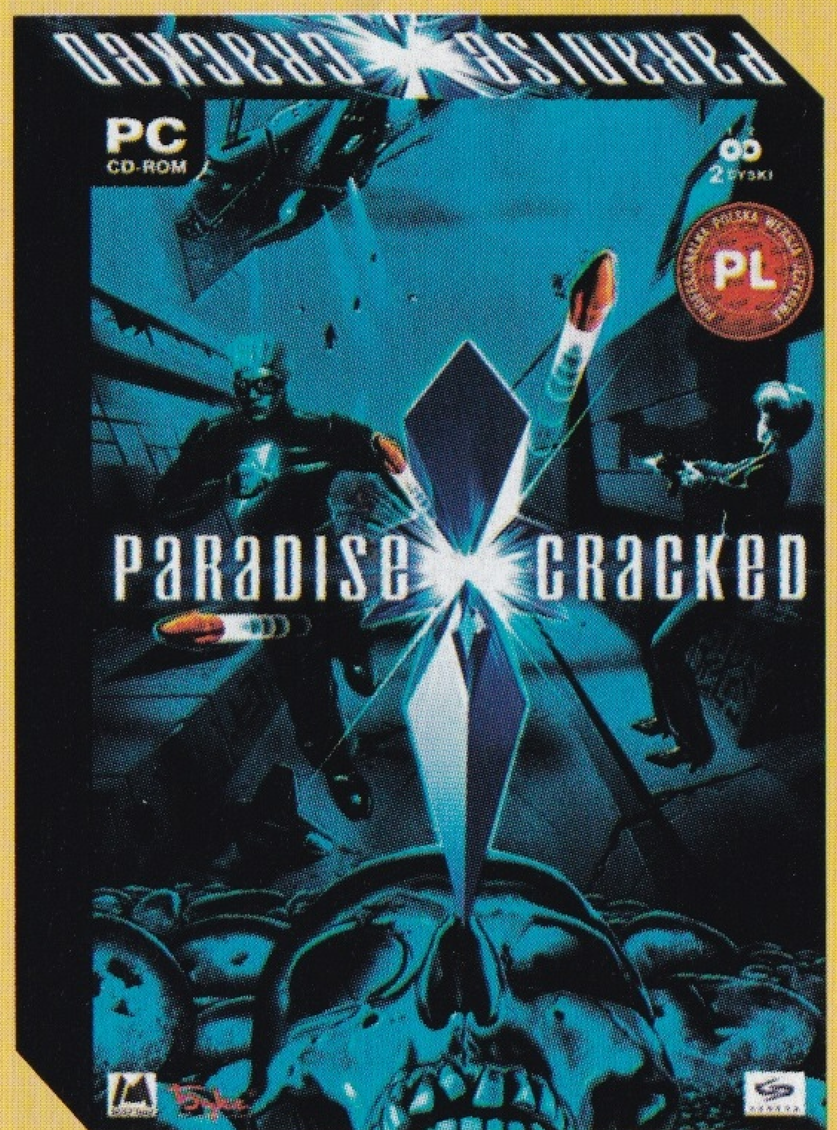
Dla miłośników Magic the Gathering, gdyż znajdą tu liczne nawiązania (delikatnie mówiąc) do swej ulubionej gry. I dla tych, którzy lubią kombinować, a grając w papier-nożyce-kamień liczą, że wynajdą sposób na odnoszenie ciągłych zwycięstw.

Tytuł: ETHERLORDS 2
Gatunek: RPG/strategia turowa
Wydawca: CD Projekt
Cena: 29.90 zł

Paradise Cracked

Tę grę powszechnie porównuje się do UFO, czasami też widać podobieństwa ze staruńkim (ale niegdyś rządzącym) SYNDICATE. Autorzy podjęli dość odważną decyzję przygotowując erpeg, którego cała akcja toczy się w trybie turowym. I, niestety, na zdrowie im to nie wyszło.

PARADISE CRACKED opowiada o świecie przyszłości, w którym cyberprzestrzeń, neurowszczepy, implanty i automatyzacja są na porządku dziennym. Główny bohater – alter ego gracza – zostaje wmieszany w potężną aferę i staje się solą w oku najpotężniejszych organizacji oraz samych władz. W trakcie trwania gry powoli odkryje, kto naprawdę rządzi światem i co kryje się pod sloganami o powszechnym szczęściu. W PARADISE CRACKED króluje walka, której zasady są zbliżone do tego, co znamy z serii UFO lub FALLOUT. Nie znaczy to, oczywiście, że nie uczestniczysz w pewnej przygodzie – fabuła odgrywa tu rolę więcej niż kosmetyczną. Jednak mimo wszystkich cech dobrego RPG (rozwój postaci, odkrywanie zagadek, penetracja świata, zarządzanie drużyną) PARADISE CRACKED wywołał u mnie atak ziewania. Na świecie program też nie otrzymał specjalnie rewelacyjnych not (w dodatku twórcy długo nie mogli znaleźć amerykańskiego wydawcy) i przemknął raczej niezauważony.





→ Dlaczego kupić?

Przede wszystkim z jednego powodu: bo gra jest nudna. A poza tym jej grafika to prawdziwy wehikuł czasu cofający cię do lat 90. ubiegłego wieku.

→ Dla kogo?

Dla tych, co mają za dużo czasu i za dużo pieniędzy.

Tytuł: PARADISE CRACKED
Gatunek: RPG/isometric view w trybie turowym
Wydawca: Cenega
Cena: 59.90 zł



KarieraVaclava Jiracka ma rozpocząć się od roli Janosika. Agnieszka Holland wypatrzyła go w szkole filmowej



Sarah Canner – odtwórczyni głównej roli żeńskiej – przybyła na Słowację zza Oceanu. Aktorka jest jednak w USA zupełnie nieznana

JANOSIK

Akcja filmu Agnieszki Holland i Katarzyny Adamik rozpoczyna się w 1709 roku. Janosik służy w antyhabsburskim wojsku Rakoczego i dostaje się do niewoli, z której ucieka do zbójników (ich herszetm jest Uhorczik). Słowacki Janosik, w przeciwieństwie do polskiego, będzie posiadał umiejętności pochodzące ze świata magii. Widzowie zobaczą na przykład jak szczupły harnaś rozłupuje jednym uderzeniem ciupagi drzewo. Taką moc zyskuje, kiedy wkłada tajemniczy pas...

Kim był Janosik?

Juraj Janosik to postać historyczna. Syn poddanego Martina Janosika i Anny Czesnekowej urodził się 12 stycznia 1688 roku w słowackiej wiosce Terchova. Tak jak wielu młodych wieśniaków w tamtych czasach Janosik wstąpił w 1703 roku do antyhabsburskiej armii dowodzonej przez Węgra Franciszka II Rakoczego. Została ona jednak pokonana w 1711 roku w Trenczynie przez austriacką armię cesarską, a wielu rebeliantów uciekło w góry, by tam kontynuować walkę. Janosik wybrał jednak stan duchowny! Wyjechał do Kerzmarku, by rozpocząć naukę w seminarium. Matka Janosika zachorowała podczas jego nieobecności i wkrótce zmarła. Natomiast ojciec, robiąc dla niej trumnę, zaniedbał pańszczyźniane obowiązki, za co został ukarany śmiercią. Po stracie obojga rodziców Janosik wyruszył w góry, zebrawszy po drodze grupę chorwackich górali. Schwytany przez liptowskich feudałów zginął powieszony na haku.

Z dokumentów historycznych możemy dowiedzieć się, iż Janosik rabował przez dwa lata dowodząc zbójami pochodzącymi z terenów dzisiejszej Polski, Czech oraz Słowacji. Na procesie w Liptowskiej Župie przyznał się do kradzieży, lecz nie do morderstw. Mimo tortur nie zdradził imienia żadnego ze swoich towarzyszy. Stał się bohaterem kilkuset legend, podań, pieśni z wszystkich stron Tatr i do dziś inspiruje pisarzy, filmowców, a nawet twórców komiksów. Na przykład w polskiej literaturze jego historia znalazła się za sprawą „Legendy Tatr" Kazimierza Przerwy-Tetmajera sfilmowanej przez Wojciecha Solarza w 1985 roku. Jako bohatera działającego po polskiej stronie Tatr ukazał go serial polskiej telewizji pt. „Janosik" w reżyserii Jerzego Passendorfera z 1974 roku z Markiem Perepeczką w roli głównej. O Janosiku opowiadały filmy czeskie („Janosik" w reż. Martina Frica z 1936 roku) i słowackie („Janosik" Ludowika Jaroslawa Siakela z 1921 roku, „Janosik" cz. I-II w reż. Palo Bielika z 1963 roku oraz animowany „Zbójnik Jurek" w reż. Viktora Kubala z 1976 roku).



W polskim „Janosiku" rzadko widzieliśmy zbójników na koniach, w słowackim banda Janosika będzie szarżowała niczym husaria!

Pamiątki po Janosiku na Słowacji

Terchova – muzeum Janosika

Terchova to miejscowość turystyczna u podnóża pasma Mała Fatra (około 80 km na południe od przejścia granicznego w Chyżnem),

Żebrowski jest zły! – mówi Agnieszka Holland

W czasie kręcenia filmu jako statystów zaangażowano mieszkańców okolic, w których działał Janosik. Wynajęto również regionalne zespoły ludowe



Reżyser Agnieszka Holland:
Studiowałam w Szkole Filmowej FAMU w Pradze, toteż kulturę czeską oraz słowacką darzę pewnym sentymentem. Również w czasie castingu w Pradze znalazłyśmy młodego studenta szkoły filmowej Vatzlava Jiraczka i zaangażowałyśmy go do roli Janosika. Ten aktor zapowiada się na wielką gwiazdę, a w dodatku jest dokładnie w wieku prawdziwego Janosika, który zginął bardzo młodo. W filmie zagrają również aktorzy polscy. Na przykład w negatywnego bohatera wcieli się Michał Żebrowski. Koszt produkcji wyniesie około 3,2 mln dolarów, z czego 500 tysięcy wyasygnowało słowackie ministerstwo kultury, a 400 tysięcy słowacki parlament.

Katarzyna Adamik (córka A. Holland i reżysera Laco Adamika):
Postać Janosika fascynowała mnie już w dzieciństwie. Nowy filmowy Janosik będzie się różnił od tego, który jest znany widzom w Polsce. Chcemy oddalić się od wizerunku wykreowanego przez Perepeczkę, oprzeć się na prawdzie folkloru, na ludziach żyjących w górach. Ma to być historia uniwersalna, ale chcemy też pokazać bliskie rzeczywistości postacie Juraja Janosika i Stefana Uhorcika. Nie odżegnujemy się od scen z efektami specjalnymi obrazującymi niezwykłą siłę Janosika. Chociaż w filmie znajdą się elementy kina akcji nakręcone dzięki najnowocześniejszej technice filmowej i z udziałem kaskaderów, tak naprawdę będzie to poetycka ballada o Janosiku, a nie komiksowa wersja legendy. Zdjęcia rozłożone na późne lato, jesień i zimę nakręcimy w prawdziwych plenerach, tam gdzie działał Janosik.

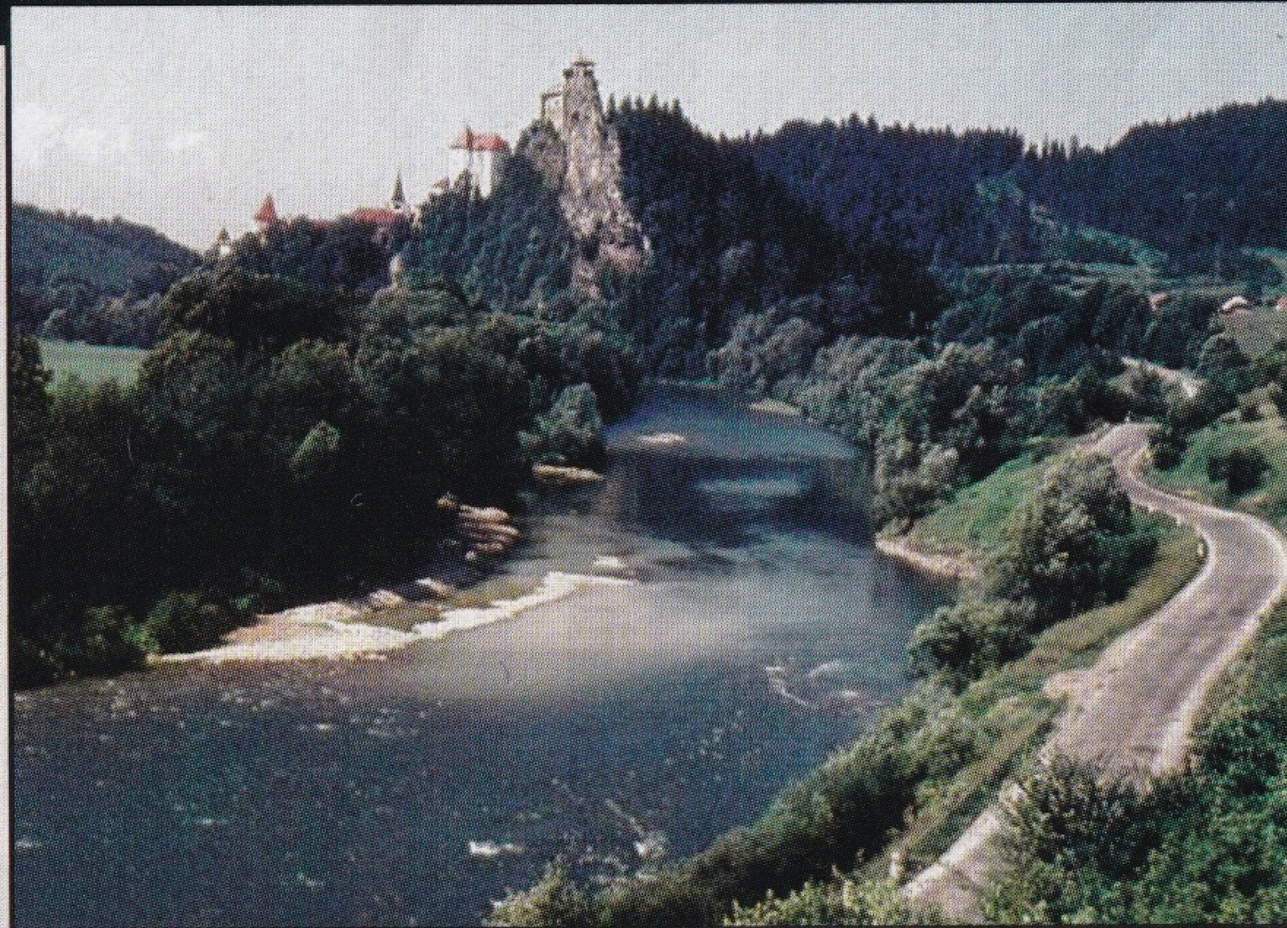
Dowodem naszego dążenia do realizmu jest również fakt, że chcemy wykorzystać autentyczne melodie z XVIII wieku w taki sposób, w jaki je wówczas podawano, a nie tak jak



to przetworzyli w XIX wieku romantycy. W scenie wesela grają muzycy z zespołu Petera Kustara wyspecjalizowani w tej dziedzinie. Nauczyli nawet odtwórcę roli Janosika grać na skrzypkach, a Uhorczika na gajdach. W sferze wizualnej autentyzm zapewniają statyści, mieszkańcy okolic Terchovej, pasterze. Zagrają również w scenie w specjalnie zbudowanej karczmie wzorowanej na starych budowlach. Kostium Janosika też nawiązuje do strojów z jego czasów, a nie późniejszych XIX-wiecznych wyobrażeń o wysokiej czapce i wyszywanym kaftanie. Janosika i jego przyjaciół staramy się pokazać w taki sposób, aby mogła się z nimi identyfikować młodzież.



Miłość do pięknej Barbary (w tej roli Amerykanka Sarah Canner) poróżni Janosika i jego przyjaciela (granego przez Żebrowskiego)



W miejscowości Podzamok znajduje się zamek wzniesiony na skarpie nad Orawą – jedno z najpiękniejszych miejsc na

którego najwyższym szczytem jest Krywań (1701 m.n.p.m.). Nad Terchovą góruje duży, metalowy pomnik Janosika zbudowany w czasach „realnego socjalizmu". W małym muzeum możemy obejrzeć eksponaty etnograficzne z czasów Janosika oraz liczne rzeźby i obrazy przedstawiające harnasia. Jest też słynny pas zbójnika oraz ciupaga. Co roku na początku sierpnia odbywa się tutaj folklorystyczny festiwal Janosika.

Zamek nad Orawą

Znajduje się w miejscowości Podzamok. Zbudowano go na wysokiej skale, położonej nad brzegiem Orawy. By zwiedzić wszystkie komnaty potrzebna jest co najmniej godzina. Za wędrowanie po zamku powinny zabrać się osoby raczej dobrze przygotowane fizycznie, gdyż wchodząc wciąż wyżej i wyżej trzeba piąć się stromymi schodami. Za to widok z góry może naprawdę zachwycić. Za dodatkową opłatą turyści mogą obejrzeć występy trupy teatralnej w kostiumach Białej Damy i Draculi. A nawet wziąć udział w historycznej inscenizacji przygotowanej przez kaskaderów przebranych za zbójników oraz żołnierzy. Wstęp kosztuje 100 koron od osoby, filmowanie lub fotografowanie 50 koron. Spore wrażenie robią zwłaszcza meble sprzed trzystu lat, na przykład biesiadny zydel z drewnianą zakładką nie pozwalającą podpitemu gościowi spaść z krzesła. W jednej z komnat, która była sypialnią ostatniego pana zamku, oglądamy jego małżeńskie łoże długości 150 cm. Czyli Janosika kazał powiesić... karzełek?

Karczma i góra Janosika

Opuszczamy Orawę i jedziemy serpentynami do wsi Velazka Dubowa. Parkujemy pod Janosikową Karczmą. Jak świadczy napis na jej ścianie: „W tej gospodzie w roku 1713 pojmano Jurka Janosika, którego zdradziła stara bachorka za trzysta złotych dukatów".

Tekst i zdjęcia Wiesław Adamik

PO SŁOWACKU



PRZYGODY INDIANY JONESA

Indiana Jones – legendarny bohater kinowych przebojów wszech czasów – bardziej przypomina awanturnika z Dzikiego Zachodu niż archeologa wyspecjalizowanego w wyszukiwaniu najciekawszych skarbów starożytności. Kowbojski kapelusz, skórzana kurtka, rewolwer u biodra i bicz w dłoni to składniki image'u Jonesa. Jego niekończące się przygody zabierają widza w emocjonującą podróż dookoła świata. Trylogia o Indy Jonesie to efektowne kino trzymające w napięciu od pierwszej do ostatniej minuty. Fascynuje sposobem opowiadania, efektami specjalnymi oraz inteligentnym humorem.

„Przygody..." biły rekordy kasowe. Do dziś są wśród piętnastu najlepiej sprzedających się produkcji wszech czasów. Filmy poświęcone osobie Indiany Jonesa przyniosły na całym świecie ponad MILIARD dolarów wpływów. Zdobyły 7 Oscarów i 8 nomiancji. Na świecie sprzedano 21 milionów kaset VHS z Indianą Jonesem, z czego 6 milionów w samych Stanach Zjednoczonych. Pakiet DVD zawiera wszystkie 3 części filmu oraz płytę „From The Lucasfilms Archives".

Indiana Jones i Poszukiwacze Zaginionej Arki

Laureat Oscara '82 za najlepszą scenografię, najlepsze efekty specjalne, najlepszy montaż i najlepszy dźwięk.
Film, który zapoczątkował cykl przygód nieustraszonego archeologa powraca w odnowionej cyfrowej wersji, która podnosi finałową sekwencję efektów specjalnych do rangi dzieła sztuki.

Film opowiada o tym, jak Indiana w towarzystwie swej eksnarzeczonej Marion wyrusza na poszukiwanie biblijnej Arki Przymierza. Jego zadaniem jest odnaleźć Arkę, zanim uczynią to hitlerowcy.

Indiana Jones i Świątynia Zagłady

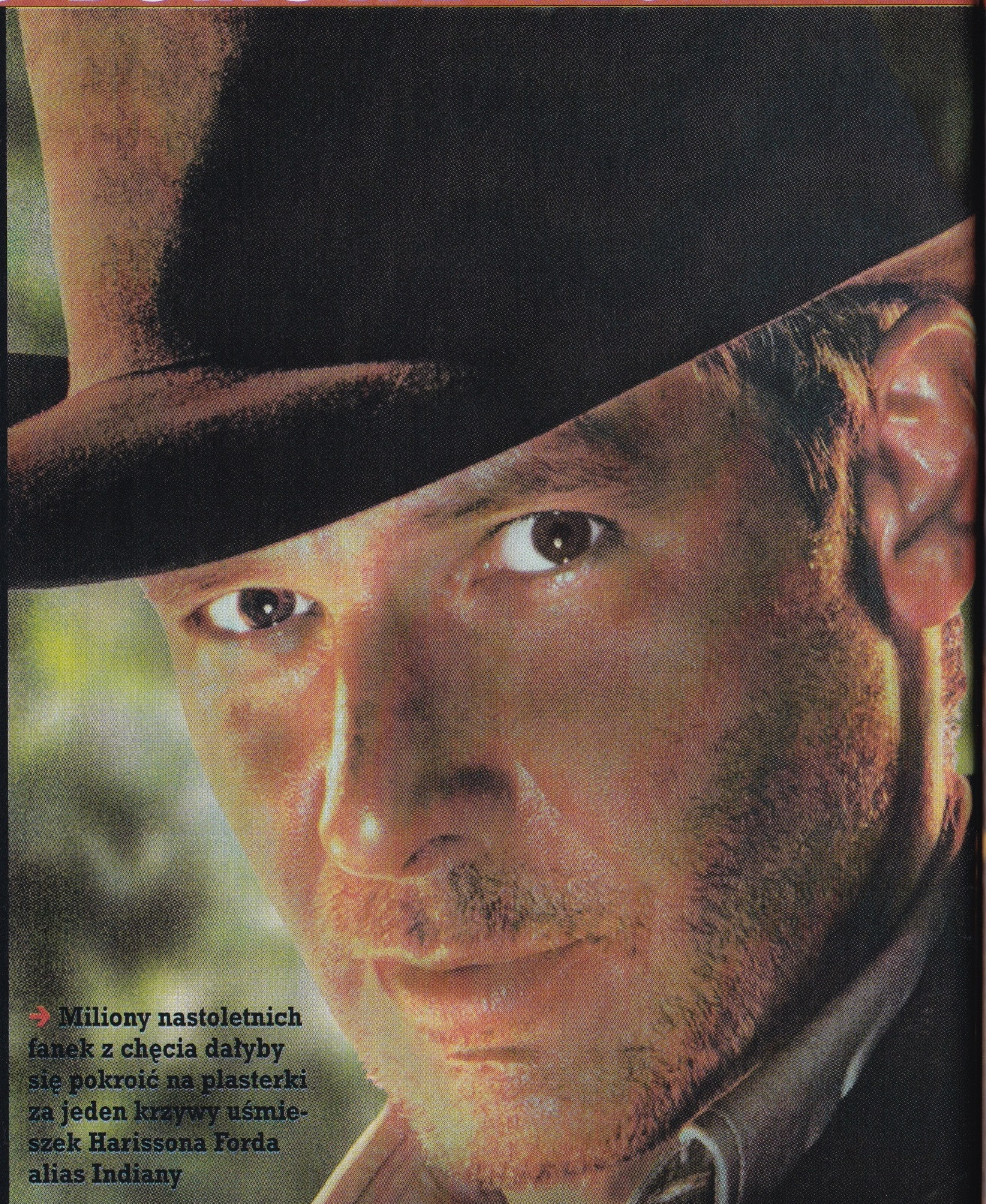
Laureat Oscara '85 w kategorii najlepsze efekty specjalne.

Po brawurowej ucieczce z nocnego klubu w Szanghaju Indy ląduje w indyjskiej głuszy. Wpada na trop paskudnej sekty, która zmusza dzieci do niewolniczej pracy w kopalniach i wyznaje kult złej bogini Kali. Indiana postanawia przezwyciężyć wszystkie pułapki zastawione przez kultystów i uratować dzieci. Do historii kina przeszła scena szaleńczej jazdy podziemną kolejką.

Indiana Jones i Ostatnia Krucjata

Laureat Oscara '90 za najlepsze efekty specjalne i najlepszy dźwięk.

Po prologu, ukazującym młodego Indianę Jonesa w jednej z pierwszych przygód, przenosimy się w czasy, kiedy dorosły Indy wyrusza na poszukiwanie ojca – profesora Henry'ego Jonesa. Z którym, nawiasem mówiąc, nie łączą go szczególnie serdeczne stosunki. Okazuje się, że poszukujący Świętego Graala hitlerowcy porwali profesora – autorytet w materii początków chrześcijaństwa. Indy musi odszukać i uwolnić ojca, a potem uratować kielich, z którego sam Chrystus pił w czasie Ostatniej Wieczerzy.



Miliony nastoletnich fanek z chęcia dałyby się pokroić na plasterki za jeden krzywy uśmieszek Harissona Forda alias Indiany



Rozpaskudzona amerykańska piosenkarka i rezolutny Shorty dotrzymywali Indianie towarzystwa podczas starcia z wyznawcami złej bogini Kali

Indiana Jones Materiały dodatkowe

Jak powstała trylogia

Poszukiwacze zaginionych archiwaliów w firmie Lucasfilm znaleźli materiały związane z produkcją trylogii „Indiana Jones". Jest to odkrywcza wyprawa w towarzystwie ekipy i aktorów z wszystkich trzech filmów o Indianie Jonesie. Materiał zawiera nigdzie dotąd nierozpowszechniane materiały z planu, niewykorzystany materiał zdjęciowy, zdjęcia próbne, szkice do dekoracji i fotosy pozwalające zajrzeć za kulisy podczas pracy nad filmem.

Światło i magia

W czasach, kiedy jeszcze nie istniały efekty komputerowe, firma Industrial Light and Magic stworzyła wyjątkowy świat Indiany Jonesa. Specjaliści od efektów zdradzają, jak wykorzystywali nowatorskie technologie do tworzenia efektów optycznych i mechanicznych oraz w jaki sposób modele, retusze i morfowanie uwiarygodniły wspaniałe wyczyny i nadnaturalne przygody Indy'ego.

To, co słuchać...

Nagrodzony Oscarem reżyser dźwięku Ben Burtt zabiera widza na wyprawę w świat akustyki. Materiał pokazuje, jak ważne w filmach o Indianie Jonesie są efekty audio i montaż dźwięku.

Wyczyny kaskaderskie

Każdy kolejny film z Indianą Jonesem zawierał bardziej przerażające i niebezpieczne sceny kaskaderskie. Kaskaderzy, którzy grali w filmach o Indianie, prezentują najbardziej dramatyczne sceny z trylogii.

Muzyka

Jest to muzyczna wyprawa w przeszłość, którą odbywasz wraz z Johnem Williamsem. Twórcy opowiadają, jak powstał „Marsz poszukiwaczy", jeden z najbardziej znanych motywów muzycznych w kinie, a także, jak muzyka wzmacnia klimat każdej przygody.

Oryginalne zwiastuny

Oryginalne zwiastuny kinowe wszystkich filmów oraz zwiastun gry komputerowej firmy Lucas Arts „Indiana Jones and the Emperor's Tomb".

Tylko dla posiadaczy DVD-ROM

Każda płyta DVD z filmem „Indiana Jones" odtwarzana w komputerze pozwa-

Dochody (w mln USD)

Indiana Jones i Poszukiwacze zaginionej Arki
Premiera: 12 VI 1981 Wpływy: USA – 242, poza USA – 159, Wpływy ogółem - 401

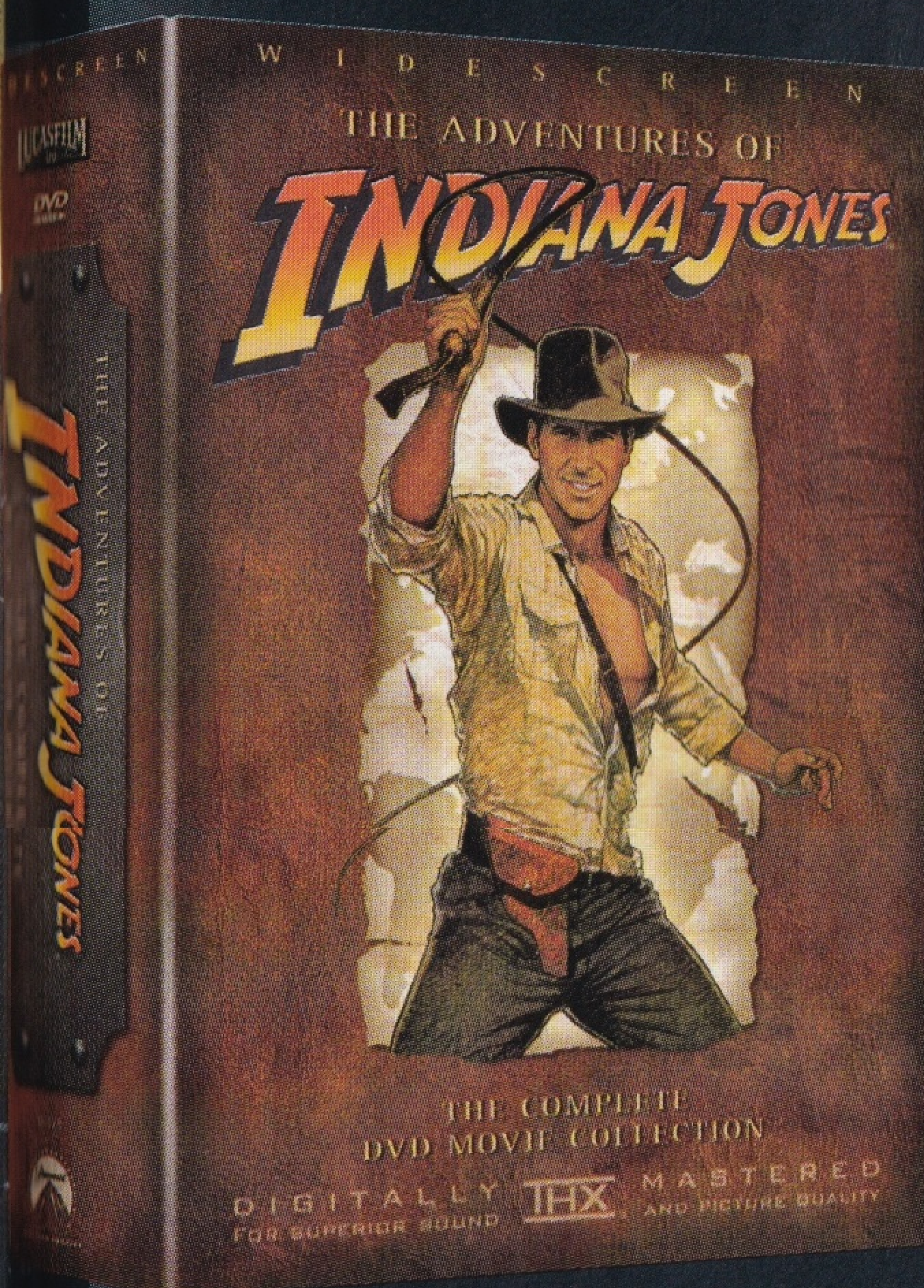
Indiana Jones i Świątynia Zagłady
Premiera: 23 V 1984 Wpływy: USA – 180, poza USA – 144, Wpływy ogółem - 324

Indiana Jones i Ostatnia Krucjata
Premiera: 24 V 1989 Wpływy: USA – 197, poza USA – 201, Wpływy ogółem - 398

The Adventures of Indiana Jones

Collection 4xDVD

- **Reżyseria:** Steven Spielberg
- **Występują:** Harrison Ford, Karen Allen, Paul Freeman, Kate Capshaw, Sean Connery i inni
- **Pomysł:** George Lucas i Steven Spielberg
- **Dystrybucja:** ITI Home Video
- **Wydanie:** DVD 4 płytowe
- **Czas:** 540 min.
- **Premiera:** 21 października



la dostać się do materiałów dostępnych tylko na specjalnej stronie internetowej – IndianaJones.com.

Dodatki: bezpośredni dostęp do scen, Indiana Jones: Jak powstała trylogia, Światło i magia w trylogii „Indiana Jones", Efekty dźwiękowe w trylogii „Indiana Jones", Wyczyny kaskaderskie w trylogii „Indiana Jones", Muzyka w trylogii „Indiana Jones", Zwiastun gry komputerowej „Indiana Jones and the Emperor's Tomb", Oryginalne zwiastuny filmów z trylogii „Indiana Jones".

Dźwięk

Angielska ścieżka dźwiękowa została zapisana w systemie cyfrowym 5.1 Każdy z filmów został na nowo opracowany cyfrowo i wzbogacony dźwiękiem w systemie Dolby Surround.

Wśród materiałów dodatkowych zabraknie komentarzy autorskich. Wynika to z faktu, iż – jak dotąd – Spielberg nie zgodził się na opatrzenie komentarzem żadnego ze swoich filmów.

■ Jolanta Lisowska, zdj. archiwum Wydawnictwa Bauer

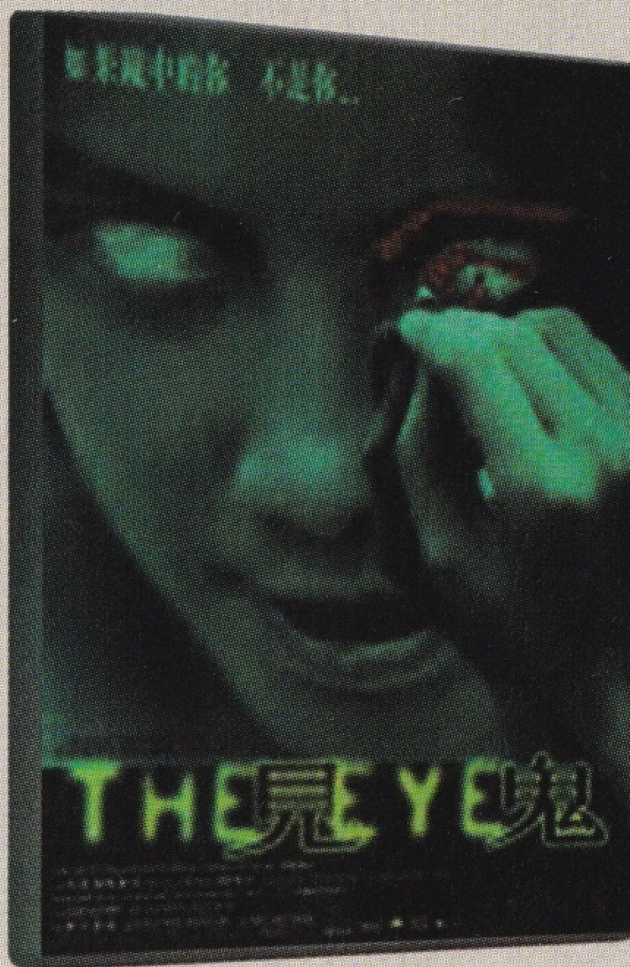
KINOTEKA SNOBA

Kino s-f to nie zawsze spotkania z pistacjowymi panopkami, horror to niekoniecznie gromkie „buuu" zza kadru, a fantasy to nie bicepsy w sandałach...

The Eye

produkcja: Hongkong 2002, **reżyseria:** Danny Pang, Oxide Pang Chun, **do kupienia:** sklepy internetowe, **cena:** 21 $

W wieku dwóch lat Mun utraciła wzrok. Po 18 latach życia w ciemnościach otrzymuje szansę widzenia, która wiąże się z ryzykownym zabiegiem przeszczepu rogówki. Kiedy opadają bandaże i oczy Mun zaczynają reagować na światło, wydaje się, iż opercja zakończyła się sukcesem...



Wkrótce jednak seria dziwnych i mrożących krew w żyłach spotkań z tajemniczymi nieznajomymi powoduje, iż Mun zaczyna zastanawiać się, czy jej świeżo przywrócony wzrok nie wprowadził w jej życie innego rodzaju ciemności... Jej przerażenie rośnie, gdy w lustrze, zamiast swojej, widzi twarz obcej kobiety. Próbuje dowiedzieć się, czyimi oczami ogląda świat i wkrótce poznaje straszliwą prawdę...

Posiadać warto, ale czy warto oglądać?

Azjatyckie horrory często mają wspólną cechę: przez 90% filmu nie dzieje się nic, za to końcówka wynagradza cierpliwość. Takie są „Ring", „Audition", „Dark Water"... „The Eye" jest podobny, z tą subtelną różnicą, że przez owe 90% dzieje się nieco więcej niż zwykle. Nie na tyle sporo, by generacja MTV usiedziała bez ziewania dłużej niż 3 minuty, ale jednak. Bardziej wyrafinowani smakosze kina powinni sobie przygotować kawałek gumowego paska, który mogliby nerwowo pogryzać w co lepszych momentach – dreszcze po plecach przemykają częściej niż w podobnym „Szóstym Zmyśle".

Dla tych, którzy chcą rozpocząć swoją przygodę z kinem Dalekiego Wschodu, „The Eye" jest filmem idealnym: na tyle zachodni, by nie odrzucać hermetyczną formą, na tyle azjatycki, by zachęcić do dalszego odkrywania kompletnie dotąd nieznanych – a bogatych – złóż kina made in Asia.

Dla snoba gotowy tekst na imprezkę

„Ech ci biali... Jak zwykle zamieszali, ignoranci. Zapewne o tym nie wiecie, ba, na pewno tego nie wiecie, ale oryginalny tytuł filmu to <<Jian Gui>>, a co w dosłownym tłumaczeniu oznacza <<Widząc duchy>>. A nie jakieś tam <<Oko>>."

Najlepszy fragment filmu

Końcówka filmu, choć nie tak odkrywcza jak we wspomnianym „Szóstym Zmyśle", jest przepotężnym uderzeniem mocy. Nie mam zwyczaju psuć zabawy osobom, które filmu nie widziały, więc mimo niegodnej żądzy podzielenia się ze światem opisem sceny finałowej powiem tylko, że coś takiego rzadko widujemy nawet w filmach o budżecie stukrotnie większym.

Niegodne snoba plotki

Hollywood stawia na Azję! W nachodzącym zamerykanizowanym „Dark Water" zagra zdobywczyni Oscara Jennifer Connelly. Sam Spielberg również zakochał się w skośnookich horrorach i pisze obecnie scenariusz do „Fatal Frame" (alias „Project Zero"). „The Eye" zaś został zakupiony do jankeskiej obróbki przez niejakiego Toma Cruise'a...

Najzabawniejszy komentarz na IMDB

„Zobaczcie ten film, zanim firma Toma Cruise'a przemieli go na nieświeży hollywoodzki pulpecik"

Więcej informacji na...

http://www.mongkolfilm.com/theeye/

Ring Virus

produkcja: Japonia/Korea 1999, **reżyseria:** Mauricio Dortona, Dong-bin Kim, **do kupienia:** sklepy internetowe, **cena:** 15 euro

Badając sprawę nagłej śmierci swojej kuzynki, dziennikarka Sun-Ju znajduje kasetę wideo z filmem pełnym osobliwych obrazów i kończącym się mrożącą krew w żyłach wiadomością: „Umrzesz dokładnie w tydzień po obejrzeniu tej taśmy". W wyniku dalszego śledztwa okazuje się, że dokładnie w momencie śmierci siostrzenicy tragicznie zmarło jeszcze kilka innych osób. Wszystkie ofiary łączy jedno: razem oglądały ów film...



Z pomocą wyklętego przez środowisko naukowe neurologa – który jako jedyny uważa, iż śmierć kuzynki Sun-Ju spowodowana była czynnikami nadnaturalnymi – żurnalistka rozpoczyna śledztwo, od którego zależy jej własne życie...

Posiadać warto, ale czy warto oglądać?

Wszyscy, którym powyższe streszczenie wydaje się znajome, nie mylą się – „Ring: Virus" to koreańsko-japoński remake „Ringu". Dla snoba to oczywiście zdobycz o wiele cenniejsza niż remake amerykański. Czy jednak warto oglądać film, który momentami kopiuje oryginał nawet w ujęciach kamery i kolorach ubrań bohaterów? Otóż tak. Weźmy choćby fabułę, która tutaj jest dość uporządkowana i bliższa rzeczywistości – przez co bardziej wiarygodna. Albo towarzyszącą filmowi muzykę, która jest chyba najdziwniejsza, jaką w życiu słyszałem (na szczęście nie jest tylko dziwna, ale i dobra).

Są i słabsze momenty (np. legendarna scena końcowa nie robi w „Wirusie" większego wrażenia), ale generalnie żaden prawdziwy fan „Ringu" bez owej koreańskiej mutacji obejść się nie może. Inni mogą sobie darować.

Dla snoba gotowy tekst na imprezkę

„Uważam, że wersja koreańska jest o wiele lepsza od japońskiej, że o amerykańskiej nie wspomnę. Jest bliżej oryginału, w sensie książki Suzuki Koji'ego. Jak to, nie czytaliście? Przecież amerykańskie tłumaczenie już jest. Ignoranci..."

Najlepszy fragment filmu

Moment, w którym nieszczęsny widz orientuje się, kim naprawdę (fizycznie) była Eun-Suh (odpowiednik Sadako z japońskiej wersji). Szok – możliwe tylko chyba w filmie z Azji. Trzeba jednak być widzem wyjątkowo uważnym, najlepiej z nieco schorowanym umysłem – inaczej ta wstrząsająca informacja może przejść niezauważona...

Niegodne snoba plotki

Trudno oczekiwać, aby Hollywood dokonało remake'u remake'a – wystarczy jeden „Ring". Ale przy okazji warto wspomnieć, że powstaje „Ring 2". Nie wiadomo jednak, czy będzie miał coś wspólnego z oryginałem, a jeśli już, to z którą częścią (japoński „Ring" to trylogia: „Ring", „Ring 2" i „Ring 0").

Najzabawniejszy komentarz na IMDB

„Film jest naprawdę straszny, postanowiłem nie oglądać ostatnich 10 minut"

Więcej informacji na...

http://ringworld.somrux.com/

■ Adrian Chmielarz

Film wszedł na ekrany kin 31 stycznia 2003. Premierze pierwszej części „Władca Pierścieni: Drużyna Pierścienia" towarzyszyły najpierw obawy, co stworzy Peter Jackson, potem już tylko niekłamany zachwyt fanów kina fantasy. Na część drugą czekano ze zniecierpliwieniem. Film nie wzbudził jednak tak pozytywnych reakcji, jak się spodziewano. Miłośnicy Tolkiena mieli za złe Jacksonowi odejście od fabuły książki, a wielu uznało obraz za przegadane nudziarstwo o nielogicznej i poszarpanej akcji.

Cztery czy pięć?

W niespełna rok po uroczystej premierze pojawiają się dwa wydania DVD „Władca Pierścieni: Dwie Wieże" (wydanie dwupłytowe jest na rynku od wakacji). 18 listopada, równocześnie z premierą światową, w Polsce ukażą się na DVD: Specjalne Rozszerzone 4-płytowe Wydanie oraz 5-płytowe Limitowane Wydanie Kolekcjonerskie. Oprócz zwiastunów żadne inne dodatki z wydania dwupłytowego nie znajdą się w wydaniu czteropłytowym! Zestaw kolekcjonera, oprócz wydania czteropłytowego i dodatkowego DVD będzie zawierał także figurki/podpórki do postawienia na półkę. Zostanie też zapakowany w stylizowane opakowanie. Parametry techniczne wydania DVD są identyczne jak zestawu bez figurek.

Co nowego?

Nowe wersje filmu „Władca Pierścieni: Dwie Wieże" zostały wzbogacone o ponad 40 minut dodatkowych – nowych i rozszerzonych – scen wybranych przez reżysera Petera Jacksona i wzbogaconych o nową ścieżkę muzyczną Howarda Shore'a. Znajdziesz tam też wspaniałe dodatki, dzięki którym poznasz tajniki produkcji jednego z najgłośniejszych filmów ubiegłego roku.

Limitowane Wydanie Kolekcjonerskie zostało wzbogacone o mini-DVD z materiałem pt. „The Evolution of Gollum" w całości poświęconym tworzeniu dołączonej do zestawu figurki oraz książeczkę pokazującą, jak powstawał filmowy Gollum – od wstępnych szkiców, aż do animacji komputerowej.

Dla Polaków

Polscy widzowie będą mogli obejrzeć film w wersji oryginalnej z polskimi napisami z dźwiękiem w formacie DTS 6.1 ES lub z polskim lektorem w Dolby Digital EX 5.1. Format obrazu – szerokoekranowy (16:9) (2:35:1). Wybrane dodatki specjalne dostępne są również w języku polskim.



Czas negocjacji się skończył. Teraz opcją jest już tylko otwarta wojna...

Władca Pierścieni: Dwie wieże

Collection 4xDVD / 5x DVD

- **Reżyseria:** Peter Jackosn
- **Występują:** Ian McKellen, Elijah Wood, Vigo Mortensen, John Rhys-Davies, Christopher Lee i inni
- **Pomysł:** J.R.R. Tolkien
- **Dystrybucja:** Warner Bros.
- **Czas:** 214 min. + dodatki
- **Premiera:** **18 listopada**



WŁADCA PIERŚCIENI

Władca Pierścieni: Dwie Wieże

specjalne, rozszerzone 4-płytowe wydanie DVD

Płyty 1-2: Film

Film – czas trwania 214 min. Nowa wersja drugiej części epickiej trylogii. Film zawiera ponad 40 minut dodatkowych, nigdy wcześniej nieprezentowanych scen, które zostały dołączone do obrazu lub rozszerzone specjalnie na potrzeby tego wydania.

- Szerokoekranowa (2:35:1) wersja Specjalnej Rozszerzonej Edycji Filmu.
- Dźwięk Dolby Digital EX 5.1 Surround Sound (polski lektor).
- Dźwięk DTS ES 6.1 Surround Sound (oryginalna ścieżka dźwiękowa).
- Cztery komentarze: reżysera, scenarzystów, scenografów, producentów i aktorów, w których nagraniu wzięło udział ponad 30 artystów, w tym: Peter Jackson, Elijah Wood, Sean Astin, Orlando Bloom, laureaci Oscara: Richard Taylor, ,Howard Shore, Randy Cook... i wielu innych!

Płyty 3-4: Dodatki specjalne

Dwie płyty wypełnione godzinami dodatków specjalnych w tym dokumentami oraz olbrzymimi galeriami szkiców i zdjęć, dzięki którym widz może poznać kulisy realizacji filmu „Władca pierścieni: Dwie Wieże"

Płyta 3

- Od powieści do scenariusza – planowanie filmu.
- Scenografia i inspiracje. Jak pokazać Śródziemie na dużym ekranie.
- Od storyboardów do prewizualizacji.
- Wizyta w Weta Workshop – zobacz rzeźbiarzy, jak tworzą broń, zbroje, potwory i miniatury wykorzystane w filmie.
- Atlas Śródziemia – Śladami Drużyny Pierścienia.
- Interaktywna mapa Nowej Zelandii pokazująca miejsca, w których powstawał film.
- Galerie szkiców i rysunków z komentarzami artystów.
- I wiele innych.

Płyta 4

- Aktorzy na placu boju – przygotowanie do walki na miecze. Relacja z planu filmowego.
- Efekty komputerowe, jak powołano do życia armie Orków.
- „Maxi-miniatury" – spojrzenie na miniatury wykorzystane w filmie.
- Galerie zdjęć z planu i fotografii aktorów.
- Montaż.
- Tworzenie dźwięków Śródziemia.
- I wiele innych.



Władca Pierścieni: Dwie Wieże

limitowane wydanie kolekcjonerskie, 5 płyt DVD

- Czas trwania filmu: 214 min.
- Typ płyt: jednostronna dwuwarstwowa, jednostronna dwuwarstwowa, jednostronna dwuwarstwowa, jednostronna dwuwarstwowa, jednostronna jednowarstwowa
- Obraz: 2:35:1(16:9) anamorficzny
- Dźwięk: angielski (DTS ES), polski (Dolby Digital 5.1 EX)
- Napisy: polski
- Dodatki: komentarze: reżysera, scenarzystów, scenografów, producentów i aktorów, Od powieści do scenariusza – planowanie filmu, Scenografia i inspiracje. Jak pokazać Śródziemie na dużym ekranie, Od storyboardów do prewizualizacji, Wizyta w Weta Workshop – zobacz rzeźbiarzy, jak tworzą broń, zbroje, potwory i miniatury wykorzystane w filmie, Atlas

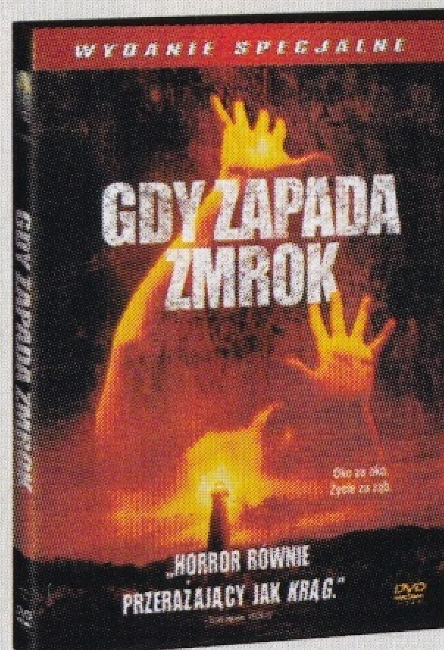
DWIE WIEŻE

Śródziemia – Śladami Drużyny Pierścienia, Interaktywna mapa Nowej Zelandii pokazująca miejsca, w których powstawał film, Galerie szkiców i rysunków z komenatrzami artystów, Aktorzy na placu boju – przygotowanie do walki na mieczе, Relacja z planu filmowego, Efekty komputerowe, jak powołano do życia armie Orków, „Maxi-miniatury" – spojrzenie na miniatury wykorzystane w filmie, Galerie zdjęć z planu i fotografii aktorów, Montaż, Tworzenie dźwięków Śródziemia, Unikalny dodatek „The Evolution of Gollum" (Dodatkowa płyta mini-DVD z materiałem prezentującym jak pracowano nad figurką Golluma. O pracach opowiadają m.in.: Peter Jackson, Richard Taylor, aktorzy i wiele innych osób! Materiał drukowany – książeczka – pokazująca, jak ewoluuje Gollum. Od wstępnych szkiców, aż do animacji komputerowej), Figurka Golluma stworzona przez Sideshow Weta.

■ Jolanta Lisowska, zdj. New Line Cinema / Warner Bross.

Gdy zapada zmrok

Darkness Falls
Liczba płyt DVD: 1
Produkcja: USA, 2003, 85 minut
Reżyseria: Jonathan Liebesman
Występują: Chaney Kley, Emma Caulfield, Lee Cormie
Dystrybucja: Warner Bros. Poland
Premiera: 27 października



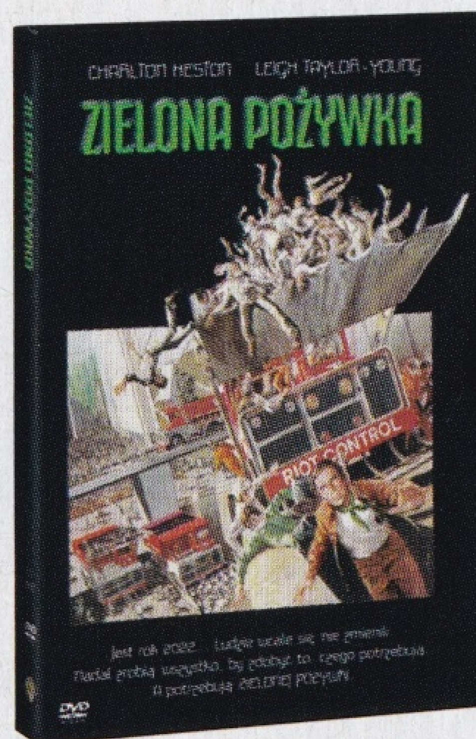
150 lat temu została zlinczowana w małym miasteczku. Teraz wraca pod postacią Zębowej Wróżki, by się zemścić na potomkach swych oprawców. Jedyną osobą, która może się jej przeciwstawić, jest Kyle. Nie jest on zwykłym chłopcem – twierdzi, że jako dziecko obudził się i zobaczył pochylającą się nad nim Zębową Wróżkę, która usiłowała go zabić. Klasyczny horror.

Dodatki: bezpośredni dostęp do scen, zwiastuny filmowe, sceny niewykorzystane w filmie, scenopis obrazkowy a film – porównanie, reportaże, komentarze twórców filmu.

Zielona pożywka

Soylent Green
Liczba płyt DVD: 1
Produkcja: USA, 1973, 97 minut
Reżyseria: Richard Fleisher
Występują: Charlton Heston, Leigh Taylor-Young, Chuck Connors
Dystrybucja: Warner Bros. Poland
Premiera: 7 listopada

Jest rok 2022. Thorn pracuje jako detektyw patrolujący mroczne ulice Nowego Yorku. Podążając tropem zabójcy odkrywa, że mieszkańcy przeludnionej metropolii zmuszani są do kanibalizmu. Horror science-fiction oparty na opowiadaniu Harry'ego Harrisona „Przestrzeni! Przestrzeni!", które jest jedną z najsłynniejszych antyutopii w historii literatury science-fiction.



Dodatki: bezpośredni dostęp do scen, zwiastun filmowy, komentarz reżysera.

Nawiedzony dom

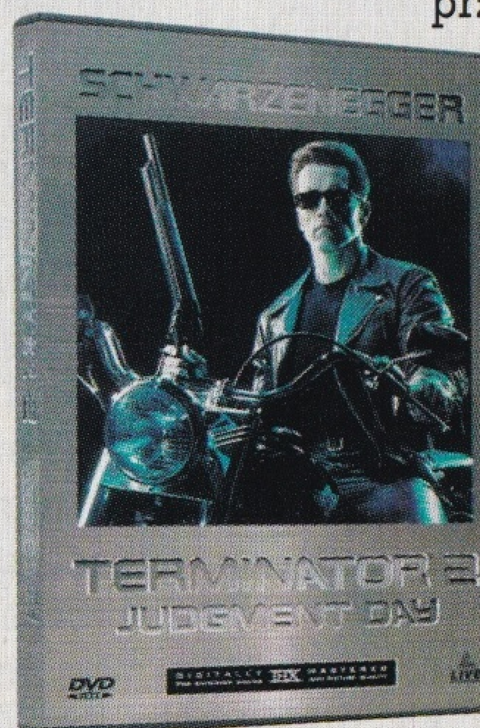
The Haunting
Liczba płyt DVD: 1
Produkcja: USA, 1963, 112 minut
Reżyseria: Robert Wise
Występują: Julie Harris, Claire Bloom, Richard Johnson, Russ Tamblyn
Dystrybucja: Warner Bros. Poland
Premiera: 7 listopada

Na terenie swojej posiadłości w Nowej Anglii profesor antropologii, John Markway, przeprowadza eksperymenty nad istotą zjawisk nadprzyrodzonych. W swoje działania angażuje dwie kobiety. Opuszczona dotąd posiadłość pewnego dnia ożywa. Przebywający w niej ludzie zachowują się dziwnie, przestają panować nad sobą. Pierścień terroru zacieśnia się wokół jednej z kobiet, która zmuszona jest zmierzyć się z przeznaczeniem... „Nawiedzony dom" to przede wszystkim klimat. Nie ma tu krwawych i okrutnych scen, ale akcja trzyma w napięciu. Powieść Shirley Jackson, która stała się podstawą scenariusza, uchodzi za arcydzieło gatunku. Film Wise'a – chociaż niepozbawiony uproszczeń – podobnie. Po blisko 40 latach od premiery na ekranach kin pojawił się wysokobudżetowy remake.

Dodatki: bezpośredni dostęp do scen.

Terminator 2: Dzień sądu

Terminator 2: Judgement Day
Liczba płyt DVD: 2
Produkcja: USA, 1980, 95 minut
Reżyseria: James Cameron
Występują: Arnold Schwarzenegger, Linda Hamilton, Robert Patrick
Dystrybucja: Vision
Premiera: 11 listopada



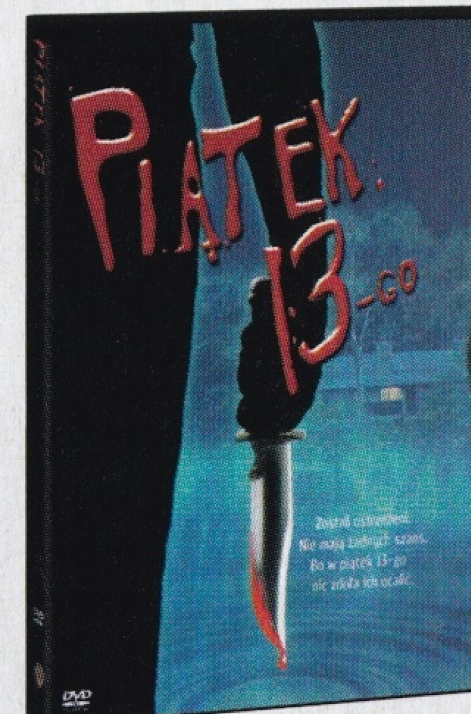
Z przyszłości w czasy współczesne przybywa T-1000, nowy prototyp robota-zabójcy, mający unikalną umiejętność zmieniania kształtów. Jego zadaniem jest zgładzić Johna Connora – przyszłego przywódcę buntu ludzi w wojnie z maszynami – kiedy ten jest jeszcze małym chłopcem. Dorosły John z przyszłości, wiedząc o tym, wysyła przeprogramowanego Terminatora – robota, który ma bronić chłopca. Dwie pierwsze części serii zarobiły łącznie 550 milionów dolarów i stały się fenomenem w historii kina. Film zdobył cztery Oscary, a kreacja Arnolda Schwarzeneggera przeszła do historii. Po stworzeniu „złego" Terminatora, jednej z najbardziej negatywnych postaci współczesnego kina, Arnie uznał, że chce tym razem być dobrym chłopcem i w „Terminatorze 2" wcielił się w postać robota-obrońcy, nawiązującego z nastolatkiem coś na kształt nietypowej przyjaźni.

Dodatki: bezpośredni dostęp do scen.

Piątek 13-tego

Friday the 13th
Liczba płyt DVD: 1
Produkcja: USA, 1980, 95 minut
Reżyseria: Sean S. Cunningham
Występują: Betsy Palmer, Adrienne King, Harry Crosby
Dystrybucja: Warner Bros. Poland
Premiera: 7 listopada

Obóz nad kryształowym jeziorem znowu zostaje otwarty! Młodzi opiekunowie proponują uczestnikom pobyt pełen przygód oraz liczne gry i zabawy. Jednakże pojawia się ktoś, kto zaproponuje im grę zwaną zabijaniem oraz zabawę w przetrwanie. „Piątek 13" to pierwszy z długiej serii filmów o jednej z najbardziej znanych postaci horrorów, Jasonie. Ekipie filmowej udało się stworzyć niesamowity klimat, który potęguje muzyka Harry'ego Manfredini. Nie da się jednak ukryć, że mający niemal ćwierć wieku obraz mocno już traci myszką.

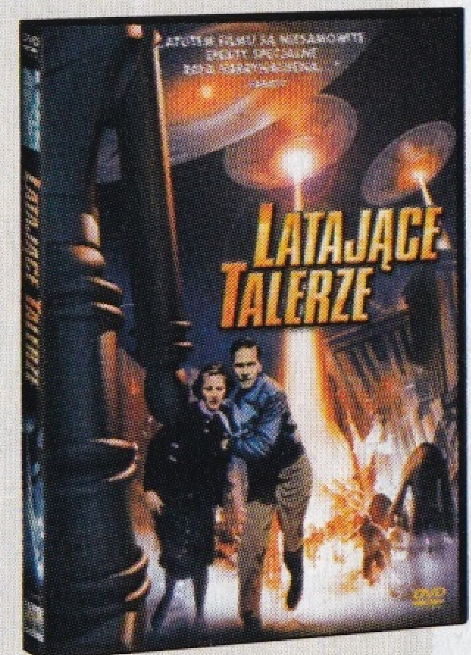


Dodatki: bezpośredni dostęp do scen, reportaż z planu filmowego, komentarze.

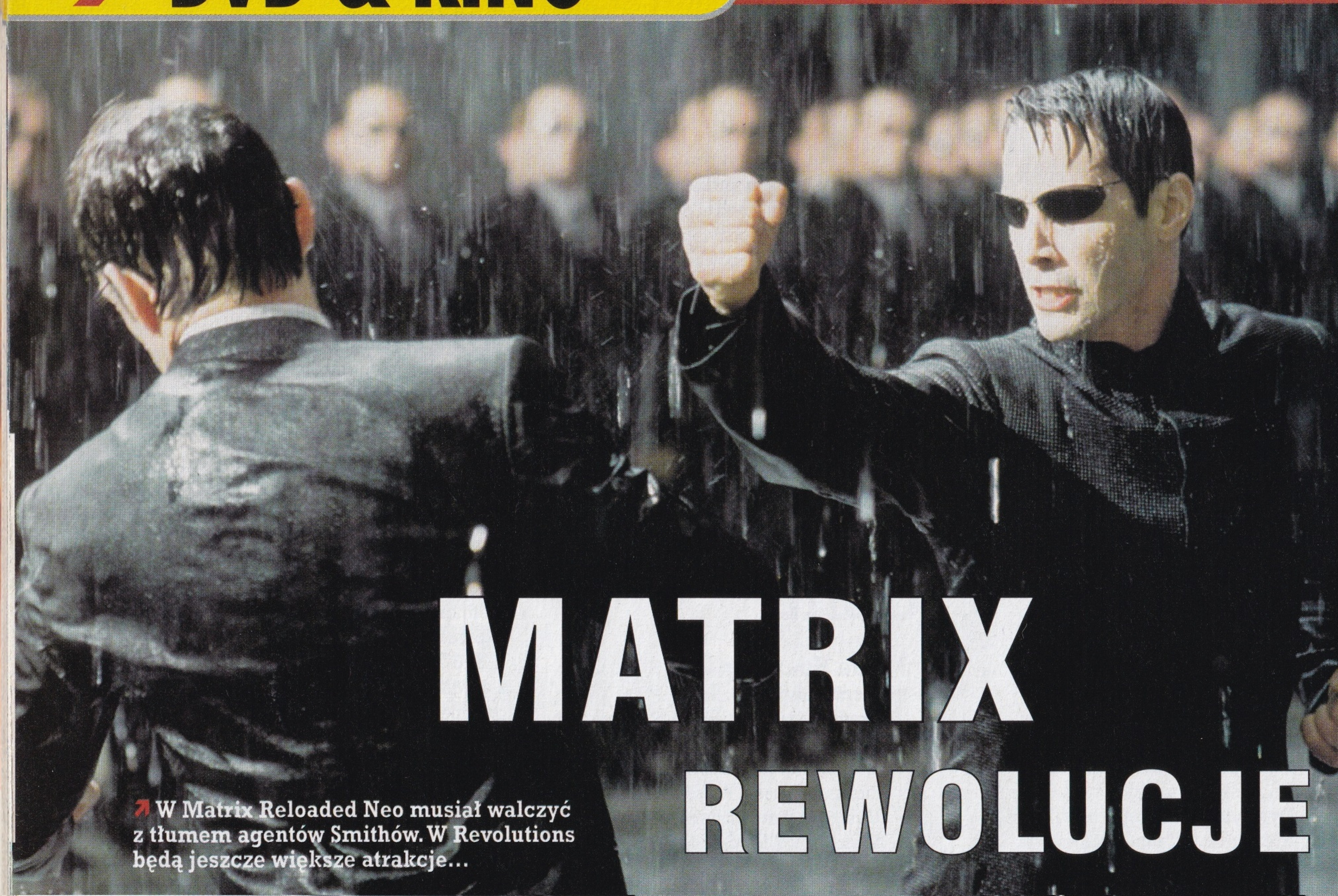
Latające talerze

Earth vs. the Flying Saucers
Liczba płyt DVD: 1
Produkcja: USA, 1956, 83 minuty
Reżyseria: Fred F. Sears
Występują: Hugh Marlowe, Joan Taylor, Donald Curtis
Dystrybucja: Warner Bros. Poland
Premiera: 14 listopada

Dr Russell Marvin jest szefem sekcji, która bada możliwości lotów pozaziemskich. Niestety, wszystkie próbne pojazdy wysłane w kosmos w tajemniczy sposób znikają z radarów. Podczas odpalania największej z rakiet nad lądowiskiem pojawia się UFO, które zaczyna atakować ludzi. Dr Marvin nie zamierza się poddać i konstruuje ogromne działo magnetyczne, którego zadaniem jest zniszczenie Obcych. Film dla zagorzałych fanów kina science-fiction, których nie zrażają liczące pięćdziesiąt lat ramoty.



Dodatki: bezpośredni dostęp do scen, reportaże, galeria zdjęć, zwiastuny filmowe, film dokumentalny „Kroniki Harryhausena".



MATRIX REWOLUCJE

W Matrix Reloaded Neo musiał walczyć z tłumem agentów Smithów. W Revolutions będą jeszcze większe atrakcje…

„Matrix Reaktywacja", druga część kultowej trylogii braci Wachowskich, został rekordzistą roku 2003. Zarobił ponad 280 milionów dolarów w USA i 450 milionów dolarów na pozostałych rynkach. W sumie przyniósł dochód ponad 730 milionów dolarów, dzięki czemu stał się kasowym hitem roku 2003!

„Matrix – Rewolucje" to kontynuacja „Matrixa" i „Matrixa Reaktywacji", ostatnia część trylogii, rozwiązująca wiele zagadek z poprzednich dwóch części. „Matrix – Reaktywacja" kończy się „w zawieszeniu", sceną o dużym ładunku emocjonalnym i na pewno stanowi doskonały punkt wyjścia dla dalszej fabuły. Podczas gdy duża część akcji „Reaktywacji" rozgrywa się wewnątrz Matrixa, w „Matrix – Rewolucje" zobaczysz dymiące ruiny futurystycznego, prawdziwego świata. Producent Joel Silver zapowiedział, iż powstanie obraz, jakiego nigdy wcześniej nie widzieliśmy w kinie. Szczegóły fabuły jednak utrzymywane są w ścisłej tajemnicy.

Po raz pierwszy w dziejach kina fani będą mogli obejrzeć „Matrix – Rewolucje" na wszystkich kontynentach tego samego dnia i o tej samej godzinie. Światowa premiera filmu w tym samym terminie to wydarzenie bez precedensu. Czy takim samym wydarzeniem będzie ostatnia część „Matrixa"?

■ Jolanta Lisowska

LIGA NIEZWYKŁYCH DŻENTELMENÓW



Moda na kinowe adaptacje komiksów trwa. „Liga Niezwykłych Dżentelmenów", według komiksu jednego z wielkich gatunku, Alana Moore'a, to kolejne ogniwo w łańcuszku kinowych wersji przygód rysunkowych bohaterów. Ogniwo, dodajmy, przyjęte przez widzów z dość mieszanymi uczuciami (a przez krytyków z jednoznaczną niechęcią). Jedni chwalą doborową obsadę, błyskawiczne tempo, oprawę graficzną i techniczną, inni zżymają się z powodu ogromnych odstępstw od treści komiksu. I trochę racji mają, gdyż z całej fabuły nie pozostało prawie nic, a filmowa wersja wykorzystuje jedynie pomysł oraz postaci – a i to nie wszystkie.

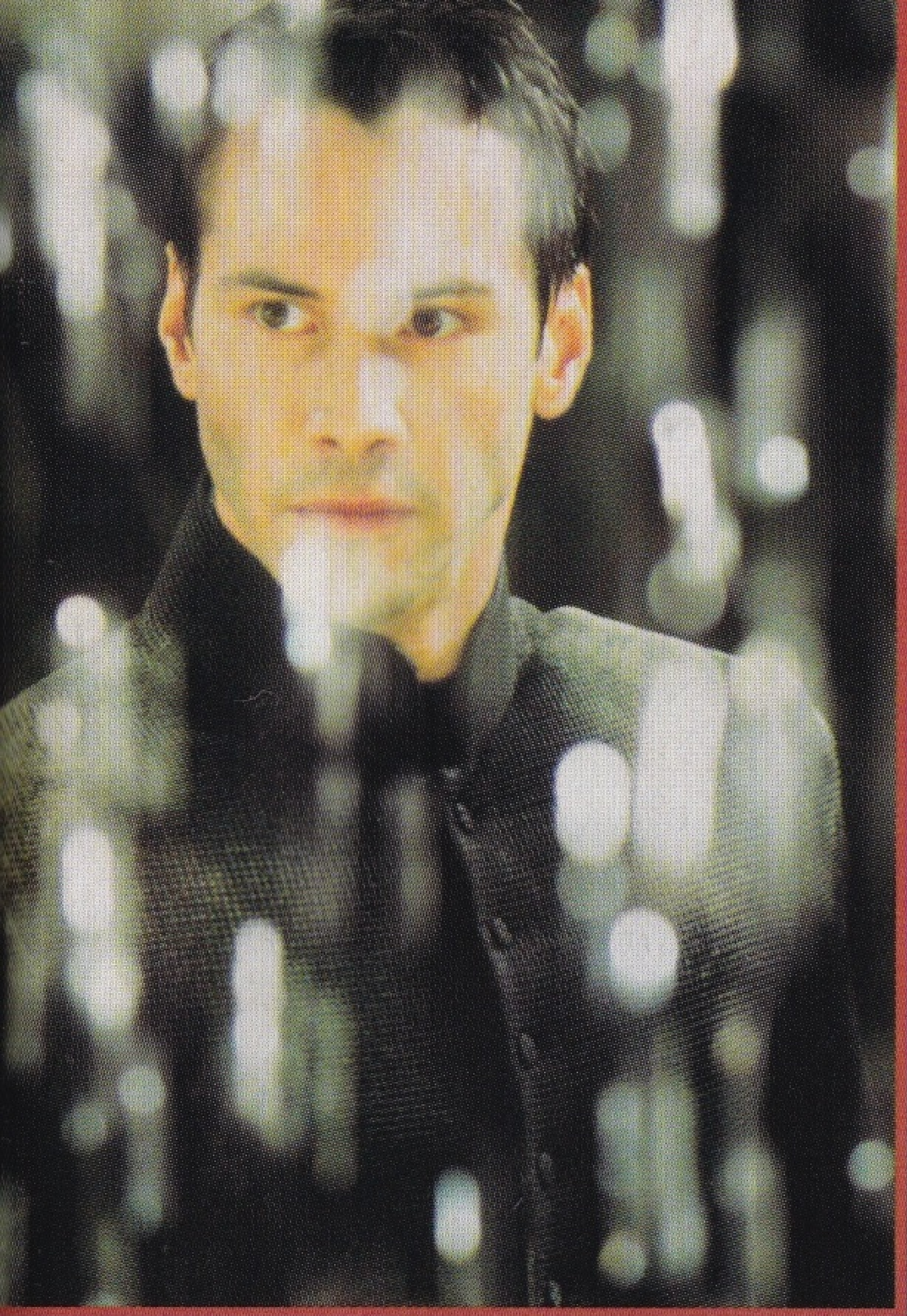
Liga niezwykłych dżentelmenów
→ **League of Extraordinary Gentlemen**

- **Reżyseria:** Stephen Norrington
- **Występują:** Sean Connery, Naaserudin Shah, Peta Wilson i inni
- **Produkcja:** USA 2003
- **Dystrybucja:** Syrena
- **Czas:** 110 min.
- **Premiera:** **25 listopada**

Komiksowa „Liga Niezwykłych Dżentelmenów" to: Mina Murray (dawniej Mina Harker, narzeczona wampira Draculi), Allan Quatermain, kapitan Nemo, Hawley Griffin (Niewidzialny Człowiek) i dr Jekyll (wraz ze swym alter ego, panem Hyde'em). W wersji ekranowej Griffina z powodów copyrightowych zastąpiono innym Niewidzialnym Człowiekiem, Rodneyem Skinnerem, Mina nosi nazwisko Harker (zapewne po to, by wyraźniej kojarzyła się z pierwowzorem literackim), a do zespołu dokooptowano jeszcze dwie osoby: Doriana Graya (z powieści Oscara Wilde'a o wiecznie pięknym mordercy) i młodego Tomka Sawyera. Najprawdopodobniej producenci uznali, że amerykański widz potrzebuje kogoś, z kim mógłby się utożsamiać: młody, przystojny Amerykanin, niedysponujący żadnymi supermocami ani umiejętnościami pasuje tu wręcz idealnie. Dodajmy do tego jeszcze fakt, iż Quatermaina gra Sean Connery i mamy mieszankę, która nie powinna zawieść.

Adaptacja „Ligi" nie jest tym, czym być mogła. Akcja stała się dużo bardziej sztampowa, przeciwnik rozczarowuje, fabuła jest niepotrzebnie skomplikowana, a logikę wydarzeń zastąpiono bardzo szybkim montażem. A czym mogłaby być, widać choćby po oprawie plastycznej, chwilami niemal burtonowskiej. I nie szkodzi, że taki Nautilus nie mógłby pływać, że samochód na ulicach Wenecji to absurd (w końcu mamy tu do czynienia ze wszechświatem alternatywnym i nie jest powiedziane, że musi to być ta sama Wenecja), a pan Hyde po transformacji przypomina groteskową hybrydę goryla z kulturystą. Nie przeszkadzają też chwilami niedopracowane efekty specjalne – w końcu cały ten świat jest, nie oszukujmy się, mocno umowny. Najbardziej szkodzi, niestety, scenariusz i to on głównie rozsierdził miłośników komiksu. Znamy zresztą to zjawisko z naszego podwórka – twórca adaptacji „Wiedźmina" również wiedział lepiej. Nie, nie bójcie się „Liga..." nie jest aż tak zła jak „Wiedźmin"! (Czy ktoś w ogóle zna film gorszy od „Wiedźmina"? – przyp. red.), ale szkoda zmarnowanego potencjału.

Mocną stroną są natomiast bohaterowie. O dziwo, poza wspomnianym Tomkiem Sawyerem (Shane West), najmniej interesujący wypada Allan Quatermain, którego Connery zagrał bez cienia inwencji (w Hollywood nazywa się takie role „przetelefonowanymi", ironizując, iż równie dobrze aktor mógł grać przez telefon). W stosunku do komiksu największej przemianie uległa Mina (Peta Wilson). Z dość wyzwolonej, lecz nadal skrępowanej konwenansami i surowej damy, stała się odzianą w skóry wampirzycą, bardzo



Matrix – Rewolucje

→ **Matrix - Revolutions**

- **Reżyseria:** Larry Wachowski, Andy Wachowski
- **Występują:** Keanu Reeves, Laurence Fishburne, Carrie-Anne Moss, Hugo Weving i inni
- **Produkcja:** USA 2003
- **Dystrybucja:** Warner Bros. Poland
- **Czas:** 136 min.
- **Premiera:** 5 listopada

Returner

→ **The Returner**
Liczba płyt DVD: 1
Produkcja: Japonia, 2002, 92 minut
Reżyseria: Takashi Yamazaki
Występują: Takeshi Kaneshiro, Ann Suzuki, Kirin Kiki
Dystrybucja: Warner Bros. Poland
Premiera: 17 listopada

Ten widowiskowy film akcji swego czasu zapowiadany był jako japońska odpowiedź na „Matrixa". „Returner" to wypełniona efektami specjalnymi, pojedynkami karate i strzelaniną opowieść o zawodowym mordercy, który pomaga przybyłej z przyszłości dziewczynie ocalić świat przed zagładą. Tytułowy Returner to samotny płatny morderca bez żadnych zasad oraz wartości. Niestety, przyszłość cywilizacji zależy właśnie od niego. Aby ocalić Ziemię, musi stawić czoła najeźdźcom dysponującym niezwykłą potęgą.

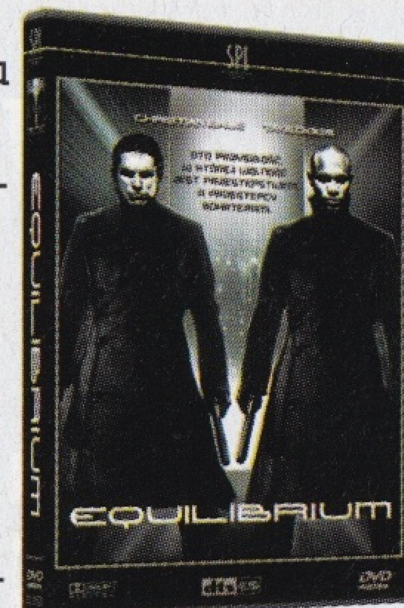


Dodatki: bezpośredni dostęp do scen, zwiastuny filmowe.

Equilibrium

→ **Equilibrium**
Liczba płyt DVD: 1
Produkcja: USA, 2002, 107 minut
Reżyseria: Kurt Wimmer
Występują: Christian Bale, Sean Bean, Emily Watson
Dystrybucja: SPI International Poland
Premiera: 5 grudnia

Film zrealizowany przez debiutanta, Kurta Wimmera, ukazuje totalitarne społeczeństwo przyszłości, w którym marzenie o wyeliminowaniu przemocy zostaje osiągnięte dzięki lekarstwu o nazwie prozium. Obraz obfituje w dynamiczne sceny walk wschodu, ale zarazem próbuje analizować cechy systemu totalitarnego. Wimmer uświadamia widzom prawdę oczywistą i drażliwą: nie ma walki czystej – niezależnie od celu, do którego dążymy. Namawia, by zastanowić się nad zasadą poprawności politycznej, nad swobodą wypowiadania opinii, a nawet nad przyczynami rewolucji.



Dodatki: bezpośredni dostęp do scen.

Oszukać przeznaczenie 2

→ **Final Destination 2**
Liczba płyt DVD: 1
Produkcja: USA, 2003, 90 minut
Reżyseria: David R. Ellis
Występują: Ali Larter, A.J. Cook, Michael Landes, David Paetkau
Dystrybucja: Warner Bros. Poland
Premiera: 20 listopada

Kimberly Corman wraz z przyjaciółmi wybiera się na weekend. Jest świadkiem wypadku, w którym załadowana pniami ciężarówka wywraca się, a niebezpieczny ładunek rozsypuje się na drodze. Na asfalcie zostaje tylko złom oraz martwe ciała – w tym ciało samej Kimberly. Chwilę później dziewczyna stwierdza, że wciąż czeka na rampie na wjazd na autostradę, a za nią stoi sznur samochodów, których zniszczenie widziała przed chwilą. A więc wypadek był jedynie wizją. Ale czy było to również ostrzeżenie?



Dodatki: dodatki z polskimi napisami, bezpośredni dostęp do scen, zwiastuny filmowe, sceny niewykorzystane w filmie i in.

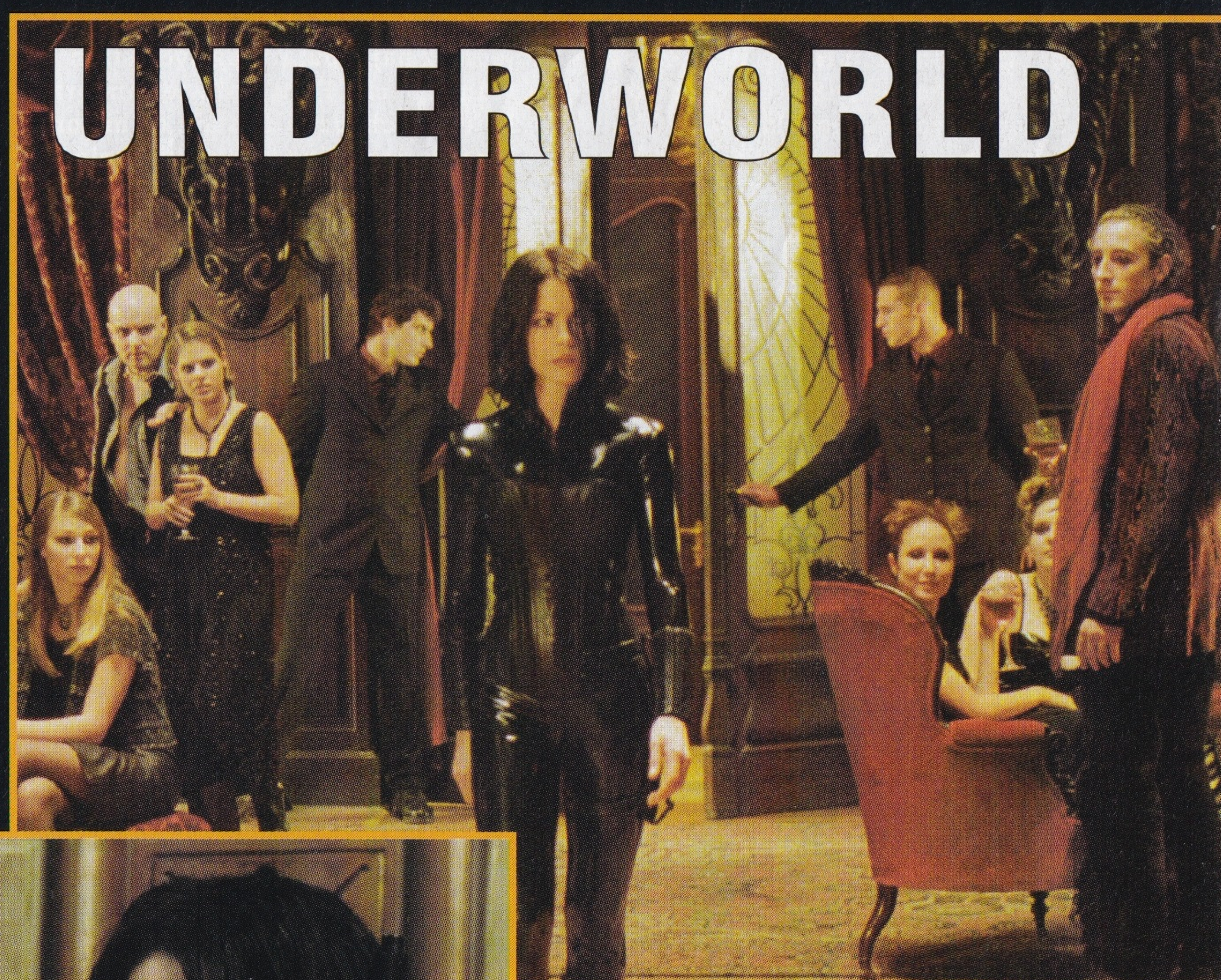


efektowną i groźną... Świetnym dodatkiem jest Dorian Gray (znakomity Stuart Townsend) – zmęczony życiem, cyniczny, nieśmiertelny dandys.

Czy zatem warto? Najbardziej chyba pasuje tu ocena: dla amatorów. W pewnym momencie w tle pojawia się plakat z napisem: „Na Marsie zaobserwowano wybuchy wulkanów". To ukłon w stronę drugiej części komiksu – i być może zapowiedź drugiej części filmu. Kto wie...

■ **Paulina Braiter**,
zdj.: Warner Bross. / Syrena

UNDERWORLD



Fabuła filmu osnuta została wokół odwiecznej waśni między dwoma plemionami żyjącymi w nieokreślonym czasie na terenie gotyckiej metropolii. Co prawda tradycja pokazywania w filmie wampirów i wilkołaków istnieje od początków kina, ale „Underworld" sięga głębiej i nawiązuje do legendy stworzonej przez systemy RPG Wampir Maskarada i Wilkołak Apokalipsa. W ciągu wieków na Ziemi wyrosły dwie rywalizujące ze sobą rasy stworzeń. Jedni to arystokratyczne, dobrze wykształcone Wampiry czyli Nieśmiertelni Władcy. Drudzy zaś to brutalni i siejący grozę Lycanowie (Wilkołaki) – Rebelianci.

Obie grupy są nieprzejednanymi i śmiertelnymi wrogami, a ich celem jest całkowita eliminacja przeciwnika. Główna bohaterka to Selena (Kate Beckinsale) – wojowniczka Wampirów, która odkrywa tajemnicę, mogącą mieć śmiertelne konsekwencje zarówno dla Wampirów jak i Lycanów – plan stworzenia nowej, potężnej rasy. „Underworld" to film zrobiony z rozmachem, wypełniony szybką akcją, pełen bezwzględnych intryg i z przewijającym się w tle wątkiem zakazanej miłości (Romeo i Julia, a zamiast Montekich i Kapulettich występują wilkołaki oraz wampiry). Na uwagę zasługują charakteryzacja, kostiumy i efekty specjalne, a znakomita scenografia została przygotowana w Budapeszcie, gdzie kręcono film.



■ **Jolanta Lisowska**

Underworld

- **Reżyseria:** Len Wiseman
- **Występują:** Kate Beckinsale, Scott Speedman, Michael Sheen i inni
- **Produkcja:** USA, Niemcy, Węgry, Wielka Brytania 2003
- **Dystrybucja:** Best Film
- **Czas:** 121 min.
- **Premiera:** 28 listopada

Władca Pierścieni

Drużyna Pierścienia

Hobbit Frodo Baggins wraz z wiernymi przyjaciółmi: czarodziejem Gandalfem, elfem Legolasem, krasnoludem Gimlim oraz Aragornem, Boromirem, Samem, Merrym i Pippinem wyrusza w pełną niebezpieczeństw podróż. Jej celem jest zniszczenie Jedynego Pierścienia – magicznego artefaktu wykutego przez podłego Saurona. Problem w tym, że Pierścień można zniszczyć tylko w kraterze Góry Przeznaczenia, gdyż metal może zostać strawiony jedynie w wulkanicznym ogniu. Od powodzenia tej misji zależą, bagatela!, losy świata.

„Drużyna Pierścienia" to pierwsza część ekranizacji trylogii J.R.R. Tolkiena. Zdaniem recenzentów, produkcja Petera Jacksona jest dla świata filmu tym, czym dla literatury dzieła Szekspira. Po mistrzowsku oddaje też nastrój powieści, dzięki czemu zadowoliła fanów Tolkiena.

Zdjęcia zrealizowano w Nowej Zelandii i trwały one 274 dni, a stała ekipa Jacksona liczyła aż 2000 osób. O skali przedsięwzięcia świadczy fakt, że do filmu zużyto 1 600 par gumowych uszu i stóp, zaś żeby stworzyć wioskę Hobbiton, rok wcześniej w tym miejscu posadzono na 5 tysiącach metrów kwadratowych przeróżne rośliny i kwiaty. Zrozumiałe jest więc, że film (nominowany do Oscara w 13 kategoriach) otrzymał statuetki za zdjęcia, charakteryzację, efekty specjalne i muzykę. Ponadto wyróżniony został 3 nagrodami Brytyjskiej Akademii. Krytycy na całym świecie nie szczędzili obrazowi pochwał, a słynący z surowości dziennikarze magazynu „The Sun" przyznali mu notę 10/10, najwyższą z możliwych. Nie zabrakło jednak głosów krytycznych. Christopher Tolkien, syn wielkiego pisarza, stwierdził w jednym z wywiadów, iż „Władca Pierścieni" jest wręcz niemożliwy do zekranizowania. Natomiast Michael White, biograf J.R.R. Tolkiena, posunął się nawet do stwierdzenia, że autorowi, zmarłemu w 1973, film by się nie podobał.

Powieść „Władca pierścieni" jest tytułem, który od ponad pół wieku ma wielbicieli na całym świecie. Trylogia ta została uznana za jedną z najważniejszych, jeśli nie najważniejszą powieść XX wieku, a obecnie należy do najczęściej wznawianych. Oficjalna witryna „Władcy pierścieni" jest jedną z najpopularniejszych stron w Internecie. Film stał wielkim przebojem, wchodząc na stałe do historii kinematografii (np. w plebiscycie portalu Internal Movie Data Base głosowało na niego ponad 45 tysięcy osób dając średnią ocen 9,1 w skali 10-punktowej).

Oczywiście znaleźli się również malkontenci, a jednym z ich zarzutów były różnice pomiędzy scenariuszem a literackim pierwowzorem oraz wycięcie przez reżysera szeregu ważnych wątków. Na przykład nie ma w filmie spotkania z Tomem Bombadilem i Złotą Jagodą, walki z upiorami Kurhanu, sceny z tańczącym i śpiewającym Frodo w gospodzie "Pod Rozbrykanym Kucykiem" oraz wielu innych, drobnych wątków i zdarzeń. Rozbudowano za to postać Arweny, która pojawia się już w pierwszej części filmu i na dodatek ratuje życie głównemu bohaterowi.

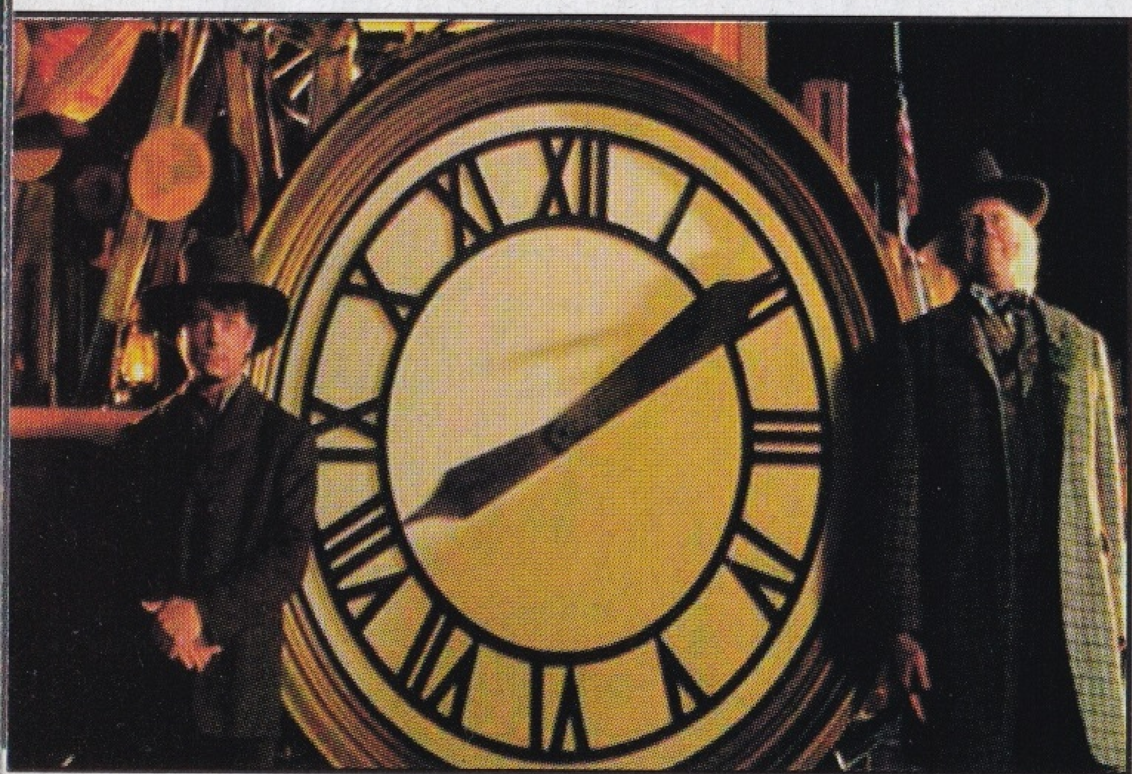
Film trwa bardzo długo jak na światowe standardy (172 minuty). Kryje się za tym ogrom pracy, jaką włożono w jego realizację. Na pochwałę zasługują fenomenalne efekty specjalne, dzięki którym udało się w filmie odtworzyć baśniową rzeczywistość Tolkiena. Wszystkie zamieszkujące Śródziemie rasy wyglądają tak jak je opisał autor. Podobnie rzecz się ma z poszczególnymi lokacjami (Rivendell, Hobbiton, Mordor). Ich wykonanie oraz przedstawienie jest perfekcyjne. Zadaniem reżysera było stworzenie na dużym ekranie świata wiarygodnego i mającego szansę zyskać akceptację wybrednych wielbicieli twórczości Tolkiena. Zdaniem znakomitej większości widzów wywiązał się z tego perfekcyjnie.



! przebój miesiąca

↑ Drużyna Pierścienia rozpoczyna walkę przeciw złu. Nie wszyscy doczekają ostatecznego triumfu...

- **HBO • Niedziela, 23.11, g. 21.00** (powt. 26.11 g. 22.40; 29.11 g. 10.15)
- **Fantasy, Nowa Zelandia, 2001**
- **Reżyseria:** Peter Jackson
- **Występują:** Elijah Wood, Viggo Mortensen, Ian McKellen i inni



Powrót do przyszłości 3

- **Polsat • Wtorek, 21.10, g. 21.45**
- **Komedia s-f, USA, 1990, od lat 15**
- **Reżyseria:** Robert Zemeckis
- **Występują:** Michael J. Fox, Christopher Lloyd i inni

Film ten zamyka 3-częściową historię podróży w czasie sympatycznego Martiego McFly'a i szalonego wynalazcy Emmeta „Docka" Browna. Jest rok 1955. Marty czeka przy drodze na przyjaciela, który ma się zjawić wehikułem czasu. Tymczasem pojazd Emmeta zostaje trafiony piorunem. W wyniku awarii Emmet przenosi się na Dziki Zachód, do roku 1885.

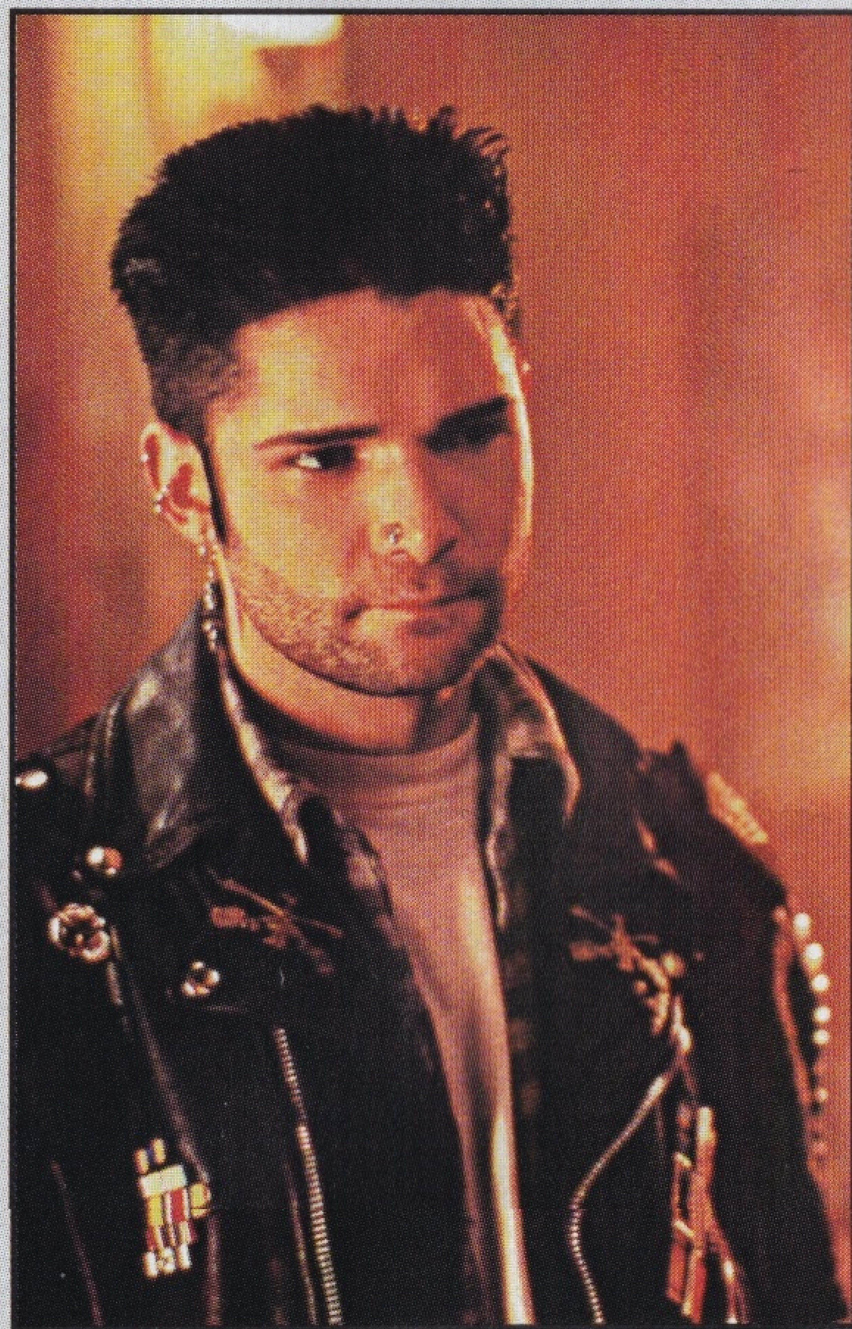
Zabawna komedia z ciekawymi postaciami. Wielokrotnie eksploatowany pomysł podróży w czasie tym razem został podany w nowym, smacznym sosie. Film dla fanów westernów, fantastyki oraz inteligentnej komedii.



Orgia krwi

z serii Opowieści z krypty

- **Polsat • Sobota, 25.10, g. 22.55**
- **Horror, USA, 1996, od lat 18**
- **Reżyseria:** Gilbert Adler
- **Występują:** Dennis Miller, Erika Eleniak, Chris Sarandon i inni



Miejscem akcji jest zamaskowany dom publiczny prowadzony przez wampiry. Goście przybytku mogą podziwiać kształty gwiazdy „Playboya" i „Słonecznego patrolu", Eriki Eleniak oraz supermodelki Angie Everheart. Do domu uciech w kostnicy trafiają zbuntowani młodzieńcy. Za pomocą tajemniczej trumny przenoszą się w świat dzikiej orgii i spotykają prawdziwe demony seksu – wampirzyce, które jednak mają zwyczaj konsumować pechowych kochanków. Film jest nawiązaniem do popularnej telewizyjnej serii „Opowieści z krypty". Charakterystyczny dla serialu nastrój drwiny ustąpił tym razem miejsca typowemu „gore", krwawej licytacji szokujących scen. Film dla wielbicieli ostrych scen i drapieżnych kobitek.

Odkupienie

- **TVP1 • Sobota, 25.10, g. 23.20**
- **Horror, USA, 1999, od lat 15**
- **Reżyseria:** Russel Mulcahy
- **Występują:** Christopher Lambert, David Cronenberg i inni

Nowy Jork. Zbliża się Wielkanoc. Przygotowania świąteczne przerywa seria krwawych zbrodni. Ofiarami mordercy padają 33-latkowie o biblijnych imionach: Mateusz, Piotr, Jan. Wiele wskazuje na to, że poszukiwany mężczyzna zamierza dokonać rekonstrukcji ciała Chrystusa, wykorzystując do tego celu fragmenty ciał swych ofiar. Zręcznie zbudowana intryga, zaskakujący obrót zdarzeń, akcja trzymająca w napięciu. Film jest krwawy i brutalny, ale inteligentny.

Meteor

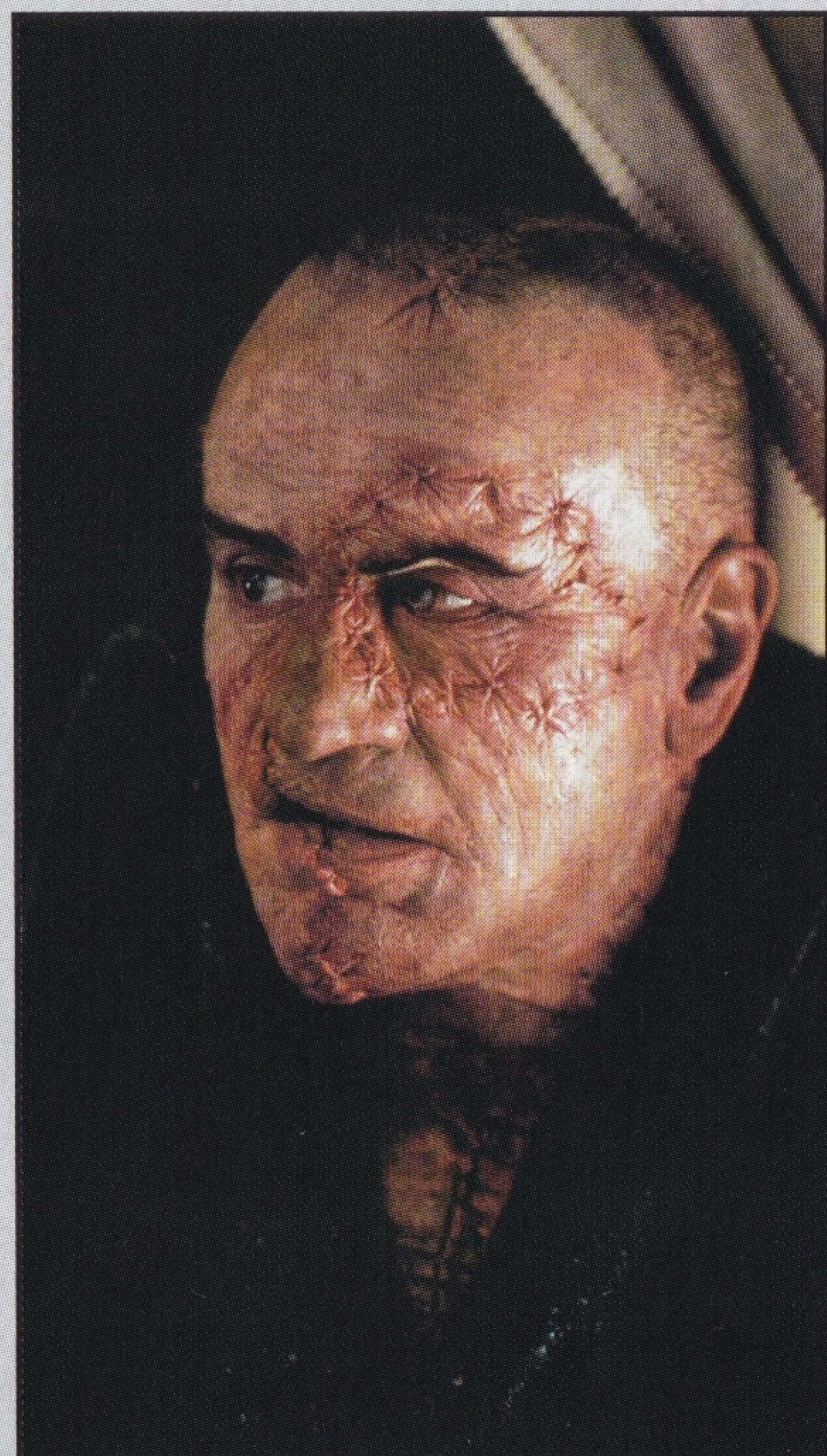
- **TVN 7 • Niedziela, 26.10, g. 16.55**
- **Science-fiction, USA, 1979, od lat 12**
- **Reżyseria:** Ronald Neame
- **Występują:** Sean Connery, Natalie Wood i inni

Kometa uderza w pas asteroidów. Meteor, zwany Orfeuszem, niszczy amerykański statek kosmiczny i zmierza w kierunku Ziemi. Naukowcy szacują, że zderzy się z Ziemią w ciągu siedmiu dni. Szefowie NASA zmuszeni są przyjąć pomoc ze strony specjalistów radzieckich. Atutami filmu są znakomita obsada i wspaniałe efekty specjalne. Na uwagę zasługuje zwłaszcza monstrualna alpejska lawina. Lawinowa sekwencja jest autentyczna i przerażająca, a to wszystko dzięki temu, że producenci filmu uzyskali zgodę na wysadzenie całej góry w Alpach Szwajcarskich. Obraz dla fanów kina katastroficznego.

To żyje!

Prawdziwa historia Frankensteina

- **Ale Kino! • Niedziela, 26.10, g. 21.40 (powt. 28.10 g. 21.40)**
- **Dokumentalny, USA**



Film przedstawia dzieje potwora doktora Frankensteina – jednej z najpopularniejszych postaci kina grozy. Historia Frankensteina jest dziełem Mary Shelley, żony wielkiego angielskiego poety romantycznego, Percy'ego Shelley. O znaczeniu postaci stworzonej przez Shelley i jego różnych filmowych obliczach opowiadają artyści, którzy w swojej karierze mieli z Frankensteinem do czynienia, m.in. Robert de Niro, Roger Corman i Mel Brooks. Gospodarzem programu jest weteran filmów o 007, Roger Moore, zaś narratorem Eli Wallach.

Faceci w czerni

- **Polsat • Poniedziałek, 27.10, g. 21.45**
- **Komedia s-f, USA, 1997, od lat 12**
- **Reżyseria:** Barry Sonnenfeld
- **Występują:** Tommy Lee Jones, Will Smith i inni

Znakomity film oparty na motywach komiksu Lowella Cunninghama, z popisowymi kreacjami Tommy'ego Lee Jonesa i Willa Smitha. Jones i Smith, jako reprezentanci specjalnej sekcji FBI, kontrolują imigrantów z Kosmosu. W tej agencji nie używa się nazwisk, tylko kryptonimów. Nie wolno mieć rodziny ani przyjaciół, za to codziennie można pogadać z kosmitami pochodzącymi z wielu planet całej galaktyki. Zadaniem agentów K i J jest pokonanie potwornego, robalokształtnego Obcego...

Reżyser Barry Sonnenfeld zdefiniował „Facetów w czerni" z właściwym dla siebie ironicznym dystansem jako „fantastyczno-naukową komedię akcji bez akcji, bez przygód i bez zakończenia". Nie przeszkodziło to jednak, by film odniósł oszałamiający sukces na całym świecie. Niedawno mogliśmy w kinach podziwiać „Facetów w czerni 2".



Braterstwo wilków

- **Polsat • Wtorek, 28.10, g. 21.45**
- **Kostiumowy, Francja, 2001, od lat 15**
- **Reżyseria:** Christophe Gans
- **Występują:** Samuel Le Behan, Mark Dacascos, Monica Bellucci i inni

Pod koniec XVII wieku we Francji, w górach Owernii pojawia się bestia: ponoć nadludzko silny wilkołak, mordujący zwierzęta i ludzi. Król Ludwik XIV wysyła na łowy najbardziej zaufanych myśliwych, ale bez powodzenia. Przerażenie i groza opanowują cały region. Fabuła filmu oparta została na faktach historycznych, lecz zaskakująca puenta jest oryginalną koncepcją scenarzystów. Reżyser podsumował film w następujący sposób: „Bohaterowie wyznający postępowe idee zmagają się z demonami fundamentalizmu, rasizmu i reakcyjnej przemocy".

Tak naprawdę jest to jednak znakomite kino akcji z wysmakowaną scenografią oraz rewelacyjną choreografią scen walki. Widz może też podziwiać Monicę Bellucci w roli pięknej kurtyzany.

Ukryty wymiar

- **TVN • Piątek, 31.10, g. 22.35**
- **S-f, USA, 1997, od lat 12**
- **Reżyseria:** Paul Anderson
- **Występują:** Laurence Fishburne, Sam Neil, Joely Richardson i inni



Rok 2047. Loty w kosmos stały się codziennością, a ludzie założyli już kolonie na Księżycu. Siedem lat wcześniej astronauci podjęli się niebezpiecznej misji. Na pokładzie statku Event Horizon mieli zbadać odległe gwiazdy. Jednak ich pojazd zaginął w okolicach Neptuna. Statek ratunkowy wyruszył, gdy po latach Event Horizon nagle wysłał sygnał. We wraku ratownicy odnaleźli zmasakrowane zwłoki...

Niewiele tu niesamowitych stworzeń rozszarpujących ludzi. Strach płynie z wnętrza statku, w którym ukryta jest Tajemnica. Realizacja „Ukrytego wymiaru" kosztowała 50 mln dolarów, a reżyser Paul Anderson, aby zrealizować ten film, zrezygnował z możliwości wyreżyserowania czwartej części „Obcego".

Zyski co prawda nie zrekompensowały kosztów, ale krytycy uznali „Ukryty wymiar" za najbardziej niesamowity horror roku.

Halloween w Ale Kino!

Mary Reilly

- **Ale Kino! • Piątek, 31.10, g. 20.00**
- **Horror, USA, 1996, od lat 15**
- **Reżyseria:** Stephen Frears
- **Występują:** Julia Roberts, John Malkovich, Glenn Close i inni

Historia doktora Jekylla i pana Hyde'a – tym razem opowiedziana z perspektywy służącej. „Mary Reilly" została nakręcona na podstawie książki Valerie Martin, inspirowanej klasyczną wersją powieści grozy R. L. Stevensona. W oryginale doktor Jekyll jest naukowcem, który przeprowadza na sobie niebezpieczne doświadczenie. Po wypiciu mikstury uczony zmienia się w osobnika zwanego panem Hyde'm. Staje się typem amoralnym i brutalnym. Po spożyciu odtrutki Jekyll odzyskuje swoją osobowość, jednak z biegiem czasu Hyde rośnie w siłę i stopniowo przejmuje kontrolę nad doktorem. Valerie Martin wiernie trzyma się fabuły książki Stevensona. Różnica polega na tym, że w oryginalnym „Dr Jekyllu i Mr Hyde'dzie" narratorem był sam uczony, podczas gdy w „Mary Reilly" obserwujemy bieg wydarzeń oczami pokojówki, tytułowej Mary. Brytyjski reżyser Stephen Frears stworzył film stylowy, mroczny, niepokojący – gotycki melodramat zrealizowany z bezbłędnym wyczuciem reguł gatunku. Ogromnym walorem jest aktorski duet John Malkovich – Julia Roberts. Mistrzowska gra Malkovicha, który już wcześniej stworzył u Frearsa wielką kreację w „Niebezpiecznych związkach", nie była niespodzianką. Ale i Julia Roberts robi tu wrażenie nie tylko z powodu urody; oszczędna, subtelna rola Mary Reilly należy do najlepszych w karierze aktorki.



Robert de Niro jako potwór Frankenstein wygląda całkiem... odpychająco



Dr Jekyll Mr Hyde

- **Ale Kino! • Piątek, 31.10, g. 21.50**
- **Horror, USA, 1941, od lat 15**
- **Reżyseria:** Victor Fleming
- **Występują:** Spencer Tracy, Ingrid Bergman i inni

Klasyczna powieść grozy – „Niezwykły przypadek dr Jekylla i pana Hyde'a" R. L. Stevensona – fascynowała filmowców niemal od początków historii kina. Szczególną popularnością cieszyła się w pierwszej połowie XX wieku. Zanim „Dr Jekylla i Mr Hyde'a" przeniósł na ekran w 1941 r. Victor Fleming, na podstawie książki powstał już prawie tuzin filmów. Do lat 50. opowieść o doktorze Jekyllu powracała w kinie częściej niż tematy Frankensteina i Draculi razem wzięte.

Ekranizacja Fleminga to stylowe widowisko, typowa wielka produkcja złotej epoki Hollywood. Realizacja przypadła na szczytowe lata popularności freudyzmu w Ameryce – i właśnie w duchu Freuda Fleming zinterpretował powieść Stevensona. Tym razem historia Jekylla i Hyde'a jest nie tylko horrorem, lecz przede wszystkim metaforą dualizmu ludzkiej natury – dzikiej, niebezpiecznej podświadomości wyrywającej się z krępującego ją gorsetu rozumu, ogłady i cywilizacji. Spencer Tracy podkreślił takie odczytanie książki Stevensona grając niemal bez charakteryzacji – przemiany łagodnego dr Jekylla w brutalnego pana Hyde'a realizował środkami czysto aktorskimi, bez pomocy używanych zwykle do tych sekwencji efektów specjalnych.

Frankenstein

- **Ale Kino! • Piątek, 31.10, g. 23.50**
- **Horror, USA/GB, 1994, od lat 15**
- **Reżyseria:** Kenneth Brannagh
- **Występują:** Robert De Niro, Kenneth Branagh, Helena Bonham Carter i inni

Wspólne przedsięwzięcie Kennetha Branagha i F.F. Coppoli to bodaj najambitniejsza ekranizacja powieści o doktorze Frankensteinie. Obraz Branagha zajmuje jednak wśród nich miejsce wyjątkowe i nieprzypadkowo oryginalny tytuł brzmi „Mary Shelley's Frankenstein". Wśród niezliczonych wersji historii potwora żadna bowiem nie trzyma się tak wiernie literackiego oryginału – napisanej w 1817 r. gotyckiej powieści Mary Shelley. Co więcej – większość filmowych Frankensteinów z książką wspólnego miała tylko głównego bohatera. Tymczasem Branagh wrócił do źródeł i tak jak Mary Shelley stawia szereg ważnych pytań filozoficznych, nawiązuje do mitu Fausta, zaś postaci potwora nadaje wymiar głęboko ludzki i tragiczny. Dla sukcesu przedsięwzięcia decydujący okazał się występ Roberta De Niro, wybranego do roli monstrum. Znany ze zdolności do zdumiewających transformacji fizycznych aktor zmienił potwora w prawdziwą, wielowymiarową postać – wzruszającą i groźną, ludzką i monstrualną zarazem. Wybitne kreacje aktorskie otrzymały godną oprawę, Branagh i Coppola stworzyli bowiem film ambitny, a jednocześnie bardzo atrakcyjny – wystawne, pełne rozmachu widowisko.

Smakosz

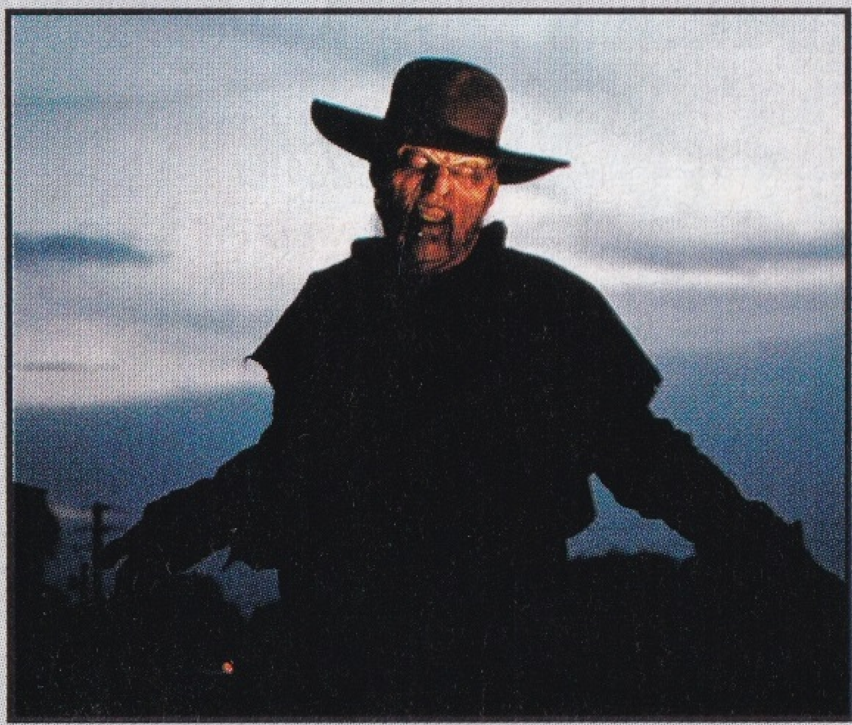
- **HBO • Piątek, 31.10, g. 0.20**
- **Horror, Niemcy/USA, 2001, od lat 15**
- **Reżyseria:** Victor Salva
- **Występują:** Justin Long, Gina Philips i inni



Jeden z najbardziej przerażających horrorów ostatnich lat. Trish i jej młodszy brat Darry wracają do domu na wakacje. Po drodze próbuje ich staranować kierowca starej ciężarówki. Niedługo potem na leśnej drodze znów widzą ten sam samochód i mężczyznę, wrzucającego duży pakunek do tajemniczego tunelu. Zaciekawiony Darry zagląda do środka i odkrywa, że na dnie tunelu znajdują się dziesiątki zmasakrowanych, pozbawionych wnętrzności ludzkich ciał.

Producentem filmu jest Francis Ford Coppola, któremu tak spodobał się scenariusz, że nie tylko wyłożył pieniądze na jego realizację, ale również pozwolił reżyserowi na całkowitą swobodę twórczą. Kto obejrzy „Smakosza" (tytuł oryginalny „Jeepers Creepers" pochodzi z przebojowej piosenki Paula Whitemana), nieprędko wybierze się w podróż samochodem...

Film jest pełen brutalnych scen: usuwanie organów żywcem, preparowanie zwłok, widowiskowe trupiarnie. „Smakosz" ucieszy amatorów klasycznych filmów „gore".



Wehikuł czasu

- **HBO • Niedziela, 2.11, g. 21.20**
- **S-f, USA, od lat 12**
- **Reżyseria:** Simon Welles
- **Występują:** Guy Pearce, Jeremy Irons i inni

Ekranizacja klasycznej powieści science-fiction H.G. Wellsa, wyreżyserowana przez jego potomka, Simona Wellsa. 1899 r., Nowy Jork. Naukowiec i wynalazca, Alexander Hartdegen zamierza udowodnić, że podróż w czasie jest możliwa. Pragnienie staje się obsesją, kiedy ginie jego narzeczona, Emma. Alexander chce wrócić do dnia tragedii i spróbować zmienić przeszłość. W wehikule własnej konstrukcji przenosi się... 800 tysięcy lat w przyszłość. Odkrywa, że ludzkość podzieliła się na dwa zwalczające się gatunki. Film Simona Wellsa jest drugą ekranizacją powieści H. G. Wellsa (pierwsza powstała w 1960 r. i była dziełem George'a Pala). Film otrzymał nominację do Oscara za najlepszą charakteryzację. Wspaniała muzyka, dobry scenariusz i ciekawe efekty specjalne.



Jeździec bez głowy

- **TVN • Piątek, 14.11, g. 23.00**
- **Horror, USA, 1999, od lat 15**
- **Reżyseria:** Tim Burton
- **Występują:** Johnny Depp, Miranda Richardson, Christopher Lee i inni

W niewielkiej miejscowości Sleepy Hollow (w dosłownym tłumaczeniu, Śpiąca Dziura, ale śnią się w niej koszmary), pojawia się Bezgłowy Jeździec i nie tylko sieje postrach, ale najbrutalniej w świecie ucina głowy. Na pomoc sterroryzowanej wiosce przybywa Ichabod Crane – młody konstabl-naukowiec. Dalej wszystko jest jak w bajce: magia, miłość, a na koniec zwycięża... dobro. Jest to udana mieszanka pastiszu gotyckiego horroru i burtonowskich klimatów znanych z „Edwarda Nożycorękiego" i z „The Nightmare Before Christmas". Wyjątkowo piękne zdjęcia. Wierzyć się nie chce, że film w całości nakręcono w studiu! Do tego ładna niewiasta i zabawna (bez jednego słowa) rola dyżurnego „bad guy'a" horrorów, Christophera Walkena.

■ Jolanta Lisowska, zdjęcia: arch. wydawnictwa Bauer



PRZYPADEK SIR LANCELOTA

TXT & GFX: CZAJNIK













STREFA SMS

WIĘCEJ ZNAJDZIESZ NA STRONIE
WWW.TELEFONY.BRAVO.PL

ZMIEŃ WYGLĄD SWOJEJ KOMÓRKI

Jeżeli chcesz mieć nowe logo lub dzwonek wyślij SMS o treści: AA09.(numer logo lub dzwonka) pod numer 7164. Płacisz za to tylko 1,22 zł. Możesz również ściągnąć kolorowe logo, SUPERHITY oraz wiadomości graficzne, wysyłając SMS pod numer 7265. Kosztuje Cię to tylko 2,44 zł. Jeśli chcesz wysłać logo lub dzwonek znajomemu wystarczy ze swojego telefonu wysłać SMS pod numer 7164 (dla logosów i dzwonków) lub 7265 (dla kolorowych logosów, SUPERHITÓW i wiadomości graficznych) o treści: AA09.(numer logo lub dzwonka).numer telefonu znajomego np. AA09.105599.601234467. Usługa dostępna tylko dla wybranych modeli telefonów NOKIA.

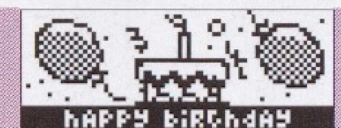
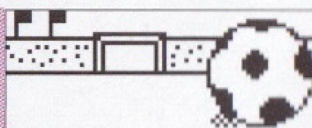
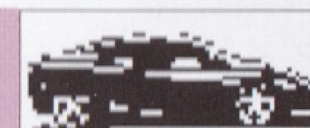
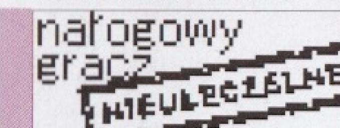
TOP5

AA09.019627
DJ Bobo, Chihuahua
AA09.017083
Peja/Slums Attack, Głucha Noc
AA09.019513
WWO, Damy radę
AA09.019998
Evenescence, Bring Me To Life
AA09.018730
Łzy, Oczy szeroko zamknięte

DZWONKI SUPERHITY SMS 7265 2,44 zł

AA09.019839 Ewelina Flinta, Goniąc za cieniem
AA09.019838 Cars, Drive
AA09.019999 Christina Aguilera, Fighter
AA09.020702 Natasha St.Pier, Tu Trouvers
AA09.018256 Reamon, Come And Go
AA09.017611 Raz Dwa Trzy, Oczy tej małej
AA09.019841 Łzy, Kocham to dziś nic nie znaczy
AA09.019844 Kate Ryan, Desenchantee
AA09.020700 Maciek Starniawski, Nie ma takich gór
AA09.018504 Anastacia, Love Is A Crime
AA09.020699 Myslovitz/M.Grechuta, Kraków
AA09.019365 Linkin Park, Points Of Authority
AA09.019752 Alizee, J'en Ai Marre
AA09.019628 Jeanette, Flight Tonight
AA09.020698 Him, The Sacrament
AA09.020697 Gareth Gates, Anyone Of Use
AA09.019843 Marcin Rozynek, Siłacz
AA09.019840 In-Grid, In-Tango
AA09.018729 Leszcze, Kombinuj dziewczyno
AA09.018727 Blue Cafe, Do nieba, do piekła
AA09.018731 Piasek, Wszystko trzeba przeżyć
AA09.020701 Kayah, Testostereon
AA09.018733 Skiba, Każdy coś ma
AA09.018503 50 Cent, In Da Club
AA09.018506 Gabriel Fleszar, Kto Panem, kto sługą
AA09.019842 Pink, Feel Good Time
AA09.019511 Sistars, Spadaj

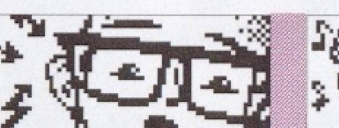
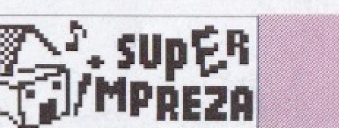
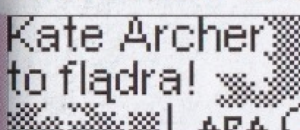
WIADOMOŚCI GRAFICZNE SMS 7265 2,44 zł


AA09.016453

AA09.018690

AA09.016958

AA09.016964

AA09.017882

AA09.016113

AA09.017844


AA09.019192

AA09.017626

AA09.017845

AA09.018692


AA09.017881

AA09.016954

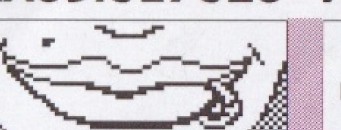
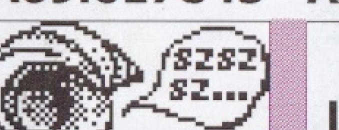
AA09.019196

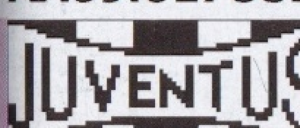
AA09.016927

AA09.017842

AA09.017459

AA09.020548

AA09.017633

AA09.018341

AA09.020551

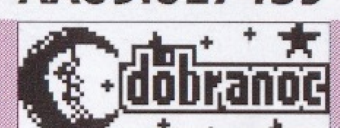

AA09.019618


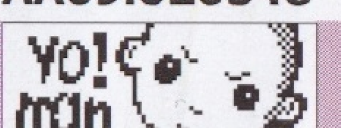
AA09.018511

AA09.019363

AA09.020552


AA09.019195

AA09.020106


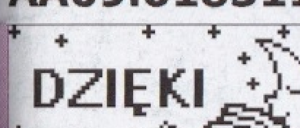
AA09.018689


AA09.019620

AA09.018304

AA09.017707

AA09.017632

AA09.019829


AA09.019354

AA09.01813

AA09.020553

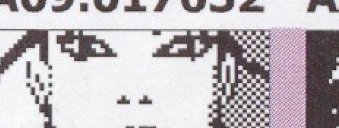
AA09.018319


AA09.018331

AA09.018357

AA09.018312


AA09.018139

AA09.018242

AA09.020105

AA09.020550

KOLOROWE LOGOSY SMS 7265 2,44 zł

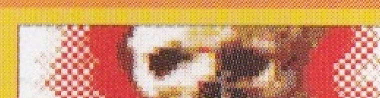
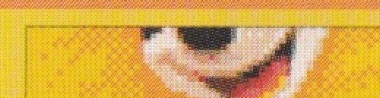

AA09.020730

AA09.020687

AA09.020720

AA09.020343


AA09.020361

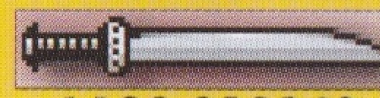
AA09.020347

AA09.020555

AA09.020692


AA09.020556

AA09.020350

AA09.020693

AA09.020689

AA09.020732

AA09.020349

AA09.020688

AA09.020559

Usługa dostępna tylko dla telefonów NOKIA **3510i, 3530, 5100, 6100, 6610, 6650, 6800, 7210, 7250, 8910i**

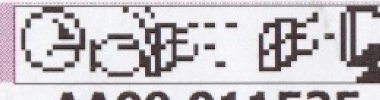
LOGOSY SMS 7164 1,22 zł


AA09.005811

AA09.015379

AA09.006401


AA09.011528

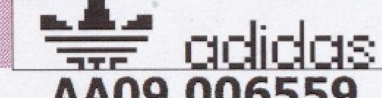

AA09.003815

AA09.011535

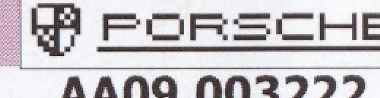

AA09.006477

AA09.005753


AA09.006418

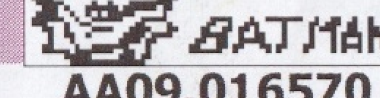
AA09.007818

AA09.007227


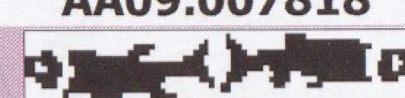
AA09.006559


AA09.003222

AA09.005074

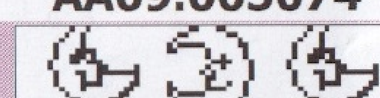
AA09.006422


AA09.016570

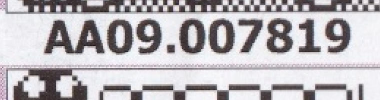
AA09.007819

AA09.016507

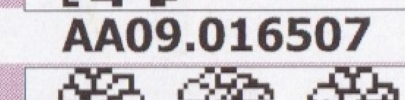
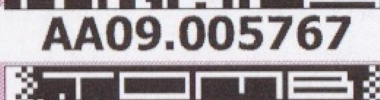
AA09.005767

AA09.008261


AA09.006489

AA09.006374

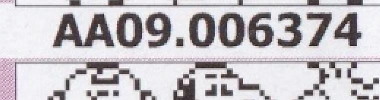
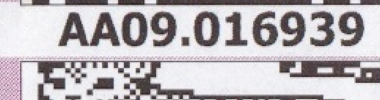
AA09.016939

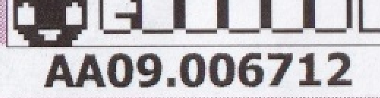
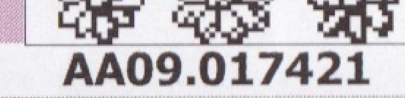
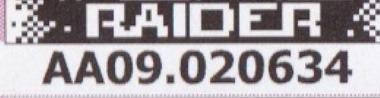

AA09.007215


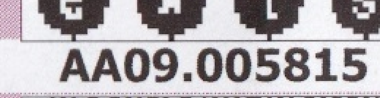
AA09.006712

AA09.017421


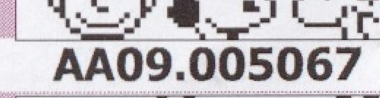
AA09.020634

AA09.003866

AA09.005815

AA09.005067

AA09.018017

AA09.003226

AA09.006385

AA09.016940

AA09.007251

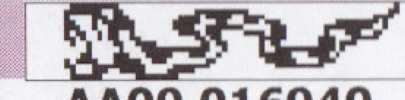

AA09.008079


AA09.005777


AA09.003799

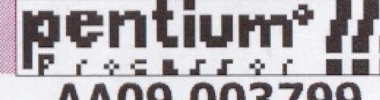

AA09.003817

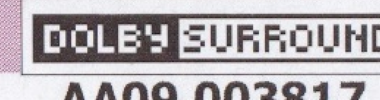
AA09.005086

AA09.003935

AA09.007230

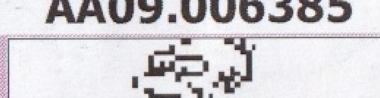
AA09.016243


AA09.011539

AA09.006412


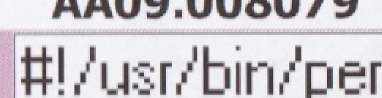
AA09.006490


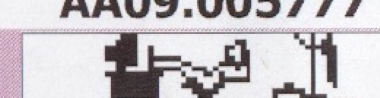
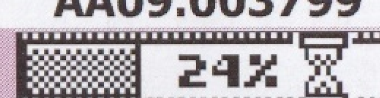
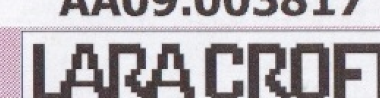
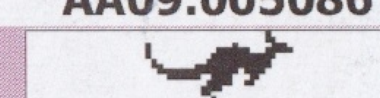
AA09.020633

AA09.004667


AA09.020547

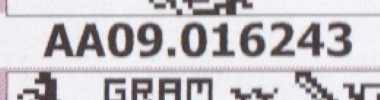
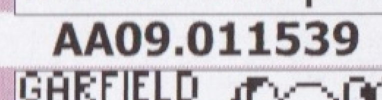
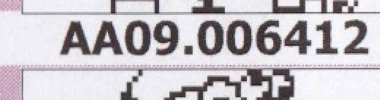
AA09.006491

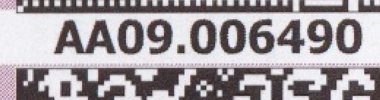

AA09.011530


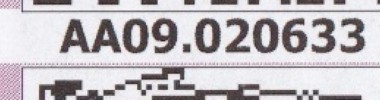
AA09.016206

AA09.006388

AA09.016563

AA09.018303


AA09.007208


AA09.011529

AA09.008122

AA09.008307

AA09.018125


AA09.007207


AA09.006373

AA09.015377

AA09.007257

DZWONKI POLIFONICZNE SMS 7365 3,66 zł

USŁUGA DOSTĘPNA DLA TELEFONÓW NOKIA 3510, 3510i, 3530, 3650, 5100, 6100, 6610, 6650, 6800, 7210, 7250

DD09.001286 Westlife, My Love
DD09.001283 Faithless, Insomnia
DD09.001258 Crowded House, Weather With You
DD09.001236 Gabrielle, Rise
DD09.001221 Spice Girls, Mama
DD09.001250 The Verve, The Drugs Don't Work
DD09.001291 Moloko, Sing It Back
DD09.001237 Shaun Mullins, Rockabye
DD09.001217 Des'ree, Life
DD09.001279 DJ Quicksilver, Free
DD09.001364 Babski świat
DD09.001295 Phats And Small, Turn Around
DD09.001277 Chicane, Don't Give Up
DD09.001275 Real McCoy, Another Night
DD09.001267 Coldplay, Yellow
DD09.001248 Eagles, Tequila Surnise

Jeśli chcesz mieć nowy **dzwonek**, wyślij SMS o treści **DD09.(numer dzwonka)** pod numer **7365**. Płacisz za to tylko **3,66 zł**. Jeśli chcesz wysłać dzwonek znajomemu, wystarczy ze swojego telefonu wysłać SMS pod numer **7365** o treści **DD09.(numer dzwonka).numer telefonu znajomego**, np. DD09.105599.506517666

DZWONKI SMS 7164 1,22 zł

AA09.010048 Coldplay, In My Places
AA09.009754 Metallica, Unforgiven
AA09.009148 Noemi, In My Dreams
AA09.009146 Ricky Martin, Private Emotions
AA09.010052 Moby, We Are All Made Of Stars
AA09.009752 Lombard, Szklana pogoda
AA09.008211 Ich Troje, Powiedz
AA09.008210 Krzysztof Krawczyk, Mój przyjacielu
AA09.008209 Leszcze, Ta dziewczyna
AA09.008208 Blue Cafe, Kochajmy siebie
AA09.010053 No Doubt, Underneath It All
AA09.009197 Vengaboys, Uncle Sam
AA09.009161 The Cure, Boys Dont Cry
AA09.009159 Britney Spears, Stronger
AA09.009149 Lionel Richie, Angel
AA09.010057 Vanessa Carlton, A Thousand Miles
AA09.010056 U2, Electrical Storm
AA09.009138 Loona, Lover
AA09.009133 Kate Bush, Running Up That Hill
AA09.008372 Brandy, Full Moon
AA09.007446 Thomas Dante, Guilty
AA09.007444 Sheryl Crow, Strong Enough
AA09.010058 Will Smith, Black suits comin'
AA09.010055 R. Kelly, The Worlds Greatest
AA09.009196 U2, Walk On
AA09.007452 Myslovitz, Długość dźwięku
AA09.007450 Kyle Minogue, Love At First...
AA09.007449 Mad House, Like A Prayer
AA09.010081 Bellini, Samba de Janeiro
AA09.010079 Aerosmith, Jaded
AA09.009174 Green Day, Minority
AA09.007442 Sarah Connor, From Sarah...
AA09.007441 Champs, Tequilla
AA09.009172 Genesis, I Cant Dance
AA09.009168 Depeche Mode, It's No Good
AA09.009164 DJ Bobo, Celebration
AA09.009140 Madonna, Isla Bonita
AA09.008212 Budka Suflera, Solo
AA09.007439 ATC, Around The World...
AA09.010083 Eminem, Stan
AA09.009173 Gary Moore, Still Got The Blues
AA09.009145 Ricky Martin, She Bangs
AA09.007438 Aquagent, Everybody...
AA09.015570 The Cranberries, Analyse